

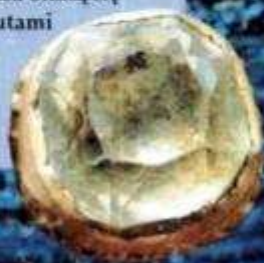
PRZEKŁĘTE KAMIENIE



Fotografia: S. S. S.

Evelyn Anthony

Przed Iwanem Karakowem – królem jubilerów – rysuje się szansa pokonania znieawidzonego kartelu Diamond Enterprises, kontrolującego światowy rynek handlu diamentami. Warunkiem sukcesu jest wygranie wyścigu z DE o koncesję na eksploatację nowo odkrytych złóż diamentowych w okolicach Archangielska. DE, kierowany żelazną ręką przez Juliusa Heydermana, mobilizuje się do wyeliminowania Karakowa z gry i wysyła na rozmowy do Moskwy jednego ze swych dyrektorów. Jednocześnie w Paryżu do walki z Karakowem staje James Hastings, młody, ambitny pracownik DE, któremu pokonanie przeciwnika otworzy drogę na szczyty kariery. Czy młodość, inteligencja i determinacja Jamesa okażą się wystarczającymi atutami w pojedynku z przebiegłym i doświadczonym przeciwnikiem?



Cena 18,70 zł (187 000 zł)
ISBN 83-86868-57-0

Evelyn Anthony

PRZEKŁĘTE
KAMIENIE

przełożyła
Beata Długajczyk

Prószyński i S-ka
Warszawa 1996

Tytuł oryginału: BLOODSTONES

Copyright © by Anthony Enterprises Limited 1994

Projekt okładki:

Jerzy Matuszewski

Redaktor prowadzący serię i opracowanie merytoryczne:

Jan Koźbiel

Opracowanie graficzne:

Barbara Wójcik

Opracowanie techniczne:

Elżbieta Babińska

Korekta:

Anna Janikowska

Skład i łamanie:

Waldemar Maciąg

ISBN 83-86868-57-0

Wydanie I

Wydawca:

PRÓSZYŃSKI I S-KA,

02-569 Warszawa,

ul. Różana 34

Druk i oprawa:

Zakłady Graficzne im. K.E.N. SA

85-067 Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 1

1.

- Kochanie, spóźnimy się, jeśli się nie pośpieszysz - powiedziała Elisabeth Hastings. To było niepodobne do Jamesa: siedzieć i popijać drinka w chwili, gdy powinien przebierać się do wyjścia. Elisabeth weszła do salonu i stanęła za krzesłem męża. Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Słyszałam, jak wróciłeś. Ubierałam się właśnie i sądziłam, że przyjdiesz na górę. Czy coś się stało?

Potrząsnął głową, wzruszony jej troską. Był taki szczęśliwy. Chwilami sam nie mógł w to uwierzyć. Jego piękna, wspaniała żona, nagroda, którą zdobył, pokonując tyle przeciwności.

- Co się stało? - powtórzyła. - Jesteś taki spięty.

Podniósł się dopijając gin z tonikiem i objął ją ramieniem.

- Nie jestem spięty, najdroższa. Raczej podniecony.

- Ale z jakiego powodu? Czy to coś pomyślnego?

- Być może - odparł. - Pocałuj mnie, a wszystko ci opowiem, wbijając się w ten błazeński garnitur.

Nie znosił wieczorowych ubrań. Kiedy wracał z biura do domu, lubił czuć się swobodnie. Koszula rozpięta pod szyją, sweter, miękkie pantofle. Nosił paski z wytłaczanymi sprzączkami, które Elisabeth uważała za wulgarne, choć nigdy nie powiedziała tego na głos. W kwestiach gustu często się różnili. W przeciwieństwie do jej ojca czy zmarłego brata James nie był zacofany ani konwencjonalny, ograniczony zwyczajami wpojonymi przez rodzinę i tradycję. Ona sama ciągle pozostawała staroświecka, nawet po pięciu latach małżeństwa z tym dynamitem w ludzkim ciele. Dokuczała mu tym przewiskiem, pokpiwając z jego niespożytej

energii i niespokojnego temperamentu, który nie pozwalał mu ani chwili posiedzieć w spokoju i po prostu rozkoszować się życiem.

Jamesa interesowało wszystko. Potrafił nawet ożywić jej własne przedsiębiorstwo dekoracji wnętrz, które od chwili, gdy się pobrali, dosłownie rozkwitło, otrzymując coraz to nowe zlecenia urządzania mieszkań prywatnych i biur.

Elisabeth dała się ponieść entuzjazmowi męża, pracowała teraz intensywniej, stając się coraz bardziej pewną siebie, i jednoosobowa firma, którą założyła za odziedziczone pieniądze w wieku dwudziestu jeden lat, rozrastała się błyskawicznie.

- Kochanie - zaczął James - zanim zdradzę ci nowinę, powiedz mi, jak ci minął dzień.

- Pracowicie. Miałam telefon od Mitchella. Prezes był zachwycony urządzeniem biura. A wszyscy mówili, że tak trudno go zadowolić, że zawsze chce zmian, ale nigdy się na żadną nie zgadza.

- Mądra dziewczynka - powiedział z uczuciem. - Oczywiście, że musiało mu się spodobać. A czy masz już jakieś wiadomości w sprawie tego zlecenia dla Westminsteru?

- Nie, jeszcze nie. Byłby to naprawdę cud, gdyby udało mi się je zdobyć. Wszystkie sławy się o to ubiegają.

- O, tego jestem pewien - odparł. - Ale nie bądź taka skromna. Jeśli je dostaniesz, ty również będziesz sławna.

Po mianowaniu nowego Lorda Kanclerza jego apartamenty miały zostać poddane kompletnej renowacji i Elisabeth, zachęcona przez Jamesa, przystąpiła do konkursu, w którym wzięli udział najsłynniejsi projektanci, wysyłając swoje projekty i kosztorysy. Zuchwałstwo tego kroku odpowiadało jej przekornemu charakterowi.

- Colefax i Fowler, Nina Campbell... Boże, to dopiero byłby numer, gdyby udało mi się ich wyprzedzić.

- Dlaczegoż by nie? Jesteś tak samo dobra, a kosztujesz znacznie mniej.

Zgodnym krokiem ruszyli na górę. Elisabeth przysiadła na łóżku, a James wziął szybki prysznic i zaczął się ubierać. Miał szczupłe, męskie ciało i Elisabeth kochała je dotykać. Gdy spotkali się po raz pierwszy, miała już za sobą kilka romansów, ale żadnego naprawdę poważnego. Ot, po prostu miłości z mężczyznami, których lubiła, ale nie kochała. Miłość Jamesa była dla niej czymś zupełnie nowym. Miała dwadzieścia dwa lata i dopiero z nim odkryła, na czym polega prawdziwa namiętność. Dopiero z nim pojęła, że to nie tylko spełnienie fizyczne, lecz także czułość, pogoda ducha, a także rodzaj bolesnej radości, płynącej z faktu przebywania razem.

Różnili się od siebie w każdym calu. Ona, urodzona na wsi, była młodą, wysportowaną kobietą, z zapalem jeżdżącą konno i łowiącą ryby, lubiącą długie spacerować z psami. On kochał teatr, współczesną sztukę i muzykę klasyczną. Codziennie pływał i grywał w squash, jednak robił to, jak się później przekonała, aby utrzymać sprawność fizyczną, a nie dla przyjemności.

Nauczył ją cenić rzeczy, na które przed spotkaniem go nie zwróciłyby większej uwagi. Wiedziała, że dzięki niemu zdobyła większą pewność siebie i wzbogaciła się wewnętrznie. Oczywiście, małżeństwo miało i pewną cenę, którą należało zapłacić, ale nie przejmowała się tym. Tą ceną było życie w dużym londyńskim domu na Thurloe Street, coraz rzadsze weekendy spędzane z rodziną w Somerset, nowi, bogaci znajomi obracający się w kręgach biznesu albo politycy, jak Chichesterowie, którzy zaprosili ich na dzisiejszy wieczór, oraz bardziej agresywne podejście do jej własnej kariery. Przyjęła styl życia Jamesa bez większych oporów, gdyż kochała go i była z nim szczęśliwa.

- No, teraz twoja kolej - powiedziała. - Wiesz, że umieram z ciekawości. Co się wydarzyło?

Wiązał krawat, krzywiąc się przy tym, gdyż nigdy nie udawało mu się zrobić tego za pierwszym razem, a nie znosił porażek w żadnej dziedzinie.

- Julius Heyderman przylatuje we wtorek wieczorem. Na

środe zwołał specjalne posiedzenie całego zarządu. Kruger wraca z Francji, Wassermanowie przylatują z Nowego Jorku, a Reece z Hiszpanii. Całe biuro aż huczy. Arthur wyjechał na wieś i jego sekretarka dosłownie wychodziła ze skóry, żeby się z nim skontaktować. Taki nagły przyjazd prawdopodobnie oznacza kłopoty, gdyż Heyderman nigdy nie pojawia się o tej porze roku. Zwykle siedzi w Kapsztadzie. Do licha... Kochanie, pomóż mi. Z rozdrażnieniem potrząsnął krawatem.

- Uspokój się - rzekła Elisabeth - i nie kręć się, bo nie uda mi się zawiązać. Masz. Jak będziesz się tak złościł za każdym razem, kupię ci krawat na gumce. I co dalej? Dlaczego ma to oznaczać kłopoty?

Patrzyła, jak zakłada marynarkę i sprawdza, czy zabrał klucze i papierośnicę od Asprey'a którą dała mu kiedyś w prezencie.

- Czy to przypadkiem nie dotyczy czegoś, co zrobiłeś?

- Boże drogi, nie. Niczego nie zmalowałem. Zresztą, nie jestem aż taki ważny, by Heyderman fatygował się osobiście. W mojej sprawie wystarczyłby telefon. - Kochał ją za tę jej wiarę w ważność jego osoby. - Ja widzę tu dwie możliwości. Po pierwsze, jakiś kryzys w RPA, co może się odbić na pracy kopalń. Sytuacja polityczna w tym kraju jest tak niestabilizowana, że przypomina siedzenie na bombie zegarowej. Albo też przylot Juliusa Heydermana ma coś wspólnego z naszym Arthurem Harrisem.

Arthur Harris był dyrektorem naczelnym londyńskiej filii Diamond Enterprises.

Elisabeth okręciła na palcu pierścionek z dużym, owalnym diamentem. Ten pierścionek był jedynym zgrzytem podczas ich zaręczyn. Pragnęła dostać szafir otoczony diamencikami, skromny pierścionek, który mogłaby nosić na co dzień, tak jak jej matka nosiła swój, nawet gdy zmywała albo karmiła psy. Ale James okazał się niewzruszony. Jest narzeczoną pracownika Diamond Enterprises i pierścionek ma być tego dowodem. Gdy po raz pierwszy usłyszała, że pracuje dla DE, zapytała, czy jest jubilerem,

i roześmiała się, gdyż absolutnie nie wyglądał na jubilera. James odpowiedział, że nie potrafi odróżnić jednego kamienia od drugiego, a jego praca ma charakter czysto administracyjny. Nie lubiła tego dużego, wulgarnego pierścionka, jednak Jamesowi było przykro, gdy go nie nosiła.

Odgarnęła do tyłu swoje długie, jedwabiste blond włosy, które miały tendencję do opadania na twarz. James nigdy by nie pozwolił na ich obcięcie ani na zmianę uczesania. Uwielbiał jej włosy; miał zwyczaj gładzić je i przesiewać między palcami. Często chwycił ją w ramiona, spoglądał w twarz i mówił, że jest piękna i że jest bardzo szczęśliwy, że została jego żoną.

- Dlaczego akurat z Arthurem? - zapytała Elisabeth.

- Bo Heyderman go nie znosi i wykorzystałby każdą okazję, żeby się go pozbyć. Tak, czekanie do środy na przyjazd szwagra z pewnością nie poprawi Arthurowi humoru.

- Ja wolałabym raczej Heydermana niż Arthura - zauważyła. - Zawsze go lubiłam.

- Bo nigdy mu się w niczym nie sprzeciwiłaś ani go w niczym nie zawiodłaś - odparł James. Zamilkł na chwilę, próbując ubrać w słowa swoje najskrytsze plany. - Widzisz, gdyby Arthur dostał kopniaka, mogłoby to oznaczać szansę dla mnie.

Elisabeth popatrzyła na męża ze zdumieniem.

- Ty? Na jego miejsce? Przecież ty jesteś najmłodszy. A co z Krugerem albo Andrewsem?

- Kruger to przeszłość. Ta historia z sekretarką nieźle mu się przysłużyła.

- Nienawidzę tej kobiety - powiedziała zimno. - Celowo rozbiła jego małżeństwo. Po trzydziestu latach. Suka.

Wzruszył ramionami. Nikt nie lubił Ruth Fraser, zwłaszcza kobiety. Była zbyt mądra i zbyt atrakcyjna, by mogła wzbudzać ich sympatię.

- Pozostaje Andrews. Wybór powinien paść na niego, ale... Po prostu odnoszę wrażenie, że Heyderman pragnie dopływu świeżej krwi. - Uśmiechnął się szeroko. - Mojej.

Popatrzył na zegarek. Kolejny prezent od Elisabeth. Była taka szczodra. Ciągłe sprawiała mu jakieś niespodzianki. On sam został wychowany w przekonaniu, że należy żyć oszczędnie i nie pozwalać sobie na zbędne ekstrawagancje. Cóż, pieniądze Hastingsów były stosunkowo świeżej daty. W rodzinie Elisabeth wyglądało to zupełnie inaczej.

Podniósł się i powiedział:

- Pracuję u nich już dwanaście lat i jestem przekonany, że sprawdzę się na stanowisku dyrektorskim, jeśli zechcą mi je zaoferować. Chodź, kochanie, bo się spóźnimy. Mam nadzieję, że nie będziesz się nudziła, chociaż Chichesterowie nie są zbyt atrakcyjni. Później ci to wynagrodzę.

- Nie wątpię w to - odparła Elisabeth.

Ich życie seksualne układało się cudownie, tym wspanialej, im dłużej byli razem. Teraz mieli dodatkowy bodziec: oboje pragnęli dziecka. Mieli za sobą dwa lata czekania i nadziei. Nie było żadnych medycznych przeciwwskazań, poza może zbyt długim okresem używania pigułki.

„Nie można oczekiwać od natury, że się wywiąże natychmiast ze swojego zadania - powiedział im ginekolog. - Musicie być cierpliwi. To kiedyś nastąpi. Najprawdopodobniej akurat wtedy, gdy będziecie planować wypad na narty”.

Roześmiali się i wyszli pocieszeni.

Jednak jak dotąd natura pozostała nieubłagana i Elisabeth omal nie płakała z rozczarowania, ilekroć jej nadzieje zawodziły.

James pocieszał ją, jak mógł. „Wszystko będzie w porządku - powtarzał. - Im bardziej się będziesz denerwowała, tym dłużej będzie to trwało. Kochanie, masz zaledwie dwadzieścia siedem lat... Na miłość boską, przed nami jeszcze mnóstwo czasu”.

James był ostrym kierowcą. Elisabeth zadrżała, gdy przeciął skrzyżowanie przy zmieniających się światłach. Spojrzała na niego, powstrzymując słowa protestu. Wiedziała, że zawsze był niecierpliwy, naładowany energią. To właśnie tak ją w nim

podniecało. Obdarzał ją tak wielką miłością, jego entuzjazm udzielał się również jej. To James sprawił, że dojrzała.

- Jamie - powiedziała - masz więcej rozumu niż oni wszyscy razem wzięci. Jeśli Heyderman da ci szansę, wykorzystaj ją.

Skręcił na chodnik przed domem Chichesterów na Lancaster Gate. Chichester był znaczącym i wpływowym politykiem z partii torysów.

James położył rękę na kolanie żony. Tak, ona potrafiła powiedzieć „wykorzystaj szansę” z niezachwianą pewnością siebie, jaką daje urodzenie w domu zajmowanym przez rodzinę od pokoleń, życie bez trosk materialnych i konieczności liczenia się z opinią innych. Środowisko, w którym wzrastał on sam, było zupełnie inne.

Chichester i jego żona byli doskonałymi gospodarzami. James od razu dostrzegł oznaki panującego w ich domu dobrobytu, takie jak doskonały claret, wyborne jedzenie i antyczne meble. Żona Chicheстера była jakby stworzona do działalności wśród wyborców. Pogodna, bezpretensjonalna, nie stanowiła żadnego zagrożenia dla dam z lokalnych stowarzyszeń. Matka dwóch pełnych werwy synów, oddana pracy w komitetach dobroczynnych, z pewnością potrafiła pomóc swojemu ambitnemu mężowi w jego karierze. James jednak nie był głupcem, potrafił dostrzec stalowy błysk w jej oczach. Elisabeth jak zwykle oczarowała wszystkich. Jest taka miła i naturalna, pomyślał z dumą. Dziwne, ale ona także nie budziła niechęci w innych kobietach. Nie ukrywała swojej miłości do męża i nigdy z nikim nie flirtowała. Często dziwił się, jak można być tak piękną i przyjmować to z takim spokojem. Pewność siebie. Ten bezcenny towar, którego zdobycie kosztowało go tyle trudów i wyrzeczeń.

Jego ojciec, doszedłszy do majątku, zainwestował wszystko w syna. Matka była nieszczęśliwa i skrycie piła. Gdy James studiował w Oxfordzie, jego rodzice wreszcie się rozwiedli. Do tej pory utrzymywali pozory małżeństwa wyłącznie ze względu na niego, o czym doskonale wiedział. Nie był im za to wdzięczny; raczej czuł się winny.

Nauczył się zabiegać o względy tych, którzy byli gotowi go zaakceptować, i ignorował pozostałych. Był doskonałym studentem i opuszczał Oxford osiągnąwszy znakomite rezultaty. Był popularny, przystojny, znał wszystkich liczących się ludzi. Kiedy rozpoczął pracę w DE, wielu jego znajomych było zaskoczonych tą decyzją. Spodziewano się, że poświęci się raczej polityce. Ale w DE znano się na ludziach, wiedziano, co zaoferować, by przyciągnąć najlepszych, i jak odsuwać na bok i zapominać o tych, którzy nie spełnili oczekiwań. James nie zawiódł. W wieku, w którym większość pracowników dopiero dochodziła do stanowisk kierowniczych zdobył miejsce w zarządzie filii londyńskiej. Kochał każdy szczebel tej wspinaczki. Pilnie studiował charaktery swoich kolegów, uważając wszystkich za potencjalnych rywali. Oni zresztą traktowali go tak samo.

Początkowo skoncentrował się na Dicku Krugerze. Kruger, urodzony w Południowej Afryce, był niewątpliwie bardzo inteligentny, lecz na jego karierze zaważyła ta nieszczęsna historia z sekretarką. James nie lubił Krugera, gdyż ten pozostawał lojalny wobec Arthura Harrisa. Jeśli przedtem miał jakieś osobiste ambicje, teraz należały one do przeszłości. Obecnie postawił na lojalność. Był bystry i znał się na ludziach. James był przekonany, że Kruger przejrzał go lepiej niż ktokolwiek inny, niż na przykład Andrews z jego typowo angielskim brakiem wyobraźni.

Gdyby Arthurowi w końcu powinęła się noga, a Jamesowi udało się zrealizować swoje marzenia i zająć jego stanowisko, Kruger musiałby odejść, gdyż okazał się wrogiem, a trzymanie kogoś, kto już raz pokazał nóż, zawsze było niebezpieczne. Jeden z potentatów przemysłu zbrojeniowego doskonale charakteryzował kiedyś metody walki stosowane w świecie biznesu: „Nigdy nie rań, zabijaj”. James traktował tę wskazówkę bardzo serio. Wiedział, że inni członkowie zarządu mówią o nim: „Hastings, ten bezlitosny bękart”. Mieli rację, tak myśląc. James był wręcz dumny z tej opinii.

Rok temu, po jednym z zebrań zarządu, Heyderman odwołał go na bok i zaproponował przyjazd do Johannesburga. W końcu nic nie wyszło z tego zaproszenia, jednak było ono znamienne. Znaczyło, że Heyderman go zauważył.

James usiłował pozyskać sobie sympatię Reece'a. To właśnie Reece wysłał telegram i przyjeżdżał teraz z Heydermanem. Był alter ego Juliusa Heydermana. A także jego sekretarzem, asystentem i Bóg wie kim jeszcze. Osoba Reece'a stanowiła wielką niewiadomą. Tylko w jednym punkcie członkowie zarządu byli zupełnie zgodni, poczynając od dyrektora naczelnego, Arthura Harrisa, a skończywszy na Andrewsie, który nie żywił antypatii do nikogo - wszyscy nienawidzili Reece'a. Reece był szpiegiem Heydermana. O tym wiedział każdy, choć nikomu nie udało się go na tym przyłapać. Pół roku spędzał w Londynie, drugie pół w RPA. Dla Heydermana pracował od lat. James chętnie poznałby go bliżej, gdyż był pewien, że wiedza o tym człowieku pozwoliłaby mu lepiej zrozumieć, w jaki sposób pracuje mózg samego Heydermana. Starał się, jak mógł, by zaskarbić sobie jego względy. Zapraszał go na obiady, by mogli porozmawiać prywatnie, nieskrępowani obecnością pozostałych członków zarządu, lecz Reece nigdy nie przyjął żadnego z tych zaproszeń. Z nikim też nie nawiązał bliższych kontaktów, nikt go nigdy nie widział uśmiechniętym albo śmiejącym się w głos, z jego ust nigdy nie padła żadna osobista uwaga. Był nudny i ponury i James w końcu porzucił próby zjednania sobie tego człowieka.

Popatrzył na żonę, dając jej znak, że czas już do wyjścia. Elisabeth była pogrążona w rozmowie z żoną Chicheстера, która najwyraźniej doskonale się bawiła. To zadziwiające, z jaką łatwością Elisabeth przychodziły kontakty z ludźmi, z którymi właściwie nic jej nie łączyło. To było charakterystyczne dla osób z jej środowiska - być zawsze uprzejmym wobec innych.

Żegnając się, przypomniał gospodarzowi o obietnicy zjedzenia lunchu z nim i innymi dyrektorami DE. Byłoby niezmiernie interesujące usłyszeć jego zdanie na temat unii monetarnej.

Wracali w milczeniu. Gdy zatrzymali się przed swoim domem na Thurloe Street, James objął żonę i pocałował.

- Kochanie - powiedział - chyba nie było tak źle.

- Podobało mi się. - Obdarzyła go uśmiechem; czułym, ciepłym uśmiechem przeznaczonym wyłącznie dla niego. - Zawsze się dobrze bawię, ilekroć jesteśmy gdzieś razem.

- Zdaje się, że bardzo dobrze ci poszło z Sally Chichester. O czym, na Boga, rozmawialiście?

- Och, dokąd chłopcy powinni pojechać na narty. Nie mogła się zdecydować. Nie miała specjalnej ochoty na Szwajcarię. Zaproponowałam jej Austrię - wspaniały kraj i o połowę tańszy. Zrobiła na mnie wrażenie dość bezwzględnej, podobnie jak i on.

- Tak trzeba, jeśli nie chcesz spędzić całego życia w tylnych ławach. Chichester może być bardzo użyteczny; Zaprosiłem go na lunch z zarządem. Chodź, kochanie, wysiadamy.

Chętnie posiedziałby tak dłużej, przytulając ją i gawędząc, tak jak to czynili w czasach, gdy jeszcze nie byli małżeństwem. Jednak dochodziła pierwsza w nocy, a czekał go ciężki dzień. Wszyscy musieli stawić się w biurze. Wicedyrektor Kruger wracał jutro z Francji, pojutrze zaś był dwudziesty piąty, posiedzenie zarządu. Jakiż był zniecierpliwiony, pragnąc jak najszybciej dowiedzieć się, o co chodzi. Chętnie kochałby się teraz z Elisabeth, jednak stanowczo musiał wypocząć przed jutrzejszym dniem. Gdy położyli się do łóżka, odwrócił się na drugi bok i zasnął.

Znad East River dochodziły odgłosy ciągnących barki holowników. Wzdłuż wybrzeża stopniowo zapalały się światła, obrysowując sylwetkę Manhattanu na tle ciemnego nieba i tworząc obraz, który każdemu turyście nieodmiennie kojarzył się z Ameryką: wysmukłe drapacze chmur i samochody pędzące w strumieniach światła po East River Drive. Clara Wasserman wybrała swoje mieszkanie właśnie dla tego widoku. Uwielbiała siedzieć przy oknie, obserwując zachód słońca i światła stopniowo zapalające się w zapadającym

mroku. O zmierzchu feeria światel zamieniała Nowy Jork w miasto ze snów. Bliskość rzeki także sprawiała jej przyjemność. Tam, gdzie przyszła na świat, również słyhać było odgłosy barek i holowników. Clara urodziła się w dzielnicy West Side, w niewielkim, zatłoczonym mieszkanku w domu czynszowym, gdzie gnieździło się ponad dwadzieścia rodzin i gdzie każdy wiedział wszystko o wszystkich. Już jako dziecko nienawidziła tego życia na oczach wszystkich. Nie można było kłócić się, kochać, chorować, mieć dziecka czy nawet umrzeć bez żywego zainteresowania sąsiadów, bez względu na to, czy człowiek tego chciał czy nie. Ale to było ponad pięćdziesiąt lat temu. Obecnie ona i David mieli mieszkanie na 52 Ulicy Wschodniej, ze wspaniałym widokiem, ekskluzywne i odizolowane od otoczenia. Winda zabierała na raz najwyższą dwie osoby i zatrzymywała się bezpośrednio przy drzwiach mieszkania. Ten apartament kosztował ich niemal dwa miliony dolarów i jedynym mankamentem, na jaki David często się skarżał, było to, że spędzają tu tak niewiele czasu. Zajmowanie się rynkiem diamentów wymagało ciągłego podróżowania. David jeździł albo do Johannesburga na spotkania ze swoim szefem, Juliusem Heydermanem, albo do Londynu na konferencje z dyrektorem Arthurem Harrisem. Do tego dochodziły niezliczone podróże po Stanach. Gdy się pobierali trzydzieści lat temu, David praktykował u jednego z kontrahentów Tiffany'ego. Pragnął zostać szlifierzem. To były dawne dzieje. Obecnie był członkiem zarządu Diamond Enterprises. Clara zawsze lubiła powtarzać, że nie można zajść wyżej niż na szczyt.

Każdy, kto choć trochę otarł się o to środowisko, wiedział o Davidzie Wassermanie dwie rzeczy. Po pierwsze, że był najlepszym żyjącym ekspertem od surowych kamieni i jako jeden z niezliczonych pracował jeszcze z założycielami DE Janem Heydermanem i Patem Harrisem w Johannesburgu, w czasach, gdy po śmierci Rhodesa imperium złota i diamentów dopiero zaczynało powstawać. Po drugie, że miał żonę, która na temat

handlu diamentami wiedziała niemal tyle co on. David nigdy nie podjął żadnej decyzji, nie skonsultowawszy się uprzednio z Clarą. Dzieci nie mieli, a fizycznie i psychicznie łączyło ich tak wiele, że przypominali wręcz bliźnięta syjamskie.

Clara odwróciła się do okna. Krzyknęła na męża przebywającego w sąsiednim pokoju. Był to nawyk wyniesiony z domu rodzinnego; tam, by zostać usłyszanym, należało podnieść głos tak, by przekrzywić płaczące dzieci, sąsiadów i hałas dobiegający z ulicy.

- David! Nie skończyłeś jeszcze?

David wszedł do pokoju. Był niewysoki, miał łysą czaszkę otoczoną wianuszkami siwych włosów i twarz poorly zmarszczkami. Ubrany był jak zwykle nieskazitelnie. Jego namiętnością były angielskie ubrania: garnitury z Saville Row, buty od Lobba z St. James. Podczas pobytów w Londynie nie rozstawał się z parasolem. Miał ich tuzin, wszystkie wykonane na zamówienie u Bigga. Nawet jego bielizna musiała pochodzić z Bond Street od Sułka. Clara już dawno zaprzestała usiłowań, by to zrozumieć.

Wczoraj wieczorem leżeli już w łóżku oglądając telewizję, gdy przyszedł telegram z Londynu: *Konferencja zwołana Londyn 25. Przyjeżdżam wieczorem 24. Twoja obecność konieczna. Kruger, Andrews i Johnson także zawiadomieni. Serdeczności, Julius.*

Jeśli Heyderman zwoływał cały londyński zarząd, to sytuacja musiała być poważna. Oboje dobrze pamiętali ostatni kryzys, który zmusił Heydermana do odbycia ponadplanowej podróży z Południowej Afryki do Londynu. Spowodował go Iwan Karakow, jeden z największych jubilerów w Europie i w Stanach, słusznie roszczący sobie prawo do przejścia tronu po Harrym Winstonie jako król na rynku jubilerskim.

Wassermanowie znali go od lat, zarówno osobiście, jak i służbowo. Karakow należał do największych klientów DE; kupował od nich diamenty. Niewiele ponad rok temu wdał się w spór z Arthurem Harrisem na temat jakości kamieni i cen dyktowanych przez DE. Znając się doskonale na diamentach, Wasserman

podzielał w duchu obiekcje Karakowa na temat systemu sprzedaży. Dealerom z całego świata rozsyłano zaproszenia na pokazy, podczas których każdy z nich otrzymywał pakiet z diamentami. Obowiązywały stałe ceny. Jeżeli któryś z kupujących miał zastrzeżenia do jakości bądź kwestionował cenę, przy najbliższym spotkaniu wręczano mu pakiecik z kamieniami o niższej wartości lub pomijano przy rozsyłaniu zaproszeń. Cały system był bardzo prosty. David nigdy nie twierdził, że był to najlepszy sposób sprzedaży, jednak z pewnością był efektywny. Pozwalał na utrzymanie cen na jednym poziomie i na kontrolę wydobywania. DE miał udziały we wszystkich gałęziach przemysłu diamentowego; był dosłownie jak ośmiornica i bez względu na to, czy to się komuś podobało czy nie, potrzebował prezesa w rodzaju Juliusa Heydermana, który twardą ręką trzymał całość. Wtedy osobiście przyjechał do Nowego Jorku, spotkał się z Karakowem i przekonał jubilera do takiego systemu dystrybucji, obiecując jednocześnie, że w przyszłości Karakow będzie otrzymywał bardziej wartościowe okazy. Wypracowali kompromis, który zadowolił Karakowa. Fakt, że Julius osobiście fatygował się przez pół świata, był najlepszą oceną pozycji zajmowanej przez Karakowa.

- Pakowanie - powiedział David Wasserman - zawsze pakowanie. Nie rozumiem, dlaczego nie sprzedamy tego apartamentu i nie zamieszkamy po prostu w hotelu.

- Bo lubisz to mieszkanie - odparła żona. - Ja też je lubię. Po co te utyskiwania? Czy nie lepiej mieć własny kąt nawet na kilka miesięcy w roku? Powiem Marcie, żeby dokończyła za ciebie, skoro jesteś zmęczony.

- Za dużo jej zlecasz - rzekł David. - Mówię ci, Clara, że pewnego dnia ta kobieta nam wymówi i co wtedy pocniemy? Chcesz drinka?

- Nie teraz. Idę zawołać Martę - odparła i dorzuciła: - Czy myślisz, że ta konferencja w Londynie ma coś wspólnego z Karakowem?

David wzruszył ramionami, przygotowując sobie gin z tonikiem.

- Nie wiem.

Projektant umieścił barek na górnej półce chippendalowskiej biblioteczki. Wszystkie meble Wassermanów były prawdziwymi dziełami sztuki. Przeważały osiemnastowieczne angielskie, ale mieli też kilka wczesnych, unikalnych mebli amerykańskich. Dla kontrastu obrazy były współczesne. Nad kominkiem wisiał Braque, a w jadalni Buffet, którego dość tanio nabyli w Paryżu w czasach, gdy artysta dopiero zaczynał wystawiać. W kwestii smaku wykazywali bezbłędny instynkt.

- Nie wiem, po prostu mam takie przeczucie, to wszystko.

- Ale ostatnio Iwan był zadowolony, prawda? - mówiła Clara. - Kiedy w czerwcu odwiedzili Nowy Jork, zachowywali się tak miło. Byliśmy razem w teatrze, zaprosili nas na obiad. Od tego czasu Laura zawsze mnie całuje, ilekroć się spotkamy. Dlaczego to miałyby dotyczyć właśnie jego?

- Mówiłem ci, że nie wiem - powtórzył David. - OK, OK, on zachowuje się jak prawdziwy przyjaciel, a jego żona obdarza cię pocałunkami. Nigdy nie słyszałaś o pocałunku śmierci?

- Nie lubisz Laury. - Clara uśmiechnęła się, robiąc lekki ruch ręką. Niebieskawo-biały brylant ze słynnym szlifem Karakowa błysnął na jej palcu jak meteor. - Po prostu nie lubisz tej kobiety. Myślisz też, że Iwan zachowuje się przyjaźnie wobec nas, bo kryje coś w zanadrzu, tak? Może masz rację. Ale czy masz jakiś powód, aby tak sądzić? Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś?

Nigdy niczego przed nią nie ukrywał, wiedziała o tym doskonale. Po prostu nie ufał Iwanowi Karakowowi i to nie tylko dlatego, że uważał jego żonę za prawdziwą żmiję. W czym się zresztą nie mylił.

- Widzę, że coś jednak wiesz. Powiedz mi.

Wzruszył ramionami.

- Dobrze, już dobrze, to tylko domysły, nic więcej. Nie ma o czym mówić. Ktoś widział Mirkowicza wychodzącego z biura

Karakowa, gdy ten był w Nowym Jorku w ostatnim miesiącu. Zastanawiałem się już wtedy, czego on tam szukał. I ciągle się nad tym zastanawiam.

- Może Iwan chce nawiązać współpracę z Mirkowiczem? - zasugerowała Clara.

- Nie odważyłby się na współpracę z Rosjanami. Nie pozwoliłby sobie na działanie za naszymi plecami. Clara, może napiszesz się jednak? Mamy jeszcze godzinę do wyjścia.

- Dobrze - rzuciła przez ramię.

Wyszła z pokoju i David słyszał, jak woła na pokojówkę, by dokończyła pakowania i wystawiła walizki do hallu, żeby portier mógł zwieźć je na dół.

Zawsze narzekał, że oboje są już po siedemdziesiątce i że długie podróże są dobre dla młodych. Ale tak naprawdę nie miało to dla niego znaczenia. Nie odrzuciłby takiego wezwania choćby leżał na łożu śmierci. Nawet wtedy łapałby najbliższy samolot do Londynu. Nie tylko uroda diamentów go fascynowała. Niekończąca się walka o władzę była równie pociągająca i doskonale wiedział, że będzie tkwił w tym biznesie aż do śmierci. Diamenty stanowiły prawdziwy sekret. Ludzie walczyli o nie, poszukiwali, wydobywali, oszukiwali, kłamali i intrygowali, byle tylko nimi zawładnąć, ale tylko tacy jak David Wasserman kochali diamenty dla nich samych. On kochał wszystkie diamenty, nawet te małe i niepozorne.

W kilka godzin później sylwetka boeinga 747 przecinała nocne niebo. David i jego żona spali na siedzeniach pierwszej klasy. W niewielkim pomieszczeniu służbowym stewardessa czytała powieść.

- Jesteś pewna, że chcesz jechać? Z pewnością nie potrwa to dłużej niż dwa dni.

Dick Kruger wyciągnął rękę do Ruth. Siedzieli na materacach wystawionych do słońca wokół basenu przy hotelu Du Cap. Przyjeżdżali tu co roku. Valerie, jego żona, nie znosiła tego miejsca,

nie lubiła ostentacji i wulgarnej, superbogatej klienteli. Ale nawet ona nigdy nie kwestionowała zalet samego hotelu. Zarówno położenie, jak i jedzenie oraz obsługa były bez zarzutu.

Ruth w niczym nie przypominała jego żony. Kochała pieniądze i luksus. Teraz uśmiechnęła się, splatając jego palce ze swoimi. Miała ciemne włosy i intensywnie zielone, kocie oczy. Była niewysoka i szczupła, ale jej opalone i okryte skąpym bikini ciało o pełnych piersiach i zaokrąglonych biodrach tętnęło zmysłowością. Mając trzydzieści trzy lata ciągle pozostawała niezamężna. Kiedy zostali kochankami, od ośmiu miesięcy była jego sekretarką. Ich romans rozpoczął się podczas jednej z długich podróży służbowych za granicę. Zabrał ją ze sobą, gdyż była poliglotką; doskonale знаła francuski i niemiecki, a niemal równie biegle posługiwała się hiszpańskim i włoskim. Pojechali do Gwinei, gdzie miejscowi poszukiwacze zaczęli nielegalnie eksploatować bogate aluwialne złoża diamentowe. Kruger szybko uruchomił kilka niewielkich firm, oczywiście pod kontrolą DE, które zaczęły skupować wydobyte kamienie za gotówkę, przez co zmniejszono ryzyko przecieków na wolny rynek.

Gwinea była małym, prymitywnym kraikiem, jednak Valerie odmawiała wyjazdu nawet do Sydney czy Nowego Jorku. Jego podróże służbowe nudziły ją i wcale tego nie ukrywała. Kruger miał już dosyć tych utyskiwań. Zabrał ze sobą sekretarkę, raz ze względu na jej znajomość francuskiego, który w Gwinei był dość powszechny, dwa, że miała ochotę tam pojechać, on zaś nie znosił podróżować samotnie. Zawsze lepiej jest mieć z kimś porozmawiać, niż siedzieć i pić do lustra w jakimś podłym hoteliku z nawalającą klimatyzacją.

Początkowo wcale nie myślał o pójściu z nią do łóżka. Po zjedzeniu gorących, pikantnych potraw i wypiciu kilku drinków oboje byli niemilosiernie spoceni. Nagle Ruth popatrzyła na niego i powiedziała:

- Jesteś najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego spotkałam od lat. Chyba muszę być pijana... przepraszam.

A on spojrzał w jej zielone oczy i usłyszał swój własny głos:

- Ja myślę to samo o tobie.

- Więc powinniśmy coś z tym zrobić - szepnęła ochryple, przesuwając ręką po jego nagim ramieniu. - Chodźmy na górę wziąć prysznic.

Wstał. Ruth ciągle trzymała go za rękę, pieszcząc palcami jego dłoń.

- O ile jest woda - mruknął, pomagając jej podnieść się z leżaka.

- Nawet jeśli nie ma - roześmiała się.

Było to najbardziej ekscytujące doświadczenie seksualne w jego życiu, a przecież nigdy nie stronił od kobiet. Ruth okazała się wyjątkowa. Nawet nie przypuszczał, że mężczyznę w jego wieku stać jeszcze na takie wyczyny. Kilkakrotnie doprowadziła go do szczytowania, aż musiał podziwiał sam siebie.

Następnego dnia zachowywała się zupełnie oficjalnie. Powiedziała tylko:

- Dziękuję za najwspanialszą noc w moim życiu. Tu jest pański rozkład zajęć. O dziesiątej ma pan spotkanie z ministrem. W praktyce może to oznaczać każdą porę, nawet jedenastą. - Mówiąc to, uśmiechnęła się. Miała piękne, białe zęby. Wiedział już, jakie potrafią być ostre. - A o wpół do czwartej przyślą samochód, który zawiezie pana na teren kopalni.

- Chciałbym, abyś też pojechała. Nie znasz naszej działalności od tej strony. Jeśli będą używać zbyt technicznego żargonu, posłużysz za tłumacza.

- Będę zachwycona - powiedziała, a on wiedział, że mówi szczerze. - Dziękuję, panie Kruger.

To go ujęło. A więc nie miała zamiaru wykorzystywać zaistniałej sytuacji.

- Na imię mam Dick - dorzucił.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Dick - powtórzyła łagodnym głosem.

Kochali się każdej nocy i często podczas długich, nudnych popołudni. Gdy wracali do Anglii, był już całkowicie opanowany

myślą o niej. Pod jakimś pretekstem zrobili sobie w podróży krótką przerwę w Paryżu. Kupił jej wtedy kilka kosztownych strojów i złotą bransoletkę u Bouchera. Na kolację poszli do Crillona, gdzie wystąpiła w jednej z nowych toalet, wzbudzając ogólne zainteresowanie. Był dumny, że ludzie mogą widzieć ich razem.

Początkowo oszukując Valerie czuł się winny, jednak z biegiem czasu, gdy Ruth zawładnęła całym jego życiem, zarówno zawodowym jak i intymnym, poczucie winy zmieniło się w urazę. Jego małżeństwo było bezdzietne, gdyż jeszcze przed ślubem Valerie przeszła zabieg, którego powikłaniem była bezpłodność. Przez długie lata ukrywał swoje rozczarowanie i urazę z tego powodu, teraz jednak te uczucia wzięły górę. Co on właściwie miał z tego małżeństwa, zapytywał sam siebie.

Valerie stała się dla niego kobietą niechcianą. Kobieta, która nie towarzyszyła mu w podróży służbowych, gdyż ją to nudziło, która wydawała pieniądze na przyjęcia dla ludzi, z którymi nie miał nic wspólnego, i utrzymywała wystawny dom, który dla niego przestał już być domem. Domem stało się teraz mieszkanie Ruth Fraser, gdzie mógł swobodnie dyskutować o problemach nagromadzonych w ciągu całego dnia z kimś, kto podzielał jego pasję dla DE, kto był pełen współczucia, gdy spotykały go niepowodzenia, i podtrzymywał w nim wiarę w jego możliwości i stojącą przed nim przyszłość. Poza tym był ten wspaniały, porywający seks, jakim go obdarzała, tak że mógł zapomnieć o swoim wieku, znowu czuć się pełen wigoru. Byli ze sobą już ponad rok, gdy zadała mu kiedyś pytanie: „Dlaczego nie wyprowadzisz się od żony? Moglibyśmy wynająć wspólne mieszkanie. Dlaczego mamy dalej kłamać? Przecież Valerie nie zależy na tobie. Spędzasz noce z dala od niej, a ona wcale o to nie dba. Pomów z nią”. „Masz rację - odparł. - Zrobię to”. Poczul wtedy wielką ulgę.

Wielkodusznie zaproponował żonie wszystko, czego tylko pragnęła, pod warunkiem, że pozwoli mu odejść. Nie pozwoliła. Walczyła, błagała, robiła mu wymówki i odmawiała rozwodu przez

pięć lat. Nie odczytywał jej postępowania jako przejawu miłości do niego, gdyż nie chciał tego tak widzieć. Na wszystko patrzył teraz oczyma Ruth Fraser. Valerie była mściwa i żądna pieniędzy. Kupili z Ruth dom w Chelsea i oficjalnie zamieszkali razem. Nadal też pracowali razem. W biurze Ruth zwracała się do niego oficjalnie: „Panie Kruger”. Wreszcie, z taką samą determinacją, z jaką przedtem walczyła, jego żona zupełnie nieoczekiwanie się poddała. Zgodziła się na rozwód i zaakceptowała zaoferowane warunki. Napisała do niego smutny i pełen godności list, twierdząc, że robi błąd, ale że ona zgadza się na to, skoro on jej już nie kocha. W tej sytuacji dalsza walka o niego traci sens.

Przeczytał list i wyrzucił go do kosza. Byłby głupcem, gdyby udało się jej wzbudzić w nim poczucie winy.

Obok niego, nacierając smukłe nogi olejkiem do opalania, leżała Ruth. Popatrzyła na niego i zmarszczyła brwi. Już po wakacjach we Francji. Była tego pewna. Co z tego, że usiłował ją uspokoić, mówiąc o dwóch dniach przerwy, zupełnie jakby była głupia i nie wiedziała równie dobrze jak on, jakie będą implikacje takiego nadzwyczajnego zebrania zwołanego przez Juliusa.

- To oznacza kłopoty, prawda? - powiedziała. - Wracam z tobą, kochanie. - Zakręciła olejek i uśmiechnęła się. - Nie mam zamiaru opuścić ani jednej sceny z tego dramatu. Zwariowałabym, siedząc tutaj sama.

Był jej taki wdzięczny. Inna kobieta skarżyłaby się, zrobiła z siebie męczennicę. Valerie na przykład wybuchnęłaby gniewem, że ktoś przerywa ich urlop. Natomiast Ruth rozumiała wszystko, wspierając go podczas całej jego drogi. Zwierzał się jej ze wszystkiego, wysłuchiwał jej opinii, często postępował zgodnie z jej wskazówkami.

- Kocham cię - powiedział. - Najwyższy czas, abyśmy się pobrali.

Leżała na plecach, wyciągnięta w promieniach palącego słońca.

- Nie ma pośpiechu - wymruczała. - Zobaczmy najpierw, czego chce Heyderman.

Wiedział, że mówiła poważnie.

Ray Andrews był dyrektorem w Diamond Enterprises już od pięciu lat. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki. Karierę zaczynał w dziale księgowości w filii londyńskiej dwadzieścia lat temu. Miał już wtedy żonę i dziecko, nie miał natomiast żadnego majątku ani specjalnych oczekiwań. Był spokojnym człowiekiem, obdarzonym błyskotliwym umysłem urodzonego finansisty i już od pierwszego roku pracy nieprzerwanie awansował. Ale to nie jego geniusz do liczb sprawił, że kierownictwo zwróciło na niego uwagę, lecz raczej jego instynkt polityczny, który pozwalał mu przewidywać trendy ekonomiczne w Europie, Ameryce i na Dalekim Wschodzie, kształtujące ceny metali i innych towarów w miejscach tak odległych od siebie jak Tokio i Wybrzeże Kości Słoniowej. Andrews wysyłano wszędzie, gdzie była do rozwiązania jakaś kwestia finansowa, bez względu na to, czy sprawa dotyczyła podatków czy też pomocy ekonomicznej dla kraju, w którym DE miał swoje interesy.

Ray i jego żona pobrali się bardzo młodo i mieli trójkę dzieci. Stanowili bardzo zżytą rodzinę; kłopoty finansowe na początku małżeństwa jeszcze umocniły łączące ich więzy. I chociaż obecnie jego dochody sięgały stu pięćdziesięciu tysięcy funtów rocznie, nadal mieszkali w skromnym domku w Swiss Cottage i starali się odkładać jak najwięcej z jego zarobków. Córka była jeszcze w domu, starszy syn pracował jako nauczyciel w Kanadzie, a młodszy studiował nauki ekonomiczne na Uniwersytecie Reading.

Do niewielkiego grona znajomych nie zaliczali nikogo z DE, gdyż Susan nie czuła się swobodnie w towarzystwie eleganckich żon innych członków zarządu. Była pogodna, chętnie zajmowała się domem, była niezmiernie oddana swojemu błyskotliwemu mężowi i dzieciom, natomiast w kontaktach z innymi cierpiała

męki z powodu chorobliwej nieśmiałości. Kiedy od czasu do czasu spotykała Harrisów na jakimś oficjalnym przyjęciu, stawiała się nerwowa i niezręczna, a Julius Heyderman po prostu ją paraliżował.

Z tego powodu Ray nigdy nie nawiązał bliższych kontaktów z żadnym z dyrektorów poza Dickiem Krugerem, który był nieco starszy od nich. Susan starała się polubić go ze względu na męża. Kruger był uparty i ambitny obecnie jego pozycja w firmie była już ustalona, czego dowodem była przyjaźń, jaką obdarzał go Arthur Harris. Po trzydziestu latach małżeństwa zostawił żonę, by związać się ze swoją sekretarką, Ruth Fraser. Z tego powodu Susan czuła się obecnie zakłopotana w ich towarzystwie. Ta dziewczyna była niemal klinicznym okazem kobiety bez skrępowań, twardej jak gład, niewiedzącej, co znaczy skrepowanie.

Dawny skandal przycichł, związek Krugera z sekretarką został powszechnie zaakceptowany, chociaż Ray twierdził, że romans nie wyszedł Krugerowi na dobre. Jego żona Valerie była bardzo lubiana i wszyscy teraz jej współczuli.

Był też nowy dyrektor, James Hastings, któremu ani Ray, ani Dick nie dowierzali i którego nie lubili. Kruger był o niego zazdrosny i pałał doń patologiczną wręcz niechęcią. Susan, która spotykała Hastingsa dwa razy do roku podczas oficjalnych uroczystości, twierdziła, że jest bardzo łagodny po wierzchu, ale nieustępliwy w środku. Niewątpliwie robił karierę. Jego żona miała tytuł szlachecki. Dick Kruger powiedział kiedyś złośliwie: „To oczywiste” i to wystarczyło, by Susan przeżywała męki nieśmiałości, ilekroć przyszło jej otworzyć usta. Rodzice Susan należeli do klasy średniej. Jej ojciec był pośrednikiem handlu nieruchomościami w niewielkim miasteczku i jej dotychczasowe życie było nieciekawe a - jak mawiano obecnie - zdecydowanie nieszykowne. Ale najczęściej sprawy zawodowe nie wpływały specjalnie na życie prywatne Andrews, pomijając te dni, gdy musiał wyjeżdżać służbowo. Susan, nieszczęśliwa i zgnębiona, pisywała wtedy do niego długie listy, pytając, kiedy wraca do domu.

Andrews siedział w wagonie metra. W rękę trzymał „Evening Standard”. Przekartkował gazetę do połowy, nie zwracając jednak najmniejszej uwagi na treść, wreszcie złożył ją i schował do kieszeni płaszcza. A więc Heyderman przyjeżdża i nikt, nawet Arthur Harris, nie zna powodów jego wizyty. Wszyscy członkowie zarządu, bez względu na to, gdzie teraz byli i co robili, zostali wezwani na nadzwyczajne posiedzenie. Tak, z pewnością każdy z nich odczuwał teraz niepokój.

On sam też był zaniepokojony. Potrafił instynktownie wyczuwać kłopoty, co na jego stanowisku było wielkim atutem. Nie był tylko pewien, czy obecna sytuacja mogła w jakikolwiek sposób wynikać z jednego dużego błędu, jaki popełnił w swojej karierze. Pięć lat temu został wysłany do Rosji w celu zdobycia koncesji na nowo odkryte złoża w pobliżu Archangielska. Opinie zespołu geologów były najpierw optymistyczne, potem wręcz entuzjastyczne; natrafiono na skały kimberlitowe, których obecność nie warunkowała jeszcze występowania także złóż diamentowych, jednak na tych głębokościach nigdy nie znajdowano diamentów bez tych formacji skalnych. Dalsze raporty wskazywały na obecność kimberlitowych kominów, co cały zespół wprawilo w prawdziwy entuzjazm. Negocjacje prowadzone przez Andrewsa przebiegały pomyślnie; niewielkie opóźnienie było dziełem rosyjskiego ministra górnictwa i gospodarki nuklearnej, który uparł się, że osobiście podpisze umowę w Londynie. Był to praktykowany przez urzędników sposób na odbycie wycieczki na Zachód za cudze pieniądze. Andrews wrócił do Anglii, by uzyskać zgodę Arthura na ostateczną wersję projektu umowy. W Moskwie pozostał jego asystent. W tydzień później cała sprawa była już nieaktualna. Minister został aresztowany pod zarzutem korupcji i negocjacje utknęły w martwym punkcie. Andrews poleciał do Moskwy najbliższym samolotem i przekazał wszystkie dokumenty jego następcy. Po czternastu dniach, podczas których bezskutecznie zabiegał o spotkanie z nowym ministrem, wróciły do niego z krótką notką, że negocjacje na temat koncesji zostają zawieszona na czas nieokreślony i że powiązania finansowe poprzedniego ministra

z firmami zachodnimi są przedmiotem śledztwa. Andrews został odstawiony na lotnisko pod strażą.

Nigdy nie udało im się postawić nogi na tym skrawku ziemi. Najpierw nastąpił rozpad Związku Sowieckiego, a gdy sytuacja polityczna ustabilizowała się, Moskwa powołała swoich własnych ekspertów. Ludzie z Zachodu nie byli mile widziani.

To był cień na karierze Andrews. Pogłoski, że złożył w Archangielsku są bardzo bogate, nie przyczyniły się rzecz jasna do poprawy sytuacji.

Pociąg zatrzymał się w Swiss Cottage i Andrews wyszedł na peron. Był poniedziałek, dwudziesty trzeci. Za niecałe czterdzieści osiem godzin zajmie miejsce przy stole w sali konferencyjnej na najwyższym piętrze Diamond House, by przekonać się, czy tamten niefortunny incydent, traktowany ciągle jako jego błąd, ma jakiś związek ze zwołaną przez Heydermana konferencją. Miał niepokojące przeczucie, że tak. Popatrzył na zegarek. Razem z Susan i córką planowali wypad do kina na najnowszy film Spielberga. Zdecydował, że nie powie żonie o swoich kłopotach. Zmarłaby się tylko. Przecież i tak nie mogłaby mu w żaden sposób pomóc. Nie była w stanie pojąć skomplikowanych powiązań rządzących światem biznesu. Zdecydował, że chwilowo odsunie na bok wszystkie troski i że będzie po prostu cieszył się wieczorem. Dzięki Bogu za taką rodzinę. Zawsze starał się postępować zgodnie z pewnymi priorytetami.

- Dlaczego my zawsze musimy przerywać wakacje? - pytała. - W ubiegłym roku wezwał cię już po dziesięciu dniach. On to robi specjalnie.

Patrzyła na niego gniewnie. Reece pragnął ją ułagodzić. Zapewniając solennie, że jego nieobecność nie potrwa długo, starał się zapobiec wybuchowi złości i dąsom, jakie z pewnością nastąpiłyby potem. Jej zły humor trwał czasami i kilka dni i nie było

sposobu, by się przed nim obronić. Tak bardzo ją kochał, że nie mógł znieść chwil, kiedy gniewali się jedno na drugie. Urlop w Maladze zapowiadał się wspaniale. Oboje z zapałem oddawali się turystyce, a tu było tyle miejsc godnych obejrzenia. Zwiedzali zabytkowe wioski, zatrzymując się na dzień lub dwa w niewielkich hotelikach, potem ruszali dalej. To był ich ulubiony sposób spędzania wakacji; żadne z nich nie przepadało za pływaniem i wylegiwaniem się na słońcu. Początkowo wiadomość, że musi wracać do Londynu na posiedzenie zarządu przyjęła zupełnie spokojnie, więc miał nadzieję, że może tym razem burza go ominie. Jednak nie ominęła.

Leżała na łóżku, a jej nagie ciało połyskiwało w półmroku. Teraz zaczęła złorzeczyć Juliusowi Heydermanowi, narzekając, że przerwał ich wakacje. Wiedział, że jest zazdrosna o jego lojalność wobec szefa. Oskarżała go, że przedkłada interesy Heydermana ponad jej szczęście. Jak zwykle zaprzeczył ze złością. To był jedyny powód ich, rzadkich zresztą, kłótni. Normalnie zgadzali się we wszystkim.

- Kochanie - zaprotestował - nie psuj tego wieczoru. Wiesz, że muszę jechać. Zostaniesz tutaj, a ja po kilku dniach wrócę.

Usiadł na brzegu łóżka obok niej. Gładził ją tak, jak najbardziej lubił.

- No chodź - przymilił się. - Teraz mamy sjęstę... potem wybierzemy się na przejażdżkę; będzie już chłodno i przyjemnie. Odkryłem nowy lokal, gdzie możemy zjeść kolację. Napijemy się dobrego wina. Wiem, że to lubisz.

Odwróciła głowę i powiedziała z wyraźnym zamiarem ukarania go:

- Nie mam ochoty nigdzie chodzić. Sama nie mam tu nic do roboty. Wiesz, że będę się czuła osamotniona. Nie, nie mam zamiaru tu siedzieć i czekać. Wracam do domu.

Była przez niego rozpieszczona, sam to przyznawał, ale lubił jej ulegać i zaspokajając jej zachcianki. To mu dawało poczucie siły, czuł się wtedy taki opiekuńczy. Umknęła spod jego ręki.

- Nie - powiedziała - na to też nie mam ochoty.

Nie miało sensu się sprzeciwiać. Ale pragnął jej. Widok nagiego ciała i wyciągniętych w jego stronę nóg podniecił go tak bardzo, że był gotów nawet błagać. Musi zawrzeć z nią pokój.

- Zrobię to tak, jak poprzednio. Pamiętasz, jak ci się to podobało? - wyszeptał, kapitulując. - Nie mogę odjechać, kiedy gniewasz się na mnie. Wiem, że tobie też będzie przykro.

Wyciągnął ręce i odwrócił ją na brzuch. Była taka szczupła i lekka. Delikatnie pieścił jej plecy i pośladki.

Odwróciła głowę, popatrzyła na niego i westchnęła. Miał rację. Jeśli się rozstaną w gniewie, będzie poirytowana i zła.

- Nienawidzę Heydermanów - wymruczała bardziej do siebie niż do niego. - Zwłaszcza jego. Steruje naszym życiem.

Reece obudził się pierwszy. Ona spała jeszcze, jak dziecko, z na wpół otwartymi ustami, zmęczona i nasycona rozkoszą. Wiedział, jak z nią postępować. Z uśmiechem wyśliznął się z łóżka. Stał pod prysznicem, by zmyć z siebie pot. Miał nadzieję, że usłyszy go i dołączy, śmiejąc się i rozbryzgując wodę. A jeśli nie, jeśli będzie dalej spała, sam ją za chwilę obudzi... Zamówił stolik w najlepszej restauracji, mniej więcej dziesięć kilometrów stąd, w sąsiednim miasteczku. Urządzą sobie uroczysty wieczór z wyśmienitym jedzeniem i mnóstwem mocnego, hiszpańskiego wina, które tak lubiła, które zawsze działało na nią podniecająco.

W domu żyli skromnie, bez żadnych ekstrawagancji, za to na wakacjach szaleli. To będzie jak dotąd najbardziej wystawny wieczór podczas tego urlopu.

- A po moim powrocie urządzimy sobie następną - obiecał. - Zostaniemy kilka dni dłużej, by ci wynagrodzić tę przerwę. Będę dzwonił każdego dnia. Tylko nie zakochaj się w jakimś Hiszpanie podczas mojej nieobecności.

2.

Arthur Harris był mężczyzną niewysokim, z grzywą siwiejących włosów opadającą na wysokie, inteligentne czoło, stanowiące zwieńczenie wrażliwej twarzy. Nos miał za długi, usta nieco zbyt wąskie. Nigdy nie był przystojny, a obecnie jego cera przybrała ten sam szary odcień co włosy. Ciemne oczy spoglądały na świat z wyrazem smutku. Jako dyrektor londyńskiej filii firmy Diamond Enterprises miał ugruntowaną pozycję towarzyską i prowadził bardzo urozmaicony tryb życia. Pasjonowało go żeglarstwo; był nawet członkiem Royal Yacht Squadron. Miał piękny dom w pobliżu Homble, pochodzący z czasów króla Karola, i spędzał tam niemal każdy weekend, żeglując. Kolekcjonował obrazy, głównie siedemnastowieczne pejzaże holenderskie; wybierał je starannie, ciesząc wzrok ich pięknem. Sporo czytał i potrafił dyskutować na każdy niemal temat. Był erudytą i obdarzonym dużym poczuciem humoru rozmówcą.

Z chwilą, gdy przekraczał wielkie oszklone drzwi swego biura przy Blackfriars Road, zmieniał się nie do poznania. Siedząc w gabinecie, za pięknym siedemnastowiecznym francuskim biurkiem, prowadził operacje londyńskiej filii DE z bezwzględnością odziedziczoną po swoim dziadku, który opuściwszy Kanadę, gdzie poszukiwał złota, wyemigrował do Południowej Afryki i tam związał się z Janem Heydermanem. W skrytości Arthur nienawidził tego masywnie zbudowanego człowieka; małemu chłopcu wydawał się on potężnym holenderskim bykiem, którego ryczący

głos słyhać było z jednego krańca szybu do drugiego. Podobnym uczuciem obdarzał Juliusa. Wzrastali razem, niedobrani charakterami, lecz skazani na siebie z powodu więzów łączących ich dziadków. Dziadek Arthura, Pat Harris, był młodszym partnerem w spółce. Ta różnica pozycji nie pozostała bez wpływu na chłopców, a gdy obaj już weszli w dorosłe życie i sami zajęli stanowiska w firmie, wystąpiły między nimi dodatkowe tarcia, spowodowane poczuciem sprawowanej władzy.

Fizycznie różnili się zdecydowanie. Julius był wysoki i zbudowany niczym bokser wagi ciężkiej. Miał tak silną osobowość, że potrafił zdominować każde zgromadzenie. W jego obecności Arthur zawsze czuł się nie na miejscu. Byli zdeklarowanymi wrogami, jeszcze zanim Arthur poślubił siostrę Juliusa.

Arthur zdawał sobie sprawę z tego, że tylko fakt, iż posiada ogromny pakiet akcji DE, powstrzymuje jego szwagra od usunięcia go z zarządu firmy. Wiedział też, że Julius jest przekonany, że pewnego dnia mu się to uda, choć sprawa z pozoru mogła wydawać się niemożliwa. W odwecie Arthur był tak samo zdeterminowany pozostać na stanowisku dyrektora naczelnego aż po ostatni dzień swego zawodowego żywota.

Wiadomość o przybyciu szwagra Arthur otrzymał po powrocie z wypadu do doków. Myślał właśnie o zbudowaniu nowego jachtu na przyszłoroczne regaty w Cowes. Nie wspominał o tym żonie, gdyż jeśli tylko mógł, starał się nie mówić jej niczego. Ona także lubiła żeglować i znała się na tym, ale nawet z ich jedyne go wspólnego hobby uczyniła broń przeciwko niemu. Gdyby tylko wspomniał o nowej łodzi, zaraz zaczęłaby z niego szydzić. Nauczył się wystrzegać jej ostrego języka, trzymając ją z dala od swoich spraw.

Christina Heyderman Harris wciąż była urodziwą kobietą, chociaż niedawno skończyła pięćdziesiąt lat. Kiedyś była pięknoscią. Miała ten sam co brat jasny koloryt i zadziwiająco czyste,

błękitne oczy. Ale rozczarowanie i nienawiść do męża wypaczyły jej charakter i sprawiły, że oczy nabrały gorzkiego wyrazu. Usta miała wąskie, kącki opuszczone ku dołowi, co nadawało jej twarzy wyraz wiecznego szyderstwa, jakby uważała, że mąż bez przerwy robi z siebie głupca. Kiedy zakochała się w Arthurze, miała dwadzieścia dwa lata i była najlepszą partią w Południowej Afryce. Arthur był szczupły, miał wytworne maniery i zdecydowanie różnił się od dobrze zbudowanych, wysportowanych młodzieńców otaczających jej brata. Ten kontrast zafascynował ją. Pofolgowała swojej romantycznej wyobraźni na temat tego spokojnego, pełnego rezerwy młodego człowieka i była przekonana, że wreszcie znalazła kogoś, kto ją rozumie. Mówił jej o sztuce, teatrze i książkach.

W przeciwieństwie do innych adoratorów Arthur przyznawał, że Christina posiada także rozum, w czym się zresztą nie mylił. Dopiero po ślubie odkrył, że ma też ogromny apetyt seksualny i że jego zadaniem jest go zaspokoić. Tego niestety nie potrafił, choć bardzo się starał. Narodziny ich jedyne dziecko dały im pewną nadzieję, ale potem było coraz gorzej i jego ambicja cierpiała z powodu powtarzających się niepowodzeń, zaś jej frustracja przerodziła się najpierw w lekceważenie, a później w pogardę. Wszystko, co kiedyś tak ją w nim pociągało, obecnie drażniło ją tylko. Jego nienaganne maniery, zainteresowania artystyczne i intelektualne traktowała jako wyraz jego niezaradności i braku męskości. Ale nigdy by go nie opuściła ze względu na ubóstwianego syna - dużego, krzepkiego chłopca, który wyrósł na prawdziwego Heydermana. Był dobry w sportach, tępy w szkole; u kobiet, bez względu na ich wiek, cieszył się ogromnym powodzeniem. Matkę, która nad nim dominowała, uwielbiał, natomiast ojcem pogardzał, gdyż od najmłodszych dzieciny wyczuwał, że i matka nim pogardza. Ze wszystkich sił starał się upodobnić do swojego wuja, co mu się jednak nie udawało, gdyż nie odziedziczył ani jego inteligencji, ani jego genów. Ze względu na chłopca Christina nigdy nie zdecydowała się na kochankę, co z pewnością uczyniłaby, gdyby jedyną przeszkodą był Arthur.

Postanowiła, że nic nie może zakłócić spokoju jej syna. Nie ma mowy o rozwodzie, gdyż to mogłoby przeszkodzić w rozwoju dziecka. Na jego życiu nie może zaciążyć piętno rozbitego domu. W zamian za to zaciążyła na nim wzajemna nienawiść rodziców i to, że stał się przedmiotem przetargu między nimi.

O przyjeździe brata dowiedziała się od sekretarki Arthura i teraz czekała na niego ze zniecierpliwieniem. Od dzieciństwa była bardzo przywiązana do Juliusa i ich dobre stosunki trwały aż do czasu, kiedy przeciwstawiła się bratu i wyszła za Arthura. Wtedy nie posłuchała jego rad i zapłaciła za to prawie trzydziestoma już latami nieszczęścia. Nigdy mu nie powiedziała, na czym polegał jej błąd. Nie musiała; była pewna, że Julius i tak odgadł prawdę. W dniu jej zaręczyn powiedział: „Przecież to mały, cholerny mięczak. On ma jaja w mózgu. Z pewnością nie będziesz z nim szczęśliwa”. Była przekonana, że brat wie, dlaczego jej małżeństwo jest nieudane. A teraz przyjeżdżał do Londynu, co z pewnością oznaczało kłopoty dla Arthura.

Po powrocie do domu Arthur zastał żonę czytającą książkę; odłożyła ją na bok ze słowami:

- Jest wiadomość dla ciebie. Obok telefonu.

Nie powiedziała mu, o co chodzi. Po prostu przyglądała się jego twarzy, gdy odczytywał notatkę.

Rozpoznał jej charakter pisma. A więc nie uda mu się ukryć przed nią tego faktu. Zdenerwowało go to.

- Julius przyjeżdża - powiedział.

- Wiem. - Włożyła zakładkę do książki. - Zastanawiam się, w jakim celu. Coś na twoim odcinku musiało pójść nie tak, jak trzeba.

- Dlaczego akurat na moim? - zirytował się. - Dlaczego od razu musisz zakładać, że to ja jestem winien. Zresztą i tak nic na to nie poradzisz. - Odwrócił się i wyrzucił zmięty papier do kosza.

- Ponieważ Julius nigdy nie przyjechałby o tej porze roku i nie

ściągąłby wszystkich z urlopów, gdyby nie chodziło o poważny kryzys. Z pewnością nie ma to nic wspólnego ze sprawami domowymi, gdyż musiałabym o tym słyszeć. A więc - przeciągnęła ostatnie słowo - chodzi o Londyn. A Londyn to przecież ty.

Grał w tę grę już od tylu lat. Nagle poczuł się zmęczony.

- Skoro tak twierdzisz. - Wzruszył ramionami. Obojętność była najlepszą bronią. Christina rozkwitała podczas kłótni. - Zresztą i tak dowiem się za dwa dni.

- Amerykanie też przyjeżdżają - powiedziała. Jego sekretarka skwapliwie udzielała jej odpowiedzi na wszystkie pytania; zawsze była miła dla jego ludzi, dzięki czemu wyciągała od nich wszystko, co chciał przed nią ukryć.

- Wassermanowie... tak... Wiesz przecież, że on jest jednym z dyrektorów.

- Mam nadzieję, że nie będziesz ich tu zapraszał. Okropni, starzy nudziarze. Nie potrafiłam wymyśleć, czym mogłabym ich zając, a ty ich zaprosiłeś, aby u nas zamieszkali.

- Tego z pewnością nie zrobię - odparł Arthur spokojnie. - Ostatnim razem byłaś wobec nich tak nieprzyjemna, że z pewnością nie przyjęliby zaproszenia. Będę ich podejmował w Londynie.

Christina ponownie sięgnęła po książkę. Czowała, że tę rundę wygrała.

- No to dzięki Bogu - powiedziała. - Jestem zdumiona, że Julius nie zadzwonił do ciebie osobiście. Posyłanie telegramu przez tego okropnego Reece'a jest trochę lekceważące, nie uważasz? Zupełnie jakbyś nie liczył się bardziej niż pozostali.

Arthur mimo woli poczerwieniał. Znała jego czułe punkty i uderzała bezlitośnie. Julius pogardzał nim i dawał temu wyraz swoim zachowaniem. Arthur wierzył - w tym wypadku niesłusznie - że żona zwierzała się bratu z ich małżeńskich niepowodzeń. Poczuł do niej zimną, głęboką nienawiść za jej niedyskrecję.

- Jest zajęty - powiedział chłodno. - Prawdopodobnie nie miał

ochoty przyjeżdżać. Z pewnością nie miał zamiaru mnie dotknąć. On nie jest taki jak ty.

Odwrócił się i wyszedł. Nigdy nie trzaskał drzwiami. Zamykając drzwi słyszał jej śmiech.

Kłopoty. Z pewnością miała rację. Ilekroć coś miało pójść źle, przecucie go o tym ostrzegало. Instynkt nigdy go nie zawodził. Z natury był spokojny, lecz zmuszony, potrafił walczyć równie twardo i bezwzględnie jak Julius Heyderman. Teraz też zbroił się do walki. Ten sam instynkt mówił mu, że sprawa utraty złóż w Archangielsku powróciła, aby go prześladować.

Sala konferencyjna londyńskiego biura stanowiła swego rodzaju anachronizm w tym ultranowoczesnym budynku. Obszer-na, z niskim sufitem i ścianami wykładanymi oryginalną siedem-nastowieczną boazerią. Pośrodku stał okazały, liczący czternaście stóp długości zabytkowy stół, pochodzący z elżbietańskiego refek-tarza. Otaczające go krzesła stanowiły z nim komplet. Ze względu na wygodę siedzących oparcia i siedzenia miały wyściełane czer-wonym aksamitem. Z sufitu zwisał oryginalny holenderski mo-siężny świecznik, wspaniały obiekt muzealny, podobnie jak perski dywan rozciągnięty na podłodze i kunsztownie rzeźbiony dębowy kredens, wypełniony trunkami. Pokój był ciemny i pełen dosto-jeństwa. Każda część umeblowania kosztowała majątek. Po-mieszczenie było dokładną kopią gabinetu Jana Heydermana w Johannesburgu, z okresu, gdy był u szczytu potęgi. Gdy jego wnuk Julius przejął afrykańskie biuro, natychmiast kazał usunąć stare meble i zerwać boazerię. Całe wyposażenie zostało zaprojek-towane na nowo przez jednego z najbardziej awangardowych dekoratorów wnętrz w Południowej Afryce. Julius Heyderman nie chciał, by klienci wchodzący do tego gabinetu myśleli o jego dziadku.

Członkowie zarządu zasiedli po obu stronach wąskiego stołu. Przed każdym stała butelka wody mineralnej i kryształowa szklanka oraz leżał notatnik, pióro, ołówek i kopie protokołu

z ostatniego posiedzenia. Przed najbardziej okazałym, usytuowanym u szczytu stołu krzesłem, na którym miał zasiąść Julius Heyderman, stała niewielka karafka whisky i dzbanek z wodą. Przez ostatnie kilka minut drzwi były w nieustannym ruchu. Jako pierwszy przyszedł Dick Kruger, a zaraz za nim James Hastings. Skinęli sobie głowami. Pojawienie się Raya Andrewsa i Davida Wassermana oszczędziło im kłopotów wzajemnej konwersacji. Przez minutę czy dwie toczyła się ogólna rozmowa, przerywana wejściem Arthura, który rozejrzał się dookoła i - jak zwykle uprzejmy wobec wszystkich - podszedł do Davida Wassermana.

- Dobrze, że przyjechałeś, Davidzie - powiedział. - Mam nadzieję, że Clara nie czuje się zbyt zmęczona.

Wasserman wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Znasz Clarę. Interesy nigdy jej nie męczą. Zostawiłem ją w hotelu śpiącą jak dziecko.

- Panowie - odezwał się Arthur - Julius będzie tu lada chwila. Proponuję zająć miejsca.

Podszedł do końca stołu. Przed nim także stała butelka wody mineralnej. Obserwował pozostałych członków zarządu. Kruger i Wasserman jako najstarsi usiedli po jego prawej i lewej ręce. Ray Andrews siedział obok inżyniera Johnsona, dyrektora do spraw sprzedaży w Europie, bliżej drugiego końca stołu siedział Hastings. Dwa puste miejsca czekały na przybycie prezesa Heydermana. Na widok wchodzącego Juliusa zebrani podnieśli się z miejsc. Ten niewymuszony gest miał w ich opinii być niczym więcej jak zwykłym przywitaniem prezesa zarządu. Heyderman jednak szedł nie zatrzymując się. Podążający za nim Reece przysunął mu krzesło i sam usiadł po jego lewej ręce. Wszelkie wątpliwości na temat pozycji Reece'a zostały tym samym rozwiane.

- Dzień dobry, panowie.

Julius Heyderman rozejrzał się po pokoju. Wyglądał na jeszcze bardziej opalonego i w lepszej kondycji niż podczas ostatniego spotkania. Przystojny, błękitnooki olbrzym o sylwetce młodego

mężczyzny. Zawsze ubierał się na niebiesko; był to niemal jego znak rozpoznawczy. Jasnobłękitna koszula i ciemnoniebieski garnitur stanowiły część jego image'u, współtworzyły legendę o wszechstronnym sportowcu, kapitalnym strzelcu, championie nart wodnych, niezrównanym graczem w golfa. W tej legendzie było sporo prawdy. Julius wszystko co robił, robił lepiej od innych, wkładając w to całą swoją niespożytą energię. Pracował z taką samą pasją, z jaką oddawał się sportom. W porównaniu z nim wszyscy inni w pokoju zdawali się kurczyć i maleć.

James Hastings wpatrywał się w prezesa z uwagą. Tak, Julius Heyderman był niewątpliwie uosobieniem potęgi, był niczym bóg - przystojny, co rzadko zdarza się wśród milionerów, cieszący się doskonałym zdrowiem i promieniujący wewnętrzną siłą. James czuł w sobie dziwne napięcie. Pomyślał, że podobnie mogli czuć się oficerowie pod wodzą Napoleona czy Wellingtona, kiedy zasiadali do odprawy przed decydującą bitwą.

Heyderman popatrzył na przeciwległy kraniec stołu, na siedzącego tam Arthura.

- Najlepiej przystąpmy od razu do rzeczy - powiedział. - Zgadzasz się, Arthurze? Sprawami bieżącymi możemy zająć się później.

- Oczywiście - powiedział Arthur łagodnie.

- Dobrze. A więc, panowie, przebyłem ten cholerny kawał drogi naprawdę w wielkim pośpiechu. Ci z was, którzy mnie lepiej znają, z pewnością wiedzą, że nie zrobiłbym tego, gdyby nie było takiej potrzeby. Dwa tygodnie temu otrzymałem wiadomość, że kopalnie koło Archangielska pracują pełną parą.

Ray Andrews zerknął na Arthura Harrisa. Miał rację. Sparta-czona sprawa powróciła jak bumerang.

- Te złoża są bardzo bogate, panowie. Nie potrzebuję wam przypominać, że powinny być nasze. - Spojrzenie błękitnych oczu Juliusa powędrowały w stronę szwagra.

- Nie uważam, aby to było takie ważne - powiedział Arthur zimno, choć w środku trząsł się za złości. Ten bękart śmie upominać go publicznie. - Nigdy nie dążyliśmy do przejęcia każdej

kopalni. Kontrolujemy rynek zbytu. Tak zrobimy i w tym przypadku, jeśli Rosjanie będą chcieli sprzedawać diamenty na rynkach światowych.

Julius zignorował tę wypowiedź.

- Złoża zapowiadają się na bardzo zasobne i nie należy przypuszczać, by wydobyć miało się niebawem zmniejszyć. Ale to jeszcze nie wszystko. - Powiódł badawczym spojrzeniem po twarzach zebranych. Nawet David Wasserman poczuł się niepewnie. Heyderman odchrząknął. - Jak powiedziałem, ta kopalnia to bonanza. A to jeszcze nie koniec. Znajdują się tam nie tylko wysokiej klasy diamenty, lecz także fantazje.

Popatrzyli po sobie. Fantazje. To słowo było tradycyjnym określeniem barwnych diamentów. Julius kontynuował:

- Złoża zawierają ogromne, najczystszej wody brązowe kamienie, kanarkowe, a nawet niebieskie. Ale co więcej, znaleźli też to!

Sięgnął do kieszonki na piersiach. Powoli otwierał zaciśniętą pięść. W dłoni trzymał kawałek papieru. Na białej powierzchni kamień zaśnił niczym wielka kropla krwi. Zamigotał blaskiem, gdy Heyderman uniósł go do góry.

- Mój Boże... mój Boże... - Davidowi niemal odebrało głos. Wyciągnął rękę. Heyderman podał mu diament. - Nigdy... - potrząsnął głową - ... nigdy w swoim życiu...

- Pięć karatów - ogłosił Heyderman. - Bez skazy. Nigdy jeszcze nie było takiego kamienia. - Podniósł głos. - W dodatku wcale nie jest największy. Jest przeciętny. Pobudzi apetyty największych kolekcjonerów na świecie.

Wszyscy pomyśleli o Abdullahu Bin Saladynie, ministrze i bracie króla Arabii Saudyjskiej, którego kolekcja rzadkich kamieni była bezcenna, wręcz unikalna. Wyłącznie przez wadliwe połączenie telefoniczne nie udało mu się nabyć jedyne go czerwonego diamentu, jaki trafił na rynek w połowie tego stulecia. Tamten egzemplarz ważył niecały karat i przeszedł na własność prywatnego kolekcjonera w Japonii.

- Są też zielone - oznajmił Julius. - Duże kamienie, czystej wody, o przepięknym kolorze. Ale te - odebrał diament z rąk Davida i trzymał go w dwóch palcach - te są bezcenne.

- Przecież i tak nie będą mogli ich sprzedać - odezwał się Kruger. - A jeśli nie wprowadzą ich na światowy rynek, są dla nich bez wartości. - Umilkł, gdyż dostrzegł bolesny wyraz na twarzy Arthura.

- Karakow może - odparł Julius. - A według moich informacji ma zamiar podpisać z Moskwą umowę czyniącą go jedynym przedstawicielem Rosjan na rynkach światowych, omijając i łamiąc kartel, który, odkąd mój dziadek wykupił Barnato, kontrolował cały przemysł diamentowy. Mamy monopol na dystrybucję i utrzymanie tego monopolu jest niezmiernie ważne, jeśli chcemy, by ceny nie uległy zachwianiu. Kupcy nas nie kochają, ale bez nas nie mieliby szans przeżycia. Wszystko by się zawaliło, cały rynek kamieni przemysłowych i jubilerskich, podobnie jak podczas recesji w latach trzydziestych. To my tworzymy rynek diamentów. Jeśli nasz monopol zostanie złamany przez Karakowa czy jakiegoś innego bękarta, pójdziemy na dno, a z nami cały przemysł.

Zapanowała cisza.

Wreszcie odezwał się David Wasserman:

- On może tego próbować. Uwielbia ryzyko. Karakow to megaloman. Tak, on może tego próbować - powtórzył.

- I odnieść sukces - dokończył Heyderman sucho. - Na rynku jubilerskim jest tym, czym my na rynku surowych kamieni. Od czasów Harry'ego Winstona tylko on naprawdę się liczy i, dobry Boże, przysporzył nam już niemało kłopotów. Reece, masz jego dane o obrotach za ten rok?

- Mam je tutaj, panie Juliusie. - Zwracając się do swego pracodawcy Reece zawsze używał tej formy, preferowanej przez starsze pokolenia, zanim jeszcze moda na rzekomą fraternizację wprowadziła zwyczaj zwracania się do wszystkich po imieniu. Odchrząknął lekko. - Jego sklep w Paryżu i filie w Nowym Jorku i Hongkongu sprzedały w ubiegłym roku towary wartości blisko

miliona dolarów. Najwięksi klienci z Bliskiego Wschodu, tacy jak książę Abdullah, zaopatrują się teraz bezpośrednio w Paryżu. Nie mam dokładnych danych, ale spodziewam się otrzymać je za kilka tygodni i wtedy natychmiast dam panu znać.

Dobry Boże, pomyślał Hastings, jak mu się udało zdobyć dane o obrotach Karakowa?

Szpiegostwo gospodarcze powszechnie praktykowano we wszystkich gałęziach przemysłu na całym świecie. Moralnie naganne, było jednym z podstawowych twardych faktów rządzących światem interesów. To była domena Reece'a. Przedstawiał rezultaty i nikt go nie pytał, jakimi drogami do nich doszedł. Któryś z ludzi Karakowa zajmujący wysoką pozycję w dziale księgowości przekazał mu te dane i tylko Reece wiedział, kim był jego informator.

- Musimy powstrzymać Karakowa, to jasne - odezwał się Arthur Harris. - Moja propozycja brzmi następująco: polecę do Paryża jeszcze dziś wieczorem i porozmawiam z nim osobiście. Jestem pewien, że uda mi się go przekonać. Na pewno zdaje sobie sprawę z długoterminowych konsekwencji handlu z Rosją.

- Jest Rosjaninem - zauważył Kruger. - Na pewno chętnie wróciłby do owczarni, teraz, gdy wyznają tam kapitalizm. Myślę, że David ma rację. Ten człowiek to megaloman.

Próbował w ten sposób ostrzec Harrisa, żeby nie podejmował się niczego, co w wypadku niepowodzenia mogłoby się fatalnie na nim odbić. Harris zrozumiał to ostrzeżenie, jednak czuł, że powinien przejąć inicjatywę, gdyż Heyderman zdominował całe zebranie. Powiedział więc:

- Myślę, że Karakow będzie ze mną rozmawiał. Nasze stosunki zawsze były przyjazne.

Heyderman przez chwilę przyglądał się szwagrowi, a potem lekko wzruszył ramionami i zwrócił się do Reece'a:

- Masz kopię tego listu, który Karakow wysłał w lipcu do Mirkowicza?

Znowu otwarcie teczki i w dłoni Reece'a pojawiła się kolejna fotokopia. Zupełnie jakby oglądali magiczną sztuczkę.

- Czytaj - powiedział Heyderman kategoriycznym tonem. - Odpowiednie fragmenty.

Reece założył okulary; grube szkła w ciężkich, czarnych ramach nadawały mu dziwaczny wygląd.

Opuścił wzrok na leżącą przed nim kartkę.

- Już mam - powiedział, nie patrząc na Arthura Harrisa. - „...to będzie wielka przyjemność, negocjować z panem. Moje niezadowolone ze współpracy z DE osiągnęło punkt krytyczny z powodu przebiegłego, a zarazem krótkowzrocznego postępowania Arthura Harrisa z Londynu, którego słowom absolutnie nie należy wierzyć. Liczę na długą i owocną współpracę z panem, korporacją archangielską i rządem rosyjskim. Oczekuję spotkania z prezydentem Jelcynem i zaproszenia do zwiedzenia kopalni etc...”

Reece urwał i schował list z powrotem do teczki. Wiedział, że między sobą nazywają go gnidą i szpiclem, który odwała brudną robotę dla prezesa. Zbyt często Arthur Harris wyładowywał złość na Heydermana na jego podwładnym. W tej chwili Reece był górą. Spoglądając na złożone na stole dłonie pozwolił sobie nawet na błady uśmiech.

W pokoju zapadła cisza.

Ray Andrews zapalił papierosa, a trzask zapalniczki zabrzmiał niczym wystrzał. Błada twarz Arthura poczerwieniała. Kruger próbował go jeszcze bronić.

- Jesteś pewien, że ten list jest autentyczny?

- Jak najbardziej - odparł Reece. - Pochodzi z tego samego źródła, co pozostałe dokumenty. Został wyjęty z teczki, w której Karakow przechowuje korespondencję. To prywatny list, nie oficjalne stanowisko firmy. Nie był przeznaczony dla oczu wszystkich - dodał miękko, jakby z usprawiedliwieniem.

Arthur Harris nie patrzył ani na niego, ani na szwagra, który celowo tak go upokorzył przed wszystkimi. Powiedział:

- W tej sytuacji nie powinienem próbować negocjacji. Chciałbym

tylko zaznaczyć, że ta opinia w żaden sposób nie dotyka mnie osobiście. Mam natomiast na względzie dobro firmy.

James Hastings musiał go za to podziwiać. W obliczu brutalnej napaści sterowanej przez Heydermana Harris wykazał się godnością i opanowaniem. Ale godność nie ma żadnego sensu, jeśli nie można odpowiedzieć uderzeniem.

Heyderman uczynił gest, który nie zwiódł nikogo, a już w najmniejszym stopniu jego ofiary.

- Powinniśmy byli zastosować wobec niego twardy kurs od samego początku - powiedział. - Nie ma obawy, przygwoździmy tego skurwiela. Musimy zaplanować całą batalia. Trzeba zaatakować jednocześnie na dwóch frontach. Po pierwsze, ktoś musi pojechać do Moskwy do ministerstwa górnictwa, a jeśli zajdzie taka potrzeba, to nawet do samego Jelcyna. Ktoś na tyle ważny, że podważyłby zaufanie Rosjan do Karakowa i wytłumaczył im, że Karakow absolutnie nie ma możliwości sprzedaży tych kamieni bez naszej pomocy. Należy podkreślić, co wolny rynek zrobiłby z cenami i z ich nadziejami na spore sumy w zachodnich walutach.

Popatrzył na Andrewsa.

- Negocjowałeś z nimi pięć lat temu. Znasz kraj i panujące tam stosunki. Może będziesz mógł naprawić błąd, który kosztował nas utratę tamtych złóż. Podejmiesz się tej misji?

Ray Andrews nie był tchórzem, wyznawał natomiast pewne zasady, które czasem stawiały go w kłopotliwej sytuacji. Wtedy zawałił sprawę, więc teraz musi wziąć na siebie odpowiedzialność. Zgodził się, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że podsuwany mu kielich kryje na dnie truciznę.

- Dobrze - powiedział po prostu. - Pojadę do Moskwy. Mam nadzieję, że nasza ambasada może to zorganizować. Jeśli mam prowadzić rozmowy na szczycie, będę potrzebował wsparcia dyplomatycznego.

- Zajmę się tym - powiedział szybko Arthur Harris. - Mamy znakomite stosunki w ministerstwie spraw zagranicznych, z pewnością nam pomogą.

- Świetnie! - Ku ich zdumieniu Julius Heyderman odsunął krzesło i wstał. - Przerwa na lunch, panowie. Jestem umówiony. Spotkamy się ponownie o trzynastej czterdzieści pięć i wtedy porozmawiamy, jakie kroki podjąć w stosunku do Karakowa i kto ma się tym zająć.

Zwykle jadali lunch w jadalni dyrektorskiej. Arthur nie uznawał kultury kantynowej, jak zwykł to określać. Nigdy nie jadał z podwładnymi. Nie sprawiałoby mu to żadnej przyjemności, a podejrzewał, że im także. James zawahał się. Nie miał ochoty na lunch w towarzystwie kolegów ani na wysłuchiwanie, jak wrogi mu Kruger i dwaj starszycy, Andrews i Wasserman, wyklócają się na temat dzisiejszego zebrania. Postanowił pójść do swojego gabinetu, zamówić kanapkę ze stołówki, spokojnie usiąść i przemyśleć całą sprawę. Arthur Harris nie był właściwie głodny, ale chciał porozmawiać otwarcie z przyjaciółmi, pod warunkiem oczywiście, że nie będzie z nimi Hastingsa. Przystanął na moment i zapytał łagodnie:

- Idziesz z nami, James, czy jesteś zajęty?

James był mu wdzięczny za tę wskazówkę.

- Jestem zajęty - odparł. - Mam jeszcze parę spraw na tapecie. Jeśli pozwolicie, przekaszę coś naprędce i trochę popracuję. Tak, obecna sytuacja zapowiada się bardzo interesująco.

- Niezmiernie - zgodził się Arthur Harris - ale to już inny problem. Damy sobie z nim radę. - Obdarzył Jamesa smutnym uśmiechem i skierował swe kroki do prywatnej jadalni.

- Zobaczmy się za kwadrans druga - dodał Ray Andrews, idąc za nim. Miał spokojny charakter i nie był zazdrosny o Hastingsa. Dick Kruger podążał za nimi bez słowa. Nie potrafił ukrywać swoich uczuć, a wobec Jamesa nawet nie usiłował.

Zamówili drinki.

- Ciekawe, kogo Julius ma zamiar zaproponować do rozmów z Karakowem? - zaczął Ray Andrews i zaraz odpowiedział sam sobie. - Z pewnością ciebie, Davidzie. Powinieneś być na to

przygotowany. Znasz Karakowa od lat, a całą wiedzę o diamentach masz w jednym palcu.

Arthur Harris sączył gin z tonikiem.

- Nie sądzę, by miał na myśli Davida - powiedział powoli. - Ani też ciebie, Dick. Gdyby ci się udało, miałbyś na swoim koncie prawdziwy sukces, a do tego Julius nigdy nie dopuści. Jesteś zbyt lojalny wobec mnie.

- Najchętniej kopnąłbym Karakowa w jego tłusty tyłek - powiedział Kruger gwałtownie. - Porządny kopniak, tak żeby zabolalo, oto czego naprawdę potrzebuje. Na początek zabroniłbym mu wstępu na nasze pokazy.

Ray potrząsnął głową. Porywczy temperament Krugera już nie raz stawał się przyczyną jego kłopotów. Zakazanie Iwanowi Karakow wstępu na comiesięczne pokazy w Londynie byłoby posunięciem drastycznym, lecz zupełnie nieefektywnym. Karakow posiadał spore zapasy kamieni. Zwolnienie od konieczności płacenia comiesięcznego haraczu na rzecz DE prawdopodobnie przywitałby z zadowoleniem.

- Zjedzmy coś - zaproponował Arthur. - Przed zebraniem nie mieliśmy zbyt dużo czasu. Mają tu wyśmienitą dziczyznę; próbowałem wczoraj. Myślę, że Julius szykuje dla nas prawdziwą niespodziankę. - Zwrócił się do kelnerki. - Dla mnie claret. Sądzę, że ma zamiar zaproponować Hastingsa.... Nie, dziękuję, bez ziemniaków.

Andrews wlepił w niego wzrok. Kruger poczerwieniał. David Wasserman nie odezwał się ani jednym słowem.

- Tak przypuszczam - mówił dalej Arthur. - To będzie pierwszy strzał w wojnie, którą zdecydował się wydać nie tylko Iwanowi Karakowowi, lecz także całemu kierownictwu filii londyńskiej. Zaczynając ode mnie.

Kawa Jamesa zdążyła już całkiem wystygnąć. Kanapki przekłnął nie zwracając nawet uwagi na ich smak. Kto pojedzie do Paryża? Rozważał poszczególne kandydaty, biorąc pod uwagę

nawet pracowników na niższych szczeblach kierowniczych. Odrzucił ich jednak, podobnie jak Krugera, starego Wassermana i Arthura Harrisa, którego próba przejęcia inicjatywy została natychmiast udaremniona przez Reece'a i ten przeklęty list. Przebiegłemu, spoglądającemu zza grubych okularów Reece'owi absolutnie nie należało ufać. Heyderman nigdy nie gra fair, jeśli ma w planie pozbycie się kogoś. Właśnie dlatego utrzymuje się na szczycie, podczas gdy Arthur Harris idzie w dół...

Ciągle wracał do swojej własnej kandydatury. Zdaje się, że to jemu przyjdzie odegrać główną rolę. Jeśli odniesie sukces, będzie miał doskonałą pozycję. W przypadku niepowodzenia musiałby złożyć rezygnację, zanim jeszcze znaleziono by pretekst, aby się go pozbyć. Nie, o tym nie będzie nawet myślał. Od czasów, gdy postanowił, że zostanie wójtem klasy w szkole powszechnej, a potem starostą w College'u Radby, nie doznał żadnej porażki. Zawsze wiedział, dokąd zmierza i realizował swoje plany z żelazną konsekwencją. „Wykorzystaj szansę”, powiedziała żona.

- Mój Boże - szepnęła półgłosem - ona nawet nie zdaje sobie sprawy, dokąd mnie to może zaprowadzić. Ale zwycięzę, jeśli tylko dadzą mi szansę.

Elisabeth była umówiona z matką na lunch. Jill Fairfax rzadko odwiedzała Londyn. Uważała, że miasto jest brudne, hałaśliwe i pełne ludzi o okropnych manierach. Wszyscy gdzieś się spieszyli, tłoczyli, przepychali, na ulicach panował nieustanny ruch, brakowało miejsc do parkowania. Ona i jej mąż jeździli do Londynu najwyżej dwa, trzy razy do roku. On - gdy chciał obejrzeć mecz krykiety, ona - gdy musiała ufarbować włosy i zrobić zakupy. Latem zatrzymywali się u córki na Thurloe Street. Następna wizyta wypadała przed Bożym Narodzeniem i była związana z kupowaniem prezentów świątecznych. Wtedy zwykle mieszkali w hotelu Browna.

Obecny przyjazd do Londynu był czymś wyjątkowym. Jill martwiła się o Elisabeth i chwyciła się pierwszego lepszego pretekstu, by wybrać się do miasta i zobaczyć się z córką. Przyjechała pociągiem i nie zamierzała zostawać na noc, jak to sugerowała jej Liz. Tak naprawdę nie lubiła nocować w domu Jamesa podczas jego obecności. Zawsze był bardzo serdeczny, ale Jill czuła się tam jak intruz, podejrzewając, że zięć nie lubi, gdy narzuca im swoje towarzystwo. Zaprosiła Elisabeth na lunch do Claridges Causerie.

Jill Fairfax była wysoka i szczupła. Cerę miała ogorzałą, gdyż większość czasu spędzała na wolnym powietrzu. Polowała, chodziła na długie spacerunki z psami i aktywnie angażowała się w życie wiejskiej społeczności. Jej mąż był lokalnym sędzią, członkiem rady parafialnej i działaczem różnych komitetów. Ich jedyny syn poległ na Falklandach, służąc w pułku Szkockich Gwardzistów. Po jego śmierci Elisabeth stała się im jeszcze droższa.

- No, co zamawiamy? - zapytała Jill. Pomyślała, że jej córka stanowczo jest zbyt szczupła. Bezsprzecznie była piękną, a małżeństwo jeszcze dodało jej uroku. Gdy wchodziły do restauracji, wszyscy się za nią oglądali. Jednak chyba straciła na wadze, odkąd się ostatnio widziały.

Nigdy nie owijała niczego w bawełnę; była to kolejna cecha, której zięć nie lubił.

- Kochanie, wyglądasz bardzo szczupło. Chyba nie jesteś na diecie?

Elisabeth uśmiechnęła się.

- Nie, mam - powiedziała łagodnie - nie jestem. Ważę dokładnie tyle, ile ważyłam w czerwcu. Może nawet przybył mi funt albo dwa. Gdybym codziennie jadła taki lunch jak dzisiaj, zaczęłabym się wylewać ze wszystkich sukien.

- Więc może za dużo pracujesz? - nalegała Jill. - Opowiadałaś mi o urządzaniu biura dla Everlife Insurance w Richmond. To musiało być bardzo wyczerpujące.

- Stanowiło rodzaj wyzwania i było zabawne - zaprotestowała

Elisabeth. - Wbrew wszelkiej logice ciągle wierzę, że dostanę to zlecenie od Lorda Kanclerza. Widziałam się z nim w ubiegłym tygodniu, bardzo miły człowiek.

- Zdaje się, że chodził do szkoły razem z papą.

- Bardzo prawdopodobne, ale nie wspominałam mu o tym. Jeśli mam wygrać ten konkurs, to wyłącznie ze względu na mój talent. Ma wiedzieć o mnie tylko tyle, że jestem założycielką Elisabeth Hastings Design.

Jill wzruszyła ramionami. Córka zawsze wzbraniała się przed wykorzystywaniem jakichkolwiek koneksji towarzyskich. Pokolenie Jill nie widziało w tym nic zdroźnego, natomiast Elisabeth uparcie dążyła do tego, by każdy sukces zawdzięczać wyłącznie sobie samej, nie zaś faktowi, że jest córką swego ojca.

Roześmiała się.

- Cały problem z tobą, Liz, polega na tym, że jesteś cholerną snobką. Twoja postawa także jest przejawem snobizmu, tylko jakby odwróconego.

Zawsze była prostolinijna i głosiła swoje poglądy zupełnie otwarcie.

- Dobrze, a więc nie stosujesz żadnej diety, ani nie jesteś przepracowana. Ale papa i ja uważamy, że ostatnio nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą. Przyjechałam, żeby sprawdzić, czy nic ci nie dolega.

Jill Fairfax twierdziła, że telefony w takich sprawach są kompletnie bezużyteczne, że z ludźmi zawsze należy rozmawiać twarzą w twarz.

- Wszystko jest w porządku - powiedziała Elisabeth - poza jedną rzeczą. Po prostu znowu doznałam rozczarowania. Teraz, w czerwcu. I poprzednio także. Nie wiem, co mam robić. Ty nigdy nie miałaś takich kłopotów, prawda?

- Nie miałam - zgodziła się matka. - Biedny Nick był dzieckiem miodowego miesiąca. Ty pojawiłaś się trzy lata później, tak jak zaplanowaliśmy. Ale nigdy nie uda ci się trafić w sam środek tarczy, jeśli będziesz zbyt zdenerwowana. Każdy ci to powie.

- Wiem - odparła Elisabeth - ale nic nie mogę na to poradzić. Wiem, jak bardzo Jamie pragnie tego dziecka. On jest taki cierpliwy i dobry.

- I powinien - rzuciła Jill ostro. - Równie dobrze może to być jego wina.

- Mamo - powiedziała Elisabeth ostrzegawczym tonem.

Jill wzruszyła ramionami.

- Nie miałam zamiaru go krytykować. Posłuchaj, Liz, to przyjdzie z czasem. Staraj się nie myśleć o tym tak intensywnie, bo wtedy w środku stajesz się cała zablokowana. A poza tą nieszczęsną ciążą, jesteś szczęśliwa?

- Jestem - powiedziała po prostu Elisabeth. - Kocham Jamesa, a on kocha mnie. Jest dla mnie bardzo dobry. Chciałabym, abyś w to uwierzyła. W końcu minęło już pięć lat.

- Wiem. - Jill Fairfax wysączyła z kieliszka resztkę wina. - Po prostu bardzo się różnimy. Zawsze jednak lubiliśmy Jamesa.

- Nie - przerwała jej Elisabeth - nie lubiliście go. Sama to mówiłaś. Chcieliście, abym poślubiła kogoś podobnego do papy, zamieszkała w Somerset i hodowała psy. Nie jestem podobna do ciebie, mamo. Kocham życie w Londynie, a James jest najbardziej ekscytującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Mamy ze sobą wiele wspólnego, a on rozpieszcza mnie bezgranicznie. Więc proszę, bez takich głupstw.

- Przepraszam - powiedziała matka. - Martwiłam się o ciebie, to wszystko. Wpadasz do domu tylko od wielkiego święta, a przecież wiesz, ile radości sprawia nam każda twoja wizyta... Przepraszam - powtórzyła - po śmierci Nicka za bardzo lgniemy do ciebie...

Jej oczy zalśniły podejrzenie. Elisabeth ujęła matkę za rękę.

- Mamo, kochana, nie... Już dobrze. Rozumiem to. To jeszcze jeden powód, dla którego chciałam mieć dziecko. Ze względu na ciebie i papę. Wy tak kochalibyście wnuka. Może to wypełniłoby tę pustkę. Przepraszam za mój poprzedni ton. Jamie jest naprawdę wspaniałym mężem. Nie musicie się o nic martwić.

Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek, uwierz mi. To ja czasami miewam humory. Jamiemu nie zawsze jest ze mną łatwo.

Jill Fairfax uśmiechnęła się.

- Wyobrażam sobie. W dzieciństwie swoimi humorami potrafiłaś postawić na nogi cały dom. Ale zmieńmy temat. Prue Langham odeszła od męża. Uciekła z jakimś farmerem. Wyobrażasz sobie te plotki? Wszyscy byliśmy tym poruszeni.

Elisabeth z przyjemnością pogrążyła się w lekkiej rozmowie na temat znajomych z sąsiedztwa. Przelotnie pomyślała, jak znudzony byłby teraz James, nieznający żadnej z tych osób. Jednym z powodów, dla których tak niechętnie spędzał weekendy z jej rodziną, była nie tyle nuda, ile poczucie pewnego wyobcowania. Wszyscy jej wujowie i ciotki mieszkali w pobliżu, otoczeni dorosłymi dziećmi i wnukami, oddaleni najwyżej o pół godziny jazdy samochodem. Fairfaxowie skupiali się niczym plemię i z upodobaniem oddawali się plotkowaniu o znajomych i przyjacielach. Takie zagadnienia, jak wydarzenia światowe, polityka, gospodarka - gospodarka, niech Bóg broni - jeśli w ogóle poruszano, to tylko mimochodem i szybko przechodzono do miłszych i bezpieczniejszych tematów: cen ziemi czy kłopotów, jakie miewał komitet łowiecki z przeciwnikami polowań. Elisabeth widziała, jak James zamyka się w sobie. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak musi się czuć w takich chwilach. Bolało ją to, ponieważ kochała wszystkich swoich krewnych i czuła się częścią ich wspólnoty. Ale jeszcze bardziej była związana z mężem. To z jej inicjatywy zaprzestali tych wizyt.

Rozejrzała się po sali i przerwała matce w pół słowa:

- Och, to przecież Valerie Kruger. Siedzi przy tamtym narożnym stoliku.

- Valerie jaka? Czy ja ją znam?

- Nie, to żona jednego z dyrektorów DE. Obecnie chyba nawet eks-żona. Jest bardzo miła. - Spojrzenia Elisabeth i Valerie spotkały się. Elisabeth uśmiechnęła się lekko i skinęła głową. - Ma

wyśmienite poczucie humoru. Tylko dzięki niej te okropne oficjalne przyjęcia były do zniesienia.

Jill taksowała Valerie uważnym spojrzeniem. Przystojna kobieta, dobrze po czterdziestce, bardzo szykowna - użyła tego staroświeckiego określenia, oznaczającego kobietę ubraną i uczesaną bez zarzutu.

- Rozwiedziona? No tak, w dzisiejszych czasach nikt nie dba o to, by dotrzeć do końca. Cholernie brak im kośćca moralnego, w tym cały problem.

James Hastings nie lubił, gdy kobieta przeklinała, a jego teściowa wplatała wyraz „cholernie” w każde niemal zdanie. Jego matka nigdy by sobie na to nie pozwoliła.

- To nie jej wina - powiedziała Liz. - Mąż wdał się w romans z sekretarką.

- Jakie to pospolite - skomentowała Jill. - Więc go zostawiła. Głupia kobieta. Powinna była pozbyć się sekretarki. W każdym razie ja bym tak zrobiła.

- O tak - roześmiała się Elisabeth - ty poszczułaabyś ją psami. Nie, to nie było tak. Ta dziewczyna naprawdę zagięła parol na Dicka Krugera. A była to najbardziej seksowna sztuka, jaką zdarzyło mi się widzieć. Twarda jak kamień i absolutnie zdecydowana, że go dostanie. Nazywa się Ruth Fraser. Jamie twierdzi, że Dick zrobił z siebie kompletnego głupca. On i Valerie byli małżeństwem przez trzydzieści lat i ta dziewczyna po prostu to zniszczyła. Wyłącznie dla pieniędzy. Dick jest od niej sporo starszy i nie jest specjalnie interesujący. Raczej szpetny; nigdy za nim nie przepadałam. Ale jak dotąd - dodała z satysfakcją - nie ożenił się z tą dziwką. Mieszkają razem, a ona ciągle pracuje jako jego sekretarka. Wiesz, mamó, podejść do Valerie i przywitam się. Niektórzy ludzie odsunęli się od niej, trzymają raczej jego stronę.

Podeszła do stolika.

- Cześć Val. Jak leci?

Valerie Kruger popatrzyła na nią i uśmiechnęła się. Piękna żona Jamesa Hastingsa, zawsze taka uprzejma i czarująca. Perła

wśród tych wieprzy, pomyślała, gdy spotkały się po raz pierwszy. Zdaniem Dicka wzięła sobie za męża największą spośród wszystkich świń.

- Halo, Elisabeth. Jak zwykle wyglądasz czarująco. Miło, że chciałaś się ze mną przywitać. Moja przyjaciółka spóźnia się, jak zawsze. Czy to twoja matka tam siedzi? Jesteście podobne do siebie.

- Tak, to moja matka - odparła Liz. - Powtórzę jej to, bardzo się ucieszy. Słuchaj, może wybrałybyśmy się kiedyś na lunch. Ciągle mieszkasz przy Philimore Gardens?

- Tak. Dick się wyprowadził, a ja zostałam. Zadzwoń, miło będzie pogadać.

Elisabeth wróciła na swoje miejsce. Kiedyś w teatrze spotkali Valerie w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. James był wyraźnie zakłopotany i usiłował uniknąć spotkania z nimi. Elisabeth nie mogła tego pojąć. „Nie chcę się w nic mieszać” - tłumaczył jej, ale ona nie rozumiała, jak normalne, przyjacielskie zachowanie mogło być odebrane jako coś więcej niż zwykła uprzejmość. Uparła się, że podejdzie do Valerie, podczas gdy James pozostał z tyłu. Trochę im to zepsuło uroczy skądinąd wieczór.

Po lunchu poszły z matką obejrzeć wystawę w Weddington Gallery. Zbliżały się urodziny papy. Zdecydowały, że figurka z brązu przedstawiająca dżokeja na koniu będzie odpowiednim prezentem. W młodości ojciec był dobrym jeźdźcem. James bał się koni, oglądał je wyłącznie podczas wyścigów w Ascot i, ku irytacji Elisabeth, czasami zdarzało mu się wygrać.

Spędzony razem dzień okazał się bardzo przyjemny. Odwiozła matkę na dworzec Paddington. Ucałowały się krótko. Jill Fairfax nie lubiła demonstrowania uczuć.

- Do zobaczenia, Liz, kochanie. Dziękuję za wspianiały dzień. - Pod pachą trzymała figurkę. - Będę ją musiała gdzieś schować po powrocie do domu. Jestem pewna, że papie się spodoba. Szkoda, że nie możesz jechać ze mną, choćby na jeden dzień. Planujemy wspianiałe party dla wszystkich przyjaciół.

- Spróbuję - odparła Elisabeth. - Nawet jeśli James nie będzie mógł się wyrwać, ja się postaram... Cześć, mamó, dzięki za wspaniały lunch.

- Powodzenia w sprawie z Lordem Kanclerzem. Ale to by była gratka, gdyby ci się udało. Chwaliłabym się przed wszystkimi, że moja córka dekoruje Pałac Westminsterski. W końcu co to za różnica... - Popatrzyła w twarz córki i dodała poważnie: - To wiele dla ciebie znaczy, prawda? Nie śmiałam się z ciebie, kochanie. Naprawdę wierzę, że dostaniesz to zlecenie.

- Tak - odparła Elisabeth. - Komu innemu bym się do tego nie przyznała, ale bardzo mi na tym zależy. Skoro nie mogę mieć dzieci, chciałabym coś osiągnąć w innej dziedzinie.

- Nie bądź śmieszna, Liz. Jeśli tylko przestaniesz się tak zamartwiać, będziesz miała cały dom wypełniony bandą cholernych dzieciaków, tak że pożałujesz, że kiedykolwiek zaczynałaś. Daj mi znać, czy przyjedziesz na urodziny papy.

Po powrocie do domu Liz odebrała wiadomość od Jamesa.

„Kochanie, odwołaj wszystko, co planowałaś na wieczór. Idziemy do Annabel. Wspaniałe nowiny. Urządzimy sobie święto, tylko ty i ja. Do zobaczenia około wpół do ósmej”.

Odwołać wszystko? Kolację i brydża z przyjaciółmi. Co ma im powiedzieć? I co to za nowiny? Cokolwiek to było... nowe stanowisko... Tyle nadziei wiązał z tym dzisiejszym zebraniem. Pamiętała jego uwagę o Arthurze... Nowa krew, powiedział pół żartem, pół serio, moja...

Nie, to nie mogło być to. Ale z pewnością coś bardzo ważnego. Zajrzała do notesu i wyszukała numer przyjaciół. Nie lubiła kłamać, więc zdecydowała się powiedzieć prawdę.

- Przepraszam, Pam, ale nie przyjdziemy dziś wieczorem... Nie, po prostu dzwonił Jamie. W pracy przydarzyło mu się coś super i planujemy obławanie we dwójkę.

Pam powiedziała, że w takim razie jej mąż wybierze się pewnie do Boodlera, gdzie upije się z przyjaciółmi. Więc może w

następnym tygodniu? Muszą przecież odbić sobie to, co straciły.

Elisabeth poszła na górę. Wykąpała się i założyła sukienkę, którą James najbardziej lubił - czarną z jedwabnego dżerseju, bardzo krótką, z głębokim wycięciem na plecach, przylegającą do ciała. Głęboka czerń doskonale kontrastowała z jej cerą, która zimą była gładka i biała jak płatek lilii, natomiast latem pod działaniem promieni słonecznych przybierała odcień złocistego brązu. Po wakacjach w Portugalii ciągle jeszcze zachowała ślady opalenizny. Z biżuterii założyła tylko ogromną diamentową broszkę i ekstrawaganckie kolczyki, migocące na tle jej jasnych włosów. Na gołe nogi, ledwie zakryte krótką sukienką, nałożyła czarne pantofle na wysokim obcasie. Jeszcze tylko odrobina perfum o zapachu gardenii i była gotowa.

Pocałował ją namiętnie i zaborczo, ścierając jej z ust jasną pomadkę.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział. - Cały czas cię obserwo wałem, nie czułaś tego?

- Nie. - Ze śmiechem wymknęła się z jego uścisku. Ona także czuła narastające pożądanie. Jeszcze chwila, a ulegną mu i wieczór spędzą nie w Annabel, lecz w łóżku. - Wychodzimy, pamiętasz?

Głęboko wciągnął powietrze.

- Ty jeszcze nic nie wiesz. Dzisiejszego popołudnia Heyderman postawił przede mną bojowe zadanie. Jeśli mi się uda, nie ma już dla mnie innych przeszkód. Reece też tak to wyraził. Chciałem ci o tym powiedzieć. Dziś wieczorem nie mógłbym dzielić ciebie z innymi. Tylko my dwoje, kochanie. Zniszczyłem ci makijaż. Pocałuj mnie jeszcze raz, popraw usta i idziemy.

To był długi, namiętny pocałunek.

- Będziemy się kochali - wyszeptał jej wprost do ucha. - Po powrocie będziemy się kochali przez całą noc, poczekaj tylko.

Następnego dnia obudziła się, gdy wychodził. Leżała w miłym rozleniwieniu, przypominając sobie ten cudowny wieczór i noc, jaka po nim nastąpiła.

Najpierw kolacja w Annabel. Mnóstwo szampana, trzymanie się za ręce i szeptanie sobie do ucha, zupełnie jakby byli młodymi kochankami, nie zaś małżeństwem z pięcioletnim stażem. Potem wspólny taniec, wspólny rytm pulsujący pożądaniem, zapamiętanie, bez zwracania uwagi na otoczenie. Czuła się tak, jakby wrócili do czasów, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Wtedy był to inny nocny klub, Tramp. Zjawiła się tam w hulaśliwym towarzystwie młodych ludzi; był z nimi jej brat Nick i dziewczyna, którą miał poślubić. Tańczyła jak urzeczona, nie zwracając uwagi na swojego partnera, oczarowana niespokojnym rytmem muzyki.

Kiedy wróciła do stolika, śmiejąca się i zadyszana, siedział tam James. Obserwował ją przez cały czas, zaniedbując własną partnerkę; po prostu pożerał wzrokiem tę piękną blondynkę szalejącą na parkiecie. Później przyznał się jej do tego. Znał kogoś z jej towarzystwa i specjalnie przysiadł się do ich stolika, by mocją poznać. Od pierwszej chwili wiedział, że pragnie właśnie jej. Wczoraj, gdy tańczyli, przypominał jej o tym.

- Byłaś takim seksownym stworzeniem - wyszeptał. - Obserwując cię, po prostu straciłem kontrolę nad sobą. Zresztą teraz też. - Przytulił ją jeszcze mocniej.

Wrócili do domu po północy i James spełnił swoją wcześniejszą obietnicę. Na krótkie chwile zapadali w sen, by potem znowu odnajdywać się nawzajem. Zanim zasnęli na dobre, trzymając się w ramionach, Elisabeth pomyślała przez krótką chwilę, że tym razem na pewno, na pewno zaszła w ciążę.

Wstała, wykapała się i uważnie przejrzała się w lustrze, jakby ta cudowna zmiana mogła być już widoczna. Miała delikatne, wysmukłe ciało. Położyła dłonie na płaskim brzuchu. Tak bardzo pragnęła mieć dziecko, że sprawiało jej to wręcz fizyczny ból. A zdawało się to takie proste, gdy zaniechali środków antykoncepcyjnych.

Najpierw były dwa lata, aby wzajemnie dopasować się do siebie, zaznać przyjemności, znaleźć odpowiedni dom. Wszystko mieli starannie zaplanowane, a tu taki zawód. Nic nie wydarzyło się przez ostatnie trzy lata, poza powtarzającym się co miesiąc rozczarowaniem. A przecież nie istniały żadne przeszkody natury medycznej. Ona była zupełnie zdrowa, James - płodny. Przeszedł wszystkie testy, aby ją uspokoić. Był dla niej taki wyrozumiały, taki cierpliwy. Nalegał, by nie kochali się zgodnie z kalendarzem. Wiedziała, że jest to mądra decyzja. Powinni zachować spontaniczność. Kochał ją bez względu na to, czy będą mieli dziecko czy nie. Twierdził, że mu nie zależy. Ale Elisabeth wiedziała, że pragnął dziecka i to czyniło ją jeszcze bardziej nieszczęśliwą. Mógł teraz zaprzeczać, mógł żartować, ale gdy kupowali dom, planował, że na najwyższym piętrze będzie pokój dziecienny. Nie zapomniała o tym.

Łatwo matce zalecać jej cierpliwość. Jej macierzyńskie uczucia zostały szybko zaspokojone, a potem zajęła się hodowlą swoich ukochanych spanieli. Elisabeth czuła się pusta. Nigdy się z tego nikomu nie zwierzała, jednak dzisiaj przyznała się do tego sama przed sobą. Tak bardzo kochała męża, tak dobrze było im razem, a mimo to była pusta i niezaspokojona.

- Och proszę - powiedziała na głos - proszę, niech tym razem wreszcie się to spełni.

Z trudem powstrzymała łzy. To nie była modlitwa. Nie uczęszczała do kościoła już od lat, nie chodziła tam nawet podczas swoich wizyt w Somerset.

Nie można żyć w ten sposób, że coś odrzucasz, a potem błagasz o pomoc, bo tak ci wygodniej. Postanowiła, że nie będzie dłużej o tym myślała. Przed końcem tego miesiąca wyjeżdżają do Paryża. Trzeba zająć się mnóstwem spraw. W swojej firmie przy Walton Street zatrudniała znakomity zespół pracowników, zresztą obecnie nie miała większych zamówień. Celowo nie przyjęła dwóch zleceń - na zaprojektowanie wnętrza domu w Kensington i mieszkania przy South Molton Street - ot tak, na wypadek, gdyby cud jednak miał się wydarzyć i gdyby Lord Kanclerz zaaprobował

jej projekty. To byłby naprawdę cud. Wczoraj także rozmawiali o tym przez chwilę. Była wzruszona, że jego własne sukcesy nie przesłoniły mu jej kariery zawodowej. Była rozgrzana szampanem i pragnęła, by najbliższe dwa miesiące, jakie przyjdzie im spędzić w Paryżu, nie były dla niej tylko zwykłym marnowaniem czasu, by ona także osiągnęła jakiś sukces. Zresztą gdyby coś przyszło nagle, przecież zawsze będzie mogła polecieć do Londynu na dzień czy dwa... „Nawet gdyby to był ten Westminster” - powiedziała wesoło, wiedząc, że to nieprawda, ale nie przejmowała się tym. Kochała Jamesa i pragnęła go bardziej niż kiedykolwiek.

Milion spraw do załatwienia. Trzeba zamknąć dom, spakować rzeczy, zadzwonić do przyjaciół, pójść na Walton Street i ustalić ostatnie szczegóły obecnego zlecenia. Zawiadomić rodziców. O Boże, urodziny papy... Mam nadzieję, że będę mogła pojechać. To jeszcze trzy tygodnie... chyba dam radę.

Skoro James będzie musiał pojechać do Paryża na kilka dni przed ostateczną przeprowadzką, ona będzie mogła wyskoczyć do Somerset i zobaczyć się z ojcem. Najlepiej od razu zadzwonić do rodziców. Chociaż nie, lepiej nie. Rodzice nie lubili takich niespodzianek. Matka powiedziała jej kiedyś, że po śmierci Nicka ojciec przez kilka tygodni nie podchodził do telefonu...

Ubrała się, ciągle mając głowę zaprzątniętą planami. Gdy zeszła na dół, w porannej poczcie znalazła list z urzędowymi pieczęciami. Rozerwała kopertę.

Przeczytała pismo i krew nabiegła jej do twarzy. Cud się wydarzył. To jej projekty zostały zaakceptowane, jej, a nie któregoś z czołowych dekoratorów Londynu. Zabrała list do kuchni, by przeczytać go jeszcze raz.

Zlecenie, które wyniesie ją od razu na szczyt kariery. Fantastyczne, wyczerpujące, pochłaniające mnóstwo czasu. Miesiące pracy, przygotowań, ciągłego nadzoru, codziennego wysiłku, by zdążyć na czas.

Złożyła list i usiłowała zebrać myśli. Co ona ma teraz zrobić? Jej własne słowa wyszeptane w ucho Jamesa w nocnym klubie:

„Nawet gdybym to dostała, dałabym radę kochanie. W końcu Paryż od Londynu dzielą zaledwie dwie godziny lotu. Gdybym... ale z pewnością nie wygram... Chodź, uwielbiam tę muzykę, chodź, zatańczymy”. Nie może przyjąć tej propozycji i jednocześnie pojechać z nim do Paryża. Wybór jest prosty. Wiedziała, że nie byłaby w stanie należycie wywiązać się z tego kontraktu. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i usłyszała głos Jamesa.

- Liz? I jak tam moja dziewczynka?

Wczoraj byli tak bliscy sobie, tacy promienni. Rozstali się zaledwie kilka godzin temu i on już do niej dzwoni...

- Świetnie - powiedziała. - A jak mój superman?

Roześmiał się.

- Wykończony. Kochanie, co to była za noc. Chciałem ci tylko podziękować i powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Ja też cię kocham - odparła. Dokonała wyboru. - Dostałam list dzisiaj rano. Nie wygrałam konkursu. Z niecierpliwością czekam na wyjazd do Paryża.

- Najdroższa, tak mi przykro. Ale chyba nie jesteś zbyt rozczarowana, co?

- Nie mam zamiaru, zresztą nawet nie miałabym na to czasu.

- Chciałbym zjeść z tobą lunch, ale jestem tu uziemiony. Co masz zamiar dzisiaj robić?

- Trzeba zdecydować, co chcemy ze sobą zabrać, zrobić listę rzeczy. Moglibyśmy urządzić sobie spokojny wieczór. Ja też jestem wykończona.

- Dobrze - przeciągnął słowo. - Wiesz, wpadnij do Cartiera. Zamówiłem coś dla ciebie. Nie, kochanie, nie wyciągniesz ode mnie, co to jest. Ale obiecuję, że poprawi ci humor. Chciałem, abyś miała niespodziankę, więc zajrzyj tam. Cześć, najdroższa.

Elisabeth odłożyła słuchawkę i ponownie sięgnęła po list. Nie, tu przecież nie ma żadnego konfliktu. Wiedziała, co jest naprawdę

istotne; nauczyła ją tego jej własna rodzina. Mąż i małżeństwo zawsze będą na pierwszym miejscu. Przecież już sama świadomość wygranej powinna jej sprawić satysfakcję. James nie potraktowałby tego w ten sposób. Dla niego najważniejszy był sukces w pracy. Dlatego skłamała... To był jej wybór, jej decyzja. Nie chciała, by czuł się winny, że z jego powodu musiała z czegoś zrezygnować.

3.

- Uważam, że to James powinien pojechać do Paryża i nawiązać kontakt z Karakowem. Tym stwierdzeniem Julius Heyderman otworzył popołudniowe posiedzenie zarządu. Przez moment panowała cisza, potem Kruger wybuchnął:

- Hastings? Dlaczego właśnie on? Brak mu doświadczenia, nie zajmuje odpowiednio wysokiego stanowiska, by rozmawiać z kimś takim jak Karakow. Nie chciałbym cię obrażać - dodał, zwracając się do Jamesa - ale będzie to wyglądało tak, jakbyśmy posłali tam naszego gońca.

Arthur Harris skrzywił się. Kruger tylko pogorszył sprawę. Heydermanowi można było czasami coś wyperswadować, potrafił słuchać cudzych argumentów, natomiast otwarte kwestionowanie jego decyzji, zwłaszcza w tak ostry sposób, powodowało, że posyłał oponentów do wszystkich diabłów.

- Najlepszy byłby David. Wie wszystko o diamentach, zna Karakowa osobiście... Nawet ja, jeśli się zastanowić. Zasiadam w zarządzie od lat. Musimy być poważni. Jeszcze raz powtarzam, że nie chcę cię obrażać, James, ale ty jesteś zbyt młody i zbyt nowy...

- Właśnie dlatego go posyłam - uciął Heyderman. - Karakow nie posłuchałby Davida, a już z pewnością nie ciebie, Dick. Słyszeliśmy dziś rano, co sądzi o londyńskim biurze i to cię zdecydowanie wyklucza. Hastings jest nowy, młody i właśnie z tego powodu Karakow nie będzie zbyt czujny. Będzie sądził, że jesteś łatwym kąskiem do przelknięcia, James - Heyderman - zwracał

się teraz wprost do Hastingsa. - Pozwól mu, aby tak sądził. Pozwól mu przypuszczać, że przejął inicjatywę. Jest tak zarozumiała, że z pewnością w to uwierzy. W każdym razie, panowie, jeśli Hastings się zdecyduje, proponuję oddelegować go do paryskiego biura na trzy miesiące. Albo i na dłużej, jeśli okaże się to konieczne. Arthurze, zgadzasz się na taki plan? Zabrzmiało to jak polecenie, nie jak pytanie.

- Owszem, ale mam pewne wątpliwości - odparł szwagier. - Tak, zasadniczo popieram cię, jednak proponowałbym okres dłuższy niż trzy miesiące. Sam powiedziałeś, że jest to minimum czasu, jakiego potrzebujemy, aby zastopować układ z Rosjanami.

Julius popatrzył na niego z niechęcią.

- Jeśli Andrews znowu czegoś nie spartaczy, Hastings nie będzie potrzebował aż trzech miesięcy - powiedział sucho. - Zgadza się ze mną?

Nikt nie zaprotestował. Kruger już wystrzelał całą swoją amunicję.

- Świetnie. - Jakby mimochodem odwrócił się do Jamesa. - Zadowolony? Spodziewasz się sukcesu?

To była szansa dla niego, prawdziwe złote jabłko. Sięgnął po nią bez wahania, podobnie jak uchwyciłby się każdej innej możliwości otwierającej przed nim drogę na szczyt kariery.

- Dam z siebie wszystko - powiedział otwarcie - i nie sądzę, aby miało mi się nie powieść. Dziękuję. Kiedy mam jechać?

- Pomów z Reece'm - uciał Heyderman. - Ty i Andrews. On was poinformuje. A teraz przystąpmy do omówienia pozostałych spraw.

Zebranie zakończyło się w godzinę później. Heyderman wyszedł pierwszy, za nim Reece, a potem Arthur. Ray Andrews i James znaleźli się za Krugerem i Davidem Wassermanem. Johnson opuścił salę konferencyjną bez ociągania; jak zwykle miał mnóstwo innej pracy.

W korytarzu David Wasserman zatrzymał się.

- Cóż Ray, mój chłopcze, czeka cię brudna robota - powiedział.
- Zupełnie beznadziejna - skwitował Andrews krótko.
- Na pewno ci się powiedzie - wtrącił James.
- Proszę, proszę, nasze cudowne dziecko. - Kruger zatrzymał się i spojrzał mu prosto w twarz. - Jak ci się udało wleźć Juliusowi do dupy tak, że nikt z nas tego nie zauważył?

Wasserman roześmiał się. Jego starczy śmiech, suchy i szyderczy, zabrzmiał niczym rechot.

- No no, Dick, przestań. Ty też miałeś swoją szansę, podobnie jak teraz James. Powodzenia, mój chłopcze - poklepał Jamesa po ramieniu. - Zdaje się, że będzie ci teraz potrzebne. - Ponownie zaniósł się śmiechem.

- Powinien raczej modlić się o cud - warknął Kruger. - Hastings, ty draniu, jeśli spieprzysz sprawę, Julius oberwie ci jaja. O ile jeszcze będziesz je miał, po tym jak Karakow z tobą skończy.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł.

Wasserman popatrzył za nim i wzruszył ramionami. Andrews sprawiał wrażenie zakłopotanego. James Hastings nie zareagował na zaczepkę, jednak jego twarz okryła się śmiertelną bladością. Wasserman doskonale znał ten typ reakcji.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział. - Nie miał na myśli nic złego. Zapomnij o tym. Był po prostu rozdrażniony.

James, ciągle bardzo blady, odwrócił się do niego.

- Większość ludzi staje się drażliwa, gdy wiedzą, że ich czas już minął - powiedział. - Zadzwońię do ciebie, Davidzie. Może powinniśmy zjeść razem lunch przed twoim powrotem do Stanów? Musimy się umówić. Chodźmy, Ray. Zobaczymy, co Reece ma nam do powiedzenia.

Na ich widok Reece podniósł się z miejsca. Jego wyposażony w białe meble gabinet urządzono w supernowoczesnym stylu. Na ścianie w kolorze sepii obok dużej reprodukcji Chagalla wisiał

niewielki rysunek, w którym James rozpoznał oryginalnego Paula Klee. Te dwa dzieła i kilka fotografii w ramach stanowiły jedyną dekorację surowego wnętrza.

Gabinet był funkcjonalny i - co od razu rzuciło się w oczy - kosztowny, ale zupełnie pozbawiony piętna indywidualności. Z pewnością nie stanowił odbicia osobowości gospodarza. Klucz do niej tkwił w tych obrazach i w przysadzistych postaciach, widocznych na fotografiach stojących na biurku. W małym, markotnym chłopcu stojącym wraz z dziewczynką między dwójką dorosłych, zapewne rodziców, James rozpoznał samego Reece'a. Tło na fotografii było niewyraźne, grupa upozowana swobodnie. Ojciec Reece'a sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Reece nie był żonaty; tylko tyle wiedziano o jego prywatnym życiu.

James wziął papierosa z onyksowego pudełka i popatrzył w ciemne, pozbawione wyrazu oczy. Boże, przecież to mały, węszący szpicel.

- Panie Hastings, zaczniemy od omówienia pańskiego zadania, a potem zajmiemy się kwestią pana Andrews. Czy panom to odpowiada?

Powiódł wzrokiem od jednego do drugiego i uśmiechnął się. Dobrze znał tych dwóch mężczyzn. Oczywiście nigdy się tego nie dowiedzą, ale to właśnie jego opinia zadecydowała o dzisiejszym wyborze. To on podsunął Heydermanowi Hastingsa. Ludzi ambitnych potrafił wyczuwać na kilometr, a w przypadku Hastingsa zapach ambicji był tak silny, że uderzył go w nozdrza już przy pierwszym spotkaniu. W niektórych sprawach Reece był obdarzony zwierzęcym niemal instynktem. Wiedział, kiedy ktoś się boi i jak daleko można się posunąć w pogroźkach wobec takiej osoby. Ta umiejętność bardzo mu się przydawała, gdy czasami zlecano mu wypłatanie firmy z jakiejś kłopotliwej sytuacji. Wiedział, kiedy groźby są bezużyteczne i kiedy, aby zamknąć komuś usta czy zagłuszyć wyrzuty sumienia, należy zastosować inne środki, takie jak pieniądze czy awans. W sprawach sumienia Hastings nie grzeszył nadmierną skrupulatnością. Niewiele było rzeczy,

których wykonania by odmówił, jeśli tylko cena była odpowiednia. Z tego właśnie powodu prezes wybrał go do rozmów z Karakowem. Wybrał, gdyż Reece uznał go za odpowiedniego człowieka, a Julius zawsze wierzył opiniom Reece'a tak jak swoim własnym. Reece wiedział o tym i był mu za to wdzięczny. Cóż może sprawić większą satysfakcję niewysokiemu i niezbyt urodziwemu facetowi, mającemu w dodatku do ukrycia pewne sprawy, jak bycie prawą ręką kogoś tak potężnego jak Julius Heyderman? Mówi się, że za każdym wielkim człowiekiem stoi jakaś kobieta. Reece nie wierzył w to. Wiedział, że z reguły jest to „jakiś Reece”. Jeśli Hastings był pozbawiony sumienia, to z kolei Ray Andrews miał go zbyt wiele. Dlatego właśnie spadał w dół, podczas gdy Hastings piął się w górę. Reece zastanawiał się nad Andrewsem. Julius był gotowy Raya zwolnić, gdyż uważał go za człowieka Arthura Harrisa, kompetentnego co prawda, lecz pozbawionego tej błyskotliwości, która wyróżnia prawdziwych ludzi sukcesu. Reece sądził, że taka ocena jest niesłuszna i nierozważna. Jego zdaniem Andrews był znakomity. To zwykły pech, że błąd z przeszłości zaciąży na nim teraz. Cóż, obecna chwila była równie dobra jak każda inna, by rozpocząć długo planowaną operację przeciw Arthurowi Harrisowi, poświęcając jednego z tych ludzi, którzy z pewnością opowiedzieliby się po jego stronie. Andrewsowi zlecono negocjacje z Rosjanami i chociaż sukces wydawał się niemożliwy, Reece czuł, że istniała niewielka szansa powodzenia. Gdyby Andrews dostał się do Jelcyna, mogłoby dojść do ugody. W gruncie rzeczy upadek Andrewsa, pozbawiający Arthura poplecznika, nie był aż tak istotny. Gdyby mu się powiodło w Rosji, zmieniliby po prostu taktykę. Andrews też ma swoją cenę. Każdy ją ma. Reece nie zaprzętał sobie głowy tym problemem.

- A więc, panie Hastings, pozwoli pan, że wprowadzę pana w istotę zagadnienia.

Zadzwoił na sekretarkę i rzucił krótko:

- Przynieś akta Karakowa.

Nigdy nie mówił „proszę” do swoich podwładnych. Otrzymawszy żądane dokumenty, zabrał się do ich przeglądania mówiąc, przy tym:

- Nie mamy formalnej umowy z Karakowem, jedynie list intencyjny. Oczywiście domagał się kontraktu, więc wprawiliśmy w ruch całą machinę biurokratyczną, pozwalając jego prawnikom, żeby podyskutowali sobie z naszymi, po prostu aby poprawić mu samopoczucie. Nie możemy przecież pozwolić, aby nasi klienci posiadali jakikolwiek dokument, który mogliby wykorzystać w sporach z nami. Zakupy u nas pokrywają prawie połowę jego zapotrzebowania; resztę nabywa z innych źródeł. Kupując u nas, otrzymuje o wiele więcej dużych kamieni niż ktokolwiek inny. Dostaje je stosunkowo tanio, gdyż kupuje także sporą ilość kamieni o mniejszej wartości, które trudniej jest sprzedać. Jak pan się orientuje, duże diamenty niosą z sobą pewien element ryzyka. Można nabyć sporej wielkości, cudownie wyglądający kamień, zapłacić za niego setki tysięcy, a po rozcięciu okazuje się, że stracił on całą swoją urodę. Wtedy nabywca zostaje z dwoma czy trzema zupełnie przeciętnymi diamentami o wartości około dwudziestu tysięcy każdy i mnóstwem drobnicy. Ale z drugiej strony, jeśli się trafi na dobry... - Wzruszył ramionami. - Karakow lubi duże kamienie. Kocha ryzyko. Miał kilka nieudanych zakupów, ale w sumie zarobił masę pieniędzy. Gdyby zdobył monopol na te czerwone diamenty, mógłby nam przysporzyć poważnych kłopotów. Jak się wyraził pan Wasserman, to megaloman.

Reece popatrzył na Jamesa i ciągnął dalej:

- A więc, panie Hastings, pan Julius uważa, że powinien pan pojechać do Paryża jak najprędzej. Proszę się tam urządzić, wynająć mieszkanie. Nawiąże pan kontakt z Karakowem, pan Wasserman może to zaaranżować. Sugeruję, aby zachowywał się pan wobec niego po przyjacielsku, udając naiwnego. Niech pan będzie miły, trochę zasmucony pogłoskami, że poróżnił się z DE. Niech pan sprawia wrażenie, że nie jest taki mądry, za jakiego pragnąłby uchodzić. Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe tego, co

mówię. To tylko sugestia, oczywiście postąpi pan tak, jak uzna za właściwe. Niech pan utrzymuje z nim stosunki na gruncie towarzyskim, przyjmuje jego zaproszenia. Niech pan nie kontaktuje się z nim wyłącznie służbowo. Karakow jest bardzo gościnnie. Oczywiście pana żona jedzie z panem.

James przytaknął. Nie widział sensu tego pouczenia. Zuchwalec, będzie mu mówił, co ma robić...

Reece kontynuował.

- Pan Julius życzy sobie, aby towarzyszyła panu sekretarka z biura. Ktoś, kto jest wprowadzony w meritum sprawy i komu można całkowicie zaufać. Oczywiście kandydatką jest tutaj Ruth Fraser. - Popatrzył pytająco na Jamesa. - Jestem pewien, że zgodzi się pojechać - dodał.

- Nigdzie nie pojedziesz! Zadzwońisz do tego skurwysyna i powiesz mu, że zmieniłaś zdanie!

Dick Kruger szalał. Nawet nie zdążyła mu wszystkiego wytłumaczyć. Natychmiast wpadł w gniew i zaczął na nią krzyczeć.

- Na miłość boską - zaprotestowała Ruth Fraser. - Połowa biura cię usłyszy. Przestań się tak unosić.

Nigdy przedtem nie widziała go tak wzburzonym i nie podobało jej się to. Nie lubiła, gdy na nią krzyczano, nie podobał się jej widok zaciśniętych pięści.

- Dick, opanuj się.

Odetchnął głęboko i zniżył głos.

- Nie pojedziesz z Hastingsem do Paryża. Nawet nie próbuj dyskutować ze mną. Dzwon do Reece'a i powiedz mu to. Teraz, zaraz.

Popatrzyła na niego.

- Usiądź - powiedziała. - Po prostu usiądź i posłuchaj mnie przez chwilę.

Podeszła do niego i objęła go. Czują, że zeszywniał. Zachowaj spokój, upomniała samą siebie, i działaj ostrożnie. To jasne, że

się zdenerwował. Usłyszał od Reece'a, że się zgodziłam, zanim sama zdążyłam mu to powiedzieć.

- Usiądź - powtórzyła, przytulając się do niego. Do tej pory bezpośredni kontakt ich ciał zawsze odnosił pożądany skutek. Tym razem jednak się nie udało. Odepchnął ją.

- Dlaczego nie zaczekałaś z decyzją? Dlaczego najpierw nie porozmawiałaś ze mną? - Ciężko opadł na krzesło za biurkiem. - Dlaczego tak łatwo powiedziałaś, że się zgadzasz?

- Dlatego, że Reece oczekiwał odpowiedzi - odrzekła Ruth. - Gdyby nie ja, pojechałby ktoś inny... Prawdopodobnie Judy Palmer. Wiesz, jaka jest ambitna... A ona za tobą nie przepada. Kochanie - zniżyła głos - od samego początku obawiałeś się Hastingsa. Teraz dostał superzadanie od Juliusa. I gdzie cię to zaprowadzi, gdy jemu się powiedzie? Pójdiesz w odstawkę.

Obeszła biurko, stanęła za Krugerem i położyła mu rękę na ramieniu.

- Ale to się nie uda - powiedziała miękko. - Nigdy, o ile ja z nim pojadę. Dlatego się zgodziłam. Ponieważ potrafię cię chronić.

- Nie potrzebuję ochrony - powiedział. - Nie chcę, abyś wyjeżdżała do Paryża. Nie dbam o Hastingsa ani o nikogo innego. Chcę, abyś była ze mną.

Pochyliła się nad nim, oplatając ramionami jego szyję.

- Możemy spędzać ze sobą wszystkie weekendy - mówiła. - Będę przyjeżdżała do domu albo ty przylecisz do mnie. Jeśli Hastings spieprzy sprawę, wróć, zanim zdążysz się zorientować, że w ogóle wyjeżdżałam.

Westchnął. Objął ją i posadził sobie na kolanach.

- Chryste - wymamrotał. - Kocham cię, Ruth. Potrzebuję ciebie...

- Wiem - odparła. - Potrzebujemy siebie nawzajem, kochanie. Robię to dla ciebie. Dla nas. Nie chcę, aby ten zadowolony z siebie pętał triumfował. Będę cię o wszystkim informowała, a ty będziesz mógł przekazywać moje informacje Arthurowi. Już ja załatwię tego drania! Uda mi się, na pewno. Reece mówi, że będę

miała dostęp do najbardziej poufnych materiałów. Dlatego właśnie mnie wybrali. Tak, wiem, że to doskonała okazja. - Dotknęła jego ust. - Przecież ty też zdajesz sobie z tego sprawę. Jesteś zbyt dobrym graczem, aby zaprzepaścić taką szansę. Powiedz, że mogę jechać.

Kruger siedział w milczeniu. Kochał dotykać jej ciało, kochał jej zapach. Na samą myśl o rozłące poczuł skurecz w żołądku. Wspólne weekendy. Może nie będzie tak źle. Paryż to nie koniec świata. Miała rację. Dzięki niej będzie zorientowany w tej grze. Będzie mógł wesprzeć Arthura.

Ten pomysł, że Ruth uda się udaremnić umowę, jaką Hastings mógłby wynegocjować z Karakowem, był naciągany... typowo kobiecy. Ale nie było to niemożliwe z takim przeciwnikiem jak ona. Była szatańsko sprytna. A jeśli istniało coś czego nie wiedziała na temat działalności DE, musiała to być drobnostka nie warta, by zaprzętać nią sobie głowę.

- Powiedz „tak” - nalegała. - Możemy się pobrać, jeśli naprawdę chcesz. Czy tak będzie lepiej? Nikt w biurze nie musi o tym wiedzieć.

Wielokrotnie proponował małżeństwo i jej brak entuzjazmu nawet go zdumiewał. Początkowo był zadowolony, gdyż wielu przyjaciół jego i Valerie mówiło otwarcie, że Ruth zależy wyłącznie na małżeństwie i pieniądzach. Ale Ruth była inna. Nie pragnęła narzucać mu żadnych więzów. A może sama nie chciała się z nikim wiązać? Ta myśl niepokoiła go trochę, więc ostatnio nalegał na odpowiedź. I teraz, zupełnie nieoczekiwanie, sama mu to zaproponowała. To był dowód jej dobrej woli. Dowód na to, że nie kłamała.

- Muszę wystarać się o odpowiednie dokumenty - powiedział.

- Masz ochotę na drinka?

Julius Heyderman wahał się przez moment. Nigdy przedtem nie był w mieszkaniu tej dziewczyny. Reece wyszukał ją w swoim

notatniku, pełnym użytecznych nazwisk i adresów. Dziewczyna była bardzo ładna. Miała blond włosy o popielatym odcieniu, pełny biust - Heyderman nie uznawał kościstych kobiet z płaską piersią - i znakomite nogi. Wieczór z nią kosztował pięćset funtów. W cenę wchodził koszt biletu na najnowszy musical na West Endzie, jeśli klient chciał najpierw wyjść i się zabawić, i seks. Julius nie miał ochoty na pójście do teatru. „Mam whisky, gin, wódkę i butelkę szampana, jeśli tak wolisz”. Znakomicie ubrana, nie miała w sobie ani śladu wulgarności. Jej urządzone ze smakiem mieszkanie ozdobione było mnóstwem kolorowych szkieł. Nikt by się nie domyślił, że właścicielka jest wysokiej klasy prostytutką.

- Whisky, bez lodu, z samą wodą proszę.

Reece wiedział, że Heyderman lubi kobiety bezpośrednio. Tylko raz popełnił błąd, podsuwając mu posępną brunetkę, która oferowała usługi specjalne. Heyderman wtedy wyszedł. Nie znosił dewiacji seksualnych.

Ta dziewczyna spodobała mu się. Była elegancka i potrafiła siedzieć spokojnie. Nie znosił kobiet odstawiających cholerny taniec Salome - jak to nazywał - gdy nalewały mężczyźnie drinka.

- Czy masz coś przeciwko temu, abym napiła się z tobą?

- Dlaczego miałbym mieć. W końcu to twoja whisky.

Był w złym humorze. Po powrocie do hotelu czuł narastającą irytację, nie potrafił się zrelaksować. Wiedział, jakie jest na to antidotum, więc polecił Reece'mu, aby zaaranżował spotkanie, i oto teraz siedział w mieszkaniu na Mount Street, popijając whisky w towarzystwie dziwki za pięćset funtów.

- Nie byłeś u mnie nigdy przedtem, prawda? - zapytała. - Zapamiętałabym cię. Po prostu tak sobie wpadłeś do Londynu?

- Zostaję do pojutrze - odparł sącząc drinka.

Miała zgrabne kostki i małe stopy. Lubił kobiety o pełnych kształtach, ale nie grube. Gdy poznał swoją pierwszą żonę, przede wszystkim zachwycił ją jej uroda. Eileen miała przejrzystą,

typowo irlandzką cerę i wielkie, szafirowe oczy, przywodzące od razu na myśl jej celtyckich przodków. Była pełna gracji, krucha i delikatna niczym elf. Pobrali się w miesiąc po poznaniu. Eileen przyjechała do Południowej Afryki w towarzystwie ciotki i wuja. Opowiedziała Juliusowi, że mieszka z nimi w hrabstwie Cork i że jej rodzice nie żyją. Kształciła się w college'u na nauczycielkę. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i po raz pierwszy w życiu. Stracił już rachubę tych wszystkich dziewczyn, które przewinęły się przez jego łóżko od czasu, gdy przestał być chłopcem. Z żadną z nich nie pragnął się ożenić. Każda zapowiedź dzwonów weselnych, choćby najbardziej odległych, sprawiała, że natychmiast wyjeżdżał w podróż zagraniczną. Natomiast ta nieśmiała, irlandzka dziewczyna wzbudziła w nim szaloną namiętność. Wtargnął w jej życie niczym złoty lew. Przepych wystawnego wesela w Johannesburgu, diamenty, którymi ją obsypał, kosztowne toalety, nowy bentley, którego nie odważyła się sama prowadzić, pozycja towarzyska, w jakiej się nagle znalazła - to wszystko oszłomiło Eileen. Początkowo nie wiedziała, jak ma się zachowywać. Julius nie przejmował się tym. Pozwolił, aby sama odnalazła się w nowym życiu. Pozostawał na uboczu, wspierając ją dyskretnie. Był pewien, że dzięki osobistemu urokowi podbije wszystkie serca. I jak zwykle nie pomylił się. On sam był popularny, gdyż posiadał majątek, a po śmierci ojca miał przejąć ogromne przedsiębiorstwo, natomiast Eileen Heyderman wszyscy kochali. Była obdarzona poczuciem humoru i miała otwarte dla wszystkich, współczujące serce. Nie było w niej ani odrobiny próżności.

Julius uwielbiał żonę. Ona także go kochała. Oboje przeżyli rozczarowanie, gdy ich pierwsze dziecko - córka - okazało się niepodobne do żadnego z nich.

Stella była trudnym, nerwowym niemowlakiem i krnąbrnym berbeciem. Mogłoby się zdawać, że irlandzkie geny zupełnie zdominowały jej naturę, nie dając dojść do głosu genom jej holenderskich przodków. Jako dziecko była bardzo ładna,

czarnowłosa, o szafirowych oczach, ale zachowywała się nieznośnie. Kolorowe niańki rozpuściły ją, nie mogąc sobie poradzić z jej atakami złości. To Eileen wybrała imię Stella. Julius przyznawał, że to piękne imię, ale uważał je za zupełnie niepasujące do tej niesfornej dziewczynki. Gdyby była chłopcem, byłby dumny z jego nieposkromionego charakteru. Córki nie rozumiał i jej wychowanie całkowicie pozostawił matce. Z kolei Eileen, zaabsorbowana kolejnymi ciążami, które nieodmiennie szybko kończyły się poronieniem, scedowała ten obowiązek na niańki. Bardzo pragnęła obdarzyć Juliusa synem i nie chciała słuchać żadnych zaleceń lekarzy.

Wreszcie po raz kolejny zaszła w ciążę. Jakże ostrożni byli wtedy, jak pełni obaw, aby nie stracić tego cennego dziecka. Oboje byli przekonani, że tym razem urodzi się chłopiec, dziedzic imperium Heydermanów.

Stella bacznie obserwowała rodziców. Czowała się opuszczona, usunięta w cień. Dotychczas to ona królowała w dzieciennym pokoju, a obecnie wszyscy mówili wyłącznie o mającym się urodzić dziecku. Instynktownie nienawidziła tego niewidzianego jeszcze stworzenia, które zmusiło jej matkę do pozostawania w łóżku. Także podobny do Boga ojciec nie miał teraz czasu dla Stelli i niemal jej nie widywał. W odwecie dziewczynka terroryzowała nianię i służące i pragnęła, aby wydarzyło się coś, co powstrzymałoby tego intruza od przyjścia na świat. Gdy zbliżał się czas porodu, Julius sprowadził z Londynu najlepszego ginekologa i pielęgniarki. Postarał się uczynić wszystko, by Eileen mogła donosić dziecko do końca.

W trzy dni po przewidzianym terminie zaczęły się bóle. To był chłopiec. Żył tylko kilka godzin i zmarł z powodu wrodzonej wady serca.

Stella widziała szlochające pokojówki. Powiedziano jej, że straciła małego braciszka. Początkowo wypełniło ją uczucie triumfu, potem jednak zaczęła histeryzować, ogarnięta strasliwym poczuciem winy. Pragnęła, aby dziecko umarło i tym spowodowała jego śmierć. Nikt nie potrafił jej uspokoić, nikt też nie

znał przyczyny jej stanu. Poczucie winy narastało. Julius, pogrążony w smutku, miał jeszcze jeden powód do zmartwienia.

Jego uwielbiana żona Eileen mając zaledwie trzydzieści jeden lat popadła w ostrą depresję. Nie wiedział, co ma robić, jak z nią postępować. Był załamany bólem z powodu jej cierpienia i niešťczęśliwy z powodu swej własnej bezradności. Eileen nic nie było w stanie pomóc. Nie mogła znieść nawet światła dziennego. Leżała w półmroku, szlochając cicho i nie odzywając się do nikogo.

Przez parę pierwszych miesięcy pił na umór; potem odrzucił to tchórzliwe postępowanie - próbował szukać ratunku u innych lekarzy, w jeszcze innych środkach. Wreszcie, po pewnym tragicznym dniu, kiedy Eileen próbowała podciąć sobie żyły nożyczkami do paznokci, musiał się przyznać do porażki. Po dwunastu miesiącach zmagañ musiał wreszcie pogodzić się z faktem, że trzymanie żony w domu w tym stanie nie jest ani możliwe, ani bezpieczne; nie miał prawa skazywać córki na dorastanie w takiej atmosferze. Tak więc Eileen została oddana do prywatnej kliniki. Stella obwiniała się także i o to.

W klinice Eileen przeżyła jeszcze dziesięć lat. Julius odwiedzał ją codziennie. Kiedy musiał wyjechać, posyłał kwiaty. Oczywiście, miał kochanki - seks był mu niezbędny dla utrzymania zdrowego ciała i umysłu - jednak nigdy nie wprowadził do domu Eileen żadnej innej kobiety. Stał przy jej łóźku, gdy umierała na raka. Choroba trwała krótko, tak że Eileen nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, co ją spotkało; zresztą Julius nalegał, by oszczędzono jej cierpień. Trzymał ją za rękę w chwili zgonu i sam zamknął jej oczy, puste i zamglone, nie widząc żadnego znaku, że go rozpoznała choć na moment. Potem wyjechał, z ciężkim sercem, lecz zdecydowany rozpocząć nowe życie. Swoją osobistą tragedię pogrzebał razem z trumną. Szanując katolicką wiarę żony, nie zgodził się na kremację zwłok, choć nienawidził myśli o grzebaniu ich w ziemi i fizycznym rozkładzie.

Zmusił się do zapomnienia o przeszłości. Pomogła mu w tym wrodzona siła charakteru, zahartowanego jeszcze przeżyтыми cierpieniami.

Miał swoje królestwo interesów, które absorbowały go coraz bardziej i bardziej. Ożenił się ponownie w nadziei, że uda mu się w ten sposób stworzyć dom dla Stelli, która wykazywała wszelkie cechy dziecka zaniedbywanego. Jednak ta próba skończyła się porażką. Jego druga żona - rozwódka - była niemal w jego wieku. Nienawidziła Stelli i odeszła od niego po pięciu latach małżeństwa, podając jako powód rozwodu znęcanie się psychiczne. On nieustannie podróżował i nie zwracał na nią uwagi. Z pewnością była głupią kobietą, w jednym jednak musiał przyznać jej rację. Ze względu na jego niekończące się podróże służbowe istotnie nie miała żadnego wsparcia z jego strony, jeśli chodzi o wychowanie Stelli. Córka szybko stała się stuprocentową zbuntowaną nastolatką. Miała znacznie silniejszą osobowość niż macocha i przysparzała jej niemało udręk i kłopotów. Po rozwodzie eks-żona zarzuciła mu wręcz, że pozwolił, by Stella zniszczyła ich małżeństwo. Julius zdecydował, że córkę należy wysłać do znanej szwajcarskiej szkoły z internatem. Miał nadzieję, że surowa dyscyplina w połączeniu z nauką powstrzymają Stellę i uchronią ją od dalszych kłopotów. Wiedział instynktownie, że córka i kłopoty będą zawsze chodzić w parze. Jego małżeństwo z kobietą, która miała zastąpić Stelli matkę, kosztowało go fortunę - takie były postanowienia rozwodowe - a Stella wygrała w tym starciu bezapelacyjnie. Powierzywszy córkę opiece pedagogów, sam bez reszty poświęcił się interesom.

Swoją obecną żonę, Sylwię, poznał na krótko przed wydaleniem siedemnastoletniej wówczas Stelli ze szkoły za pijaństwo i zdemolowanie pokoju. Odesłano ją do domu, a on nie miał pojęcia, jak z nią dalej postępować. Stella wyrosła na bardzo piękną dziewczynę; miała oryginalną, nieco posępną urodę, a w jej szafirowych oczach migotały diabelskie ogniki. Odważnie stawiała mu czoła. Zresztą nigdy nie brakowało jej tupetu. Wyśmiała go,

przyznała, że była pijana, że od samego początku łamała szkolny regulamin, oszukiwała wszystkich i robiła co chciała. Podszedł do niej, chcąc ją uderzyć, lecz w ostatniej chwili odwrócił się i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wtedy Stella wybuchnęła płaczem, nękana poczuciem winy, które wiodło ją od jednego destrukcyjnego aktu do drugiego.

W rozpacz zwrócił się po poradę do Sylvii. Byli już od jakiegoś czasu kochankami, jednak nigdy nie rozważali sprawy małżeństwa. Sylvia była wdową, posiadała spory majątek. Kiedy zaproponowała, że porozmawia ze Stellą, zgodził się bez większych nadziei. Sylvia zwróciła mu uwagę, że sama po śmierci męża wychowała trójkę dzieci, więc może dojdzie do ładu i z jego córką.

Zajął to trochę czasu. Sylvia nie dała się wyprowadzić z równowagi, przez cały czas zachowała stoicki spokój. Nie udało jej się wzbudzić zaufania Stelli, jednak uświadomiła Juliusowi, że jego córka jest zagubioną, nieszczęśliwą dziewczyną, której potrzebne jest jakieś zajęcie, jakiś rodzaj wyzwania. I że jest też bardzo inteligentna. To, zdaniem Sylvii, może stanowić klucz do jej osobowości. Za jej radą zaangażował prywatnych nauczycieli i Stella w rezultacie wstąpiła na Uniwersytet Witwatersrand. Był tak wdzięczny Sylvii, że zaproponował jej małżeństwo.

Nigdy mu nie powiedziała, że wieczorem w przeddzień ich ślubu poszła do pokoju jego córki i zastała ją pijaną do nieprzytomności.

Nie oskarżał żony o to, że jej praktyczna, udzielona w najlepszej wierze rada była bezpośrednią przyczyną tego, co się stało ze Stellą. Sylvia wspierała go podczas koszmarnych lat, jakie nastąpiły później. Kochała go, wiedział o tym i na swój sposób kochał ją także.

Dzisiaj wieczorem, siedząc naprzeciw tej dziewczyny, myślał o Sylvii. Bardzo mu jej brakowało. Przyszedł tu po płatny seks, szukając antidotum na wściekłość i frustrację, jaką wywołała sytuacja zagrażająca jego kochanemu imperium.

Czuł potrzebę rozmowy, pragnął wywnętrzyć się przed obcym, niczego niepojmującym słuchaczem. Wydawało mu się, że dzięki temu łatwiej będzie mógł się skoncentrować. Arthur Harris, pomyślał gorzko, ten cherlak, wróg z czasów dzieciństwa, który odziedziczył stanowisko dzięki swojemu dziadkowi, cholernemu Kanadyjczykowi, a potem ożenił się z Christina i uczynił ją niešťczęśliwą. Jego rodzoną siostrę! Mogła mieć każdego innego mężczyźnę, wystarczyło tylko kiwnąć palcem. Nienawidził Arthura, ponieważ ten miał syna. I cóż z tego, że ów syn okazał się głupi i niezaradny. Ciągłe był jedynym dziedzicem Juliusa. Rodzina, zazdrość, rywalizacja, tragedie... Stella niczym bomba zegarowa, tykająca, z nastawionym zapalnikiem...

Pogrąony w myślach, wyciągnął pustą szklanę do ponownego napełnienia. Dziewczyna obdarzyła go szerokim, profesjonalnym uśmiechem i biorąc szklaneczkę z jego rąk, dotknęła palcami jego dłoni. Zauważył, że ten drink był mocniejszy od poprzedniego.

- Dobrze się bawięś w Londynie? - zapytała, wracając na miejsce. Siadając, podniosła spódnice tak wysoko, że niemal widział jej krocze. Nie podnieciło go to.

- Nie - powiedział, nagle rozżłoszczony tą prowokacją. - Nienawidzę tego pieprzonego kraju. Zimno, wilgoć i dosłownie wszystko się sypie. Każdy tylko jęczy i wyciąga rękę po jałmużnę. Ale musiałem tu przyjechać. Ten bękart, który prowadzi moje interesy, narobił takiego bałaganu, że musiałem sam się tu pofatygować, by rozplątać to wszystko.

- Dlaczego nie dasz mu kopniaka, skoro nie jest dobry?

- Bo ma sporo udziałów. Poza tym jest mężem mojej siostry. Ale pozbędę się go, choć to nie będzie takie łatwe.

Opróżnił kieliszek jednym haustem. Nigdy nie podawał swojego prawdziwego nazwiska, zresztą dziewczyna udawała tylko zainteresowanie.

To także zaczęło go irytować.

- A jakiego rodzaju jest ten biznes?

Jakże roziskrzyłyby się te oczy bez wyrazu, gdyby wiedziała, pomyślał. Jakże by się ożywiła na dźwięk magicznego słowa „diamenty”.

- Handel jutą - odpowiedział.

Była zbyt doświadczona, by ponaglać swoich klientów. Niektórzy siedzieli z nią przez pół nocy pijąc i rozmawiając. Samo przypuszczenie, że mogłaby być naprawdę zainteresowana ich idiotycznymi kłopotami w pracy i tymi starymi krowami, ich żonami, które ich nie rozumiały, było dla niej obrazą. Ona sama miała dwadzieścia cztery lata i mężczyźni jej nie pociągali. Nie dawali jej żadnej rozkoszy. Miała przyjaciółkę. Razem bawiły się wspólnie, wyśmiewając mężczyzn. Uważały, że dziewczynie mężczyzna potrzebny jest wyłącznie jako źródło pieniędzy. Ten klient był przystojny. Miała nadzieję, że szybko się zdecyduje i że pójdą wreszcie do łóżka, gdzie jak zwykle będzie udawać orgazm. Czasami klienci płacili więcej niż było umówione, jeśli wydawało im się, że zadowolili dziewczynę. Wszystkie te sztuczki - zęby, paznokcie i podobne chwytaki - miała opanowane do perfekcji. Ale ten klient mówił dalej, więc usiadła, z kolejnym drinkiem w dłoni.

- Będę musiał załatwić go tak, by przepadł w głosowaniu - powiedział Heyderman. Oczami wyobraźni widział już Arthura, poszarzałego, ze zboląłym wyrazem twarzy, usuwanego z zarządu, i ten widok sprawił mu przyjemność. - Najpierw trzeba będzie odciąć jego popleczników i przyciągnąć innych na moją stronę.

Znała na pamięć ten rodzaj monologów i doskonale wiedziała, co powinna teraz powiedzieć.

- A masz kogoś na jego miejsce?

- Myślę, że mam kandydata - odparł Julius wolno. - Obserwuję go od pewnego czasu. Ten facet jest młody, ale cholernie sprytny. Ma charyzmę. Poprowadzi interes tak, jak ja chcę. - Mówił teraz raczej do siebie niż do niej: - Nie posiada udziałów w firmie. Jeśli uda mu się wykonać zadanie, które mu powierzyłem... a wydaje mi się, że mu się powiedzie... będzie mógł dostać skromny

pakiet akcji. Czy ja cię nudzę? - wystrzelił pytaniem w jej kierunku. Na moment uśmiech zniknął i zobaczył wrogość w jej oczach.

- Lubisz mówić, a ja chętnie słucham - odparła. - Nie muszę rozumieć wszystkiego, prawda?

Zdecydowała, że nastąpił właściwy moment. Wstała, wygładzając spódnice na udach.

- A czy nie poszedłbyś już do łóżka, kotku? Ja jestem gotowa, jeśli ty też.

Julius Heyderman popatrzył na nią uważnie. Wodзил wzrokiem po ładnej twarzy, wspaniałej figurze i piersiach gwiazdy filmowej, szczupłej talii i długich, wspaniałych nogach. I nagle dotarło do niego, kim ona jest.

Zawsze lubił powtarzać, że nie byłby w stanie pokierować interesem wartym czterysta milionów, gdyby nie znał się na ludzkiej naturze.

- Nie - odparł - nie poszedłbym. Nie dotknąłbym lesbijki nawet metrowym kijem. Tu masz pięćdziesiątkę za whisky.

Opuszczając mieszkanie ciągle słyszał jej podniesiony głos. Pięćset funtów za coś takiego. Dzięki Bogu, nie udało się jej wprowadzić go w błąd. Myśl, że mógłby jej dotknąć sprawiła, że poczuł skurcz w żołądku. Niektórych mężczyzn podniecało kochanie się z lesbijką. W nim podobny pomysł budził wyłącznie obrzydzenie. Nienawidził dewiacji seksualnych. Dawno już odrzucił surowe nakazy Holenderskiego Kościoła Reformowanego, w jakich został wychowany, jednak pewne uprzedzenia pozostały.

Będzie musiał zamienić parę słów z Reece'm. Najwyższy czas, aby sprawdził te nazwiska w swoim notesie. Jadąc do hotelu czuł się znacznie lepiej, jakby kłótnia z dziewczyną zmyła z niego całą frustrację związaną z Arthurem Harrisem. Harris może poczekać, zdecydował zamawiając kanapki i butelkę doskonałego claretu. Pijał tylko whisky i najlepsze wina. Wierzył, że gin i wódka wypalają wnętrzości, a kiepskie wina niszczą umysł. Natomiast o dobrych zwykł mawiać, że nigdy nie dają kaca. Zadzwoił do Sylwii

do Kapsztadu. Nie zastał jej w domu; służący powiedział, że wyszła z przyjaciółmi. Poczul się zawiedzony. Nie tylko Sylvii mu brakowało. Brakowało mu też jego pięknego, słonecznego kraju. Mimo wszystkich problemów i napiętej sytuacji Południowa Afryka była jego ojczyzną, jedynym miejscem, w którym pragnął żyć. Dokończył kanapki i delektował się winem. Karty zostały rozdane. Andrews jedzie do Moskwy. Reece miał rację: to był dobry facet, cenny sojusznik Arthura. Jeśli odniesie sukces, pozostanie lojalny, gdyby mu się nie powiodło, pójdzie w odstawkę. Hastings pojedzie do Paryża. O, to bezlitosny zawodnik, kierujący się wyłącznie prawem dżungli. Julius wyczul to od razu. A jego żona jest czarująca.

Heydermanowi nie imponowały angielskie tytuły i podziwiał Elisabeth za to, że nie obnosiła się ze swoim arystokratycznym rodowodem. Podobała mu się. Uważał, że jest za dobra dla Hastingsa, ale w końcu to nie jego sprawa. W Paryżu może okazać się bardzo pomocna, bo Karakow lubił piękne kobiety i był snobem. Zatrudniał rumuńskiego księcia jako jednego ze sprzedawców, wykorzystywał także pewnego bardzo zamożnego Argentyńczyka do naganiania bogatych klientek. Tak, Karakow jest twardy jak stal i chytry jak lis. Julius zastanawiał się, w jaki sposób Hastings poradzi sobie z takim przeciwnikiem.

Był zaskoczony sugestią Reece'a, żeby Hastingsowi w charakterze asystentki towarzyszyła sekretarka Krugera. Kiedyś spotkał ją przelotnie, ocenił jako pospolitą dziwkę, chciwą i ambitną, i celowo ją zignorował. Ale zdaniem Reece'a, który wiedział wszystko o wszystkich, dziewczyna była mądra i miała zmysł do interesów, który należało lepiej wykorzystać. Obrzydliwy mały krętacz, mawiała Sylvia, ilekroć wspomniał o Reece'u. Julius zgadzał się z tą opinią. Jednak dla właściciela przedsiębiorstwa, którego drugą co do wielkości filią kieruje wrogi mu człowiek, ten krętacz stał się niezastąpiony. W ciągu corocznych kontroli w Blackfriars Road Reece potrafił wywęszyć więcej, niż Julius

mógłby się dowiedzieć z tuzina innych źródeł. Reece twierdził, że Ruth Fraser się nada, że będzie lepiej wykorzystana, pomagając Hastingsowi, niż korygując błędy Krugera. Przytoczył mnóstwo przykładów i Julius uznał, że powinna jechać. Tak jak przypuszczał, zgodziła się natychmiast. Interesujące, pomyślał, oni wszyscy są niczym kukielki na sznurkach, ja zaś jestem ich animatorem - pociągam jeden sznurek, zwalniam następny. Manipulowanie ludźmi nie bawiło go, czuł jednak, że musi chronić DE i cały przemysł diamentowy, począwszy od kopalń, a skończywszy na najskromniejszych sklepach jubilerskich. Ich egzystencja zależała od niego, od jego siły i umiejętności przeciwstawienia się wolnej grze rynkowej i huśtawkom recesji.

Przetrwają razem albo razem upadną. Tylko taki megaloman jak Karakow mógłby zaryzykować zniszczenie całego systemu. Ale dostanie nauczkę. Surową nauczkę.

4.

- Kochanie - powiedział James Hastings - masz tu listę mieszkań do wynajęcia. Przejrzyj ją i powiedz, co o tym myślisz. Zobacz - wyciągnął rękę z prospektem, przekartkował kilka stron i wskazał palcem jedno miejsce - rue Constantine, bardzo elegancki adres.

Elisabeth uśmiechnęła się lekko. Nie mogła powstrzymać się przed tą drobną złośliwością. Zawsze powtarzała, że James jest prawdziwym snobem na punkcie pocztowych kodów adresowych.

- Czy musimy być aż tak eleganccy? Wolałabym mieszkanie na lewym brzegu Sekwany.

- To nie zrobiłoby odpowiedniego wrażenia na Karakowowie, a przecież właśnie po to tam jedziemy. Karakow ma zobaczyć najmłodszego z członków zarządu DE i jego piękną, młodą, arystokratyczną małżonkę, uświetniających paryskie salony. Lady Elisabeth z pewnością wyrze na nim wrażenie.

- Pieprzę to - powiedziała Elisabeth. - Do tej pory nie używałam tytułu i teraz nie mam najmniejszego zamiaru zaczynać. Możesz o tym zapomnieć, mówię zupełnie serio.

- Dobrze, dobrze, żartowałem tylko. A teraz poważnie. Przejrzyj te adresy. Jeśli znajdziesz coś odpowiedniego, jedź może na dzień do Paryża i obejrzyj mieszkanie osobiście. Ja nie będę miał na to czasu. Zresztą, jeśli tobie się spodoba, z pewnością będzie odpowiadało i mnie. I kup sobie przy okazji kilka kreacji. Może u Givenchy'ego?

- Czy to nie jest przypadkiem próba przekupstwa?

- Być może.

- W takim razie zmień to na Christiana Lacroix i mogę jechać.

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się, dumny i szczęśliwy. Niewątpliwie dobra gwiazda zaprowadziła go do tamtego klubu, gdzie spotkał ją po raz pierwszy. Zanim jeszcze skończył się ich pierwszy wspólny taniec wiedział, że jest mu przeznaczona. Była obdarzona naturalnym, żywym temperamentem, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Miała ogromne poczucie humoru, potrafiła też śmiać się z siebie samej. Pozbawiona poczucia fałszywego wstydu czy próżności, była chyba najbardziej naturalną osobą, jaką w życiu spotkał. Jej jedyną wadą była nadmierna hojność. Elisabeth oddałaby wszystko, gdyby ktoś uraczył ją jakąś smutną historią o sobie. Nie wiedziała, co to strach. Potrafiła w ciemnościach uganiać się po całym Somerset na tych okropnych kucach. Dzięki Bogu przy nim zapomniała nieco o swej pasji. Jej rodzice nigdy mu tego nie wybaczyli.

Teraz wybierała się do Somerset na urodziny ojca. Skrzywił się, przypominając sobie swoje niezdarne wykrety; że jest mu tak przykro, że nie może, ale w związku ze zbliżającym się terminem wyjazdu do Paryża... Elisabeth przerwała mu z typową dla siebie szczerością.

- Nie, kochanie, wcale ci nie jest przykro. Nie znosisz ich, tych wszystkich papy towarzyszy broni i komitetu łowieckiego.

Ponieważ uznał, że dalsze udawanie nie miałyby sensu, powiedział po prostu:

- To dla mnie absolutny koszmar, kochanie. Jedź i zawieź jakiś ekstra prezent, także ode mnie. I baw się dobrze.

Byli wspaniałym małżeństwem. Rozumieli się wzajemnie, ustępowali sobie w drobiazgach i uzgadniali wspólny punkt widzenia na wszystko, co rzeczywiście miało znaczenie. Elisabeth wniosła nowe wartości w jego życie: uczciwość i wiarygodność.

Ale tylko w życie prywatne, bo świat biznesu stanowczo nie był stworzony dla takich ludzi jak ona. Zdecydował, że musi jej powiedzieć o Ruth Fraser.

Liz natychmiast zapomniała o Paryżu. Upuściła na podłogę barwną broszurę o nieruchomościach i wlepila w niego wzrok.

- Zabierasz ją ze sobą? Nie mogę w to uwierzyć. Po co?

- Jako zaufaną sekretarkę i osobistą asystentkę w jednej osobie. Ten mały szczur Reece okazał się nieugięty. To Julius wybrał tę Fraser. Nawet mi nie zaproponował, po prostu narzucił. Postawiłem sprawę zupełnie jasno, powiedziałem, że nie podoba mi się ten pomysł ani też nie uważam jej obecności w Paryżu za niezbędną, ale on był stanowczy. Zasugerowałem nawet zmianę na Judy Palmer - nie znasz jej, pracuje w finansach - ale Reece już zdążył porozmawiać z Fraser i ona się zgodziła. Wyobrażam sobie reakcję Krugera. Musiał być wściekły.

- Nie tak jak ja - powiedziała Elisabeth. - Przecież ona jest okropna. Nie mam zamiaru mieć jej na karku przez cały czas i obiecuję ci...

- Nie będziesz miała z nią do czynienia - zapewnił szybko. - Ona ma pracować tylko w biurze. Nie musimy utrzymywać z nią żadnych stosunków towarzyskich. A czy myślisz, że mnie się to podoba? Panienska Krugera wężąca wokół mnie, patrząca mi na ręce, a potem lecąca do niego z każdą informacją. Pojęcia nie mam, dlaczego Julius ją wybrał.

Nie było to prawdą, gdyż doskonale wiedział, dlaczego. Ruth była najbardziej kompetentną, najlepiej zorientowaną pracownicą w londyńskim biurze. Poza tym bez niej Dick Kruger od razu stawał się mniej efektywny. Zdecydował jednak nie mówić tego Elisabeth. Miała niewiele wad, jednak łatwo wybuchała gniewem, gdy ją coś wzburzyło, a czasem też kierowała się uprzedzeniami. W jej oczach kobieta, która zniszczyła czyjeś ponad trzydziestoletnie małżeństwo, absolutnie nie mogła należeć do towarzystwa.

- Nie rób z tego problemu, Elisabeth, proszę cię. Nie będziesz

jej wcale widywać. Muszę ją zabrać. To było polecenie służbowe, nie propozycja.

- Dobrze. - Elisabeth wzruszyła ramionami. - Nie mam zamiaru przysparzać ci kłopotów. W końcu to nie mój interes, kto jest twoją sekretarką. Przepraszam, kochanie. Tylko wiesz, spotkałam Valerie Kruger tego dnia, kiedy jadłam lunch z mamą. A teraz zobaczmy, jaki to pałac wybrałeś dla nas do zamieszkania.

Ray Andrews wynajął pokój w jednym z moskiewskich hoteli. O jedenastej rano był umówiony na spotkanie z brytyjskim ambasadorem. Tej nocy spał źle, cierpiąc z powodu niestrawności, spowodowanej zjedzeniem ciężkich, ostro przyprawionych rosyjskich potraw. Gdy się czesał, na grzebieniu pozostało więcej włosów niż zwykle. Susan zawsze mu powtarzała, że ma nie nosić kapelusza, bo niebawem wyłysieje. Odpowiadał wtedy, że właśnie z tego powodu nakrywa głowę. Chyba go nie słuchała, gdyż ciągle powtarzała mu to samo. Dla Susan kapelusze i łysina były synonimami. Po przyjeździe do Moskwy rozmawiał z nią przez telefon. Głos Susan brzmiał pogodnie, co go uspokoiło; nic złego nie wydarzyło się w przeciągu tych kilku godzin, odkąd opuścił dom. Kochał żonę i wiedział, że źle znosi samotność. Czasami zastanawiał się, jak by sobie radziła, gdyby umarł, ale szybko odsuwał od siebie tę myśl. Obecnie też nie lubił podróżować. Ogromną część swojego zawodowego życia spędził w samolotach. Znał dosłownie każde duże lotnisko i niejedno mniejsze. Podróżował po zakurzonych, wyboistych drogach w Afryce i po dwunastopasmowych autostradach w Stanach, sypiał w luksusowych hotelach i zakazanych dziurach, gdzie nie było dość wody, aby się umyć, a moskity brzęczały nad głową przez całą noc. W młodości bawiło go to, nadawało jego życiu posmak prawdziwej przygody, teraz jednak przestało być zabawne. Jego kariera uległa zastopowaniu. Prawdopodobnie dlatego coraz więcej znaczyły dla niego dom i rodzina.

Był na tyle uczciwy wobec samego siebie, by przyznać, że może właśnie niepowodzenia w życiu zawodowym spowodowały ten zwrot ku rodzinie.

Moskwa nie miała dla niego żadnego uroku. Pięć lat temu, czekając na wyznaczenie mu spotkania z przedstawicielem ministerstwa energetyki jądrowej odpowiedzialnym za resort surowców naturalnych, zabawił się trochę w turystę. Zwiedził wtedy Kreml.

Poprzednie negocjacje zakończyły się fiaskiem, spowodowanym nieoczekiwanym zwrotem w polityce rosyjskiej. Teraz spodziewano się po nim, że naprawi tamte szkody. Stracił wiarę w swoje umiejętności pertraktowania z ludźmi będącymi wytworem biurokratycznego systemu, gnębiącego Rosję. Już w czasach Gorbaczowa nie było łatwo; teraz, w nowej Rosji, rządzonej przez Jelcyna, panował ogólny chaos. Umowa z Karakowem otwierała przed Rosjanami rynki zbytu w Europie i na Bliskim Wschodzie. Dlaczego więc mieliby pertraktować z Diamond Enterprises.

Próbował się uspokoić, wytłumaczyć sobie, że fakt wypadania włosów absolutnie nie musi zapowiadać innych niepowodzeń. Porażka wytwarza wokół siebie specyficzną atmosferę, on zaś powinien wejść do ambasadora promieniując pewnością siebie i wiarą we własne możliwości. Za nim stoi cała potęga DE. Widział już nie raz, jak DE obalał rządy... Poprawił krawat, nałożył na głowę brązowy kapelusz i ruszył do ambasady.

- Jak się pan domyśla, panie Andrews, sytuacja zmienia się z każdą chwilą i jest niezmiernie trudno dotrzeć do kogoś, kto byłby władny podjąć jakąkolwiek decyzję. - Ambasador był znanym dyplomata i zagorzałym rusofilem; lubili go i wierzyli mu zarówno ludzie nowego systemu, jak i niektórzy zwolennicy starego reżimu, usiłujący obecnie odzyskać dawne pozycje. - Myślę, że najlepiej byłoby, gdyby spotkał się pan z Dymitrem Borysowem. Nominalnie nie stoi na czele ministerstwa, ale tak naprawdę ma tam decydujący głos. Właśnie wrócił z Archangielska, gdzie wizytował kopalnie.

- Borysow... - Andrews zmarszczył czoło. - To nazwisko coś mi mówi.

Ambasador popatrzył na niego z respektem. A więc nie jest to zwyczajny biznesmen, lecz człowiek o dużej wiedzy.

- Powinno - powiedział. - Igor Borysow był szefem KGB w czasach Breżniewa. Dymitr Walerian to jego syn. Z zawodu jest inżynierem. Mówią o nim, że jest liberałem, mimo środowiska, z którego się wywodzi. Spotykamy się czasami, więc mógłbym mu wspomnieć o panu. To godny uwagi człowiek.

- Byłbym niezmiernie zobowiązany - odparł Andrews. - Nie mam przed sobą łatwego zadania.

Ambasador uśmiechnął się.

- Sam pan to oceni. Ale jedno jeszcze panu powiem. Obecnie w Rosji nic nie jest pewne. W każdej chwili wszystko może się zmienić z niewiadomego powodu. Jelcyn albo Rostopczyn. Osobiście stawiam na prezydenta. Tamci nie wydają mi się bardziej bezwzględni czy przebiegli. Może powinienem powiedzieć mądrzejsi.

Andrews wiedział, że to już koniec rozmowy. - Jeszcze jedno pytanie - powiedział. - Czym człowiekiem jest Dymitr Borysow?

- Tego nikt nie wie - odparł ambasador i podniósł się. Andrews uczynił to samo. - I to właśnie czyni tego człowieka tak interesującym. Gdyby udało się panu to odkryć, proszę dać mi znać.

Uścisnęli sobie ręce.

- Do widzenia, sir Peter, i dziękuję za wszystko. Mój prezes będzie niezmiernie zobowiązany za pomoc.

- Mam nadzieję, że uda mi się załatwić panu to spotkanie. Będziemy się starali. Powodzenia i proszę się nie wahać zwrócić do nas, gdyby pan uważał, że jeszcze coś moglibyśmy dla pana zrobić. Będziemy w kontakcie.

Andrews czekał dwa dni. Kupił prezenty dla Susan i córki, napisał list do syna w Kanadzie i wysłał pocztówkę do drugiego syna, studenta. Wiedział, że ten nie zwracałby sobie głowy

czytaniem listu, natomiast z przyjemnością obejrzy widokówkę z mauzoleum Lenina. Przechodził właśnie okres zafascynowania socjalizmem.

Wreszcie późnym rankiem trzeciego, bezowocnego dnia, kiedy zaczynał już tracić nadzieję i zastanawiał się, czy nie wpaść do ambasady, doręczono mu zaproszenie na spotkanie z D.W. Borysowem w departamencie górnictwa ministerstwa energetyki jądrowej, na ulicy Uspienskiej. Miał stawić się na nie dokładnie za dwadzieścia minut.

5.

W czasie sierpniowych upałów Paryż opustoszał. Elisabeth przyleciała na lotnisko im. Charlesa de Gaulle'a, gdzie czekał na nią pośrednik nieruchomości, wysoki mężczyzna z lekko siwiejącymi włosami i ujmującym uśmiechem.

- Madame Hastings? Jestem Jean Pierre Lasalle. Jaką miała pani podróż?

- Wyśmienitą - powiedziała Elisabeth. - Zamieszanie na lotnisku trwało znacznej dłużej niż sam przelot. Co za upalny dzień.

Słońce mocno przypiekało, gdy szli do samochodu. Otworzył przed nią tylne drzwi.

- Och nie - zaprotestowała. - Wolałabym usiąść z przodu.

Zauważyła uśmiech na jego twarzy.

- Bardzo mi miło. Czy pani dobrze zna Paryż?

- Nieźle. Kilkakrotnie spędziliśmy tu weekend. Głównie wiosną. To bardzo piękne miasto.

- O, tak - przyznał. - Lubię je takie wyludnione jak teraz. W sierpniu wszyscy wyjeżdżają na wakacje.

- Oprócz pana - zauważyła.

- Oprócz mnie. Mam dom w Normandii i jeżdżę tam na weekendy, natomiast tydzień spędzam w mieście. I dzięki temu mam teraz przyjemność pokazać pani te mieszkania. Proponuję zacząć od rue Constantin. Wspaniały apartament.

- I najdroższy - dodała Elisabeth.

- Gdy go pani zobaczy, zrozumie, dlaczego - zapewnił. - Potem zapraszam panią na lunch, a po lunchu obejrzymy dom na rue de la Perle i mieszkanie na Place de la Concorde. To ostatnie jest wspaniale położone, ale mniejsze od tamtych.

- Na szóstą mam zarezerwowany powrót. Czy wystarczy nam czasu?

- Dopilnuję, aby się pani nie spóźniła.

Jechali ulicami niemal bez samochodów, za to pełnymi zagranicznych turystów poobwieszanych kamerami, poubieranych - jak przystało na Amerykanów zwiedzających świat w dresy albo T-shirty, džinsy i adidas, z przewodnikami w rękach. Nic dziwnego, że Francuzi wyjeżdżają, pomyślała Elisabeth.

- Zaparkuję tutaj - powiedział Lasalle. - Mieszkanie mieści się w tym narożnym budynku.

Elisabeth poszła za nim na pierwsze piętro. Otworzył drzwi i odsunął się na bok.

- Właściciel przebywa w Monaco - objaśnił. - Pojechał tam do pracy na dwa, może trzy lata. Jest przygotowany na krótkie okresy wynajmu, od trzech do sześciu miesięcy, dlatego czynsz jest stosunkowo wysoki. Ale mieszkanie jest naprawdę piękne.

Elisabeth nie mogła się z nim nie zgodzić.

Salon przedstawiał się imponująco: sięgające od podłogi do sufitu okna, za którymi rozciągał się wspaniały widok, osiemnastowieczne meble, cenne obrazy na ścianach... Rozpoznała ich wartość od razu; pokoje jej rodzinnego domu były zawieszane podobnymi. Wrażenie przepychu potęgowała jadalnia wyłożona kremową boazerią ze złoceniami. Przy stole mogło zasiąść czternaście osób.

Elisabeth przeszła do sypialni. Kimkolwiek był dżentelmen pracujący obecnie w Monaco, z pewnością nie należał do ludzi, którzy po powrocie z pracy lubią się położyć z nogami do góry.

Zwróciła się do Lasalle'a.

- Urocze - powiedziała - ale trochę zbyt przytłaczające. Wspinałam do wydawania przyjęć, tak jak pan powiedział przez telefon, ale nie jestem pewna, czy chciałabym tu mieszkać...

- Więc chodźmy na lunch, a potem obejrzymy mieszkanie na rue de la Perle. Jest także bardzo ładne, choć w zupełnie innym stylu. Zamówiłem stół w niewielkiej restauracji. Mam nadzieję, że będzie się pani podobała.

Elisabeth uśmiechnęła się do niego. Nie próbował wywierać na nią nacisku ani nie czuł się dotknięty jej krytycznymi uwagami. Spodobał się jej i cieszyła ją myśl o wspólnym lunchu.

Restauracja okazała się niewielka i skromna, typowa dla Paryża. Jedzenie za to było wyborne. Elisabeth zgodziła się na wypicie tylko jednej szklaneczki wina.

- Robię się do niczego, jeśli piję w ciągu dnia - wyjaśniła - a powinnam zachować trzeźwy umysł. To wszystko przyszło tak nagle. Mam tylko dzisiejszy dzień na podjęcie decyzji.

- To musi być kłopotliwe dla pani, przeprowadzać się w takim pośpiechu. Moja żona, która... która od nas odeszła... potrzebowała co najmniej miesiąca, nawet jeśli jechaliśmy tylko do Midi na wakacje wielkanocne. A z dziećmi... Czy pani ma dzieci?

- Nie - odparła Elisabeth - jeszcze nie. Ale chciałabym.

- Rozumiem. - Skinął głową. - My mieliśmy czwórkę. Obecnie wszystkie już są dorosłe, a synowie nawet żonaci. Jeden mieszka w Stanach, a drugi w Cannes, gdzie mamy spore biuro. Syn jest bardzo zaangażowany w pracę. Ma na swoim koncie wiele sukcesów.

- Czy któreś z dzieci odwiedza pana w Normandii?

A więc był wdowcem. Odnosiła wrażenie, że musi prowadzić dość samotne życie, zarówno w Paryżu, jak i w swoim domu na wsi. Otaczała go aura smutku. W jego oczach, gdy nie patrzył na nią, malował się wyraz melancholii.

- Niezbyt często - odparł. - Dla małżeństwa to daleka droga. Obaj synowie mają własne dzieci, więc... - Wzruszył ramionami. - Odwiedzają mnie na zmianę na Boże Narodzenie. Jestem szczęśliwy. Starają się. Cóż, dzieci dorastają i mają własne życie.

- A jak dawno zmarła pańska żona?

- Zmarła? Ach, przepraszam, to przez mój kulejący angielski. Chciałem powiedzieć: moja była żona. Jesteśmy rozwiedzeni od pięciu lat. Mieszka w Paryżu, ale nie utrzymujemy kontaktów. Napije się pani kawy, czy pójdziemy już?

- Może lepiej chodźmy. Dziękuję za wspaniały lunch.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Jean Pierre Lasalle.

Rue de la Perle położona była w trzeciej dzielnicy. Przez masywne dębowe drzwi weszli na wewnętrzny dziedziniec.

- To hotel *particulier* - wyjaśnił - obecnie podzielony na trzy samodzielne mieszkania. Dom został zbudowany w szesnastym wieku. Ma bardzo grube mury. Latem jest tu dość chłodno.

Rzeczywiście było chłodno; otaczający budynek mur rzucał przyjemny cień. Elisabeth czuła, że jej się tu spodoba.

Rozejrzała się po wnętrzu. Mieszkanie było stare, niewielkie, okna wychodziły na dziedziniec na tyłach domu, z rabatami pełnymi kwiatów. Salon - co najmniej o połowę mniejszy od salonu w tamtym mieszkaniu - wytapetowano i urządzone elegancko i wygodnie. Sypialnia z łóżkiem z baldachimem i dużym kominem od razu podbiła jej serce.

- Myślę, że to jest właśnie to - odwróciła się do Lasalle'a - ale powinnam jeszcze raz obejrzeć jadalnię i kuchnię. Będziemy przyjmowali sporo gości. Niestety.

Przeszli do jadalni, wyłożonej dębową boazerią. Wąski stół z orzechowego drewna, dziesięć krzeseł, niewiele wolnego miejsca... Zawahała się. Podobało jej się to mieszkanie, od razu polubiła jego intymną atmosferę. Mogła sobie wyobrazić wieczory spędzane tu z Jamesem, partyjki triktraka, budzenie się w staroświeckim łóżku.

- Madame Hastings - odezwał się Lasalle łagodnym głosem - jeśli pani mąż ma zamiar przyjmować na wielką skalę, to to mieszkanie nie jest dla państwa. Proszę mi wybaczyć, ale ja znam paryżan. Niektórzy z nich mogliby uznać to miejsce za urocze, ale dla dyrektora Diamond Enterprises nie jest ono odpowiednie.

Elisabeth popatrzyła na niego zdumiona.

- Skąd pan wie?

- Moja była żona obraca się w wielkim świecie. Jest bardzo bogata. Jej babka pochodziła z Południowej Afryki, z rodziny wywodzącej się od hugonotów. Bywaliśmy razem na wszystkich eleganckich przyjęciach. Kilkakrotnie spotkałem Juliusa Heydermana i jego małżonkę, tak więc wiem co nieco na temat DE. Sprzedałem dom Karakowowi. Pani go zna?

- Nie - odparła Elisabeth. Karakow. James sporo jej o nim opowiadał. To z jego powodu przeprowadzali się do Paryża. Żeby nawiązać kontakty z Karakowem i wepchnąć go z powrotem w objęcia DE. Tyle powiedział jej James. - Nie, nie znam. A jaki on jest?

Znowu wzruszenie ramion.

- Geniusz. Urodzony handlarz, doskonały znawca kamieni szlachetnych, okropny snob i bardzo niesympatyczna persona. - Roześmiał się. - Jak to miło móc wreszcie powiedzieć coś takiego. Przedtem nie mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ żona nie pozwalała mi go krytykować. Och, przepraszam, nie powinienem być niedyskretny. Ale... jeśli mogę pani coś poradzić, to mieszkanie na rue Constantine naprawdę będzie bardziej odpowiednie. W końcu to tylko trzy miesiące. Gdybyście mieli państwo zamiar zostać na dłużej, na przykład rok, wtedy z pewnością tutaj mieszkałoby się pani lepiej. Oczywiście, wszystko zależy od pani.

Elisabeth westchnęła

- A to na Place de la Concorde? Jest mniejsze?

- Ma tylko jedną sypialnię i dwa duże salony. Bardzo szykowne, elegancko udekorowane, jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

- Różne figurynki poustawiane na stołach - odparła żywo - wszędzie rozgardiasz... Boże, ja zwariuję. Sama jestem bałaganiarą. Nie zniosę tego. Zresztą nieważne. Może powinnam obejrzeć raz jeszcze rue Constantine? Mamy wystarczającą ilość czasu?

- O tak. Myślę, że to najlepsze rozwiązanie.

Nagle poczuła zniechęcenie.

- To mieszkanie bardzo mi się podobało, monsieur Lasalle - odezwała się w samochodzie. - Miało tyle uroku.

- Niech pani jeszcze raz obejrzy to drugie - powiedział - i wtedy dokona wyboru. Niech mi pani wierzy, nie chodzi mi o pieniądze. Zależy mi na tym, aby pani wybrała jak najlepiej. I żeby mąż był zadowolony - uśmiechnął się szeroko. - To też jest ważne.

- W tym wypadku to najważniejsze - powiedziała Elisabeth. - Nie wolno mi o tym zapomnieć. I wiem, że nie chodzi panu wyłącznie o pieniądze.

- Tego może być pani pewna - odpowiedział łagodnie.

W wielkim salonie przy rue Constantine Elisabeth zapytała:

- Czy nie można dokonać tu jakichś drobnych zmian? Ten pokój wydaje mi się taki bezduszny. Chciałabym go nieco ożywić, wstawić sofę, duży puf, stolik do kawy. Jestem dekoratorem wnętrz, mam pracownię w Londynie. Naprawdę nie zgrzeszę przeciw dobremu smakowi. Czy pański klient zgodziłby się na to?

Lasalle zastanawiał się przez chwilę.

- Myślę, że tak - odparł w końcu. - Nie widzę powodu, dla którego miałby się sprzeciwić. Jeśli pani niczego stąd nie usunie...

Wzięła głęboki oddech. Jamesowi z pewnością się spodoba. Od razu zdecydował się na to mieszkanie, gdy tylko przejrzał prospekt.

- Biorę - powiedziała. - Wiem, że mąż będzie zadowolony. Bardzo panu dziękuję. Gdyby nie pan, zdecydowałabym się na rue de la Perle, a to nie byłby dobry wybór.

Na lotnisku wyciągnęła do niego rękę, którą ucałował.

- Mam nadzieję, że przyjdzie nas pan odwiedzić - powiedziała. - Mój mąż z przyjemnością pana pozna. Zwłaszcza jeśli pan zna Karakowa.

- Będę zachwycony. Załatwię z moim klientem kwestię dodatkowego umeblowania. Gdyby pani miała jeszcze jakieś życzenia, proszę dać mi znać. Życzę szczęśliwej podróży powrotnej.

- Ktoś z biura mojego męża skontaktuje się z panem jutro w celu spisania umowy. Do widzenia i jeszcze raz dziękuję. Po naszym przyjeździe do Paryża z pewnością się spotkamy.

Odczekał, aż zniknęła w drzwiach lotniska i dopiero wtedy odjechał. Była taka piękna i taka sympatyczna. Przywiązywał wielką wagę do tego, aby kobieta była miła. Przeoczył tę sprawę, kiedy się zenił. Dostał za swoje, ale też wyniósł z tej lekcji sporo.

Gdy Elisabeth wróciła, James był już w domu. Podniósł się szybko i podszedł, aby ją pocałować.

- Witaj kochanie. Jak było?

Siadła obok niego, zrzucając z nóg pantofle.

- Wynajęłam mieszkanie - powiedziała. - To, które ci się tak podobało, na rue Constantine. Jest strasznie przytłaczające i omal nie zdecydowałam się na inne, ale to drugie nie było wystarczająco duże. Mogło tam usiąść nie więcej niż dziesięć osób naraz.

Podał jej szklanekę białego wina i usiadł obok.

- Dziękuję - powiedziała. - To był naprawdę długi dzień.

- Ale czy to mieszkanie ci się podoba? Nie chciałbym, abyś mieszkała w miejscu, którego nie lubisz.

- Nie bądź niemądry. - Uśmiechnęła się. - Dodam tam parę drobiazków i urządzę je po swojemu. Do przyjmowania w wielkim stylu wyśmienite. Na pewno będziesz zachwycony. Agent zaprosił mnie na lunch. Czarujący człowiek. I zna Karakowa. Twierdzi, że zna go nawet dosyć dobrze, a jeszcze lepiej znała go jego żona. Są rozwiedzeni. To właśnie on namówił mnie na ten pałac. Powiedział, że będzie dla nas bardziej odpowiedni. Na pewno go polubisz. Zaprosiłam go, aby nas odwiedził, gdy już

się tam wprowadzimy. Och - westchnęła - jak dobrze jest być z powrotem w domu. Jak ci minął dzień?

- Miałem prawdziwe urwanie głowy.

Zirytował go jej pomysł, żeby zaprosić czarującego agenta nieruchomości, ale nic nie powiedział. Poczł się zazdrosny, choć nie miał ku temu najmniejszych powodów. Inni mężczyźni musieli czuć do Elisabeth to samo co on. Nie podobała mu się ta myśl. Ten agent znał Karakowa?

Krótko zrelacjonował miniony dzień.

- Andrews nawiązał kontakty w Moskwie. Cholernie nie w porę. A ten gnojek Kruger przyszedł do mnie i powiedział, że nie ma nic przeciwko odstąpieniu mi swojej sekretarki na pewien czas. Nienawidzę tego faceta. Atakuje mnie przy każdej okazji.

Może jednak, pomyślał, warto zaprosić tego pośrednika. Skoro to znajomy Karakowa. Na przykład na drinka... Objął Elisabeth ramieniem i przytulił ją do siebie.

- Dziękuję, kochanie. Wspaniale sobie radzisz z przeprowadzką i tym całym zamieszaniem. Mam nadzieję, że nie zabawimy tam zbyt długo. Nie nosisz nowego zegarka?

Złoty zegarek z tarczą wysadzaną diamentami leżał w sejfie w sypialni, w czerwonym, skórzanym etui. Bardzo ładny, jak wszystkie wyroby Cartiera, ale zupełnie nieodpowiedni do noszenia na co dzień.

Powiedziała spokojnie:

- Trzymam go na wieczór, Jamie. Wiesz przecież, jak go lubię.

To ostatnie stwierdzenie bynajmniej nie odpowiadało prawdzie.

- Chciałbym, abyś zabrała całą swoją biżuterię. Szkoda, że twoje klejnoty są takie staroświeckie.

Zmarszczył czoło. Od matki Elisabeth dostała w prezencie ślubnym georgiański diamentowy naszyjnik, zaś jedna z ciotek na tę okazję rozstała się z ciężką wiktoriańską broszą z szafirów otoczonych perełkami. Elisabeth przechowywała tę rodzinną

bizuterię starannie, nie wyobrażając sobie, że mogłaby ją kiedykolwiek założyć. Jego uwaga zdumiała ją.

- Lubię staroświeckie rzeczy - powiedziała. - Zresztą uważam, że wyroby Karakowa są raczej szpetne. Ogromny kawał skały, ciężki i wulgarny, zupełnie bez oprawy.

- Tylko pamiętaj, żebyś tego przypadkiem nie powtórzyła na głos - napomniął ją łagodnie. - Może udałoby mi się pożyczyć dla ciebie parę sztuk bizuterii... Na Karakowie starocia nie robią specjalnego wrażenia.

- Możesz pożyczyć, co ci się żywnie podoba - odparła słodko. Znał ten ton i od razu zaczął przygotowywać się do odwrotu. - Pod warunkiem, że sam będziesz to nosił, bo ja nie mam zamiaru. Są jakieś wiadomości?

Zmieniła temat, gdyż nie chciała klócić się z Jamiem. Czowała się zmęczona; miała za sobą długi dzień, którego tylko część była przyjemna. Zgodziła się zamieszkać w apartamencie, który kojarzył się jej z salą tronową Pałacu Buckingham, ale nie miała zamiaru robić z siebie angielskiej wersji Iwany Trump w celu uczyńnięcia wrażenia na kimkolwiek.

- Zapisane w automatycznej sekretarce - odparł. - Miałaś telefon od Valerie Kruger. Akurat od niej. Chce, abyś zjadła z nią lunch. - Zawahał się. Na razie nie ma co wracać do sprawy tej bizuterii. Nie chciał, aby Elisabeth utrzymywała przyjazne stosunki z byłą żoną Krugera. Znał wrogie nastawienie Elisabeth do Ruth Fraser, a doskonale wiedział, że wbrew temu, co obiecywał, prawdopodobnie będą jednak musiały spotkać się w Paryżu. - Nie sądzę, aby umawianie się z nią miało jakkolwiek sens - rzucił jakby mimochodem. - Nasze drogi po prostu się rozeszły i pewnie nigdy więcej się z nią nie spotkamy.

- To ja zaproponowałam wspólny lunch - odparła. - Oczywiście, że pójdę, jeśli tylko znajdę czas. Zadzwońię do niej po kolacji. Jeszcze wina?

Podniósł się.

- Nie będzie żadnego kompromisu w sprawie bizuterii?

Potrząsnęła głową. Wiedział, czym ją rozbroić. Wyglądał jak mały, przestraszony chłopiec, który boi się, że mógłby wypaść z łask.

- Nie. Nie mam zamiaru zamieniać się w choinkę. Przepraszam, jeśli byłam dla ciebie niedobra.

Nalał jej jeszcze jeden kieliszek wina. Powinien był skasować tę wiadomość od Valerie. Zachował się jak głupiec.

Elisabeth i Valerie Kruger umówiły się na lunch w dniu wyjazdu Elisabeth do Somerset na urodziny ojca. Spotkały się wcześniej, gdyż Elisabeth miała przed sobą długą drogę. Valerie proponowała lokal San Lorenzo na Beauchamps Place. Była to najelegantsza włoska restauracja w Londynie, odwiedzana przez młodych członków rodziny królewskiej i inne znakomitości oraz tych, którzy mieli nadzieję ich zobaczyć. Elisabeth dobrze знаła ten lokal, lubiła podawane tam jedzenie i niewymuszoną atmosferę.

Od stolika w rogu sali nie miały dobrego widoku na innych gości; miejsce było raczej odizolowane. Elisabeth to nie przeszkadzało - wprost przeciwnie. Nie miała zwyczaju gapić się na znakomitości. Podchodząc pomyślała, że Valerie wygląda na zmęczoną i zestresowaną. Na stoliku przed nią stał niedokończony drink.

- Dziękuję, że mnie zaprosiłaś - powiedziała Elisabeth. - Miałam zamiar zatelefonować pierwsza, ale przez ostatnie dwa tygodnie żyłam w nieustannym pośpiechu. Co u ciebie?

- Dziękuję, wszystko w porządku. Czego się napijesz? Ja przyszedłam nieco wcześniej i właśnie kończę gin z tonikiem.

- Najwyżej kieliszek wina. Po południu muszę jechać do domu.

- Do rodziców? To wspaniale. - Valerie dała znak kelnerowi. Wyglądała na bardzo spiętą. - Moi już nie żyją, oczywiście, ale... - Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech, jakby ją coś zabolalo. - Jestem o wiele starsza od ciebie.

Elisabeth uśmiechnęła się promiennie.

- Wcale na to nie wyglądasz. Słuchaj, przeprowadzamy się do Paryża na najbliższe trzy miesiące. To bardzo podniecające. Dobrze znasz Paryż? Dasz mi jakieś wskazówki?

Valerie Kruger popatrzyła na nią uważnie. Taka miła kobieta. Równie szczerza i bezpośrednia, jak piękna. Widać, że cieszy ją ten wyjazd.

- Nie byłam w tym mieście od lat - powiedziała. - Słyszałam, że wyjeżdżacie, więc pomyślałam sobie, że byłoby dobrze, gdybyśmy się przedtem spotkały. Proszę, tu masz kartę dań.

Ukryła twarz za rozłożoną kartą. Nie czuła głodu, właściwie było jej wszystko jedno, co będzie jadła. Zanim tu przyszła, postanowiła, że ostrożnie poruszy nurtujący ją temat, delikatnie poprowadzi rozmowę we właściwym kierunku... A teraz omal nie wykrzyczała wszystkiego od razu. Zanim zdecydowała się zadzwonić do Elisabeth, dokładnie przemyślała, co jej powie. Skrupulatnie zbadała kierujące nią motywy. Tak naprawdę trawiły ją gorycz i nienawiść, jednak przekonywała samą siebie, że te uczucia nie mają żadnego wpływu na jej decyzję.

Złożyły zamówienie i Elisabeth zaczęła opowiadać o mieszkaniu. Starła się, aby cały epizod wypadł zabawnie. Wspomniała też nazwisko pośrednika, Lasalle.

- Spotkałam kiedyś jego i jego żonę podczas jakiejś podróży służbowej dawno temu - odezwała się Valerie. - Ona jest bardzo atrakcyjna, ale prawdziwa z niej wiedźma. Pamiętam, że było mi go żal. Jednak przypuszczam — niechętnie podniosła do ust kęs jedzenia - że ożenił się z nią dla pieniędzy.

- Och, nie sądzę. Był taki miły. Współczuję mu, sprawia wrażenie bardzo samotnego.

- Obawiam się, że obecnie patrzę na mężczyzn nieco krytycznym wzrokiem. Być może masz rację.

- Nie winię cię za to. Kiedy usłyszałam, co się stało, wręcz nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam, że twój mąż oszalał, zresztą nadal tak uważam. Przecież ona jest okropna - powiedziała Elisabeth szczerze.

- Dziękuję - odparła Valerie. - Wiesz, to zdumiewające, ale niektórym udaje się powiedzieć coś miłego o niej... Nie, Dick nie jest szalony. Zakochał się w niej, podobnie jak zakochał się w swojej karierze, to wszystko. W porównaniu z Diamond Enterprises zawsze byłam na drugim miejscu. Tak - gwałtownie wciągnęła powietrze - dlatego zaprosiłam cię na ten lunch. Słyszałam, że wyjeżdżacie do Paryża. Ciągle utrzymuję kontakty z niektórymi ze wspólnych przyjaciół moich i Dicka. Znają wszystkie plotki i czasami opowiadają mi to i owo. - Skrzywiła się. - To tak jak z bolącym zębem. Boli piekielnie, a jednak nie możesz się oprzeć, by go bez przerwy nie dotykać. Tak więc zawsze słucham, co mają mi do powiedzenia. Kiedy dowiedziałam się, że twój mąż zabiera Ruth jako asystentkę... Cóż, poczułam, że muszę z tobą pomówić.

- Ale on nie chciał - odparła Elisabeth. - Narzucono mu jej obecność. James jej nie znosi.

O tak, pomyślała Valerie, na razie jej nie znosi. Zobaczysz, co będzie za jakiś czas. Poczekaj, aż uwiesi się jego ramienia, rozsiewając wokół uwodzicielski zapach perfum podczas dyskusji o problemach zawodowych... Dick też jej z początku nie lubił, podziwiał tylko jej kompetencje. Jego poprzednia sekretarka była kiepskim pracownikiem; jedyne, co ją interesowało, to to, by wyjść z biura na czas.

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe - powiedziała Valerie. - Lubię cię, Elisabeth, polubiłam cię od naszego pierwszego spotkania. Te okropne oficjalne przyjęcia, kiedy żony takują się wzrokiem, a mężowie za wszelką cenę starają się przypodobać żonie Arthura. Ty byłaś inna, niczego nie udawałaś. Chyba nawet nie zdawałaś sobie sprawy z tych wszystkich gier.

- Nie zdawałam - przyznała Elisabeth. - Byłam bardzo młoda i czułam się znudzona. Dopiero później James zaczął mi wszystko wyjaśniać i wtedy zaczęło mnie to interesować. Na szczęście James mówi mi o wszystkim.

- To bardzo dobrze - powiedziała Valerie. - Nie zaniedbuj tego. Ja zrezygnowałam. Zrezygnowałam i usunęłam się w cień.

Dlatego siedzę teraz sama, bez męża. Powinnam była dostrzec niebezpieczeństwo, ale byłam ślepa. Uważałam, że miał prawo poświęcić się swojej karierze, gdyż nie mieliśmy dzieci i był bardzo rozczarowany. Południowi Afrykańczycy są bardzo rodzinni, zwłaszcza gdy są w połowie Burami, tak jak Dick. Marzyła mu się rola głowy rodziny, ojca gromadki dzieci. Ale ja nie mogłam mieć dzieci, więc...

Elisabeth wyciągnęła rękę i dotknęła lekko drżącej dłoni.

- Tak mi przykro - powiedziała. - My staramy się już od dawna. Lekarze twierdzą, że wszystko jest w porządku, a mimo to...

Przez chwilę Valerie nie odzywała się. Cofnęła dłoń, poszukała czegoś w torebce i wyjęła paczkę papierosów.

- Zaczęłam palić po odejściu Dicka - powiedziała. - Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Nie, nie, wcale. - Elisabeth przyglądała się, jak Valerie zapala papierosa i zaciąga się głęboko.

- Kochasz swojego męża, prawda?

- Tak - odparła Elisabeth, lekko zdziwiona. - Oczywiście, że go kocham. Oboje się kochamy.

- My nie byliśmy w sobie zakochani - mówiła Valerie - a mimo to Ruth Fraser potrzebowała aż trzech lat, żeby mi go zabrać. Mówiłam ci już, że zaprosiłam cię, bo wyjeżdżasz do Paryża. Chciałam cię przed nią ostrzec. Nie wiem, dlaczego akurat ją wybrano, ale doskonale wiem, dlaczego zgodziła się pojechać. Dick już ją nudzi. Nie awansował, jak się spodziewała, więc teraz rozgląda się za kimś innym. Odkąd skończyła dwadzieścia lat, zna tylko jedną drogę zdobycia posady: łóżko szefa. Gdy zaczęła się ta historia z Dickiem, wynajęłam prywatnego detektywa, by zbadał, kim ona jest. Próbowałam pokazać Dickowi jego raporty, ale nie chciał nawet na nie spojrzeć, tylko rzucił nimi we mnie. „Nie będę sobie zwracał głowy tym gównem, powiedział. Ona jest dla mnie wszystkim i nie obchodzi mnie, kto ją rznął przede mną”. - Zgasiła ledwie do połowy wypalonego papierosa. - Dick miał wtedy

pięćdziesiąt dwa lata i sporą nadwagę. Twój mąż jest młody, przystojny i bogaty. Moi przyjaciele twierdzą, że ma przed sobą przyszłość w DE, a jej właśnie na tym zależy. Sama chce zrobić karierę i weźmie każdego mężczyznę, który jej w tym pomoże. Nie dopuść do tego, by zrobiła z tobą to samo, co ze mną. Spraw, aby twój mąż się jej pozbył.

Przy ich stoliku pojawił się uśmiechnięty kelner.

- Kawa dla pań?

- Nie - powiedziała Elisabeth szybko. - Robi się późno. Muszę już jechać.

- Jesteś zła - zauważyła Valerie. - Uważasz, że nie miałam prawa tak mówić, prawda?

- Uważam, że nie miałaś prawa mówić o Jamesie tak, jakby był kimś nie lepszym od twojego męża. Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało. Wiem, że jesteś rozgoryczona. Ja ufam swojemu mężowi. Znam Jamesa i wiem, że nigdy by nie zrobił czegoś takiego. Wiem, że dobrze mi życzysz, ale ja już naprawdę muszę iść. Dziękuję za lunch.

Wstała. Na jej twarzy malowało się oburzenie.

- Pozbądź się jej - powtórzyła Valerie. - Staram się być twoją przyjaciółką.

- To bardzo miłe z twojej strony - odparła Elisabeth krótko - ale ja naprawdę nie mam się czym martwić. Do widzenia.

Spotkanie w ministerstwie energetyki jądrowej miało miejsce w gabinecie na pierwszym piętrze, z widokiem na Plac Czerwony. Było to duże pomieszczenie, umeblowane po spartańsku; na jednej z pomalowanych na biało ścian widniał spory prostokąt - pewnie ślad po usuniętym portrecie Lenina. Obecny użytkownik gabinetu nie ujawnił swoich poglądów politycznych, wybierając jako ozdobę ścian dzieła malarzy rosyjskich - pejzaż i scenę rodzajową z grupką wiejskich dzieci.

W roli tłumacza wystąpił młody urzędnik. Dymitr W. Borysow podniósł się zza biurka - funkcjonalnego mebla seryjnej produkcji

- i wyszedł na spotkanie Raya Andrews. Uścisnęli sobie ręce. Borysow - wysoki, zbliżający się do czterdziestki mężczyzna - nie był przystojny; miał toporne rysy i intensywnie czarne oczy. Włosy miał obcięte tak krótko, że czaszka sprawiała wrażenie ogolonej. Nie uczynił żadnych ustępstw na rzecz zachodniej mody. Nośił źle skrojony garnitur z serży i zdarte skórzane buty, nieczyszczone od dłuższego czasu.

Ray Andrews przedstawił się. Był zdziwiony, że Borysow nie zna angielskiego. Ambasador wyrażał się o nim z wielkim uznaniem, niemal jakby byli zaprzyjaźnieni. Ale ambasador mówił biegle po rosyjsku.

- Prezes mojej firmy, pan Julius Heyderman, jest zaniepokojony krążącymi pogłoskami na temat działalności jubilera nazwiskiem Iwan Karakow. Polecił mi, abym w rozmowie z panem wyjaśnił te pogłoski i omówił całą sytuację, jeśli to możliwe.

Ray mówił pojednawczym tonem. Tłumacz przekładał na rosyjski. Borysow słuchał. W pewnym momencie lekko skinął głową. Spoglądał na Raya, jednak jego spojrzenie nie wyrażało żadnych uczuć.

- Pan Borysow nie słyszał żadnych pogłosek - oznajmił tłumacz. - Ministerstwa nie interesują pogłoski. Wyłącznie fakty.

To było wyraźnie wrogie stwierdzenie. Andrews kontynuował spokojnie:

- Celowo użyłem słowa pogłoski, gdyż choć jesteśmy przekonani, że mają miejsce i fakty, nie możemy ich skonkretyzować bez współpracy z waszym ministerstwem. Może przedstawię panu szczegóły i wyjaśnię powody naszego niepokoju. Kieruje nami obawa nie tylko o własne interesy, lecz także o przyszłość całego przemysłu diamentowego.

Tym razem tłumaczenie było znacznie krótsze.

- Proszę, może pan wyjaśnić wszystko, co pana zdaniem może mieć związek z sytuacją tutaj, w Rosji. Interesy innych państw i wielkich międzynarodowych karteli niekoniecznie muszą być zbieżne z naszymi.

Ciągle wrogość. Prawdopodobnie Borysow nie należy do jelicynowskich zwolenników reform. Ale lata pertraktacji z politykami afrykańskimi nauczyły Andrews opanowania. Uśmiechnął się lekko.

- Mogą być bardziej zbieżne, niż to miało miejsce w przeszłości - zauważył. - Proszę mi pozwolić wytłumaczyć...

Tłumacz przerwał mu.

- Czy napije się pan herbaty albo wódki, panie Andrews?

Chodziło o to, by przerwać mu w momencie, gdy miał przejść do konkretów. Znał już to z rozmów podczas tamtych, nieudanych negocjacji.

- Nie, dziękuję. Nie chciałbym nadużywać pańskiej uprzejmości panie Borysow. O ile dobrze zrozumieliśmy w Diamond Enterprises, pański rząd prowadzi negocjacje na temat wyłączności handlu i dystrybucji z firmą Karakow International z Paryża. - Urwał, a jego spojrzenie natrafiło na zimny wzrok Rosjanina. - W tym wypadku, proszę mi wierzyć, interesy rosyjskie są nie tylko zbieżne z naszymi, lecz wręcz nierozłączne. Nie twierdzę tego bez przyczyny i jestem w stanie dowieść słuszności tego stwierdzenia.

- Pan Borysow ma za kwadrans następne spotkanie - powiedział uprzejmie tłumacz... - Nie może panu poświęcić więcej czasu, panie Andrews.

- Potrzebuję zaledwie pięciu minut - odparł Ray. - Mamy światowy monopol na sprzedaż diamentów. Kontrolujemy rynek i czynimy to zarówno przez nadzór nad dystrybucją, jak i przez utrzymywanie rezerw surowca na poziomie odpowiednim do popytu. W ten sposób utrzymujemy stałe ceny i zabezpieczamy przyszłość wszystkich wydobywców, od których skupujemy kamienie. Karakow usiłuje złamać ten monopol, kontaktując się bezpośrednio z wami. Jeśli mu się to uda, za dziesięć lat kopalnie w Archangielsku będziecie mogli spokojnie zamknąć. Cena diamentów nie pokryje nawet kosztów eksploatacji. Tak więc - podniósł się - nie będę panu zajmował cennego czasu. Mam jednak nadzieję, że zechce pan zastanowić się nad faktami, które

przedstawiłem, i że uzna pan potrzebę ponownego, tym razem nieco dłuższego, spotkania ze mną. Dziękuję za przyjęcie mnie.

Podszedł do biurka i wyciągnął rękę. Spojrzenie Borysowa nadal było dalekie od przyjaznego, jednak widać było, że to, co powiedział Ray, wzbudziło jego uwagę.

Tłumacz powiedział uprzejmie:

- Do widzenia, panie Andrews. Nie mogę niczego obiecać, ale oczywiście zajmę się tą sprawą. Jeśli uznam, że jesteśmy zainteresowani, poproszę o następne spotkanie.

Ray powoli schodził po schodach. Rosyjskie windy były powolne i zawodne, nawet w budynkach rządowych. W Rosji występował chroniczny brak części zapasowych. Wszystko przeciekało na nielegalny rynek, kontrolowany przez wszechwładną mafię: żywność, ubrania, towary luksusowe, w niektórych regionach nawet chleb. Wolność sporo kosztowała Rosjan. W kraju panował głód, szerzyła się przestępczość, a niestabilna sytuacja finansowa, powodująca spadek wartości rubla, sprzyjała korupcji. Andrewsa bynajmniej nie zdziwiło, że byli też tacy ludzie jak Dymitr Borysow, syn dawnego szefa KGB, którzy z radością powitaliby powrót poprzedniego systemu politycznego. Spacerował po mieście, obserwując brudne ulice, posępnych ludzi, przechodzących pośpiesznie, pustki w sklepach.

Wrócił myślami do Borysowa. To, co mówił ambasador, jakoś nie przystawało do tego surowego sowieckiego biurokraty, który przyjął go dziś rano. Ray był pewien, że Borysow znał angielski; większość urzędników na tym szczeblu znała. Po prostu udawanie, że się nie zna języków zachodnich, należało do stosowanej przez Rosjan taktyki. Westchnął. Nie miał już ochoty na spacer, był zbyt zmęczony. Po powrocie do hotelu spróbuje zadzwonić do Susan. Miał nadzieję, że nie zapyta go, kiedy wraca do domu. Nie miał pojęcia. Nie wiedział, czy Borysow zechce rozmawiać z nim ponownie ani też jak długo Julius Heyderman pozwoli mu tu siedzieć.

Po powrocie do hotelu zamówił rozmowę z Arthurem Harri-
sem. Czekał, próbował wymyślić, co mógłby mu powiedzieć
pocieszającego. Nie było tego wiele.

- Jak się udało przyjęcie urodzinowe? - zapytał James. Gdy
wróciła wczoraj do domu zauważył, że wygląda na przemęczoną,
jakby nieobecna myślami. Trochę go to zaniepokoiło. Lubił po
powrocie z pracy zastawać żonę zadowoloną i uśmiechniętą.

Wszystko było przygotowane do przeprowadzki. Pomyślał, że
Elisabeth dokonała cudów w tak krótkim czasie. Podpisał umowę
na wynajęcie mieszkania i spotkał się z Ruth Fraser, ale o tym
spotkaniu nie powiedział Elisabeth. Ruth zachowywała się z peł-
nym szacunku dystansem. Była dokładnie taka, jaka powinna być
wzorowa sekretarka i asystentka w jednej osobie, omawiająca
swoje obowiązki z nowym szefem. Zauważył, że ubrała się bardzo
odpowiednio: elegancko, ale skromnie. Zwrócił też uwagę na
dyskretny makijaż, umiejętnie podkreślający oryginalną urodę
oczu.

„Bardzo się cieszę na ten wyjazd - powiedziała - i na współpra-
cę z panem, panie Hastings”.

W biurze raczej wszyscy zwracali się do siebie po imieniu, ale
nie chciał czynić żadnych uwag.

„Dziękuję, Ruth. Mam nadzieję, że uda nam się odnieść suk-
ces. Gdybyś miała jakieś problemy, daj mi znać”.

„Dziękuję. Pan Kruger prosił, abym przekazała panu jego naj-
lepsze życzenia”.

„To bardzo miłe z jego strony. Z pewnością będzie mu ciebie
brakowało”.

- Najlepsze życzenia od Krugera? Akurat! Wszystko, czego mi
życzy, to żebym złamał kark.

- Kochanie - powtórzył - jak się udało przyjęcie urodzinowe?
Elisabeth podniosła głowę.

- Och, przepraszam. Sprawdzalam w myślach listę wszystkich

potrzebnych rzeczy. Jestem pewna, że zapomniałam o czymś szalenie istotnym. Świetnie, bawiłam się świetnie. Papa był zachwycony prezentem. Oczywiście powiedziałam mu, że to od nas obojga.

- Doskonale - rzekł James z ulgą.

Elisabeth wyglądała na zmęczoną, miała cienie pod oczami. Nic dziwnego, najpierw długa jazda z Somerset, a potem końcówka pakowania. Podszedł do niej i objął ją ramieniem.

- Kochanie, a może wybralibyśmy się gdzieś na kolację? Ucieknijmy od tego tutaj... Gdy byłem mały, przeprowadzaliśmy się tak często, że zdążyłem znienawidzić wszelkie przeprowadzki. Co powiedziałabyś na tę nową trattorie przy Gloucester Road?

Elisabeth przytuliła się do męża. Nigdy nie opowiadał jej wiele o swoim dzieciństwie, wiedziała jednak, że było pozbawione poczucia stabilności. Interesy jego ojca wymagały ciągłych zmian miejsca zamieszkania. W przeciwieństwie do niej, nie miał stałego domu. Nic dziwnego, że teraz chciał wyjść. Ona wolałaby spokojnie zjeść w domu omlet i pójść wcześniej spać.

- Oczywiście, kochanie, że pójdziemy - powiedziała. - Uwielbiam włoskie potrawy.

Wspomnienie Valerie Kruger nie dawało jej spokoju. Myślała o niej przez całą drogę do Somerset. Widok smutnej twarzy Valerie z malującym się na niej wyrazem ostrzeżenia nie opuszczał Elisabeth nawet we śnie. I związany z tym stary temat. Brak dzieci. Dick był taki rozczarowany. Coraz bardziej poświęcał się pracy.

„Spraw, aby twój mąż się jej pozbył”.

„Nie pozwól, aby uczyniła ci to, co uczyniła mnie”.

Nie mieli dzieci... Kochający dzieci mężczyzna i jałowe małżeństwo... Co miało go w nim zatrzymać? Uwiodła go kobieta, która podzielała jego zainteresowania zawodowe. Ta sama kobieta jedzie teraz do Paryża i będzie pracowała z Jamesem każdego dnia.

Siedzieli przy stoliku w restauracji, popijając chianti. Nagle Elisabeth poczuła, że dłużej już nie wytrzyma.

- Jamie?

Podniósł wzrok znad karty dań.

- Zdecydowałaś się na coś?

- Nie, ale chciałam cię o coś zapytać. Odłóż to na chwilę.

- Dobrze. O co chodzi?

- Czy nadal byś mnie kochał, gdybyśmy w ogóle nie mieli dzieci?

Wybuchnął śmiechem.

- Boże, co za głuptas z ciebie. Co masz na myśli pytając, czy będę cię nadal kochał? Posłuchaj mnie uważnie. Nie ożeniłem się z tobą ze względu na dzieci. Pragnę ich, ale nie aż tak bardzo, jak ty. Widzisz, jestem szczerzy. A gdybyśmy nawet ich nie mieli, to co z tego? Zawsze możemy adoptować, jeśli będziesz chciała. Zresztą nie ma powodów, aby tak mówić. Z pewnością zajdziesz w ciążę, jeśli tylko przestaniesz bez przerwy o tym myśleć. Najdroższa, nie mam zamiaru psuć sobie miłego wieczoru roztrząsaniem takich głupstw, jak to, czy przestanę cię kochać. Bo nie przestanę nigdy. A teraz zdecyduj, co chciałabyś zjeść, OK?

Uśmiechnęła się do niego.

- OK.

Tej nocy kochali się.

Wiedziała, że robi to nie dlatego, że naprawdę tego pragnie, lecz by ją uspokoić. Wydawał się być taki jak zawsze, jednak wyczuwała pewną różnicę. Nie podobało jej się to. To nie była miłość pełna żaru, lecz raczej uspokajający uścisk, który miał ją pocieszyć, a wcale nie pocieszył.

- Zamówiłem pokój w Dorchester - powiedział Dick Kruger.

Leżeli w łóżku, oglądając program telewizyjny, a raczej Ruth oglądała, podczas gdy on rozpaczał, że jutro ją utraci. Ruth leciała

do Paryża dzień wcześniej niż Hastings, by przygotować biuro. Firma wynajęła dla niej niewielkie mieszkanie w pobliżu kościoła Inwalidów, na lewym brzegu Sekwany; dwa pokoje z pojedynczym łóżkiem. Kruger nalegał, by je zmieniła. Planował, że zanim znajdzie sobie coś innego, podczas weekendów będzie zatrzymywał się w hotelu.

- To świetnie - powiedziała, choć w duchu pragnęła, by przestał już nudzić na temat rozstania. Bezustannie domagał się od niej zapewnień, że jedynym powodem, dla którego zgodziła się na wyjazd do Paryża, jest chęć pomocy jemu i Arthurowi Harrisowi oraz sabotowanie pracy Jamesa Hastingsa. Zaczynało jej to działać na nerwy. Chciała obejrzeć dziennik telewizyjny.

- Przyjadę w piątek wieczorem. Czy wyjedziesz po mnie?

- Mogę pracować do późna, nie wiem jeszcze.

Podjęła decyzję. Odwróciła się do niego, rezygnując z oglądania telewizji. Wyciągnęła rękę i zaczęła pieścić jego ucho. Zawsze miał bardzo wrażliwe uszy.

- Kochanie - szepnęła - może poczekamy do następnego weekendu. Do tego czasu będę już miała mieszkanie. Nie wiem jeszcze, jak się sprawy potoczą. W piątek mogę być zajęta do późna, może będę nawet musiała pracować w sobotę... Wszystko zależy od Hastingsa. Przecież to bez sensu, byś siedział samotnie w hotelu. Poczekajmy tydzień.

Wyłączyła telewizor i przytuliła się do niego. Jej ręce wędrowały po jego ciele.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie chcesz, żebym przyjechał? Co mam robić bez ciebie podczas tego pieprzonego weekendu?

- Możesz zagrać w golfa - mruknęła, wtulając nos w jego kark.
- Pomyśl lepiej o tym, co będziemy robić, gdy przyjedziesz w następnym tygodniu. Zadzwoń do Tony'ego i umów się na partyjkę. Pojedź do klubu. Nie chcę, abyś siedział sam w Londynie i się zamartwiał.

Westchnął, chwytając ją w objęcia. Mocno przylgnęła do niego. Podyskutują potem, a teraz... o Chryste... teraz...

Gdy zasnął, Ruth wysunęła się z łóżka, wzięła prysznic, wytarła się i nałożyła nocną koszulę. Zwykle kładli się nago, jednak ilekroć kochali się, zawsze lubiła potem czuć na swoim ciele dotyk jedwabiu. Dick był znakomitym kochankiem. Nauczyła go, jak może ją zaspokoić. Ona też wiedziała, jak zaspokoić jego. Tej nocy skutecznie zamknęła mu usta. Teraz mogła odprężyć się i spokojnie pomyśleć o przyszłości. Nie była pewna, jak sprawy potoczą się dalej. Nadchodząca walka na śmierć i życie między Heydermanem a Harrisem, wysłanie Andrews do Moskwy w celu udaremnienia ugody między Karakowem a Rosjanami, bitwa, którą James Hastings ma stoczyć w samym sercu wrogiego obozu, w Paryżu. Jakie to wszystko ekscytujące. Seks też był podniecający, ale przemijał, płynąca z niego przyjemność trwała krótko. Raniem pozostawało poczucie władzy.

Lubiła to zdanie, sprawiało jej przyjemność. Nie kochała Dicka Krugera. Zawsze była szczerą wobec samej siebie. Mogła okłamywać cały świat, ale nigdy Ruth Fraser, która urodziła się jako Ruth Felderman i rosła w obskurnym dwupokojowym mieszkaniu na East Endzie, gdzie ona i jej brat sypiali na rozkładanej kanapie w pokoju dziennym, podczas gdy rodzice zajmowali jedyną sypialnię.

Już we wczesnej młodości pojęła, że jeśli człowiek pragnie w życiu coś osiągnąć, musi na to zapracować. Jej matka ciężko pracowała, brała do domu szycie, utrzymywała porządek w mieszkaniu i dbała o to, by mieli co jeść. Była dobrą matką, ale surową. Gdy Ruth spóźniła się wracając ze szkoły albo gdy nie odrobiła lekcji, dostawała od niej lanie. Gdy odpowiadała matce impertynencko, dostawała lanie od ojca. Rodzice uwielbiali syna. W ich mniemaniu on nigdy nie mógł zrobić nic złego, Ruth zaś nigdy nic dobrego. Ojciec był krawcem, ale nie miał własnego zakładu. Nigdy nie pracował na własny rachunek, dlatego ciągle pozostawali biedni. Matka miała to ojcu za złe, twierdząc, że tyra za marne grosze, podczas gdy inni bogacą się jego kosztem.

Pewnej nocy poczuła rękę brata błędzącą po swoim ciele. Był młodszy od niej, ale o wiele silniejszy. Zgwałcił ją, przygniatając jej twarz poduszką, tak że omal się nie udusiła. Potem zagroził, że gdyby próbowała poskarżyć się rodzicom, wyprze się wszystkiego i powie, że pewnie puściła się z kimś innym i teraz zwala na niego. Rodzice z pewnością mu uwierzą i zedrą z niej skórę. On zaś zrobi to zawsze, ilekroć będzie miał na nią ochotę. Potem odwrócił się i zasnął. Podczas następnych nocy nie musiał jej już uciścić. Pozwoliła mu robić, co chciał. Kiedy skończyła szesnaście lat, w pół roku po tym, gdy spał z nią po raz pierwszy, przez dwa kolejne miesiące nie miała okresu. Wiedziała, że jest w ciąży, ale nie powiedziała o tym ani bratu, ani nikomu innemu. Zapakowała swoje rzeczy do skromnej torby, zabrała z portmonetki matki pieniądze przeznaczone na całotygodniowe utrzymanie i uciekła z domu. Udała się do hotelu Armii Zbawienia, gdzie podała nazwisko Fraser, gdyż nie była pewna, czy przyjęliby Żydówkę. Zaczęła pracować jako kelnerka. Sypiała z właścicielem kawiarni, cypryjskim Grekiem. Wkrótce zaoszczędziła dosyć pieniędzy na zabieg, który wykonała stara Cypryjka, świadcząca tego typu usługi w sąsiedztwie. Poszło szybko i bez komplikacji. Na szczęście kobieta dbała o higienę; używała wygotowanych narzędzi i czystych prześcieradeł. Ruth wyszła od niej i trzy dni przeleżała w swoim pokoju. Potem wróciła do kawiarni. Jakże łatwo mogła się stoczyć, a jednak pilnowała się. Musiała piąć się w górę. Bez względu na koszty. Unikała kontaktów ze światem przestępczym. Niejeden sutener ostrzył sobie zęby na ładną dziewczynę, a Ruth była bardzo ładna. Wkrótce opuściła kawiarnię i podjęła pracę w supermarkecie. Wieczorami pracowała jako kelnerka w winiarni. Oszczędzała. Sypiała z kierownikiem supermarketu i szybko awansowała. Zaczęła uczyć na kursy wieczorowe dla sekretarek. W wieku dziewiętnastu lat dostała pierwszą pracę w biurze. Od tego czasu zaszła wysoko. Teraz leżała obok pochrapującego Dicka Krugera. Pogładziła jedwabną koszulę, przeciągając się jak kot.

Dick był dla niej bardzo hojny. Większość mężczyzn szczerze odpłacała jej za uczucia, jakie w nich budziła. Tylko raz trafiła na takiego, który usiłował ją maltretować; wtedy porzuciła pracę i przeniosła się do centralnego Londynu, gdzie znalazła zajęcie w pewnej agencji. Zarabiała tam mnóstwo pieniędzy, stacją było na odpowiednie stroje. Starannie ubrana, udała się na rozmowę do firmy maklerskiej poszukującej sekretarki na pełny etat. Dostała tę pracę i wtedy odkryła swoje prawdziwe powołanie. Miała talent do interesów. Świat biznesu zafascynował ją. Teraz w pełni ujawniła się jej pracowitość i inteligencja, odziedziczone po żydowskich przodkach. Odnalazła swoje miejsce i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Ale była kobietą, a kobiecie nigdy nie uda się wejść do zamkniętego męskiego świata finansów, inaczej jak tylnymi drzwiami.

Dick Kruger, leżący teraz na plecach, z otwartymi ustami, był ostatnim z szeregu kochanków, którzy ułatwili jej karierę. Dwukrotnie proponowano jej małżeństwo, ale za każdym razem odmawiała. Nie była zainteresowana życiem rodzinnym, nie pragnęła mieć dzieci. Nigdy, po tamtym doświadczeniu. Nie chciała należeć do nikogo ani by ktoś należał do niej... Małżeństwo to nie dla niej. Chyba, że z szefem.

Dick chciał się z nią ożenić. Wyraziła zgodę dla tych samych powodów, dla których teraz kochała się z nim, choć tak naprawdę chciała tylko obejrzeć wiadomości i pójść spać. Musiała jednak jakoś go uspokoić. Udało się jej odsunąć kwestię małżeństwa na dalszy plan. Najpierw Paryż. Ta perspektywa podnieciła ją. Rozkoszowała się nieoczekiwanym wyzwaniem. Własna rola jeszcze nie rysowała się jej dość wyraźnie. Mogła czynić dokładnie to, co obiecała Krugerowi. Mogła storpedować projekt Hastingsa, gdyby nadarzyła się jej taka okazja. Ale nie musiała. To zależy, na czyją stronę przechylili się szala zwycięstwa. Gdyby Andrewsowi powiodło się w Rosji, zadanie Hastingsa nie miałoby większego znaczenia. Arthur Harris wzmocniłby swoją pozycję, a wraz z nim i Dick. Jeśli wypadki Potoczają się w ten właśnie sposób, być może będzie musiała działać na szkodę Hastingsa, na wszelki wypadek,

by usunąć go z drogi Krugera. Wszystko było możliwe i to napeli-
niło ją poczuciem zadowolenia. Nigdy przedtem kobieta nie za-
siadała w zarządzie DE. Zasnęła, rozkoszując się tą myślą.

Arthur Harris odebrał telefon od Andrews. Rozmawiali dwa
dni wcześniej i Ray nie miał nic do przekazania poza sprawozda-
niem ze zdawkowej rozmowy w ministerstwie. Dymitr Borysow
sprawiał wrażenie typowego sowieckiego biurokraty, jednego z
tych, którym udało się skutecznie rozłożyć radziecką gospodarkę
w czasach przed Gorbaczowem. Arthur westchnął. „No dobrze -
powiedział - nie pozostaje ci nic innego tylko czekać, a gdyby się
nie odezwali przed końcem tygodnia, naciskać przez naszą amba-
sadę. Są dokładnie tacy sami, jak ci cholerni Afrykanie. Bądź ze
mną w kontakcie, dobrze? Julius dwa razy dziennie alarmuje
mnie faksami, żądając raportów o postępach rozmów”. Skoń-
czywszy rozmowę przejrzał projekty swojego nowego jachtu wy-
ścigowego, by choć na trochę oderwać się od kłopotów.

- Zostałem zaproszony na kolejne spotkanie - zaczął Andrews.
- Tym razem zaproszenie przyszło z całodniowym wyprzedze-
niem, a na rozmowę przewidziano znacznie więcej czasu.

Nie chciałbym robić sobie zbyt wielu nadziei, ale wydaje mi się,
że Borysow jest zainteresowany. Rozmawiałem z sir Peterem i on
też jest tego zdania. Mówi, że ten facet nie lubi tracić czasu na
próżno. No więc... gdyby doszło do jakichś konkretnych propozy-
cji, jak daleko mogę się posunąć? Mam na myśli pieniądze.

Arthur nie wahał się ani chwili.

- Bez ograniczeń - powiedział. - Obiecuję mu wszystko, czego
zażąda. Należy odciąć Karakowa od rosyjskiego źródła. Nieważne,
ile będzie nas to kosztować. Niczego się nie obawiaj, będę cię po-
pierał.

- Dziękuję. Czy mogę dzwonić do ciebie do domu?

- Kiedy tylko zechcesz. Nie wahaj się. Powodzenia.

Andrews odłożył słuchawkę.

Nie wahaj się. Obiecaj mu wszystko, czego zażąda.

Nigdy jeszcze nie dysponował tak szerokimi uprawnieniami podczas negocjacji. To sprawiło, że poczuł przyływ energii, której tak mu ostatnio brakowało. Kochał swój zawód i zawsze starał się godzić pracę zawodową z obowiązkami wobec rodziny. Przez ostatnie dwa lata czuł, że coraz bardziej traci impet. Dryfował z prądem, zapominając o ambicjach, nie widząc celu swoich zmagañ. Teraz dostrzegł go znowu. Był gotowy do walki z Dymitrem Borysowem.

Dymitr Walerian Borysow miał trzydzieści siedem lat. Osiągnął tak wysokie stanowisko w bardzo młodym - jak na rosyjskie stosunki - wieku. Zawdzięczał to swoim wysokim kwalifikacjom i osiągnięciom na polu inżynierii i geologii.

Miał dwóch braci i siostrę. Borysowowie stanowili bardzo zżytą rodzinę. Jako dzieci człowieka będącego najważniejszą po pierwszym sekretarzu osobistością w dawnym ZSRR, byli bardzo uprzywilejowani. Wszystkie drzwi stały przed nimi otworem, do wyboru mieli zarówno karierę naukową, jak i polityczną. Siostra została lekarzem pediatrą, starszy brat służył w armii i poległ w Afganistanie. Dymitr wiedział, że brat przed śmiercią był torturowany przez mudżahedinów. Ta straszna wiadomość przyprawiła ich ojca o zawał serca. Matka nigdy nie dowiedziała się prawdy. Młodszy brat nie poszedł w ślady rodzeństwa. Nie pociągała go kariera. Przyłączył się do zespołu rockowego grającego w Moskwie na dyskotekach.

Dymitr Walerian okazał się nieodrodnym synem swojego ojca. Oddany sprawie, bezwzględny w metodach działania, był zainteresowany wyłącznie dwiema kwestiami: własną karierą i interesami swego kraju. Rosja wiele wycierpiała do tej pory i nie był to jeszcze kres jej zmagañ. Nowa demokracja, system, który tacy ludzie jak jego ojciec dławili z całą stanowczością Przez siedemdziesiąt lat, rodziła się w bólach. Dymitr kochał ojca i

wierzył, że to, co robił, było niezbędne w swoim czasie. Jednak obecnie ten czas już się skończył. W przyszłości wielkość Rosji będzie zależała od umiejętności przyjęcia przez nią zachodnich zasad ekonomicznych. W dzisiejszych czasach wojna nie wchodziła w rachubę; teraz najważniejsza była gospodarka. Rosja musiała przekształcić się w potęgę ekonomiczną; miała przecież niezmiernie bogactwa i ogromny potencjał ludzki. Gdyby tylko udało się zreformować system... Borysow marzył o potędze Rosji, tak jak generacja jego poprzedników marzyła o opanowaniu świata przez komunizm.

Ten Anglik przychodził dzisiaj na kolejną rozmowę. Borysow wyczuwał w nim głębokie zaniepokojenie. Wiedział, że Andrews jest seniorem w firmie i wieloletnim negocjatorem. Kazał go prześwietlić na długo przed pierwszym spotkaniem. Znał wszystkie szczegóły porażki sprzed pięciu lat, zakończonej niemal wydaleniem z Rosji. Ray Andrews doprawdy nie miał powodów, by uważać Rosjan za łatwy kąsek, nawet dla takiego giganta kapitalistycznego jak Diamond Enterprises. Nie okazał cienia urazy. Podczas pierwszego etapu rozmów zachowywał spokój, zupełnie jakby negocjacje przebiegały zgodnie z jego oczekiwaniami. Zachowanie Borysowa celowo balansowało na granicy otwartej wrogości. To był wstęp do bezlitosnych negocjacji. Dymitr już dawno ustalił ostateczną cenę. Wysoką, bardzo wysoką.

Ray Andrews został wprowadzony do gabinetu dokładnie o szesnastej trzydzieści. Borysow należał do fanatyków punktualności; nie znosił, gdy ktoś kazał na siebie czekać. Tłumacz także był już obecny.

Uścisnęli sobie ręce i Anglik zaczął pierwszy.

- Dziękuję, że tak szybko zdecydował się pan na ponowne spotkanie.

Tłumacz przełożył jego słowa. Borysow uśmiechnął się i nie było to zdawkowe skrzywienie ust. Uśmiech całkowicie odmienił jego twarz. Przez krótki moment Andrews zobaczył przed sobą człowieka pełnego humoru, a nawet ciepła.

Tłumacz zapytał:

- Napije się pan herbaty czy kawy?
- Poproszę o herbatę - powiedział Andrews. - Podczas mojego poprzedniego pobytu w Rosji zasmakowałem w tutejszej herbatcie.

Borysow odezwał się po rosyjsku. Tłumacz przełożył jego wypowiedź na angielski.

- To nie było dla pana przyjemne doświadczenie.
- Nie - przyznał Andrews - ale w zaistniałych warunkach reakcja strony rosyjskiej była zrozumiała. Jednak po tym incydencie moja sytuacja w Londynie dość się skomplikowała.
- Jestem tego pewien.

Andrews spojrział zaskoczony. Dymitr Borysow mówił po angielsku. Potem zamienił kilka słów po rosyjsku z tłumaczem, który powiedział do Andrewsza:

- Zaraz zostanie podana herbata, panie Andrews, ja zaś pozwolę sobie się pożegnać. Moje usługi nie będą już potrzebne.
- Zastanawiałem się, czy były potrzebne poprzednio - powiedział Andrews.

Borysow wzruszył ramionami.

- Znam angielski z uniwersytetu. To dla nas trudny język. Ale mówiono mi, że wam sprawia trudności rosyjski.

- Nie mówię po rosyjsku. Znam biegle francuski, gdyż ten język jest powszechny w niektórych częściach Afryki, gdzie spędziłem wiele lat. Z niezrozumiałych powodów Anglicy niechętnie uczą się języków obcych. Myślę, że popełniają błąd.

- Dlaczego mieliby się uczyć, skoro połowa świata mówi po angielsku?

- No tak. Pański angielski jest znakomity. Czy był pan kiedyś w Anglii?

- Nigdy. Może kiedyś się wybiorę.
- Bylibyśmy zaszczyceni, mogąc pana zaprosić - stwierdził ostrożnie Andrews.

- A ja z przyjemnością przyjechałbym. W przyszłości, kiedy będę miał trochę czasu na odpoczynek. Ale pojęcia nie mam,

kiedy to nastąpi. Jeśli chcemy przeobrazić nasz kraj, mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia, panie Andrews. Przed nami piętrzą się problemy. Nasza dotychczas źle kierowana gospodarka popadła w chaos. Próbujemy naprawić błędy, ale to długi i bolesny proces. Oto pańska herbata.

Blondynka w białej bluzce i czarnej spódnicy przyniosła dwie parujące szklanki, ozdobione plasterkami cytryny. Andrews zauważył, że dziewczyna ma grube łydki.

Borysow upił mały łyk i powiedział:

- Przyjrzałem się bliżej tym... pogłoskom, o których pan wspominał. Na początek chciałbym sprecyzować nasze stanowisko. Poprzednie pertraktacje z Diamond Enterprises, pańska wizyta tutaj pięć lat temu w sprawie koncesji na eksploatację złóż archangielskich... wszystko to nie pozostawiło dobrego wrażenia. Człowiek, który chciał zrzec się prawa do rozporządzania naszymi bogactwami naturalnymi, był zwykłym przestępcą. W zamian za duże pieniądze był gotów podpisać umowę przekazującą wam prawo eksploataowania naszych złóż diamentowych. Nie mamy wątpliwości, że gdyby pojechał do Londynu w celu ostatecznego podpisania kontraktu, obiecana łapówka została mu wręczona. Obecnie odsiaduje karę długoletniego więzienia. Od tamtego czasu zagospodarowujemy nasze zasoby bez pomocy Zachodu. I z powodzeniem, jak pokazuje przykład Archangielska. A natrafiliśmy tam na wielkie przeszkody. Nie przesadzę, jeśli powiem, że ta kopalnia to koszmar dla środowiska naturalnego. A drugi koszmar - jeszcze większy - to kwestia samego wydobycia. Proszę sobie wyobrazić: siedmiusetmetrową, błotnistą hałdę przesyconych wodą luźnych osadów kambryjskich, wyrobisko o średnicy dziewięciu kilometrów, z którego trzeba wypompować wodę, stosując metodę otwartych szybów. Tak wielka ilość solanki spowodowałaby skażenie okolicznych tarlisk, a pyły i opary przyczyniłyby się do wzrostu zanieczyszczenia atmosfery. Lokalna społeczność, świadoma niebezpieczeństwa degradacji środowiska naturalnego, bardzo protestowała przeciwko prowadzeniu prac wydobywczych

w tym rejonie, mogących doprowadzić do zniszczenia lasów i torfowisk.

- To rzeczywiście koszmar - odezwał się Andrews.

- Jednak udało się nam znaleźć rozwiązanie tego problemu - kontynuował Borysow. - Nasze własne rozwiązanie. Nie potrzebujemy ani Diamond Enterprises, ani innych ekspertów zachodnich, by uruchomić kopalnię, zarówno tę, jak i inne, mniejsze. Zdecydowaliśmy się na odwiert całej sieci otworów, idących w głąb kominów diamentonośnych. Wydobywaną z nich zwietrzelinę poddaje się po rozpuszczeniu dalszej obróbce. Nie dopuściliśmy do katastrofy ekologicznej w Archangielsku i jednocześnie dysponujemy jedną z największych kopalń, gdzie wydobywane są naprawdę unikalne kamienie. - Uśmiechnął się z triumfem. - Jakże to znamienne, że te kamienie mają barwę czerwoną. - Po chwili milczenia kontynuował: - Byłem w Archangielsku trzy miesiące temu. Widziałem zarówno surowe diamenty, jak i oszlifowane. Czy widział pan próbki?

- Tak. Pięciokaratowy czerwony diament najczystszej wody. Dosłownie zapierał dech w piersiach. Jedyny w swoim rodzaju. Muszę przyznać, że podziwiam wasz wysiłek, żeby uruchomić kopalnię mimo tylu trudności. Rozumiem też waszą chęć dokonania tego bez pomocy Zachodu. Teraz jednak chciałbym wyjaśnić nasze stanowisko, wytłumaczyć, dlaczego staraliśmy się o uzyskanie tej koncesji. Czy mogę liczyć na to, że wysłucha mnie pan bez uprzedzeń?

- Dlaczego miałyby być inaczej, panie Andrews?

- Ponieważ... - Ray postanowił, że zaryzykuje i będzie całkowicie szczerzy wobec tego człowieka tak wyraźnie nieufającego DE i całej polityce Zachodu wobec Rosji - ponieważ odnoszę wrażenie, że pan nas nie lubi i nie ufa nam.

Na twarzy Borysowa odmalowało się przelotne zdumienie.

- To w najmniejszym stopniu nie wpłynęłoby na mój sąd. Mówiłem już panu przy pierwszym spotkaniu, że interesują mnie wyłącznie korzyści dla mojego kraju. Jeśli pan mi je wskaże, będę słuchał z uwagą.

- Dziękuję - odparł Ray. - Przyjechałem tu pięć lat temu, by uzyskać koncesję na badania i eksploatację terenów, co do których nasi geolodzy mieli podejrzenia, że mogą konkurować z najbogatszymi polami diamentowymi na świecie. Nie chodziło nam wyłącznie o przejęcie tych złóż na własność, aczkolwiek i to miało dla nas znaczenie. Diamond Enterprises nie jest jakąś niewielką firmą, za wszelką cenę starającą się zdobyć koncesję na wydobywanie. My kontrolujemy cały przemysł diamentowy.

Nadzorujemy dystrybucję i sprzedaż diamentów na rynku światowym, utrzymujemy ceny na jednym poziomie - nie za wysokim i nie za niskim. Na początku lat trzydziestych doszło do sytuacji, kiedy w wyniku morderczej walki o władzę ceny diamentów spadły niemal do zera. Dopiero Jan Heyderman zastopował to wszystko. Zasoby surowca zostały skoncentrowane i są chronione przez system, który budowaliśmy przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Karakow chce ominąć ten system. Pragnie sprzedawać bez naszego pośrednictwa. Jeśli kopalnia jest odpowiednio wydajna, odniesie sukces i jednocześnie podważy nasz autorytet. System zacznie się rozpadać. Na koniec wszyscy na tym stracą, nie wyłączając pańskiego kraju, panie Borysow.

Na wojnie nikt się nie bogaci. Nie jestem inżynierem górnictwa i wiem cholernie mało o diamentach, ale wiem co nieco o finansach. Jeśli nie uda się nam zastopować Karakowa, wtedy ten czerwony diament, który widziałem w Londynie, będzie oznaczał tylko jedno: śmierć całego przemysłu diamentowego. Taka jest prawda. I dlatego się tutaj znalazłem.

Zapanowała cisza. Ray mówił z bolesnym zaangażowaniem. W swej szczerości ujawnił, że DE nie jest potęgą, której nie można zranić.

- Stabilizacja na rynku diamentów leży tak samo w interesie Rosji, jak i naszym - kontynuował już spokojniej. - Wasze nieograniczone zasoby bogactw naturalnych stwarzają dla was ogromne możliwości. Abstrahując od samych diamentów, aby konkurować z nami i ze światem, potrzebujecie zaawansowanych technologii i dynamicznie rozwijającego się przemysłu. Możecie

otrzymać potężny zastrzyk zachodniej waluty, której wasz kraj potrzebuje. Potrzebujecie zagranicznych inwestycji i korzystnych kredytów. Mam upoważnienia, aby zaoferować wam jedno i drugie w imieniu prezesa i zarządu DE. Jeśli dopuści się do tego, by pycha i krótkowzroczna polityka Iwana Karakowa zachwiały równowagę cen i całym dotychczasowym systemem sprzedaży diamentów, wówczas to wszystko diabli wezmą. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów.

- Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybym zapalił?

- Jeśli idzie o nikotynę, nie popadamy w taką przesadę, jak wy na Zachodzie. Codziennie czyha na nas tyle niebezpieczeństw, że byłoby doprawdy bez sensu zawracać sobie jeszcze głowę papierosami. W czasie pobytu w Archangielsku spotkałem Iwana Karakowa. Był tam z prywatną wizytą. Sprezentował mi jeden z tych czerwonych diamentów, który oszlifował w Paryżu, jako egzemplarz pokazowy dla naszego rządu. Zasugerował, abym podarował go żonie.

Borysow uśmiechnął się lekko na wspomnienie tamtej próby przekupstwa.

- Nie mam żony. Przekazałem kamień naszemu Instytutowi Gemmologicznemu. Czy pan wie, że Karakow zagwarantował nam wejście na rynek bliskowschodni? Będziemy jedynymi dostawcami czerwonych diamentów, on zaś naszym jedynym reprezentantem na rynku. Tym sposobem będziemy mogli dyktować nieporównywalnie wyższe ceny. Podobnie za inne kamienie - fantazje, jak nazywa się w handlu - szafirowe, zielone, o intensywnej barwie cynamonowej. Są jeszcze zwykłe, białe... najczęściej spotykane na rynku... Nasze są niezwyklej wartości. To jest umowa między Rosjanami. Jesteśmy partnerami i braćmi w tym przedsięwzięciu.

Coś w zachowaniu Borysowa sprawiło, że Andrews ponownie zdecydował się zaryzykować.

- Z całym należnym szacunkiem, to jest gówno. - Popatrzył prosto w oczy Borysowa i skrzywił się lekko. - Nie mogę oczywiście twierdzić, że doskonale pana poznałem, ale przecież

wyrobiłem już sobie pewien sąd o panu. Jeśli zaoferuję więcej, pan pozbędzie się Karakowa. A ja mogę panu zaproponować wszystko, czego pan tylko zażąda. Pod warunkiem, że nie będzie to fotel prezesa DE. Borysow roześmiał się.

- A szkoda. Mógłbym sobie zażyczyć właśnie tego. Zastanawiałem się nad tym. Jest kilka opcji, które mógłbym podsunąć pańskiemu zarządowni pod rozwagę.

Andrews z trudem opanował podniecenie. Prawdziwe negocjacje właśnie się rozpoczęły.

- Proszę zacząć ode mnie - powiedział.

- Co za wspaniały apartament. Jestem zachwycony.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparła Elisabeth.

Przeprowadzka była skończona. Ich osobisty bagaż został rozpakowany, zamówiona przez nią sofa i fotele dostarczone i ustawione zgodnie z jej życzeniem. Poprzestawiali nieco meble, próbując uczynić salon bardziej przytulnym i im się to udało. James, pełen entuzjazmu, chwalił każdą rzecz. Zainaugurował też łóżko, kochając się z Elisabeth w noc po przyjeździe i przynosząc jej śniadanie na tacy następnego poranka.

- Kocham cię - powiedział. - Zobaczysz, że będziemy się świetnie bawili i że zwyciężę.

Elisabeth starała się przekonać samą siebie, że mieszkanie jest mniej bezosobowe niż się jej wydaje i że z biegiem czasu odcisną na nim swoje piętno. Celowo zostawiała wszędzie niewielki bałagan. James nie komentował tego, po prostu zbierał porzucane gazety i składał je starannie na marmurowym stoliku do kawy. Wiedział, że żona uwielbia zrzucać z nóg pantofle i wylegiwać się wygodnie na kanapie.

Powiedział, że powinni zatrudnić pokojówkę. Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie bądź niemądry przecież mam pomoc do sprzątnia, tę kobietę zatrudnioną przez twoje biuro. Nie chcę pokojówki.

- Nie zapominaj, że mamy sporo przyjmować - tłumaczył.

- Pokojówka będzie otwierała gościom drzwi, odbierała od nich okrycia, podawała drinki. To podczas kameralnych przyjęć; organizację bardziej wystawnych powierzymy odpowiedniej firmie.

- Kochanie - powiedział spokojnie, gdy zaczęła protestować - wiem, że uważasz to za bzdurę, ale Francuzi są największymi snobami na świecie. Córka Karakowa wyszła za mąż za rumuńskiego księcia i używa tytułu księżnej. Karakow zatrudnia zięcia u siebie. Zadzwoń z samego rana do agencji i załatw sprawę tej pokojówki. Na dziś wieczór zaprosiłem Wassermanów na drinka. Zatrzymali się w Crillonie. Chcemy omówić z Davidem plan batalii. Bądź dla nich miła, najdroższa. On jest tutaj po to, aby mi pomóc.

- Oczywiście, że będę miła - obiecała. Była zdumiona, że tak podkreśla. Przecież zawsze była miła, przyjmując gości w swoim domu. Nawet jeśli jej obecny dom przypominał dekoracje do serialu o Marii Antoninie.

- Wspaniałe mieszkanie - powiedział David Wasserman rozglądając się wokoło. Z aprobatą przyjrzał się meblom. Był prawdziwym koneserem francuskich siedemnastowiecznych mebli i porcelany. Kochał porcelanę i zgromadził niewielką, lecz cenną kolekcję.

- Trochę tu sztywno - usprawiedliwiła się Elisabeth. - Nie jest to miejsce, gdzie człowiek z przyjemnością rozprostowałby nogi, ale spróbuję coś z tym zrobić.

Starła się stworzyć miłą, niewymuszoną atmosferę. Jednak odnosiła wrażenie, że stary człowiek pozostaje wobec niej zupełnie obojętny, a jego żona zdecydowanie niechętna. Teraz Clara Wasserman przyłączyła się do męża podziwiającego salon.

- Jaka szkoda, że stoją tu te wyściełane meble - powiedziała. - Psują całość. Nie mogłabyś się ich pozbyć? - zwróciła się do Elisabeth. - Zupełnie nie pasują do reszty wystroju.

Powiedziała to celowo, gdyż zauważyła, że sofa i fotele są nowe, i była pewna, że umieszczenie ich tutaj to pomysł tej Hastings. Clara przypatrywała się Elisabeth, nie próbując nawet ukryć swojej niechęci. Nie lubiła Anglików, a zwłaszcza pewnego typu Angielek, mówiących z wyszukany akcentem, czarujących i pełnych gracji.

- Nie, raczej nie - odparła Elisabeth. - To ja je kupiłam. Nie znoszę siedzenia na tych twardych krzesłach, wymyślonych chyba dla ludzi o żelaznych tyłkach. - W zdenerwowaniu wymknęło się jej powiedzonko, jakiego używał jej ojciec, mówiąc o nielubianym przez siebie stylu, który zwykł określać jako idiotyczną francuską tandetę. - W każdym razie siadajmy. James przygotowuje nam drinki. Czego się pani napije, pani Wasserman?

- Martini - odparła Clara - bez oliwek, po prostu z odrobiną soku z cytryny. Dla Davida to samo.

- Zaraz przyrządzę. - James poderwał się, starając się zachowywać swobodnie. - Odrobina martini...

- Tylko niech pan nie zrobi zbyt słabego - wtrąciła Clara, celowo udając, że go źle zrozumiała. - Lubimy mocniejsze drinki.

- Będą mocniejsze - obiecał James. - Dla ciebie, kochanie, białe wino? - zwrócił się do Elisabeth. Zanim podszedł do barku, powiedział do Clary: - To Liz wynajęła ten apartament. Agent, który w tym pośredniczył, zna Karakowa. Świat jest jednak bardzo mały.

- Owszem - zgodziła się Clara. - Czy ten agent ma jakieś powiązania z Karakowem? Może przez rodzinę?

- Jego żona miała - powiedziała Elisabeth. - Teraz są rozwiedzeni. On jest bardzo miły. Nazywa się Jean Pierre Lasalle.

Wasserman potrząsnął głową.

- Nie znam. Niech pani umieści tego Lasallea na liście gości, pani Hastings. Iwan lubi spotykać ludzi, których zna.

- Już to zrobiłam - odparła. - Ze względu na niego samego. Jest czarujący. Muszę przyznać, że im więcej słyszę o tym Karakowie, tym bardziej jestem go ciekawa.

- To megaloman - powiedział David, który zawsze to powtarzał, słysząc nazwisko Karakowa.

- To geniusz - sprzeciwiła się Clara. - Nigdy pani nie widziała jego projektów? - Sięgnęła po martini, spróbowała i popatrzyła na Jamesa z chłodną aprobatą. - Może być.

Zabrzmiało to tak impertynencko, że Elisabeth aż zadrżała. Co za babsko. Najpierw ta uwaga o meblach, teraz znowu zwraca się do Jamesa niczym do kelnera w jakimś cholernym koktajlbarze. Podniesionym głosem, w którym James rozpoznał tłumioną wściekłość, powiedziała:

- Owszem, widziałam. Wcale mi się nie podobały.

- Kochanie - James błyskawicznie znalazł się u jej boku - oto twoje wino.

Atmosfera ochłodziła się wyraźnie i taka pozostała już do końca wizyty. Clara nie odzywała się wcale. Sączyła drinka i przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn, kompletnie ignorując Elisabeth, która, nie chcąc denerwować Jamesa, postanowiła nie zwracać na to uwagi.

Clara Wasserman wyraźnie nie lubiła ani jej, ani Jamesa. Elisabeth nie mogła zrozumieć, dlaczego. Siedziała wyprostowana, ze stopami podwiniętymi pod siebie, dotykając obcasami obicia fotela, uśmiechając się grzecznie przez cały czas. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że Clara odbiera jej zachowanie jako przejaw lekceważenia i znudzenia fascynującą przecież konwersacją między jej mężem i Hastingsem.

- No, początek został zrobiony - mówił David. - Teraz możemy przystąpić do właściwych działań. Jesteś tu już od tygodnia. Do tej pory nie zastukałeś do drzwi Karakowa, więc nikt nie będzie podejrzewał, że się go obawiamy. Nikt nie sądzi, że traktujemy go serio. Jesteś młody, James, i to jest twój atut. Kiedy osiągniesz wiek Iwana, będzie ci się wydawało, że wszyscy młodzi ludzie to głupcy. Wiem, bo sam tak myślę.

Roześmiał się. Otrząsnął się już z rozczarowania, jakim było dla niego nie wybranie go do pertraktacji z Karakowem. Zrozumiał, jak sprytnie Heyderman dokonał wyboru, i postanowił

dłożyć wszelkich starań, by pomóc Hastingsowi. Clara przyjęła cios znacznie gorzej niż on i nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego. Nie lubiła Hastingsa i to uczucie przeniosła też na jego żonę. Elisabeth Hastings była tak miła, jak tylko potrafią być angielskie dziewczyny, ale nie wzbudzała sympatii Davida. Już jako młody mężczyzna nie przepadał za tym zimnym, nordyckim typem urody, za kobietami z długimi nogami i małym biustem. Dla niego ideał urody kobiecej stanowiły jego rodaczki - o pełnych ciepła i łagodnie zaokrąglonych ciałach i ciemnych oczach, płonących wewnętrznym żarem. Clara była piękna za młodu - słodka niczym dojrziała figa. W stosunku do Elisabeth Hastings był uprzejmy, ponieważ należał do ludzi o doskonałych manierach, ale nie polubił specjalnie tej angielskiej arystokratki. Widział, jak jego żona najeżyła się w przeciągu pierwszych pięciu minut ich wizyty.

- Myślę, że nadszedł czas, abyś złożył naszemu przyjacielowi wizytę. Zadzwoni do niego i zapytaj o możliwość spotkania. Nie obraż się, gdy ci powie, że przez najbliższy tydzień będzie zajęty. Iwan uwielbia bawić się w króla. Podejmij jego grę. Sam zobacz się z nim i przekonam go, że powinien cię przyjąć. Wtedy na pewno do ciebie zatelefonuje i zaproponuje ci spotkanie.

- I ja tak od razu mam mieć dla niego czas? - zapytał James.

- Musisz. Rzuć wszystko i pędź do niego. Jesteś młody i aż się palisz do nawiązania kontaktu z tym wielkim człowiekiem. Musisz polećtać jego próżność; to lekcja numer jeden. - Tknięty nagłą myślą zwrócił się do Elisabeth: - Pani z pewnością mu się spodoba, moja droga. Karakow jest snobem. Połowę z tych cholernych diamentów, które trzyma u siebie, kupił tylko dlatego, że pochodziły od różnych księżniczek.

- Taki głupi to on nie jest - sprzeciwiła się Clara Wasserman. - Nie da się oczarować byle gównem.

Powiedziała to oczywiście celowo. Arystokracja to gówno. Nie uda im się zaskarbić sobie jej sympatii. W świecie Clary Wasserman każdy był tym, do czego samodzielnie doszedł.

Nikt nie zwracał uwagi ani na pochodzenie, ani na to, kim się było, jak długo człowiek był dobry w tym, co robił. Klika z Błękitnego Almanachu nie liczyła się zupełnie. Tak czy owak niektórzy z nich mieli miliony, a dorobili się ich na konserwach mięsnych i płatkach śniadaniowych. Hastingsa Clara także nie lubiła i nie dowierzała mu. Udawał kogoś, kim w istocie nie był. Doskonale znała ten typ ludzi. Nie oszuka jej tą atmosferą angielskości i utytułowaną żoną.

- Zadzwońę do Karakowa jutro - powiedział James. Popatrzył na Elisabeth i uśmiechnął się, próbując zatuszować uwagę Clary Wasserman, ale ona nie odpowiedziała mu uśmiechem. Wstał. - Myślę, Davidzie, że na dzisiaj wystarczy.

Dziękuję ci za pomoc. Jutro omówimy całą resztę. Mamy jeszcze w planie wypad do miasta.

Po wyjściu gości zwrócił się do Elisabeth:

- Kochanie, tak mi przykro. Nie zwracaj uwagi na to, co ta krowa wygaduje.

- Nie mam zamiaru przyjmować jej ponownie - odparła Elisabeth. - Ona to powiedziała specjalnie. Chciała być nieuprzejma.

Widział, że Elisabeth jest wściekła i nie winił jej za to.

- Kochanie, zapomnij o tym. Clara ma kompleks niższości. W końcu łączą nas interesy.

- Ciebie. Mnie nie.

- Chodź, najdroższa - błagał. - Nie bądź już na mnie zła. Nie psujmy sobie reszty wieczoru.

- Och - powiedziała - przepraszam. Nie chciałam, aby to się skrupiło na tobie. To tylko dlatego...

- Co się stało? Powiedz mi, co cię gryzie. - Usiadł obok niej. - Odkąd wróciłaś z przyjęcia urodzinowego, jesteś taka zdenerwowana.

- Wiem - przyznała Elisabeth - ale to nie tak... Widzisz, jadłam lunch z Valerie Kruger. Powiedziała mi, że w swoim małżeństwie popełniła wiele błędów, i ostrzegała, abym nie dopuściła do tego, by z nami stało się to samo.

Patrzyła na niego ze łzami w oczach. - A to dziwka! - wybuchnęła. - Zaraz do niej zadzwonię i wszystko jej wygarnę. Jak ona śmiała?

- Och, ona nie zrobiła tego ze złośliwości. Ona naprawdę myśli, że mogłabym cię utracić. Dick był bez reszty pochłonięty pracą i Valerie wydaje się, że ty jesteś taki sam. Poza tym ona ma obsesję na punkcie Ruth Fraser. Powiedziała, że powinnam cię nakłonić, abys ją odesłał do Londynu.

James pobladł z wściekłości.

- Tak powiedziała? Sugerowała, że będę się za nią uganiał niczym Kruger? Nie, Liz, nie mam zamiaru puścić tego płazem. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś, tylko dusiłaś to w sobie? - Jego oczy zwęziły się w gniewnym odruchu. - A nie mówiła przypadkiem czegoś na temat braku dzieci? Założę się, że tak. To dlatego tamtego wieczoru zadałaś mi to idiotyczne pytanie.

Był tak zły, że Elisabeth pożałowała, że w ogóle wspomniała o całej sprawie. Nie chciała, by dzwonił do Valerie z awanturą.

- Jamie, posłuchaj. Nie zaczynajmy tego znowu. Zupełnie niepotrzebnie tak to sobie wzięłam do serca. Nie, nie dzwoni do niej i nie mów jej nic. Proszę... Było mi jej żal. Ona jest taka patetyczna. Proszę, zapomnijmy o wszystkim. To wyłącznie moja wina, zachowałam się tak głupio.

Popatrzył na nią uważnie.

- A ta cała gadanina na temat Ruth? Na pewno się tym nie przejmujesz?

- Na pewno - odparła łagodnie. - Zmartwiło mnie raczej to, że może nie dosyć interesuję się twoją pracą. No i ta sprawa z dzieckiem... Wiem, że to głupie i obiecuję ci, że już nigdy... Pod warunkiem, że ty też mi coś obiecasz. Dwie rzeczy.

- A co takiego? - Poczuł przyływ czułości, chociaż ciągle jeszcze buzował w nim gniew.

- Obiecuj mi, że nie będziesz telefonował do Valerie.

Po dłuższej chwili zgodził się niechętnie.

- Dobrze, ale tylko ten jeden raz. Gdyby zaczęła znowu...

- Na pewno nie. Zresztą, ja już się z nią nie zobaczę. A po drugie, mów mi więcej na temat twojej pracy. Mnie to naprawdę interesuje. Chciałabym ci pomóc, a nie tylko wydawać przyjęcia i bawić gości. Tyle każdy potrafi. Wiem, ile znaczy dla ciebie kariera zawodowa, i chciałabym, abys odniósł sukces.

James przytulił ją mocniej. Nie odpowiedział od razu. Najczęściej ogólnie informował ją o wszystkim, jednak starał się nie ujawniać szczegółów. Nie chciał wciągać jej w opisy walk i podjazdów, we wszystkie chwyt, jakie należało zastosować, by osiągnąć cel. Nie chciał, by Elisabeth została wmieszana w coś, co uważała za niesprawiedliwe, nieuczciwe, niemoralne i oszukańcze. Jego udział w takim przedsięwzięciu z pewnością oceniałaby negatywnie. Elisabeth zupełnie nie rozumiała, że w świecie biznesu nie ma miejsca na etykę. Ale w jednym miała rację: teraz rzeczywiście potrzebował jej pomocy. Clara Wasserman to dopiero początek. Niebawem Elisabeth przyjdzie poznać Laurę Karakow. On sam też jej wprawdzie nie znał, ale wiele o niej słyszał.

- Dobrze - zaczął. - Mówiłem ci o Karakowie, który jakoby podpisał umowę z Rosją, i o tym, że Andrews pojechał do Moskwy, próbując do tego nie dopuścić.

- Wiem - powiedziała. - Wiem też, że twoim zadaniem jest zawrzeć pokój z Karakowem, zmusić go, aby wrócił do szeregu. Ale rady Wassermana wskazywały raczej na coś innego. Jakbyś miał w jakiś sposób oszukać Karakowa... - Zmarszczyła brwi. - Więc jak to jest?

Roześmiał się, starając się rozproszyć jej podejrzenia.

- David po prostu ma taki sposób wyrażania się. To kiepski aktor, zawsze był taki. Nie, ja mam przytakiwać temu gnojnikowi, któremu wydaje się, że jeśli chodzi o diamenty, jest samym Bogiem Wszchemogącym. Mam mu nadskakiwać, pozwalać się pouczać, mam go zjednać pochlebstwami. To właśnie miał na myśli David. I będę to robił. Będę robił wszystko, co konieczne, ponieważ jeśli uda mi się odnieść sukces, będę pierwszym kandydatem

na stanowisko naczelnego dyrektora filii londyńskiej. Albo zdobęde to, albo rzucam cały interes. Wystarczająco dużo naoglądałem się już takich wczorajszych sław, by wiedzieć, że stanowisko drugiego po szefie jest nie dla mnie.

- Wiem, że nie - zgodziła się Elisabeth. - I nie chciałabym, aby cię to spotkało. Zapomnijmy o tym, co powiedziałam o Wassermanach. Jeśli trzeba, jeśli to takie ważne, na drugi raz ugryzę się w język. Może następnym razem zaprosimy jeszcze kogoś, żeby ich trochę zneutralizować?

- Doskonały pomysł - powiedział James i pocałował ją. - Kocham cię. A teraz ubieraj się i idziemy do Maxima.

Dopiero następnego dnia uświadomiła sobie, że właściwie nie powiedział jej niczego, czego by już nie wiedziała.

6.

Ruth Fraser podobał się Paryż. Lubiła zapach tego miasta, eleganckie sklepy i szerokie, wysadzone drzewami bulwary. Lubiła niewielkie, przytulne bistra, gdzie można było dostać najlepsze w świecie jedzenie w cenie londyńskiego steku z frytkami. Paryżanie mogli być dumni ze swojego miasta. Nigdzie nie dostrzegano się śladu nędzy i zaniedbania, pomijając bezdomnych w przejściach i skulonych żebraków na ulicach. Ruth mijała ich obojętnie, podobnie jak ich pobratymców w Londynie. Nie odczuwała współczucia. Ona także mogła żebrać na ulicy, gdy miała szesnaście lat i była w ciąży z własnym bratem. Nie zrobiła jednak tego. Pracowała. Teraz, elegancko ubrana, obojętnie mijała wszystkich nieudaczników, trzymając torebkę szczelnie zamkniętą.

Lubiła też swoje mieszkanie. Niestety, musiała oddać do przechowalni pojedyncze łóżko i wstawić podwójne, by móc gościć u siebie Dicka. W pierwszym tygodniu była tak zajęta sprawami organizacyjnymi, że nie miała nawet czasu pomyśleć o nim poza tymi chwilami, kiedy do niej dzwonił. A dzwonił co wieczór, powtarzając, jak bardzo mu jej brak i domagając się informacji, których nie posiadała. W odpowiedzi zasypywała go pytaniami o wydarzenia w londyńskim biurze. Arthur pozostawał w ścisłym kontakcie z Rayem Andrewsem. Właściwe negocjacje już się rozpoczęły, jednak okazały się bardzo trudne. Andrews był zmuszony obiecać więcej, niż zamierzał. Jednak obietnice stanowiły zaledwie część całej gry. Arthur był dobrej myśli. Zaprosił Krugera,

by wpadł do niego na weekend i obejrzał projekty nowego jachtu. Gdy usłyszała, że odmówił, mając w planie przyjazd do niej do Paryża, wybuchnęła gniewem.

- Myśl o tym, co najważniejsze - upomniała go. - Czy ty zwa-riowałeś? Jesteś człowiekiem Arthura, on cię potrzebuje... Co?! Najlepiej obłóż sobie fiuta lodem - warknęła. - Masz powiedzieć, że zmieniłeś plany i przyjeżdżasz... Nie, nie zobaczymy się... Po-jedziesz do Arthura.

W końcu zgodził się; była tak daleko, a on bał się kłótni na od-ległość.

Co za głupiec, pomyślała, uświadamiając sobie, że jej uznanie dla niego zaczyna maleć. Co za dureń, żeby przedkładać pieprzenie się nad zaproszenie od szefa, jedyne go człowieka, który mógł go typować na swego następcę, zwłaszcza gdyby Andrews zawałił sprawę w Moskwie. Wkrótce jednak zmiękła i sama zadzwoniła do Dicka. Ciągle należał do niej i pracowali razem. Była bardzo słodka i uwodzicielska, tak że w końcu uległ. Spotkają się w na-stępnym tygodniu. Obiecuje. Ma do niej zadzwonić w niedzielę wieczorem i opowiedzieć jej o wszystkim.

W stosunkach z Jamesem Hastingsem zachowywała ostrożność. Działała przezornie, starając się wyrobić sobie właściwy sąd o nim. Potrafiła błyskawicznie oceniać ludzi i już po kilku dniach знаła jego metody pracy. Nigdy nie tracił czasu. Nie lubił grzebać się w szczegółach, odrzucał wszystko, co nieważne, skupiając się na kwestiach priorytetowych. Ten sposób pracy bardzo jej odpo-wiadał. Hastings był wobec niej uprzejmy, ale oficjalny. Akcep-towała jego zachowanie, ani na moment nie wychodząc z roli wzorowej sekretarki. Starła się ułatwiać mu pracę, odsyłając niepożądanych klientów, którzy telefonowali w nadziei, że skoro przyjechał tu ktoś nowy, to może uda się go naciągnąć na spotka-nie, umawiając go natomiast z tymi, z którymi powinien się zoba-czyć. Urzędowała w eleganckim pokoju, przylegającym do jego gabinetu, w wielkim, nowoczesnym kompleksie na rue de Rivoli.

Tego ranka James zastał ją - jak zwykle - przy biurku. Sam zresztą też przyszedł wcześniej. Pozdrowił ją krótko.

- Posortowałam pocztę. Są dwa faksy, które nadeszły w nocy. Jeden z Nowego Jorku, drugi od Reece'a z Johannesburga. Położyłam je na pańskim biurku. Aha, są jeszcze rachunki przesłane z Thurloe Street. Czy zechce je pan przeglądnąć, czy też mam się nimi zająć i przekazać panu później notatkę?

- Proszę się nimi zająć - odparł. - I proszę mnie połączyć z Karakowem. Koło dziesiątej przychodzi zwykle do biura.

Patrzyła, jak wchodzi do siebie i zamyka za sobą drzwi. Później pewnie będzie pisała listy, które jej podyktuje, gdy już przejrzy pocztę, następnie połączy go z Londynem i zaaranżuje szereg spotkań na popołudnie. Wiele francuskich firm pragnęło nawiązać z nim kontakt, ich przedstawiciele ubiegali się o spotkania. Dokładnie o dziesiątej połączyła się z biurem Karakowa na rue St Honoré.

Potem weszła do gabinetu Jamesa.

- Karakow nie podejdzie do telefonu. Jego sekretarka twierdzi, że jest na zebraniu.

- A czy powiedziała, kiedy będzie wolny?

- Nie - odparła Ruth. Zdecydowała się na niewielki krok w jego stronę. - Nie wierzę w to.

- Ja też w to nie wierzę. - James także utracił nieco ze swej zwykłej sztywności. - Stary drań.

- Panie Hastings?

- Tak?

- Czy mogłabym coś zasugerować? Proszę nie dzwonić do niego. On uczynił panu afront. Proszę odczekać dzień lub dwa.

James powiedział wolno:

- Może tak zrobię, Ruth. Osobiste animozje są bez znaczenia, ważna jest natomiast moja pozycja jako reprezentanta DE. Zadzwoń ponownie w środę. Do tego czasu Karakow powinien już być po rozmowie z Davidem Wassermanem.

Iwan Leonid Karakow urodził się w obskurnym nowojorskim domu czynszowym siedemdziesiąt jeden lat temu. Jego dziadek był handlarzem diamentów, który krążył od domu do domu, oferując kamienie bogatej burżuazji Smoleńska. Okazyjnie handlował także z ziemiaństwem. Sprzedawał też złote i srebrne ozdoby, puzderka i inne drobiazgi. Dużo podróżował, prowadząc wymianę z innymi kupcami. Był już w średnim wieku, gdy rozpoczął się kolejny pogrom. Jakże często przedtem musiał zbierać swoją rodzinę i szukać schronienia, podczas gdy plądrowano jego dom, a przyjaciół przepędzano po ulicach. Podjął taką samą decyzję jak wielu jego rodaków na całym świecie. Opuścił Rosję i wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Ojciec Iwana był jego najstarszym synem i liczył sobie dwadzieścia lat, gdy rodzina osiedliła się w Nowym Jorku. Nikt z nich nie znał słowa po angielsku, nie mieli tu żadnych krewnych, jednak wspólnota żydowska przygarnęła ich i pomogła im stanąć na nogi.

Ojciec Iwana przejął rodzinny interes i zaczął z kolei uczyć reguł gry dorastającego syna. Naprawdę nie nazywali się Karakow. To Iwan wybrał sobie to nazwisko, opuszczając dom. Zobaczył je w centrum miasta, na szyldzie sklepu oferującego eleganckie wyroby ze skóry i zafascynowało go jego brzmienie. Miał wówczas dwadzieścia pięć lat i był pełen energii. Marzyły mu się rzeczy wielkie, śmiałe, niemożliwe do zrealizowania. Jego konserwatywny ojciec odżegnywał się od tych pomysłów. Ojciec był dobrym człowiekiem i kochał syna, ale miał ciasne poglądy i brakowało mu fantazji. Prowadził niewielki interes i wcale nie pragnął go powiększać. Nie chciał też, by syn go rozszerzał, tak że Iwan zdecydował się działać na własny rachunek. Zaciągnął pożyczkę i zainwestował pieniądze w diamenty, głównie nieoszlifowane. Wynajął pomieszczenia w centrum miasta i zamówił wizytówki z nadrukiem: *Iwan Karakow. Diamenty*. Firma zaczęła się powiększać. Jeśli idzie o interesy, a zwłaszcza o diamenty, Iwan był niemal geniuszem. Ojciec dobrze go wyszkolił. Miał ogromną

wiedzę o kamieniach szlachetnych, a teraz nauczył się jeszcze więcej. Posiadał prawdziwy szósty zmysł, który pozwalał mu oceniać, co jest wartościowe i co się dobrze sprzeda. I potrafił postępować z ludźmi. Nawet jego wrogowie mówili o nim, że gdyby zechciał, potrafiłby sprzedać diament samym Oppenheimerom.

Splacił zaciągniętą pożyczkę, a jego konto w banku urosło do kwoty stu tysięcy dolarów. W tym czasie miał trzydzieści jeden lat. Jego salon znajdował się w eleganckiej dzielnicy, w pobliżu Pięćdziesiątej Ulicy Wschodniej. Karakow był na tyle sprytny, by nie pchać się do słynnego Pasa Diamentowego przy Czterdziestej Szóstej Ulicy, gdzie sklepy jubilerskie spotykało się dosłownie co pięć jardów i gdzie przychodzili turyści wyłącznie po to, aby poprzyglądać się wystawom. Nie chciał się identyfikować z jubilerską resztą. W ten sposób ludzie łatwiej go zapamiętywali. Zresztą nietrudno go było zapamiętać, a nawet polubić, zwłaszcza tym, którym coś sprzedał. Wysoki, tęgi, z mocno łysiejącą głową, starannie wypiełgnowanym wąsikiem i drobnymi, ostrymi rysami twarzy. Nosił okulary, zza których żywo połyskiwały jego rozbiegane oczy, niepotrafiące skoncentrować się dłużej na jednym obiekcie, chyba że to był diament. Wtedy badały go niespiesznie, studiując grę kolorów i załamania światła, szukając skaz, nieregularności, rozważając możliwości oszlifowania. Karakow miał zmysł artystyczny i kochał ryzyko. Jego ulubioną anegdotą o nim samym stała się historyjka o tym, jak to w kilka lat po otwarciu swojej firmy w Nowym Jorku, kiedy jego nazwisko zaczynało już być znane w towarzystwie, złożył wizytę pewnej bogatej damie mieszkającej na Long Island i słynącej z posiadanej biżuterii. Gdy tylko otworzył walizeczkę, by pokazać jej swoje skarby, zorientował się, że dama nie ma zamiaru niczego kupować. Chciała mu po prostu pokazać swoje klejnoty i uzyskać za darmo ich wycenę. Była to sztuczka często stosowana przez klientów. Kupcy tracili tylko czas, a podobne wizyty rzadko kończyły się sprzedażem czegokolwiek.

Ale Iwan poszedł w to jak w dym - jak zwykł mawiać. Odłożył na bok przyniesione przez siebie precjoza i zasiadł do długiej pogawędki z klientką na temat wartości jej biżuterii. Podziwiał każdy klejnot, kiedy wspominała ceny, nigdy nie powiedział, że - jego zdaniem - przepłaciła. Prawił jej komplementy, opowiadał najprzeróżniejsze historie i coraz to brał do ręki przepiękny soliter i przyglądał mu się z uwagą. „To nie jest na sprzedaż” - powiedziała szybko. Wspomnienie tego, jak dobrze się bawił, zawsze śmieszyło Iwana. Zaprotestował, mówiąc, że absolutnie nie myślał o kupnie; po prostu jest to jeden z najpiękniejszych diamentów, jakie widział w swoim życiu. Nawet gdyby chciała mu go sprzedać, nigdy nie byłby w stanie zapłacić tyle, ile kamień jest wart. Natomiast wielka szkoda, że ma tak nieodpowiedni szlif. Wytłumaczył jej, że jego zdaniem można by poprawić grę światła obcinając boki i eliminując drobną skazę przy zewnętrznej krawędzi. Gdyby to zrobić, mówił, miałaby naprawdę unikalny diament, wart trzy razy więcej niż obecnie. Późnym popołudniem opuścił jej dom z diamentem i umową na przeszlifowanie i ponowną oprawę. Wrócił do Nowego Jorku i natychmiast udał się do najlepszego szlifierza. Wiedział, że diament wymaga nowego szlifowania i że tylko jedna osoba jest w stanie tego dokonać. Szlifierz miał własny warsztat, w którym zatrudniał swoich trzech synów. Przez trzy tygodnie siedzieli wspólnie z Iwanem przy stole, dokonywali pomiarów, szkicowali projekty. Zgodzili się z jego opinią, że diament wymaga przeszlifowania. Miał nieco ponad 45 karatów i piękny niebiesko-biały odcień, ale szlif kiepski. Rezultat obróbki może się okazać znakomity. Ale Iwan znał swoją klientkę. Wiedział, że diament trzeba przeszlifować tak, by jego uroda zrekompensowała utratę wagi; wzór musi uwypuklać zarówno wielkość jak i kolor. Wreszcie po trzech tygodniach uzgodnili wspólny projekt. Tak narodził się słynny szlif Karakowa. Obecnie diament miał kształt butonu i ważył 29.8 karata. Umieszczony w pierścionku, zachwycał czystością i blaskiem. Iwan zażądał od właścicielki znacznie większej sumy za swą pracę, niż mógłby zażądać

za jakikolwiek kamień ze swoich nieszlifowanych zapasów. Po tym wszystkim został zasypany zamówieniami na solitery w kształcie butonów. Ze szlifierzem spisał stałą umowę i zatrudnił jednego z jego synów w swoim nowym biurze jako konsultanta. Wieść, że opracowano nowy sposób szlifowania diamentów rozszła się szeroko i stała się wydarzeniem na rynku. Mimo że jego szlif zaczęto powszechnie kopiować, i tak nikt nie mógł dotrzymać mu kroku. Iwan nabywał największe i najczystszej wody kamienie i po oszlifowaniu żądał za nie ogromnych sum. Samo robienie interesów sprawiało mu jeszcze większą przyjemność niż zarabianie pieniędzy. Zatrudnił najlepszych fachowców i płacił im bająnskie sumy. W wieku trzydziestu siedmiu lat został milionerem. Wtedy ożenił się z Laurą Hancock. Przedtem był zbyt zajęty, by myśleć o małżeństwie. Jego ojciec umarł, trapiąc się myślą, że starszy syn nie miał czasu, by założyć rodzinę, a młodszy w ogóle nie był tym zainteresowany. Przejął schedę po ojcu i to go zadowoliło.

Iwan lubił kobiety. Relaksował się w ich towarzystwie, one lubiły opowiadane przez niego historie i sypiały z nim chętnie w nadziei, że może zostaną obdarowane diamentami, co się istotnie zdarzało. Większość jego kochanek naprawdę darzyła go sympatią. Iwan był bardzo męski i w trakcie gry miłosnej potrafił nie tylko brać, ale i dawać. Najbardziej pociągały go blondynki. Lubił kobiety wysokie, gdyż to napełniało go poczuciem ważności, bez troskie i głupie, pod warunkiem, że nie były aż tak głupie, by nie wiedzieć, jak się zachować. Korzystał z wszelkich uroków życia. Laurę Hancock poznał na przyjęciu wydanym przez jednego z klientów. Była znacznie niższa od niego, miała jasną karnację i złociste włosy. Wyglądała jak ładna laleczka. Jej ojciec był bogatym i znanym na całym Wschodnim Wybrzeżu psychiatrą. Poza Laurą nie miał dzieci. Bardzo pewna siebie, bardzo inteligentna; skończyła Vasar, czym mu zaimponowała. Uznał, że jest fascynująca.

Zaprosił ją na wieczór, ale nawet nie próbował się z nią prześpać. Jedno spojrzenie w jej błyszczące oczy powiedziało mu, że

nie pozwoliłaby na to. Po sześciu miesiącach znajomości poprosił ją o rękę. Oboje mieli poczucie, że dają początek nowej dynastii. Udali się do łóżka niczym para królewska z zamiarem spółżenia potomstwa. Laleczka okazała się prawdziwą entuzjastką seksu.

Dla Iwana Laura była w każdym calu doskonałością. Miał w niej kochankę, żonę, która prowadziła dom z perfekcją maszyny, matkę dwóch córek i partnerkę w interesach, orientującą się w sprawach firmy lepiej niż ktokolwiek inny. Wielkim rozczarowaniem dla niego było, że nie urodziła mu syna, ale przecież nie mógł jej za to winić. Po wielu latach małżeństwa przestał zwracać uwagę na jej charakter i wielce się zdumiał, kiedy w pewnym momencie odkrył, że bynajmniej nie jest sympatyczna. Owszem, była mądra, pracowita, nigdy mu nie dokuczała, chyba że zrobił zły - w jej mniemaniu - interes, utrzymywała dobre stosunki z ludźmi, z którymi należało żyć w zgodzie. Była dobrą matką, troszczącą się o zdrowie i edukację córek; informowała go o wszystkim, co ich dotyczyło, nie zwracając przy tym głowy drobiazgam. Podzielała jego pasję do gromadzenia kosztowności, tak że ich obecne mieszkanie przypominało salon wystawowy, ale mimo złotej zastawy i łóżka należącego niegdyś do cesarzowej Józefiny smak Laury sprawił, że nie było w nim nic z wulgarnej ostentacji. Natomiast nie potrafiła być miła ani czuła dla nikogo oprócz swoich córek. Uświadomił sobie, że go nie kochała. Dla Laury miłość oznaczała seks i kiedy mówiła o miłości, miała na myśli pożądanie. Po tym odkryciu zaczął poszukiwać miłości poza łóżem małżeńskim. W latach sześćdziesiątych jego firma przechodziła kryzys. W Stanach pojawił się błyskotliwy jubiler, który zachwyił wszystkich olśniewającym szlifem własnego projektu i przebojem zdobył amerykański rynek. Harry Winston miał fenomenalny talent i Iwan zdawał sobie sprawę z tego, że jego pozycja jest zagrożona. Amerykanie lubili ludzi nowych, wśród bogaczy nie obowiązywała lojalność; wszyscy szli za najświeższą modą, a Winston był najnowszy i najbardziej dynamiczny spośród jubilerów. Iwan już widział upadek swojej firmy, co wpędziło

go niemal w kliniczną depresję.

Laura zachowała zimną krew i rozsądek. „Wy, Rosjanie, kochacie biadać i żałamywać ręce - powiedziała mu. - Nie możesz konkurować z Harrym, więc nawet nie próbuj”. To był jej pomysł, by cały interes przenieść do Paryża, zostawiając tylko salon na Park Avenue, dla zaznaczenia swojej obecności na rynku. On sam nigdy by na to nie wpadł. Czuł się związany z rynkiem amerykańskim. Jak wykazały pierwsze sondaże, Europa była w okresie rozkwitu. Niemcy - mimo że przecięte na pół - dokonały cudu gospodarczego, Francja przeżywała okres prosperity po zakończeniu wojny w Algierii i ustabilizowaniu się rządu de Gaulle'a. Japonia i eksportujące ropę kraje Bliskiego Wschodu opływały wręcz w bogactwa, a japońscy i arabscy multimilionerzy prześcigali się w wydawaniu pieniędzy.

Przeprowadzka do Paryża nappełniła Iwana entuzjazmem. Odkrył na nowo swoje europejskie korzenie. Mówiąc z nowojorskim akcentem, określał siebie jako rosyjskiego emigranta. Mniej więcej w tym czasie odkrył, że Laura sypia z jednym z jego młodych sprzedawców. Był to dla niego prawdziwy szok. Do tej pory sądził, że mimo licznych blondynek udało mu się uczynić Laurę szczęśliwą. Sprzedawcę natychmiast wylał z posady. Gdy robił żonie gorzkie wymówki, popatrzyła na niego, wzruszyła ramionami i rzekła spokojnie: „O co się tak wściekasz? Przecież to nic nie znaczy. Ty jesteś albo zajęty, albo zmęczony. Poświęć mi więcej uwagi, a nie będę tego robiła”. Gdy po pięciu latach ponownie przyłapał ją na zdradzie, było już za późno. Córki dorosły, jemu samemu nie zależało na niej aż tak bardzo, by jej grozić. Po prostu powiedział jej, by zachowywała ostrożność, i nigdy już nie wracał do tego tematu. Laura sama odprawiła aktualnego kochanka. Tym razem francuskiego sprzedawcę, jeszcze młodszego od tamtego Amerykanina. Teraz już wiedział, czego może od niej oczekiwać. Pocieszał się w ramionach pogodnej Szwedki, która pracowała w paryskim biurze. Odwiedzał ją przez ponad rok, a ponieważ była dla niego miła i matkowała mu nieco, ofiarował

jej cenny brylant jako prezent pożegnalny. Kamień ważył niecałe 9 karatów i miał nie zwykle czysty odcień. Iwan kazał oprawić go jako wisior w platynowym naszyjniku. Żałował, że nie miał ze sobą aparatu fotograficznego, by móc zrobić zdjęcie twarzy dziewczyny, w chwili gdy zobaczyła prezent. Mogłoby stanowić reklamowe zdjęcie roku. W dwa dni później w sklepie pojawiła się Laura. Wskazała dwudziestokaratowy niebiesko-biały brylant wyceniony na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów i powiedziała, że chciałaby go mieć osadzony w pierścionku, jako że nie lubi naszyjników. Zawsze potem powtarzał, że ta Szwedka była najdroższą dupą, jaką kiedykolwiek miał. Cały Iwan, taki miał charakter. Zbliżał się już do pewnego wieku i lubił, gdy mówiono o nim w ten sposób. Klientom zaczął opowiadać historie o początkach swojej kariery. Mocno przy tym ubarwiał swoje dykteryjki i w końcu sam zaczął w nie wierzyć. Wyspecjalizowanej agencji zlecił zbieranie wycinków prasowych na swój temat, tak że mógł przeczytać wszystko, co kiedykolwiek napisano o nim i o jego firmie. Zaczął kupować słynne kamienie, nie żeby je przeszlifować i ponownie sprzedać, lecz by zapewnić sobie rozgłos. Kochał szlachetne kamienie. Jego agenci uczestniczyli we wszystkich aukcjach w Londynie, Paryżu, Amsterdamie i w Rzymie, i jeśli na rynku pojawiał się jakiś naprawdę niezwykły kamień, amsterdamscy handlarze zawsze zwracali się najpierw do nich. Zatrudnił też człowieka nazwiskiem Ernst Richter, którego uważał za największego na świecie znawcę diamentów, lepszego nawet niż David Wasserman z DE. Iwan lubił Ernsta i miał do niego pełne zaufanie. Ernst jeździł po całym świecie i skupował dla niego diamenty. W wyborze najlepszych okazów naprawdę można było na nim polegać. To właśnie powtarzające się skargi Ernsta stały się zarzewiem wojny z DE. Iwan miał już swoje lata i lubił to podkreślać. Lubił też głośno uskarżać się, że musi ciężko pracować, że nigdy nie ma czasu na odpoczynek. A przecież był silny jak koń i żwawy. Jeśli nawet przez ostatni rok czy dwa obniżył nieco loty,

to wojna z DE była dla niego niczym nowa wyprawa dla starego konkwistadora. Po śmierci Harry'ego Winstona znów stał się numerem pierwszym na rynku jubilerskim i doskonale o tym wiedział. Był świadomy potęgi, jaką dawały mu pieniądze i prestiż. To u niego najwytworniejsze damy nabywały swoją biżuterię. Karakow skupował drogocenne klejnoty, a następnie nakładał na nie takie ceny, że tylko nieliczni mogli sobie pozwolić na ich kupno. Na przykład te czerwone diamenty. Były jego sekretną bronią w wojnie, którą ogłosił przeciw DE. Posiadając takie skarby, da radę złamać ich monopol i - jeśli zechce - nałożyć okup na cały przemysł diamentowy. A zechce z całą pewnością. Otwarcie restrykcyjnego światowego rynku diamentów dla liberalnej ostatnio Rosji, z którą się identyfikował, uważał za swoje posłannictwo. Zapomniał o dziadku i pogromach, o swoim kulturowym dziedzictwie i przedstawiał się jako patriota powracający do swoich rosyjskich korzeni. Posiadanym przez siebie diamentom nadał fałszywą nazwę i wymyślił im carską proveniencję, zaspokajając tym samym swoje upodobania do monarchii. Diamenty Romanowych, dawna własność naznaczonej piętnem zguby rodziny carskiej... Spoczywały zamknięte w sejfie umieszczonym w potężnej stalowej szafie w jego biurze i nikt poza Ernstem Richterem i jego szlifierzami ich nie widział. Nawet Laura. Pozwolił jednak, by wieść o nich rozeszła się po rynku, pewien, że za jakiś czas grube ryby złapią przynętę. Zwłaszcza jedna z nich. Największa. Jego najbogatszy i najsprytniejszy klient. Człowiek, który targowałby się ostro, gdyby go bezpośrednio zachęcić.

Ale na to Iwan był zbyt mądry. Znał Arabów. Byli zrodzeni do handlu, podobnie jak jego żydowscy przodkowie. Samo targowanie się kochali jeszcze bardziej niż kupowanie i sprzedawanie. To na europejską kochankę arabskiego milionera zastawił przynętę. Teraz pozostawało tylko czekać cierpliwie, bez ruchu, aż dama odpowiednio urobi oczarowanego nią księcia. Iwan miał na uwadze i inne ofiary. Aktorkę, która wycofała się ze sceny i wyszła za mąż za brazylijskiego milionera, oraz właściciela jednej z

największych sieci sklepów, który miał nową, młodą żonę, lubiącą prezenty - podczas sześciu miesięcy małżeństwa dostała już jacht i dom na Jamajce, a w pierścionku zaręczynowym nosiła jeden z szesnastokaratowych brylantów Iwana, wyceniony na trzysta tysięcy dolarów. W grę mógł wchodzić także mało znany włoski producent samochodów, który, odkąd Iwan przeniósł się do Paryża, był jego stałym klientem. Jego żona miała bezkonkurencyjną kolekcję fantazji, które Iwan osobiście dla niej zgromadził, jednak nigdy ich nie nosiła. W czasie pobytu w Mediolanie Iwan z wściekłością odkrył, że wszystkie jego piękne kamienie trzymała w specjalnej kasetce w stalowym sejfie. Czasami tylko otwierała sejf, by się nimi nacieszyć i pokazać wybranym gościom.

Ci Włosi zostali prywatnymi klientami Karakowa dzięki jego zięciowi, księciu Eugene Titulescu.

Piętnaście generacji rumuńskich arystokratów przyczyniło się do wyprodukowania tego naganiacza o nienagannych manierach, zawsze nieskazitelnie ubranego, który żył w wielkim stylu i obracał się wśród możnych i znanych tego świata dzięki łaskawości płacącego za to teścia. Titulescu był głupi, ale nie zdeprawowany i robił doskonały użytek z dwóch swoich największych zalet: czarujących manier i nazwiska. Potrafił znakomicie wykorzystać gościnność paryżan i nigdy nie usiłował sam nikomu niczego sprzedawać, natomiast odnosił wielkie sukcesy przedstawiając najbogatszych klientów Karakowowi.

Bardzo lubił kobiety i otaczał je czysto platoniczną admiracją. Z pierwszą żoną, którą poślubił, gdy oboje byli bardzo młodzi, nie był szczęśliwy, gdyż nie potrafił zaspokoić jej namiętnej natury. Dzieci nie mieli. Gdy żona zginęła w wypadku samochodowym, poczuł jednocześnie wyrzuty sumienia i ulgę. Pierwsza wojna światowa nadwreżyła fortunę Titulescu i nadszarpnęła ich majątki ziemskie. Jednakże rodzinie księcia udało się żyć niemal tak jak dawniej. Jeździli na polowania, strzelali, spędzali część roku w Bukareszcie. W drugiej wojnie książę brał osobiście udział i to na froncie rosyjskim. To doświadczenie wystarczyło, by nabrał

głębokiej odrazy do wszelkich niewygód i niebezpieczeństw.

Był jednym z pierwszych, którzy opuścili kraj, gdy Rosjanie utworzyli w Bukareszcie marionetkowy rząd. Zabrał trochę kosztowności, niewielki, zwinięty w rulon obrazek, który ukrył w walizce, i udał się do Francji, gdzie miał przyjaciół. Za klejnoty dostał sporą sumkę, a obraz Vermeera sprzedał na aukcji u Sotheby's w Londynie. Miał teraz wystarczającą ilość pieniędzy, by kupić eleganckie mieszkanie i odnowić kontakty z przyjaciółmi. To właśnie przez nich poznał Iwana Karakowa. Iwan od razu dostrzegł jego możliwości, ale to Laura pierwsza zwróciła się do księcia po trzymiesięcznej batalii, podczas której karmiono go, pojono, zapraszano na weekendy do zamku Karakowów w Normandii. Na początku Iwan trochę się go obawiał; księżę nosił monokl na czarnej wstążeczce, a jego maniere były szalenie arystokratyczne, ale kiedy zaczął wypisywać czek, Karakow od razu poczuł się lepiej. Księżę ze swej strony był zachwycony. Przez te trzy miesiące czekał z nadzieją, nie mając żadnego zajęcia, i z niepokojem obserwując, że pieniądze płyną jak woda. Mobilizował całą swoją odwagę, by poprosić Karakowa o jakieś stanowisko.

Pracował dla niego już dwa lata, kiedy spotkał jego młodszą córkę, Nataszę, która właśnie wróciła z Meksyku po rozwodzie z niemieckim naciągaczem z arystokratycznym tytułem. Titulescu był wobec niej czarujący, gdyż nie leżało w jego naturze inne zachowanie w towarzystwie kobiety, i szczerze się zdziwił, gdy zaproponowała mu małżeństwo. To odwrócenie ról tak go zbiło z pantafelku, że nie zdołał wymyślić żadnej przekonującej wymówki. Podjęto decyzję za niego, a Iwan przeprowadził z nim krótką rozmowę, w której oznajmił mu, że jest szczęściarzem, lecz nie ma co liczyć na jakieś specjalne przywileje i życie na koszt Nataszy.

Swoją żonę Titulescu lubił w pewien bierny sposób; dla niej natomiast to małżeństwo stanowiło miły odpoczynek po doświadczeniach z baronem, który zdradzał ją na prawo i lewo

i podbił jej oko, gdy się poskarżyła. Z księciem czuła się szczęśliwa i bardzo go lubiła. Udało im się nawet zadowolić jej rodziców, obdarzając ich wnukiem.

Titulescu był zdumiony i szczęśliwy. Wreszcie mógł ode tchnąć z ulgą, że nie zostanie wygnany z rodziny jak ów niemiecki baron.

Świat powojenny nie sprzyjał dżentelmenom. Większość pracodawców nie zatrudniłaby ich, mimo ich tytułów arystokratycznych, gdyby nie mieli do zaoferowania czegoś takiego jak stopień naukowy czy wiedza specjalistyczna. A cała wiedza księcia Titulescu sprowadzała się do tego, jak żyć w wielkim stylu. Znał się na wyszukanych potrawach i winach. Kiedy Laura podejmowała obiadem jakiegoś ważnego klienta, często zasięgała jego rady, zupełnie jakby był kimś w rodzaju kamerdynera, on zaś radził jej taktownie, co z czym podać. Zawsze traktowała go w ten sposób, nawet gdy już został jej zięciem. Karakowowie nie szczędzili mu różnych drobnych upokorzeń, ale on nie żywił do nich urazy. Rozumiał, że uważali za stosowne przypominać mu, że jest ich płatnym pracownikiem, i wybaczał im to. Udało mu się zachować spokój nawet wówczas, gdy podczas zebrania Iwan publicznie nazwał jego sugestię „kupą gówna”. Książę już dawno wyzbył się dumy. Jeśli teraz był z czegoś dumny, to z tego, jak znakomicie udało mu się przeżyć utratę majątków i pieniędzy, podczas gdy tak wielu jego przyjaciół zbankrutowało lub straciło życie. Gdyby udało mu się doprowadzić do sprzedaży Diamentów Romanowych - skrzywił się na samą nazwę - dostałby ogromną prowizję.

Tego ranka sekretarka Karakowa połączyła się z nim przez wewnętrzny telefon i zapytała, czy przyjmie Hastingsa z Diamond Enterprises, który właśnie przebywa w Paryżu.

- Nie - warknął Iwan. - Proszę powiedzieć, że jestem na zebraniu. Niech zadzwoni jeszcze raz, najlepiej w przyszłym tygodniu. - Wyłączył telefon. - A temu gnojkiowi wydaje się, że kim on jest? - powiedział głośno. - Co ten Heyderman sobie wyobraża, że przyszła mi jakiegoś gońca? Jeśli chce czegoś ode mnie, niech się

sam pofatyguje albo przyśle Harrisa. Jakiś chłopak na posyłki!

Iwan zniechęcił Juliusa od pierwszego wejścia, a Julius też nie zadał sobie trudu, by oczarować Iwana. Był poirytowany na Karakowa za te wszystkie kłopoty i skargi na jakość diamentów. Najbardziej zaś drażniło go to, że w jego biurze spotkał Ernsta Richtera. Zachowywał się nieuprzejmie wobec nich obu, a księcia Titulescu zignorował. Złożył Iwanowi mnóstwo obietnic, przemawiając bardzo arbitralnym tonem, następnie wrócił do domu i wydał instrukcje, by podczas najbliższego pokazu agencji Karakowa otrzymali dwa naprawdę kiepskie pakiety, a potem jeden wartościowy, ale o pięć procent droższy. Wyobrażał sobie, że to go czegoś nauczy. Ale nie nauczyło. Oczywiście, takie traktowanie mogło się skończyć sukcesem, gdyż Karakow nie był głupcem i w swoim życiu zawarł już wystarczająco dużo kompromisów, by móc zawrzeć jeszcze jeden, aczkolwiek ten nie należał do łatwych do przełknięcia. Ale wtedy pojawił się Mirkowicz z propozycją dotyczącą kopalni w Archangielsku. Rosyjska propozycja nieoczekiwanie dawała Iwanowi atuty w walce z DE. Miał szansę na zwycięstwo.

Mirkowicz - flegmatyczny mężczyzna w wieku około trzydziestu trzech lat - przyjechał, by złożyć konkretną propozycję, a Iwan był akurat w odpowiednim nastroju, by go wysłuchać. Ernst Richter poinformował go właśnie, że ostatnia aukcja w Antwerpii była tak kiepska, że dosłownie nic nie kupił. Wiadomość ta sprawiła Iwana w fatalny humor.

Rosjanie odkryli u siebie rewelacyjne złoża i rozpoczynają ich eksploatację, twierdził Mirkowicz; swój wywód poparł próbkami. Karakow przyjrzał się dokładnie kamieniom i pokazał je swojemu głównemu rzeczoznawcy.

- Dobrze - rzeczoznawca odjął lupę od oka - bardzo dobre. Znakomite.

Dwa miały powyżej osiemdziesięciu karatów i były diamentami najwyższej próby. Karakow nie odzywał się. Czuł, że to jeszcze nie wszystko.

- Mamy też oszlifowane fantazje - mówił Mirkowicz. - Nasze urzędnicy nie są tak dobre jak wasze. Te kamienie na przykład były szlifowane w Smoleńsku...

- Moje rodzinne miasto - wtrącił Iwan.

- ...a te w Irkucku. Mamy błękitne, trochę zielonych, ale niezupełnie czyste, cyfamonowe o bardzo intensywnym odcieniu... i takie - Mirkowicz wyciągnął pudełko nie większe od pudełka papierosów.

Przed oczami Iwana zamigotał purpurowy płomień. Rzeczoznawca wydał głośny okrzyk. Iwan odwrócił się i kazał mu wyjść. Nawet ekspertowi nie pozwoliliby ich dotknąć. Potem zamienił z nim parę słów na temat nie rozgłaszania tego, co widział.

Wyjmował diamenty jeden po drugim, oglądał przez szkło powiększające, podnosił do światła, dotykał pieścztotliwie. W końcu popatrzył na Mirkowicza.

- Takie też tam wydobywacie?

- Owszem - przytaknął Mirkowicz spokojnie. - W dużych ilościach. Niektóre w stanie surowym są bardzo duże, zbyt duże dla nas, byśmy mogli je ciąć i szlifować bez ryzyka zniszczenia. Te tutaj to zwykle próbki.

Iwanowi wydawało się, że lada moment dostanie ataku serca. Czuł, jak klatkę piersiową ściska mu żelazna obręcz, nie mógł złapać oddechu, a puls walił mu jak oszalały. Jak powiedział później żonie, był to najbardziej ekscytujący moment w jego życiu. Po długim milczeniu oznajmił:

- Byłoby najlepiej, gdybym pojechał do Moskwy na bezpośrednie rozmowy. Ale najpierw chciałbym zobaczyć kopalnię.

Kiedy ściskali sobie ręce, dłoń Iwana drżała; tak przynajmniej powiedział później Laurze. Mirkowicz popatrzył na niego i uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że zawrzemy umowę, która przyniesie korzyści nam obu.

Iwan dobrze pamiętał tamto wydarzenie. Teraz uśmiechnął się szyderczo. Tracić czas na jakiegoś chłoptysia z DE? Z tym co ma

w sejfie i z ugodą z Moskwą, która ma być podpisana i ratyfikowana za trzy miesiące? Teraz DE może się wypchać.

Dick Kruger obejrzał plany nowego jachtu Arthura Harrisa, rzucił okiem na dokumentację, pochwalił projekty i powiedział wszystko, co wypadło powiedzieć. Wiedział, że Arthur pragnie, aby ktoś podzielił jego entuzjazm, choć doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że to, czego Dick nie wie na temat jachtów, wypełniłoby grubą księgę.

Wyczuł, że Dick jest niespokojny; domyślił się, że to wyjazd Ruth do Paryżu tak go nastroił. Oczywiście Christina nie przyczyniła się do poprawy nastroju. Nie, żeby zachowywała się nieuprzejmie wobec Krugera. Wręcz przeciwnie. Była wobec niego czarująca, za to jeszcze bardziej złośliwa wobec Arthura. Weszła do gabinetu i odezwała się zboląłym głosem, przerywając mu objaśnienia na temat możliwości jego nowej zabawki:

- Kochanie, chyba już dostatecznie długo zanudzałeś biednego Dicka. - Następnie zwróciła się do Dicka z promiennym uśmiechem: - Arthur jest takim zapaleńcem. Wydaje mu się, że każdy musi podzielać jego obsesyjne pragnienie zwycięstwa. Kłopot polega na tym, że przez ostatnie lata coś nam się nie udaje. Pierwszej nagrody nie wywalczyliśmy już od czterech lat, ale Arthur nie ustaje w wysiłkach, prawda, Arthurze? Chodźcie, napijemy się przed obiadem. Wiesz, Dick, na obiad przychodzą nasi przyjaciele, Sonia i Ralph Mathewsowie. Nie mają nic wspólnego z żeglarstwem, zaręczam.

Dick Kruger wiedział, co nastąpi dalej. Bywał u Harrisów już wcześniej i zawsze cierpiał katusze wraz z Arthurem. Ostatnim razem, gdy była z nim jeszcze Valerie, gburowaty syn Arthura przyłączył się do matki w dokuczaniu ojcu. Patrząc na tego chłopaka, Kruger dziękował Bogu, że Valerie nie mogła mieć dzieci. Nigdy by nie dopuścił do tego, by jego syn wyrósł na coś takiego jak Martin Harris. Valerie wcale nie współczuła Arthurowi. Pamiętał, jak drażniły go jej uwagi. „Dlaczego on to w ogóle toleruje?

Przecież wcale nie musi się jej trzymać... Niektórzy mężczyźni lubią, jak się ich poniża... Ze sposobu, w jaki Christa go traktuje wnoszę, że straciła już ochotę na niego...” Dick wybuchnął wtedy gniewem. Był zawsze lojalny wobec Arthura, który przecież go wspierał i promował. Jego żona to prawdziwa wiedźma, a Arthur jest po prostu zbyt delikatny, by wytrzymać z nią i z tym synem. Niewybredne aluzje seksualne Valerie wprawiły go we wściekłość.

Valerie niemal nie odstępowała Christiny Harris. Zawsze powtarzała, jak bardzo ceni sobie przyjaźń kobiet i ten specjalny rodzaj zażyłości, jaka wytwarza się między kobietami. Zupełnie jakby mężczyźni byli kimś w rodzaju wrogów. Czuł, że postępowanie Valerie ma być dla niego nauką, choć nie widział powodu, dla którego miałyby na nią zasłużyć. Ruth nigdy nie interesowała się innymi kobietami. Nie miała przyjaciółek, z którymi umawiałyby się na lunch czy na zakupy, babskie zajęcia i zainteresowania nudziły ją i była z tego wręcz dumna. „Lubię to, co się dzieje w prawdziwym świecie - mówiła. - W naszym świecie, gdzie zawsze rozgrywa się jakaś akcja”.

To dawało mu satysfakcjonujące poczucie partnerstwa. Podczas obecnego weekendu sporo myślał o Ruth, gnębiony zazdrością i poczuciem osamotnienia. Przyjaciele Christiny, Mathewsowie, stanowili typowy przykład przeciętnej, prowincjonalnej angielskiej pary ziemiańskiej. Byli przerażająco nudni. W ich obecności z rozrzewnieniem pomyślał o swojej ojczyźnie, Południowej Afryce.

Podano obfity, niedzielny lunch, podczas którego Dick czuł się jednocześnie znudzony i chory. Mathewsowie podniesionymi głosami perorowali na temat jakichś wspólnych znajomych. W pewnym momencie Dick zamienił zrozpaczone spojrzenie z Arthurem, który zdawał się doskonale rozumieć jego uczucia. Kiedy przyjęcie miało się już ku końcowi, Arthur zbliżył się do Dicka, układającego akurat w myślach słowa pożegnania, jakie miał zamiar wygłosić do Christy, przeprasząc ją jednocześnie, że musi

ich opuścić tak wcześnie. Arthur dotknął jego ramienia.

- Chciałbym, abyś został, Dick. Muszę coś z tobą przedyskutować. Kiedy tamci sobie pójdą, przyjdź do mojego gabinetu.

Gabinet miał typowo męski wystrój. Nad kominkiem wisiał piękny obraz przedstawiający „Diamentową Damę”, zwycięski jacht Arthura, wszędzie porozstawiane były fotografie i trofea.

- Siadaj, Dick - powiedział Arthur. - Jestem ci bardzo wdzięczny, że przyjechałeś, chociaż naprawdę ciągnęło cię raczej do Paryża.

Dick nie chciał wyznać, że to Ruth nakłoniła go do zmiany planów. Skrzywił się lekko i powiedział:

- Nie ma problemu. Wspaniale spędziłem czas.

Arthur uśmiechnął się smutno i otworzył pudełko cygar Monte Christo. Kruger z przyjemnością sięgnął po jedno.

- Christa nie znosi tego zapachu - powiedział Arthur - więc pałę wyłącznie w gabinecie. Dostałem poufny faks od Reece'a - dodał spokojnie. - Mam go tutaj. Chciałbym, abyś go przeczytał. Poza mną nikt go jeszcze nie widział. Powiesz mi, co o tym myślisz.

Kruger przeczytał faks raz i drugi. Podniósł wzrok na Arthura.

- Chryste - wyjąkał - skąd Reece to wytrzasnął?

- Ma swoje dojscia - odrzekł Arthur. - Nigdy go nie pytałem, kto to taki. Pewnie ktoś przekupiony. Albo szantażowany - dorzucił.

- Garnitur czerwonych diamentów - odczytał Kruger. - Ponad 120 karatów. Ależ muszą być olbrzymie.

- Najczystszej wody, o niezwykłym zabarwieniu. Warte miliony - dodał Arthur spokojnie. - Karakow sprzedaje je na zlecenie Rosjan. Te diamenty to egzemplarze okazowe. Zgodnie z tym, co twierdzi Reece, ma już na widoku klienta: Abdullaha Bin Saladina.

- Jego celem jest francuska przyjaciółka księcia, aktorka Madeline Luchaire - powiedział Kruger. - No jasne. Pomyśl tylko

o tym poruszeniu, o rozgłosie... Będzie górą. Dokonawszy ta kiej transakcji i mając Rosjan dostarczających mu więcej kamieni tego typu, może nas olać i nikt mu nic nie robi.

Arthur zaciągnął się cygarem. Gabinet wypełnił się aromatycznym dymem.

- Julius chce, abym przekazał tę informację Hastingsowi i Wassermanowi. Przesłał faks mnie, gdyż nie jest pewien, czy paryskie biuro jest dostatecznie bezpieczne. To jest jedyny powód. Gdyby to było tydzień czy dwa tygodnie później, gdy Ruth już zorganizuje pracę jak należy, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli.

Kruger czekał. Nie był pewien, do czego Arthur zmierza; zachowywał się tak, jakby po prostu rozkoszował się cygarem w towarzystwie dobrego przyjaciela. Nagle zrozumiał.

- Jeśli Hastings otrzyma tę informację - powiedział - daje mu to do ręki asa atutowego: Madeline Luchaire. Będzie dla niego jasne, że aby uderzyć w Karakowa, należy zablokować sprzedaż tych diamentów. Jest na tyle sprytny, że znajdzie jakiś sposób, by tego dokonać, zwłaszcza jeśli się dowie, że ona jest klientką, ale naprawdę kupuje książkę.

- Tak - zgodził się Arthur - jeśli się dowie.

Zapanowała cisza. „Jeśli...” Kruger obracał w myślach to słowo. Odchrząknął.

- Jak idzie Andrewsowi w Moskwie?

- Prowadzi rozmowy z Borysowem. Zdaje się, że nawiązała się między nimi nić porozumienia, tak przynajmniej twierdzi Ray. Ale targi są bardzo zawzięte, powiadam ci. Bardzo. Będzie nas to sporo kosztowało... żądają długoterminowych zobowiązań... Tak, to trudna sprawa. Powiedziałem Rayowi, aby się nie wahał, żeby wyraził zgodę na wszystko, a potem spróbujemy coś z tego uszarpnąć, już przy ustalaniu szczegółów. To zdolny facet, na pewno doprowadzi sprawę do końca, ale potrzebuje czasu. Rosjanie uczynili naczelną cnotę z przeciągania negocjacji wiedząc, jakie to dla nas frustrujące. Możemy popełnić jakiś błąd,

ogarnięci pragnieniem jak najszybszego osiągnięcia rezultatu. Tak, Andrews potrzebuje czasu. Jestem przekonany, że da sobie radę. A wtedy nasz ambitny przyjaciel w Paryżu może sobie zrobić co chce z tą informacją. Jeśli Rayowi uda się odwieść Rosjan od umowy z Karakowem, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

- Owszem - zgodził się Dick - najmniejszego. Więc myślisz, że nie powinniśmy mu tego przekazać?

- Sprawa wymaga namysłu - odparł Arthur. - Nie wydaje mi się, by należało informować Hastingsa od razu. Dopiero co przyjechał do Paryża, nie spotkał się jeszcze z Karakowem... A poza tym należy dać mu szansę wyperswadowania Karakowowi jego planów bez uciekania się do takich forteli, jak ingerowanie w transakcję na podobną skalę. Nawet gdyby Hastings wiedział, jak tego dokonać... Nie, sądzę, że powinniśmy jakiś czas odczekać... W końcu Julius oddał inicjatywę w nasze ręce. Zgodzisz się ze mną?

Krugerowi pojaśniały oczy.

- O, tak. Andrews zasłużył na sukces. Dlaczego, u diabła, mielibyśmy podawać temu cholernemu Hastingsowi zwycięstwo na talerzu?

- Mamy tę informację w rezerwie - zauważył Arthur. - Na wypadek, gdyby coś nie poszło w Moskwie. Kiedy wybierasz się do Paryża?

- W piątek wieczorem - odparł Kruger. - Na cały weekend. Zupełnie prywatnie.

- Przekaż moje życzenia Ruth - rzekł Arthur, gasząc cygaro.

Dick Kruger wstał. Obaj wyszli z domu. Przy samochodzie podali sobie ręce.

- Dzięki za wspaniały weekend - powiedział Dick. - Pożegnaj ode mnie Christę. Przyśle jej kwiaty.

Christa wyszła wcześniej razem z gośćmi na wystawę zorganizowaną na cel dobroczynny. Arthur wiedział, że wieczorem wróci z jakimś obrazem przeznaczonym na strych. Zawsze była hojna,

gdy w grę wchodził szlachetny cel. Wrócił do gabinetu, włożył faks Reece'a do szuflady biurka i zamknął je na klucz. Dickowi Krugerowi mógł zaufać. Ich interesy były całkowicie zbieżne.

Tego ranka Elisabeth zasnęła. Wieczorem byli na kolacji z klientami w Tour d'Argent. Nie mogli się wręcz opędzić od zaproszeń, a jej tytuł otwierał przed nimi drzwi najwytworniejszych salonów Paryża. Dla niej te wszystkie przyjęcia i kolacje stanowiły spore obciążenie. Została wychowana jak typowa Angielka, więc jej znajomość języków obcych była raczej skromna. Podczas ożywionej konwersacji brakowało jej francuskich słówek. Na szczęście większość ludzi, z którymi nawiązywali kontakty, doskonale mówiła po angielsku. Nowo poznanych mężczyzn Elisabeth uznała za wścibskich i rozflirtowanych. Z kolei kobiety obserwowały ją bacznie ze względu na jej urodę.

Właśnie obudziła się, gdy zadzwonił telefon. Uniosła głowę z poduszki. James wyszedł godzinę wcześniej. Zawsze pojawiał się w biurze o ósmej trzydzieści. Dzisiejszego wieczoru mieli w planie obiad... Najwyższy czas przestać się wylegiwać.

- Tu Jean Pierre Lasalle - powiedział głos tuż przy jej uchu. - Czy madame Hastings?

Uroczy agent nieruchomości. Miała zamiar zaprosić go, ale jakoś do tej pory nie udało jej się tego zrobić. James miał długą listę gości, których pragnął przyjmować.

- Tak. Jak to miło, że pan dzwoni. Jak się pan miewa?

- Dobrze, dziękuję. Pomyślałem, że zadzwonię i zapytam, czy jest pani zadowolona z mieszkania. Czy wszystko jest w porządku?

- Jak najbardziej - zapewniła Elisabeth. - Miałam zamiar do pana zatelefonować, ale odkąd się tu sprowadziliśmy, żyjemy w ciągłym pośpiechu. Nie miałam pojęcia, że paryżanie są tacy gościnni.

- Miło mi to słyszeć - powiedział Lasalle. - Normalnie nie

cieszymy się taką reputacją. Chciałem zapytać, czy nie zjadłaby pani dzisiaj ze mną lunchu i nie poszła na wystawę impresjonistów w Musée d'Orsay. Mam bilety na prywatny pokaz na dzisiejsze popołudnie. Ale może jest pani zajęta?

- Och, wcale nie - odparła. - To doskonały pomysł. Jak to miło z pana strony.

- Przyjadę po panią o pierwszej. Odkryłem nową restauracyjkę. Mam nadzieję, że lubi pani ryby.

- Bardzo. A więc do zobaczenia o pierwszej.

Odłożyła słuchawkę. Jaka miła niespodzianka. James nigdy nie miał czasu, aby pójść z nią na wystawę czy na spacer. Jean Pierre był bardzo sympatyczny; lunch z nim i wizyta w Musée d'Orsay z pewnością okażą się przyjemne. Słyszała już wiele zachwyków na temat przebudowy nieczynnego dworca kolejowego na jedno z najwspanialszych centrów wystawowych Europy. Francuzi rzeczywiście mieli styl. Kochali swoje miasto w taki sposób, o jakim londyńczycy dawno już zapomnieli.

Jean Pierre zjawił się punktualnie o umówionej godzinie. Wszedł do salonu i rozejrzał się dookoła.

- Czarujące - powiedział. - Dokonała pani wielkich zmian. Teraz jest tu o wiele przytulniej. Czy jest pani zadowolona ze swego wyboru?

Elisabeth się uśmiechnęła.

- Jestem. Wolałabym co prawda rue de la Perle, ale ja zawsze miałam kompleks przytulnego schronienia. Miło mi, że podoba się panu wszystko, czego tu dokonałam. Mój mąż trochę się krzywił na te zmiany, wołał, by to mieszkanie było dokładnie takie, jak sobie wymarzył. Czy napije się pan czegoś, zanim wyjdziemy?

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy, bo w przeciwnym razie mógłby nam przepaść stolik. Nie jestem jedynym odkrywcą tego lokalu.

Spędzili bardzo przyjemne popołudnie. Elisabeth poczuła się odprężona. Opowiadała o swojej rodzinie, domu, o Jamesie i o tym, jak ważne dla niego jest, by spotkał się z Karakowem. Jean Pierre okazał się dobrym słuchaczem. Kiedy zapłacili rachunek i ruszyli w stronę Musée d'Orsay, zorientowała się, że zmonopolizowała całą konwersację.

- Przepraszam, zanudzałam pana, cały czas mówiąc wyłącznie o sobie. Z panem tak miło się rozmawia. To dlatego, że nie mam tu żadnych prawdziwych przyjaciół, tylko zwykłych znajomych.

Odwrócił się do niej i powiedział po prostu:

- Jestem panią oczarowany. Pani jest wspaniałą towarzyszką, madame Hastings. Tak się zastanawiam, może potrafiłbym pomóc pani mężowi spotkać Karakowa.

- Mógłby pan? To byłoby wspaniałe. Jak?

- Najpierw obejrzymy obrazy - odparł. - W towarzystwie impresjonistów człowiek nie potrafi myśleć o niczym innym.

Elisabeth straciła poczucie czasu. Jean Pierre okazał się wielkim znawcą i entuzjastą malarstwa. Słuchając jego objaśnień, zaczęła dostrzegać głębię i prawdziwe znaczenie eksponowanych dzieł. Gdy wytłumaczył jej, że rozedrgane kolory Van Gogha są odbiciem cierpienia i choroby psychicznej artysty, po raz pierwszy przemówiły one do niej silniej niż rozmyta paleta Moneta.

Kiedy wyszli, delikatnie ujął ją za ramię i poprowadził w stronę samochodu.

- Teraz ja muszę się usprawiedliwić. Mam nadzieję, że nie znudziłem pani zbyt wiele, ale ten okres w malarstwie to moje hobby. Moja żona miała wspaniały obraz Degasa przedstawiający dwie baletnice ćwiczące przy drążku. Gdy go zabrała odchodząc, miałem złamane serce. O wiele bardziej bolałem nad utratą obrazu niż żony.

Elisabeth była zdumiona goryczą w jego głosie.

- Naprawdę? A może doszedł pan do tego wniosku dopiero później?

Popatrzył na nią, uruchomił silnik i powiedział:

- *Touché!* Bolałem nad utratą jednego i drugiego. To była głupia uwaga, proszę mnie nie oceniać na jej podstawie. Nie chciałbym, aby pani pomyślała, że jestem cyniczny.

Elisabeth powiedziała po prostu:

- To nie brzmiało wcale cynicznie. Raczej tak, jakby pan ciągle jeszcze cierpiał. Czy mogę zadać panu jedno pytanie?

Uśmiechnął się.

- Czy obecnie jest ktoś w moim życiu? Nie ma. Były różne kobiety, ale z żadną nie łączyło mnie nic poważnego. Czy o to chciała pani zapytać?

- Tak. Może powinien pan znaleźć sobie kogoś? To nie powinno być trudne.

- Pochlebiam sobie, że nie - odparł. - Myślę, że może ma pani rację. Powiniennem wystawić się na rynek, tak jak wystawiam swoje mieszkania. Rozwiedziony, lat pięćdziesiąt dwa, zamieszkały w centrum Paryża, właściciel *château* położonego zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od stolicy. Do wzięcia. - Roześmiał się. - Pani jest wspaniała, madame. Wcale pani nie uważa, aby to było zabawne i nie potrafi pani ukryć swoich uczuć. Żartowałem mówiąc, że dałbym podobne ogłoszenie. Ale ma pani rację. Powiniennem znaleźć sobie jakąś wspaniałą kobietę i rozpocząć z nią nowe życie. Jesteśmy na miejscu. Pałac przy rue Constantine.

Wysiadł z samochodu i otworzył przed nią drzwi.

- Dziękuję za lunch i przemiłe popołudnie - powiedziała Elisabeth. - Było bardzo przyjemnie i sporo się dowiedziałam. Postaram się namówić Jamesa, żeby wybrał się tam ze mną... Naprawdę powinien to zobaczyć.

Jean Pierre ujął ją za rękę.

- Powiedziałem, że pomogę mu spotkać się z Karakowem. Pamiętam o tym. Zaproszę Karakowów na obiad. Znam Laure, żonę Iwana. Była przyjaciółką mojej żony i nie skreśliła mnie z listy znajomych, gdy się rozstaliśmy. Pośredniczyłem w wynajęciu

mieszkania dla jej przyjaciół i gdy zaproszę ich na obiad, z pewnością mi nie odmówią i przyjdą. Pani mąż i pani także będziecie obecni.

- To wspaniale - powiedziała Elisabeth. - Powiem Jamesowi, na pewno będzie bardzo wdzięczny.

- Zatelefonuję i podam pani termin. Dziękuję za towarzystwo podczas zwiedzania wystawy. Jeśli interesuje się pani sztuką, w Paryżu jest więcej wystaw, które może zechciałaby pani zobaczyć.

- Och, z przyjemnością - odparła. - Zawsze. Proszę tylko zadzwonić.

Pocałował ją w rękę.

- Z pewnością nie omieszkam tego uczynić.

7.

Dymitr Borysow wyszedł z biura i ruszył spacerem w stronę restauracji. Lubił chodzić. Niebo było jeszcze jasne, a powietrze balsamiczne. Kochał Moskwę o tej porze roku, zanim nadejdą pierwsze ukąszenia mrozu. Przechodnie przepływali tłumnie. Dziewczęta trzymające pod rękę młodych mężczyzn, starszankowie i nieodłączne babuszki, poopatulane szalami, w rozczłapanych butach, obładowane pakunkami, zmierzające w stronę domu. Grupa młodych żołnierzy zaczęła dwie dziewczyny po przeciwnej stronie szerokiej ulicy.

Życie biegło ustalonym trybem. Żadnego poważnego konfliktu, czasami tylko w odległych zakątkach dawnego sowieckiego imperium wybuchały sporadyczne zatargi. Nabrzmiwały niczym czyraki; przecięte lancetem, po pewnym czasie wzbierały w innym miejscu. Potrzeba co najmniej dziesięciu lat, by ustabilizować wielkie państwo rosyjskie. Stabilizacja, potęga gospodarcza, siła. Powrót do statusu światowego mocarstwa. To było marzenie Borysowa. Dlatego właśnie szedł do restauracji na kolację z przedstawicielem imperialistycznego kartelu, Diamond Enterprises. Stopniowo nabierał respektu dla Andrews'a, a nawet - wbrew woli - zaczynał mu ufać. Trochę go też polubił. Borysow był nieodrodnym synem swojego ojca. Znał się na ludziach. Potrafił wyczuwać ich słabości, potrafił rozpoznawać, czy ktoś jest uczciwy. Jego ojciec twierdził, że osoba kłamliwa zawsze roztacza wokół siebie słodkawy zapach, który on potrafi wyczuć. Dymitr sądził, że jest

obdarzony podobną umiejętnością.

Negocjacje toczyły się wolno, ponieważ to Borysow dyktował warunki. Czas pracował na niekorzyść Andrews, który wierzył - bo tak mu powiedział Borysow - że ostateczne szczegóły ugody z Karakowem są uzgadniane na znacznie wyższym szczeblu. W rzeczywistości projekt umowy nie opuścił jego departamentu. Nie dalej jak dzisiaj rano otrzymał telegram od Karakowa z pytaniem, czy są jakieś powody dalszej zwłoki. W ogólnych zarysach warunki zostały już uzgodnione. Teraz Karakow pragnął sprecyzować szczegóły finansowe.

Prywatna restauracja, którą prowadzili rdzenni Rosjanie, była niewielka i może dlatego bardzo zatłoczona; w jej wystroju Andrews nie dostrzegł choćby śladu wpływu zachodniej mody. Niczym nie przykryte stoły, gorące, ciężkie powietrze i najlepsza rosyjska kuchnia w mieście. I wina, jakich nie można było dostać nigdzie indziej. W latach osiemdziesiątych do piwnic napłynęły zapasy z najlepszych składów win z Liwadii, składów, które wywiezione z Krymu i starannie ukryte przetrwały Wielką Wojnę Ojczyźnianą. Najstarsze roczniki tych słodkich win eksportowano teraz na Zachód, gdzie carskie insygnia na butelkach przyciągały wzrok nabywców.

Dymitr zajął stolik, który zawsze dla niego rezerwowano. Czasami przychodził tu z kochanką, jednak ona zdecydowanie wolała restaurację w hotelu Moskwa, gdyż wygląd lokalu był dla niej ważniejszy niż jedzenie. Mimo całej sympatii, jaką ją darzył, to go drażniło.

Kiedyś miał żonę; była psychologiem społecznym. Chciała zrobić karierę i musiała przenieść się do Instytutu Socjologii w Charkowie. On pozostał w Moskwie. Byli małżeństwem tylko rok i nie mieli dzieci. Borysow wcale nie pragnął zawierać ponownie małżeństwa.

Usiadł przy stoliku, zamówił kieliszek pieprzówki i czekał na Andrews. Dymitr Borysow specjalnie przyszedł wcześniej. Lubił tego Anglika, jednak chciał wprawić go w zakłopotanie.

Ray wszedł, rozglądając się niepewnie po nieznanym lokalu, w którym powietrze było ciężkie od dymu i wyziewów dochodzących z kuchni. Borysow podniósł się ze swojego miejsca i uściśnęli sobie ręce.

- Przepraszam - powiedział Ray. - Czy długo już pan czeka?

- Nie, dopiero zamówiłem wódkę. Proszę usiąść, zamówimy coś do zjedzenia i potem będziemy mogli porozmawiać w spokoju. Czy zaufa mi pan na tyle, bym zdecydował za pana o wyborze potraw?

Ray Andrews uśmiechnął się szeroko.

- Przecież ja i tak nie znam żadnej z nich. Ma pan wolną rękę. Tylko z wódką proszę ostrożnie. Nie mam takiej głowy jak wy, Rosjanie.

To Ray zaproponował, by przeszli na ty, jak to się powszechnie praktykuje na Zachodzie, by uczynić proces pertraktacji bardziej demokratycznym. Początkowo sądził, że Borysow odmówi. Ale ten zaskoczył go. Uśmiechnął się i powiedział:

- Demokracja jest teraz w modzie. Tak więc ja jestem Dymitr, a ty Ray. Świetnie. - Potem dodał: - Mam nadzieję, że ci się tu spodoba. To jest miejsce, gdzie my bywamy, chcąc dobrze zjeść i zabawić się. Koło północy będzie tu muzyka.

- Cygańska?

- Nie, to dobre dla turystów. Śpiewak i grajek akompaniujący na bałajce. Pieśniarz ma doskonały tenor. Muzyk najczęściej jest pijany, ale tym lepiej wtedy gra.

Był to, jak Ray napisał następnego dnia w liście do żony, niezwykły wieczór. Od jedzenia dostał, co prawda, niestrawności, ale było ono wspaniałe; potrawy pojawiały się na stole jedna po drugiej. Smakował wino na języku niczym pocałunek. Jedząc i pijąc rozmawiali o umowie, następnie o filozofii i polityce, by potem znowu wrócić do interesów. Nie trudził się opisywaniem samych negocjacji; Susan i tak by tego nie zrozumiała. Skoncentrował się na bardziej interesujących tematach. Pisał o Dymitrze Borysowie w sposób, jaki z pewnością zdumiałby jego żonę. Nowy Rosjanin,

dziedzic sowieckiego systemu, urodzony w elitarnym kręgu Politbiura, aprobujący zmiany, które w oczach ludzi podobnych jego ojcu oznaczały anarchię. Wyznawał ojcowskie ideały i patriotyzm, natomiast odrzucił stary system polityczny, jako nieodpowiedni dla przyszłej Rosji. Tej nocy, gdy na stole pojawiła się kolejna butelka, Ray Andrews poczuł się w pewnym sensie uprzywilejowany. Rosjanin otworzył przed nim swoje serce i duszę. Być może obaj byli trochę pijani. To nie miało znaczenia. Nie zmieniało sensu słów, które zostały wypowiedziane.

- Różnice między nami polegają na tym, że ja negocjuję w imieniu mojego kraju - mówił Dymitr - a ty jesteś przedstawicielem międzynarodowej kompanii egzystującej dzięki monopolowi. Dlatego muszę targować ostro, zdobyć wszystko, co mogę od ciebie wyciągnąć. Bo nie chcę tego dla siebie.

Napełnił kieliszek Raya.

- Wiem - odparł Ray. - Doceniam to. Ale ja także nie działam wyłącznie dla mojej firmy. Stoję dosłownie nad przepaścią. Całe życie pracowałem dla DE. Nie był łatwo; żona i dzieci musiały zawsze schodzić na drugi plan. Tak więc, przyjacielu, jeśli teraz zawalę sprawę, znajdę się w cholernie przykrym położeniu. Rozumiesz teraz, dlaczego z mojej strony targi też będą ostre. Ale moje uczucia nie są wrogie.

Borysow roześmiał się.

- No to się rozumiemy. W pewnym sensie mamy ze sobą wiele wspólnego. Dlatego nasze rozmowy zaszły tak daleko, jak zaszły. Dlatego mogę pertraktować z tobą, Ray. Teraz mogę ci już powiedzieć, że nie lubię Iwana Karakowa ani mu nie dowierzam. Jego interesują wyłącznie zyski, nasycenie siebie i swojej firmy diamentami. Twierdzi, że jest Rosjaninem. Urodził się w Nowym Jorku, więc myśli i mówi jak Amerykanin.

Uwielbia ryzyko i jest tak samo zachłanny, jak wasi ludzie w Londynie i Johannesburgu. Tak więc mam zamiar wybrać między wami obydwojma. A to znaczy, że podpiszę układ z tym, który

oferuje więcej dla mojego kraju. Natychmiastowe, nieoprocentowane pożyczki bezzwrotne z przeznaczeniem na rozbudowę terenów wokół Sytykanskaj, tak byśmy w przeciągu dwóch lat mogli uruchomić kopalnię. Pomoc w oczyszczeniu Bajkału. Przez całe lata wpuszczano do jeziora odpady chemiczne; teraz same opary powodują choroby i śmierć mieszkających tam ludzi. Musimy spróbować rozwiązać ten problem. Potrzebujemy pieniędzy i ekspertyz. Wy możecie nam tego dostarczyć.

Ray powiedział wolno:

- Nigdy przedtem nie wspomniałeś o Bajkale. Prosisz o gwiazdkę z nieba, Dymitr. Nie mogę ci obiecać czegoś aż tak wielkiego. Dlaczego wybrałeś akurat ten moment, by mnie zaskoczyć?

Borysow popatrzył na niego i nalał sobie wódki. Andrews przykrył swój kieliszek dłonią i potrząsnął głową.

- Dlatego - powiedział Borysow - że taka właśnie jest nasza cena. Nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do dzisiaj. Zaprosiłem cię na kolację po to, abyśmy się upili, by łatwiej się rozmawiało.

- Nie jestem pijany - odparł Ray - i nie sądzę, abyś ty był. Mnie nie jest tak łatwo zmiękczyć.

W jego głosie Borysow nie usłyszał urazy.

- Nie sądziłem, by było łatwo - przyznał. - Ale jeszcze nie zrezygnowałeś, prawda? Przez moment, wtedy w gabinecie, chciałeś to zrobić... Tak więc możemy nadal rozmawiać. Negocjacje są ciągle otwarte. Napijmy się jeszcze wina. Już pora na muzykę.

To było naprawdę niecodzienne doświadczenie, jak Andrews napisał później w swoim liście. Trudno było opisać śpiew barda, łączącego w sobie wylewność i dziwną melancholię, solówki wykonywane na bałajce przez chwiejącego się na nogach grajka, gorący aplauz słuchaczy. Niemożliwe oddać w słowach poczucie męskiego braterstwa, jakie zrodziło się między nimi, gdy na zakończenie wieczoru powstali i wzniesli kieliszki we wspólnym

toaście. Andrews był w Rosji pięć lat temu i spędził tu sześć tygodni, ale do tego wieczoru nie wiedział nic o tym mieście ani o jego mieszkańcach A, jak mu powiedział Borysow, Moskwa oznaczała Rosję. To, co widzisz i czujesz tutaj, to jest bijące serce Rosji, mówił. Siedząc w bezosobowym pokoju hotelowym, Andrews opisywał swe wrażenia w liście do kobiety oddalonej o tysiące mil i pragnącej dowiedzieć się tylko, kiedy wraca do domu. Jego słowa brzmiały patetycznie i teatralnie. Przeczytał list jeszcze raz i podarł go. Właściwie nie pisał go dla żony, tylko dla samego siebie.

Sprawdził, która godzina, i zadzwonił do Susan. Powiedział jej, że negocjacje są w toku, że bardzo już tęskni za nią i dziećmi, ale jeszcze nie wie, jak długo będzie musiał tu pozostać. Słuchał z roztargnieniem, gdy mówiła o telefonie od studiującego syna, który uważał, że program jest zbyt trudny i chciał rzucić uczelnię.

- Mały leniwy nicpoń - mruknął do siebie, nagle wściekły na młodych, na ich skłonność do pobłażania sobie. Potem jednak zreflektował się; to nie fair, przyczyną jego irytacji był zwyczajny kac. Przestał błędzić myślami gdzie indziej i starał się skupić na sprawach domowych.

Wreszcie obiecując, że zadzwoni znowu za dzień lub dwa, odłożył słuchawkę z poczuciem winy i ulgi jednocześnie. Zaczął szkicować tekst długiego, poufnego faksu do Harrisa do Londynu, przedstawiając przedłożone warunki kontraktu eliminującego Karakowa i dającego DE faktyczną kontrolę nad rosyjską produkcją diamentów.

James wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Elisabeth usiłowała mu opowiedzieć o tym, jak spędziła dzień, ale zamknął jej usta, biorąc ją do łóżka.

Potem odpoczywali drzemiąc, dopóki nie popatrzył na zegarek i nie powiedział:

- Kochanie, już czas się zbierać. O czym to mówiłaś, że robiłaś dzisiaj?

Elisabeth westchnęła z zadowoleniem. Namiętność w ich małżeństwie nie przygasła, nie ma niebezpieczeństwa, że popadną w rutynę.

- Właśnie próbowałam ci opowiedzieć, że jadłam lunch z Jean Pierrem, a potem byłam z nim na wystawie impresjonistów w Musée d'Orsay... Słuchaj, to coś naprawdę wspaniałego, koniecznie musisz się kiedyś wybrać tam ze mną.

- W tej chwili jestem całkowicie uwiązany, może później. A kiedy Lasalle ma zaprosić Karakowa? - James nie był w stanie wykrzesać z siebie ani odrobiny zainteresowania entuzjastycznym opowiadaniem żony na temat obrazów i nowego, czarującego przyjaciela. Całkowicie pochłaniała go sprawa Karakowa.

- Nie podał dokładnego terminu - odparła Elisabeth. - Najpierw musi się z nim umówić. Powiedziałam, że odpowiada nam każdy dzień.

- Mądra dziewczynka. Ale byś przytarła rogów tej krowie Wasserman, gdyby ci się udało doprowadzić do tego spotkania, a starania Davida zakończyły się fiaskiem. - Przeciągnął się. - Jeśli mi się powiedzie, czeka nas wspaniałe życie. Podróże po całym świecie... Wreszcie będziemy mieli prawdziwe pieniądze.

- Nie zależy mi na tym - odparła. - Przecież i tak mamy mnóstwo forsy.

- Owszem - zgodził się - ale cóż to znaczy w porównaniu z takimi bogaczami jak Harris czy Heyderman. Dostałbym część udziałów... Oni mogliby kupić i sprzedać nas i nasze rodziny i nawet nie zauważyliby różnicy. Czy wiesz, ile Arthur zapłacił za swój jacht, na którym brał udział w regatach w Fasnet? Milion funtów. To miałem na myśli, mówiąc o prawdziwych pieniądzach.

Leżał wpatrując się w sufit. Oczami wyobraźni widział już siebie siedzącego po prawicy Juliusa Heydermana i pomagającego mu rządzić imperium.

Elisabeth podniosła się z łóżka.

- Nie potrzebuję jachtu - powiedziała z rozdrażnieniem.

Potrzebuję tylko wziąć prysznic i mieć trochę czasu na przygotowania albo też twoi czarujący partnerzy nie dostaną dziś wcale kolacji.

Nienawidziła, gdy mówił w ten sposób o pieniądzach. Odkąd przyjechali tutaj, zdawały się one znaczyć dla niego coraz więcej. Nigdy przedtem nie zachłystywał się tak bogactwem. Drażniło ją to.

James usłyszał trzaśnięcie drzwi łazienki. Znał swoją żonę i wiedział, że nie przywiązuje wagi do rzeczy materialnych. Pewnie, skoro zawsze posiadała wszystko, czego zapragnęła, mogła teraz zadzierać nosa i udzielać mu nauk moralnych. Zastanowił się, skąd w nim tyle sarkazmu. Przecież sam nie znosił ludzi goniących za pieniędzmi, a poznał ich całe mnóstwo, zanim spotkał Liz. Ośmielała się go krytykować, wychodząc demonstracyjnie do łazienki. Rozzłościło go to. Przecież cokolwiek w życiu osiągnie, będzie to także i dla niej. Nawet jeśli nie chciała jachtu... Na pewno nie powiedziała by nie na wille w Antibes... O tak, to by jej odpowiadało, pomyślał, już naprawdę zły. Po chwili zreflektował się, zdumiony intensywnością niechęci, jakby nagle uwolnionej z długiego zamknięcia, niewypowiedzianej na głos przez długi czas. Jestem sukinsynem, zdecydował w końcu. Był wściekły, pracował jak szalony, ciągle wałąc głową o mur, ponieważ nie mógł osiągnąć Karakowa.

Tego popołudnia Ruth Fraser przyniosła mu faks z Londynu z informacjami, że Ray robi postępy w Moskwie. Sfrustrowany, wyładował się teraz na Elisabeth. Podeszedł do drzwi łazienki i uchylił je.

- Przepraszam, kochanie, żadnych jachtów. Zapomniałem, że cierpisz na chorobę morską.

Musiał zrobić unik, gdy cisnęła w niego gąbką. Usłyszał jednak, że się śmieje.

- Boże - westchnął Julius Heyderman. - Boże, co ja mam począć.

Sylvia Heyderman powiedziała łagodnie:

- Nic więcej nie możesz już zrobić. Musisz tylko mieć ją na oku i postarać się, jeśli masz taką możliwość, by zwolniono ją za kaucją. Próbowaleś przecież wszystkiego.

- Zapłacić kaucję, tak. Aresztowana za pijaństwo i chuligańskie wybryki. Dzięki Bogu nie występowała pod panięńskim nazwiskiem, ale któregoś dnia cała prawda wyjdzie na jaw.

Sylvia wsunęła rękę w jego dłoń. Julius rzucił na biurko poufny raport firmy prawniczej z Londynu, zajmującej się sprawami Stelli. To już trzecie oskarżenie w tym roku. Były też drobniejsze sprawy - konieczność spłacania jej długów czy przeprowadzenia eksmisji nieodpowiednich lokatorów z jej domu w Camden.

- Nie wiem, co robić - powtórzył. - Gdyby tylko zechciała zobaczyć się ze mną albo z tobą... Zawsze ci ufała.

- To dawne dzieje - odparła. Przykro jej było patrzeć, jak ten nieugięty człowiek cierpi z powodu swojej córki. Na swój chłodny sposób kochała męża, natomiast dawno już straciła sympatię i cierpliwość do Stelli. W głębi ducha uważała, że jest dotknięta tą samą niestabilnością psychiczną, co jej matka. Sylvia nie należała do kobiet, którym łatwo jest zrozumieć brak odporności psychicznej. Sama owdowiała w młodym wieku, musiała wychowywać trójkę dzieci i prowadzić biuro projektów. Została wynagrodzona przez los, który zesłał jej jednego z najbogatszych i najbardziej atrakcyjnych mężczyzn w Południowej Afryce. Gdyby tak zaczęła rozczulać się nad sobą, nigdy by jej to nie spotkało.

- Odkąd Jacob został zamordowany, Stella dąży do samouniестwienia. Nie powstrzymasz jej, nikt jej nie powstrzyma.

- Bękart - mruknął Julius. - Gdy się tylko z nim związała czulem, że to się skończy nieszczęściem. Nie chciał mnie słuchać.

- Zbyt długo nie było go w kraju - odparła. - Myślał, że jak wróci i przyłączy się do Mandeli, ujdzie mu to na sucho. Oni nigdy niczego się nie uczą, dlatego są tacy irytujący. Słuchaj, kochany. Nie mogę patrzeć, jak się tak denerwujesz, mając w dodatku na głowie inne problemy. Chcesz, abym pojechała i spróbowała do niej przemówić? Nie sądzę, aby mi się to udało, ale mogę spróbować.

Objął ją ramieniem.

- Dziękuję ci - powiedział. - Nie, nie chcę, abyś ponownie znalazła się w takiej sytuacji jak ostatnim razem. - Zmarszczył czoło. - Wyślę Reece'a do Londynu. Chcę, aby patrzył na ręce temu gnojkwowi Arthurowi. Może także skontaktować się ze Stellą. Ostatnio zgodziła się z nim rozmawiać. Może uda mu się wyrzucić na nią jakąś presję. Już mi naprawdę wszystko jedno, jakie metody zastosuje. Jeśli ta dziewczyna nie wróci tutaj i nie przejdzie kuracji odwykowej, skończy w rynsztoku. Muszę spróbować jeszcze raz, jestem to winien Eileen.

Sylvia nie oponowała. Nigdy nie wypominał jej, że to był jej pomysł, posłać Stellę na Uniwersytet Witwatersrand, by zainteresować ją nauką i życiem studenckim. To zdało egzamin, może nawet zbyt dobrze. Na pierwszym roku studiów Stella zetknęła się z ekstremalnym, lewicowym skrzydłem ruchu antyrasistowskiego i przyłączyła się do niego ciałem i duszą.

Wyżywała się w protestacyjnych marszach i demonstracjach. Została aresztowana. Zwolniono ją bez postawienia w stan oskarżenia, lecz nie szczędzono jej ostrzeżeń, że pewnego dnia nawet Stella Heyderman może posunąć się za daleko. Julius szalał z wściekłości, lecz jednocześnie nie potrafił ukryć pewnego rodzaju dumy z powodu jej odwagi i nieugiętości. Jego lekkomyślna, pobłażliwa wobec siebie córka znalazła swój ideał i nie brak jej odwagi, by o niego walczyć, pozwalając, by represyjny system polityczny traktował ją tak samo, jak traktował czarnych rewolucjonistów. Skończyły się prowokujące eskapady po pijanemu. Dojrzała i uświadomiona politycznie kobieta wyznawała pogląd, że czarni mieszkańcy RPA we własnym kraju powinni mieć te same

prawa co biali. Jej postępowanie wzbudzało wiele nienawiści i pogardy, lecz także i niechętnego uznania. Nie pomagało bycie panną Heyderman, gdy policja puszczała na demonstrantów swoje psy; a Stella zawsze szła w pierwszym szeregu. Julius najbardziej obawiał się tego, że Stella mogłaby złamać zakaz krzyżowania się ras. Gdyby przyłapano ją na stosunku z czarnym mężczyzną, nic nie uchroniłoby jej przed więzieniem. Miewała romanse z białymi partnerami, ale do tej pory nie przekroczyła bariery rasowej. Wiedział o tym, gdyż miał dostęp do raportów policyjnych na jej temat i miał wpływowych przyjaciół.

„To pańska córka, panie Heyderman, więc tam, gdzie możemy, będziemy przymykali oko. Ale jeśli zwiąże się z czarnym... - naczelnik policji uniósł w górę brwi i potrząsnął głową - sześć miesięcy w Forcie”.

To od Reece'a dowiedział się, że widziano, jak mieszkanie Stelli odwiedza młody marksistowski agitator, i że policja ma zamiar wkroczyć.

Jacob Yakumi studiował w Anglii prawo, a potem wrócił do RPA, by występować jako obrońca w procesach aktywistów oskarżanych o przestępstwa polityczne. Od chwili, gdy tylko postawił stopę w Johannesburgu, był pod obserwacją władz. Julius zareagował natychmiast. Pojechał do mieszkania Stelli i rzucił jej na biurko bilet lotniczy. Rzadko się spotykali. Ona nie chciała mieć nic wspólnego z jego pieniędzmi i kapitalistycznym porządkiem, który uosabiał on sam i całe DE. Mówiła też

- Zupełnie szczerze - że bez względu na to, jak mocna jest jego pozycja w życiu publicznym, jego reputacja musiałaby ucierpieć, gdyby pokazał się w jej towarzystwie. Nigdy nie wyparł się jej publicznie, choć czasami nalegano na niego. Była jego córką i nawet jeśli chciała zrobić z siebie głupca i miała odwagę to robić w tych warunkach, nie miał zamiaru jej w tym przeszkadzać. W głębi duszy Stella była mu wdzięczna za to poparcie.

- Przyszedłem zabrać cię na lotnisko - zaczął - zanim cię aresztują. Nie chcę wiedzieć, czy sypiasz z tym Murzynem, nie chcę

myśleć o tym, że mogłaś upaść tak nisko. Policja jest zdecydowana przymknąć go, a ciebie razem z nim. Pakuj się i to szybko.

Ku jego zdumieniu wybuchnęła śmiechem. Ilekroć przypominał sobie tę scenę, na nowo odczuwał ból i niesmak.

- Sypiałabym, ale on nie chce. Mówi, że to zbyt niebezpieczne dla mnie! Nie mam zamiaru uciec, zostawiając go samego, żeby go złapali i zgnetli mu jaja na miazgę. Jeśli chcesz, abym wyjechała, on wyjedzie ze mną. Dwa bilety, nie jeden.

Reece poszedł do biura Yakumiego, niewielkiego pomieszczenia wynajmowanego od Hindusa w ubogiej dzielnicy miasta. Wy tłumaczył mu w prostych słowach, że Stella bez niego nie wyjedzie, a jeśli nie wyjedzie, zostanie aresztowana. Wybór jest prosty: albo Yakumi pojedzie teraz na lotnisko, albo jego postępowanie zaprowadzi dziewczynę do więzienia. Jacob Yakumi wybrał pierwszą możliwość.

Julius żegnał się z córką w samochodzie, oddzielony szklanymi przegrodami od kierowcy.

- W Londynie będziesz dostawała pieniądze. Kiedy sprawa przycichnie, dam ci znać i wrócisz do domu. A teraz idź już, Stella, bo się spóźnisz.

Popatrzyła na niego i z rozmachem otworzyła drzwi. Zanim odeszła, zatrzymała się na moment.

- Dziękuję - powiedziała - ale pamiętaj, że co nie będzie bezpieczne dla Jacoba, nie będzie bezpieczne i dla mnie.

W miesiąc później otrzymał list z informacją, że poślubiła Jacoba Yakumi i że nie wróci do kraju, dopóki będzie tam panował apartheid i dopóki nie zostanie zniesione prawo zakazujące krzyżowania się ras.

Zamężna. Heyderman z osłupieniem wpatrywał się w list. Poczł, że robi mu się niedobrze. Czarne dzieci. Czysta linia jego jasnowłosych przodków splugawiona raz na zawsze, jego córka żoną czarnucha z Soweto. Dał upust swojej wściekłości, roztrząskując pierwszą rzecz, jaka mu się nawinęła pod rękę - ulubiony zegar Sylvii. Potem upił się tak, że służba musiała odtransportować

go do łóżka. Oszukała go. Zdegradowała się! Teraz nie pozostawało mu już nic do zrobienia. Mógł tylko pilnować, by nikt nie dowiedział się o tym. Reece oddany niczym pies, ślepo i bezwzględnie posłuszny - był jedynym, któremu można było wyznaczyć upokorzenie. A ponieważ Julius nagradzał go nie tylko pieniędzmi i pozycją w firmie, lecz także zaufaniem, Reece uczyniłby dla niego wszystko. Utworzenie funduszu powierniczego dla córki, pod warunkiem, że jej małżeństwo nigdy nie zostanie podane do wiadomości publicznej, nie było trudne. Reece pojechał do Londynu, by załatwić formalności. Teraz ponownie pojedzie do Londynu. Tym razem, aby szpiegować Arthura i aby sprawdzić, czy może udałoby się ocalić jeszcze coś z tego okropnego szamba, jakim było życie Stelli Heyderman Yakumi.

Karakow ponownie zerknął na zegarek. Madeline Luchaire, podrzędna aktoreczka i kochanka jednego z najbogatszych ludzi świata, umówiona z nim na piętnastą, spóźniła się już dwadzieścia minut. Spotkanie zaaranżował Eugene Titulescu, który czekał w biurze wraz ze swoim teściem, by pośpieszyć na dół i przywitać aktorkę przy wejściu, gdy tylko jej samochód zajedzie. Zdeenerwowany Iwan warknął:

- Na miłość boską, przestań się tak kręcić tam i z powrotem, niczym kotka w marcu.

Książę nie odpowiedział. Był już przyzwyczajony do wybuchów Iwana i zupełnie na nie nie reagował.

- Ona musi mieć wejście - powiedział po chwili. - Aktorki tak się zachowują.

- Aktorki, ty głupcze - prychnął Iwan. - Ona zaś jest...

W tym momencie zadzwonił telefon z recepcji.

- Już jest! A ty - Karakow zwrócił się do Titulescu - na co jeszcze czekasz? Idźże po nią.

Karakow spotkał Madeline Luchaire raz czy dwa na przyjęciu dla świata filmu. Była bardzo piękną kobietą. Wszystkie jej

powaby były dziełem natury, począwszy od łagodnie zaokrąglonych linii ciała po wspaniałe złotoblond włosy. Mała też oryginalne poczucie humoru, o ile rzecz jasna, najczęściej cytowane jej powiedzonko sama wymyśliła: „Silikon, podobnie jak mydło, nigdy nie dotknął mojej skóry”. Mówiła z akcentem midi, co zachęcało jej wrogów do rozpowszechniania plotek, że pochodzi z marsylskich slumsów, a karierę rozpoczynała w wieku piętnastu lat w domu publicznym.

Teraz wyciągnęła do Karakowa rękę. Pochylił się nisko, aby ją ucałować.

Po raz pierwszy zjawiła się w jego głównej kwaterze. Dotychczas, ilekroć Abdullah Bin Saladin kupował jej kosztowności, dostarczano je przez księcia Titulescu do apartamentu w hotelu Ritz i zostawiano, by mógł spokojnie dokonać wyboru. Abdullah nigdy nie przyjmował Karakowa. Nie rozmawiał z kupcami, choćby zajmowali nie wiadomo jaką pozycję towarzyską. Akceptował księcia Titulescu, gdyż nosił on tytuł podobny do jego własnego. Nie wiedział, że w Rumunii czy na Węgrzech książęta byli równie powszechni, jak hrabiowie we Francji.

- Książę wiele mi o panu opowiadał, monsieur Karakow - zaczęła Madeline. - Cieszę się, że mogę pana poznać, skoro noszę tyle wspaniałych klejnotów nabytych od pana. Proszę popatrzeć... - Szyję aktorki otaczał podwójny sznur wspaniałych pereł. Takie same perły, otoczone nieskazitelnymi, niebiesko-białymi diamentami, połyskiwały w jej niewielkich uszach.

- Świadomość, że pani je nosi, jest dla mnie prawdziwą przyjemnością, madame - powiedział Iwan. Wiedział, jak schlebiać próżności, i gdy chciał, potrafił być czarujący. - Piękno należy do piękna. - Uśmiechnął się złośliwie, dostrzegając błysk humoru w fiołkowych oczach. - Przy niektórych z moich klientek muszę zamykać oczy i myśleć o pieniądzach.

Roześmiała się głośno głębokim, gardłowym śmiechem. Iwan - szczwany lis - zawtórował jej. Madeline była uosobieniem seksu.

- Kocham biżuterię - przyznała. Iwan nie miał wątpliwości, jakim to sposobem zgromadziła jej aż tyle. - Słyszałam pogłoski, że ukrywa pan jakieś klejnoty wyjątkowej urody, więc chciałabym, aby mi je pan pokazał. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Plan został opracowany do najdrobniejszych szczegółów. Zięć Karakow wiedział, jak zagrać swoją rolę. Na sygnał wystąpił naprzód, uosobienie staroświeckiej elegancji.

- Może napiłaby się pani szampana, madame? - zaproponował.

Madeline lubiła księcia Titulescu. Nie była głupia i nie zmyliły jej pozory; wiedziała że Titulescu jest lokajem tego starego człowieka, podobnie jak ona jest seksualną zabawką Araba. Oboje robili to dla pieniędzy.

- Z przyjemnością - zgodziła się. - Na szczęście Jego Wysokość nie ma nic przeciwko alkoholowi, pod warunkiem, że nie pije się w miejscach publicznych.

Eugene Titulescu już nieraz widział Jego Wysokość w akcji, opróżniającego karafkę whisky w zaciszu swego hotelowego apartamentu.

- Książę - Karakow zawsze tak tytułował Titulescu w obecności ważniejszych klientów - proszę zadzwonić i zażądać przyniesienia kluczy. - Odwrócił się do Madeline. - Pokażę pani zawartość mojego prywatnego sejf. Mam nadzieję, że znajdzie tam pani coś, co panią zainteresuje.

Wiedział dokładnie, co aktorka naprawdę chciałaby zobaczyć, ale sztuka prowadzenia dużej transakcji polegała na trzymaniu klienta w niepewności i udawaniu, że pragnie się mu sprzedać coś zupełnie innego. W piętnaście minut później pojawiła się butelka dom perignon, biurko Iwana uprzątnięto i przykryto czarnym aksamitem. Karakow osobiście dokonał wyboru każdej sztuki biżuterii na tę prezentację. Były tam szmaragdy pochodzące z carskiej jeszcze Rosji, kupione od pewnego zdesperowanego emigranta za ułamek ich prawdziwej wartości, które Iwan osobiście

przeszlifował zgodnie z wymogami najświeższej mody, gdyż wśród jego najbogatszych klientów nie było amatorów staroci, bez względu na to, skąd pochodziły. Inne klejnoty wykonano współcześnie, na przykład broszkę należącą niegdyś do cesarzowej Iranu, Farah. Centrum broszki stanowił rubin wielkości kurzego jaja, a otaczały go niebiesko-białe diamenty o wadze ośmiu karatów każdy. Broszka była warta fortunę; tyle też za nią zapłacił, ale nie miał zamiaru jej sprzedać. Stanowiła część legendy samego Karakowa - posiadacza rubinu szacha - i nie rozstałby się z nią za żadne pieniądze. Czasami nosiła ją Laura, jednak nigdy nie pozwolił jej zatrzymać tego klejnotu. Madeline wzięła broszkę do ręki, przyglądając się jej z podziwem, pieszcząc palcami owalny rubin.

- Nie, madame - powiedział Karakow łagodnie - to chciałem pani tylko pokazać. Broszka nie jest na sprzedaż. Ale proszę obejrzeć sobie ten brylant.

Podał jej wspaniałą kamień o niebiesko-białym zabarwieniu, migocący tysiącem blasków, majstersztyk szlifierskiego kunsztu. W stanie surowym diament ważył sto dwadzieścia karatów. Ernst Richter kupił go w Antwerpii za dziesięć tysięcy dolarów. Obecnie kamień ważył trzydzieści osiem karatów i był skończonym arcydziełem. Jego cena wynosiła czterysta tysięcy. Madeline wpatrywała się w niego jak urzeczona. Nie leżało w zamiarach Iwana, by się nim zbyt zainteresowała; demonstrując klejnot, chciał po prostu rozbudzić jej apetyt.

- Czyż nie jest wspaniały? - zapytał, wyjmując brylant z jej ręki. - Książę, proszę dolać pani szampana. Wie pani, nic na świecie nie da się porównać z diamentami, nawet rubiny, choć to też wspaniałe kamienie. Jednak nawet najwspanialszy rubin nie może konkurować z tym.

Ujął brylant w dwa palce i uniósł go do światła.

- Proszę popatrzeć. Oto, co stanowi o urodzie diamentów. Czystość i ogień. Tego nie ma żaden inny kamień na świecie.

- Tak - powiedziała Madeline Luchaire - to wspaniały klejnot, naprawdę wspaniały.

Nadszedł czas rozpoczęcia właściwej transakcji.

- Jeśli podobał się pani ten diament, madame, w takim razie mam tu dla pani coś jeszcze. Coś, czego nie pokazuję każdemu. Wiem jednak, że pani to doceni.

Podniósł wzrok, dając kolejny znak Titulescu. Nie życzył tu sobie żadnych gapiów. Książę nalał kolejny kieliszek szampana i zaczął zbierać rozłożone kosztowności i wkładać je do kasetki. Iwan sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Książę Titulescu schodzi do skarbcza. Proszę przygotować Diamenty Romanowych.

- To nie potrwa długo, madame. - Książę pochylił się nad krzesłem aktorki. - Klejnoty są naprawdę godne obejrzenia.

Wyszedł z gabinetu. Mimo że był roslým mężczyzną, poruszał się bardzo cicho.

- Pani to rozumie - powiedział Iwan. - Jestem podniecony. Te kamienie to miłość mojego życia. Dlatego pokazuję je wyłącznie tym, którzy kochają diamenty podobnie jak ja. Niech mnie piekło pochłonie, gdybym miał je demonstrować każdemu.

Zrobił gniewną minę, jakby pomyślał o jakichś nieodpowiednich osobach. Otworzył złotą papierošnicę, leżącą na biurku. Jego zachowanie wobec klientów zawsze było nienaganne, lecz odrobinę sztuczne, podobnie jak jego sposób jedzenia. Pewnego dnia w Waszyngtonie uczestniczył w wytwornym obiedzie wydawanym przez żonę senatora i cierpiał męki, gdyż nie mógł użyć wykałaczki.

- Pani nie pali, madame?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Jego Wysokość nie uznaje tytoniu.

Książę wrócił dosłownie po pięciu minutach. Zwykle zejście do skarbcza i oczyszczenie klejnotów przed zabraniem ich na górę zajmowało pół godziny, jednak tym razem Diamenty Romanowych przygotowano już wcześniej. Książę polecił, by nie łączono żadnych rozmów z prywatnym gabinetem Karakowa ani nie przekadzano mu pod żadnym pozorem.

- Ach - Iwan podniósł się z miejsca - oto one, madame. Za raz zobaczy pani jeden z cudów świata.

Utworzył najpierw większe puzderko i wyłożył klejnoty ni czarny aksamit. Intensywna purpurowa łuna zalśniła tysiącem blasków. Przez moment Madeline siedziała bez słowa; nie wy ciągnęła nawet ręki, by dotknąć naszyjnika.

- Mój Boże - powiedziała w końcu - co to jest?

- Diamenty, madame. Purpurowe diamenty pochodzące z tajemniczej kopalni w Rosji. Najrzadsze kamienie świata.

Uniósł naszyjnik, a on zamigotał w świetle, rozsiewając ogniste błyski.

- Niech pani to weźmie do ręki, madame - powiedział Karakow łagodnie - i przyjrzy się tym klejnotom.

Ujęła naszyjnik i spojrzała na centralny kamień.

- Mają kolor rubinów - powiedziała - a ten ogień... Nie, to nie do wiary.

- Mają też bardzo interesującą historię. A oto pendant do naszyjnika. - Iwan wyjął kolczyki, pierścionek i broszkę.

Aktorka odłożyła naszyjnik i włożyła pierścionek na palec. Karakow milczał przez chwilę. Nadszedł czas, by opowiedzieć historię, którą wymyślił, by ubarwić transakcję. Mówił wolno, dramatycznym tonem.

- Te kamienie wydobyto w Rosji w siedemnastym wieku. - Odchylił się w krześle. Madeline oglądała kolczyki, wpatrując się w każdy brylant jak zahipnotyzowana. - Położenie kopalni utrzymywano w tajemnicy. Legendy głoszą, że gdy znaleziono te diamenty, wszyscy pracujący tam niewolnicy zostali wymordowani, by nikt nie zdradził, gdzie znajdowało się złożo.

Urwał dla zwiększenia efektu. Madeline Luchaire nie odrywała oczu od pierścionka.

- Wówczas nie dysponowano jeszcze odpowiednimi narzędziami, więc nie wydobyto z nich całej ich urody, jednak i tak były tak unikalne, że tylko carowie Rosji mogli je posiadać. Stanowiły część skarbu imperium. Tak było aż do czasów Katarzyny II, która ofiarowała je swojemu kochankowi, Potiomkinowi. - Iwan

rozłożył szeroko ręce, z przejęciem odgrywając swoją rolę, rozkoszując się nią. - Temu zawsze brakowało pieniędzy, więc by spłacić swoje długi, sprzedał diamenty książęcej rodzinie w Indiach. Od tego czasu pozostawały ukryte przed ludzkim wzrokiem aż do początków dwudziestego wieku, kiedy to indyjski radża pojawił się w nich podczas koronacji króla Anglii. Wielki Książę Michał tak się nimi zachwycił, że namówił radzę na ich sprzedaż. Sprezentował je carycy, tej biednej kobiecie, zamordowanej później przez bolszewików. Tak więc diamenty powróciły do domu, do Rosji. A ponieważ teraz ten kraj otwiera się na Zachód, wszystkie bariery zostały obalone, zwrócono się do mnie, abym je przeszlifował i oparł na nowo, ponieważ jestem jedynym jubilerem, który mógł dokonać tej sztuki. I abym je sprzedał, ponieważ jestem jedynym jubilerem, który ma klientów tak bogatych, że stać ich na taki zakup. Niech pani podejdzie tutaj i popatrzy na nasz jnijk.

Podprowadził Madeline do dużego lustra na przeciwległej ścianie. Nad lustrem, tuż pod sufitem, umieszczono pod odpowiednim kątem niewielki reflektor, odbijający każdy refleks diamentów i potęgający ich blask.

- Proszę pozwolić, założę pani - powiedział Karakow.

Madeline uniosła kurtynę złotych włosów, a on zapiął zameczek.

- Ach - powiedział, tym razem nie udając wzruszenia. - Niech pani tylko spojrzy. Książę, proszę tu podejść i popatrzeć na nasz jnijk.

Na tle jasnej skóry aktorki brylanty płonęły niczym morze purpurowego ognia; ich blask potęgowało jeszcze odbicie w lustrze i światło reflektora.

- Muszą być moje... Kiedy Jego Wysokość zobaczy te klejnoty, na pewno mi je kupi - mówiła Madeline zdyszczanym głosem, jakby ogarnięta erotycznym podnieceniem. - Odwróciła się do Karakowa. - Ale on będzie w Paryżu dopiero pod koniec przyszłego miesiąca. Co ja mam zrobić? Czy ktoś jeszcze widział te diamenty?

Karakow nie odpinał naszyjnika. Podsunął aktorce krzesło Titulescu ponownie napełnił jej kieliszek.

- Nie, jak dotąd, jest pani jedyna. Ale zainteresowanie rośnie. Wieść się rozeszła i pytali mnie już Japończycy...

- Niech im pan nie sprzedaje. Proszę mi obiecać. Proszę poczekać, aż porozmawiam z Jego Wysokością. Niech pan zaczeka do jego przyjazdu. Wiem, że uda mi się go namówić.

Karakow udawał, że się zastanawia. Madeline chwyciła go za ramię.

- Proszę - nalegała. - Sam pan wie najlepiej, ile książkę kupił już od pana. Proszę je zatrzymać do jego przyjazdu.

- Gdyby należały do mnie, nie wahałbym się ani przez moment - odparł Karakow. - Ale sprzedaję je w imieniu rosyjskiego rządu. Działam jako jego pośrednik. Rosjanie nalegają, bym szybko znalazł kupca. Potrzebują zachodnich walut... Gdyby mogła pani namówić księcia, by przyjechał prędzej. Mogę wstrzymać się z pokazaniem naszyjnika temu Japończykowi, ale nie aż o dwa miesiące, madame.

Odstawiła opróżniony kieliszek. Na jej twarzy malowała się determinacja.

- Zobaczą, co uda mi się załatwić - powiedziała. Jej głos brzmiał teraz bardzo rzeczowo. - Pod warunkiem, że nie pokaże pan tych klejnotów nikomu przed przyjazdem Jego Wysokości. Gdyby się dowiedział, że usiłował je pan sprzedać komuś innemu, nigdy więcej nie kupiłby niczego od pana. Już ja bym tego dopilnowała. Chcę mieć te czerwone diamenty, monsieur Karakow. Muszę je mieć. Kiedy Jego Wysokość je zobaczy, kupi je bez względu na cenę, tego jestem pewna.

- To wbrew zasadom, ale uczynię to dla pani, madame - ustąpił Karakow. - Nie dłużej jednak niż miesiąc. Do tego czasu są zarezerwowane dla księcia.

Podszedł do niej i odpiął naszyjnik. Aktorka zsunęła pierścienek z palca.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Dam znać księciu Titulescu, gdy tylko Jego Wysokość przyjedzie.

Karakow ucałował jej dłoń.

- Żaden mężczyzna nie odmówiłby pani niczego - powiedział. - Ja z całą pewnością nie potrafiłbym.

Wraz z Titulescu odprowadził Madeline do czekającego rolls royce'a. Potem pośpiesznie wrócił na górę, by zatelefonować do Laury.

- Luchaire właśnie wyszła. Dosłownie oszalała na ich punkcie. Ściągnie tu księcia. Zawarliśmy transakcję, jestem tego pewien.

- Znakomicie - wyraziła swój podziw Laura. - Dzisiaj wieczorem ucztujemy. Zawsze mówiłam, że ty potrafiłbyś sprzedać nawet lód Eskimosom.

Laura kochała sukcesy i pieniądze. Ach, jak mu będzie pochlebiać dziś wieczorem, jak będzie się nad nim rozpywać, bez przerwy powtarzając, że jest najlepszy. Z pewnością dostanie jakiś prezent, gdy transakcja zostanie ostatecznie sfinalizowana i Iwan odbierze prowizję.

- Mów, jak to się odbyło. Chcę znać wszystkie szczegóły.

- Najpierw pokazałem jej ten duży diament Richtera... Nawet była zainteresowana, ale wiedziałem, że nie sprzedałbym jej jednocześnie tego i Diamentów Romanowych, tak że szybko przystąpiłem do rzeczy. Eugene grał swoją rolę... Dolewał szampana, całował po rękach, wiesz, co mam na myśli.

- Wiem - przerwała. - No i co dalej?

- Pozwoliłem jej przymierzyć naszyjnik. Gdy się zobaczyła w lustrze, była bliska orgazmu. „Muszę je mieć... Muszę je mieć”. No to wiedziałem, że jestem w domu. Zgodziliśmy się na miesięczny termin. Założę się, że właśnie dzwoni do Rijadu. Księżę z pewnością przyjedzie... Nie będzie chciał przegrać z Japończykami, a jak już się tu pojawi, ona tak długo będzie mu wierciła dziurę w brzuchu, aż je kupi. Tak więc, złotko, gdy sprzedam ten garnitur, koncesję na wydobycie mam w kieszeni. To pewne.

- Jesteś genialny - powiedziała, bezwiednie naśladując Davida Wassermana - naprawdę genialny. Ach, poczekaj... - Laura nie

należała do kobiet, które nawet tak ekscytująca nowina mogłaby wyprowadzić z równowagi - skoro już rozmawiamy... Dzwonił dzisiaj do mnie Jean Pierre. Pamiętasz go? To były mąż Jenny. Zaprosił nas na kolację we wtorek, dwudziestego ósmego. Odpowiada ci?

Karakow roześmiał się.

- Jestem w tak szampańskim humorze, że mógłbym zjeść kolację nawet z samym Jaserem Arafatem. Oczywiście, że pójdziemy. Lubisz go, a przyjęcia u niego są zawsze udane. Zgadzam się. Dziś wieczorem wrócę wcześniej.

- Postaram się, aby był to specjalny wieczór - obiecała Laura. - Wszystko dla mojego mądrego męża. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - powiedział Iwan, odkładając słuchawkę. Później miał zapamiętać to przyjęcie, na które zgodził się pójść pod wpływem chwili, jako jeden z punktów zwrotnych w swoim życiu.

Po drugiej stronie przewodów telefonicznych Elisabeth usłyszała głos ojca. To było raczej niecodzienne, zwykle o tej porze miewał posiedzenia w sądzie magistrackim.

- Papa? Toja... Jak się czujesz?

- Znakomicie, Lizzie. Miło cię słyszeć. A tobie jak się powodzi? - Kątem oka zauważył żonę, mijającą drzwi gabinetu. Zakrył słuchawkę dłonią i zawołał: - Jill? Lizzie dzwoni! - po czym wrócił do rozmowy z Elisabeth. - Tak kochanie, cieszę się, że dobrze się bawisz. A jak tam James? - dorzucił dla przyzwoitości.

- Wszystko dobrze, tylko bardzo zajęty. Słuchaj papo, mam nowiny.

- Nowiny? Czy to coś złego?

Elisabeth nigdy nie mogła zrozumieć tego ustawicznego lęku rodziców; zapomniała, że to właśnie telefon przyniósł im wiadomość o śmierci ich syna na Falklandach.

- Złego? Papo, nie mogłoby mi się przytrafić nic lepszego. Nie mam... nie mam już od trzech tygodni.

- Nie masz? Ale czego? - Ojciec należał do pokolenia, które nie wspominało na głos o ciąży; nie mówiąc już o tym, że za jego czasów temat ten nigdy nie pojawiał się w reklamach telewizyjnych.

Żona wyjęła mu z ręki słuchawkę.

- Liz... kochanie...

- Spóźniła się, więc przeprowadziłam test - mówiła Elisabeth - wiesz, taki, który można samodzielnie wykonać w domu. Zrobiłam wszystko zgodnie z instrukcją i wyszedł mi pozytywny. Och, mam, mam, jestem taka szczęśliwa. Musiałam zadzwonić i podzielić się z tobą tą nowiną.

Jej matka odwróciła się szybko i powiedziała do męża:

- Liz jest w ciąży, czy to nie wspaniale? - A potem do córki: - Kochanie, to cudownie, to naprawdę cudownie. Ale musisz pójść do lekarza i upewnić się. Czy mówiłaś już Jamesowi?

- Nie. Na popołudnie jestem umówiona z lekarzem, a Jamesowi powiem dopiero wieczorem. Będzie szalał z radości. Wiem, że pragnął dziecka równie mocno jak ja. Och, wolałabym być teraz z wami, a nie tutaj.

Jill Fairfax poczuła wilgoć pod powiekami. Usiłowała powstrzymać te głupie łzy.

- My też, kochanie. Ale teraz to niemożliwe. Nie wolno ci latać samolotami, nie w tak wczesnym stadium. Musisz być bardzo ostrożna, zwłaszcza przez pierwsze trzy miesiące. My przecież możemy przylecieć do ciebie. Dlaczegoż by nie? No, Philip, nie marudź, przecież nie mamy nic ważnego do roboty.

Możemy pojechać na parę dni do Paryża, do Liz.

Odłożywszy słuchawkę, Elisabeth miała wielką ochotę zadzwonić do Jamesa jeszcze przed wizytą u lekarza. Jednak już kiedyś przydarzyło się jej podobne opóźnienie i pomyliła jego przyczynę. Rozczarowanie było tak wielkie, że teraz nie ośmieliła się ryzykować. Nie, zdecydowała, powiem mu, gdy już będę pewna.

Byli tak zajęci rozrywkami towarzyskimi, chodzeniem do opery i teatru, poznawaniem nowych ludzi, że spodziewany termin

przyszedł, a potem minął, a Elisabeth w ogóle nie zwróciła nań uwagi. Zorientowała się dopiero w dzień po wizycie w Musée d'Orsay. Cztery dni spóźnienia. Potem cały tydzień. Wstrętny, napawający lękiem moment, kiedy już myślała, że bolesny skurcz brzucha lada chwila obróci wniwecz jej nadzieje. Ale alarm okazał się fałszywy, spowodowany wyłącznie lękiem. Dwa tygodnie. Musiała się komuś zwierzyć. Zadzwoiła do Jean Pierre'a i umówiła się z nim na lunch. Był tak wspaniałym słuchaczem, że opowiedziała mu wszystko i o swoich frustracjach spowodowanych brakiem dzieci, i o obecnych obawach, by nie zwierzać się Jamesowi, zanim się sama nie upewni.

- Jest taki dobry - mówiła. - Kocha rodzinę. Nie mogłabym tego znieść, gdybym tak miała zbudzić jego nadzieje, a potem wszystko obróciłoby się wniwecz.

Zaabsorbowana własną radością, nie zauważyła wyrazu twarzy Jean Pierre'a, gdy zaś zaczął mówić, nie zwróciła uwagi na prawdziwe znaczenie jego słów.

- Gdyby pani była moją żoną, pragnąłbym dzielić z panią każde doświadczenie. Nie chciałbym, żeby pani musiała zwracać się do kogoś innego w obawie przed rozczarowaniem mnie. Pani mąż pewnie odczuwa tak samo, czyż nie?

Elisabeth zapytała szybko:

- Ale pan nie ma nic przeciwko temu, Jean Pierre? Pan jest wspaniałym przyjacielem, takim dobrym... Bardzo to sobie cenię.

- Och, doprawdy, ja też jestem szczęśliwy, przyjażniąc się z panią.

Dał jej nazwisko i adres swojego lekarza i zaproponował, że zawiezie ją na wizytę. Ostrzegł też, przed zbytnim optymizmem. Jego synowa kiedyś wprowadziła sama siebie w błąd, samodzielnie przeprowadzając test. Wynik wskazywał, że nie jest w ciąży, podczas gdy test wykonany przez lekarza wykazał, że jednak będzie miała dziecko.

Przygotowując się do wizyty u francuskiego doktora, Elisabeth czuła mdłości ze zdenerwowania. Musi być dobrze. Niemal

modliła się na głos, tak jak to czyniła wiele razy przedtem, nie adresując swoich błagań do żadnej konkretnej siły wyższej. Miech tym razem wreszcie się to spełni.

Gdy opuszczała gabinet lekarski, Jean Pierre wyszedł jej na przeciw.

- Nie muszę pytać o wynik - powiedział. - Odczytuję go z pani twarzy.

Elisabeth chwyciła go za rękę. Recepcjonistka popatrzyła na nich i najwidoczniej wyciągnęła fałszywe wnioski. Znała monsieur Lasalle'a i jego była żoną już od lat. Co za sytuacja. Ta Angielka jest w ciąży i w dodatku jest tym zachwycona. No cóż, powiedziała do siebie, w dzisiejszych czasach młode kobiety są takie niezależne. Także mężatki.

- Mówi, że to już drugi miesiąc. - Elisabeth i Lasalle wracali samochodem na rue Constantine. - A więc to się stało jeszcze w Londynie. Och, jestem taka szczęśliwa, że wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Nie ma żadnych komplikacji? - dopytywał się. - Jest pani zupełnie zdrowa?

- Kwitnąca! - Roześmiała się. - A silna jak koń. Doktor powiedział tylko, abym się nie przemęczała przez najbliższe trzy, cztery tygodnie, jako że to pierwsze dziecko. Och, Jean Pierre...

- Jest pani taka szczęśliwa. Cieszę się pani szczęściem i szczęściem pani męża. Zazdroszczę mu dzisiejszego powrotu do domu.

Stanęli na chodniku przed wejściem. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję. Dziękuję za doktora, za towarzyszenie mi dzisiaj... za wszystko. Powiem Jamesowi, że pragnęłabym, by został pan ojcem chrzestnym.

Patrzył za nią, jak wbiega po schodach i otwiera drzwi. Tak jak powiedział, cieszył się jej szczęściem, ale jednocześnie smucił. Kochał ją, kochał od pierwszego spotkania. Pamiętał, kiedy zrodziło się w nim to uczucie. Byli wtedy w mieszkaniu na rue de la

Perle. Od razu wiedział, że mieszkanie nie odpowiadało by jej mężowi i poradził, by go nie wynajmowała. Nie dlatego - jak jej wyjaśnił później - że apartament na rue Constantine był droższy, więc dostałby odpowiednio wyższą prowizję. Po prostu chciał, aby podjęła właściwą decyzję. Wtedy właśnie ją pokochał. Ciągłe żywił odrobinę nadziei. Nie znał Jamesa Hastingsa, ale nawet gdyby go znał, niczego by to nie zmieniło. Francuzów nie powstrzymują mężowie. Dlatego też obiecał, że dopomoże im w zaaranżowaniu spotkania z Karakowem. W ten sposób chciał podtrzymać znajomość, stać się w jej życiu kimś ważniejszym od zwykłego znajomego, z którym zwiedza się wystawy czy chodzi na popołudniowe spacerunki po Malmaison i Wersalu. Cóż, pewnie nigdy nie będzie dla niej nikim więcej; pozostanie - jak to określiła - dobrym przyjacielem. Za dziesięć dni pozna Jamesa Hastingsa, gdy ten przyjdzie na urządzone przez niego przyjęcie w domu przy avenue Montaigne.

Może łatwiej pogodziłby się z porażką - choć wątpił w to - gdyby ten mężczyzna okazał się godny swojej żony. W to jednak także powątpiewał.

David Wasserman siedział w biurze Karakowa. Wpadł na towarzyską pogawędkę i Karakow przywitał go serdecznie. Zнали się od lat; mimo że konkurowali ze sobą w interesach, między nimi istniało nawet coś na kształt przyjaźni. David darzył Iwana wielkim respektem, podziwiał jego osiągnięcia, a jego pozy i gierki bawiły go, gdyż sam żywił upodobanie do dramatycznych efektów. Tak, Karakow był naprawdę gigantem, dlaczego więc nie miał zająć centralnego miejsca? Z kolei Karakow uważał Wassermana za największego - po nim samym, oczywiście - znawcę diamentów. Bardzo też cenił Clarę. To była kobieta z głową do interesów, prawdziwa podpora dla swego męża... Udało jej się nawet dobrze żyć z Laurą, która z zasady nie znosiła kobiet.

- Cygaro? - zapytał Karakow. Sam nie palił, nie nadużywał

alkoholu i pilnował wagi. On i Laura bardzo dbali o swoje zdrowie. David sięgnął po wielkiego pucha, zapalił i zaciągnął się z rozkoszą. Otoczyła ich smuga wonnego dymu.

- Gdyby tak Clara to zobaczyła, zabiłaby mnie z pewnością - powiedział i roześmiał się. - Pilnuje mnie niczym dziecka.

- A dlaczego nie miałyby tego robić? Jesteś dobrym mężem. Kto się nią zaopiekuje, gdy ciebie zabraknie?

- Mnie też to martwi - przyznał David. - Nie mamy ani dzieci, ani dalszych krewnych...

Nie potrzebował mówić dalej. Iwan wiedział, że Clara straciła wielu krewnych podczas Holocaustu. Często nocami budziła się z płaczem. Dla Clary, podobnie jak dla wielu innych Żydów, ta rana nie zagoi się nigdy.

Podróżowali razem po całym świecie, lecz nic nie zmusiłoby jej do postawienia stopy na ziemi niemieckiej. Przez całe lata poświęcała swój czas i pieniądze żydowskiej organizacji charytatywnej Wizzo, pomagając uboższym od siebie. Oboje pracowali dla Izraela. Sami byli już zbyt starzy, by emigrować, ale ich lud miał wreszcie ojczyznę, dzięki czemu przestał być gromadą wędrowców tułających się po świecie. David przekazał ogromne kwoty fundacjom charytatywnym w Izraelu i namówił wielu przyjaciół, w tym Karakowa, by uczynili to samo. Wraz z Clarą wizytował dwa razy do roku słynny Instytut Weizmanna, którego był członkiem. Wassermanowie kupili też niewielkie mieszkanie w Tel Awiwie, choć nie zamierzali się tam przeprowadzać. Mieszkanie było raczej symbolem wiary w przyszłość ich ojczyzny. David lubił powtarzać, że młody kraj jest dla ludzi młodych, mających życie jeszcze przed sobą.

- Jak interesy? - zapytał.

To samo pytanie padało na całym świecie - w Amsterdamie i w Antwerpii, w Hatton Garden i w Kimberley, w Paryżu i w Nowym Jorku. Wszędzie tam, gdzie handlowano diamentami, posługiwano się tą samą frazeologią.

Karakow wzruszył ramionami.

- Nieźle. Ale mogłoby być lepiej.

Wasserman uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Ile milionów zysku osiągnąłeś w tym roku, że mówisz: „Nieźle, ale mogłoby być lepiej?”

- A ty co? Myślałem, że przechodzisz na emeryturę. Co więc przyznało cię i Clare do Londynu na posiedzenie zarządu? I dlaczego zdecydowaliście się tak nagle na przyjazd tutaj?

- Przyjechałem porozmawiać z Juliušem na twój temat. Powinno ci to pochwlebiać. Julius przylatuje do Anglii tylko wtedy, gdy problem jest naprawdę poważny. Jesteś dla nas problemem.

- Nie stanowią żadnego problemu - odparł Iwan. - Jestem po prostu niezadowolony. Nie podoba mi się sposób, w jaki Diamond Enterprises prowadzi swoje interesy. Można przykręcać śrubę tej całej drobnicy, ale nie mnie. Nie mam zamiaru nadal kupować waszych przeklętych pakietów. Możesz to powtórzyć Heydermanowi. Ostatnio znowu wtrynął mi jakiś chłam. Nie mam zamiaru godzić się dłużej na jego warunki.

- Dobrze, już dobrze. - Wasserman uniósł rękę.

Iwan rzucił mu groźne spojrzenie zza biurka. Ostatnio stawał się coraz większym autokratą. Gdy tylko ktoś ośmielił się być odmiennego zdania, wybuchał gniewem, podnosił głos, a na koniec wyrzucał rozmówcę za drzwi. Na Davidzie nie robiło to wrażenia. Swego czasu pracował z Janem Heydermanem, który wówczas miał już ponad osiemdziesiąt lat, i nigdy później nie spotkał nikogo, kto mógłby się z nim równać. Gdyby megalomanię mierzo no tak, jak się określa konfekcję, Karakow byłby jedynie „dużym” rozmiarem.

- Dobrze - powtórzył - wiemy, że jesteś niezadowolony i pragnęlibyśmy wyjaśnić ten problem. Nie chcemy, abyś opowiadał wszystkim dookoła, że DE nie gra fair. Taka niekorzystna opinia odbiłaby się w efekcie także i na tobie. Wiesz, ile przemysł diamentowy nam zawdzięcza.

- Wiem, wiem - przerwał Karakow. - Jan Heyderman i Pat Harris stworzyli największy cholerny monopol, jaki istniał kiedykolwiek, i on ciągle się trzyma. Znam to na pamięć.

- A co by się stało z całym przemysłem, gdyby nie ten monopol?

- odparował Wasserman. Mówił teraz bardzo poważnie. - Kiedy wszystkie duże kampanie zwalczały się wzajemnie, cena diamentów spadła do dolara czterdzieści za karat. Tak było, dopóki wszystkiego nie przejęli Heyderman i Harris. I podobna sytuacja może się powtórzyć.

- Brednie - rzekł Karakow. - Nie wciskaj mi tu ciemnoty, David, za stary jestem na to. Znam te wszystkie bajeczki. Czego chcesz ode mnie? Nie przyszedłeś tu z towarzyską wizytą. Jesteś człowiekiem zajęтым. Ja też. Więc o co chodzi?

- Zrozum, że nie chcemy walki z tobą. Chociaż i tak byśmy wygrali - dodał. Jego ciemne oczy były zupełnie nieruchome. - Harris przysłał jednego ze swoich najlepszych ludzi, aby się z tobą spotkał. Ten chłopak jest młody, to prawda, ale jest w porządku. Julius pokłada w nim wielkie nadzieje. Nazywa się James Hastings. Kontaktował się z tobą, ale ty nie chciałeś go przyjąć.

- Hastings? - powtórzył Karakow. Przez chwilę miał w głowie kompletną pustkę. - A tak, już wiem. Telefonował do mojej sekretarki i mówił, że jest z DE i że pragnie się ze mną zobaczyć. Tak, teraz pamiętam, Hastings.

- Dlaczego nie miałbyś się z nim umówić? Julius zaopatrzył go w kilka propozycji, które pragnie ci przedłożyć. Hastings aż się pali do spotkania z tobą. Twoje nazwisko wiele przecież znaczy w naszej branży. Co masz do stracenia?

- A czemu ty sam nie przedłóżysz mi owych propozycji? - zapytał Karakow. - Po co nasyłać mi tu tego nowego?

- Julius chce, aby przy okazji się czegoś nauczył. Mówiłem ci, że on jest młody i wydaje mu się, że zjadł wszystkie rozumy. - Zachichotał i zaciągnął się głęboko cygarem. - Od ciebie mógłby się sporo nauczyć. Iwan, wyświadcz mi tę przysługę i spotkaj się z nim.

- A niby czemu miałbym ci wyświadczać jakąkolwiek przysługę? - obruszył się Karakow.

- Bo doskonale się rozumiemy. Hastings to przyjemny chłopak, z pewnością go polubisz. Przyjechał tu z żoną. Ona zdaje się

jest arystokratką - dorzucił jakby od niechcienia, próbując odwołać się do snobistycznych ciągotek Karakowa. - Pomyśl o tym, Iwan. Po prostu przysługa. Co masz do stracenia?

- Mój czas - odciął się Karakow. - A czas to pieniądz. Jeśli ten Hastings wciąż czeka, aby się ze mną zobaczyć, to przekaż mu, aby specjalnie na to nie liczył. Co, idziesz już?

David zgasił cygaro i wstał. Westchnął:

- Tak, muszę się zbierać. Wybieramy się z Clarą na lunch.

Karakow objął go.

- Biznes to biznes, ale nadal jesteśmy przyjaciółmi. Moglibyśmy wybrać się razem na obiad. Powiem Laurze, aby zadzwoniła do Clary i ustaliła termin.

- Zrób to - odparł Wasserman.

Zjechał windą na parter i zatrzymał się na zatłoczonym chodniku, wypatrując taksówki. Jadąc do hotelu, wyglądał zatroskany przez okno. Nie udało mu się zmiękczyć Iwana Karakowa. Pochlebiał mu i groził na przemian, lecz nic nie zdołało zachwiać pewności siebie starego jubilera. Nie był to chyba wyłącznie przejaw megalomanii. Za tym musiało coś się kryć. Widocznie oprócz umowy z Moskwą, która przecież nie została jeszcze podpisana, Karakow dysponował czymś więcej, co czyniło go tak pewnym siebie. Nie miał zamiaru spotykać się z Jamesem Hastingsem. Nawet wiadomość, że jest on bezpośrednim wysłannikiem Heydermana, nie zdołała go poruszyć.

David Wasserman poczuł nagły skurcz w żołądku. Zwykle tak reagował, gdy coś go zaniepokoiło.

Pospieszył na górę do pokoju, by porozmawiać z Clarą.

Dick Kruger pocałował Ruth.

- Jak cudownie jest być razem. Chciałbym, abyś mi pozwoliła przyjechać na następny weekend. Bez ciebie jestem samotny jak palec.

- Ja bez ciebie też - zapewniła. - Jednak w przyszłym tygodniu jadę do Antwerpii i wracam dopiero w sobotę wieczorem. Nie

mielibyśmy czasu dla siebie. Przykro mi, kochany, ale naprawdę nie miałabym się jak wyrwać. Hastings zaplanował ten wyjazd i chce, abym mu towarzyszyła.

Oboje znajdowali się na lotnisku. Właśnie zapowiedziano samolot do Londynu. Ruth delikatnie popchnęła Dicka w stronę wyjścia. Spędzili razem rzeczywiście uroczy weekend. Kochali się, robili wypadki do lokali, wracali do domu i znowu się kochali. W niedzielę rano pojechali na długi spacer do Lasku Bulońskiego. Dick trzymał ją za rękę niczym zakochany po raz pierwszy chłopak. To było wzruszające i Ruth ze wszystkich sił starała się być miła i jakoś go pocieszyć, stosując jedyny znany sobie sposób. Zaproponowała, by wrócili do domu i spędzili popołudnie w łóżku. Znowu zaczął mówić o małżeństwie, pokazał jej nawet papiery, które zabrał ze sobą. To też było bardzo wzruszające, choć Ruth miała nadzieję, że udało się jej odwieść go od tej myśli jeszcze przed wyjazdem do Paryża. Nie chciała wychodzić za niego. Stałaby się jego własnością. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że małżeństwo nie byłoby udane. Teraz, gdy przebywała z dala od niego i całej biurowej rutyny, coraz rzadziej myślała o tym, że pozostaną razem. Europejska filia DE wydawała się jej bardziej fascynująca niż znajome, utarte ścieżki na Blackfriars Road. Hastings wybierał się do Antwerpii, by spotkać się z członkami konsorcjum zrzeszającego największych kupców diamentów, jednak mieli wrócić już w piątek po południu. Ale Ruth nie chciała, by Kruger przyjeżdżał na najbliższy weekend. Pragnęła mieć trochę czasu dla siebie. Poza tym miała jeszcze jeden powód, dla którego chciała powiększyć dzielącą ich odległość.

Kruger nie miał przed nią żadnych tajemnic. Zbyt długo już pracowali razem. Miał do niej zaufanie, więc mówił jej wszystko, ceniąc sobie jej opinię.

Teraz też opowiedział jej, jak to Arthur nie przekazał Hastingsowi informacji o tym, że Karakow sprzedaje garnitur cennych diamentów. Podczas obiadu w Tour d'Argent, podniecony

wybornym jedzeniem i doskonałym claretem, Dick pochylił się ku niej i perorował:

- Andrewsowi świetnie idzie w Moskwie, więc nie mam zamiaru dawać temu gnojkwowi do ręki żadnych atutów, skoro nie ma takiej potrzeby. Niby czemu mielibyśmy podawać mu wszystko na tacy?

Zobaczył błysk w oczach Ruth. Znał to spojrzenie - uważne, skupione, niczym u kota wyruszającego na łowy.

- Karakow sprzedaje je w imieniu Rosjan - mówił dalej. - Tego też udało nam się dowiedzieć.

- Jak? - zapytała.

Twarz mu się wydłużyła.

- Nie pytaj. Reece ma jakąś wtyczkę, wśród ludzi Karakowa.

Przyjechał do Londynu i zapytał, co Hastings ma zamiar teraz robić.

- I co mu Arthur odpowiedział? - Głos Ruth był pełen słodyczy.

- A jak myślisz? - Odsłonił zęby w uśmiechu. - Powiedział, że jak dotąd Hastings nie zrobił żadnego użytku z tej informacji, ale Andrews już tak daleko posunął się w negocjacjach, że w rezultacie tamto może okazać się bez większego znaczenia.

Reece przekaze to Heydermanowi. Tak, naszemu chłoptasiowi z pewnością nie wyjdzie to na dobre.

Skinął na kelnera, by dołąć im wina. Ruth odmówiła.

- Ty jeszcze masz, a mnie taka duża ilość alkoholu nie służy. Jeśli Karakowowi uda się sprzedać te diamenty, potwierdzi tym samym, że ma wystarczająco duży rynek zbytu, prawda? Czy to nie przyciągnie Rosjan do stołu rozmów?

- Mądra dziewczynka, ty zawsze trafiasz w sedno. - Był dumny z jej przenikliwości. - Oczywiście, że tak. Z tego co słyszeliśmy wynika, że te diamenty są warte miliony. Karakow dorobił romantyczną legendę o ich pochodzeniu, ale naprawdę wydobyto je ze dwa lata temu. On je tylko przeszlifował. Rosjanie nie mają w tym wprawy Zrobili to kiepsko, tak że kamienie straciły sporo karatów, ale i tak są ogromne. I unikalne.

- Skąd ty to wiesz? Kim jest ten człowiek Reece'a? Musi to być ktoś rzeczywiście stojący bardzo blisko Karakowa.

- I bardzo dobrze opłacany - dodał. - Reece twierdzi, że jego informacje zawsze są prawdziwe. Jeśli Andrews zawrze kontrakt z Rosjanami, a Karakow nie znajdzie klienta, my przejmujemy te klejnoty. Stać nas na to, aby je kupić, jeśli to ma rozstrzygnąć o zawarciu umowy.

- Tak - zgodziła się - rozumiem. Ale czy zatajenie tego przed Hastingsem nie jest trochę ryzykowne? Założmy, że Heyderman się o tym dowie?

- A kto ma mu o tym powiedzieć? Arthur nie powie, ja także nie. Natomiast gdyby Andrewsowi się nie powiodło, to trudno, wtedy trzeba będzie poinformować Hastingsa o wszystkim. Ale założę się, że do tego nie dojdzie. Widziałem projekt umowy z Moskwą i, uwierz mi, jest dla nich tak korzystny, że musieliby być naprawdę szaleni, żeby tego nie podpisać. Miliony bezprocentowej pożyczki, pieniądze na inwestycje, nawet zobowiązanie do oczyszczenia Bajkału. Czy masz pojęcie, jak wielkie jest to jezioro? Ponad trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych, jedno z największych na świecie. Podpiszą, nie ma obawy.

Ruth powiedziała wolno:

- A czy Arthur rzeczywiście ma zamiar się z tego wywiązać?

Czy Heyderman wyrazi zgodę?

Kruger wypił do dna wino i popatrzył na nią.

- Dokument przygotowują nasi prawnicy, którzy wiedzą, jak się formułuje umowy zawierane z rządami obcych państw. Arthur nie widzi powodów do obaw. Zjedzmy lepiej jakiś deser. Boże, czy to żarcie nie było wspaniałe? - Uwielbiał słodczyce. Ruth zawsze mówiła mu, że powinien pilnować wagi.

Potem nie wracali już do tego tematu. Obecnie zegnali się na lotnisku. Przystanął, by objąć ją po raz ostatni.

- Bardzo cię kocham, Ruth. Zadzwoń do ciebie. Wyglądał tak żałośnie, że powiedziała szybko:

- Nie, kochany, to ja zadzwonię.

Gdy tylko wyszedł do sali odlotów, pobiegła do samochodu i szybko pojechała do biura.

Elisabeth czekała na Jamesa. W lodówce chłodził się szampan. Zadzwoniła do Wassermanów i odwołała dzisiejszą kolację. Nawet rozmowa z Clara Wasserman nie popsowała jej humoru; okłamała ją i z pewnym rozbawieniem słuchała podejrzliwych wypytywań starej kobiety.

- Ma pani mdłości? Och, to niedobrze. Ale może jednak pani mąż zdecydowałby się przyjść mimo to? Domyślam się, że to raczej nic poważnego. - Głos Clary był pełen pogardy. Ona by nigdy nie odwołała żadnego spotkania z powodu niedyspozycji żołądkowej.

Elisabeth odłożyła słuchawkę i roześmiała się. Tak, coś jej leżało na żołądku. Gdyby ta stara wiedźma wiedziała, że to wcale nie wynik przejedzenia...

Stała przy oknie, czekając na Jamesa. Przyjechał służbowym samochodem z kierowcą i kiedy wysiadł, była już w hallu i otwierała drzwi.

James wszedł pośpiesznie; wyglądał na zaniepokojonego.

- Kochanie... Co się stało? David był akurat u mnie, gdy jego żona zadzwoniła. Powiedziała, że masz mdłości. Czy źle się czujesz?

Elisabeth z uśmiechem, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jest mi niedobrze - powiedziała - zwłaszcza z samego rana. I tak będzie przez siedem najbliższych miesięcy.

W jego oczach zabłyśły łzy szczęścia. Nie mógł w to uwierzyć. Najchętniej słuchałby bez końca jej opowieści, trzymając ją w objęciach i kładąc zaborczą rękę na jej płaskim jeszcze brzuchu, jakby pragnął się upewnić, że to prawda.

- Och Liz, najdroższa... To wspaniałe.

Po raz kolejny musiała go zapewnić, że tym razem nie ma żadnych wątpliwości. Doktor potwierdził przypuszczenia, przeprowadził też rutynowy test, gdyż bardzo na to nalegała.

- Nic mi nie powiedziałaś.

W głosie Jamesa brzmiał wyrzut.

- Bo nie chciałam, abyś był rozczarowany. Tyle razy przedtem wydawało mi się, że teraz to już na pewno, a potem przychodziło to idiotyczne krwawienie, spóźnione o kilka dni. Kochany, jestem taka przejęta. Kolejna dobra nowina: jestem zdrowa i silna. Doktor zbadał mnie dokładnie. Ci francuscy lekarze są zdumiewający. Nie tacy jak w Anglii, gdzie nikt nie robi specjalnego zamieszania z powodu mającego narodzić się dziecka. A tutaj test krwi, ciśnienie, mnóstwo innych badań. Powiedział, że przez najbliższe tygodnie mam się nie przepracowywać, jako że to pierwsza ciąża. I to już wszystko. Zadzwoiłam do tej starej wiedzmy i odwołałam dzisiejszą kolację. Pomyślałam, że najprzyjemniej będzie uczyć to we dwoje. Drinki są w lodówce, więc możemy zaczynać. Przyniosę butelkę.

Zerwał się.

- O nie. Ty zostaniesz tutaj. Nie będziesz się schylała i dźwigała butelek... - Oboje się roześmieli. Byli tacy szczęśliwi. - Czyż nie jestem szczęściarzem? - wyszeptał. - Nigdzie nie pójdziesz. Zamierzam wprowadzić pewien reżim. Najlepiej od razu zacznij się przyzwyczajać.

Po kolacji dokończyli szampana i usiedli na dużej, wygodnej, kupionej przez nią sofie. Elisabeth wtuliła się w obejmujące ją opiekuńczo ramiona.

- David ubawił mnie dzisiaj - powiedział James. - Szkoda, że nie widziałaś jego twarzy, gdy oznajmiłem mu, że jednak spotkamy się z Karakowem. Przez pół godziny opowiadał, jak to próbował przekonać tego faceta, żeby zgodził się mnie przyjąć, i jaki Karakow był nieugięty. Aja mu na to, że szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej, bo ty już wszystko załatwiłaś przez wspólnego znajomego. Był wściekły.

- Chyba nie tak wściekły jak Clara. - Elisabeth zachichotała. - Utała jej nosa. Powinieneś ją usłyszeć, gdy do niej telefonowałam. Była święcie przekonana, że przyjdiesz do nich, zostawiając mnie samą na łożu boleści. - Uśmiechnęła się do

niego. - Zupełnie zapomniałam o tym obiedzie u Jean Pierre'a Dzisiaj zachowywał się tak wspaniale. Poprosiłam go na ojca chrzestnego.

- Nie spiesz się tak, kochanie. Zanim się urodzi, będziemy już w domu. Ciekaw jestem, czy to syn czy córka.

- Nie mam zamiaru się dowiadywać - powiedziała stanowczo.

- W dzisiejszych czasach z USG można wyczytać wszystko, ale nie będę pytała o wynik. Ty też nie chcesz wiedzieć, prawda?

- Będzie tak, jak mówisz. A teraz, lady Elisabeth, myślę, że już pora na spoczynek. Chodź.

- Zdaje się, że od tej chwili moje życie zamieni się w koszmar - powiedziała Elisabeth uszczęśliwiona.

8.

- Jak myślisz, czy długo jeszcze przyjdzie nam tu siedzieć?

Reece popatrzył na nią z niepokojem. Miała gniewną minę i nie odzywała się wiele od chwili, gdy wrócił do domu. Promienie słońca padały na tył jej głowy, oświetlając brązowe włosy. Żałował, że była u fryzjera. Nie znosił, gdy miała krótko obcięte włosy. Najbardziej lubił ją w takim uczesaniu, jakie nosiła w młodości, z długimi włosami opadającymi łagodnymi falami na ramiona.

- Nie wiem - odparł. - Chyba niezbyt długo.

- Nienawidzę Londynu - powiedziała. - Chcę wracać do domu.

Domem było ich mieszkanie w Johannesburgu. Po śmierci rodziców sprzedali dom w Kaaplandzie, gdzie oboje się urodzili, i przenieśli się do wspaniałej, złotej stolicy. Tam Reece znalazł pierwszą pracę, a ona rozpoczęła kurs dla sekretarek. Mieli trochę pieniędzy, jednak nie aż tyle, by jedno z nich mogło nie pracować. Jemu początkowo nie podobał się ten pomysł. Była taka wątła, więc obawiał się, że praca mogłaby jej zaszkodzić. Nigdy nie była silna. Pamiętał noc, kiedy leżała w gorączce. Miał wtedy dwanaście lat, a ona dziesięć. Całą noc przepłakał pod jej drzwiami w obawie, że mogłaby umrzeć. Wtedy nic jeszcze nie zaszło między nimi. I nigdy by nie zaszło, gdyby ona nie zaczęła.

Ich ojciec był właścicielem sklepiku w niewielkim miasteczku w prowincji Kap. Przyjechał z Anglii jako młody mężczyzna

i poślubił tutejszą dziewczynę. Byli bardzo surowymi rodzicami. Żyli pochłonięci wyłącznie sprawami sklepu i problemami życia codziennego. Swoje dzieci wychowywali według ścisłych reguł: za złe postęпки dostawały lanie, a jeśli były grzeczne, bicie je omijało. Chwila, gdy ojciec po raz pierwszy sięgnął po laskę, by zbić siostrę, przypawiła Reece'a niemal o szaleństwo. Był słabowitym chłopcem o żółtawej cerze i gdy rzucił się na ojca, bijąc go i kopiąc, ten powalił go na podłogę jednym ciosem w twarz. Wtedy Reece uświadomił sobie, jak bardzo nienawidzi ojca, jak bardzo nienawidzi wszystkich poza Joy. Na całym świecie istnieli tylko oni dwoje, zarówno w niewielkim świątku sklepu, przesyconym zapachem mydła, parafiny i stęchłego jedzenia, jak i w świecie zewnętrznym, bezlitosnym, suchym, nasłonecznionym, gdzie z ulic podnosił się kurz i gdzie nigdy nie działo się nic ciekawego.

- Pojedziemy do domu, gdy tylko będę mógł - zapewnił.

- Ty zawsze tylko obiecujesz. Ostatnio powiedziałeś, że spędzimy w Anglii najwyżej sześć miesięcy, a przeciągnęło się to aż do roku. Teraz znowu tu jesteśmy i ty znowu nie masz pojęcia, jak długo to potrwa. Brakuje mi słońca. Wiesz, że łatwo się przeziębiam. W dodatku przyleciałeś tu pierwszy, skazując mnie na samotną podróż, bez żadnej opieki. W samolocie było mi okropnie niedobrze. Wiesz, jak nie znoszę latania. Mogłeś przynajmniej poczekać na mnie.

Reece odłożył książkę. Znał te objawy. Joy najwyraźniej dążyła do sprzeczki. Bał się tych kłótni, robiło mu się od nich niedobrze. Ją też przygnębiały, mimo to zawsze je prowokowała. Znowu przez kilka dni będzie miała ściągniętą twarz i zaczerwienione oczy, a on będzie starał się ją ułagodzić. Teraz miał za sobą ciężki dzień i nie chciał, by kłótnia zepsuła im wieczór. Pragnął spokojnie posiedzieć w domu i poczytać albo posłuchać muzyki. Powiedział więc pojednawczo:

- Nic nie mogłem na to poradzić. Pan Julius kazał mi wyruszyć natychmiast. Próbowałem skontaktować się z jego córką, ale nie wpuściła mnie do domu. On tak się o nią martwi. Słuchaj, Joy,

bądź rozsądna. Stella jest dosłownie jak pistolet przystawiony do jego głowy. Żal mi go.

- A mnie nie - odparła ze złością. - To łajdaczka. Wyszła za brudnego czarnucha. Dlaczego Heyderman tak się przejmuje, co się z nią stanie? Powinien pozwolić jej zdechnąć w rynsztoku, tam gdzie jest jej miejsce.

Nic nie odpowiedział. Znał ten jej nastrój. Patrzyła na niego oczami rozszerzonymi gniewem.

- Nie zapominaj, co Heyderman ci zawdzięcza - powiedziała. - Ktoś powinien mu to wreszcie uświadomić.

- Nie mów tak, Joy.

Jego głos zabrzmiał nagle ostro, a na twarzy pojawił się wyraz, jaki przybierał wobec świata zewnętrznego. Tym tonem rzadko przemawiał do siostry, ale kiedy już go użył, traciła całą swoją przewagę nad nim. Już kilkakrotnie wspominała, że przecież mógłby szantażować Juliusa Heydermana i ciągle jeszcze nie potrafiła pojąć, że tego nigdy by nie zrobił.

- Cokolwiek uczyniłem dla pana Juliusa, zawsze mi się odwdzięczał i to z nawiązką. Mówiłem ci, żebyś nigdy więcej nie wracała do tamtej sprawy. To już przeszłość. Pan Julius o niczym nie wie.

- Nie musi - odparła. - Znakomicie jest być takim Heydermanem. Można robić co się chce, a zawsze ktoś taki jak ty poręczy za niego. Albo za córeczkę.

- Ona się nie liczy - odparł Reece.

Zapomnieli o kłótni. Heyderman i Harris stanowili ulubiony temat ich rozmów. W jego siostrze budzili zainteresowanie pomieszane z zazdrością, więc zasypywała go pytaniami na ich temat. Czerpała przewrotną radość z rywalizacji między obydwoma mężczyznami. Nie mogła się zdecydować, któremu naprawdę życzy zwycięstwa. Pewnie wygra Julius, już jej brat zadba o to. Czytała kiedyś książkę o pewnym tajnym bractwie w Chinach i pomyślała, że jej brat śmiało mógłby do niego należeć. W jego towarzystwie każdy czuł się niepewnie; poza nią, oczywiście. Ona mogła go sobie okręcić wokół małego palca. Nikt o tym nie

wiedział, nikt się tego nawet nie domyślał.

- Jedyna rzecz, która naprawdę się liczy - mówił dalej Reece - to trzymać pana Juliusa z dala od skandalu, oszczędzać mu zmar-twień. Człowiek mający na głowie tyle obowiązków co on nie mo-że przez cały czas przejmować się sprawami rodzinnymi. Nie był-by wtedy w stanie poprowadzić interesów.

Mówił o swoim chlebodawcy tak, jakby nie był on rekinem przemysłowym, a dobrodusznym angielskim seniorem departa-mentu, rozpieszczanym przez starszawą, niezamężną sekretarkę. Zawsze miał do niego taki stosunek, nawet gdy był jednym z młodszych pracowników DE. Jego gotowość do zajmowania się trudnymi problemami zwróciła na niego uwagę przełożonego. Jakoś to się rozniosło, że jeśli chcesz, by ktoś wykonał za ciebie brudną robotę, jeśli grozi ci proces, jeśli ktoś uskarża się na cenę, jaką otrzymuje za swoje diamenty, wystarczy przekazać sprawę Reece'owi, a ten już wszystko załatwi. I rzeczywiście załatwiał. Mówiono o nim, że zna cały świat przestępczy Johannesburga, miasta uważanego przecież za stolicę zbrodni. Widywano Reece'a przemierzającego ulice, na których żaden porządny człowiek nie byłby bezpieczny. Wszystko, co o nim mówiono, było prawdą.

Tamto zaczęło się, gdy miał szesnaście lat. Wtedy po raz pierwszy siostra przyszła do jego łóżka, szepcząc błagalnie i ma-newrując jego dłońmi po swoim ciele. Przedtem nie uświadamiał sobie tych potrzeb, nie reagował na pierwsze sygnały dojrzewania. Ale to się wydarzyło i od tej pory dzielili zarówno swój sekret, jak i poczucie winy. Nie dawali sobie powodów do zazdrości. Joy nigdy nie zachęcała innych mężczyzn, on zaś trzymał się z dala od kobiet. Stawali się sobie coraz bliżsi i w chwili, gdy rodzice umar-li, byli kochankami już prawie dziesięć lat. Zachowywali się przed ludźmi tak, jakby byli małżeństwem. Ale to kłamstwo miało swoją cenę. Uczyniło Reece'a wyrzutkiem, zanim jeszcze naprawdę wszedł w świat. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest pariasem. Nienawidził ludzi i pogardzał nimi, gdyż wiedział, że zaszczyliby

i jego, i siostrę. Nigdy nie odczuwał żadnego współczucia, żadnych skrupułów, gdyż instynkt mówił mu, że on sam utracił do nich prawo. Szacowny, drobnomieszczański świat uznałby z pewnością, że to, co on i Joy czują do siebie, jest plugawe. Dlatego też oceniał innych ludzi dokładnie tak samo. Kiedy został osobistym asystentem Juliusa Heydermana, po raz pierwszy w życiu pracował dla kogoś, kogo mógł podziwiać. Julius był dla niego gigantem wśród Pigmejów.

Heyderman nie tylko zdobył sobie uznanie Reece'a dzięki zaufaniu, jakim go obdarzył. Sprawił również, że ten niepozorny mężczyzna o nieciekawym wyglądzie nabrał poczucia ważności i respektu dla samego siebie. Skoro taki człowiek jak Julius Heyderman zwrócił na niego uwagę...

Reece ubóstwiał Heydermana i zrobiłby dla niego wszystko, gdyż dzięki niemu zdobył możliwość chronienia Joy.

Zgromadzili olśniewającą kolekcję płyt i mieli nowoczesny odtwarzacz stereo. Wielokrotnie bywali w Festival Hall. Podczas koncertów siedzieli trzymając się za ręce i rozkoszując się muzyką. Ani w Londynie, ani w Johannesburgu nie mieli przyjaciół. Co do tego zdecydowali się już dawno. Żyli w swoim własnym świecie, do którego nie dopuszczali obcych.

Joy nie miała tak ciemnej karnacji ani nie była tak szczupła jak on. Miała okrągłą, wrażliwą twarz i orzechowe oczy. Skończyła trzydzieści osiem lat, ale wyglądała znacznie młodziej, jakby proces starzenia się zatrzymał się u niej ledwie przekroczyła dwudziestkę. Należała do tego typu kobiet, które przez całe lata wyglądają młodo, a potem nagle marszczą się niczym papierowa torebka.

Reece nie mógł zrozumieć, dlaczego czasami potrafi być tak irytująca i drażliwa. Robił dla niej wszystko, rozpieszczał ją jak potrafił, a jeśli chodziło o seks, poświęcał jej znacznie więcej uwagi niż większość mężów swoim żonom.

Ale nie zawsze była taka. Po okresie złego humoru stawała się miła. Byli naprawdę szczęśliwi, doskonale dopasowani do siebie.

- Joy, powiem ci, co zrobimy. Zarezerwuję na jutro bilety do Old Vica na to nowe przedstawienie. Pójdziemy do teatru, a potem na kolację. Jak ci się podoba ten pomysł?

- Znakomity - uśmiechnęła się. - Bardzo tego pragnę.

Zadowoleni usiedli, by resztę wieczoru spędzić nad książką.

- Mamusiu?

- Tak, kochanie?

- Kiedy tatuś wróci?

Susan Andrews odłożyła cerowanie. Córeczka odrabiała lekcje przy biurku stojącym pod oknem w dziennym pokoju. Susan była zadowolona z jej towarzystwa. Ray przebywał poza domem ponad miesiąc i czuła się coraz bardziej samotna.

- Nie wiem, kochanie. W ostatnim liście pisał, że ma nadzieję wrócić niedługo, ale nie wydaje mi się, aby wrócił prędko, bo już by napisał coś więcej na ten temat.

- Bardzo długo go już nie ma - powiedziało dziecko. - A co on robi mamusiu?

- Próbuję zawrzeć umowę, kochanie. Ale to wolno idzie.

Susan sama usiłowała zrozumieć jak najwięcej z listów i telefonów męża, ale nie przychodziło jej to łatwo. Zwłaszcza zaś nie mogła sobie wyobrazić Raya nawiązującego przyjaźń z Rosjaniem, ekskomunistą. Dla Susan wszyscy Rosjanie byli komunistami, a więc ludźmi, którym nie należało wierzyć. Starła się równie inteligentnie odpowiadać na listy, ale nigdy nie potrafiła zapanować nad myślami, zawsze kończyło się na opisach lekcji jazdy na nartach, branych przez Frances, streszczeniu ostatniego listu Petera z Kanady... Pisała, że lodówka się zepsuła i to akurat w czasie największych upałów i gdy rano chciała przygotować śniadanie wszystkie produkty okazały się zepsute. A z serwisu naprawczego nikt się nie pojawiał przez całe dni. Odwiedzili ją Simpsonowie i spędzili razem bardzo przyjemny wieczór. Dostała zaproszenie od pani Harris na kolację w Dorchester, wydawaną na cześć jednego z dyrektorów południowoafrykańskiej kopalni

złota. Bardzo się boi iść tam bez niego, ale chyba powinna. Może byłoby dobrze, gdyby na tę okazję kupiła sobie nową suknię, ale nie potrafi się zdecydować, czy kupić ją w lokalnym sklepie, czy lepiej pojechać do miasta. Bardzo już za nim tęskni. Jak sądzi, kiedy będzie mógł wrócić? Czy mógłby do niej zatelefonować, gdy tylko ustalą datę powrotu?

Zaproszenie wisiało nad nią niczym miecz Damoklesa. Kiedy je otrzymała, zdecydowała od razu, że nie pójdzie. Przyjmie zaproszenie, a następnie uda, że zachorowała. Jednak później przestraszyła się, że ktoś mógłby się domyślić, że to tylko wymówka, co w rezultacie odbiłoby się na Rayu. Takie rzeczy nie pozostawały bez wpływu na karierę. Wielkie firmy uważały, że mogą ingerować w prywatne życie pracowników i nieodpowiednia żona mogła zrujnować karierę nawet najbardziej obiecującemu mężowi. Słyszała to wielokrotnie i zawsze obawiała się, że to może dotyczyć także i jej. Stanowili tak szczęśliwą rodzinę, Ray był taki zdolny, osiągnął szczyt kariery. Dlaczego jego pracodawcy nie mogli się tym zadowolić i zostawić jej w spokoju? Ona sama, co przyznawała ze smutkiem, nie miała nic do zaoferowania. Nie była ani mądra, ani dowcipna, nie potrafiła prowadzić konwersacji, nie była tak piękna i wyrobiona towarzysko jak żona Jamesa Hastingsa ani tak inteligentna jak Valerie Kruger. Czemu też pani Harris nie pozwoliła jej spokojnie zostać w domu i czekać na męża, tylko dołączyła jej nazwisko do listy gości? Oczywiście, takie zaproszenie było wyróżnieniem, musiała to lojalnie przyznać. Zaproszenie jej podczas nieobecności męża świadczyło o tym, że Ray jest bliższy Arthurowi niż ktokolwiek inny. Napisała podziękowanie i postawiła zaproszenie na półce nad kominkiem, skąd spoglądało na nią groźnie. Już tylko pięć dni. Modliła się, by Ray wrócił do tego czasu. Wtedy nie byłoby tak źle. Ray wiedział, że jest nerwowa i zawsze starał się ją ochraniać. Także obecność Valerie Kruger przynosiła jej ulgę; Valerie zawsze przychodziła jej z pomocą, starając się trzymać ją z dala od Christy Harris. Susan, lojalna wobec Arthura, nie mogła zmusić się do polubienia jego żony.

W tej kobiecie było coś takiego, że gdy wyciągała rękę na powitanie, Susan nerwowo spoglądała w dół, czy przypadkiem nie wylała sobie czegoś na sukienkę przed wyjściem z domu. Te formalne przyjęcia przeżywała ciężko; trzeba było wypić drinka przed obiadem i rozmawiać zupełnie o niczym z ludźmi, którzy podczas konwersacji rozglądali się w poszukiwaniu kogoś ważniejszego albo bardziej zajmującego, potem następował obiad, podczas którego człowiek uprzejmie przysłuchiwał się rozmowie prowadzonej przez sąsiada po prawej z jego sąsiadem, popijał wino i marzył o pójściu do domu. Najgorzej było przy kawie, gdyż Arthur po wypiciu brandy stawał się bardzo wymowny i zatrzymywał swoich gości, opowiadając o interesach, dopóki jego żona nie dała mu stanowczego znaku do wstawania. Susan raz widziała, jak przerwała mężowi dosłownie w pół zdania. Poczula się wtedy bardzo skrępowana, myśląc, że to najjaskrawszy przykład złego zachowania, z jakim się w życiu zetknęła.

Nie miała w co się ubrać. Wszystko nosiła już poprzednio i zdawała sobie sprawę, że w niczym nie wygląda naprawdę dobrze. Długa suknia czy krótka? To okropne zaproszenie nic nie mówiło na ten temat. Po prostu, strój wieczorowy. Gdyby Ray był w domu, mógłby się jakoś dowiedzieć, na przykład zapytać Ruth Fraser, kochankę Krugera, w co ona się ubierze. Wieść o tym związku zaszokowała Susan. Pozostałe żony nie lubiły Ruth, zresztą która żona by ją polubiła? Z jej pochodzeniem i dwuznacznym statusem sekretarki i kochanki. Na każdym przyjęciu pojawiała się z podniesionym czołem; duży diament połyskiwał w jej zaręczynowym pierścionku. Wobec Susan Ruth zawsze zachowywała się bardzo miło.

Długą sukienkę z czerwonego, jedwabnego dżerseju, którą Ray tak bardzo lubił, nosiła już trzy lata. Zdecydowała, że to już naprawdę dosyć. Czarną jedwabną suknię, też przyjemną, miała na sobie ostatnio, gdy byli zaproszeni do teatru, a jej najlepsza kreacja, krótka, zielona suknia z falbankami, którą Ray kupił jej w prezencie, była zbyt cienka na tę porę roku.

- Muszę kupić sobie coś nowego - powiedziała na głos - chociaż to grzech, tak na jeden raz.

- A co chcesz kupić, mamusiu?

- Nową sukienkę, kochanie. Jestem zaproszona na przyjęcie u szefa tatusia. Odrabiaj lekcje, kolacja za pół godziny.

- Ale ci dobrze - westchnęło dziecko. - Ja też chciałabym iść na przyjęcie.

Susan złożyła cerowanie do pudełka i poszła do kuchni przygotować kolację.

Kochała swoją kuchnię. Urządzali ją wspólnie. Wyposażenie oszczędzało Susan zbędnego wysiłku i praca w takim pomieszczeniu stawała się przyjemnością. Ray nalegał, by na urządzenie kuchni przeznaczili więcej pieniędzy niż na pozostałą część domu. „Spędzasz tu tyle czasu, pracując dla nas, więc chciałbym, abyś miała tu wszystko, czego pragniesz. Nie będziemy oszczędzali...” Kochała go za to, że doceniał to, co wielu mężów uznawało za nieważne. Zawsze podkreślał, że jej praca jest tak samo ważna jak jego. Skarciła się w myślach, że nie chciała iść na to okropne przyjęcie, podczas gdy Ray w Moskwie musiał uporać się z ważniejszymi problemami.

Zdecydowała, że jutro pojedzie na zakupy. Potrzebowała także nowych butów i torebki. Wydawanie pieniędzy na siebie ciągle jeszcze napełniało ją niechęcią; była to pozostałość z czasów, gdy oboje pracowali, by spłacić hipotekę ich niewielkiego mieszkania i ciągle brakowało im pieniędzy. Od tamtych lat rzeczywiście zaszli daleko. Mieli teraz dom, dwa samochody, mogli sobie pozwolić na luksusowe wakacje, na edukację dzieci. Naprawdę Ray zasłużył sobie na to, by zrobiła dobrą minę do złej gry i poszła na to przyjęcie. Ale gdyby tak jakimś cudem wrócił na czas, uniknęłaby przynajmniej tego okropnego, samotnego wejścia, westchnęła w duchu.

Dymitr Borysow uściśnął rękę Raya tak jak zwykle, jednak w jego oczach ponownie pojawiły się stalowe błyski, których Ray

podczas poprzednich spotkań już nie dostrzegął. Ostateczny projekt umowy przekazał Borysowowi dziesięć dni temu i od tego czasu nie miał od niego żadnej wiadomości aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy to otrzymał stanowcze wezwanie do ministerstwa.

- Usiądź - powiedział Borysow - zaraz będzie herbata. Tak... Nasz departament odpowiedzialny za sprawy kontraktów przejrzał dokładnie tę umowę i znalazł jeden punkt, który nie satysfakcjonuje nas do końca... Bardzo istotny paragraf, mówiący o waszych zobowiązaniach odnośnie projektu oczyszczenia Bajkału. Wasze sformułowanie brzmi dość dwuznacznie. Zaznaczyłem ten paragraf, o tutaj.

Podał dokument Andrewsowi. Ten przeczytał go, szukając błędów. Wiedział, że umowa została starannie zredagowana w Londynie i na pierwszy rzut oka nie mógł dopatrzeć się w niej niczego, co mogłoby spowodować wątpliwości Borysowa.

- Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku - powiedział.

- Pamiętaj, że to tylko projekt i jeśli chodzi o przeredagowanie tego paragrafu dotyczącego Bajkału, z łatwością można to uczynić.

Borysow potrząsnął głową.

- Nie, przeredagowanie to nie wszystko. Ani ja nie jestem prawnikiem, ani ty. W naszych negocjacjach zaszliśmy już daleko. Jestem optymistą i wierzę, że niedługo będziemy mogli coś podpisać. Pokazywałem ten dokument prezydentowi. I on, i nasi eksperci są zgodni w jednym punkcie, mianowicie, że problem Bajkału nie jest podkreślony dostatecznie mocno. Wszystko inne: kredyty, koncesja na sprzedaż diamentów, określenie wielkości wydobywania w Archangielsku, to wszystko jest jasne. Natomiast to jedno nie. - Wskazał palcem zaznaczony ustęp.

- Dobrze - Andrews skinął głową - przyjmuję ten punkt widzenia. Uściślijmy to. Bajkał to sprawa priorytetowa i nasze zobowiązania powinny być podkreślone jasno i wyraźnie, czy tak?

- Takie instrukcje dostałem od prezydenta - odparł Borysow.

- Bez tego nie ratyfikuje umowy z Diamond Enterprises. Umowa z Karakowem jest gotowa do podpisania. To nie jest blef, taka jest prawda. Prezydent nie życzy sobie dalszej zwłoki. Nie masz czasu na żadne manewry.

- Nie mam - przyznał Ray - i muszę się z tym pogodzić. - Zdecydował, że w tej sytuacji musi przejąć inicjatywę. - Widzisz, nie mam odpowiednich uprawnień, by to zagwarantować. Jeśli prześlę umowę do Londynu, nasi cholerni prawnicy będą ją przetrzymywać całymi tygodniami. Już i tak zajęło to mnóstwo czasu. Czy wystarczy, jeśli mój prezes da ci osobistą gwarancję naszych zobowiązań? Czy to usatysfakcjonuje prezydenta i da nam czas na przygotowanie poprawionej wersji umowy? Innymi słowy, czy przesuniesz ostateczny termin i dasz nam gwarancję, że nie podpiszesz układu z Karakowem?

Dymitr Borysow popatrzył najpierw na projekt, a potem na Raya Andrewsa.

- Poprę to rozwiązanie - powiedział. - Kiedy otrzymam list od twojego prezesa? Muszę przekazać moją opinię prezydentowi, a ten z pewnością zapyta o termin.

Ray wstał.

- Myślę, że najkrócej to potrwa, jeśli polecę do Londynu i przywiozę go osobiście. Zresztą łatwiej mi będzie wytłumaczyć mu całą sytuację w bezpośrednim kontakcie, a nie przez telefon czy za pomocą faksu. Prezes ufa moim ocenom i na pewno zrobi to, co sugeruję.

Borysow wstał, wyszedł zza biurka i położył rękę na ramieniu Andrewsa.

- Zrób to - powiedział - a za trzy tygodnie podpiszemy umowę. To z kolei moja gwarancja dla ciebie. Jak na rosyjskie warunki, to bardzo szybko. Kiedy chcesz wyjechać?

- W sobotę wieczorem. Wróciłbym w połowie następnego tygodnia.

- Dobrze - powiedział Borysow. - Pójdziemy do Teatru Wielkiego, aby to uczcić. Jeśli tylko przywieziesz ten list.

- Przywiozę - obiecał Ray Andrews.

Gość z RPA, na cześć którego urządzono przyjęcie, okazał się bardzo wylewny i zdawał się doskonale bawić, siedząc obok Christiny. Arthur widział, jaka była czarująca, i podziwiał ją: jeśli tylko zechciała, potrafiła tak wspaniale, perfekcyjnie grać rolę małżonki szefa. Ale jak długo?

Podczas jazdy do domu nie rozmawiali ze sobą wiele.

- Myślę, że poszło dobrze - odezwała się nagle.

Czuł, że zaraz doda jakiś zgryźliwy komentarz, ale nie powiedziała nic więcej, dopóki nie znaleźli się w hallu.

- Idę spać, czy ty też?

- Później - odparł. - Mam jeszcze coś do zrobienia. Poszedł do gabinetu, nalał sobie whisky z wodą sodową

i usiadł, by się zastanowić, dlaczego zapytała go o to. Od lat już nie zajmowali wspólnej sypialni.

Poprzedniego dnia wrócił Andrews, przedstawiając warunki stawiane przez Rosjan. Te same, które Arthur już znał i które jego prawnicy opracowali tak szczegółowo w projekcie umowy. Ogromne nieoprocentowane kredyty, pieniądze na rozbudowę kopalń w okolicach Archangielska i na oczyszczenie Bajkału. Z osobiście przez niego podpisaną gwarancją, że DE zapewni środki techniczne i finansowe.

Nie mógł tego uczynić. Nie mógł obiecać czegoś, co Julius Heyderman odrzuciłby z miejsca. Ten warunek jest czymś w rodzaju worka bez dna, który unieruchomi ich kapitał na długie lata bez widocznych korzyści. Arthur nie mógł podpisać takiej gwarancji, zaś bez niej Rosjanie postawią na Karakowa i z nim zawrą umowę. Ray Andrews poniesie porażkę, a głowa Arthura pójdzie pod topór.

Przegrywał. Właściwie podczas dzisiejszego przyjęcia pogodził się z tą myślą, aż do chwili, gdy spojrział przez stół i zobaczył Raya siedzącego obok żony. Ze zdziwieniem zauważył, że tego wieczoru Susan wygląda wyjątkowo korzystnie. Andrewsowie stanowili taką miłą, szczęśliwą parę. Ray był utalentowany i lojalny, a teraz także miał zostać zrujnowany. Arthura ogarnęło uczucie smutku.

Żył dla biznesu, gdyż biznes - oprócz żeglowania - był jedynym źródłem jego szczęścia. Co jeszcze mu pozostało? Żałosne małżeństwo, zatrute poczuciem przegranej, uosabiane przez Christę wyglądającą dzisiaj tak atrakcyjnie i pociągająco; syn, który nim pogardzał, biorąc przykład z matki; Julius, pragnący się go pozbyć i mający teraz doskonałą okazję, by to zrobić. Stracił wszystko.

Na odgłos otwieranych drzwi uniósł głowę. W drzwiach stała jego żona.

- Nie idziesz jeszcze? Już późno.

- Już niedługo. Muszę tylko przejrzeć pewne papiery. Podeszła bliżej i usiadła naprzeciw niego.

- Jakie papiery?

Arthur przygotował się na nieunikniony atak. Ilekroć rozmawiała z nim o interesach, to w taki sposób, by podkopać jego aurytet. To był jego najwrażliwszy punkt. Christa sięgnęła do jego srebrnej papierośnicy i wyjęła papierosa.

- Przecież nie palisz - zaprotestował. - Nigdy nie paliłaś.

Nienawidzisz dymu.

Zapaliła i odparła:

- Czasami palę. Właśnie teraz mam ochotę na papierosa. Co to za papiery?

„Czasami palę”. A on, gdy chciał zapalić cygaro, musiał chronić się w swoim gabinecie.

- Nic takiego - odparł. - Codzienna rutyna.

- Nigdy nie przynosisz do domu tej codziennej rutyny i nie przesiadujesz nad nią do rana. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- Bo to jest skomplikowane, a ja jestem zmęczony. I wcale by cię to nie zainteresowało.

Dmuchała dymem, który zawirował w świetle rzucanym przez stojącą na biurku lampę. Odgonił go i włożył dokumenty do szuflady.

- Masz kłopoty, prawda? Dlaczego nie jesteś ze mną szczerzy? W końcu jestem twoją żoną.

Arthur zamknął szufladę na klucz.

- Czasami doprawdy trudno mi w to uwierzyć. Skąd to nagłe zainteresowanie moim samopoczuciem? To do ciebie nie podobne.

- Jesteś w kłótliwym nastroju - powiedziała zimno. - Musisz się czymś martwić. Nie myślę wyłącznie o twoim samopoczuciu, mój drogi Arthurze. Myślę również o naszym synu. Wiem, że sprawy od wizyty Juliusa nie układają się dobrze. Jest zupełnie oczywiste, że londyńskie biuro zostało skrytykowane przez mojego brata. A teraz powiedz mi, o co chodzi. Mam prawo wiedzieć.

Na początku ich małżeństwa zwierzał się jej ze wszystkiego. Wtedy nie byli tacy nieszczęśliwi, gdyż nie sądzili, by chwilowe niepowodzenia mogły przerodzić się w coś trwałego, a ona zdawała się być w nim zakochana i starała się, by ich małżeństwo okazało się szczęśliwe. To przynosiło ulgę, móc z nią rozmawiać wiedząc, że jest sojusznikiem. Ale później atmosfera się pogarszała. Ona zaczęła okazywać swoje rozczarowanie z powodu nieudanego pożycia, czyniąc złośliwe uwagi, co go głęboko raniło, zwłaszcza że doskonale zdawał sobie sprawę z przyczyny tych przytyków. A potem urodził się ich syn i wtedy kompletnie odwróciła się od niego, zaś jego wcześniejsze zaufanie stało się przedmiotem jej drwin, bronią wymierzoną przeciwko niemu. Od lat nie dyskutował z nią niczego i teraz, w obliczu kryzysu, także nie odważyłby się na takie ryzyko.

- Mamy pewne kłopoty - przyznał - ale wszystko będzie dobrze. To dotyczy tej nowej rosyjskiej kopalni. Andrews z całą pewnością da sobie radę.

- Masz do niego zaufanie, prawda? - zapytała. Pochyliła się do przodu i jej złote włosy zaśniły w świetle lampy. - Arthur, przestańmy walczyć choć na moment. Przez całe lata toczyliśmy ze sobą boje, ale teraz naprawdę nie pora na to. Julius pragnie twojej głowy, czy tak?

- Od trzydziestu lat - odparł. - Zawsze o tym wiedziałś i zawsze brałaś jego stronę przeciwko mnie.

Spojrzał na nią z wyrzutem. Tak bardzo ją kiedyś kochał i tak bardzo jej pragnął. Przez te wszystkie lata wielokrotnie przychodziły takie chwile, kiedy znowu czuł do niej miłość, ale walczył z tym uczuciem, ponieważ jej odmowa sprawiłaby mu ogromny ból.

Syn okazał się gwoździem do ich małżeńskiej trumny, tym ostatnim, który zamknął wieko. Matka i syn zawarli przymierze, gdy chłopiec był jeszcze mały. Dawała mu wszystko, czego pragnął, głównie na znak protestu przeciwko Arthurowi, sprzeciwiającemu się obsypywaniu chłopca pieniędzmi, zanim jeszcze się nauczy, jak ciężko je zarobić. Christa nazwała wtedy męża kutwą i na dwudzieste pierwsze urodziny kupiła synowi porsche. Ilekroć Arthur krytykował Martina, zawsze brała jego stronę.

- Jeśli Martin ma przejąć po mnie sukcesję, powinien się bardziej starać niż do tej pory - powiedział teraz. - Ja w Oksfordzie miałem celujący z PPE *, a on może mówić o szczęściu, jeśli otrzyma dostateczny. On wcale nie pracuje.

*PPE (Philosophy, Politics and Economics) - filozofia, nauki polityczne i ekonomia (przyp. tłumacza)

- Jeszcze zaczniesz pracować - rzekła z mocą. - Ty zawsze chcesz go do czegoś zmusić. Martin nie będzie cię słuchał, jest zbyt podobny do mnie.

Popatrzył na nią i nagle się uśmiechnął.

- Gdyby miał choć trochę twojej determinacji, moja droga, doszedłby do czegoś. Wiem, że cię to zdenerwuje, ale obawiam się, że jest trochę słabeuszem, tak jak jego ojciec.

Nie odpowiedziała mu od razu. Ciągle jeszcze nie była pewna, dlaczego zwróciła się teraz do niego. Sama nie rozumiała swoich pobudek, które kazały jej przyjść do jego gabinetu i próbować nawiązać nic porozumienia po tych wszystkich latach. Kierował nią instynkt. Arthur był poważnie zagrożony i tym razem nie mogła nie podjąć jakiegoś działania, tylko cieszyć się - jego nieszczęścia, jak to czyniła dotychczas. Zagrożona została przyszłość jej

syna. Wiedziała, że Julius go nie lubi. Troska o Martina kazała jej zwrócić się teraz do tego obcego mężczyzny którego poślubiła niemal trzydzieści lat temu. Tylko on mógł zażegnać niebezpieczeństwo.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała. - Jak zamierzasz walczyć z Julusem?

- To zależy od Moskwy i od Andrews'a - odparł Arthur. - Jeśli jego głowa poleci, twój brat dostanie także moją.

- Nie możesz mu na to pozwolić - zaoponowała. - Nie możesz dopuścić do tego, aby Julius zwyciężył. Musisz go pokonać, niezależnie jakimi środkami.

Znowu się uśmiechnęła.

- Będę próbował, moja droga. Nie po to prowadziłem ten interes przez tyle lat, by teraz Julius miał mnie wywalić pod byle pretekstem i wsadzić na moje miejsce jakiegoś swojego fagasa. O to mu chodziło przez całe lata, tylko nie miał nikogo pod ręką, kto mógłby zająć moje stanowisko. Nie, nie jestem zarozumiała, taka jest prawda. Możesz uważać mnie za głupca, ale kierowałem londyńską filią od lat i to z niemałym powodzeniem.

Zapytała zupełnie otwarcie, jak to czynią kobiety, gdy zagrożone są ich najbardziej żywotne interesy:

- Kto to ma być?

- James Hastings. Wysłano go z prostą misją do Paryża, podczas gdy Andrews w Moskwie ma dokonać rzeczy niemożliwej.

- Mój Boże - powiedziała - Hastings. Nigdy go nie lubiłam. To dlatego pojechał do Paryża. Do licha, dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?

- Nie było powodu, aby cię niepokoić. Naprawdę, moja droga, wszystko sprowadza się do jednego: przeoczyliśmy to złoże. Po prostu pech. To właśnie Julius chce wykorzystać przeciwko mnie. Pojawiła się jeszcze dodatkowa okoliczność, która czyni tę rosyjską kopalnię bardzo niebezpieczną dla nas. Mówiąc krótko: jeśli Andrewsowi się nie powiedzie, moja sytuacja będzie szalenie

trudna. Jeśli mu się nie powiedzie, a jednocześnie Hastings odniesie sukces, będą skończony. Wytłumaczyłem ci?

- Tak, teraz tak.

Wyglądał mizernie. Kiedyś najbardziej pociągała ją w nim jego łagodność i uprzejmość. Była w nim do szaleństwa zakochana. Ale okazał się zbyt delikatny i w tym cały kłopot. Tak bardzo próbował ją zadowolić i tak często mu się to nie udawało, że w końcu znienawidziła go. Nagle poczuła niepokój. Rzeczywiście nie układało mu się. Wstała, zsuwając z ramion biały, przezroczysty negliż.

- Arthurze - powiedziała - w takiej chwili powinniśmy trzymać się razem. Chodź już spać.

Słyszając ten ton, podniósł wzrok. Stała teraz przed nim; jej nagie ciało przeświecało przez białą tkaninę. Sięgnęła ręką do satynowej wstążki na szyi i rozwiązała ją, odsłaniając dekolt. Poczul rumieniec wypełzający mu na kark, ale poza tym nie odczuwał żadnej reakcji, żadnego poruszenia. Nagle uświadomił sobie, że nie czuje do niej ani pożądania, ani żalu. Po tych wszystkich latach wreszcie uwolnił się od niej. Uśmiechnął się łagodnie i smutno i potrząsał głową.

- Nic z tego, Christa. Wracaj do łóżka. Ja jeszcze posiedzę.

Popatrzyła na niego bez słowa i wolno zaczęła zawiązywać wstążki negliżu. Jej oczy wypełniły się łzami.

- Nigdy już nie będziesz miał szansy powiedzieć mi nie.

- Przykro mi, ale nigdy nie mieliśmy żadnych sukcesów na tym polu - odparł łagodnie. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zostawimy wszystko tak, jak jest. Dobranoc, moja droga.

Nie patrzył, gdy wychodziła. Nie trzasnęła drzwiami, co go nawet zdziwiło. Płakała. Nie poczuł jednak satysfakcji z faktu, że teraz role się odmięły.

Nareszcie się od niej uwolnił. Było to dziwne uczucie, jakby nagle zdjęto z niego jakiś ciężar, który przedtem dźwigał, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Rosjanie chcieli, aby obiecał im rzecz niemożliwą do zrealizowania, aby podpisał osobistą gwarancję zobowiązującą DE do

milionowych wydatków. Podniósł się, ponownie napełnij szklaniczkę i sączył whisky małymi łykami. Jeśli podpisze, będzie skończony. Jeśli odmówi, rezultat będzie dokładnie taki sam. Więc co ma do stracenia? W odpowiednich okolicznościach z podpisu można się wycofać... Uśmiechnął się do siebie. Zawsze ten sam, szary, ostrożny, kalkulujący wszystko negocjator. A gdzie Arthur Harris decydujący się na ryzykowny krok? Pokonanie żony po niemal trzydziestu latach małżeństwa okazało się zupełnie proste i dało mu poczucie wolności. Jej brata, Juliusa Heydermana, także pokona. Poczucie pewności siebie i zdecydowania wprowadziło go w euforyczny nastrój. Zrobi wszystko, co należy zrobić, by zatriumfować.

Telefon dzwonił już dłuższą chwilę. Stella Heyderman Yakumi siedziała w miejscu, skąd mogła go z łatwością dosięgnąć, i nasłuchiwała. Wiedziała, kto dzwoni. Dzisiaj już raz odwiesiła słuchawkę, słysząc ten głos, a wczoraj dwa razy. To Reece, osobisty szpicel ojca. Przyjechał, aby uporządkować jej sprawy. Wcale go nie potrzebowała. Miała londyńskich prawników, którym za to płacono. Nie miała nic przeciwko zwracaniu się do nich, gdy sprawy wymykały się jej spod kontroli. Byli jakby pośrednikami między nią a resztą rodziny.

Jej dawne życie w Południowej Afryce. Zerwała wszelkie więzy z przeszłością, a jednak udało jej się przetrwać. Obecnie zajmowała małe i nieporządne mieszkanie usytuowane w dzielnicy Londynu zamieszkałej w większości przez kolorowych Wybrali tę dzielnicę, by Jacob podczas swego przymusowego wygnania mógł mieszkać i pracować wśród swoich rodaków Aktywnie angażowali się w sprawy lokalne, popierając socjalne projekty postulujące poprawę warunków życia czarnej społeczności. Jacob określał to pomaganiem samemu sobie, parafrazując filozofię zniechęconej Margaret Thatcher. Czarni mieszkańcy Londynu mogli pochodzić z Indii Zachodnich, dokąd zagnało ich niewolnictwo, ciągle jednak byli Afrykanami, jak on sam. Często brakowało im

poczucia niezależności i godności osobistej, które pomogłyby im odnaleźć swoją tożsamość. Jacob wierzył, że jego misją jest nauczyć ich tych wartości. Dopiero osiągnąwszy ten szczebel, mógłby im przybliżyć swoje poglądy polityczne.

Gdy telefon zadzwonił, Stella przyglądała się uśmiechniętej twarzy męża, spoglądającej na nią z fotografii. Po jego śmierci specjalnie kazała powiększyć odbitkę i ustawiła ją na stole tak, by móc widzieć ją z każdego kąta pokoju. To był jej talizman, który adorowała tak, jak animiści czczą święte drzewa czy fantastycznie ukształtowane skały. Jacob nie żył już od dwóch lat. Czasami rozmawiała z nim, zwłaszcza gdy sporo wypila. Dzisiejszego popołudnia była zupełnie trzeźwa. Parka, której udzieliła chwilowego schronienia w mieszkaniu na dole, zgodziła się wreszcie - za odpowiednią sumę - opuścić zajmowany lokal. Odeszli, zostawiając niewiarygodny bałagan. Całą sprawą zajmowali się prawnicy, oni też zlecili odpowiedniej firmie wysprzątanie opuszczonego mieszkania. W pożegnalnym podarunku dla swojej protektorki lokatorzy wysmarowali ściany ekskrementami. Byli narkomanami i właśnie dlatego Stella ich przyjęła. Zawsze starała się robić to, czego życzyłby sobie Jacob. Problem polegał na tym, że nie była Jacobem, ale białą, bogatą kobietą, nadużywającą alkoholu, co czyniło z niej łatwą ofiarę.

Po zamordowaniu Jacoba ich przyjaciele odsunęli się od niej. Wszyscy biali i czarni, którzy współpracowali z Jacobem, darzyli go wielkim respektem. Stellę także poważali. Tylko bardzo odważna biała kobieta zgodziłaby się poślubić Murzyna z Południowej Afryki i dobrowolnie udała się z nim na wygnanie. Gdyby wiedzieli, że jest córką Juliusa Heydermana, ich reakcja prawdopodobnie byłaby inna. No tak, pieniądze i wpływy. Nic dziwnego, że udało jej się umknąć, podczas gdy inni członkowie Afrykańskiego Kongresu Narodowego skończyli na Robben Island, a ich rodziny zostały poddane surowym restrykcjom, przedłużanym z roku na rok. Nikt nie wiedział, kim naprawdę jest Stella.

Tajemnica ta stanowiła część układu wynegocjowanego wówczas przez Reece'a. Honorowała ten układ, gdyż gwarantował jej, że pewnego dnia będą mogli bezpiecznie wrócić do domu. Ufała ojcu. Nigdy nie złamał danego jej słowa. Jego nazwisko musi być chronione za wszelką cenę. Jacob ani jego towarzysze walki nie mogą zbijać politycznego kapitału na fakcie, że jego żona jest córką Juliusa Heydermana. Rodzinie i przyjaciółom w Południowej Afryce powiedziano, że Stella wyjechała do Ameryki Południowej i zajęła się pracą w szkółce misyjnej w Peru. Jej dotychczasowa reputacja znakomicie ułatwiła podtrzymywanie tej bajeczki. Nikt nie wątpił, że była na tyle szalona, by uczynić coś takiego. Rodzina Yakumiego wiedziała tylko, że Jacob uciekł do Londynu, gdzie poślubił białą kobietę. Jego łącznicy z Kongresu w Londynie znali ją jako Suki. Tym zdrobnieniem nazywano ją w dzieciństwie.

Żyli z przyznanych im przez jej ojca środków, a także z tego, co Jacob zarobił udzielaniem porad prawnych, pisaniem artykułów do gazetek mniejszości etnicznych i różnych periodyków oraz korepetycjami dla czarnej młodzieży studiującej prawo. Byli szczęśliwi.

Wreszcie telefon przestał dzwonić. Stella popatrzyła na aparat. Nie jadła nic od wczoraj; wypła za to mnóstwo filiżanek czarnej, mocnej kawy. Godziny rozciągały się w nieskończoność, puste, bez celu. Była sama; przyjaciele po kilku próbach udzielenia jej pomocy odsunęli się od niej. Wielu z nich pogardało nią za ucieczkę w alkoholizm. Jej mąż był taki silny i wspaniały. Jak więc ona mogła okazać się taka słaba, taka niewrażliwa na pamięć o nim? Idealiści - jak się przekonała - byli często bardzo surowi w swoich sądach i nie znali przebaczenia. Było jej wszystko jedno. Nikt poza Jacobem nie kochał jej naprawdę. Ojciec też jej nie kochał. Z tego właśnie powodu jako dziecko życzyła śmierci nie-narodzonemu braciszкови, od czego zaczęło się całe nieszczęście. Znała wszystkie jego przyczyny. Wielu miłych, rozumnych terapeutów tłumaczyło jej to, a ona kiwała głową, jakby ich rewelacje

mogły rozwikłać dręczący ją emocjonalny węzeł. Nic nie pomagało. Wiedziała, że nie powinna czuć się winna i odrzucona, a jednak tak się czuła. Tylko chwile szaleństwa, kiedy oddawała ciosy, starając się zmienić samą siebie, odrzucić ojca i całe swe środowisko, przynosiły jej ulgę. Dopóki nie spotkała Jacoba.

Kochała czarnych ludzi, cierpiących na skutek apartheidu, gdyż oni także byli odrzuceni. Nienawidziła siebie i swoich rodaków. Poczucie gniewu sprawiło, że była odważna i zdecydowana ryzykować życiem w politycznych protestach. Ale w głębi duszy czuła, że oszukuje samą siebie, że bunt służy jej wyłącznie jako broń wymierzona przeciwko ojcu i sobie samej. Była jeszcze matką, która, by zadowolić ojca, próbowała pozyskać jej zaufanie. Dopiero Jacob Yakumi odmienił jej życie. Nagle odkryła, że miłość jest silniejsza od nienawiści, słodsza od gniewu. Miłość była ciepłem, poczuciem pewności, głęboką namiętnością do mężczyzny, który ją ceniał i kochał dla niej samej. Wspaniały, pełen poświęcenia człowiek, obdarzony niewzruszoną wiarą w to, że ludzie są z gruntu dobrzy.

Niewiarygodne, ale Jacob nie wiedział, co znaczy nienawiść. Rozumiał swoich wrogów, współczuł im z powodu ich ignorancji. To strach czynił ich okrutnymi. Stella siadywała u jego stóp, podziwiając go. Nigdy nie przypuszczała, by mógł ją pokochać. Wykorzystał ją, użył do walki z przemocą, ale nigdy kochać. Kiedy zaakceptowała jego miłość, po raz pierwszy odnalazła prawdziwy sens życia, poczuła się dowartościowana. Przecież musi być coś warta, skoro pokochał ją taki wspaniały mężczyzna. Błagała go, aby zamieszkali razem, ale zawsze odmawiał, nie chcąc narażać jej na ryzyko. A później, gdy już byli małżeństwem, nie chciał, by mieli dzieci. „Któregoś dnia może mnie spotkać coś złego. Mając kolorowe dzieci nie mogłabyś Wrócić do domu. Mamy mnóstwo czasu. Poczekamy i zobaczymy, jak zmienia się ten świat”. Świat zmienił się szybciej i w sposób bardziej radykalny, niż ośmieliliby się przypuszczać. RPA, kierowana przez odważny i wizjonerski rząd, przyjęła nowy kierunek polityczny, zmierzała do rozwiązania

konfliktu między białą i czarną rasą. Ani brutalne występki, ani mordercza rywalizacja plemienna i morze krwi po obu stronach nie zdołały zahamować ruchu na rzecz politycznej równości i demokratycznych rządów. Wtedy Jacob zdecydował się na powrót do domu. Jego miejsce było z jego ludźmi. Z mężczyznami i kobietami z Soweto.

Nie chciał jednak się zgodzić, by Stella z nim pojechała. To było zbyt niebezpieczne, oznaczało zerwanie umowy z jej ojcem, który nigdy nie zgodziłby się na jej powrót w tak niespokojnych czasach. Stella szlochała i błagała, jednak on jak zwykle zwyciężył. Twierdził, że Soweto, opanowane przez szwadrony śmierci zarówno czarnych bojówkarzy, jak i białych neonazistów, nie jest miejscem dla białej kobiety, nawet jeśli jest ona żoną działacza Kongresu. A on musi wrócić do Soweto.

W niecały miesiąc później już nie żył.

Do dzisiaj Stella czasami budziła się z krzykiem, skąpana w pocie, dręczona wizją męża leżącego na plecach na progu swojego domu, zarąbanego na śmierć. Jej życie, jej przyszłość, jej nadzieja - wszystko zostało zamordowane razem z nim. Nie było w niej czystego idealizmu, który podtrzymałby ją na duchu, i tego właśnie ich przyjaciele nie potrafili zrozumieć ani wybaczyć. To człowiek, a nie jego misja, był jej inspiracją. Bez Jacoba nie miała po co żyć.

Wróciła do picia, podobnie jak w młodości, kiedy to alkohol był dla niej panaceum na wszystkie bolączki. Gdy odwiedził ją ojciec, nawet nie chciała się z nim widzieć. Dla Stelli Julius reprezentował świat, który zabił Jacoba. Było to irracjonalne i niesprawiedliwe, ale nie mogła znieść ojcowskiego współczucia, gdyż nie wierzyła w jego szczerłość. Przecież jemu nie mogło być przykro, że Jacob nie żyje. Musiał to przyjąć z ulgą. Ojciec pragnął, aby wróciła do domu, pogrzebała przeszłość i Jacoba i udawała przed wszystkimi, że wróciła z Ameryki Południowej. Nie chciała z nim nawet rozmawiać. Macosze otworzyła drzwi wyłącznie przez pomyłkę.

Myślała właśnie o Sylvii, gdy uporczywy telefon przestał wreszcie dzwonić.

Przyjechała samochodem prowadzonym przez szofera, jak zwykle elegancka, zupełnie niepasująca do tego otoczenia. I ten wyraz troski na jej przystojnej twarzy.

- Moja biedna Stello!

Weszła, zanim Stella zdążyła zatrzasnąć drzwi, i usiłowała ją objąć. Stella odepchnęła ją, starając się uwolnić z uścisku. Wiedziała, że Sylvia musiała poczuć zapach whisky. Półprzytomna z gniewu, zamroczona alkoholem, pragnąc uprzeczyć zarzuty macochy, zaczęła wykrzykiwać oskarżenia pod adresem ojca. Niemal nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówi. Obwiniła go o to, że nie chronił Jacoba... miał przecież przyjaciół, wpływy... mógł coś uczynić... I wreszcie ten kulminacyjny wybuch, po którym Sylvia przestała panować nad sobą.

- Jesteście zadowoleni, że nie żyje... nie chcieliście, aby wrócił do domu, baliście się, że ktoś mógłby się dowiedzieć prawdy o nas...

Jak lubiła później powtarzać, w tym momencie Sylvia Heyderman przestała wreszcie udawać; nareszcie spadła z niej maska. W ten sposób łatwiej było zignorować łzy macochy i przestać myśleć o jej gorzkich wymówkach.

- Jak mogłaś, jak mogłaś powiedzieć coś tak nikczemnego o swoim ojcu? Ocalił Jacoba przed więzieniem, wspierał was przez lata... Jak śmiałaś? Jesteś pijana. Picie to wszystko, co potrafisz, do tego jesteś stworzona. Ten chłopak był wart o wiele więcej od ciebie.

Wyszła, a Stella zatrzasnęła za nią drzwi.

Teraz sama nie mogła pojąć, dlaczego zdecydowała się porozmawiać z Reece'em, skoro odmówiła własnemu ojcu. Reece reprezentował wszystko, czego nienawidziła w świecie ojca. Pośrednik wielkiego kapitalistycznego syndykatu, płatny lokaj. Posługiwanie się tą wyświechtaną marksistowską terminologią stanowiło dla niej rodzaj tarczy, za którą pragnęła ukryć swoje złamane serce i swój alkoholizm. Reece'em mogła pomiatać,

podczas gdy z nią dyskutował rozmaite propozycje, własnym ojcem nie potrafiła gardzić. Wiedziała, że prawdziwi przyjaciele odeszli od niej. Zostały pasożyty żerujące na jej współczuciu i potrzebie wiecznego samousprawiedliwiania się. Wierzyła, że kontynuuje szlachetne dzieło Jacoba ratowania uciśnionych, kiedy pozwalała wykorzystywać się ludziom, których on wyrzuciłby bez zastanowienia. W efekcie trzeba było przywoływać prawników - żeby wręczali pieniądze, grozili, rozwiązywali problemy, które sama na siebie sprowadzała - i za wszelką cenę starać się zatuszować wszystko przed policją i opinią publiczną.

Reece napisał do niej z prośbą o spotkanie. Podarła list. Słyszając jego głos przez telefon, odkładała słuchawkę. Ale wiedziała, że i tak się z nim zobaczy. Próbowwała być silna i opierać się jak najdłużej. Wydała mnóstwo pieniędzy, spłacając długi naciągaczy, dając sporą sumę oszukańczej parze, która utrzymywała, że obiecała im pożyczkę. Nie mogła zaprzeczyć. Nie pamiętała takiego faktu, ale bała się ich, więc wypisała czek. Wydała już prawie całe swoje kwartalne dochody i potrzebowała pieniędzy.

Zobaczy się z Reece'em, ale dopiero za kilka dni. Niech jeszcze trochę o to pozabiega.

- Wiesz, jestem nieco zdenerwowana - przyznała Elisabeth. James popatrzył na żonę.

- Zdenerwowana? Dlaczego?

- Załóżmy, że Karakow mnie nie polubi, tak jak nie polubiła mnie Clara Wasserman... Wiem, jak ważne jest dla ciebie to przyjęcie. Mam nadzieję, że zrobię dobre wrażenie.

Powiedział łagodnie:

- Nie bądź głupia. Ci ludzie to nie Wassermanowie. Oni naprawdę nie są ograniczeni. To jest wielki świat. Jesteś moim największym atutem, nie widzisz tego? Wszyscy cię pokochają. Po prostu bądź sobą.

Uściskała ją łagodnie. Zwykle była taka pewna siebie, tak przekonana o tym, że jest lubiana przez wszystkich. To on odczuwał treść przed różnymi imprezami towarzyskimi, natomiast ona nigdy. W jak dziwny sposób ciąża wpływa na kobiety-

- Musimy tam wejść dumnie jak triumfatorzy. Chcę abyś wyglądała szczególnie pięknie. Załóż wszystkie rodzinne klejnoty; będą się pięknie odbijały od twojej cery.

- Spróbuję - obiecała. - Chociaż czy koniecznie muszę wyglądać jak bożonarodzeniowe drzewko? Wiesz, jak tego nie znoszę.

- Wiem - odparł - ale to właśnie robi wrażenie na ludziach. Pieniądze, wystawność... Wiem, że tego nie lubisz, ale proszę, tylko ten jeden raz.

- Dobrze. - Elisabeth pocałowała go przelotnie. - Idę się ubrać.

Pomógł jej uporać się z zamkiem sukienki. Ciągłe była szczupła, ale jej piersi już lekko nabrzmiały, co wydało mu się bardzo podniecające. Elisabeth stała przed lustrem, usiłując przypiąć do kołnierza masywną wiktoriańską broszkę z pereł i diamentów.

- Do diabła, nie potrafię.

Podszedł i pomógł jej.

- Proszę - powiedział - zapięta. Zameczek zabezpieczony. Nie możemy zgubić broszki ciotki Agathy. - Przesunął palcami po jej szyi i ramionach. - Wiesz, to dziecko czyni cię bardziej pociągającą niż kiedykolwiek. Najchętniej nigdzie bym się teraz nie ruszał, tylko poszedł prosto do łóżka.

Elisabeth przytuliła się do niego.

- Ja także - szepnęła. - Ale wiesz, że nie zawsze będę taka. Niektórzy mężowie odwracają się od swoich żon, gdy te zrobią się już bardzo ociężałe.

Otoczył ją ramionami.

- Ten jeden z pewnością tego nie uczyni. - Puścił ją i dodał miękko: - Jesteś wspaiała. Naprawdę nie masz się co denerwować

dzisiejszym wieczorem. Twój adorator z pewnością się tobą zaopiekuje.

- Adorator? - Podniosła torebkę. - Masz na myśli Jean Pierre'a?

- Tak - odparł lekko. - To przecież jest twój adorator, czyż nie? Rozłościła się nagle.

- Nie - powiedziała. - Jest dobrym przyjacielem i bardzo go lubię. On wyświadcza ci ogromną przysługę wydając to przyjęcie, więc nie bądź świnią, James.

Natychmiast zaczął się wycofywać.

- Żartowałem tylko, nie bądź taka drażliwa. To dobry chłopak i masz rację, że powinienem być mu wdzięczny. Przestań przeszywać mnie wzrokiem niczym laserem, bo się rozpadnę na twoich oczach.

Musiała się roześmiać. James jak zwykle potrafił ją rozbroić żartami.

- Jesteś po prostu zazdrosny, gdyż Jean Pierre jest taki kulturalny i czarujący.

Otulił ją narzutką.

- A ty szalejesz na jego punkcie - zakończył. - Nie mogę dopuścić do tego, abyś mi się przeziębila. Chodźmy.

Dom Lasalle'a stał przy avenue Montaigne. Poprzedzał go mały dziedzińczyk, przypominający Elisabeth dom przy rue de la Perle, który tak jej się podobał.

Jean Pierre przywitał ich w drzwiach.

- Jak miło widzieć was oboje - powiedział.

Uściskał rękę Jamesa i pochylił się z gracją nad dłonią Elisabeth, nie dotykając jej jednak. Jego maniery były zawsze nienaganne.

- Wyglądasz jak zwykle czarująco - powiedział. - Proszę, wejdźcie. - Gdy go mijała, zapytał zniżając głos: - Jak się czujesz?

- Mam wieczne mdłości. Zwłaszcza z samego rana. Och, Jean Pierre, co za prześliczny pokój.

Umeblowanie salonu było wspaniałe. Popatrzyła przelotnie na Jamesa. Widać było, że on także jest oczarowany wyszukany smakiem rządzącym doborem i ustawieniem mebli.

- Monsieur i madame Hastings - zaanonsował Jean Pierre.

Kelner podał szampana. Elisabeth poprosiła o wodę mineralną. James szybko wychylił swój kieliszek. Musiał być bardzo zdeenerwowany. Postanowiła naprawić swój poprzedni wybuch. Może to, co powiedział przedtem, rzeczywiście było spowodowane zazdrością o Jean Pierre'a... Podeszła do niego.

- Kochanie uspokój się. Zobaczysz, że wszystko pójdzie dobrze.

W tym momencie drzwi otworzyły się ponownie i gospodarz wprowadził Iwana i Laurę Karakowów. Iwan zawsze lubił wielkie wejścia. Dokładnie obliczył czas przybycia. Odrobinę później, ale niezbyt późno. Jego wzrok powędrował po pokoju. Brytyjskiego dyplomate i jego żonę poznał już wcześniej, podobnie tego eleganckiego francuskiego pisarza, któremu obecnie towarzyszyła dyrektorka jednego z domów mody Saint Laurenta. Niemiecki przemysłowiec i jego żona - jedna z jego najwierniejszych klientek; dalej mężczyzna, który na tle innych gości wyglądał raczej ekscentrycznie, i towarzysząca mu teatralnie piękna kobieta. Amerykanie, pomyślał. I wreszcie jeszcze jedna młoda para, tym razem Anglicy. Przystojny mężczyzna i bardzo ładna blondynka.

Poprzedzani przez Jean Pierre'a Karakowowie witali się ze znajomymi. Iwan nisko pochylił się nad ręką niemieckiej damy i serdecznie przywitał jej męża, wreszcie stanął twarzą w twarz i Jamesem i Elisabeth.

Zanim Jean Pierre zdążył dokonać prezentacji, James wystąpił naprzód.

- James Hastings - oznajmił. - Moja żona, lady Elisabeth.

Laura Karakow wyciągnęła, podobną do ptasich szponów dłoń, ozdobioną ogromnym brylantem.

- Laura Karakow. Mój mąż Iwan... Och, drogi Jean Pierre, wybacz, że wprowadzamy tu amerykańskie obyczaje.

Uśmiechnęła się promiennie.

Karakow nie wyciągnął ręki. Uprzejmie skinął głową Elisabeth, natomiast Jamesa obdarzył spojrzeniem pełnym nieukrywanej wrogości.

Hastings. James Hastings. David Wasserman wspominał o utytułowanej żonie. Więc to był człowiek Juliusa Heydermana.

Elisabeth uśmiechnęła się do niego.

- Tyle o panu słyszałam, panie Karakow, że nie mogłam się wprost doczekać chwili, kiedy pana poznam. O ile dobrze zrozumiałam, pan i Jean Pierre jesteście przyjaciółmi.

Pomyślał, że ma uroczy uśmiech. Był wrażliwy na urodę kobiet, ale w swoim życiu poznał już niejedną piękność, która swój wygląd zawdzięczała umiejętnościom chirurga. W kręgach towarzyskich, w jakich się obracał, bezpośredniość i serdeczność były równie rzadkie jak jego purpurowe diamenty.

- Istotnie, znamy się od jakiegoś czasu - przytaknęła. - Jego żona była naszą przyjaciółką i nawet po ich rozwodzie nie przestaliśmy go lubić. A pani jak go poznała?

- Mój mąż przyjechał do Paryża służbowo i Jean Pierre znalazł nam mieszkanie.

- Tak? - Iwan udawał, że o niczym nie słyszał. - I jak długo zamierzacie tu państwo pozostać?

- Nie wiem, to zależy. Och nie, dziękuję za szampana. Poproszę o wodę mineralną - zwróciła się do kelnera, który pojawił się z tacą.

- Pani nie pije alkoholu? Rozsądna kobieta - powiedział Iwan, sięgając po kieliszek.

- Normalnie piję - odparła Elisabeth. - Bardzo lubię szampana. Ale spodziewam się dziecka, więc jestem skazana wyłącznie na wodę.

Jej wyznanie poruszyło w Iwanie dawne instynkty. Lubił dzieci, zawsze pragnął mieć sporą rodzinę. Doszedł do wniosku, że Elisabeth mu się podoba. Żadna Francuzka nie byłaby tak

bezpośrednia przy pierwszym spotkaniu. Uśmiechnął się do niej przyjacielsko.

- Gratuluję, moja droga - powiedział. - Czy to pani pierwsze dziecko?

- Tak - odparła. - Pragnęliśmy tego już od lat. Jesteśmy bardzo podnieceni. A pan ma dzieci?

- Dwie córki.

- Jakie to wspaniałe. Niech mi pan o nich opowie.

- Może najpierw usiądziemy - zaproponował. - Jestem już stary i nie lubię stać, a pani nie powinna. - Ujął ją za rękę i poprowadził w stronę sofy.

- Proszę mi opowiedzieć o swoich córkach - powiedziała Elisabeth. - Czy ma pan wnuki?

Iwan przysunął się do niej. Zaczynał się doskonale bawić.

- Większość kobiet pyta mnie o klejnoty.

Elisabeth roześmiała się.

- Jestem pewna. Ale dla mnie ludzie są bardziej interesujący. O klejnotach też chciałabym usłyszeć, ale później. Najpierw proszę mi opowiedzieć o swojej rodzinie.

- Moja starsza córka mieszka w Stanach. Zamierza przejąć po mnie interesy, więc studiuje gemmologię i ekonomię. Jest bardzo mądra i ambitna, zupełnie jak jej matka. - Poszukał wzrokiem Laury. Rozmawiała z Amerykanami. Szybko uwolniła się od Hastingsa.

- Natomiast moja druga córka kolekcjonuje mężów. Miała już dwóch. Pierwszy okazał się tragiczną pomyłką, a pozbycie się go kosztowało mnie fortunę. Jej obecny mąż to książę Eugene Titulescu. Mam małego wnuka, który także nosi tytuł książęcy. Skończył dwa lata i właśnie zaczyna mówić. Dosłownie oszaleliśmy na jego punkcie.

Było to prawdą tylko w jego wypadku. Laura sumiennie wypełniała swoje obowiązki, ale bez zbytniego zaangażowania. Nie miała cierpliwości do dzieci.

- Titulescu? - powtórzyła Elisabeth. - Jestem pewna, że znam to nazwisko. Węgier?

- Rumun, z bardzo starej rodziny. Kiedy po wojnie Sowieci przejęli tam władzę, stracił wszystkie majątki. Tak, ludzi takich jak Eugene spotkał naprawdę straszny los. Dzięki Bogu, obecnie czasy się zmieniły. Rosja stała się demokratyczna.

- Jestem pewna, że mój dziadek polował z księciem Titulescu - mówiła Elisabeth. - Jeszcze przed wojną, w latach trzydziestych. Tak, teraz pamiętam. Widziałam jego fotografię w albumie rodzinnym. Stał przed jakimś zamczyskiem, a przed nim leżał cały stos ubitego ptactwa. Dziadek był zwariowany na punkcie zabijania. Polował też z rodziną Esterházych na Węgrzech.

Iwan sięgnął po kolejny kieliszek szampana. Uwielbiał rozmowy o dawnej arystokracji. Zdecydował się na niewielki flirt, aby przypomnieć sobie, jak to bywało dawniej. Elisabeth była taka pociągająca.

- Może uda mi się namówić panią na niewielki łysek - podał jej własny kieliszek.

Elisabeth doszła do wniosku, że Karakow jest zdecydowanie sympatyczny. Miał w oczach tyle humoru.

- Jak to miło z pana strony. Właściwie dlaczego nie? - Upiła mały łyk i oddała kieliszek.

- Czy mogę zapytać panią o nazwisko rodowe, lady Elisabeth?

- Tylko pod warunkiem, że nie będzie zwracał się pan do mnie w ten sposób. Proszę nazywać mnie Liz.

- O nie - sprostował szarmancko. - Pani jest na to zbyt piękna. Elisabeth.

Kiedy podała mu nazwisko, skinął głową. Co prawda nigdy przedtem nie słyszał o takiej rodzinie, ale przecież jak Anglia długa i szeroka pełno było starych rodów, kompletnie bez grosza.

- Myślę, że wy, arystokraci, jesteście wspaniali - powiedział. - Podziwiam sposób, w jaki potrafiliście przystosować się do obecnych czasów. Czy pani rodzinna rezydencja jest otwarta dla publiczności?

Potrząsnęła głową.

- Nie, dom nie jest ani zbyt duży, ani specjalnie interesujący. Nie wszyscy jesteście księżętami. Tak naprawdę to ja nawet nie używam tytułu.

Chrząknął współczująco.

- Moi angielscy przyjaciele twierdzą, że z powodu tytułu zawsze dopisuje im się dziesięć procent do każdego rachunku. Ale myślę, że pani mąż jest z tego dumny.

- Też tak sędzę. - Uśmiechnęła się. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego. James ma tak romantyczne pojęcie o tych sprawach. Często zdarza mi się pokpiwać sobie z niego. Przecież to on jest człowiekiem sukcesu. Ja jestem wyłącznie córką swojego ojca.

- To pani tak twierdzi. Jest pani czarująco skromna. Każdy mężczyzna byłby szczęśliwy będąc pani mężem.

- To samo musi pan odczuwać w stosunku do własnej żony - zauważyła. - Jest niewiarygodnie elegancka.

Iwan roześmiał się.

- Powinna być. W końcu wydaje na to krocie. Ale ma pani rację, Laura wygląda świetnie. Jestem szczęściarzem.

Elisabeth przyglądała się przez chwilę Laurze Karakow.

Drobna i szczupła, co dodatkowo podkreślała obcisłą suknią z jaskrawozielonego jedwabiu, blond włosy miała gładko ułożone po obu stronach twarzy, niczym tancerka baletu. Sama twarz sprawiała osobliwe wrażenie; stara, ale bez jednej zmarszczki, zupełnie gładka i nieruchoma niczym maska. Miała błyszczące, czarne, mocno umalowane oczy i usta pociągnięte tym samym odcieniem purpury co paznokcie. Wokół szyi nosiła podwójny sznur różnobarwnych koralików, a na ręce podobną bransoletkę. Elisabeth nie przyszło nawet do głowy, że to co wzięła za teatralną biżuterię, było w rzeczywistości sznurem rubinów, szmaragdów i szafirów, oszlifowanych w formie kaboszonów.

Iwan podniósł się z sofy i pomógł wstać Elisabeth.

- Chyba już pora, by przejść do jadalni. Mam nadzieję, że przy stole będziemy sąsiadami.

- Ja także - odparła. - Nie zdążyłam jeszcze zapytać pana o klejnoty.

Jednak nie siedzieli obok siebie. Natomiast James znalazł się obok Laury Karakow.

Natychmiast roztoczył przed nią cały swój wdzięk, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że ona i tak przejrzy jego intencje. Liczył jednak na dwie okoliczności. Po pierwsze, Laura znana była z upodobania do młodych mężczyzn, czasami nawet bardzo młodych. Po drugie, miał nadzieję, że zwycięży w niej ciekawość. Mogła przecież się spodziewać, że wydobędzie od niego jakieś informacje. Była prawą ręką Karakowa, kobietą stworzoną do interesów, przy tym rozważną i o wiele bardziej bezlitosną niż jej mąż. Okazała się interesującą interlokutorką, obdarzoną ostrym, typowo amerykańskim poczuciem humoru zaprawionym złośliwością, co czyniło rozmowę z nią bardzo zajmującą. Emanowała seksem, aż poczuł pewnego rodzaju skrepowanie. Zupełnie jakby siedział obok jadowitego węża, który wije się, przeży, prowokuje, a wreszcie ukąsi. Tak też uczyniła.

- Pan przybył do Paryża, by spotkać się z moim mężem, prawda? Czy mogę się zwracać do pana per James?

- Och, proszę - odpowiedział szybko. - Niestety, pani mąż odmawia mi spotkania. Chciałbym, aby pani na niego wpłynęła.

Nie tylko odbił jej uderzenie, lecz sam zaatakował. Wyraziła swoje uznanie przelotnym uśmiechem. Sprytny. Ma refleks. A jak zręcznie wtrącił do rozmowy tytuł żony, na wypadek gdyby Jean Pierre nie użył go przy prezentacji.

- Dlaczego? - zapytała.

- Gdyż, jak słyszałem, pani ma na męża większy wpływ niż ktokolwiek inny, pani Karakow. Czy też mogę nazywać panią Laurą?

Zignorowała to pytanie.

- Owszem, Iwan słucha moich uwag - przyznała. - Wspólnie omawiamy interesy. Gdyby pan miał mu do zakomunikowania

coś nowego, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale pan nie dysponuje niczym takim, prawda? Po co więc zajmować mu czas?

- Skąd pani wie, co mam do zaoferowania? Jak pani mąż może to wiedzieć, skoro nie daje mi szansy, bym przedstawił swoje racje. Muszę z nim pomówić. Myślę, że on także potrzebuje rozmowy ze mną. Nie jest to z mojej strony żadne zarozumiałstwo. Nie chcemy sporów z pani mężem. Jest dla nas zbyt ważny. Jest przecież jedną z czołowych postaci na rynku diamentów.

Przełknęła pochlebstwo z uśmiechem.

- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, zanim zaczęliście wciskać mu byle co po zawrotnych cenach. Proszę mi powiedzieć, skąd znacie Jean Pierre'a?

- Wynajął nam mieszkanie - odparł James. - Jest bardzo uprzejmy wobec mojej żony. Zapraszają na zwiedzanie wystaw, pokazuje miasto. Ja jestem zajęty organizacją tutejszego biura. Zdaje się, że jego żona była bardzo dobrze skoligaconą?

- Jeannie... tak... czarująca osoba, prawdziwa przyjaciółka. Co za szkoda, że im się nie powiodło, podobnie jak wielu małżeństwom obecnie. Jean Pierre jest bardzo atrakcyjny. Na pańskim miejscu nie pozwoliłabym, by zabierał żonę zbyt często na wystawy. To czarująca dziewczyna. Iwan też lubi blondynki. I tytuły. Nasza córka jest księżną.

- To miłe. - James zacisnął zęby. Ironiczny sposób, w jaki mówiła o Elisabeth i Lasalle'u nie uszedł jego uwadze. - A kim jest ten książę? Czy to Francuz?

Ciemne oczy popatrzyły na niego z uwagą.

- Rumun. Titulescu. Pracuje dla Iwana.

- To bardzo wygodne - powiedział. - Zdaje się, że to państwa główny sprzedawca, prawda?

Odłożyła widelec.

- Jest w gruncie rzeczy nikim - przyznała chłodno - ale nasza córka go lubi. Mają synka. Tak więc wszystkim nam odpowiada ten układ. Jak długo zamierzacie tu zostać?

James popatrzył przez stół na Karakowa, który rozmawiał z roześmianą żoną ambasadora. Wyglądał przy tym na znudzonego.

- Dopóki mąż mnie nie przyjmie.

Na krótką chwilę dłoń Laury spoczęła na jego ramieniu. Wielki brylant w jej pierścionku zamigotał w świetle świec.

- Tylko niech pan nie robi sobie zbyt dużych nadziei, dobrze?

Potem odwróciła się i wdała w rozmowę z niemieckim przemysłowcem, swoim sąsiadem po lewej.

Po wyjściu z jadalni James podszedł do Elisabeth.

- Czy wszystko w porządku, kochanie? Widziałem, jak się starałaś przed obiadem.

- Był bardzo miły - odparła. - Rozmowa z nim sprawiła mi przyjemność. Natomiast ty, siedząc przy jego żonie, sprawiałeś wrażenie nieco zdenerwowanego.

- Bo byłem - przyznał - choć nie miałem zamiaru tego okazywać. To wiadoma, ale trudno. Dopadnę go jeszcze. Idzie w twoją stronę. Później i ja zamienię z nim słówko.

Wycofał się, zanim Karakow podszedł do Elisabeth.

- Wspaniale - powiedziała Elisabeth. - Miałam nadzieję, że pan do mnie podejdzie. Widziałam już, jak Jean Pierre holuje w moją stronę tego Amerykanina. To słynny reżyser teatralny, Max Cośtam. Widziałam jego ostatnią sztukę w Londynie. O żonie, która odkrywa, że jej mąż jest homoseksualistą. Okropna.

Iwan roześmiał się w głos.

- Też tak: uważam. Byłbym wyszedł w połowie, gdyby nie to, że byliśmy zaproszeni. Nie - zwrócił się stanowczo do gospodarza, który zbliżył się do nich - pan mi nie zabierze tej czarującej dziewczyny, dobrze?

Elisabeth uśmiechnęła się do Lasalle'a, dziękując mu za to, co zrobił.

- Nie zabierze - potwierdziła. - Jest mi dobrze tu, gdzie jestem,

a poza tym chciałabym usłyszeć wszystko o biżuterii pana Karakowa.

- W takim razie nie przeszkadzam - powiedział Jean Pierre. - Mój przyjaciel Max będzie niepokieszony. Bardzo chciałby porozmawiać z tobą, Elisabeth. Ale wiem też, jaki jest mój przyjaciel Iwan. On cię tak łatwo nie puści.

- Skoro mówimy o klejnotach - zaczął Karakow - ma pani bardzo ładne cacko. - Przyjrzał się broszce. - Sprzedałem kiedyś podobną Liz Taylor. Musiałem ją przeszlifować dla niej, gdyż nie znosiła staroci.

Laura Karakow przyglądała się mężowi. Słyszała śmiech Elisabeth. Każdą z anegdot męża znała na pamięć. Iwan odgrywał swoją ulubioną rolę wielkiego człowieka mającego słabość do pięknych kobiet. Nie przeszkadzało jej to. Zawsze był próżny. Kochał mieć widownię. Taka odmiana dobrze mu zrobi. Gdy wychodzili na przyjęcie, był wściekły. Powiedział jej, że to z powodu telefonu nowojorskiego dyrektora do spraw sprzedaży. Dane za pierwsze półrocze nie były zadowalające. Popis przed ładną, młodą kobietą na pewno poprawi mu humor. Laura nie odczuwała zazdrości o Elisabeth, nie była małostkowa. Spotykała ludzi rozmaitych narodowości, często zajmujących wysoką pozycję towarzyską, i nigdy nie odczuwała kompleksu niższości, nawet wobec wielkich gwiazd Hollywoodu. Znała swoją wartość. Zerowała na nich, a one na to pozwalały. I to jej wystarczało.

James znalazł się między niemiecką damą, a żoną reżysera. Z Niemką, która zdawała się być ogarnięta chęcią posiadania każdego klejnotu, rozmawiał o diamentach, z młodą kobietą, występującą przed zamążpójściem w musicalach, o teatrze. W pewnym momencie przeprosił je obie i podszedł do Lasalle'a.

- Niech pan spróbuje jeszcze raz - szepnęła. - Muszę mieć szansę z nim porozmawiać.

- Będę próbował - odparł Francuz. - Tak się niefortunnie dla pana złożyło, że towarzystwo Elisabeth niezwykle mu odpowiada.

Wyraźnie jest nią oczarowany. Jeszcze nigdy nie widziałem go w tak promiennym nastroju. Niech pan idzie za mną.

Jean Pierre, prowadząc ze sobą Jamesa, podszedł do Karakowa i Elisabeth. Obiecał pomóc Hastingsowi nawiązać ten kontakt, ale nie znosił, gdy go do czegoś przymuszano. Zgodził się teraz, gdyż zauważył, że Elisabeth wygląda na zmęczoną, podczas gdy Karakow peroruje w najlepsze. Podszedł więc do nich i powiedział uprzejmie, ale stanowczo:

- No, Iwan, najwyższy czas, abyś porozmawiał także z mężem, który w przeciwnym razie mógłby być zazdrosny. Elisabeth?

Podniosła się natychmiast, ustępując miejsca Jamesowi. Uśmiechnęła się do Iwana, który także wstał.

- To była bardzo interesująca rozmowa. A może państwo odwiedzilibyście nas kiedyś i zjedli z nami kolację? Byłabym zachwycona.

- My również. - Iwan do samego końca zachowywał się z galanterią. - Proszę do nas zatelefonować.

Jean Pierre szepnął jej:

- Musiałem wam przerwać, inaczej twój mąż w ogóle nie miałby okazji z nim porozmawiać. Chodź, usiądź koło Maxa. On naprawdę pragnie z tobą pomówić, podobnie jak ja. - Dotknął jej ramienia. - Niestety, gospodarz nigdy nie może się dobrze bawić na swoim własnym przyjęciu... Max, przyprowadziłem lady Elisabeth, którą wcześniej Iwan tak zmonopolizował.

- Wcale mu się nie dziwię.

Reżyser skandalicznie zaniedbywał żonę i nigdy nie mógł się oprzeć ładnej, nowej twarzy. Jego żona przyglądała się z rezygnacją, jak siada koło Elisabeth. Nic nie mogła zrobić poza udawaniem, że niczego nie dostrzega. W końcu poślubiła geniusza, a każdy geniusz ma swoje słabostki. Usłyszała kiedyś gdzieś to stwierdzenie i odtąd powtarzała je niczym modlitwę. Elisabeth szybko zapytała reżysera, nad czym obecnie pracuje, i Max pogrążył się w długim monologu. Słuchała, uśmiechając się uprzejmie

i próbując usadowić się wygodnie na twardym krześle w stylu Ludwika XV. Bolały ją plecy i było jej trochę niedobrze po jedzeniu.

W drugim końcu pokoju Iwan, trzymając w ręku kieliszek armagnacu, także rozparł się wygodnie, spoglądając wrogo na Jamesa.

- Powiadam panu - perorował - że pańska firma to śmierdzący interes.

- Myślę, że ocenia nas pan zbyt surowo, sir - odparł James ze spokojem. Zwracając się do Iwana nie omieszkiał dodawać owego „sir”. W końcu nic go to nie kosztowało, a wiedział, że stary jubiler oczekuje od niego oznak szacunku. - Wiem, że między nami zdarzały się nieporozumienia... Julius przysłał mnie do Paryża właśnie po to, abym spróbował wszystko wyjaśnić. Bardzo zależy mu na tym, aby wzajemne stosunki znowu układały się na przyjacielskiej płaszczyźnie.

- Na przyjacielskiej płaszczyźnie - warknął Iwan, a oczy mu rozbłysły. Zawsze stosował taką taktykę. Wybuchy gniewu najczęściej zbijały z tropu jego oponentów. - Niech pan posłucha, jestem starym wyjadaczem i prowadziłem ten interes, kiedy pan jeszcze robiłeś w pieluchy. Od samego początku miałem do czynienia z ludźmi z DE. Jedyna płaszczyzna porozumienia, jaką oferujecie, to zaakceptować wasze warunki. W przeciwnym razie złamiecie człowieka. Żadnego towaru, żadnych dostaw. Znam wielu solidnych kupców, którzy zostali zrujnowani, gdyż odmówili płacenia bajońskich sum za kiepski towar. Nie mam zamiaru być jednym z nich. - Odstawił kieliszek i popatrzył na Jamesa. - Zbyt długo już w tym siedzę. Wam się wydaje, że jesteście Bogiem Wszechmogącym. Nie dla mnie. Ja jestem dla was zbyt wielki, synu.

- Nikt temu nie zaprzecza - odparł James. - Pan jest najlepszy. Powiedziałem już, że nie możemy sobie pozwolić na walkę z panem. I, z całym szacunkiem, pan nie może sobie pozwolić na walkę z nami.

- Założymy się? - Iwan odsłonił zęby w uśmiechu. - Już od

samego gadania o pańskiej firmie wszystko się we mnie wywraca. Niech się pan napije koniaku.

Była to nieoczekiwana próba zawarcia pokoju i James wykorzystał ją skwapliwie. Powiedział spokojnie:

- Mam zamiar doprowadzić do zgody między panem a DE i nic nie zdoła mnie odwieść od tego planu. Jeśli w przeszłości popełniliśmy jakieś błędy, mam upoważnienie od Juliusa, by wszystko naprawić. Pod warunkiem, że nie doprowadzi to do rozpadu „rodziny”. A teraz, jeśli pan pozwoli, przeproszę pana. Moja żona wygląda na zmęczoną i myślę, że powinniśmy już pójść do domu. To był wspaniały wieczór, dziękuję panu. I proszę pomyśleć o tym, co powiedziałem.

Karakow popatrzył na niego.

- Dobranoc, panie Hastings. Niech pan dba o tę dziewczynę. Jest warta znacznie więcej niż diamenty.

Jean Pierre odprowadził ich do drzwi.

- Mam nadzieję, że się powiodło - powiedział do Jamesa. - Jak panu z nim poszło?

- Pod sam koniec nieco lepiej - odparł James - ale prawdziwą gwiazdą okazała się Liz. Po prostu jadł jej z ręki.

- Jak mógłby się oprzeć? - zauważył Jean Pierre.

Uśmiechnął się do Elisabeth. James dodał szybko:

- Jeszcze raz panu dziękuję. To był wspaniały wieczór i jestem panu wdzięczny za zorganizowanie go. Jestem pewien, że Karakow zgodzi się na spotkanie w interesach. A teraz, kochanie, czas, abyś odpoczęła. - Objął żonę zaborczym gestem i pociągnął w stronę drzwi. - Dobranoc i jeszcze raz dziękuję.

Pomógł Elisabeth wsiąść do samochodu. Usiadł obok niej na tylnym siedzeniu i polecił szoferowi jechać do domu. Otoczył żonę ramieniem.

- Dziękuję, najdroższa - powiedział. - Widziałem twoje starania. Wiem, że nienawidzisz tej idiotycznej sztuczności i przepraszam za „lady Elisabeth”. Po prostu pomyślałem, że a nuż to zadziała. Zachowałaś się wspaniale.

- Pocałował ją i przytulił mocniej.

- Chciałam ci pomóc - powiedziała miękko.

Jaka ona kochana, pomyślał trzymając ją w objęciach, głośno zaś powiedział:

- I zrobiłaś to, najdroższa. Zobaczymy, co z tego teraz wyniknie. Karakow miał rację, wiesz? Jesteś o wiele cenniejsza niż diamenty.

Karakowowie szykowali się do snu. Siedząc na łóżku, Laura krzyknęła w stronę uchylonych drzwi łazienki:

- No i jaki będzie następny krok?

Rozległ się szum płynącej wody i Karakow wrócił do sypialni.

- Chce się ze mną spotkać. Będzie mnie zwodził i obiecywał to czy tamto. Mogę się z nim pobawić w ten sposób.

Laura zmarszczyła brwi. Skóra bez makijażu miała żółtawy odcień i zdradzała jej prawdziwy wiek. Gładkie włosy, opadające na ramiona, stwarzały groteskowe złudzenie młodości, które jednak mijało, gdy popatrzyło się na twarz.

- Dlaczego? - zapytała. - Po co tracić czas? Przecież wszystko jest załatwione. Albo nie jest - dodała nagle. - Czy jest coś, co przede mną ukrywasz?

- Nie, nie - zaprotestował. Jeśli idzie o interesy, nigdy nie miał przed nią żadnych tajemnic. - Mam odpowiedź z Moskwy. Mirkowicz twierdzi, że ciągle pracują nad tekstem umowy. Żadnych szczegółów, nic konkretnego; zupełnie nie wiadomo, dlaczego to się tak przeciąga. Wysłałem mu wczoraj faks.

- Czy to nie wróży źle? - zapytała Laura. - A może powinieneś pojechać tam osobiście? Poprzednio to zdało egzamin. Rozmawiałeś z tym Borysowem... Może lepiej zrezygnować z pośrednictwa Mirkowicza i samemu zająć się całą sprawą?

- Nie potrzebuję tego robić - sprzeciwił się. - I nie mogę. Lu-chaire mówi, że księżę przyjeżdża specjalnie po to, aby obejrzeć Diamenty Romanowych. Nie mogę jechać do Moskwy teraz.

Laura skrzywiła się. Diamenty Romanowych. Nawet w rozmowie z nią posługiwał się tą nazwą. Sam uwierzył w wymyśloną przez siebie legendę. Cóż, z takich ludzi wywodzą się najlepsi kupcy. Ucięła te bzdury, jak to nazwała w myślach.

- Tak więc trzymasz w odwodzie Hastingsa, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak - powiedziała.

- Dlaczego nie? Lubię mieć w zanadru różne możliwości. Człowiek nigdy nie wie, co może się przydać. Ale wierzę w siebie. Sprzedam diamenty Arabowi i podpiszę umowę z Moskwą. A na razie ten głupiec może sobie myśleć, że coś osiągnął.

Położył się, sięgnął do wyłącznika światła i przesunął się na swoją stronę łóżka, z dala od niej. Nie sypiali ze sobą od pięciu lat. Czas jego aktywności seksualnej już się skończył; zdawał sobie z tego sprawę. Teraz mógł się poświęcić wyłącznie interesom.

Ruth weszła do gabinetu Jamesa.

- No, wreszcie się udało. Kontakt na gruncie towarzyskim musiał dziać cuda. Sekretarka Karakowa była wobec mnie uprzejmą i grzeczną. Proponuje spotkanie w przyszły czwartek o jedenastej u niego w biurze. Czy mam potwierdzić?

Popatrzył na nią, unosząc głowę znad otrzymanych z samego rana faksów. Głównie były to rutynowe pisma z Johannesburga i korespondencja z Brukseli, dokąd się wybierał służbowo i gdzie planował spędzić kilka dni z Elisabeth. Przyszedł też poufny faks od Arthura Harrisa z Londynu.

- Co takiego?

Powtórzyła cierpliwie:

- Nasz wielki człowiek zgodził się przyjąć pana. Godzina jedenasta, w przyszły czwartek w jego biurze. Czy mam potwierdzić? Powiedziałam, że oddzwonię przed lunchem.

Zauważyła, że jest bardzo blady. Normalnie miał ogorzałą cerę, harmonizującą z ciemnymi włosami i kolorem oczu. Natomiast teraz był biały jak płótno.

- Proszę pana, czy coś się stało?

- Stało? - powtórzył. - Nie, nic. W gruncie rzeczy to są dobre nowiny. - Ruth nie poruszyła się. Zmusił się, aby powiedzieć: - Andrews opuścił Londyn i wrócił do Moskwy. Wygląda na to, że umowę ma już w kieszeni. Tak, proszę potwierdzić. Jeśli to prawda, to nasze spotkanie i tak nie ma już znaczenia.

Ruth zapytała spokojnie:

- Czy to jest pewne? Czy Andrews już sfinalizował rozmowy?

Chciał, żeby sobie poszła. Chciał zostać sam, by oswoić się jakoś z tym szokiem. Andrews otrzymał do wykonania zupełnie niemożliwe zadanie i - zgodnie z tym, co głosił pełen triumfu komunikat Arthura - wywiązał się z niego.

- Tak pewne, jak tylko może być coś, co nie zostało ostatecznie podpisane - odparł.

- Wobec tego sprawa nie jest jeszcze przesądzona - powiedziała.

Popatrzył na nią, zdumiony. Nie spodziewał się takiej reakcji. Była kochanką Krugera, należała do wrogiego obozu. Powinna wpaść w euforię.

- Istotnie - przyznał. - Wygląda na to, że Arthur przystał na twarde warunki. Oczywiście, przysłał tylko ogólny zarys umowy. Detale mogłyby być interesujące. Zdaje się, że sporo ryzykuje, a to do niego niepodobne.

- Właśnie - przytaknęła Ruth. - Najczęściej bywa bardzo ostrożny. Dziwne, że Dick nic mi nie powiedział. Telefonował do mnie wczoraj. Może sam nie miał o niczym pojęcia. Czy to jest kopia faksu wysłanego do pana Heydermana?

James rzucił okiem na dokument. W pierwszej chwili nie przyszło mu do głowy, aby to sprawdzić.

- Tak - odparł - ale z pewnością Julius będzie znał wszystkie szczegóły.

Ruth podeszła do biurka.

- Nie sądzę. Być może nikt nie zna tych warunków poza panem Andrewsem i Harrisem. A to by oznaczało, że są bardzo twarde.

Mądra, przyznał w duchu James. Jego myśli podążały dokładnie tym samym torem. Bardzo sprytna kobieta. Andrews i Harris nie zdradzają żadnych szczegółów, dopóki umowa nie zostanie podpisana... Starają się załatwić to jak najprędzej - kwestia kilku dni, jak zapewniał faks. On sam posunął się zaledwie o drobny krok, podczas gdy Andrews już finalizował sprawę w Moskwie. Bez względu na kosztą zostanie zawarta umowa, która zniweczy układ Karakowa z Rosjanami.

- Cóż - powiedział w końcu - to świetna wiadomość dla firmy. Jeżeli to przejdzie, możemy się stąd zbierać.

- Panie Hastings - odezwała się Ruth - chciałabym pana o coś zapytać.

Kilkakrotnie mówił jej, by zwracała się do niego po imieniu, zgodnie ze zwyczajem panującym w firmie, jednak nigdy tego nie uczyniła.

- Tak, słucham, Ruth.

- Czy pan mi ufa? - zapytała po prostu.

Popatrzył na nią zdumiony.

- Co ci przyszło do głowy? Oczywiście, że ci ufam. A nie powinienem?

- Nie, nie powinien pan. Jestem kochanką Dicka, a on pana nienawidzi. Ale w pewnych sprawach gram fair. Pracuję z panem wystarczająco długo i podziwiam pańskie kompetencje. Pan jest stworzony do interesów. Podoba mi się to. Jest pewien problem, który nurtuje mnie już od dłuższego czasu, coś, co chciałabym z panem przedyskutować. Jednak lepiej nie teraz. Czy moglibyśmy się spotkać dziś wieczorem?

- Nie chcesz rozmawiać na ten temat w biurze?

- Wolałabym nie - odparła. - Dopiero w tej chwili podjęłam decyzję. Chciałabym to jeszcze przemyśleć. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

- Dobrze. Co proponujesz? Gdzie się spotkamy?

- W jakimś ustronnym miejscu - odparła Ruth ze spokojem. - Pan też nie chciałby, by widziano pana w lokalu w towarzystwie sekretarki. W pobliżu mojego mieszkania jest pewien bar, gdzie

nie bywa nikt z naszych znajomych. Bar Germaine, rue d'Hôpital. Siódma trzydzieści?

- Siódma trzydzieści - zgodził się James. - Czy to coś pomyślnego dla mnie?

- Tego nie wiem. Ale wiem, że ja będę się czuła o wiele lepiej.

Ruth wyszła z biura przed nim. Dzień zleciał jej szybko. Więcej już nie rozmawiali o czekającym ich spotkaniu. Wcale nie potrzebowała czasu na przemyślenie swojej decyzji. Właściwie podjęła ją znacznie wcześniej, czekała tylko na odpowiedni moment.

Hastings był bliski porażki. Arthur Harris i Dick Kruger, dwaj starcy uporczywie trzymający się władzy, mieli wygrać. W ich zwycięstwie nie widziała żadnej przyszłości dla siebie. Dick w dalszym ciągu będzie ją molestował, by wzięli ślub. Te jego nalegania podczas każdego spotkania przyspieszyły jej decyzję. Nie chciała ani małżeństwa, ani poczucia bezpieczeństwa i pewności. Pragnęła podniecającego ryzyka, rozstrzygających ciosów. Skoro kobietom udało się zająć kluczowe stanowiska w innych firmach, dlaczego nie w DE? Pospieszyła do baru Germaine na spotkanie z Jamesem.

James zatelefonował do domu.

- Kochanie, czy wszystko w porządku?

Elisabeth, przyzwyczajona do tego, że dzwoni do niej co najmniej raz dziennie, roześmiała się i zapewniła, że czuje się świetnie.

- Wróć dzisiaj później, może dopiero o wpół do dziewiątej. Mam spotkanie.

- Nie przejmuj się mną - uspokoiła go. - Czy to coś ważnego?

- Może - odparł.

Nie było sensu opowiadać jej o Ruth Fraser. Najmniejszego sensu. Powie jej o tym później, gdy już będzie wiedział, co Ruth ma mu do przekazania. O ile jej informacja będzie dla niego przydatna. Nie bardzo w to wierzył. Nie bardzo wierzył, by cokolwiek

mogłoby mu jeszcze pomóc, skoro Ray Andrews zaszedł tak daleko. Mógł najwyżej mieć nadzieję, że w ostatniej chwili w Moskwie znajdzie coś nieoczekiwanego. Ton faksu był taki optymistyczny, zgola chępliwyy. Poczul, że z zazdrości robi mu się niedobrze.

Elisabeth tymczasem kontynuowała:

- Dzisiaj miałam telefon od mamy. Wybierają się do nas w przyszłym miesiącu.

- To świetnie. - James starał się, aby jego głos brzmiał pogodnie. - Wrócę, jak tylko będę mógł najwcześniej. Kocham cię, Liz.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała.

Będzie potrzebował jej miłości. Będzie potrzebował żony, dziecka, pogodnej atmosfery domowej jako rekompensaty za wszystko, co przyjdzie mu utracić. Odłożył słuchawkę. Wyszedł przed budynek i odprawił kierowcę. Zdecydował, że pojedzie metrem. Gdyby nie obawa przed spóźnieniem, poszedłby pieszo.

Ruth Fraser skinęła ku niemu z końca sali. Wybrała stolik stojący na uboczu. Podszedł do niej i usiadł. Przed nią stał kieliszek wina.

Pojawił się kelner i James powiedział krótko:

- Szkocką whisky i perriera. Bez lodu. Przepraszam za spóźnienie.

- To ja przysłałam wcześniej. Zawsze tak robię, kiedy chcę coś przemyśleć. A tym martwiłam się już od dłuższego czasu. Ale z nim przejdę do rzeczy, chciałabym, aby pan mi coś obiecał.

Zielone, kocie oczy wpatrywały się w niego. Nigdy przedtem nie zwrócił uwagi, że miały aż tak intensywną barwę.

- Co obiecać?

- Że nie użyje pan tego przeciwko Dickowi.

Pochylił się w jej stronę.

- Słuchaj, nie mam zamiaru obiecywać ci niczego, dopóki nie dowiem się, o co chodzi. Może więc zacniemy, dobrze?

Był opryskliwy, niemal grubiański. Przez chwilę ogarnęła go pokusa, aby wstać i wyjść, choć nie był pewien, dlaczego. Połowiczne kłamstwo wobec Elisabeth nie dawało mu spokoju.

Ruth nie traciła więcej czasu. Hastings nie był rybą, by musiała zarzucać przynętę przed złowieniem.

- Próbuje pan rozwiązać problem, mając jedną rękę związaną za plecami - powiedziała zimno. - Arthur Harris otrzymał pewną informację z Johannesburga i celowo zataił ją przed panem. Znając ją, miałby pan świetny start w rozmowach z Karakowem. Harris nie chciał jednak dawać panu forów. Pragnął, by Andrews miał więcej czasu na negocjacje w Moskwie.

- Jaką informację? - zapytał James. Kelner przyniósł whisky, wsunął rachunek pod spodeczek i oddalił się. - Jaką informację? - powtórzył.

- Karakow ma garnitur brylantów - mówiła Ruth niskim, pełnym napięcia głosem. - Są bezcenne. Rosjanie upoważnili go do ich sprzedaży. Nie dosyć, że zbije na tym majątek, to w dodatku taka transakcja umocni jego pozycję w przetargach z Moskwą. Udowodni im, że ma zbyt na ich kamienie i potrafi je sprzedawać w całym świecie. Powinnam powiedzieć panu o tym wcześniej, ale obiecałam, że będę milczała.

- Chryste - powiedział James wolno - a to sukinsyny. Czy Karakow już je sprzedał?

- O ile wiem, jeszcze nie. Ale znam nazwisko nabywcy. To ten arabski książę. Aktorka Madeline Luchaire, która jest jego przyjaciółką, zapragnęła je mieć. Ofiarował jej już miliony w różnych klejnotach, więc kupi i te diamenty. Jeśli Andrews podpisze umowę w Moskwie, będzie to bez znaczenia. Ale gdy stanie się inaczej, pan jest martwy.

James powoli odchylił się do tyłu.

- Tak - powiedział - jeśli tak potoczą się sprawy, rzeczywiście jestem trupem. Dlaczego zdecydowałaś się powiedzieć mi to właśnie teraz? - zapytał, starając się zapanować nad ogarniającym go gniewem. Nie patrzył przy tym w jej stronę.

- Ponieważ nie chcę, aby pan przegrał - powiedziała Ruth. - Pragnę, aby pan zwyciężył. Podjęłam decyzję i jestem po pańskiej stronie. Wiem, że może być pan na mnie zły, ma pan do tego prawo. Arthur posłużył się brudnym, niehonorowym chwytem, a Dick go poparł, bo jest o pana zazdrosny. Nie usiłuję go usprawiedliwiać, po prostu mówię prawdę.

- Rozumiem - odparł James. - A Heyderman jest przekonany, że otrzymałem tę informację i nie zrobiłem z niej użytku.

Garnitur bezcennych diamentów, transakcja, która potwierdzi, że Karakow potrafi sprzedać wszystko równie dobrze jak DE i przełamać ich supremację na światowym rynku. A on nie podjął żadnych kroków, by temu przeszkodzić.

- Reece przekazał to faksem do Londynu kilka tygodni temu. Wszyscy są przekonani, że Arthur panu powiedział i że miał pan możliwość jakoś zapobiec tej transakcji. Wygląda to tak, jakby pan nic nie uczynił w tej sprawie.

- Chryste - jęknął James - tyle straconego czasu, uganiania się za tym bękartem, podczas kiedy powinienem zająć się tamtym.

Pochyliła się ku niemu.

- Dlatego zdecydowałam się przejść na pana stronę i wszystko panu powiedzieć. Kocham ten biznes i nie chcę, abyśmy przegrali przez tych dwóch starych durniów. Mogę panu pomóc, jeśli pan pozwoli i zaufa mi, nie bacząc na to, co było przedtem. Czy uczyni pan to?

- Nie wiem - odparł.

Gniew mijał powoli. W głowie Jamesa tłukła się tylko jedna, jedyna myśl. Ma jeszcze niewielką szansę, może zaledwie jedną na milion. Za wszelką cenę musi przeszkodzić Karakowowi w sprzedaży diamentów, zanim Arthur Harris dokończy dzieła i zanim zostanie podpisana umowa w Moskwie. Zaufać tej kobiecie, która była kochanką jego największego wroga, Krugera, i oszukiwała go do ostatniej chwili? Zaufać jej i uwierzyć, że rzeczywiście zmieniła front? Nie miał wyboru, wiedział o tym. Dzięki niej mógł mieć wtyczkę w Londynie. Chyba jednak naprawdę opuściła Krugera i postanowiła zostać jego sojuszniczką. Przecież,

gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że zdradziła przekazaną jej w zaufaniu informację od Arthura, straciłaby pracę. Musiał zrobić to, co proponowała.

- Chyba nie mam innego wyjścia - powiedział w końcu. - Musimy ustalić dokładny plan działania. Potrzebujemy dodatkowych informacji, wszystkich, jakie uda się nam zdobyć... Jak daleko zaawansowana jest ta transakcja. Kiedy planują jej finalizację. Wszystko. Jak się tego dowiedzieć?

- Myślę, że jest tylko jedno źródło - powiedziała Ruth. - Reece. To od niego pochodzą wszystkie informacje o czerwonych diamentach i o ugodzie Karakowa z Rosjanami. Myślę, że musi mieć szpiega w jego biurze. Kogoś bardzo mu bliskiego.

- A więc musimy zacząć od niego. Jeśli Harris sądzi, że uda mu się mnie wykiwać i ujdzie mu to na sucho, to udowodnię mu, że się myli. Jadę do Londynu i osobiście porozmawiam z Reece'em.

- Jeśli pan to robi - odparła spokojnie - zaczną się czegoś domyślać. Jeśli natomiast pojedę ja, nikt nie będzie niczego podejrzewał. Zobaczę się z Reece'em. Powiem mu wszystko, co zaszło. On będzie wiedział, co robić. On także pragnie, by to panu przypadła wygrana. Czy nie powinniśmy już iść? Dochodzi dziewiąta.

James stracił poczucie upływającego czasu. Zapomniał o Elisabeth, o wszystkim.

- Dziewiąta? - Niech to piekło pochłonie! - Powiedziałem, że wrócę o wpół do dziewiątej. Słuchaj, nie możemy tego tak zostawić. Zadzwoń do żony. Zamów coś do jedzenia, cokolwiek.

Pobiegł do telefonu. Ruth spoglądała za nim. Nic tak nie łączy ludzi, jak sytuacja kryzysowa.

Susan Andrews jeszcze raz pocałowała męża na pożegnanie. Nie mogła się powstrzymać, by nie przytulić się do niego. Nie mogła znieść myśli, że wyjeżdża i nie wiadomo, kiedy wróci.

- Wszystko będzie dobrze, czy tak? - upewniła się. - Teraz masz już tę gwarancję?

Tłumaczył jej wszystko jak najdokładniej, pragnąc ją uspokoić i równocześnie rozwiązać swoje własne wątpliwości. Arthur Harris złożył swój podpis pod tym cyrografem i nawet nie dyskutował. Ray poczuł się niepewnie; to było zupełnie niepodobne do Arthura. Ten przejaw brawury zaniepokoił go. Po raz kolejny odczytywał tekst, który wiozł Borysowowi, i nie mógł się w nim doszukać żadnych uchybień z rosyjskiego punktu widzenia.

Arthur jasno deklarował pomoc w projekcie oczyszczenia Bajkału bez żadnych ograniczeń. Osobiście to podpisał. Jeśli dokument zostanie zaakceptowany przez Moskwę, nie będzie już drogi odwrotu. To znaczy, że Arthur ryzykował zawodowe samobójstwo nie konsultując warunków z Heydermanem i resztą zarządu.

- Wyglądasz na zaniepokojonego, kochanie - powiedziała Susan. - Jesteś pewien, że wszystko pójdzie dobrze? Och, już zapowiadają twój lot. Zadzwoń do mnie, nie zapomnij.

- Jutro wieczorem - obiecał. - Wszystko jest w porządku. Wróć, gdy doprowadzę sprawę do końca. Kupię ci kapelusz z norek.

Objął ją, a potem pospieszył do samolotu.

Podróż zaczął od zamówienia dużej wódki. Zasmakował w niej. A więc dokonał rzeczy niemożliwej. Bez względu na to, co nastąpi później, udało mu się wynegocjować ugodę z Moskwą, która wyeliminuje Iwana Karakowa i pozwoli utrzymać monopol DE. Konsekwencje długoterminowej umowy, którą Arthur zgodził się zawrzeć, to już nie jego odpowiedzialność. Dlaczego więc, zamiast odczuwać satysfakcję, czuł się tak niepewnie?

9.

- Kochanie - zapytał James - czy były do mnie jakieś telefony? - Nie - odparła Elisabeth. - Czy czekasz na jakiś ważny telefon?

Zmarszczył czoło. Zaraz po powrocie do domu nalał sobie whisky, czego zazwyczaj nie robił. Pocałował ją, zapytał, jak jej minął dzień, i nie czekając na odpowiedź podszedł do barku.

- Tak, z Londynu. Do tej pory powinni byli zadzwonić. Musimy niedługo wyjść i pewnie się już nie doczekam.

- James, co się dzieje w Londynie? Jeszcze nigdy nie widziałam cię tak zdenerwowanym. Czy możesz mi powiedzieć?

Natychmiast podszedł do niej, skruszony. Przytulił ją łagodnie i zaczął się usprawiedliwiać:

- Przepraszam, najdroższa. Przez ostatnie dni rzeczywiście zachowuję się jak kotka na rozgrzanym dachu. Ale nie miałem zamiaru wyładowywać na tobie swojego złego humoru. Pocałujesz mnie?

Był to długi, gorący pocałunek, pełen napiętności. Przyłgnęła do niego mocniej.

- Powiedz mi o Londynie.

Uwolnił ją ze swoich objęć.

- Zajęłoby to zbyt wiele czasu - powiedział. - Musimy szykować się do wyjścia. Och, gdyby tak można było odwołać to idiotyczne przyjęcie.

- Ale nie można - podkreśliła Elisabeth. Nie mogli nie pójść

na przyjęcie wydawane przez ambasadę brytyjską. Ambasador chodził do szkoły z jej ojcem i razem służyli w jednym regimencie.

Elisabeth poszła na górę. James został sam, sącząc drinka. Ciągle nie tracił nadziei, że Ruth jeszcze zadzwoni. To właśnie dzisiaj po południu miała się spotkać z Reece'em. Przez cały dzień James nie był w stanie skoncentrować się na niczym innym poza tą jedną myślą. Nie mógł, po prostu nie mógł usiąść spokojnie i opowiedzieć Elisabeth o wszystkich szczegółach gry Arthura, usiłującego podstawić mu nogę. Musiałby wtedy odpowiadać na jej pytania i wysłuchać zupełnie jednoznacznej oceny postępowania Ruth. Dla Elisabeth decyzja o porzuceniu Dicka Krugera i przejściu na stronę dotychczasowego wroga byłaby kolejnym dowodem niepokonanych ambicji Ruth Fraser. Mógł sobie wyobrazić wszystkie racje przytoczone przez żonę, na które nie znalazłby żadnych kontrargumentów. Ruth Fraser działała niczym śmiertelna trucizna, z całą bezwzględnością dążyła do zrealizowania własnych zamierzeń, gotowa zniszczyć każdego, kto wszedłby jej w drogę. Ale przecież potrzebował jej. Nie mógł sobie pozwolić na to, by zastanawiać się nad jej motywami czy etyką. Jego kariera, jego przyszłość była zagrożona i gdyby to miało mu przynieść zwycięstwo, sprzymierzyłyby się nawet z diabłem.

Z czułością pomyślał o Elisabeth. Męczyły ją dolegliwości związane z jej stanem. Ostatnio czuła się niezbyt dobrze, a on nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi. Była kwintesencją tego, co dobre w jego życiu, lepszą częścią jego samego. Ona i dziecko będą wszystkim, co mu zostanie, gdy wszystko inne zawiedzie. Nie wolno mu o tym zapomnieć. Oderwał wzrok od milczącego wciąż telefonu i pobiegł na górę.

Gdy się przebierali, usiłował naprawić swoje poprzednie zachowanie.

- Co robiłaś dzisiaj? Czy odpoczywałaś po południu?

- Rano byłam w Luwrze z Jean Pierrem.

Uśmiechnął się.

- Zdaje się, że poczciwy Jean Pierre podkochuje się w tobie - powiedział. - Wcale mu się nie dziwię.

W tym momencie zadzwonił telefon. Odwrócił się od niej i podbiegł do aparatu.

- Halo, Ruth? Tak... Jak poszło?

Elisabeth stała bez ruchu. Ruth?

- Zaczekam na dole - powiedziała.

Skinął głową, marszcząc brwi.

Czekając na Jamesa, Elisabeth nalała sobie wody mineralnej. Czy tylko jej się wydawało, czy też nie chciał omawiać przy niej spraw zawodowych? Od tego właśnie zaczął się rozpad małżeństwa Krugerów. Przypomniała sobie ostrzeżenia Valerie: „Chce zrobić karierę i weźmie każdego mężczyznę, który jej w tym pomoże”.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł uśmiechnięty James. Znała to jego spojrzenie, drapieżne, pełne rozsadzającej go energii. Kiedyś uważała je za fascynujące. Teraz po raz pierwszy poczuła niepewność. Powiedziała szybko:

- To Ruth jest w Londynie? Nie powiedziałaś mi o tym...

- Mam wspaniałe nowiny - odparł. - Słuchaj, cieszę się na dzisiejszy wieczór. O wszystkim opowiem ci później, kochanie.

Ruth wróciła na swoje stare miejsce w pokoju sąsiadującym z gabinetem Krugera, jej zastępczynię zaś przeniesiono do innego pomieszczenia. Dick zachowywał się jak uczeń. Ciągłe kręcił się wokół niej i opowiadał jej o wszystkim. Mówił głównie o planowanym ślubie. Ruth z trudem powstrzymywała cisnące się jej na usta słowo „przestań”, jednak pilnowała się, by nie zdradzić swoich uczuć. Grała dokładnie taką rolę, jakiej od niej oczekiwał. W nocy kochali się, jakby nic się nie zmieniło. W ten sposób chciała spłacić choć część tego, co była mu winna, nawet jeśli on sam nie miał pojęcia o tym długu. Kierowała się własnym kodeksem postępowania i uważała, że jeśli ktoś był dla niej dobry, należy mu się odwdziaczyć. A Dick był dobry, zaangażowany, pomocny

i szczodry. Płaciła mu w jedynej monecie, jaką знаła, gdyż prawdziwie kochać nie potrafiła. Słuchała go uważnie, gromadząc informacje, by potem przekazać je Hastingsowi. Sama nie zdradziła się z niczym naprawdę ważnym.

- I jak ten drań daje sobie radę? - zapytał, gdy leżeli w łóżku.

- Nawiązuje kontakty towarzyskie - rozproszyła jego obawy - i widuje się z ludźmi z branży. Widział się też z Karakowem. Mówiłam ci, że poznali się na jakimś przyjęciu i potem miał się z nim spotkać w następnym tygodniu, ale do spotkania nie doszło. Karakow traktuje go jak chłopca na posyłki.

Kruger poweselał.

- Niech no tylko umowa z Moskwą zostanie podpisana - wykrzyknął z radością - to ten dopiero zobaczy! Arthur ciągle otrzymuje telegramy od Juliusa z zapytaniem, co u licha dzieje się w Paryżu.

Ruth zapytała mimochodem:

- A czy to korzystna umowa? Musi nas sporo kosztować, skoro tak szybko się zgodzili.

Odpowiedź Dicka była bardzo wymijająca. Nie dlatego, by nie chciał jej powiedzieć, jak sobie później uświadomiła, lecz dlatego, że nie chciał się przyznać do niewiedzy. Zawsze był bardzo dumny ze swoich układów z Arthurem, a tym razem Arthur nie wtajemniczył go w szczegóły.

- No, owszem - powiedział - ale nigdy nie ma nic za darmo.

Jako pretekst swojego przyjazdu do Londynu Ruth podała chęć uzyskania najświeższych wiadomości na temat postępów Andrewsa. Połechtala próżność Krugera mówiąc, że Hastings, zaniepokojony sukcesami w Moskwie, ma nadzieję, że może uda mu się ukraść jakieś ich pomysły i w ten sposób poprawić swoją sytuację. Nawet ją zdumiała jego łatwowierność. Ale on ją kochał i darzył zaufaniem. Była sojusznikiem, a wkrótce miała zostać jego żoną. Wierzył w to, w co chciał wierzyć i powiedział w zaufaniu do Arthura:

- Hastings już trzęsie portkami. Przysłał Ruth na przeszpiegi, aby sprawdziła, co się tutaj dzieje. - Roześmiał się, wyobrażając sobie, jak to James zostanie wykiwany. - Gdyby tylko wiedział... - dodał z triumfem.

- Ona jest lojalna wobec ciebie, czy tak, Dick?

- Jak tylko zakończy się ta sprawa w Paryżu, pobierzemy się.

- Będzie z niej wspaniała żona - powiedział Arthur. - Szczęściarz z ciebie, Dick.

- Tym razem na pewno.

Arthur zmienił temat. Nie wierzył w lojalność kobiet.

- Umówiłem się na dzisiaj z Hughiem Fullerem. Końcowy tekst jest już gotowy i można go przesłać do Moskwy. Kwestia podpisania zależy wyłącznie od Andrews'a. Będziemy mieli prawdziwe święto, mój drogi. Chciałbym, abyś wiedział, że jestem ci wdzięczny za poparcie. Nie zostanie to bez nagrody.

Po trzech dniach pobytu w Londynie Ruth spotkała się z Reece'em w Regent Palace Hotel. Hałaśliwy, pełen turystów, zupełnie pozbawiony charakteru hotel nie był najlepszym miejscem na takie spotkanie. Równie dobrze można by się umówić na herbatę na dworcu Victoria. To Reece zasugerował herbatę. Ruth nie zachowywała się nieśmiało, ale nie okazywała też zbytnej pewności siebie. Czowała, że Reece nie tolerowałby napastliwego tonu. Powiedziała mu spokojnie, że Arthur Harris zataił informację o przygotowywanej przez Karakowa sprzedaży czerwonych diamentów, by dać swojemu protegowanemu Andrewsowi przewagę. Reece nie odpowiedział ani słowem. Odstawił filiżankę ostrożnie, by nie zadzwieczał spodeczek, a potem zapytał:

- Skąd pani wie?

- Od Dicka - odparła. - Uznałam, że powinnam powiedzieć prawdę Jamesowi Hastingsowi. Wydawało mi się nie fair wobec niego i całej firmy, by podobne informacje były zatajane przez kolegów.

- Z pewnością jest to nieetyczne - powiedział Reece - Pan Julius na pewno by tego nie zaaprobował. I co Hastings ma zamiar z tym zrobić?

- Musi nadrobić stracony czas - odparła. - Znaleźć sposób, by rozpieprzyć tę transakcję.

Skrzywił się z dezaprobatą, słysząc ten zwrot. Nie znosił, gdy kobieta przeklinała.

- Dlatego poprosiłam pana o spotkanie. To od pana pochodzi informacja o tych diamentach i przyjaciółce Araba. Czy mógłby pan dowiedzieć się więcej szczegółów, które mogłyby nam pomóc? Może miałby pan jakieś doświadczenia do Madeline Luchaire? To pomysł Jamesa. Gdyby udało mu się jakoś z nią spotkać...

Reece skończył pić herbatę i wyskrobał łyżeczką resztkę cukru. Potem wytarł usta idealnie białą chusteczką. Jego siostra zawsze wszystko mu prasowała - koszulę, bieliznę, chustki. Lubiła, gdy wyglądał nieskazitelnie, więc zawsze nosił białe koszule i stonowane krawaty do ciemnego garnituru.

Ruth czekała. Korciło ją, by krzyknąć na niego, niech już wreszcie przestanie wycierać usta niczym stara baba i wydusi coś z siebie, jednak na zewnątrz zachowała spokój.

- Myślę, że nie wspomnę o niczym panu Juliusowi - powiedział w końcu. - Z pewnością czułby się tym dotknięty. Pan Arthur jest przecież jego szwagrem. Jeśli Hastings wykorzysta tę informację, nawet z pewnym opóźnieniem, będzie można powiedzieć, że nic się takiego nie stało. Już mniejsza z tym, że ktoś usiłował działać na niekorzyść firmy.

Gdy to mówił, Ruth przez krótką chwilę wyobraziła sobie gada, strzykającego trucizną.

- A więc pomoże pan? - zapytała.

- Tak - odparł po długiej pauzie, kiedy już zajrzał do czajniczka i zdecydował, że nie wystarczy herbaty na drugą filiżankę. Ona sama nie tknęła swojej herbaty, która zdążyła już całkiem wystygnąć. - Zobaczę, co da się zrobić, ale pod jednym warunkiem.

- Cokolwiek pan zechce.

- Nasze spotkanie i ta rozmowa są zupełnie poufne. Żadnych notatek, żadnych pisemnych uzgodnień, nawet między panią i Hastingsem. Żadnej dokumentacji. Gdyby pani złamała ten zakaz i wspomniała o tym komukolwiek, konsekwencje będą surowe.

Nie mówił, komu miałyby wspomnieć. Nie potrzebował. Ruth zrozumiała od razu.

- Niczego nie zanotuję. Rozmawiamy poza biurem i tak to zostanie.

- Bardzo mądrze - powiedział. - Proszę wszystko zostawić mnie. Potrzebuję numer pani domowego telefonu. Tak będę się z panią kontaktował.

Powiedziała szybko:

- Nie podczas weekendów. Dick przyjeżdża w piątek wieczorem i zostaje do niedzieli. Będę próbowała go od tego odwieść, ale nie mogę zagwarantować, że mi się uda.

- Wiem o tych wojażach - odparł Reece. - On także ponosi odpowiedzialność za nieprzekazanie mojej informacji. Jeśli zamierza pani pozostać w firmie, powinna pani rozważyć sprawę tego związku. Chyba że pragnie pani wyjść za niego i złożyć rezygnację... - Spojrzał znacząco na zaręczynowy pierścionek z diamentem na jej palcu.

Ruth wstała.

- Małżeństwo to nie moja specjalność. Mam inne plany. W stosownym czasie zwrócę mu pierścionek. Myślę, że powinnam już pójść. Dziękuję za herbatę i za wszelką pomoc. James będzie bardzo wdzięczny.

- Z pewnością - odparł. Nie wstał, nie popatrzył za nią, gdy wychodziła. A to się Joy ucieszy, gdy jej opowie, co zaszło. Nie mógł się już doczekać chwili, kiedy znajdzie się w domu. Stamtąd będzie mógł wykonać pewien telefon.

Dwa razy w tygodniu księżę Eugene Titulescu odwiedzał klub Gymnastique, gdzie korzystał z sauny i masażu. Pomagało mu to utrzymać szczupłą sylwetkę. Ostatnio żona, zawsze tak dumna z jego figury, wyraziła niezadowolenie, że przybiera na wadze. Nie znosił tego klubu. Gdyby miał wolny wybór, nigdy by tam nie poszedł, jednak nie dano mu wyboru. Całe jego życie było takie. Przesuwano go niczym pionek po szachownicy, a on nie był w stanie kontrolować kierujących nim sił. Cóż, pocieszał się, że i tak mu się udało.

Zaczął od sauny. Usiadł na ławce, przepasany ręcznikiem, w kłębach gorącej pary. Natychmiast zaczął się pocić. Czekał. Na odgłos otwieranych drzwi podniósł głowę i popatrzył na wchodzącego. Widział go niedawno. Nowo przybyły podszedł do ławki i usiadł obok Titulescu.

- Dzisiaj jest tu jeszcze bardziej gorąco - zauważył.

- Chyba tak.

Przez kilka chwil panowała pełna napięcia cisza. Nowy gość był nieco młodszy od księcia. Miał pełne, miękkie ciało i smutny wyraz twarzy. Co chwila odgarniał z czoła przesiąknięte potem, siwiejące blond włosy. Był politykiem w administracji poprzedniego prezydenta, Giscarda d'Estaigue, a teraz wspinał się powoli po szczeblach kariery partyjnej. Spodziewano się, że zajdzie bardzo wysoko, lecz ciągle jeszcze nie nadszedł jego czas.

- Przykro mi z tego powodu - mruknął. - Dostałem wczoraj telefon. Wiesz z pewnością, jakie to dla mnie trudne.

Popatrzył na niego błagalnie.

- Wiem - odparł księżę. - Dla ciebie jest to chyba jeszcze trudniejsze niż dla mnie. Czego chcą tym razem?

Jego towarzysz poprawił się na ławce. Okropnie czuł się w tym gorącu, jednak było to jedyne miejsce, gdzie mogli się bezpiecznie spotykać. Klub, mieszczący się przy jednej z najelegantszych ulic Paryża, stanowił miejsce chętnie odwiedzane przez śmietankę towarzyską Paryża. Ludzie przychodzili tu na treningi czy po prostu dla relaksu. Tu też spotkali się po raz pierwszy trzy lata temu,

zupełnie przypadkowo. Polityk miał już dwójkę dzieci, zaś nowa księżna Titulescu była w szóstym miesiącu ciąży. Wszystko zaczęło się zupełnie niewinnie. Zwykła znajomość doprowadziła do krótkiego homoseksualnego epizodu. Sami byli tym zaskoczeni; żaden z nich nie działał nawet pod wpływem raptownego przyływu pożądania. Obaj szybko doszli do wniosku, że posunęli się za daleko. Żaden z nich nie zadał sobie trudu, by zanalizować swoje uczucia. Uznali, że najlepiej będzie jak najszybciej zapomnieć o całym epizodzie. I wtedy ktoś zaczął ich szantażować. Politykowi pokazano fotografie i polecono, by skontaktował się z przyjacielem. Szantażysta nie domagał się pieniędzy. Żądał, by jego ofiara wyciągała od księcia Titulescu różne informacje. W razie odmowy obaj byliby skompromitowani. Dla polityka oznaczałoby to kres kariery, Titulescu straciłby żonę i zajęcie. Żaden z nich nie wiedział, kim jest szantażysta ani jaki użytek robi z uzyskanych informacji; po prostu zięć Karakowa regularnie musiał udzielać odpowiedzi na pewne pytania. Raz polecono mu dostarczyć dane o obrotach firmy.

- O co chodzi tym razem?

- Otrzymałem wiadomość. Dlatego się z tobą umówiłem. Z klubu zadzwoniono do Eugene'a do domu z informacją, że ma zarezerwowany masaż na popołudnie.

Titulescu wiedział już, co to oznacza.

- Chcą, abyś załatwił spotkanie dla jednego gościa z branży diamentowej, dla niejakiego Hastingsa. Znasz go?

- Tak, znam - odparł Titulescu. - Jakie spotkanie? Z kim?

- Z Madeline Luchaire. Najlepiej w czasie, kiedy jej kochanek będzie we Francji. To bardzo pilne i ważne. Musisz się postarać, aby się udało. To wszystko, co mi przekazano. Przykro mi, Eugene, ale to brzmiało jak groźba. Zdaje mi się, że ty się domyślasz, o co tu może chodzić.

Po krótkiej pauzie książę powiedział wolno:

- Chyba się domyślam. Wydaje mi się, że wiem, kto nas tak dreczy przez cały czas.

- Zadzwoń dziś wieczorem - podjął jego towarzysz. - Co mam powiedzieć?

Titulescu wstał, starannie otulając się ręcznikiem.

- Że zrobię, co w mojej mocy. Zresztą nie mam wyboru.

- Żaden z nas nie ma.

Przez moment Titulescu spoglądał na Francuza, potem potrząsnął głową.

Wyszedł z pełnego pary pomieszczenia, wziął prysznic i poszedł na masaż. Kiedy masażysta znęcał się nad jego mięśniami, Eugene zastanawiał się, jak doprowadzić do spotkania jednej z najznamienitszych klientek Karakowa z przedstawicielem konkurencyjnej firmy i to w taki sposób, żeby jego osobisty udział w tej intrydze nie wyszedł na jaw.

- Hugh - powiedział Arthur - wiesz, że nie lubię mieć związanymi rąk.

Hugh Fuller, starszy partner w firmie Fuller, Haines et Gibson, skinał głową. Od ponad dwudziestu lat był przyjacielem i jednocześnie prawnikiem Arthura Harrisa. Jego firma zajmowała się wszystkimi prawnymi problemami działalności londyńskiej filii DE, zarabiając na tym ogromne pieniądze. Teraz obaj siedzieli w klubie Arthura przy ulicy St James. Właśnie skończyli wystawny obiad i wypili butelkę mouton rotschild, a potem jeszcze dow rocznik 1966, co nastroiło Fullera do dłuższej pogawędki na temat zalet różnych dostawców win. Arthur i on mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj pasjonowali się żeglarstwem. Byli mniej więcej w tym samym wieku, jednak prawnik miał gęstą czuprynę siwych włosów i siwy wąs, co czyniło go podobnym do generała w stanie spoczynku.

- Moskwa domaga się od nas coraz więcej i więcej - mówił Arthur. - Chcą, abyśmy zapłacili bająnskie sumy za tę umowę. Wiesz, że musiałem im wystawić osobistą gwarancję. Pokazywałem ci. To niesłychane, to niemal szantaż.

- Mniej więcej - zgodził się Fuller.

- Ale Julius nalega, abym się nie wahał. Nie obchodzi go, że przecież ryzykuję swoim stanowiskiem i reputacją.

Arthur wiedział, że Hugh nie lubi Juliusa Heydermana, którego uważa za nadętego pyszałka. Kłamstwa, którymi go teraz karmił, były obliczone na wzbudzenie jego współczucia.

- Wpakował mnie w tę niemożliwą sytuację, ponieważ wie, że jeśli wszystko zakończy się finansową katastrofą, ja za to odpowiem.

- Cóż, mój drogi, powiedz mi, co mógłbym dla ciebie zrobić, a dołożę wszelkich starań.

- Mam dosłownie skrępowane ręce i nogi w związku z tym projektem oczyszczenia wód Bajkału. To oznacza milionowe wydatki przez nieokreślony czas, co może nas wydrenować z wszelkich rezerw. Na żądanie Juliusa musiałem zaakceptować rosyjskie ultimatum. Nie miałem wyboru. Musiałem napisać ten list, który Ray Andrews zawiózł teraz do Moskwy. George, przynieś nam koniak i cygara.

- Służę, sir.

- Nie powinienesz był tego robić, nie skontaktowawszy się uprzednio ze mną - mruknął Hugh. - Powiedz mi, niezależnie od twoich gwarancji, jak wiążąca ma być ta umowa.

Sięgnął do pudełka z cygarami przyniesionymi przez kelnera i otworzył je. Podniósł kilka do ucha, sprawdzając suchość tytoniu, wreszcie zdecydował się na ramón alione.

- Ja także zapalę, George - powiedział Arthur. - Dziękuję. Umowa? Cóż, musi przekonać rząd rosyjski, że się z niczego nie wycofamy.

- Rozumiem. - Fuller zapalił cygaro i zaciągnął się mocno. - Do licha, Arthur, jesteście przyjaciółmi od tak dawna. Powiedz mi, czego ty ode mnie oczekujesz?

- Pragnę takiej umowy, która pozwoliłaby mi wykręcić się ze zobowiązań w kwestii Bajkału. To główna sprawa. Resztę możesz sformułować tak jasno i klarownie, jak tylko chcesz. Nie sądzę, aby z pozostałymi warunkami były jakiegokolwiek problemy, tak że nie trzeba uciekać się do żadnych sztuczek, wręcz przeciwnie. Ale

w sprawie Bajkału muszę mieć jakąś furtkę, inaczej będę zrujnowany. Czy możesz coś z tym zrobić?

- Nie wiem jeszcze. List, który napisałeś, nie jest wiążący dla DE. Jest wyłącznie potwierdzeniem twojej wiarygodności i dobrej woli. Muszę jeszcze przejrzeć umowę, a to mi zajmie kilka dni. Pomyślę, jak można by to obejść.

- Tylko że dla nich to musi wyglądać wiarygodnie - podkreślił Arthur. - Ich prawnicy też nie są głupcami.

- Z pewnością nie - zgodził się Fuller. - Ale do tego czasu moja firma sporządzi pełny tekst umowy, z pewnymi poprawkami, które zasugeruję... Myślę, że możesz mi zaufać. Czy to jest bardzo pilne?

- Andrews nalega, aby końcowy dokument był gotowy do podpisania w przeciągu tygodnia - powiedział Arthur. - Dasz radę?

Fuller zaciągnął się cygarem.

- To trochę mało czasu, ale ją dostaniesz. Nawet gdybym musiał osobiście zredagować całą umowę. Nie przejmuj się.

- Będę ci bardzo wdzięczny - powiedział Arthur. - Odpowiadałem już za wiele złych pociągnięć DE i nie chcę, by to ostatnie mnie pogrążyło. Natomiast wszystkie sukcesy idą zawsze na konto Juliusa.

- Wiem - zgodził się Fuller. - On jest po prostu bezwzględny. Przecież zawsze należy kierować się pewną etyką, nawet w interesach. To naprawdę nie jest w porządku, żeby zmuszać cię w taki sposób. Zostaw wszystko mnie, a ja już znajdę wyjście. Powiedz, jak tam Christa?

W godzinę później wyszli z klubu, czy raczej Fuller wyszedł i pojechał taksówką do domu. Żywił niezłomne przekonanie, że prowadzenie samochodu po Londynie to wyłącznie strata czasu. Posiadał co prawda wielkiego, dziesięcioletniego daimlera, ale używał go wyłącznie do wyjazdów z żoną na wieś na weekend.

Arthur zdecydował się przenocować w klubie. Dochodziło już wpół do dwunastej, a on czuł się zmęczony. Nie miał ochoty

wracać do domu i wysłuchiwać utyskiwań Christy, domagającej się wyjaśnień. Jak na złość, po tylu latach nagle zrobiła się zazdrosna i oskarżała go o posiadanie kochanki. Gdy myślał o tym spokojnie, nawet go to bawiło. Teraz nie mogła już go zranić i świadomość tego doprowadzała ją do absurdalnych wybuchów agresji. Jego odmowę tamtej pamiętnej nocy wytłumaczyła sobie istnieniem innej kobiety.

Nie miał kochanki już od bardzo dawna, ale im częściej żona go o to oskarżała, tym bardziej ta myśl zaczynała mu się podobać. Pragnął bliskości jakiejś miłej kobiety. Nie dziewczyny, gdyż młodość nie była w jego guście, ale kobiety po trzydziestce, o dobrej figurze i łagodnym usposobieniu. Kobiety, z którą mógłby pójść do łóżka i która byłaby po prostu dobrą przyjaciółką. Chwilami zastanawiał się nawet nad którąś ze znajomych, jednak później odrzucił ten pomysł, gdyż były zbyt blisko związane z jego domem. Poza tym miał zbyt wiele pracy, by angażować się w romans. Ale gdy tylko umowa z Rosjanami zostanie sfinalizowana, rozejrzy się dobrze i znajdzie sobie kogoś miłego. Po tylu latach pożycia z żoną przykładął wielką wagę do tego, by jego wybranka była łagodna i sympatyczna.

Reece, zanim usiadł, starannie wytarł siedzenia krzesła. Popatrzył na Stellę Heyderman i powiedział:

- Panno Heyderman, dlaczego nie każe tu pani posprzątać? Co by pani ojciec powiedział na ten widok?

Po podłodze poniewierały się stare gazety i brudne szklanki, wszędzie zalegała warstwa kurzu, wystarczająco gruba, by móc w niej pisać. Krzesło zarzucone było rozmaitymi częściami garderoby, w pokoju śmierdziało alkoholem i dymem tytoniowym.

Stella wyglądała okropnie. Przypuszczał, że przez wiele dni piła. Teraz jednak była wreszcie trzeźwa. W końcu zgodziła się z nim zobaczyć. Cóż, pieniądze się skończyły. Znał ten scenariusz. Pomyślał, że Stella jest obrzydliwym flejtuchem, okropną, wstrętną babą, która teraz wgapia się w niego zaczerwienionymi

oczami. W jego obecności zawsze zachowywała się grubiańsko. Nie przeszkadzało mu to. Pogardzał nią, więc wszystko, co mówiła albo robiła, żeby go obrazić, było mu obojętne. Biedny pan Julius, pomyślał; być skazanym na taką zdegenerowaną córkę. Jej matka też była wariatką; najwyraźniej obciążenie dziedziczne. Co za szkoda, że nie wróciła do Soweto wraz ze swoim czarnym mężem. Może pozbyliby się wtedy ich obojga.

- Mówiłam już panu, że nazywam się Yakumi! - krzyknęła. - Albo będziesz się pan tak do mnie zwracał, albo możesz się pan wynosić.

Reece wzruszył ramionami.

- A skąd weźmie pani wtedy pieniądze?

Przetrzymywała go tyle czasu, nie chciała z nim rozmawiać ani odpowiadać na jego telefony. Uznał, że zasłużyła na to, by potraktować ją z góry.

- Rozmawiałem z prawnikami - mówił. - Dopóki nie zezwolę, nie dadzą pani ani grosza. Może to panią zainteresuje, że pani ojciec dał mi upoważnienie, aby obciąć pani fundusze.

Popatrzyła na niego z nienawiścią. Dawno już wyczerpała kredyt i teraz wszystkim naokoło była winna pieniądze. Tylko z desperacji zgodziła się z nim zobaczyć. Jej ojciec nie mógł przecież tak postąpić. Nigdy przedtem tak z nią nie postępował.

- Nie wierzę - powiedziała. - Ojciec nie zrobiłby tego. Nie pozwoliliby, aby taka gnida jak pan dyktowała mi, co mam robić.

Podkulila nogi i objęła ramionami kolana. W tym obronnym geście wyglądała jak małe, bezbronne dziecko. Jacob często jej dokuczał, mówiąc: „Moja mała dziewczynka Suki... Dla mnie jesteś małym dzieckiem”. Traktował ją jakby był nie tylko jej kochankiem, ale i ojcem.

- Mam ze sobą upoważnienie, jeśli chce pani zobaczyć - odparł zimno Reece.

Sięgnął do portfela i wyjął pełnomocnictwo.

- Ojciec nie chce być dla pani niedobry - mówił. - Chce dla

pani jak najlepiej. Wszystko, czego pragnie, to żeby pani skończyła z tymi głupimi zabawami i wróciła do rzeczywistości. Chce, aby pani wróciła do domu.

- W takich razie powinien być lepiej chronić Jacoba! Wiedział, że przyjeżdża, pisałam mu o tym. Prosiłam o ochronę policyjną dla niego.

Lzy spływały jej po policzkach. Reece słuchał nieporuszony. Wszystko to znał już na pamięć. Gorzkie oskarżenie pod adresem kogoś, kto był zupełnie bez winy, rozczulanie się nad sobą, płacz. Począł, aż się trochę uspokoił.

- Został zamordowany przez swoich rodaków - powiedział.

Podczas poprzednich spotkań nigdy nie dyskutował z nią. Po prostu siedział i czekał, aż się zmęczy, aż wyrzuci z siebie całą złość na swojego tak bardzo przecież cierpiącego ojca. Tym razem zmienił taktykę. Miał ze sobą autorytet Juliusa i jego instrukcje. „Zrób wszystko, aby wróciła do domu. Cokolwiek by to było”.

- Zamordowali go działacze Afrykańskiego Kongresu Narodowego - powiedział podnosząc głos, gdy chciała mu przerwać. - Dzikusy. Brudni barbarzyńcy. Rozsiekali go na kawałki. A pani chce, by tacy ludzie rządili naszym krajem. Proszę pomyśleć o tym, co zrobili Yakumiemu, który był przecież jednym z nich. Tak, to była świetna zabawa: brać udział w różnych protestach i demonstracjach, by zaleźć ojcu za skórę i zdenerwować go, afiszując się z czarnuchem. Ma pani wolną rękę... Pani i ta cała reszta komunistycznych liberałów. Mam nadzieję, że jest pani zadowolona.

Stella gwałtownie wciągnęła powietrze. Drżała. Jak on śmiał? ! Jak ten nędzny szczur ośmielił się mówić tak do niej, do Stelli Heyderman?

- Do diabła! - zawołała. - Poczekaj, niech no tylko ojciec się dowie, co powiedziałaś. Zobaczysz, że wylecisz z posady.

Reece uśmiechnął się.

- To już lepiej - powiedział. - To pasuje do Heydermanów. To tylko taka otoczka, to całe gadanie o równych prawach dla białych

i czarnych, prawda? Po prostu bawiła się pani, starając się wzbudzić powszechną uwagę. Dobrze - przeciągnął to słowo - gra skończona, panno Stello. Nie ma już Yakumiego, żeby musiała pani podtrzymywać pozory. Jest tylko wielu naciągaczy i próżniaków, żyjących za pieniądze Heydermanów. Pan Julius przysłał mnie, abym pani oznajmił, że ma zamiar z tym skończyć. Wszystkie pani długi zostaną spłacone - mam na myśli wszelkie rachunki i opłaty za mieszkanie. Mam też zamiar poinformować prawników, że pani umowa na wynajem tego domu nie będzie od stycznia przedłużona. Pani wie, że mówię serio, prawda? Stella wstała.

- Nie groź mi, Reece. Może rzeczywiście jestem podobna do swojego ojca, a wtedy pożałujesz tego.

Reece podniósł się niespiesznie. Nie przypuszczał, by dziewczyna się nie zgodziła. Instynktownie czuł, że mimo rzucanych wyzwisk i pogroźek Stella się boi.

- Nie sędzę, aby do tego doszło - odparł. - Wszystko, czego pragnę, to zapewnić pani ojcu wreszcie trochę spokoju. Jest wielkim człowiekiem i naprawdę nie zasłużył sobie na to, co pani mu zrobiła. Przed Bożym Narodzeniem wracam do domu. Albo poleci pani ze mną, albo znajdzie się na bruku. Nie przypuszczam, aby przyjaciele Yakumiego zechcieli płacić pani rachunki za alkohol. Proszę to sobie przemyśleć. Wychodzę już.

- Nigdy nie wrócę. Przyjaciele Jacoba mnie przyjmą. Powiem im prawdę. Powiem im, kim jestem.

Przystanął i z politowaniem potrząsnął głową.

- Gdyby się tego dowiedzieli, przekleliby panią za to, że nie wróciła pani z nim. Powiedzą, że ze swymi możliwościami i pieniędzmi mogła go pani ochronić. Zarzuca pani to, co pani zarzuca ojcu. Nikt nie mógł powstrzymać tego, co zaszło. Yakumi był naczynony. Skontaktuję się z panią za kilka dni. Proszę lepiej pomyśleć o Bożym Narodzeniu w słońcu, a nie w tym błocie tutaj.

Stella rozejrzała się dziko w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, którym mogłaby rzucić w zamknięte drzwi. But. Odbił się od ściany i potoczył po podłodze. Drżenie przeszło w ostre drgawki. Nie podeszła do sofy, gdzie zawsze trzymała butelkę na wszelki wypadek, gdyż wiedziała, że butelka jest pusta. Pusta jak jej portmonetka.

- Jacob! - zawołała głośno. - Och, Jacob, dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego odszedłeś, zostawiając mnie samą?

Ten krzyk rozpaczy przeszedł w histeryczne łkanie. „Nikt nie mógł powstrzymać tego, co zaszło. Byłznaczony”.

Od chwili jego śmierci odsuwała od siebie rodzinę, przeklinała macochę, oskarżając ją i ojca o udział w zamordowaniu Jacoba. Ataki na nich pozwalały jej uśmierzyć ból po stracie, jakoś się z nim uporać. Ale teraz nastąpił koniec, wiedziała o tym... Ten nędzny gnojek nie odważyłby się jej tak potraktować, gdyby nie miał błogosławieństwa ojca.

Wracaj do domu albo gnij w rynsztoku. Stella wytarła twarz brudną chusteczką, znaną w rękawie.

Boże Narodzenie w słońcu.

Czy im się wydaje, że ma to dla niej jakiegokolwiek znaczenie? Tym ją chcą przekupić? Sama myśl o tym doprowadzała ją do szaleństwa. Czy oni nie wiedzą, że gdy Jacob Yakumi padł pod ciosami maczety, dla niej słońce zaszło już na zawsze? To już lepszy rynsztok. Lepiej umrzeć. Może wtedy odczują wyrzuty sumienia. Często o tym myślała. Ale Jacob by jej nie pozwolił. Był obecny w jej sercu i umyśle i odmawiał jej prawa do tego Wyjścia dla tchórzy. Ilekroć poddawała się słabości i myślała

o samobójstwie, słyszała jego głos pełen wyrzutu. Jacob kazałby jej walczyć, nigdy się nie poddawać, nie wracać posłusznie do tamtego środowiska, które skazało go na śmierć.

Pomyślała o Paulu Mkozie, przyjacielu Jacoba, prawniku i wielkim aktywiście wśród czarnej społeczności Londynu. Paul opuścił RPA na długo przedtem, zanim ona i Jacob uciekli do Londynu. On właśnie przyniósł jej wiadomość o śmierci Jacoba. Opuścił ją jako ostatni, gdy już sama siebie opuściła, szukając

ucieczki w alkoholu. Trwał przy niej długo, ale w końcu dał za wygraną, rozumiejąc, że nic już dla niej nie może zrobić. Nie widzieli się ponad rok. Obecnie Paul miał młodą, bardzo mu oddaną żonę. Stella czuła, że ta dziewczyna jej nie lubi i stara się wpłynąć na swojego męża. Na trzeźwo nie miała jej tego za złe.

Jakże dobrze знаła ten numer telefonu. Zadzwoiła. Był jej ostatnią nadzieją. Może on będzie mógł jej pomóc? Przynajmniej może go zapewnić, że jest trzeźwa.

Kiedy odebrał telefon, zaczęła mówić szybko, połykając słowa, zaklinając się, że nie piła, że potrzebuje jego pomocy. Ostatni raz, przez wzgląd na Jacoba.

- Moja droga Suki, cieszę się, że cię słyszę. Ostatnio sporo myślałem o tobie. Miałem zamiar zatelefonować, zaprosić cię, abyś odwiedziła Rose i mnie. Przyjechał do nas w odwiedziny nasz przyjaciel. Myślę, że powinnaś się z nim zobaczyć, ale tylko pod warunkiem, że czujesz się dobrze.

- Nie jestem pijana - powiedziała wprost, - Paul, potrzebuję przyjacielskiej rady. Wiem, jak bardzo kochałeś Jacoba. Nie mam się do kogo zwrócić. Kiedy mogłabym przyjść?

Z przerwy, jaka nastąpiła w rozmowie, Stella domyśliła się, że Paul naradza się z żoną. Wreszcie powiedział:

- Dziś wieczorem? Na kolację? Ale Rose uważa, że najpierw powinienem poinformować cię, kim jest nasz gość, bo może nie zechcesz go wysłuchać. Był w Soweto w czasie, gdy Jacob został zamordowany. Może ci powiedzieć, jak to się stało. Czy chcesz z nim porozmawiać?

- On tam był?

- Tak.

- Chcę z nim porozmawiać. Przyjeżdżam do was natychmiast.

10.

- Elisabeth, czy masz jakieś zmartwienie? Nie czujesz się dobrze?

Jean Pierre zaproponował wspólny lunch. Elisabeth miała wolny dzień, zresztą zawsze cieszyło ją jego towarzystwo. Widać było, że bardzo pragnie się z nią zobaczyć, więc nie chciała go rozczarować.

Bóle pleców ustały, a rano nie było jej już tak niedobrze. Doktor zapewniał, że niebawem poczuje się bardziej rześka, a nudności ustąpią bez śladu. Wyszła z gabinetu uspokojona i postanowiła, że nie będzie histeryzowała z powodu drobnych dolegliwości.

Jean Pierre wybrał tę samą restaurację, w której jedli lunch podczas jej pierwszej wizyty w Paryżu. Popatrzyła na niego uważnie i powiedziała:

- Czuję się dobrze. Jesteś niemal tak okropny jak James. Ten też bez przerwy się nade mną trzęsie. Przestałam mu cokolwiek mówić, bo jemu się wydaje, że każde strzyknięcie wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej. Zawahała się. - Jednak jest coś, z czego chciałabym ci się zwierzyć. Jesteś moim przyjacielem, więc mam nadzieję, że nie będziesz się ze mnie śmiał.

- Nigdy - odparł. - Wiedziałem, że coś cię gnębi. Widzisz, jak dobrze cię znam? A więc powiedz mi.

- Och... - Sięgnęła po kromkę chleba i zaczęła ją kruszyć w palcach. - Może ja po prostu jestem głupia, ale... James ma sekretarkę i asystentkę w jednej osobie.

Popatrzył na nią uważnie.

- Kobieta?

- Tak. Ona jest naprawdę niemoralna. Doprowadziła już do rozpadu małżeństwa jednego z dyrektorów DE i teraz mieszka z nim. Jego była żona zaprosiła mnie kiedyś na lunch i ostrzegła przed nią. Wtedy nie zwróciłam na to większej uwagi. Powiedziałam o wszystkim Jamesowi, a on był wściekły.

- Więc dlaczego teraz zaczęłaś o tym myśleć?

- Ponieważ coś się wydarzyło w biurze i ona jest w to bardzo zaangażowana. A James nic nie chce powiedzieć. To jest jej technika. Stara się być niezbędna dla szefa, który we wszystkim jej zawierza. Tym sposobem żona schodzi na drugi plan. Jean Pierre, właściwie nie mam powodu do niepokoju, a jednak gryzę się tym. Może zawiodłam Jamesa, nie rozumiejąc dobrze, z czym przyszło mu się borykać... Może niepotrzebnie zbyt surowo oceniam pewne sprawy...

- A może - dodał łagodnie - jesteś w ciąży i po prostu czujesz się niepewnie.

- Nie widzę innego powodu - powiedziała Elisabeth. - James wydaje się kochać mnie mocniej niż kiedykolwiek, jest mi bardziej oddany. A więc dlaczego tak się martwię?

- Bo to, co ci powiedziała tamta biedna, zazdrosna kobieta, zatrulo twój umysł. Jest tylko jeden sposób, by uwolnić się od trucizny. Musisz porozmawiać z mężem. Powiedz mu, co czujesz. Musisz mu zaufać. Jeśli dwoje ludzi przestaje sobie ufać, ich małżeństwo nie ma szans przetrwania. Wiem, ponieważ nas to spotkało. Moja żona zaczęła mnie podejrzewać o zdradę. To prawda, nie byliśmy ze sobą szczęśliwi, ale nie miała żadnych powodów. Jednak ona ciągle mi nie wierzyła i w końcu zdradziłam ją. Pomów z Jamesem, nie łamś tego w sobie, zwłaszcza teraz.

- Zrobię to - powiedziała. - Dziękuję, Jean Pierre. - Dotknęła jego ręki. - Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Nakrył jej dłoń swoją.

- Nie - powiedział. - Nie jestem przyjacielem. Jestem głupcem. Właśnie udzieliłem ci dobrej rady. Jestem prawdziwym głupcem.

Kocham cię. Pokochałem cię już podczas naszego pierwszego spotkania. Tak więc nie jestem przyjacielem. Nie domyślałaś się?

- Nie. - Elisabeth poczuła, że krew napływa jej do twarzy. - Nie, naprawdę nie miałam pojęcia. Tak mi przykro, Jean Pierre. Nigdy bym cię nie zachęcała... Czuję się okropnie. A ty byłeś dla mnie taki dobry i taki pomocny dla Jamesa.

- Muszę ci się wydawać straszonym idiotą - powiedział ze smutkiem. - Szaleniec, już niemłody, zakochany w cudzej żonie oczekującej dziecka, bez cienia nadziei... Ale musiałem ci powiedzieć. Kusilo mnie, aby dolać trochę mojej własnej trucizny. Ale potem pomyślałem o tym, co byłoby najlepsze dla ciebie, nie dla mnie. To chyba jest miłość.

- Tak, to jest prawdziwa miłość - zgodziła się Elisabeth. Jej oczy napełniły się łzami. - Jest mi tak bardzo przykro.

- Nie żałuj niczego. Od lat już nie byłem taki szczęśliwy. Jeszcze coś ci powiem. Gdyby on kiedykolwiek cię zawiódł albo gdybyś mnie potrzebowała...

- Tego z pewnością nie zrobi - odparła Elisabeth spokojnie. - Chyba powinnam już pójść do domu.

- Dobrze - zgodził się. - Obiecuję nigdy już nie wracać do tego tematu. Czy mogę nadal pozostać twoim przyjacielem?

- Tak, oczywiście, że możesz.

Przed domem ujął jej dłonie i ucałował.

- Jeszcze jedna dobra rada - powiedział łagodnie. - Nie mów o tym swojemu mężowi. Nie wydaje mi się, aby on wierzył w przyjaźń.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

- Dlaczego nie pojedziemy wreszcie do domu? - zapytała Clara Wasserman. Czowała się zmęczona i poirytowana, tęskniła już za własnym otoczeniem. - Nie mamy tu nic do roboty.

David rozumiał żonę; była wściekła, ponieważ nie udało mu się załatwić dla Hastingsa spotkania z Karakowem, podczas gdy

żonie Hastingsa się powiodło. Pomyślał, że Clara przesadza w swojej niechęci do Elisabeth, ale nie powiedział tego głośno.

- Nic się tu nie dzieje - powtórzyła. - Hastings nie zrobił żadnego kroku. Laura wyśmiała go kiedyś. Masz ciekawsze zajęcia, niż wysiadanie tutaj.

- Na przykład? - zapytał wyzywająco. - Robię to dla Juliusa i dla siebie, ponieważ kocham tę grę.

- Nie jesteś nawet przy piłce - odcięła się ostro. - Od kiedy to lubisz przyglądać się grze?

- Clara, Clara - powiedział z wyrzutem. - Przestań rozgrywać moje bitwy za mnie. Jestem już za stary na bieganie. Przyglądam się i wiem, że niebawem nastąpi przełom. Czuję to tutaj - dotknął brzucha - w żołądku. Jak zwykle. Nigdy się nie myślę, wiesz o tym.

- Wiem jedynie, że Andrews wywalczył umowę z Moskwą - odparła cierpko. - Sam mi mówiłeś, że widziałeś faks. Kiedy ta umowa zostanie podpisana, Iwan będzie musiał pogodzić się z DE i wtedy wrócimy do domu. Więc na co jeszcze czekasz?

- Widziałem faks i wiadomość wygląda interesująco. Ale powtarzam: coś się jeszcze wydarzy. Nie wiem, co i kiedy, po prostu czuję, że tak będzie. A kiedy już to nastąpi, mam zamiar być przy tym. Może nawet uda mi się przejść na pozycję sędziego. Zaufaj mi.

- Ty i twój żołądek - mruknęła. Nie chciała się sprzeczać. David rzeczywiście miał niezawodny instynkt. - Czy myślisz, że Hastings kryje coś w zanadrzu? Ciekawa jestem, co by to mogło być.

David wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale powiedz mi jedno: dlaczego Iwan tak nagle zmienił zdanie? Dlaczego raptem zgodził się z nim spotkać? Przecież kiedy z nim rozmawiałem, nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Dla zabawy - odparła Clara.

- Nie. Widzę tu pewną różnicę. Iwan nie żartował. Przedtem

nie pozwolił Hastingsowi zbliżyć się do siebie nawet na odległość kroku. Myślę, że coś go zaniepokoiło, niewykluczone, że usłyszał jakieś pogłoski z Rosji. Hastings jest mądry i jednocześnie żądny władzy. Może rozegrać coś na własny rachunek, niezależnie od postępów Andrews'a w negocjacjach. On się łatwo nie podda, to nie jest ten typ. Więc przestań pakować walizki, tylko obserwuj tę grę wraz ze mną. Zamówię dla nas drinki. Wytrawne martini?

- Po tylu latach jeszcze pytasz? - Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. - Hastings może i jest sprytny, ale ty w jego wieku byłeś w stanie wyrwać kawał tyłka żywemu niedźwiedziowi. Zamów duże martini.

- Zobaczysz pan, że nam pomoże. Przecież minął zaledwie tydzień.

James uderzył pięścią w stół.

- Kiedy właśnie czasu nam brakuje! Znowu dostałem faks z informacją, że Andrews spodziewa się, iż umowa dotrze do Moskwy pod koniec tego tygodnia i zostanie od razu podpisana. Na miłość boską, Ruth, sprawdź automatyczną sekretarkę. Może już przyszła jakaś wiadomość.

- Sprawdzalam godzinę temu - odparła spokojnie. - Nic. Zdeenerwowanie nic tu nie pomoże. Mam zaufanie do Reece'a. Powiedział, że sprawę załatwi, i na pewno dotrzyma słowa. Może napije się pan kawy?

James popatrzył na nią. Taka spokojna, taka wymuskana od lśniących włosów aż po błyszczące pantofle na małych stopach. Po niej nie widać było napięcia, jakie szarpało nim przez ostatnie dni, kiedy Reece nie dawał znaku życia.

- Co płynie w twoich żyłach? - zapytał z irytacją. - Lodowata woda?

Uśmiechnęła się.

- Jeśli idzie o interesy, to płyn zapobiegający zamarzaniu. Przyniosę kawę.

Odwołał wyjazd do Brukseli na spotkanie z handlowcami. Nie mógł znieść myśli, że byłby z dala od Paryża, gdyby coś miało się wydarzyć. Poza tym martwił się o Elisabeth. Podróż mogłaby okazać się dla niej zbyt męcząca. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak siedzieć i czekać, mając u boku tę kobietę zupełnie pozbawioną nerwów.

Pierwsze spotkanie z Iwanem doprowadziło do następnego i do zupełnie nieoczekiwanego zaproszenia na lunch. Nie zaowocowały jednak rzeczywistymi postępami. Była to po prostu czcza gadanina, niekończące się utyskiwania starego człowieka. Nie rozpoczęli żadnych negocjacji, z czego obaj zdawali sobie sprawę. Tymczasem Andrews dokonywał cudów w Moskwie.

Ruth przyniosła mu filiżankę kawy. Postawiła ją na biurku i powiedziała:

- Jeśli pan mnie nie potrzebuje, to pójdę do siebie. Mam jeszcze trochę pracy.

- Nie ma problemu - odparł James.

Był szczęśliwy, że się jej pozbył. Teraz, kiedy zwrócił baczniejszą uwagę na jej osobowość, uznał, że ta kobieta go drażni. Promieniowała seksem. Nie była to żarłoczna żądza Laury Karakow, lecz coś zimnego i wyrachowanego. Sprawiała wrażenie, jakby mogła uprawiać seks, a jednocześnie w myślach dokonywać skomplikowanych obliczeń finansowych. Miała wybitnie ścisły umysł, nastawiony wyłącznie na interesy, nieobciążony żadnymi doznaniem natury emocjonalnej. Do każdego problemu zawsze podchodziła czysto pragmatycznie. Wiedział, co Dicka tak w niej pociągało; właśnie owo połączenie typowo męskiego, czysto intelektualnego traktowania interesów z otaczającą ją aurą zmysłowości. W stosunku do niego samego Ruth nie zrobiła żadnego fałszywego kroku, w ich wzajemnych kontaktach nic się właściwie nie zmieniło. Jednak w jej zielonych oczach czaiła się drapieżność. Teraz była jego sprzymierzeńcem, ale bez wahania odgryzłaby mu głowę, gdyby to miało ją zaprowadzić tam, gdzie pragnęła dojść. Bez względu na to, jak bardzo zacieśni się ich

partnerstwo, zawsze będzie musiał liczyć się z tą możliwością.

W swoim pokoju Ruth nie zabrała się do żadnej pracy. Zapomniała też o kawie, która całkiem już wystygła. Posłała jedną z sekretarek po drugą filiżankę. Hastings nie okazał się tak zrównoważony i opanowany, jak oczekiwała. Przeciwnie, wyglądało na to, że padł ofiarą swoich własnych nerwów; jego pełne irytacji odpowiedzi, jego bezustanne głędzenie o braku czasu były objawami stresu. Nie znosił czekania. Większość mężczyzn tego nie lubiła. Kruger w krytycznych sytuacjach także był pełen napięcia. Może stoicka cierpliwość jest domeną kobiet? - pomyślała. Życie nauczyło je cierpliwości. Nauczyły się, jak planować i działać, by zrekompensować swoją fizyczną słabość i nierówności wynikające z obowiązującego porządku, jak uderzać od tyłu, skoro frontalny atak był dla nich zbyt ryzykowny. Ale to się powoli zmieniało. Pojechała zobaczyć się Reece'em nie tylko po to, by pomóc Hastingsowi. Chciała, by Reece ją zauważył. Był kluczem do Juliusa Heydermana. Z pewnością zda mu raport. Jeśli Hastings odniesie sukces, część jego zasług spadnie i na nią. Jeśli mu się nie powiedzie, będzie to wyłącznie jego wina.

Pamiętała radę Reece'a dotyczącą Dicka Krugera. „Jeśli zamierza pani pozostać w firmie, powinna pani rozważyć sprawę tego związku”.

Dick wybierał się do niej na weekend. Niebawem nadejdzie czas, by przeciąć ten węzeł.

Stella zamknęła drzwi mieszkania. Wyjęła klucz z zamka i zapaliła światło. Była bardzo spokojna. Tak spokojna, że niemal przestała cokolwiek odczuwać. Poszła do kuchni i zrobiła sobie herbatę. Piła ją wolno, zupełnie nie czując smaku, i spoglądała przed siebie niewidzącymi oczami.

Byli dla niej tacy mili. Nawet Rose udało się ukryć niechęć do tej białej, bezużytecznej żony Yakumiego. Słuchali jej z uwagą,

gdy tłumaczyła im, że nie chce wracać do RPA, że pragnie pozostać w Anglii.

Wydało jej się niemożliwe uniknąć nacisków rodziny. Przyjaciele nie wiedzieli, kim był jej ojciec. Dla nich rodzina Suki Yakumi to po prostu kolejny przykład białych rasistów, gotowych przygarnąć z powrotem córkę teraz, kiedy jej czarny mąż już nie żył.

Na początku zapowiadany znajomy w ogóle się nie pokazywał. A przecież to z jego powodu tak tu spieszyła, ogarnięta pragnieniem usłyszenia relacji ó tamtych wypadkach z ust naocznego świadka. Dyskutowała z Paulem i Rose o swoich problemach, podczas gdy cały czas miała ochotę zerwać się z krzesła i krzyknąć: „Gdzie on jest? Gdzie jest ten wasz świadek, który był w Soweto i ma mi o tym opowiedzieć?”

Potem odezwał się Paul Mkoza:

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś jednak wróciła do RPA.

Popatrzył na żonę, a ta skinęła głową.

- Mogłabyś tam kontynuować jego pracę - mówił dalej. - Anglia nie jest dobrym miejscem dla ciebie. Poprosiłem naszego przyjaciela, aby chwilę zaczekał, dopóki nie omówimy twoich spraw. Chciałem wiedzieć, co cię gnębi. Teraz, gdy jesteś już gotowa, porozmawia z tobą.

Siedząc w swojej cichej kuchni, Stella raz jeszcze odtwarzała w myślach całą scenę. Przypominała sobie każdy moment, każde słowo, zupełnie jakby ponownie oglądała ten sam film. Młody człowiek miał czarną skórę i chińskie rysy, niewątpliwie dziedzictwo związku między czarną kobietą a jednym z chińskich kulisów, sprowadzonych do Afryki na początku stulecia jako niewolnicy. Był studentem i tej nocy, gdy Jacob Yakumi został wywleczony z domu i rozsiekany maczetami, odwiedzał swoją rodzinę. Inteligentny młody człowiek, związany z lewicowym skrzydłem Kongresu, kierując się wewnętrznym poczuciem sprawiedliwości, zdecydował się przeprowadzić swoje prywatne śledztwo w sprawie tego morderstwa.

- Nie jestem nikim ważnym - tłumaczył - więc ludzie nie bali

się ze mną rozmawiać. Po prostu byłem z wizytą u rodziny. Tak więc usłyszałem rzeczy, których nigdy nie udałoby się dowiedzieć policji. My nie lubimy sekretów. Jeśli coś ukrywamy, to wyłącznie powodowani strachem. A w Soweto panował lęk, jednak nie przed naszymi aktywistami ani przed bojownikami Inkathy. Oni nie byli za to odpowiedzialni. Yakumi nie został zamordowany przez żadne z tych ugrupowań. To wygodna teoria, podtrzymywana przez obie strony, które nawzajem się oskarżały o popełnienie tego morderstwa. Policja także w to nie wierzyła, ale fakt, że obie partie obciążały się wzajemnie, był dla niej korzystną okolicznością.

Stella poczuła, że zasycha jej w gardle. Nie mogła przełknąć śliny. Dobyła z siebie głos z najwyższym wysiłkiem.

- Jeśli więc Jacob nie został zamordowany przez przeciwników politycznych, kto go zabił?

- Gangsterzy - odparł. - Pełno ich w mieście. Handlują narkotykami, alkoholem, kradzionymi towarami i zabijają za pieniądze. Ktoś zapłacił jednemu z gangów za zabicie pani męża, pani Yakumi, a użycie maczet miało upozorować mord na tle politycznym.

Poczuła, że Paul Mkoza obejmuje ją ramieniem, i pomyślała, że pewnie wygląda tak, jakby miała lada moment zemdleć.

Uwolniła się od niego. Usłyszała swój głos, powtarzający w zapamiętaniu:

- Kto ich opłacił? Proszę mi powiedzieć, kto ich opłacił?

- Nie znam nazwiska. Może jakiś osobisty wróg. Ale ludzie twierdzili, że Yakumi nie miał wrogów. Przebywał na emigracji. Mógł to być jakiś rasistowski fanatyk, ale pani nie było przecież z Jacobem. Mówiono o białym mężczyźnie, dysponującym gotówką, rozmawiającym o takim zleceniu... Przynajmniej takie krążyły plotki. Zresztą podobne pogłoski dochodziły z Johannesburga, gdzie ten gang także działa. Powtarzam, wszystko to tylko plotki, ale ja im wierzę. Wierzę też, że nie został zamordowany ani przez działaczy Kongresu, ani przez nikogo z Inkathy. To morderstwo z pobudek osobistych.

Morderstwo z pobudek osobistych. Starła się zwalczyć rosnącą w niej panikę. Nie może stracić panowania nad sobą, gdyż w przeciwnym razie wystraszy tego młodego człowieka. Widziała, że Mkozowie wpatrują się w nią z napięciem.

- A ten biały człowiek... Czy nikt nie wie, jak on wyglądał?
Zawahał się na moment.

- Próbowałem się tego dowiedzieć - odparł. - Obecnie jesteśmy w rządzie i policja musi się z tym liczyć. To morderstwo bardzo mnie poruszyło. Pomyślałem, że nie jest za późno na sprawiedliwość. Teraz możemy domagać się sprawiedliwości dla naszych ludzi. W Soweto są informatorzy, podobnie jak w każdym mieście. To pozostałość z przeszłości. Wkrótce się ich pozbędziemy - dodał z przekonaniem. - W każdym razie zapłaciłem jednemu z nich, by zasięgnął języka. Wszystko, czego się dowiedział, to to, że ten biały był niewysoki, szczupły i śliski niczym wąż. Nie był Burem. Ale miał władzę. Władzę i duże pieniądze, zarobione w biznesie w naszym kraju. Tyle tylko potrafił mi powiedzieć. Morderstwo miało coś wspólnego ze światem interesów. Choć dla mnie osobiście to nie ma sensu, pani Yakumi. Przecież pani mąż nie miał żadnych powiązań z tymi kręgami.

- Nie. Był prawnikiem od spraw cywilnych. Wszystko, czym się zajmował, to pomaganie rodakom.

- Był jednym z tych, którzy poległ - powiedział cicho. - Ktokolwiek go zamordował, uniknie kary. Próbowałem, ale nie udało mi się dowiedzieć niczego więcej. Pani mąż był wspaniałym człowiekiem. Nigdy go nie zapomnimy.

Paul i Rose przytakiwali każdemu słowu.

- Wielki Afrykanin. Zbyt wcześnie nam go zabrano. Gdyby żył, zasiadałby teraz w rządzie. - Paul podszedł do niej. - Możesz być dumna z niego, Suki. Niech cię pocieszy to, że nie zginął na skutek zdrady. Podejrzenie, że ktoś z naszych ziomków mógł zabić tak wspaniałego człowieka, było dla nas czymś strasznym. Obawialiśmy się, że członkowie Kongresu okazali się zazdrośni z powodu jego powrotu i że przyjdzie nam oskarżyć o ten czyn

jednego z nas. Inkhata zabija dla samego zabijania, Zulusi mają to we krwi. Ale skoro wiemy, że za tym morderstwem stoją biali, że morderca został kupiony za pieniądze białych, łatwiej jest nam to znieść.

Stella popatrzyła na niego poważnie, pewna, że mówi i do niej. Wolno podniosła się z miejsca.

- Jestem bardzo zadowolona, że obecnie jest wam łatwiej - powiedziała.

Wyszła, zostawiając ich spoglądających za nią ze zdumieniem.

- Jeśli chcesz, naprawdę mogę jechać z tobą do Brukseli, Jamie. Nie chciałabym być ci zawadą. Pragnę być częścią tego, co robisz.

Była niedziela i wybrali się na lunch do restauracji w pobliżu Fontainebleau. Dzień był chłodny, na niebie pojawiły się deszczowe chmury.

- Kochanie, o co ci chodzi? - zapytał James. - I tak na razie nie wybieram się do Brukseli. Co zaś się tyczy bycia zawadą... Co cię znowu ugryzło? Widzę, że coś ukrywasz.

Elisabeth wzięła głęboki oddech. „Porozmawiaj z mężem. Powiedz mu, co czujesz”. Rada udzielona jej przez mężczyznę, którego własne małżeństwo się rozpadło. Poradził jej tak, ponieważ ją kochał.

- Czuję, że dzieją się ważne rzeczy, a ty mi o niczym nie mówisz. To mnie martwi, gdyż wiem, ile znaczy dla ciebie kariera zawodowa. Nie wierzę w podział ról w małżeństwie. Będziesz się złościł, ale nic na to nie poradzę. Nie podoba mi się, że Ruth Fraser jest poinformowana o wszystkim, a ja o niczym nie wiem.

James popatrzył na nią.

- Tak, zapewne będziesz wściekły, ale tak właśnie czuję - zakończyła.

James przyglądał się, jak kruszy chleb.

- Rozumiem - powiedział w końcu. - Tak naprawdę obawiasz

się, że zacznę z nią sypiać, bo tak postąpił Kruger. Myślisz, że mógłbym cię oszukiwać?

- Nie - odparła strapiona - oczywiście, że nie myślałam o niczym podobnym. Ale ona ma reputację pożeraczki męskich serc, a Valerie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje, dopóki nie było za późno. A ja spodziewam się dziecka i nie mogę z tobą jeździć... - Zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu chusteczki. - Przykro mi, kochanie - zakończyła - ale to mnie właśnie gnębi.

- Jeżeli zaczniesz płakać - powiedział James łagodnie - rzeczywiście się rozłoszczę. Czasami jesteś cholernie głupia. Żeby nabijać sobie głowę czymś takim i teraz opowiadać, że daję się uwodzić Ruth Fraser. Gdybyśmy nie byli w miejscu publicznym, dałbym ci w skórę, nie bacząc na twój stan. Posłuchaj mnie i na litość boską przestań się bawić tym chlebem.

Pochylił się i stanowczo przytrzymał ją za rękę.

- Zacznijmy od interesów. Chcesz wiedzieć, co zaszło? Dobrze, powiem ci. Harris usiłował mnie wykiwać. Dowiedziałem się tego od Ruth, a ona od Krugera, który ją odwiedza w każdy weekend. Karakow ma fantastyczne, czerwone diamenty, które sprzedaje na zlecenie Rosjan. Miałem o tym nic nie wiedzieć, ale teraz już wiem i mam zamiar udaremnić tę transakcję, a Ruth mi w tym pomaga. Oto, co się dzieje. A teraz, dlaczego ona to robi. Jak się domyślam, sądzisz, że chce wymienić Dicka na mnie.

- Bo tak jest, czyż nie? - zapytała Elisabeth.

Pokiwał głową.

- Jak na tak inteligentną osobę, jesteś czasami zadziwiająco głupia, moja droga. Nie, nie jest. Ona doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że wyleciałaby na zбитy pysk, gdyby tylko spróbowała mnie uwodzić. Jej nie interesują mężczyźni, lecz własna kariera. Zdobycie Krugera było jednym szczeblem w drodze do sukcesu, przejście na moją stronę po to, bym mógł zwyciężyć, jest kolejnym. Ona tak działa. Powiem ci jeszcze jedno. Jeśli uda mi się zepsuć Karakowowi ten interes, stanę się ulubieńcem

Heydermana. Ruth też to dotyczy. Tak więc ona sądzi, że jeśli ja postąpię szczerze wyżej, pociągnę ją za sobą. Tylko że ja, moje drogie głupiątko, nie mam zamiaru tego robić, bo wiem, że pewnego dnia wbiłaby mi nóż w plecy, tak jak to uczyniła z Krugerem. Ale w tej chwili jej potrzebuję. Jest dla mnie ważna, dopóki ta operacja nie dobiegnie końca. Czy teraz jesteś zadowolona? Czy wytłumaczyłem ci wszystko?

- O tak - westchnęła Elisabeth - wytłumaczyłeś. Jestem taka głupia, że ci nie zaufałam. Żałuję, że w ogóle poruszałam ten temat.

- To ta cholerna Valerie - powiedział James, naśladując bezwiednie Jean Pierre'a. - To ona zatrula twój umysł. Czy obiecujesz, że nie będziesz więcej o tym myślała?

- Obiecuję - powiedziała.

- Ja też ci coś obiecuję - rzekł James. - Postąpiłem źle, nie mówiąc ci, o co chodzi. Obawiałem się, że możesz uznać, że to wszystko jest obrzydliwe. Czasami oceniasz wszystko tak surowo...

- Wiem. Nie potrzebujesz tego powtarzać. To mój błąd. Na przyszłość powstrzymam się od wydawania podobnych sądów.

- Nie musisz - uśmiechnął się. - I tak czytam w tobie jak w książce. Wiesz, pewnego dnia pomyślałem sobie, że jesteś moją lepszą połową. Bez ciebie byłbym skończonym łajdakiem. Tak więc możesz wydawać swoje sądy. Dobrze robią mojej duszy. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odparła łagodnie. - Jestem taka zadowolona, że to sobie wyjaśniliśmy. Czuję się bliższa tobie niż kiedykolwiek przedtem. Do diabła z Ruth Fraser. Chcę, abys zwyciężył.

James skinął na kelnerkę i powiedział:

- Proszę przynieść madame więcej chleba.

Andrews zatelefonował z hotelu.

- Dymitr? Tu Ray. Mam ten list.

Borysow roześmiał się.

- Przynieś, kiedy tylko zechcesz. Jesteś człowiekiem, który do-
trzymuje słowa.

Ray także się roześmiał.

- Znasz to powiedzenie o słowie Anglika? Zresztą, możesz go
nie znać. Obecnie ludzie już tak nie postępują. Zatem do zoba-
czenia wkrótce. Nie zapomnij o swojej obietnicy. Mieliśmy to
uczcić.

- Nie zapomniałem - odparł Borysow. - W szufladzie czekają
bilety do Teatru Wielkiego.

Siedząc już w biurze Borysowa, Ray ponownie przeczytał list
Arthura. Niepokojące wrażenie niepewności powróciło, tak jak
się tego spodziewał. Zmusiło go do wypowiedzenia teraz następu-
jących słów:

- Wiesz, że ten list nie jest wiążący dla Diamond Enterprises.
To tylko list wyrażający dobre intencje. Zobowiązuje prezesa mor-
alnie, ale nie jest ważny bez zgody zarządu. A ta przyjdzie z koń-
cową dokumentacją, co powinno nastąpić za około dziesięć dni -
dodał, gdy Borysow złożył pismo. - Podpisując to, mój szef rzucił
na szalę cały swój autorytet, swoją reputację.

- Wiem - odparł Rosjanin. - Dlatego się tego domagałem.
Człowiek z jego pozycją nie mógłby podpisać podobnego zobo-
wiązania, jeśli nie miał uczciwych zamiarów. Gratuluję, przyjacielu,
musisz mieć wielką siłę przekonywania.

Andrews roześmiał się. Niepotrzebnie się obawiał. Borysow
został przekonany.

- Zapraszam cię na kolację po przedstawieniu - powiedział. - A
gdy umowa zostanie podpisana, jesteś zaproszony do Londynu
jako gość DE. Jestem pewien, że będziesz się świetnie bawił.

- Liczę na to. Muszę się postarać, aby ten list jak najprędzej
dotarł do prezydenta. Spotkamy się o siódmej. Przedstawienie
zaczyna się o ósmej.

Podszedł do Andrews'a i uściśnął mu rękę. Potem nagle objął
go.

- Mój przyjacielu - powiedział. - Wierz mi, że naprawdę uważam cię za przyjaciela.

- Kochanie - zawołała Sylvia Heyderman - dzwoni Stella. Chce rozmawiać z tobą.

Gdy telefon zadzwonił, Julius pływał w basenie. Robił to codziennie rano i wieczorem dla zachowania kondycji.

- Stella? Powiedz jej, że już idę.

Wdrapał się na brzeg basenu i ociekając wodą pospieszył do pawiloniku. Sylwia wręczyła mu słuchawkę, mówiąc:

- W porządku. Nie jest nastawiona nieżyczliwie.

W Londynie Stella usłyszała wyszeptane słowa: „Nie jest nastawiona nieżyczliwie”. Nie jest pijana, nie zachowuje się obraźliwie. Łatwo mogła sobie wyobrazić tę scenę. Ogromny basen, błękitna woda połyskująca w promieniach słońca, ojciec pływający niczym sportowiec dla utrzymania szczupłej sylwetki, opalająca się Sylvia, obłożona stosem kolorowych czasopism. Powiedziała:

- Dzień dobry, tato. Jak się miewasz?

- Świetnie, świetnie - mówił lekko zdyszany. - A co u ciebie? Jak miło cię znowu usłyszeć. Naprawdę.

- Ciebie również - odparła. - To już tyle czasu. Uświadomiłam sobie, że byłam wobec ciebie niesprawiedliwa. Czy możemy chwilę porozmawiać?

- Ile tylko zechcesz.

Sylvia zarzuciła mu ręcznik na ramiona. Strząsnął go niecierpliwie.

- Odwiedził mnie Reece - mówiła Stella, zdumiona, że tak łatwo przychodzi jej zachować spokój. - Namawiał mnie do powrotu do domu. Powiedziałam mu, aby się odczepił, bo nie podobało mi się jego zachowanie. Ale przemyślałam wszystko i dlatego telefonuję. Nie chcę mieć z nim do czynienia, tato. Nigdy byś nie uwierzył, jak on się do mnie zwracał.

- Nie przejmuj się - odparł Julius. - Więcej tego nie zrobi.

Niech mu się nie wydaje, że może sobie pozwolić na impertynencję w stosunku do ciebie. Powiedz, czego chcesz? - Nie mógł się powstrzymać od dodania: - Boże, Suki, co to za ulga, móc rozmawiać z tobą w ten sposób.

Suki. Stella skrzywiła się. Morderstwo miało coś wspólnego ze światem interesów, jak twierdził tamten student. Szczupły, biały mężczyzna, śliski niczym wąż.

- Dla mnie to też ulga - powiedziała. Zawahała się, ale tylko na moment. - Tato, zdecydowałam się wrócić do domu. Przebywanie tutaj nie przywróci życia Jacobowi. Przykro mi, że byłam dla ciebie taka okropna, ale po prostu musiałam się na kimś wyładować.

- Rozumiem to - powiedział. - Jednak naprawdę ukarałaś samą siebie. A z tego, co wiem o Jacobie, była to ostatnia rzecz, jakiej on by pragnął. Wszystko o co walczył, zostało zrealizowane, więc przynajmniej nie zginął nadaremnie. Może ta myśl cię pocieszy.

Słyszę cię, myślała Stella. Słyszę twój głos i chcę ci wierzyć, ponieważ nigdy mnie nie okłamałeś. Mogłeś złamać mi serce brakiem miłości i tym, że wszystko było dla ciebie ważniejsze ode mnie, ale nigdy mnie nie okłamałeś. Więc jak teraz możesz mówić tak o Jacobie, skoro zapłaciłeś, by go zamordowano?

- Próbuję - odparła. - Dlatego właśnie chcę wrócić do domu. Teraz, gdy wszystko się zmieniło, Jacob nie potraktowałby tego jako zdrady.

- Z pewnością wszystko się zmieniło - rzekł ojciec - i jak do tej pory służy nam wszystkim. Zresztą sama zobaczysz po powrocie.

- Mam pewien problem - powiedziała Stella z wahaniem. - Nie chciałabym, abyś mnie źle zrozumiał, ale nie mam pieniędzy, a Reece odmówił mi dalszych wypłat. Jestem kompletnie spłukana. Potrzebuję nowych ubrań, poza tym chciałabym wyprowadzić się z tego domu. Nienawidzę tego miejsca. Chciałabym przenieść się do porządnego hotelu i jakoś doprowadzić się do porządku. W tej chwili wyglądam jak łachmaniarka.

Julius zawahał się. Prosiła o pieniądze. Na to, by doprowadzić się do porządku, by wyrwać się ze swojego okropnego otoczenia. Albo na to, aby uciec, robiąc z niego głupca.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Stella odezwała się ponownie.

- Wiem, o czym teraz myślisz. Nie kłamię. Dość już mam życia w tym gnoju. Nie ufasz mi i nie mogę mieć ci tego za złe. Postaw swoje warunki, tak surowe jak tylko zechcesz, ale nie czyni mnie zależną od Reece'a. Nie wrócę do domu, jeśli on będzie prowadził moje sprawy.

„Szczipły, biały mężczyzna, śliski niczym wąż”.

- Zadzwoń do londyńskiego biura - powiedział Julius. - Otworzą ci konto, od zaraz. Wyprowadź się stamtąd i weź apartament w Dorchester. Często go używamy. Po prostu przenieś się tam. Kup sobie wszystko, czego potrzebujesz, i nie troszcz się o pieniądze. Kiedy przyjedziesz do domu?

- A ty nie wybierasz się do Londynu? - zapytała. - Moglibyśmy wrócić wtedy razem.

- Nie planowałem takiej podróży - odparł - ale przyjadę. Mogę to połączyć z interesami. Przeprowadź się do Dorchester. Zadzwoń do ciebie jutro o tej samej porze. I nie przejmuj się Reece'em. Już ja się z nim rozprawię. Więcej o nim nie usłyszysz.

- Dziękuję, tato. - Głos jej lekko zadrżał. Nie znosiła okazywania emocji. Reece dostanie kopniaka. Mogła to sobie wyobrazić; ojciec potrafił być brutalny. Nawet jeśli to on posłał Reece'a, by wynajął morderców Jacoba.

- Słuchaj, Stella - powiedział Julius - Sylvia przesyła ci pozdrowienia. Zadzwoń jutro. Uważaj na siebie, dobrze?

- Będę uważała - obiecała. - Od tej chwili będę uważała na wszystko.

Odłożyła słuchawkę i wybuchnęła płaczem. Bez względu na okoliczności, życzliwość okazywana jej przez ojca ciągle potrafiła sprawić, że płakała jak dziecko.

Ray Andrews spał z uchylonymi ustami, leżąc na wznak w podwójnym łóżku. Susan weszła cichutko, by zobaczyć, czy już się obudził i czy czegoś nie potrzebuje. To jednak nie był prawdziwy powód; weszła, bo chciała go zbudzić, niby to przypadkiem. Chciała z nim rozmawiać, siedząc na brzegu łóżka, patrzeć, jak pije herbatę, pytać o jego sprawy i opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło podczas jego nieobecności. Stała, przyglądając mu się przez chwilę. W staroświeckiej piżamie w paski, ze zmierzwionymi włosami wyglądał jak chłopak. Ręce miał skrzyżowane za głową i chrapał. Wrócił do domu wyczerpany, po dwóch szalonych dniach wypełnionych pićciem, wizytami w Teatrze Wielkim i poznawaniem coraz to nowych Rosjan. Jego oddech był przesycony alkoholem. Powstrzymała się w ostatniej chwili, by mu tego nie powiedzieć. Ucałował ją i córkę, poszedł na górę, wziął kąpiel i rzucił się na łóżko.

- To ty, kochanie?

- Och, mój drogi, zbudziłam cię? Po prostu przyszedłam zobaczyć, czy się obudziłeś i czy ci czegoś nie potrzeba.

- Napiliłbym się herbaty. - Przeciągnął się na poduszce i ziewnął. - Zjadłbym jajko, nie, dwa jajka i grzanki z marmoladą. Kochanie, umieram z głodu. Chodź i powiedz mi dzień dobry.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem - powiedział po chwili, gdy ciągle jeszcze się obejmowali, ona z twarzą wtuloną w jego policzek. Miała delikatną cerę i pachniała słodko. Kochał ją tak bardzo, że aż bolało. Pocałował ją mocno.

- Przygotuję śniadanie - powiedziała.

Odsunęła się od niego, zarumieniona i uśmiechnięta, próbując jedną ręką przygłodzić włosy, podczas gdy drugą ciągle miała uwięzioną w jego dłoni.

- Świetnie - powiedział. - A ja wstanę, wezmę prysznic i ogolę się.

Goląc brodę, mruzczał coś do siebie. Przestał używać maszynki elektrycznej; najlepiej mu się goliło staroświecką brzytwą. Ciągle

odczuwał zmęczenie, jednak było to zmęczenie przesycone poczuciem triumfu. Pojechał do Moskwy spodziewając się niepowodzenia, wszyscy mu z góry współczuli, tymczasem wracał z kontraktem kieszeni.

Jadł śniadanie, a Susan przyglądała mu się, pijąc herbatę. Między jednym a drugim kęsem opowiadał jej o pobycie w Rosji.

- Kochanie, jesteś wspaniały. Nikt by tego nie dokonał poza tobą.

- Masz rację. Nie sędzę, by ktoś potrafił porozumieć się z Dymitrem tak dobrze jak ja. Wcałe się nie przechwalam, naprawdę tak jest.

- Wiem, że się nie przechwalasz - powiedziała. - Musiało się wam dobrze rozmawiać, skoro jesteście na ty. To chyba nie jest często spotykane.

Ray uśmiechnął się szeroko.

- O, niezwykle rzadko. Rosjanie są wielkimi formalistami. To nie to co u nas, gdzie każdy mówi o premierze: „John” ... Jednak zawsze trzeba liczyć na łut szczęścia. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo szybko, ale to wcałe nie ułatwiło mi sprawy. On był ostry i bezlitosny, jak każdy w interesach. Mimo to rozumiałem go.

- Dlaczego? - zaprotestowała Susan. - Ty nie jesteś bezlitosny.

- Czyżby? Przecież staram się zrujnować Karakowa, kochanie. I dokonam tego. Borysow jest prawdziwym patriotą. Pragnie postawić swój kraj na nogi. Podziwiam go za to. Naprawdę go polubiłem. Coś ci powiem. Ufam temu człowiekowi i wiem, że on także mi ufa. Zaryzykowałbym najwyższą stawkę, że on nie wycofał się z niczego, co obiecał. Dlatego zdecydowałem się nie zostawać w Moskwie. Borysow ma wszystkie dokumenty i przyjedzie do Londynu, by podpisać umowę.

- Och, nie! - popatrzyła na niego z przestachem. - Pomyśl tylko, co się stało poprzednio.

- Zapomnij o tym - powiedział. - Tym razem wszystko będzie

dobrze. Borysow dotrzyma danego mi słowa, a ja dopilnuję, byśmy dotrzymali naszego. Oczyszczimy ten Bajkał i pomożemy Rosjanom uporać się z problemami zanieczyszczenia środowiska naturalnego. Dzięki wydobywanym przez nas diamentom otrzymają spory zastrzyk zachodnich walut. Nie będzie to wyłącznie jednostronna korzyść. Pokażemy światu, że na naszym słowie też można polegać.

- Moja droga Françoise - Eugene Titulescu pochylił się i ucałował podaną mu dłoń - wyglądasz jak zwykle niezmiernie elegancko.

Kobieta uśmiechnęła się, z zadowoleniem przyjmując komplement. Rzeczywiście była bardzo elegancka. Dobrym smakiem rekompensowała swoją niewiarygodną wprost brzydotę. Jej urok osobisty, błyskotliwość i ogromny spadek odziedziczony po amerykańskiej babce sprawiły, że miała aż trzech mężów, wszystkich bez grosza, za to dobrze urodzonych, należących do wielkiego świata, na czym jej ogromnie zależało. Ostatnio poślubiła hiszpańskiego hrabiego, którego nazwisko rodowe było tak długie, jak konto bankowe krótkie. Hrabia zmarł na atak serca, zanim jeszcze zdążyła znudzić się płaceniem jego rachunków i zapragnęła rozejrzeć się za kimś innym.

Françoise przyjaźniła się z księciem Titulescu i jego żoną. Bardzo lubiła Eugene'a i żałowała, że zaborcza córka Karakowa pierwsza wyciągnęła po niego rękę. Była wierną klientką Karakowa, pasjonowała ją kolekcjonowanie biżuterii, a także nieustanna pogoń za wszelkiego typu osobistościami i sławami z towarzystwa.

Oczywiście nie zdawała sobie sprawy z tego, że dla Eugene'a, który zaprosił ją na lunch, jest ostatnią deską ratunku. Wybrał Ritza, jako że ten hotel był pod pewnymi względami bardziej ekskluzywny niż Crillon. Jak to kiedyś określił, Ritz przyciągał raczej stare fortuny niż nowe nazwiska, znane dzięki mediom.

Najpierw wypili szampana w barze, gdzie księżę zabawiał ją plotkami o wspólnych znajomych. Zanim poprosił o przysługę, odczekał, aż zjedli wystawny lunch i wypili kawę. Zawsze go zdumiewało, że taka szczupła kobieta może pochłonąć takie ilości jedzenia i alkoholu, nie przybierając przy tym na wadze i się nie upijając. Uśmiechnął się do niej.

- Słyszałem, że w przyszłym tygodniu podejmujesz w Roc d'Or osoby krwi królewskiej.

Rozpromieniła się.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Zawsze wiem o wszystkich ważnych wydarzeniach. Zwłaszcza zaś nic, co dotyczy ciebie, nie może ujść mojej uwadze. Myślę, że to wielki zaszczyt... On tak rzadko przyjmuje prywatne zaproszenia.

- Tak, wiem. Jednak droga Madeline jest moją najlepszą przyjaciółką - odparła. Wszyscy jej przyjaciele byli drodzy i najlepsi, nawet jeśli ich nie lubiła. - Tak więc Madeline namówiła go, by spędzili u mnie dwa dni przed przyjazdem do Paryża. - Zachichotała złośliwie. - Chce go odpowiednio nastawić, zanim poprosi o prezent szczególnej wartości. Ale o tym pewnie wiesz?

- Wiem - odparł - choć nigdy nie rozmawiam o sprawach klientów. Chyba, że z wybranymi przyjaciółmi. - Obdarzył ją ciepłym uśmiechem. - Mam ich kilkoro, moja droga Françoise, jak ci zapewne wiadomo.

- O tak, mój drogi - odparła serdecznie.

Kiedyś wmówił jej, że udało mu się nakłonić Iwana, by obniżył dla niej cenę sznura różowych pereł, których tak naprawdę nie był w stanie nikomu sprzedać. Françoise miała tę zaletę, że nigdy nie zapominała, gdy ktoś wyświadczył jej przysługę. Pod wpływem impulsu powiedziała:

- Może dołączyłbyś do nas?

Natychmiast tego pożałowała, gdyż musiałby przecież przyjechać z żoną, a córka Karakowa nie byłaby odpowiednim gościem. Arabski księżę mógłby pomyśleć, że wywiera się na niego nacisk.

Dla Eugene'a była to wymarzona wręcz okazja. W chwilach zagrożenia potrafił szybko reagować.

- Och, to bardzo mile z twojej strony, jednak wiesz, to nie byłoby stosowne, zwłaszcza gdy w grę wchodzi ów prezent, o którym wspominałaś. ..io którym oczywiście nie należy mówić. Ale zasugerowałbym ci kogoś innego.

Spojrzenie Françoise stwardniało. Sama wybierała swoich gości i nie lubiła, gdy ktoś usiłował jej narzucić czyjeś towarzystwo. Nawet jeśli robił to tak drogi przyjaciel jak ksiązę Eugene.

- Jeśli ich nie znam, to nie - powiedziała stanowczo. - Moja lista gości jest już zamknięta. Uczyniłam wyjątek wyłącznie dla ciebie.

- Jestem wzruszony - zapewnił solennie. - Ci jednak są zupełnie wyjątkowi. Anglicy, którzy właśnie sprowadzili się do Paryża. On jest bogaty, przystojny, bardzo wytworny... pracuje w City... - szybko prześliznął się po szczegółach kariery Jamesa Hastingsa, zarzucając właściwą przynętę. - Jego żona jest córką earla of... - Zobaczył, że na dźwięk nazwiska i tytułu oczy jej pojaśniały. - Bardzo piękna i czarująca dziewczyna, typowa przedstawicielka swojej rodziny. Jej dziadek często polował z moim. Naprawdę byłaby cennym gościem. Twój arabski VIP jest miłośnikiem angielskiej arystokracji.

Françoise popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Mój drogi Eugene - powiedziała żywo - czy ty wyświadczasz mi przysługę, czy też prosisz mnie o nią?

- Jedno i drugie - odparł szczerze. - Będę ci bardzo, ale to bardzo wdzięczny, jeśli ich zaprosisz, po prostu na jeden dzień. Wyświadczysz mi tym wielką osobistą przysługę. A czarująca para młodych ludzi powiększy krąg twoich znajomych. Bardzo się cieszę, że nosisz te perły.

To było ryzykowne posunięcie, jednak zdecydował się na ten krok. Françoise miała instynkt sportowca i rubaszne poczucie humoru odziedziczone po przodkach z Arkansasu. Roześmiała się.

- Zyskałeś punkt, Eugene. Oszczędziłeś mi wtedy mnóstwo pieniędzy. Nigdy ci tego nie zapomnę. Podaj mojej sekretarce ich nazwisko i adres. Zaproszę ich. Jeśli są twoimi protegowanymi, na pewno są w porządku.

Odprowadził ją do samochodu, ucałował dłoń i jeszcze raz wyawnie podziękował.

- Jeśli tylko mógłbym być ci w czymś pomocny, moja droga Françoise, po prostu zadzwoń do mnie.

Natychmiast po powrocie do hotelu przeprowadził rozmowę telefoniczną.

Następnego dnia o siódmej rano w swoim apartamencie Ruth Fraser odebrała telefon od Reece'a.

- Zaproszenie powinno nadejść dzisiaj - powiedziała Ruth.

James podniósł się zza biurka. Więc jednak Reece przy-szedł mu z pomocą. Ruth zapewniała go, że tak będzie. On i Elisabeth zostaną zaproszeni na przyjęcie na Cap d'Antibes, na którym będą też Madeline Luchaire i jej arabski książe.

Prosił o taką okazję i zaaranżowano ją dla niego. Teraz wszystko zależy od tego, jaki zrobi z niej użytek.

- Jak, u diabła, udało mu się to załatwić? - powiedział bardziej do siebie niż do niej.

- Lepiej nie pytać - odparła Ruth.

- Musi mieć kogoś w garści...

- Dick twierdzi, że mamy wtyczkę w biurze Karakowa, i to ko-goś z kierownictwa. Już przedtem docierały do nas poufne infor-macje.

Dane o obrotach, przypomniał sobie James. Szczegóły różnych transakcji. Tak, ktoś zajmujący wysokie stanowisko musi być opłacany przez DE, ktoś na tyle ważny, że udało mu się załatwić zaproszenie dla dwóch osób od jednej z najbardziej snobistycz-nych dam Paryża.

- Ruth - powiedział - połącz mnie z Davidem Wassermanem. Chciałbym się z nim zobaczyć. Powiedz mu, że to pilne.

Uśmiechnęła się.

- Ekscytujące, prawda? Chętnie zamieniłabym się w muchę na ścianie, tam w Roc d'Or. Czy mogę zapytać, jakie są pańskie plany?

Widział, że jest podniecona, zdradzały to jej promienne, błyszczące oczy. A więc na tym jej zależy, pomyślał. To jest konik Ruth Fraser. Nie seks, nie sprawność zawodowa, nie wyrachowana pogoń za mężczyznami takimi jak Kruger, lecz emocjonująca gra o władzę za pomocą intryg.

- Jeszcze dokładnie nie wiem - odparł. - Dlatego chcę się zobaczyć z Wassermanem. Może on wpadnie na jakiś pomysł.

- Ponieważ czuł, że zasłużyła na bliższe wyjaśnienia, dodał: - Opowiem ci wszystko ze szczegółami, gdy już opracuję plan.

Nie zapomnę, jak bardzo mi pomogłaś, Ruth. Zobaczysz, że ci to wynagrodzę. Jeśli ustrzelę Karakowa, będziesz mogła starać się o samodzielne stanowisko.

Stojąc w drzwiach gabinetu odwróciła się jeszcze. - Szczerze mówiąc, najbardziej odpowiadałaby mi praca z panem. Połączę teraz pana z Davidem Wassermanem.

- I pomyśleć - powiedział David Wasserman - że Clara chciała, abyśmy pakowali manatki i wracali do domu. Teraz powiem jej, co by nas ominęło. Wiesz, James, jeśli uda ci się to przeprowadzić, Karakow będzie miał złamane serce. - Roześmiał się. - Wystarczy tylko drobna sugestia. Arabowie to najbardziej podejrzliwa rasa na świecie. Poza moją rasą - zachichotał niczym stary, złośliwy gnom. - Dokonasz tego, James, mój chłopcze. A ja będę się temu przyglądał.

- Mam zamiar zrobić więcej niż jedną aluzję - powiedział James. - Przygwoźdź tego drania, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz w moim życiu.

- Nie, nie. - Wasserman pokręcił głową. - Nie angażuj się w to osobiście. Dam ci dobrą radę: nie mieszaj uczuć z interesami. Iwan nie jest złym facetem. Miałeś z nim kłopoty, no to co z tego.

Ja znam go od lat i wielokrotnie dochodziło między nami do starć. W końcu będzie z nami współpracował.

- W końcu nie będzie miał żadnej innej możliwości - powiedział James sucho.

Opowiadając Clarze o spotkaniu z Jamesem, Dawid powtórzył jej słowo w słowo wszystkie szczegóły wspólnie ułożonego planu.

- Hastings jest uparty i mściwy. Nie wybaczył Iwanowi, że ten go tak zwodził na początku. Dobrze to o nim nie świadczy, jeśli chce być szefem. Usiłowałem go przekonać, by się w nic nie angażował, by zostawił uczucia na boku. To jedyna droga.

- I to cię dziwi? - zapytała jego żona. - Przecież jest dokładnie taki sam jak ty. James nie okaże ci nawet wdzięczności za twoją pomoc. A bez ciebie, bez twojego pomysłu, miałyby teraz naprawdę trudną partię do rozegrania. To ty powinieneś to załatwić, nie on.

David nie zaprotestował. Kochał jej lojalność. Clara była taka zaślepiona i taka bezkompromisowa. W jej mniemaniu nikt na świecie nie mógł się z nim mierzyć. Jednak myliła się w tym wypadku.

- Kochanie, czy my dostalibyśmy zaproszenie na weekend do tej hrabiny? - powiedział łagodnie. Na pewno nie. Musisz być realistką. Hastings ma do zaoferowania coś, czym my nie dysponujemy. Jest młody, elegancki i ma żonę, którą ludzie lubią zapraszać.

- Lepiej nic już nie mów! To całe towarzyskie gówno. Co w niej jest takiego specjalnego? Zwyczajna blondynka, zadzierająca nosa.

Tu także nie miała racji, lecz postanowił nie spierać się z nią. Clara jako kobieta obdarzona silnymi uczuciami pozwalała czasami emocjom górować nad zdrowym rozsądkiem. Elisabeth Hastings najwyraźniej nie przypadła jej do serca.

- Czy teraz jesteś zadowolona, że zostaliśmy? - zapytał spokojnie.

- O tak, pewnie, że jestem zadowolona. Wyglądasz o dobre

dziesięć lat młodziej. Podniecenie zawsze ci służyło. Ja też to lubię. - Uśmiechnęła się do niego. - Kiedy się to odbędzie? W ten weekend?

- Za dziesięć dni - odpowiedział. - Zaproszenie przyniósł specjalny posłaniec, akurat wtedy, gdy byłem u niego w biurze.

- Więc zaprosmy Iwana i Laurę na kolację - powiedziała chytrze. - Na sobotę.

Popatrzyli na siebie.

- My też możemy mieć z tego trochę uciechy.

Stella mieszkała w Dorchester już od tygodnia. Urzędnik z biura uprzedził ją i zarezerwował dla niej apartament, zgodnie z instrukcjami Juliusa. Wolałaby zwykły pokój, jednak zdecydowała się nie zmieniać rezerwacji. Przepych wydał się jej czymś wstrętnym. Czowała się fatalnie, chwilami z trudem powstrzymywała się przed ucieczką stąd i powrotem do dawnego, obskurnego mieszkania. Ale ucieczka stąd oznaczałaby porażkę, byłaby równoznaczna z rezygnacją. Gdyby to uczyniła, Reece by triumfował. Musi odzyskać zaufanie ojca. Nie może pozwolić sobie na to, by stracić niezależność, którą ją obdarzył. Inaczej nigdy nie będzie w stanie udowodnić, że śmierci Jacoba winna jest jej własna rodzina, pragnąca za wszelką cenę uwolnić ją z więzów małżeńskich. Tak, to wszystko miało sens. Postanowiła zestawić wszystkie fakty, podane jej przez przyjaciela Paula Mkozy.

Gdy Jacob wrócił z Londynu, stało się oczywiste, że ona także wróci niebawem. Wtedy prawda wyszłaby na jaw. Córka Juliusa Heydermana poślubiła aktywistę Afrykańskiego Kongresu Narodowego i wraz z nim przebywała na wygnaniu w Londynie. Coś takiego absolutnie nie powinno się zdarzyć. Dlaczego nie uświadomiła sobie tego wcześniej? Była wściekła na siebie, oskarżała się o pijaństwo, o rozczulanie się nad sobą. Dopuszczała do tego, by prawda umarła. Przecież teraz jest już po wszystkim... Miesiące upływały, podczas gdy ona pogrążała się coraz głębiej, tracąc

kontakt z przyjaciółmi. Stała się tylko nazwiskiem w kartotece prawnika, któremu płacono za to, by nie dopuścił prawdy o jej hańbie do wiadomości publicznej .

A tymczasem Reece, uśmiechając się sardonicznie niczym trupia czaszka, groził jej, zablokował jej konto, manipulował nią, by przypodobać się jej ojcu, chciał ją sprowadzić do Afryki zastraszoną, skompromitowaną. Od tamtej pory nie tknęła alkoholu. Żywiła się nienawiścią do samej siebie, graniczącą z okrucieństwem. Odwiedzała salony kosmetyczne, gdzie aplikowano jej maseczki i robiono manicure, chodziła do fryzjera. Zamówiła sobie kosztowne toalety i wynajęła samochód z kierowcą. Stała się Stellą Heyderman, bogatą, rozkapryszoną jedynaczką, mogącą kupić sobie wszystko, czego zapragnie. Regularnie dzwoniła do ojca i Sylvi, zapewniając ich, że czuje się dobrze i że cieszy się na myśl o powrocie do domu na Boże Narodzenie razem z nimi. Julius dotrzymał słowa, jak zwykle zresztą. Reece nie kontaktował się z nią więcej. Jego zadania przejął urzędnik z działu księgowości z Blackfriars Road, który przyszedł do niej raz, by omówić z nią sprawy finansowe. Zachowywał się unizienie. Chciała krzyknąć, żeby przestał się tak płaszczyć, bo przecież na litość boską ona jest takim samym człowiekiem jak on, ale nie zrobiła tego. Grała taką rolę, jakiej się po niej spodziewano.

Poleciła kierowcy, by zawiózł ją pod pewien adres na Strandzie, wyszukany uprzednio na żółtych kartkach książki telefonicznej .

A.G. Miller. Prywatna Agencja Detektywistyczna. Specjalność: sprawy rozwodowe.

Ten pomysł przyszedł jej do głowy dziś rano, gdy tylko się obudziła, zupełnie jakby ktoś podszeptał jej to w nocy. Dowiedz się czegoś na temat Reece'a, znajdź na niego jakiś haczyk. Dopiero później zdecydujesz, co dalej.

Biuro A.G. Millera znajdowało się na trzecim piętrze. Wspinała się po schodach, mijając kolejne podesty, wreszcie dotarła do

drzwi Millera. Weszła do niewielkiego sekretariatu, w którym siedziała dziewczyna pisząca coś na maszynie. Pomieszczenie było czyste, ładnie i funkcjonalnie umeblowane. Miller wyglądał niczym urzędnik średniego szczebla: nosił ciemny garnitur, stonowany krawat i okulary. Zachowywał się, jakby służył kiedyś w wojsku. W rzeczywistości był byłym policjantem. Stella usiadła, wyjęła papierosy i poczęstowała go. Przedstawiła się panieńskim nazwiskiem swojej matki, Phipps.

- Dziękuję, panno Phipps, nie palę.

To było tak zaskakujące, że przez moment wydawało jej się, że trafiła pod zły adres. Doprawdy, to miejsce w niczym nie przypominało agencji opisywanych przez Raymonda Chandlera, zaś między A.G. Millerem a Philipem Marlowem nie można było dopatrzeć się ani śladu podobieństwa. Nawet sekretarka wyglądała zupełnie zwyczajnie.

- Chciałabym, aby pan przeprowadził dla mnie pewne śledztwo. Czy podejmie się pan tego?

- To zależy od rodzaju śledztwa. Czy ma pani na myśli jakąś sprawę rodzinną, czy też może w grę wchodzi rozwód?

- Chodzi o pewnego mężczyznę - powiedziała. - Mam powód, aby przypuszczać, że jest to mocno podejrzany osobnik, tymczasem moja siostra pragnie go poślubić. Chciałabym, aby pan zdobył wszystkie możliwe informacje na jego temat.

- Rozumiem.

Miller nie wierzył ani jednemu jej słowu. Większość jego klientek karmiła go kłamstwami. Nawet żony, które chciały, by śledził ich mężów, zawsze miały w pogotowiu jakąś idiotyczną historijkę, że tak naprawdę to darzą swoich małżonków całkowitym zaufaniem, tylko pragnęłyby się upewnić. Wyjątkowo zdarzały się klientki, które traktowały całą sprawę jak zwykły interes, gdyż pragnęły odzyskać wolność. Z nimi najłatwiej było współpracować. Płaciły bez oporu i nie wydzwaniały co pięć minut, aby się dowiedzieć, czy zdobył już jakieś informacje. Parę klientek okazało się zwyczajnymi naciągaczkami. Ta dziewczyna z pewnością do nich nie należała; wszystko też wskazywało na to, że jest bogata.

Od razu podwoił w myślach swoją zwykłą stawkę. Plus koszty, oczywiście. Nie uwierzył w bajeczkę o siostrze. To ona sama była zainteresowana.

- Tego typu sprawy zajmują sporo czasu i są kosztowne - powiedział. - Muszę uprzedzić panią o tym, panno Phipps.

- To bez znaczenia - odparła. - Naprawdę mniejsza o koszty. Tym nie musi się pan martwić, panie Miller.

- Dobrze. Poproszę więc o szczegóły.

- Nazywa się Reece. Obecnie pracuje w londyńskiej filii Diamond Enterprises na Blackfriars Road. Na stałe mieszka w RPA, ale prawdopodobnie zostanie w Londynie aż do Bożego Narodzenia. Tyle tylko mogę panu o nim powiedzieć, ale to powinno wystarczyć.

- I chce pani, abym zbadał, co robił w minionym roku, czy tak?

- Nie - odparła. - Chcę wiedzieć o nim wszystko. Data urodzenia, imiona rodziców, każdy najdrobniejszy nawet szczegół. Chcę wiedzieć, co jada na śniadanie i czy sypia w spodniach od pizamy. Będzie pan musiał wysłać kogoś do RPA.

- Współpracuję z agencjami w Kapsztadzie i Johannesburgu, więc mogę zawrzeć z nimi umowę w sprawie śledztwa tam na miejscu.

Zakasłał i wytarł usta żółto-czerwoną chusteczką, stanowiącą jedyne kolorowe odstępstwo w jego monochromatycznym ubiorze.

- Czy zdaje sobie pani sprawę z faktu, że śledztwo tego typu zajmie rok albo i więcej?

- Wiem - odparła Stella. - Mam mnóstwo czasu. W końcu nie od razu Rzym zbudowano. Jakiej pan żąda zaliczki?

- Pięć tysięcy funtów i zwrot wydatków - odparł Miller. - Całe honorarium wyniesie dwadzieścia tysięcy. Płatne, gdy już otrzyma pani raport. Czy to pani odpowiada?

- Najzupełniej.

Otworzyła torebkę i wyjęła nowiuteńką książeczkę czekową. Wypisała czek i wręczyła mu. Rzucił okiem na podpis. Heyderman.

Domyślił się, kim jest naprawdę, gdy tylko wspomniała o RPA. Złożył starannie czek i odłożył go na bok.

- Proszę zostawić swój adres i numer telefonu w sekretariacie, panno Phipps. Skontaktuję się z panią za tydzień i powiem pani, jakie podjąłem kroki i jakie są moje wstępne ustalenia. Czy mam składać pani comiesięczny raport?

- Tygodniowy, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - odparła.

Miał, ale za takie pieniądze nie mógł sobie pozwolić na sprzeciwi.

- Jak pani sobie życzy. Usłyszy mnie pani wkrótce. Do widzenia, panno Phipps.

Odwróciła się w drzwiach.

- Nazywam się Heyderman. Widział pan moje nazwisko na czeku. Nie będziemy się oszukiwać w tej sprawie, panie Miller. Do widzenia.

- Ale dlaczego ta kobieta nas zaprosiła, skoro nas wcale nie zna?

Elisabeth trzymała w ręku list napisany na czerpanym papierze, ciężkim niczym brokat.

- Ponieważ wszystko zostało zaaranżowane tak, byśmy mogli spotkać Madeline Luchaire i jej Araba i tym sposobem załatwić Karakowa - wytłumaczył James. - Kochanie, to właśnie jest ten przełom, na który czekałem. Moja jedyna szansa, by zadać cios, zanim ten cholerny Andrews sfinalizuje sprawę z Rosjanami. Biorąc pod uwagę czas, szczęście chyba będzie mi sprzyjało.

Tego popołudnia z Londynu przyszedł kolejny faks. Umowa dotarła do Moskwy i jest tam rozważana. Spodziewane jest, że przedstawiciel Rosji przyjedzie do Londynu pod koniec miesiąca, by ją podpisać. Czas, jak powiedział Elisabeth, pracuje teraz na jego korzyść. Za dziesięć dni polecą na Cap d'Antibes jako goście tej ekscentrycznej hrabiny o trudnym do wymówienia nazwisku.

Tam spotkają arabskiego księcia, zanim ten przyjedzie do Paryża kupować czerwone diamenty.

Elisabeth popatrzyła na męża. Siedziała na sofie z podkulonymi nogami, lekko pochylona, by złagodzić bóle krzyża.

- Jak masz zamiar go powstrzymać?

Przytulił ją czule.

- Mam taki mały plan, ale nie zdradzę ci go, kochanie, dopóki nie będziemy na miejscu. David i ja wymyśliliśmy go dzisiaj rano. Wszystko, co muszę zrobić, to znaleźć odpowiedni moment. Dokonam tego. A gdy cała sprawa się zakończy, możemy wracać do domu i przygotowywać dom na przyjęcie dziecka. Zatriumfujemy, zobaczysz.

Elisabeth ponownie odczytała list.

- Tak bardzo pragnie nas poznać... Píše, że spotkała kiedyś mojego ojca w Londynie... Przecież papa prawie nigdy nie bywa w Londynie. Założę się, że nigdy w życiu się z nią nie zetknął.

- A cóż to ma za znaczenie? Mówiłem ci już, że to zaproszenie przyszło ze względu na mnie. To się liczy. Dlaczego się odsuwasz, niewygodnie ci? Czekaj, zrobię ci miejsce.

- Nie - odparła szybko. - Lubię, jak jesteś blisko mnie. Znowu mam te idiotyczne bóle w krzyżu. Myślę, że w przyszłym tygodniu wybiorę się do doktora. Może mógłby mi przepisać jakieś masaże.

- Zaprowadzę cię - powiedział. - A dzisiaj spędzisz miły, spokojny wieczór w błogim nieróbstwie.

- Dałam wolne Louise - przypomniała mu. - Myślałam, że sama przygotuję kolację.

- Kolację przygotuję ja - sprzeciwił się James - a ty zrobisz dokładnie to, co powiedziałem. Może nadwerżyłaś sobie jakiś mięsień. Ty się przepracowujesz. Ale najpierw napijemy się szampa, aby uczcić to zaproszenie. To znaczy, ja się napiję. Dla ciebie jest perrier.

- Perrier - westchnęła, uśmiechając się do niego. - Rzeczywiście, rozpieszczasz mnie w okropny sposób. Rozmawiałam

wczoraj z mamą. Przyjadą niedługo po naszym powrocie z tego wielkiego weekendu.

- Świetnie - powiedział. Był naprawdę zadowolony. - Postaramy się, aby miło spędzili czas. Na pewno cieszysz się na ich wizytę, prawda? Gdyby nie poczciwy Jean Pierre, czułabyś się trochę osamotniona. Ale ostatnio jakoś nie dawał znaku życia.

- Nie - odparła Elisabeth. - Dzwonił kilkakrotnie, ale byłam akurat zajęta. Zaprosimy go na lunch albo na obiad z moimi rodzicami.

- Znakomity pomysł - powiedział James z przekonaniem. - Jest przecież niemal w tym samym wieku co oni.

Joy Reece nigdy jeszcze nie widziała swojego brata w takim stanie. Gdy wrócił z biura, ciężko opadł na krzesło, wcale się do niej nie odzywając. Twarz miał poszarzałą, a oczy podkrążone. Podeszła do niego.

- Coś się stało? O co chodzi, kochanie?

Nigdy nie nazywała go tak poza łóżkiem.

Popatrzył na nią żałośnie.

- Stella - powiedział. - Dzwoniła do pana Juliusa i poskarżyła się na mnie. Naopowiadała mu samych kłamstw. Był na mnie wściekły, wręcz krzychał. Zwracał się do mnie tak, jakbym był jakimś służącym. Powiedział, że jeśli jeszcze raz ją rozgniewam, koniec ze mną. To są jego własne słowa.

Jej twarz poczerwieniała z gniewu. Objęła go ramieniem.

- A to suka - powiedziała. - Jak on śmiał tak cię potraktować? Jak mógł, po tym wszystkim, co dla niego uczyniłeś? Już ja bym mu powiedziała, co o tym myślę. Jemu i tej jego córeczce. Brudna, pijana dziwka - dodała sycząc z wściekłości.

- To nie jego wina - sprzeciwił się Reece. - To ona go tak nastawiła... Nie oskarżam go o nic, teraz, gdy już to sobie przemyślałem. On tak się o nią martwi i wierzy we wszystko, co ona mu powie. Po prostu przez moment poczułem się zraniony. Jestem

zadowolony, że nie ponoszę już żadnej odpowiedzialności. Czy wiesz, gdzie ona teraz mieszka? W Dorchester. Ma pieniądze, kredyt. To się skończy katastrofą, zobaczysz. Na szczęście nie będę już musiał niczego tuszować, nawet jak znowu wyjdzie pijana i narobi wstydu.

- Nie przejmuj się - pocieszyła go siostra. - Niczym się nie martw. On jeszcze zrozumie, jaki błąd popełnił, traktując cię w ten sposób. Mam też nadzieję, że ona dostanie się na pierwsze strony gazet. To mu dopiero dobrze zrobi.

Kołysała go w ramionach. Był to zwyczaj wyniesiony jeszcze z dzieciństwa. Kiedy jedno z nich dostało lanie od ojca, drugie pocieszało go mocnym, opiekuńczym uściskiem. Nie podtrzymywała tematu, gdyż wiedziała, że brat nie chce powiedzieć złego słowa na Juliusa Heydermana. Pozwoliłby nawet, aby Heyderman go skopał, a potem lizałby jego ręce niczym zбитy pies. Taka postawa doprowadzała ją do szału. Z jakiegoś powodu, którego nie była w stanie zgłębić, jej brat potrzebował tego związku. Musiał mieć swojego idola, którego ubóstwiał. Joy nie była zależna od nikogo poza swoim bratem. Burska krew matki uczyniła z niej istotę pamiętliwą. Zniewagi nie zapominała przez całe życie. Pewnego dnia, pomyślała sobie, odpłacę za wszystko tym cholernym Heydermanom... Kiedyś...

Przygotowała bratu wykwintną kolację i pocieszała go tak długo, dopóki nie poweselał.

W łóżku przytulił ją mocno do siebie.

- Joy - szepnął - co ja bym zrobił bez ciebie?

- Mamy siebie - odparła - i to jest najważniejsze.

Elisabeth po skończonym badaniu siedziała w gabinecie i spoglądała na lekarza.

- Madame Hastings, te bóle krzyża to pierwsza oznaka sprzeciwu macicy. To znaczy, że macica jest podrażniona i może próbować odrzucić płód. Jest to związane z cyklem menstruacyjnym.

Zobaczył, że blednie. Lubił ją, była idealną pacjentką.

- Na kilka najbliższych dni powinna pani pójść do kliniki. Jeśli zastosujemy odpowiednie leczenie, uda nam się zapobiec poronieniu.

Nic nie powiedziała. Po prostu siedziała i wpatrywała się w niego.

- To zwykły środek ostrożności - powiedział łagodnie. - Załatwię, by przyjęto panią dziś po południu.

Elisabeth wreszcie odzyskała mowę.

- Czy stracę dziecko? Musi mi pan powiedzieć prawdę.

Potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Jak już mówiłem, to tylko środek zapobiegawczy... Przy pierwszej ciąży często zdarzają się tego rodzaju zaburzenia. Jest pani zdrowa, dziecko rozwija się prawidłowo. Wszystko, czego pani potrzebuje, to odpoczynek. Być może nie trzeba będzie nawet stosować żadnych leków. Przede wszystkim, madame, musi pani zachować spokój. Stres jest przyczyną większej liczby poronień, niż się ludziom wydaje. Jestem pewien, że za kilka dni wszystko wróci do normy.

Otworzyła torebkę, by wyjąć chusteczkę, po czym włożyła ją z powrotem nietkniętą. Szok był tak wielki, że nie mogła nawet płakać.

Tego dnia mieli lecieć na Cap d'Antibes. Ostatnio strzykanie w krzyżu ustąpiło i nie widziała powodu do wizyty u lekarza. Jednak tego ranka odezwało się znowu, tym razem jako zdecydowany ból. Stracić dziecko po tak długim oczekiwaniu, po tylu rozczarowaniach. Trzeba zadzwonić do Jamesa i powiadomić go o tym.

- Nie zniosę tego - powiedziała. - To już zbyt wiele.

- Zatelefonuję do kliniki. Powiem, by oczekiwano pani w południe. Czy mąż będzie z panią? Czy chce pani, abym zadzwonił i porozmawiał z nim?

- Nie - odparła Elisabeth szybko - sama mu powiem. Ale nie mogę przyjechać do kliniki wcześniej niż o trzeciej. Czy to będzie miało jakieś znaczenie?

Podszedł do niej i pomógł jej założyć płaszcz.

- Nie, nie. Mówiłem już pani, że to wyłącznie środek ostrożności. - Wyglądała na tak spiętą, że postanowił nie sprzeczać się z nią. Godzina czy dwie opóźnienia będą z pewnością mniej szkodliwe niż dodatkowy stres. - Jednak musi pani pójść prosto do domu i położyć się. Żadnych przyjęć, żadnego wysiłku. Wieczorem wpadnę do kliniki, by panią zobaczyć.

Taksówka już czekała. Trzecia godzina. O tej porze James będzie w drodze do Antibes. Musi przecież jechać, tłumaczyła sobie w drodze do domu. Ten weekend jest bardzo ważny. Jeśli zaprzepaści taką sposobność, jego kariera legnie w gruzach. Wyjaśniał jej to dostatecznie wiele razy. Było niezmiernie ważne, by zobaczył się z klientem Karakowa. Gdyby wiedział, że grozi jej poronienie, nie pojechałby... Doktor zapewniał, że to tylko środek ostrożności. Powtarzała to sobie, usiłując się pocieszyć. Należało być rozsądną i pójść do kliniki z powodu tych bólów. Doktor mówi, że to tylko zaburzenia. Za kilka dni wróci do domu i wszystko będzie w porządku. Gdyby powiedziała o tym Jamesowi, zrezygnowałby ze swojej szansy właściwie bez powodu. Umówili się na lotnisku, skąd o drugiej mieli samolot do Nicei. On zabrał swoje walizki do biura, ona też była już spakowana. Kilka codziennych sukien i suknia wieczorowa na przyjęcie.

Zapłaciła taksówkarzowi i wolno weszła po schodach. Nogi jej dygotały, jakby miały się pod nią załamać. Znalazszy się w mieszkaniu, wbrew dotychczas przestrzeganyim zasadom naląła sobie kieliszek koniaku. Poczowała, że robi jej się niedobrze. Pobiegnęła do łazienki i zwymiotowała. Drżała na całym ciele, ból przesunął się teraz z pleców na dół brzucha. Przemyśla twarz wodą i wróciła do sypialni, by się położyć. Zachowaj spokój, nie przejmuj się, wypoczywaj. Poczekaj, aż przyjedzie na lotnisko, wtedy zadzwonisz. Powiesz mu, że to ból mięśni, może dysk... To nie potrwa długo.

Gdybym tylko mogła zasnąć na chwilę i zrelaksować się, pomyślała. Wzięła kilka głębokich oddechów, jak jej polecał instruktor

w szkole rodzenia, i złożyła ręce na niewielkiej wypukłości brzucha, jakby tym sposobem mogła złagodzić ból zdradzieckiej macicy.

Biedna Liz, myślał James. Samolot przebijał się powoli przez warstwę chmur, wstrząsany turbulencjami. Nadwreżyła sobie kręgosłup i musi teraz pozostać w łóżku przez cały weekend. Jego pierwszą myślą było wrócić do domu. Mógł jechać do tej przeklętej willi dopiero w sobotę, na sam obiad. Jednak, gdy to zaproponował, zaprotestowała stanowczo. Była wręcz zła, powiedziała mu, że przejmuje się drobiazgami, przypomniała, jak ważne dla niego jest spotkanie z tym Arabem i jego kochanką. Z nią nie dzieje się nic poważnego, po prostu ma nadwreżone mięśnie i powinna zostać w łóżku dzień czy dwa.

Zapowiedziano już samolot do Nicei, a oni ciągle się spierali. Wreszcie ustąpił, przekonany przez Elisabeth, że odwołanie wyjazdu jeszcze bardziej ją zdenerwuje. Obiecał, że zadzwoni wieczorem, a jeśli szczęście mu dopisze, może wróci już w niedzielę rano. Będzie się starał. Louise przenocuje u niej. Żartowała nawet, że zadzwoni do Jean Pierre'a, żeby dotrzymał jej towarzystwa. Oboje śmiali się, gdy odwieszał słuchawkę.

Dyżurna pielęgniarka podeszła do Jean Pierre'a.

- Monsieur Hastings?

- Nie, nie jestem mężem. Jestem przyjacielem. Jak ona się czuje?

- Ona sama dobrze - odparła energicznie - ale poroniła. Nie ma żadnych komplikacji, tak że wszystko będzie dobrze. Dostała środki uspokajające i teraz śpi. Pytała o męża. Czy mógłby pan skontaktować się z nim? Zrozumiałam, że wyjechał na weekend.

Mówiąc to, nie próbowała nawet ukryć swojej dezaprobaty.

- Nie mam jego adresu ani telefonu. Przyjechałem, gdy do

mnie zadzwoniła. Była zbyt zdenerwowana, by mi cokolwiek powiedzieć. Ale skontaktuję się z jego biurem. Oni powinni wiedzieć, gdzie go szukać.

Właśnie wychodził, gdy zadzwonił telefon. Początkowo miał zamiar nie odbierać, gdyż i tak był już spóźniony na spotkanie, jednak przypomniał sobie, że nie włączył automatycznej sekretarki. Poirytowany podniósł słuchawkę. To była Elisabeth.

- Jean Pierre... Jean Pierre... czy mógłbyś przyjść? Pokojówka wyszła, a ja dostałam krwotoku... Chyba poroniłam.

Słyszał jej szloch. Podczas szalonej jazdy przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle i omal nie zderzył się z ciężarówką. Drzwi zastał otwarte; musiała je otworzyć, zanim upadła w hallu. Telefon na pogotowie, jazda do kliniki, długie chwile oczekiwania. Nigdy nie zapomni wyrazu jej twarzy, gdy trzymał ją za rękę w pędzącej karetce.

- Biedna dziecina - powtarzała - biedna dziecina.

Pochylił głowę, by ukryć łzy. Czuł się tak, jakby to było jego dziecko.

Połączył się z biurem DE i poprosił do telefonu sekretarkę Jamesa Hastingsa. Usłyszał krótki brzęczyk, a potem głos kobiecy.

- Biuro pana Hastingsa.

- Potrzebuję pilnie skontaktować się z panem Hastingsem. Moje nazwisko Lasalle. Rozumiem, że wyjechał na weekend.

- Czy mogę dowiedzieć się, o co chodzi? - Głos był uprzejmy, ale zdecydowany. - Może mogłabym jakoś pomóc. Przykro mi, ale nie mogę panu podać prywatnego numeru telefonu.

- Tak - niemal krzyczał - tak. Jego żona poroniła i teraz pyta o niego. Jest w klinice Marthiera.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszał chłodny głos:

- Jakże mi przykro. Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

- Nie, ale jest w szoku i potrzebuje jego obecności. Czy teraz poda mi pani ten numer?

- Nie ma takiej potrzeby. Zadzwońnię osobiście do pana Hastingsa i przekażę mu wiadomość. Proszę powiedzieć jego żonie, że jest mi przykro i że życzę jej szybkiego powrotu do zdrowia. Odłożyła słuchawkę.

Na lotnisku w Nicei na Jamesa czekał samochód, przysłany z Villa Roc d'Or. Zajechali na Cap d'Antibes. Długa, prywatna droga, której początek wyznaczała elektronicznie sterowana brama, zawiodła ich na sam koniec skalistego przylądka. Lokaj w uniformie zabrał walizkę. W hallu przywitała Jamesa pani domu.

- Monsieur Hastings? Jestem Françoise de Reayles de Zulueta. Jak miło, że pan przyjechał. A gdzie jest pańska małżonka?

Był zdumiony jej brzydota, jednak to wrażenie trwało tylko do chwili, dopóki się nie uśmiechnęła. Czar jej uśmiechu rekompensował wszystko.

- Och, bardzo mi przykro, hrabino. Rozchorowała się zupełnie niespodziewanie. Nadwerżyła sobie kręgosłup. Złapała mnie telefonicznie na lotnisku dosłownie w ostatniej minucie. Doktor nalega, aby została w łóżku. Żona spodziewa się dziecka. Była bardzo zdenerwowana, zresztą ja też czuję się okropnie, przyjeżdżając tutaj bez niej, jednak nie miałem możliwości, by panią uprzedzić.

- Co za przykrość - powiedziała Françoise wielkodusznie. - Jakie to musi być okropne dla niej. Dolegliwości kręgosłupa są bardzo denerwujące i dosyć bolesne. Mam nadzieję, że jeszcze będę miała przyjemność ją poznać... Paco pokaże panu pokój. Później proszę dołączyć do nas - wskazała ręką łukowo sklepione przejście po prawej stronie hallu - na drinka przed obiadem. Wszyscy goście już się tam zebrali.

James nie zabawił długo w sypialni, w której każdy szczegół wyposażenia zdradzał bogactwo i wyrafinowany smak. Rozpakować się może przecież później. Pragnął tylko zejść na dół i spotkać Luchaire i jej Araba. Wszystko miał zaplanowane, znał każde

słowo, jak aktor zna swoją rolę. Dzięki Bogu za pomoc starego Wassermana. Tylko prawdziwy ekspert mógł wpaść na coś takiego.

W głębi duszy Françoise była poirytowana historią z żoną swego gościa. Nie wierzyła w nagłe wypadnięcie dysku. Jej samej nic tak trywialnego nie skłoniłoby do odrzucenia tak eleganckiego zaproszenia. Zdenerwowała się, bo nieobecna dziewczyna należała do śmietanki towarzyskiej, a poza tym została teraz z nieparzystą liczbą gości i było już zbyt późno, by zaprosić kogoś innego. Chociaż Eugene uzyskał dla niej obniżkę ceny pereł, zepsuł jej układ gości przy stole. Następnym razem potraktuje go ostrzej.

Teraz, kiedy pili szampana w pomieszczeniu z przepięknym widokiem na morze, James Hastings ujął ją swoim wyglądem i nieskazitelnymi manierami. Poświęcał jej wiele uwagi. Bardzo korzystne wrażenie wywarł też na goszczących u niej Wildensteinach, właścicielach najlepszych koni wyścigowych we Francji. Saudyjski książę również pasjonował się końmi; jego wierzchowce należały do najwspanialszych w Arabii. Ambicją księcia było pokonać Mahktounów, ale jak dotąd ojciec nie zezwalał, by jego konie startowały na torach wyścigowych w Europie.

Madeline Luchaire i książę dołączyli do pozostałych gości jako ostatni. Aktorka musiała mieć swoje entré. James rozmawiał z elegancką żoną Wildensteina, lecz ciągle zerkał w stronę lukowego wejścia. Madeline weszła, trzymając księcia pod ramię. Promieniowała niezwykłym urokiem i miała zniewalający uśmiech, którym obdarzyła zebranych. Jej kochanek nosił europejski strój wieczorowy; biały smoking opinał wysoką, atletyczną sylwetkę. Miał klasyczne arabskie rysy, orli nos i okrutne usta. Był równie majestatyczny jak członkowie jakiejś europejskiej rodziny królewskiej. James został przedstawiony jako ostatni. Ucałował dłoń Luchaire, dotykając pierścionka z szafirem wielkości kurzego jaja, i skłonił się ściskając dłoń księcia.

- Tak się złożyło, że lady Elisabeth w ostatniej chwili musiała odwołać swój przyjazd mówiła Françoise. - Nie czuła się dobrze. Jaka szkoda.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział książę. - Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Jego angielski był bez zarzutu, z lekkim tylko akcentem amerykańskim. Książę kształcił się w Stanach.

- Spodziewa się dziecka - wytłumaczył James, dochodząc do wniosku, że bóle krzyża nie byłyby wystarczającym usprawiedliwieniem.

Książę uśmiechnął się.

- W takim razie postąpiła słusznie. Podróż samolotem nie jest wskazana dla kobiet w tym stanie.

Odszedł, zostawiając Madeline z Jamesem.

- Musi być szczęśliwa - powiedziała aktorka. - Ja bardzo chciałabym mieć dziecko, jednak kariera mi to uniemożliwia. Jest taka absorbująca.

Patrząc na nią James pomyślał, że pewnie spędziła całe popołudnie z nogami beztrosko zadartymi do góry. On sam próbował dozwonić się do Elisabeth z telefonu w swoim pokoju, lecz numer ciągle był zajęty.

- Moja żona tak bardzo pragnęła panią poznać - powiedział. - Elisabeth jest pani zagorzałą wielbicielek. Bardzo nam się pani podobała w „Zmierzchu tego świata”.

Pilnie odrobił swoją lekcję. Nauczył się na pamięć, w czym ostatnio grała. Gdyby nie udało się porozmawiać z księciem, musiałby skupić swoją uwagę na aktorce. Należało więc usposobić ją jak najlepiej.

Obiad trwał długo i przebiegał w sztywnej atmosferze. Książę pił wyłącznie soki owocowe, lecz pozostali goście mieli do dyspozycji wina, równie wspaniałe jak podawane potrawy. Rozmowa się nie kleiła. Księciu, aczkolwiek bogatemu i wykształconemu, brakowało poczucia humoru i umiejętności prowadzenia lekkiej konwersacji. Siedział pogrążony w myślach, a jego twarz rozjaśniała się tylko wtedy, gdy spoglądał na Madeline.

Ona za to dała wielkie przedstawienie. James obserwował jej grę, grę artystki nie obdarzonej co prawda wielkim talentem, jednak posiadającej spore doświadczenie sceniczne. Jakże umiejętnie odgrywała teraz rolę kobiety bez pamięci zakochanej i bezgranicznie oddanej swojemu szlachetnemu kochankowi. Obdarzała go powłóczyстыми spojrzeniami, czarowała i uwodziła, zwracała się wyłącznie do niego, ignorując pozostałych gości. Zasłużyła na swój łup, pomyślał. Wodzi tego jastrzębia na pasku, ale założę się, że nigdy nie uczyniła żadnego fałszywego kroku. Nie odważyłaby się. I wydebi od niego te czerwone diamenty, jeśli nie uda mi się temu przeszkodzić. Tego wieczoru raczej nie będzie takiej okazji. Jest zbyt wcześnie, by próbować nawiązać rozmowę z księciem czy nawet z Luchaire. A poza tym ma to wyglądać zupełnie niewinnie, ot, po prostu przypadkowo rzucona uwaga.

Zżymał się, że tak długo trzeba siedzieć przy stole. Wreszcie był wolny. Hrabina nie kultywowała angielskich zwyczajów i wszyscy wstali od stołu jednocześnie.

Podszedł do niej i zapytał:

- Czy miałyby pani coś przeciwko temu, gdybym wymknął się teraz i zatelefonował do żony? Próbowałem już przedtem, ale telefon był zajęty. Chciałbym się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- Oczywiście - zgodziła się Françoise. - Tam stoi telefon.

Wybrał numer. Tym razem usłyszał wysoki sygnał. Uszkodzenie na linii. To niemożliwe. Połączył się z gburowatym, nieuprzejmym operatorem. James odpowiedział mu wybuchem gniewu i w końcu dowiedział się, że linia jest uszkodzona. Powinna zostać zreperowana do jutra. Odłożył słuchawkę zdenerwowany i zły. Liz czeka na jego telefon. Pragnął z nią porozmawiać, powiedzieć, jak bardzo mu jej brakuje, zapewnić, że o ile to będzie możliwe, wróci następnego dnia.

Czuł rosnące napięcie. Podejmie czekające go wyzwanie. Ma szansę rzucić Arthurowi w twarz to całe gówno. Arthurowi, który oszukał go i który pragnął, by jego misja zakończyła się

niepowodzeniem. Smutnooki, zawsze ostrożny Arthur, rzucający się teraz w wir ryzykownych zobowiązań wobec Rosjan po to, by ocalić własną skórę i przy okazji zrujnować karierę Jamesa. Jeszcze zobaczy! Dowie się, że Hastings także potrafi grać omijając pewne zasady.

Księżę dość wcześnie udał się na górę, wymieniając z Madeline ogniste spojrzenia. Starsi już wiekiem Wildensteinowie także udali się na spoczynek. Françoise zapowiedziała, że na śniadaniu spotkają się przy basenie. Jeśli nie zabrał ze sobą kostiumu kąpielowego, może pożyczyć; zawsze trzymają tu kilka dla gości. Basen jest kryty, a o tej porze roku dodatkowo ogrzewany. Życzyła mu dobrej nocy i nie zapomniała zapytać, czy zatelefonował do żony. Wiedział, że tak naprawdę wcale jej to nie interesuje, więc odparł:

- Tak, dziękuję. Przesyła wyrazy ubolewania.

Na górze spróbował połączyć się jeszcze raz. Wysoki, wibrujący sygnał wwiercał się w ucho. Odłożył słuchawkę i zaczął przygotowywać się do snu... Rano przy basenie... nieformalna atmosfera... wymarzona okazja... Zasnął bardzo szybko.

Ruth Fraser uporządkowała biurko. Sprawdziła, czy w wazonie jest wystarczająca ilość wody. Lubiała kwiaty na biurku. Nadawały pomieszczeniu bardziej indywidualny charakter. Kruger zawsze kupował je dla niej w Londynie. Przez cały rok róże. Raz w tygodniu dostarczał je specjalny posłaniec. Dick przyjeżdżał dzisiaj o siódmej. Może to ich ostatni wspólny weekend; wszystko zależy od tego, co wydarzy się w Antibes.

Nie zatelefonowała do Jamesa. Nawet gdy rozmawiała z Lasalle'm i zapisywała nazwę kliniki, nie brała pod uwagę takiej możliwości. A więc jego żona poroniła. Przelotne wspomnienie wstrętnego zabiegu, przez który zmuszona była przejść, dręczyło ją przez chwilę, potem zostało szybko stłumione. Niepokojenie Hastingsa nie ma przecież sensu. Jeszcze mógłby pospieszyć do Paryża, ryzykując swoją i jej karierę. A przecież i tak niczego by

nie zmienił. Zdecydowała zimno, że nie przekaże mu tej informacji. Musi wykorzystać swoją szansę. Wyszła z biura nieco wcześniej i udała się do domu, by przebrać się przed wyjazdem na lotnisko na spotkanie z Dickiem. Zdecydowała dołożyć wszelkich starań, by ten dzień spędził jak najmilej. Była mu to winna. Ponadto ciągle jeszcze istniała możliwość, że Jamesowi Hastingsowi się nie uda.

Elisabeth siedziała w łóżku, blada i wycieńczona; jej oczy zdawały się zbyt wielkie w wymizerowanej twarzy. Pełne nadziei spojrzenie zmieniło się, gdy go zobaczyła. Od męża ciągle ani słowa. Żadnego telefonu, żadnej wiadomości. Jean Pierre usiadł przy łóżku i ujął ją za rękę. Dłoń miała zimną.

- Nie martw się. Prawdopodobnie wraca właśnie do Paryża. Jak się czujesz?

- Pusta - odparła - zupełnie pusta. - Łzy spływały jej po policzkach. - Biedne maleństwo.

- Nie ma żadnych komplikacji. Jesteś zdrowa i nic nie stoi na przeszkodzie, abys miała następne dziecko. Naprawdę. Moja żona też poroniła pierwsze, a potem miała dwóch synów. Elisabeth, proszę.

Nie słuchała jego zapewnień.

- Doktor twierdzi, że jutro mogę iść do domu - powiedziała. - Może James do tego czasu wróci.

Usta jej skrzywiły się, jakby coś ją nagle zabolalo.

- Przypuszczam, że nie mógł wrócić natychmiast. W końcu ma interesy. Mógł jednak zadzwonić.

- Pewnie jeszcze zadzwoni - próbował ją uspokoić Jean Pierre. - Nasze telefony nie są tak dobre jak angielskie.

- Nie okłamuj mnie, Jean Pierre. Są lepsze. Nie zadzwonił, bo nie ma zamiaru wracać. Tak właśnie myślę. Jest zły i rozczarowany, więc zdecydował się zostać, aż załatwi wszystko do końca. Znam go dobrze, wiem, jak ważna jest dla niego jego kariera... bardzo ważna... W dodatku powiedziałaś, że nie grozi mi żadne

niebezpieczeństwo. Jeśli popatrzeć na to racjonalnie, to przecież i tak nie mógłby nic zrobić.

Przestała płakać. Jej oczy nagle przyciąły. Nigdy nie przypuszczał, że potrafi mówić z taką goryczą.

- A co powiesz, jeśli drzwi nagle się otworzą i on tu wejdzie?

Starał się jak najlepiej, starał się usprawiedliwić Jamesa, nawet wbrew osobistemu przekonaniu, że Elisabeth ma rację. Z pewnością został na południu Francji, by załatwić interesy. Gdy tak siedział przy niej, oczekującej jakiegokolwiek wieści od tamtego mężczyzny, narastało w nim poczucie gniewu. Wreszcie zrobiło się późno i pielęgniarka zapowiedziała koniec wizyty. Elisabeth dostanie środki uspokajające, a jutro prawdopodobnie zostanie wypisana do domu.

Na korytarzu powiedział do pielęgniarki:

- Jeśli mąż madame Hastings nie przyjedzie w terminie, ja ją zabiorę.

W mieszkaniu nalał sobie whisky i usiadł rozmyślając o tym, co robić dalej. Elisabeth podała mu nazwisko i adres. Zaofiarował się, że sam zatelefonuje, lecz nie chciała się na to zgodzić. „On wie, powiedziała. Teraz to już zależy wyłącznie od niego”.

Sącząc whisky zdecydował, że miała rację. Wyobrażenia zaczęła mu podsuwać obrazy wydarzeń, jakie mogły nastąpić później.

„Gdyby on cię zawiódł, albo gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała”, powiedział tamtego dnia, gdy wyznał jej miłość.

„Tego z pewnością nie zrobi”, brzmiała jej odpowiedź.

A jednak zrobił to. W chwili, gdy przeżywała prawdziwy kryzys, gdy dotknęło ją największe nieszczęście, jakie może spotkać kobietę - utrata dziecka - James Hastings wybrał interesy i zostawił ją, cierpiącą, pod opieką innego mężczyzny. Gdyby do niego zadzwonił, mógłby zaapelować do tego lajdaka, by wrócił do domu. Mógłby ocalić ich małżeństwo. Elisabeth zostałyby z mężczyzną, który nie wiedział, jak ją pocieszać w prawdziwym, staroświeckim znaczeniu tego słowa. Natomiast on wiedział. Kochał ją, był przy niej w chwili, gdy tego potrzebowała, tak jak jej to obiecał.

Hastings ją straci, a on nie będzie przeciwdziałał. Dokończył whisky i poszedł spać.

- Jak tu spokojnie - zauważyła Madeline Luchaire.

Siedziała na brzegu wielkiego, błękitnego basenu. Para unosiła się z wody aż po szklany dach. Françoise i madame Wildenstein pływały. Madeline ze względu na swojego siedzącego obok arabskiego kochanka miała na sobie długą suknię. James dołączył do nich zaraz po śniadaniu. Gdy tylko się obudził, zatelefonował do żony, ale linia ciągle była uszkodzona.

- Tak, tu jest wspaniale. Cudowna pogoda. Paryż jest zimny i mokry - zgodził się James.

- Podobnie jak Londyn - zauważył książe. - Pan tam pracuje?

- Tak - odparł James. - Jestem jednym z dyrektorów Diamond Enterprises. Rozbudowujemy naszą francuską filię, dlatego przyjechałem na kilka miesięcy do Paryża.

Zauważył, że książe słucha go z uwagą.

- Diamenty? To bardzo zajmujące. Zdaje się, że jesteście największą firmą na tym rynku?

- Owszem. Wiem, że niektórzy nazywają nas monopolistami, ale naprawdę jesteśmy najlepszymi obrońcami rynku i jego klientów. Zanim przejęliśmy kontrolę nad dystrybucją i stworzyliśmy centralny system sprzedaży, handel diamentami był jedną z najbardziej bezpardonowych i nieuczciwych konkurencji na świecie. Każdy działał na własną rękę, nie istniała żadna kontrola cen ani jakości.

- O tak - zgodził się książe. - Mamy te same problemy z ropą naftową. Gałąź przemysłu o takim znaczeniu powinna być kontrolowana w sposób odpowiedzialny.

James wiedział, że teraz nadeszła jego chwila. Madeline podniosła się z miejsca. Rozmowy o interesach nudziły ją.

- Chyba pójdę popływać.

Książę skinął głową.

- Tak, idź. Ja porozmawiam z panem Hastingsem. Moja przyjaciółka lubi nosić diamenty, ale nie interesują jej szczegóły techniczne - uśmiechnęła się wyrozumiale.

James patrzył, jak aktorka z gracją wyślizguje się z sukni i wskakuje do wody. Odchylił się w krzesło.

- Ma pan zupełną rację mówiąc o odpowiedzialnym monopolu - zaczął. - Mogę jeszcze powiedzieć, że czasami diamenty bywają najbardziej oszukańczym towarem na świecie. Twierdzą tak, mimo że sam pracuję w tej branży. Nie ma pan nawet pojęcia, do jakich sztuczek uciekają się niektórzy jubilerzy, nawet ci uchodzący za uczciwych.

- Och, mogę to sobie wyobrazić - odparł książę. - Ale chyba nie ci najlepsi. Mieliby przecież zbyt wiele do stracenia.

- To zależy od zysku - powiedział James. - Czy wie pan, że w Paryżu oferowano ostatnio do sprzedaży diamentowy garnitur za zupełnie astronomiczną cenę? Chodzą jednak słuchy, że przynajmniej niektóre diamenty z kompletu są fałszywe. Nie zdradzę panu nazwiska jubilera, jednak wszyscy wiedzą, że z tymi kamieniami jest coś nie w porządku, dlatego nikt nie chce ich nawet tknąć. Pewnie spróbuje sprzedać je prywatnemu klientowi.

Twarz księcia pozostała nieruchoma.

- To bardzo interesujące - powiedział. - O jakiego rodzaju diamenty tu chodzi? Wydawało mi się, że tych kamieni nie da się sfalszować.

- Normalnie nie. Ale w tym wypadku chodzi o fantazje. Te, o których mowa, są czerwone. I tu właśnie zaczyna się oszustwo.

- Proszę, niech pan mówi dalej - powiedział książę. Przez chwilę spoglądał w stronę basenu, gdzie Madeline, hrabina i żona Wildensteina pływały, śmiejąc się wesoło. - Proszę kontynuować. Pańska historia jest fascynująca. Na czym ma polegać oszustwo?

- Promieniowanie - odparł James. - Ów jubiler kupił kilka

czerwonych diamentów od Rosjan, którzy ostatnio zaczęli takie wydobywać, podobno w przepięknym kolorze. Jednak miał ich zbyt mało, by sporządzić komplet biżuterii wart miliony dolarów. Słyszałem, że oryginalnych kamieni miał najwyżej pięć, z czego dwa albo trzy były bardzo duże, więc je rozciął. Natomiast całą resztę sporządził ze zwykłych diamentów, które poddał promieniowaniu, tak że zmieniły barwę. Wymyślił też legendę o ich pochodzeniu; rzekomo miały należeć do carów Rosji. Bardzo sprytne oszustwo.

- Tak - zgodził się książę. - Nie wiedziałem, że można zmienić barwę diamentów, poddając je promieniowaniu.

- Dotychczas czyniono to w ramach eksperymentów, by sprawdzić, jak zachowa się diament w reaktorze atomowym. Kamień o żółtym zabarwieniu zmienia się podobno w brązowy, a niebieski albo w kolorze stali - w czerwony. Jednak to zabarwienie nie jest stałe, a po rozcięciu wychodzi na jaw pierwotny kolor. W każdym razie krążą pogłoski, że ten jubiler tak właśnie postąpił. Wziął najwspanialsze ze swoich kamieni, jednak o zwykłym zabarwieniu, poddał je promieniowaniu i połączył z tymi oryginalnie czerwonymi.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Sporo ryzykował - powiedział w końcu książę. - Proszę mi powiedzieć, panie Hastings, czy sądzi pan, że ta historia jest prawdziwa?

- Nie wiem - odparł James. - Nie potrafiłbym tego rozstrzygnąć, nawet gdybym zobaczył te diamenty. Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Ale słyszałem, co się mówi i przypuszczam, że w całej historii jest coś z prawdy. Inaczej skąd wzięłby taką ilość czerwonych diamentów?

- No tak - zgodził się książę. - Rzeczywiście, skąd? - Popatrzył na Jamesa. - Zdradzę panu sekret: miałem zamiar je kupić i ofiarować mojej przyjaciółce. Mówimy o Diamentach Romanowych, prawda?

- Tak - przyznał James po chwili wahania. - Tak, to Diamenty Romanowych. Proszę mi wybaczyć, nie miałem pojęcia, że pan

także o nich słyszał, w przeciwnym razie nie wspominałbym o tym.

- Chce pan powiedzieć, że wolałby pan, abym zapłacił miliony dolarów za sfalszowany towar?

- Nie, chcę przez to powiedzieć, że nie powtarzałbym czegoś, co może okazać się zwykłą plotką - wyjaśnił James. - Nie ma żadnych dowodów.

- Nie sądzę, aby były potrzebne. - Arab wzruszył ramionami. - To, co pan mówi, ma dla mnie sens. Czy radziłby mi pan je kupić?

- Nie - odparł James. - Tego bym panu nie radził.

- W takim razie jestem pańskim dłużnikiem. Nie musi pan czuć się zakłopotany. Madeline zrozumie, gdy jej wszystko wytłumaczę. Będę musiał wymyślić jakiś inny prezent, by jej wynagrodzić rozczarowanie. Wiem, że nie chciałaby wyjść na idiotkę, ja także nie chciałbym, aby mnie za takiego uważano. Dzięki panu zaoszczędziłem mnóstwo pieniędzy.

Podniósł się i wyciągnął rękę do Jamesa.

- Jestem panu bardzo wdzięczny. Cieszę się, że mogliśmy się spotkać. Idzie pan popływać?

- Nie, chyba nie. Zadzwonię do żony i zapytam, jak się czuje.

James wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Skończone. Dokonał tego. Książę nie kupi diamentów. Nadużycie dobrej wiary było niewybaczalnym grzechem według arabskiej etyki. James wiedział wystarczająco dużo o Arabach, by być tego świadomym. Teraz książę zapragnie zemsty na Karakowie. Tak mu nakazuje jego honor. Podobnie Madeline Luchaire. Kochanek nigdy by jej nie wybaczył, gdyby został namówiony do kupienia tego czerwonego garnituru. Już ona zadba o to, by wieść rozeszła się szerokim echem wśród bogaczy. Nikt już nie zechce ich kupić, za żadną cenę.

- Dokonałem tego - powiedział na głos. - Mam Karakowa w garści. To, co Andrews osiągnął w Moskwie, będzie kosztowało DE miliony dolarów, mnie zaś udało się pogrzyźć rywala i zniszczyć jego reputację za cenę biletu do Nicei.

Jak powiedział Elisabeth, teraz świat będzie należał do nich. Sięgnął po słuchawkę telefonu. Dochodziło południe. Uszkodzenie linii z pewnością zostało naprawione. Najlepiej będzie wymyślić jakąś wymówkę i pojechać do domu. Nie mógł się już doczekać chwili, kiedy opowie o wszystkim Elisabeth, a potem pójdzie do biura i nada faks do Juliusa Heydermana w Johannesburgu. Arthur Harris mógł się wypchać. Teraz on, James Hastings, jest człowiekiem Juliusa. Gdy usłyszał normalny sygnał, omal nie krzyknął z radości. Nie czekał na pierwsze słowa.

- Liz? Liz, kochana.

- Nie, monsieur, tu Louise. Pokojówka.

- Louise, wczoraj telefon był uszkodzony. Chcę rozmawiać z madame.

Ciągle się uśmiechał, promieniując zadowoleniem.

- Przykro mi, monsieur, ale madame nie ma. Przyjechało pogotowie... w zamieszaniu nie odłożyliśmy słuchawki na widelki... madame zabrano do szpitala.

- Do szpitala? Do jakiego szpitala? Co się stało?

Niemal krzyczał. Nie zdawał sobie sprawy, że przeszedł na angielski. Pogotowie... Elisabeth... Dziecko. Uspokoił się z najwyższym trudem i powiedział po francusku:

- Louise, powiedz mi, dokąd ją zabrano i czy wszystko z nią w porządku.

- Nie wiem, monsieur. Monsieur Lasalle pojechał z nią karetką pogotowia. Nic nie wiem. Dopiero dziś rano odłożyłam słuchawkę na widelki. Doktor będzie wiedział. Przykro mi.

- Tak - powiedział James - zadzwonię do niego. Boże, nie pamiętam nawet numeru... Louise, znajdź mi ten numer, dobrze? Doktor Gaston Fabre, rue du Courcelle...

Szybciej, szybciej, powtarzał w myślach, dopóki nie odszukała i nie podała mu żądanego numeru. Rozłączył się i zaczął wybierać numer doktora tak pośpiesznie, że się pomylił i musiał zacząć od początku.

- Monsieur Hastings? - Głos w słuchawce był zimny. - Przykro

mi poinformować pana, ale pańska żona poroniła. Jednak czuje się już dobrze i opuściła klinikę dziś rano. Wyszła ze szpitala pod opieką pana Lasalle'a, skoro pan nie wrócił na czas.

- Nie wrócił na czas? - James nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Jak do diabła miałem wrócić na czas, skoro nie miałem o niczym pojęcia?! W końcu pan czy Lasalle mogliście do mnie zadzwonić.

- Jeśli się nie mylę, przekazano wiadomość do pańskiego biura. - Głos lekarza nabrał otwarcie wrogiego tonu. - Pańska żona krwawiła i była w szoku. Nie potrafiła nam podać szczegółów na temat miejsca pańskiego pobytu. Pragnę podkreślić, że jestem odpowiedzialny wyłącznie za moją pacjentkę. Wiem, że była zrozpaczona i że pańska obecność bardzo by jej pomogła. Ale skoro nie otrzymał pan w porę tej wiadomości, to teraz wszystko jest jasne.

Nie nazwał Jamesa kłamcą, ale ton jego głosu wyraźnie na to wskazywał.

- Niech mi pan powie, czy wszystko z nią w porządku.

- Nie pozwoliłbym jej opuścić kliniki, gdyby było inaczej. Monsieur Lasalle zaopiekował się nią. Do widzenia.

Połączenie zostało przerwane. James opuścił słuchawkę. Lasalle. Ten dobry przyjaciel i wielbiciel, któremu instynktownie nie ufał od samego początku. Zabrał ją do swojego mieszkania. W ogóle ją zabrał.

Gdy Françoise zobaczyła go wychodzącego, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Lunch za pół godziny. Mam nadzieję, że dziś po południu będzie się pan dobrze bawił. Idziemy na drinka do moich serdecznych przyjaciół, a potem jeszcze kilka osób przyjdzie na obiad... Mój drogi, nie wygląda pan dobrze... Czy coś się stało?

Miała współczujące serce i zdążyła polubić Jamesa.

- Co się stało?

- Moja żona - z trudem zdobył się na spokój - jest w szpitalu. Wracam do Paryża. Muszę zadzwonić na lotnisko.

- Proszę zostawić to mnie - odparła stanowczo - i iść się pakować.

Paco odwiezie pana do Nicei. Bardzo mi przykro z tego powodu. Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku i z nią, i z dzieckiem.

- Straciła dziecko - powiedział ochryplym głosem, odwrócił się i pobiegł na górę. Szybko powrzucał rzeczy do walizki.

Lot będzie dopiero za trzy godziny, jak mu oznajmiła Françoise.

- W takim razie wynajmę samolot - odparł. - Muszę jak najszybciej dostać się do domu. Proszę pożegnać wszystkich ode mnie. Przykro mi, ale jadę prosto na lotnisko i tam coś złapię.

Koszty wynajęcia małego prywatnego samolotu zapierały po prostu dech, ale James nie wahał się nawet przez moment. Przez cały czas trwania lotu powracały do niego uporczywie słowa doktora. „Była bardzo zrozpaczona... pańska obecność bardzo by jej pomogła”. Ale on o niczym nie wiedział, chciał krzyczeć. Nikt go nie zawiadomił. „Przekazano informację do biura”. Kto ją przekazał, albo twierdzi, że przekazał?

Elisabeth zwróciła się do Lasalle'a o pomoc. Kiedy on z Roc d'Or bezskutecznie usiłował dodzwonić się do domu, telefon był nieczynny. W pośpiechu ktoś nie odłożył słuchawki. Doktor powiedział, że dostała krwotoku. Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Dlaczego nikt nie zadzwonił do niego dzisiaj rano? Przecież Elisabeth musiała już czuć się dobrze, w przeciwnym razie nie wypuszczono by jej ze szpitala. Wiedziała, gdzie jest. Dlaczego nie zadzwoniła? Znał odpowiedź na to pytanie, gdyż znał Elisabeth. Pomyślała, że otrzymał wiadomość i zignorował ją, dając pierwszeństwo sprawom zawodowym. Znał dobrze jej dumę i hierarchię wartości.

A ten sukinsyn wykorzystał sytuację, żeby zbliżyć się do niej, żeby zająć miejsce Jamesa, żeby ją usunąć poza jego zasięg. Prawdopodobnie wcale nie zawiadomił biura. Nikt by przecież nie odważył się nie przekazać mu takiej wiadomości. Nie, Lasalle musiał skłamać w nadziei, że teraz Elisabeth odwróci się od męża i zwróci ku niemu.

A ona uczyniła to. Nie można jej było za to winić. Pomyślał o nieszczęściu, jakie ją dotknęło, i uświadomił sobie, jak biedna, jak opuszczona musiała się poczuć i czuje się nadal. Ani słowa od niego, żadnej wieści. Milczenie, podczas gdy ona cierpiała, a ich dziecko umarło. Już niedługo. Samolot ląduje za dwadzieścia minut. Wiedział, gdzie mieszka Lasalle. Jeszcze tej nocy Elisabeth wróci bezpiecznie do domu, a to straszliwe nieporozumienie zostanie wyjaśnione.

Drzwi otworzyła gospodyni Lasalle'a. Odsunął ją i wpadł do hallu. Zatrzymał się. Dom sprawiał wrażenie pustego.

- Gdzie oni są? - zawołał. - Gdzie jest moja żona?

- Monsieur wyjechał do Normandii. Powiedział, że zatrzyma się tam na dłuższy czas. Nic nie wiem o pańskiej żonie.

- Gdzie w Normandii?

- Monsieur ma *château* w pobliżu Caen. Jeśli to coś pilnego, zapiszę panu adres i telefon.

- Dziękuję - odrzekł James. - To jest bardzo pilne.

- Elisabeth - powiedział Jean Pierre - on jest przy aparacie. Czy chcesz z nim rozmawiać?

- Nie - odparła - nie chcę.

- Mówi, że tu przyjedzie... jest bardzo agresywny. Wydaje mi się, że nie powinnaś podchodzić do telefonu, ale decyzja należy do ciebie.

- Nie chcę ani z nim rozmawiać, ani go widzieć - powiedziała wolno. - Potrzebuję czasu. Powiedz mu, aby zostawił mnie w spokoju, Jean Pierre. Nie pozwól mu przyjeżdżać. Jeśli to zrobi, i tak się z nim nie zobaczę. Wy tłumacz mu.

- Przekażę mu to - obiecał i poszedł do telefonu.

- Elisabeth nie będzie z tobą rozmawiała - oznajmił. - Nie chce cię widzieć. Mówi, żebyś zostawił ją w spokoju. Jeśli masz choć odrobinę przyzwoitości, zrób, czego żąda. Nie mów do mnie tym

tonem, bo odłożę słuchawkę. Przypuszczam, że załatwiłeś ten swój wspaniały interes i pomyślałeś, że teraz możesz wrócić do domu i wszystko jej opowiedzieć. Ale z ciebie gnojek, Hastings. Straciłeś ją i zasłużyłeś sobie na to. Jeśli spróbujesz tu przyjechać i będziesz ją nachodził, zadzwonię po policję. Zajmij się lepiej interesami.

Rzucił słuchawkę na widełki i wrócił do Elisabeth. Płakała. Objął ją ramieniem.

- Kochanie - powiedział miękko - nie płacz już tak. On nie jest tego wart. Ze mną jesteś bezpieczna. Będę się tobą opiekował. Kocham cię. Postaram się wynagrodzić ci wszystko, co cię spotkało.

Poddała się biernie jego uściskom. Wydawało się jej, że to nie ona sama płacze, tylko ktoś inny. James zranił ją tak bardzo, że była teraz zupełnie jak martwa. Jean Pierre okazał się troskliwy i opiekuńczy; starał się jej pomóc, ochraniać ją. Mówił jej, że ją kocha, a ona nie miała w sobie dość siły, by go powstrzymać. James wrócił i pragnął się z nią zobaczyć. Chciał wykorzystać jej miłość, chciał, by mu wybaczyła, że uznał ją za najmniej ważną sprawę w swoim życiu. Wiedziała, jaki byłby przekonujący. Jak by błagał i argumentował, jak by się przymiłał, że w końcu zamiast okazać gniew, zaczęłaby mu współczuć. Nie pozwoli mu na to. Jean Pierre trzymał ją w ramionach, a ona myślała: Potrzebuję czasu, by opłakać swoje dziecko. W tej chwili nie sędzę, bym mogła mu kiedykolwiek wybaczyć, że nie było go przy mnie. Bez względu na to, jaki miał powód, jaką miał wymówkę, mnie to już nie obchodzi. Nie zniosłabym teraz jego obecności. Może już nigdy nie będę w stanie z nim żyć. Nie wiem.

- Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie, Jean Pierre. Jutro zadzwonię do moich rodziców. Chcieli przyjechać do Paryża. Dzisiaj nie mam jeszcze siły, by to zrobić.

- Nie musisz się niczym przejmować - odparł. - Zatrąszczę się o wszystko. Mogę porozmawiać z twoimi rodzicami, jeśli chcesz. Po prostu zostaw to mnie. Najlepiej zażyj teraz tabletkę nasenną

i idź spać. Jutro poczujesz się lepiej. Powietrze Normandii czyni cuda. Śpij dobrze.

Zadzwonił telefon. James w pośpiechu przewrócił kieliszek koniaku stojący obok krzesła.

- Liz?

To był David Wasserman.

- Nie mogłem się doczekać. Siedzę tu w nadziei, że zadzwonisz. Jak ci poszło, mój chłopcze?

- Dobrze - odparł James. - Udaremniłem tę transakcję. Podczas mojej nieobecności Elisabeth straciła dziecko. Obawiam się, że mnie opuściła. A poza tym to wielki sukces.

- Nie wierzę w jej odejście - powiedział Wasserman. Syknął na Clare, która wisiała mu na ramionach, usiłując podsłuchiwać. - Nie wierzę w to. Cóż mogę ci powiedzieć? Jesteś sam? Może chcesz, abym przyszedł?

- Nie, dziękuję. Nie przejmuj się mną.

- Słuchaj - głos Wassermana brzmiał zdecydowanie - to co mówisz nie brzmi zbyt dobrze. Potrzebujesz przyjaciela. Zaraz do ciebie jadę.

- Nie - powtórzył James. - Jestem wykończony i idę spać. W poniedziałek będę w biurze koło ósmej, mam jeszcze trochę roboty. Wpadnij, jeśli chcesz usłyszeć szczegóły. Dzięki za twoją propozycję, ale nie martw się o mnie. Odzyskam moją żonę.

- No i co? - domagała się wyjaśnień Clara. - Jak poszło? Czy coś było nie tak?

- Z interesami wszystko w porządku. Między nami mówiąc, załatwiliśmy Iwana na cacy. Ale żona Jamesa poroniła i opuściła go. Zdaje się, że nieźle nim to wstrząsnęło.

- Och - powiedziała Clara - to, że go porzuciła, nie jest w końcu takie złe. A że straciła dziecko... Przecież takie rzeczy się zdarzają. Czy ona od razu musi robić z tego tragedię? Hastings potrzebuje żony, która by go rozumiała, która byłyby dla niego

pomocą. Naprawdę, nie każ mi odczuwać przykrości z tego powodu.

- Nie robię tego - odparł sucho. - Zobaczą się z nim w poniedziałek rano. Może będę mógł mu jakoś pomóc.

James wypił koniak, ponownie napełnił kieliszek i usiadł tuż obok telefonu. Pewnie śpi, pomyślał. Śpi w domu Lasalle'a w Normandii. O tej porze już nie zadzwoni.

Nie poszedł do łóżka - skulił się w fotelu i nazajutrz obudził się tuż po szóstej z bólem głowy i podkrążonymi oczami. Wziął prysznic i połknął parę tabletek przeciwbólowych. Zmusił się do zjedzenia śniadania i wypicia kawy. Obserwował świt nad dachami miasta. Otworzył drzwi balkonowe, by wpuścić świeże powietrze.

„Przekazano wiadomość do pańskiego biura”.

Słowa doktora wystukiwały rytm w jego głowie niczym metronom.

„Przekazano wiadomość do pańskiego biura”.

A potem gorzkie oskarżenie Lasalle'a. „Przypuszczam, że załatawiłeś już swój wspaniały interes i myślałeś, że możesz teraz wrócić do domu i opowiedzieć jej wszystko”.

Stojąc na wąskim balkonie i czując chłodny powiew znad Sekwany, uświadomił sobie, że utrata panowania nad sobą nie pomoże mu odzyskać Elisabeth. Uwierzyła, że ją opuścił, że w krytycznym momencie jej życia wybrał karierę, a nie odpowiedzialność za nią. Musiał się pogodzić z tą niesprawiedliwą oceną i udowodnić jej, że się myli. Jeśli nie chciał utracić tego, co było w jego życiu najcenniejsze, musiał działać rozważnie i w sposób opanowany, jak jeszcze nigdy dotąd.

Biuro otwierano o siódmej trzydzieści. Wszedł, skinął głową sekretarkom w zewnętrznym kompleksie i skierował się do swojego gabinetu. Ruth Fraser przychodziła o ósmej. Nacisnął brzęczyk interkomu.

- Proszę o raport ze wszystkich rozmów telefonicznych do mnie, począwszy od piątku po południu.

- Leży na pańskim biurku - usłyszał. - Sama go tam położyłam. Rozejrzył się po biurku. Rzeczywiście, leżała tam lista. Pół tuzina rozmów, wszędzie zanotowano dokładny czas i temat. Wyłącznie rozmowy służbowe, żadnej innej, nic.

Drzwi otworzyły się i wszedł David Wasserman.

- James, chłopcze, jak się czujesz? Przejęliśmy się tobą, tak okropnie brzmiał wczoraj twój głos.

- Cześć, David. Wczoraj byłem w kiepskim stanie— przyznał - ale już zapanowałem nad sobą. Dziękuję za troskę. Usiądź.

Mógł sobie wyobrazić, jak bardzo współczująca wobec Elisabeth była Clara Wasserman. David pomyślał, że James wygląda okropnie, jakby nie zmrużył oka przez całą noc. Ale zapewniał, że panuje nad sobą i chyba rzeczywiście tak było. Był wręcz niebezpiecznie spokojny.

- Po pierwsze - mówił James - książkę kupił naszą historyjkę. Nigdy już nie nabędzie niczego od Karakowa. A ten nie zdoła sprzedać czerwonych diamentów, jeśli ta sprawa nabierze rozgłosu. Nie można próbować oszukać Araba i wyjść z tego bez szwanku. Luchaire także będzie wściekła i roztrąbi to, gdzie się da. Przygwoździliśmy sukinsyna dokładnie tak, jak chcieliśmy. A wszystko dzięki twojemu wspaniałemu pomysłowi.

Nie zabrzmiało to entuzjastycznie.

- Ale to ty wykonałeś całą robotę - podkreślił Wasserman. - Moje gratulacje. Świetnie się spisałeś. Powinieneś natychmiast zawiadomić Heydermana i Londyn. To im da dodatkowy argument w rozmowach z Moskwą.

- Nie mam zamiaru ułatwiać im niczego - odparł zimno James. - Pomogę Harrisowi tak, jak on pomógł mnie. Natomiast naszkicowałem już faks do Heydermana. Masz, czytaj.

Przejrzawszy tekst, Wasserman powiedział:

- Ocenileś mnie bardzo wysoko. To wspaniałomyślne z twojej

strony. Ale musisz zawiadomić Londyn. Przyznaję, że Arthur usiłował cię wykiwać, ale on ciągle jest szefem.

- Już niedługo, jeśli będę mógł coś zrobić w tej sprawie - odrzekł James. - Dlaczego sam nie wyślesz tego faksu, albo nie zatelefonujesz do niego? Po wysłaniu wiadomości do Johannesburga będę zajęty czymś innym. - Po krótkim milczeniu dodał: - Lepiej zamień parę słów także z Reece'em. Skoro ja cię tu wychwalałem, ty możesz pochwalić mnie.

Wasserman skinął głową. James stawał się niebezpieczny. Cokolwiek zaszło w jego prywatnym życiu, był teraz spragniony krwi.

- Pewnie - powiedział. - Wszystko dociera do Juliusa przez tego małego gnojka. Masz go po swojej stronie. Przykro mi z powodu twojej żony i dziecka. Chcesz porozmawiać na ten temat? Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić?

- Nic - odparł James.

- Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego odeszła? Słuchaj, James, jestem wystarczająco stary, by móc być twoim ojcem. Nigdy nie mieliśmy dzieci, Clara i ja, i dlatego bardzo ci współczuję. Naprawdę. Możesz mi się zwierzyć.

James potrząsnął głową.

- To nic nie da, David. Ona myśli, że zostałem w Roc d'Or, by załatwić sprawy zawodowe i pozwoliłem, by sama musiała przechodzić przez ten koszmar, to wszystko. Ktoś miał zawiadomić biuro, ale nie zrobił tego. Nie mam żadnej notatki, dosłownie nic; same rozmowy służbowe.

David skrzywił się.

- A więc będziesz musiał ją przekonać - powiedział. - Wysłucha cię, tylko daj jej czas, aby mogła się z tego otrząsnąć. Stracić dziecko to wielki szok. Po prostu daj jej czas.

- Im dalej, tym będzie gorzej. Nie znasz Elisabeth. Są rzeczy, których nie wybacza. W każdym razie dziękuję ci.

- No cóż. - Wasserman ciężko podniósł się z miejsca. Zesztywniał siedząc; wiek dawał już znać o sobie. - Jestem pewien, że wszystko się ułoży. Słuchaj, zjedz z nami obiad dziś wieczorem.

Nie będziemy mówić o tamtym, obiecuję. Clara pragnie usłyszeć dokładne sprawozdanie z weekendu. Ona żyje wyłącznie interesami. O ósmej w hotelu?

- Dam ci znać - obiecał James.

Po wyjściu Wassermana zadzwonił po Ruth.

- Wróciłem - powiedział. - Czy możesz przyjść?

Zjawiała się niemal natychmiast; czekanie musiało ją wiele kosztować.

- I jak było? Czy wszystko poszło zgodnie z planem?

Nie pamiętała nawet, by powiedzieć dzień dobry, by zachować zwykły rytuał między szefem a sekretarką. Nie wdawał się w szczegóły. Powiedział tylko, że on i Wasserman wpadli na pomysł, w jaki sposób zastopować sprzedaż czerwonych diamentów. Ruth spoglądała na niego oczami rozszerzonymi z ciekawości. Zupełnie jak drapieżnik czyhający na łup.

- Możesz odetchnąć z ulgą - powiedział. - Udało ci się postawić na właściwego konia.

- Och - w jej głosie brzmiało podniecenie - czy mógłby mi pan powiedzieć coś bliższego?

- Nie - odparł - lepiej nie. W każdym razie ten skurwysyn nie sprzeda już diamentów w imieniu Rosjan. Przez dłuższy czas nie będzie w stanie w ogóle niczego sprzedać. Ruth, czy w piątek dzwoniło do ciebie z informacją o mojej żonie?

Była przygotowana na to pytanie. Telefon od Lasalle'a odebrała za pośrednictwem centrali i nie odnotowała go.

- Nie - powiedziała. - Dlaczego? Myślałam, że pojechała z panem. Czy coś się stało?

Nie chciał z nią dyskutować, więc po prostu nie odpowiedział na to pytanie. Podał jej faks i polecił:

- Nadaj to do Johannesburga, proszę. Wasserman zawiadomi Londyn.

- Dobrze. - Przebiegła oczami tekst. - Mój Boże, musi się pan czuć jak zwycięzca. Znam to uczucie.

Obdarzyła go promiennym, zmysłowym uśmiechem. Pamiętała, co jej zawdzięcza.

- Bez ciebie byłoby to niemożliwe. Nie zapomniałem o tym. Wychodzę na resztę dnia. Zadzwoń jeszcze, by sprawdzić telefony, ale poza tym możesz zająć się wszystkim aż do mojego powrotu.

- Czy będzie pan osiągalny, na wypadek, gdybym pana potrzebowała?

- Nie, będę w różnych miejscach. Do jutra, Ruth.

Podeszła do niego. Policzki jej pałały, wyglądała, jakby przed chwilą przeżyła orgazm.

- Przyniosę jutro szampana, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Nie odpowiedział. Po prostu wyszedł z gabinetu.

Spodziewała się, że będzie zdenerwowany. Ale żeby aż tak się przejąć, by w ogóle nie przywiązywać wagi do tego, co udało mu się osiągnąć? To ją zdumiało. Czyżby nie odczuwał żadnego triumfu, żadnej euforii? Zachowywał się z całkowitą obojętnością. Nie uśmiechnął się, nie podzielał jej entuzjazmu. Wydawał się nawet być nim dotknięty. Jej propozycję, by wypili szampana dla uczczenia sukcesu, skwitował milczeniem. Do diabła z nim, pomyślała. Pewnie jest przygnębiony z powodu tego poronienia.

Nic nie było w stanie popsuć jej dobrego humoru. Natychmiast wysłała faks do Johannesburga, nie zwracając uwagi na różnicę czasu. Wasserman mógł zawiadomić Londyn w imieniu Hastingsa, ale ona sama zadzwoni do Reece'a i poinformuje go o wszystkim. Jakże lepiej mogłaby przypomnieć mu o swoim udziale w całej tej sprawie? Wsunęła się za biurko Jamesa i usiadła na jego krześle. Jak tu wygodnie. Rozmowę z Londynem przeprowadziła z jego aparatu.

11.

- **M**ówiłem ci, żebyś nie przyjeżdżał - powiedział Jean Pierre.
- Ostrzegłem cię. Obaj stali w hallu château. Lasalle, z rękami zaciśniętymi w pięści, spoglądał na Jamesa wzrokiem pełnym nienawiści.

- Wiem - odparł James. - Nie przyjechałem tu, by kogokolwiek niepokoić. Chciałem zobaczyć żonę. Jeśli nie będzie chciała się ze mną widzieć, odjadę. Powiesz jej, że tu jestem?

Byli podobnie zbudowani, jednak Lasalle miał znacznie więcej lat. Gdyby stracił panowanie nad sobą - a na to właśnie się zanośił - James nie chciał go uderzyć. Odwrócił się, pragnąc uniknąć fizycznej konfrontacji.

- Ma prawo wiedzieć, że tu jestem - nalegał.

- Ma prawo do spokoju z dala od ciebie. Przysporzyłeś jej tyle bólu - odparł gniewnie Lasalle. - Uważasz, że nie dosyć ją zraniłeś?

- Nie przyjechałem tu, by się z tobą kłócić. Byłeś dla niej bardzo dobry i jestem ci za to wdzięczny.

- Kocham ją - odparł Jean Pierre. - Gdy tylko uwolni się od ciebie, mam zamiar ożenić się z nią.

Jamesowi pociemniało w oczach. Opanował się jednak i powiedział:

- Po prostu powiedz jej, że tu jestem, to wszystko.

Po chwili wahania Jean Pierre odwrócił się gwałtownie i skierował ku drzwiom prowadzącym do dalszych pomieszczeń.

Czekanie przedłużało się. Na ścianie tuż nad głową Jamesa wisiał zegar, tykający niczym rozświetlony ptak. W hallu panował chłód. Kamienne podłogi i skąpe centralne ogrzewanie. Czynił te obserwacje, by zająć czymś umysł, by zapanować nad pragnieniem rzucenia się w stronę tamtych zamkniętych drzwi. Otworzyły się wraz z głośnym uderzeniem przekłętego zegara. Zerwał się na równe nogi.

Lasalle powiedział:

- Możesz zobaczyć Elisabeth, ale tylko przez kilka minut. Drzwi zostaw otwarte. Jeśli usłyszę podniesione głosy...

Idąc za nim, James oparł krótko:

- Nie usłyszysz.

Był wstrząśnięty jej widokiem. Elisabeth wyglądała blado i miernie. Jej uroda i blask przygasły. Siedziała na sofie przy kominu, w którym płonęły drwa.

- Liz - powiedział podchodząc bliżej. - Och, Liz, kochanie.

Usiadł przy niej i wybuchnął płaczem. Przez wszystkie lata małżeństwa Elisabeth nigdy nie widziała go płaczącego. Powiedziała zniżając głos:

- James, proszę, nie rób tego. Bo ja także zacznę płakać, a obiecałam Jean Pierre'owi, że postaram się zachować spokój.

- Tak, oczywiście - odparł. - Przepraszam. Nie chciałem robić sceny ani denerwować cię. Ale proszę, czy moglibyśmy porozmawiać przez chwilę?

- Nie wiem, co moglibyśmy sobie powiedzieć. Nie ułożyło się nam tak jak trzeba i to wszystko. Problem polega na tym, że w obecnej chwili zupełnie niczego nie czuję. Jestem jakby odrętwiała. Jak ci się udał weekend?

- Proszę - błagał - nie mów tak, Liz. Nie wiedziałem o niczym, nie przekazano mi żadnej wiadomości. Nie mogłem nawet dozwonić się do domu, bo ktoś nie odłożył słuchawki na widelki.

- Rzeczywiście było trochę zamieszania - przyznała. - Zapytałam o weekend, bo wiem, jakie to dla ciebie ważne. Nie miałam zamiaru ci dogryzać. Skłamałam, mówiąc o nadwężeniu

kregosłupa. I tak musiałam pójść do kliniki i pomyślałam, że wiedząc o tym, pewnie odwołałbyś wyjazd i wrócił do domu, a potem alarm mógłby okazać się fałszywy. Wiem przecież, ile znaczyło dla ciebie to zaproszenia.

Wyciągnął rękę, zdumiony własną nieśmiałością, i ujął jej dłoń, słabą i bezwolną. Nie oddała mu uścisku.

- To nie możesz być ty - powiedział. - Ty nie patrzyłabyś tak na mnie i nie opowiadałabyś podobnych rzeczy. Powinnaś mi była powiedzieć. Oczywiście, że nie pojechałbym na ten pieprzony weekend. - A potem, nie mogąc się powstrzymać, dodał: - To było także moje dziecko.

- Wiem, jak bardzo go pragnęłaś. Przykro mi.

Nie udało się. Wiedział, że się nie udało. W desperacji kurczowo ścisnął jej dłoń, choć czuł, że pragnie się uwolnić.

- To bez znaczenia. Nic nie ma znaczenia poza tym, co zaszło między nami, Liz. Nie zniosę tego. Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Jeśli stracę ciebie, stracę wszystko. Nie wiedziałem, naprawdę nie wiedziałem, że coś jest nie tak. Na miłość boską, za jakiego człowieka ty mnie uważasz?

- Nie wiem - odparła powoli. - Chciałabym ci wierzyć, ale nie mogę. Nie do końca. Przez cały czas myślę tylko o tym. Wiesz, że od dnia, kiedy cię poślubiłam, zawsze robiłam to, czego chciałeś. Zarzuciłam wiele moich ulubionych zajęć, ponieważ ciebie one nie interesowały. Przestałam nawet odwiedzać często moich rodziców, gdyż wiedziałam, że ciebie te wizyty męczą. Utrzymywałam stosunki towarzyskie z ludźmi, których nie lubiłam, gdyż byli to twoi przyjaciele i mogli być dla ciebie użyteczni. Wyjechałam z tobą do Paryża, rezygnując z mojej życiowej szansy, zlecenia od Lorda Kanclerza, ponieważ na pierwszym miejscu postawiłam ciebie i twoją karierę.

- Ależ Liz - przerwał jej - Liz, o czym ty mówisz? Przecież twierdziłaś, że nie dostałaś tego zlecenia.

- Kłamałam - odparła spokojnie. - Po prostu odmówiłam, by móc być z tobą w Paryżu. James, nie wyrzucam ci tego, to był mój

wybór. Potrzebowałeś mnie wtedy. Pozwoliłam nawet, abyś wykorzystał moją pozycję społeczną, skoro uważałeś, że może ci to pomóc w interesach. Wiedzałeś, jak bardzo tego nie znoszę, jak brzydzi mnie snobizm. Jednak godziłam się na wszystko, ponieważ bardzo cię kochałam i wierzyłam, że ty kochasz mnie tak samo. Tylko że ty mnie tak nie kochałeś. W sytuacji kryzysowej okazało się, że ty mnie aż tak nie kochasz. Tu właśnie tkwi problem. Nie mogę się pozbyć wątpliwości.

- Co mam ci na to odpowiedzieć? Że jest mi przykro? Że nie wiedziałem? Sądziłem, że jesteś szczęśliwa, że wszystko idzie nam jak z płatka. Zgoda, byłem samolubny, nie troszczyłem się o ciebie w sposób wystarczający, nie zdawałem sobie sprawy, że dla mnie rezygnujesz z tylu rzeczy. Ja się zmienię, obiecuję ci to teraz, w tej chwili. Jeśli dasz mi szansę i uwierzysz mi, od tej pory wszystko będzie tak, jak ty pragniesz. Zobaczysz, że nam się uda. A co do tego, że cię nie kocham... Boże, Liz, czy to naprawdę tak wygląda?

- Wygląda na to, że chcesz, abym wróciła do domu i abyśmy zaczęli od początku - odrzekła. Nagle jakby złagodniała, jakby zrobiło się jej go żal. - Nie wiem, czy potrafiłabym zdobyć się na to teraz. W końcu tygodnia przyjeżdża moja matka. Jadę do Freemantle na jakiś czas.

Freemantle. Wielki otoczony parkiem dom, gdzie zawsze czuł się tak nieswojo.

- Nie - powiedział szybko - tylko nie zagrzebuj się tam. Jedź do Londynu. Ja wrócę niebawem, gdy tylko skończę z tymi cholernymi interesami tutaj. Jeśli chcesz, abym nie mieszkał w domu z tobą, nie będę, bylebyś tylko nie jechała do Freemantle. - Ukrył twarz w dłoniach. - Nigdy się nie odnajdziemy, jeśli to zrobisz. Czy chcesz mnie opuścić dla tego bękarta? On twierdzi, że tak.

Poczuł, że Elisabeth dotyka jego ramienia, więc uniósł w górę twarz.

- Nie - powiedziała. - On tego pragnie, ale nie. Wracam do

domu, James. Do mojego domu, nie do Londynu. Potrzebuję spokojnego miejsca i dużo czasu, by uporać się sama z sobą. Nie zrywam naszego małżeństwa, ale też nie obiecuję ci niczego. Pragnę tylko, abys pozostawił mnie w spokoju, dopóki nie podejmę decyzji. Czy zrobisz to?

- Tak - odparł. - Skoro tego właśnie pragniesz... Ale jak długo przyjdzie mi czekać, Liz?

- Tego nie wiem - odparła. - Przykro mi, James, ale czy mógłbyś już pójść? Nie zniosę dłużej tej rozmowy.

Wstał. Pochylił się nad nią i pocałował w czoło.

- Będę czekał - powiedział. - Bez względu na to, jak długo to potrwa, odzyskam cię.

Wyszedł do hallu, gdzie czekał Lasalle; na moment ich pełne nienawiści spojrzenia się spotkały.

- Może nie wygram - powiedział James spokojnie - ale ty już przegrałeś.

Wrócił do Paryża, do biura. Tego wieczoru poszedł na kolację z Wassermanami i pił z nimi szampana. Jego życie uległo zawieszaniu. Oprócz Diamond Enterprises nie pozostało mu już nic.

Julius Heyderman odłożył otrzymany z Paryża faks i roześmiał się głośno. Hasting dokonał dzieła i załatwił Karakowa. Nie będzie sprzedaży czerwonych diamentów ani dopływu walut dla rosyjskiego rządu. Najlepszy dowód na to, że na rynkach światowych diamenty sprzedawać można wyłącznie w jeden sposób - przez Diamond Enterprises. Są na etapie podpisania umowy z Moskwą, co ostatecznie zamknie całą sprawę. Był w tak znakomitym humorze, że zaproponował Sylvii, aby zaprosiła na obiad kilku przyjaciół. Może też zacząć aranżować spotkania ze znajomymi w Londynie.

Stella wracała do normalnego świata. Potwierdzały to rachunki za stroje, luksusowe drobiazgi i apartament w Dorchester. Wydatki nie miały znaczenia. Pojadą z Sylvia do Londynu, a potem

wrócą do domu razem ze Stellą. Po tylu latach wreszcie Święta Bożego Narodzenia w rodzinnym gronie. Kiedy już wszystko się ułoży, postara się wywalić Arthura Harrisa. Najlepiej podczas marcowego posiedzenia zarządu. Julius Heyderman czuł się bardzo szczęśliwy.

- Ray, wejdź, proszę - powiedział Arthur ciepło. - Co cię do mnie sprowadza?

Po powrocie z Moskwy Andrews zauważył, że Arthur Harris się zmienił. Stracił otaczającą go dotychczas aurę melancholii - zwodniczą, gdyż w gruncie rzeczy Arthur był równie sprytny i na swój sposób równie bezlitosny jak Julius Heyderman. Teraz sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie, wręcz promieniował zadowoleniem.

Popatrzył na Andrewsa z szerokim uśmiechem. Dokumenty były gotowe do podpisania, przedstawiciel Moskwy miał przybyć do Londynu mniej więcej za dziesięć dni. Jedynym zgrzytem w tej szczęśliwej atmosferze było makiaweliczne zagranie Hastingsa w Paryżu. Harris musiał podziwiać to posunięcie. Etyka to jedno, a etyka wielkiej korporacji, ryzykującej setkami milionów dolarów, to coś zupełnie innego. Jednak i tak nic nie mogło przyćmić sukcesu Andrewsa.

- Dostałem faks z Moskwy - powiedział Ray, marszcząc czoło. - Nie mogę go rozgryźć. Rosjanie wzywają mnie do siebie w możliwie jak najszybszym terminie. Żadnych dodatkowych wyjaśnień.

- Zwróć się do swojego przyjaciela Borysowa i dowiedz się, w czym tkwi problem - zasugerował Arthur. - Przypuszczam, że chodzi o jakąś drobnostkę. Może uda ci się wyjaśnić to telefonicznie.

- Próbowałem, ale Borysow wyjechał i nie będzie go aż do jutra. Oczekuje mnie w Moskwie, wyznaczył mi termin. Chyba lepiej będzie, jeśli pojadę.

- Dobrze - powiedział Arthur. - Skoro umowa jest już tak bliska

podpisania, może rzeczywiście pojedź. Na tym etapie nie życzymy sobie dalszej zwłoki z powodu jakichś drobnych niedopatrzeń.

- Przykro mi, Sue - mówił później Ray, pakując walizki. - To zupełny idiotyzm, żebym musiał jechać do Moskwy w ostatniej chwili, ale nie powinno mi to zająć więcej niż dwa dni. Nie będę mógł pójść do Morrisów na przyjęcie z okazji ich rocznicy ślubu.

Susan podała mu czyste koszule.

- Trudno, pójdę sama. To nasi najlepsi przyjaciele. Ray, jak myślisz, dlaczego Rosjanie cię wzywają?

- Nie wiem - odparł, zamykając walizkę. - Pewnie zwykła biurokracja, tak przynajmniej myślę. - Pocałował ją. - Do widzenia, kochanie. Przykro mi, że ten wieczór się nie udał. Wynagrodzimy to Jo i Ianowi po moim powrocie.

- Wszystko idzie gładko - powiedział Reece - więc postanowiłem wziąć tydzień urlopu. To okropne przeziębienie męczyło cię tak długo, że teraz przydałaby ci się jakaś odmiana. Zresztą mnie też odpoczynek dobrze zrobi. Zarezerwowałem dla nas pokój w Royal Crescent w Bath. To wyśmienity hotel, a w Bath jest mnóstwo do zobaczenia i świetna sala koncertowa. Nie będziemy sobie żalować.

Joy popatrzyła na brata, pociągając zaczerwienionym nosem. Ciągłe wyglądała bardzo mizernie. Jaki on dobry dla niej, jaki troskliwy. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, wycierając nos. Stojący za nią kosz na śmieci pełen był zużytych chusteczek higienicznych.

- Wspaniale - powiedziała. - Kiedy jedziemy?

- W przyszłym tygodniu - zapewnił ją. - Ci tutaj mogą się rozszarpać na strzępy, gdy mnie nie będzie.

- A co u niej? - Joy nigdy nie wymawiała imienia Stelli, jeśli

tylko mogła tego uniknąć. Miała nadzieję usłyszeć jakieś złe nowiny.

- Ciągłe kupuje sobie coś nowego - odparł. - Odwiedza znajomych pana Juliusa albo przyjmuje ich w hotelu. Nie sądzę, aby ten stan miał potrwać długo, ale na razie nie pije.

Miał swoje kontakty w hotelu i za odpowiednią sumkę otrzymywał raporty. Nie zgłaszał oficjalnie tych wydatków; nie zostałyby nigdy zaakceptowane. Jednak zawsze istniało ryzyko skandalu związane z panną Heyderman, więc jego informator, obserwujący ją dyskretnie, działał zarówno w interesie hotelu, jak i jej samej.

Stella czytała raport Millera z Johannesburga. Był bardzo szczegółowy i jej wzrok z niecierpliwością przelatywał wszystkie daty, adresy, informacje o wykształceniu. Nudne, bezbarwne życie. Ojciec, właściciel sklepu, ożeniony z córką burskiego farmera, dwójka posępnych dzieciaków wychowywanych w pokoiku nad sklepem kolonialnym.

Ostatnio dużo paliła. Całkowicie zrezygnowała z picia i papierosy pomagały jej zachować spokój. Najbardziej zainteresował ją przebieg kariery Reece'a w DE. Z nisko płatnego urzędnika nagle awansował. Tu następowały wyłącznie przypuszczenia. Mówiono, że zadenuncjował kolegę, który pośredniczył w sprzedaży nielegalnie wydobywanych diamentów i zarabiał miliony dolarów na tym procederze. Dzięki przeprowadzonemu przez Reece'a śledztwu został przyłapany i postawiony przed sądem. Po tym incydencie Reece został dostrzeżony przez Juliusa Heydermana i otrzymał awans. Został człowiekiem do specjalnych poruczeń, kimś w rodzaju szpicla. Heydermanowi oddany był ciałem i duszą. To Reece, wykorzystując swoje układy na policji, załatwił Jacobowi Yakumi pozwolenia na wyjazd z kraju. To on kontaktował się z londyńskimi prawnikami w celu kontrolowania jej wydatków. Mówiono też, że ma kontakty ze światem przestępczym

Johannesburga i ogromne pieniądze, które potrafi właściwie zużytkować.

Teraz czytała z uwagą; zapomniany papieros dymił w popielnicze stojącej przy jej łokciu. Kiedy Yakumi wrócił do Południowej Afryki, Reece przebywał w kraju. Często wyjeżdżał do Londynu na kilka miesięcy. Bez wątpienia po to, by mieć oko na Arthura, pomyślała. Jednak wtedy przebywał w Afryce, skąd nie ruszał się ani na trochę od czasu, kiedy jej mąż wrócił do Soweto, aż do chwili, gdy został zamordowany. Czarni nie rozmawialiby z białym detektywem, jednak agencja współpracująca z Millerem zatrudniała zarówno białych, jak i czarnych pracowników. Dowiedzieli się o pogłoskach na temat białego mężczyzny, dysponującego ogromnymi sumami pieniędzy, zamieszanego w sprawę zabójstwa. Mówiono, że ten człowiek miał powiązania z przemysłem diamentowym, zaś Yakumi był wrogiem kapitalizmu i niebezpiecznym, nowym głosem popierającym mający powstać rząd.

Odłożyła raport. Zdusiła w popielnicze niedopałek i zapaliła następnego papierosa. A więc nikt nie znał prawdziwego motywu zbrodni, czyli prawdy o małżeństwie Jacoba z córką Heydermana. Został zamordowany, by wiadomość o tym związku nigdy nie przedostała się do wiadomości publicznej. Zaciągnęła się głęboko i sięgnęła po telefon.

- Proszę z panem Millerem. Tu Stella Heyderman.

- Czytała pani mój raport - powiedział Miller. - Sądzę, że w Johannesburgu zrobili dobrą robotę. Wyjątkowo mętny facet. Oczywiście nie ma żadnych dowodów.

- To prawda - zgodziła się Stella. - Nie sądzą, by udało się zebrać jakiegokolwiek dowody. On nie działa w ten sposób. Myślę, że zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy. Proszę mi przysłać rachunek.

- Wysłałem właśnie mojego człowieka do Bath, dokąd pojechał Reece. Mieszka w Royal Crescent, gdzie wynajął pokój na nazwisko Ryan. Czy mam odwołać wywiadowcę?

Royal Crescent. Co ta świnia sobie myśli, żeby zatrzymywać się w takim hotelu.

- Jest z nim kobieta - dodał Miller. - Może dlatego podał zmyślone nazwisko. Wysłałem za nim ogon, gdy tylko opuścił Londyn. Podróżowali razem.

- Proszę informować mnie o wszystkim, czego uda się panu dowiedzieć, i zapomnieć, co powiedziałam o zamknięciu śledztwa. Proszę nie spuszczać go z oka - zakończyła Stella i odłożyła słuchawkę.

Zawsze myślała o Reece'u jako o bezpłciowym stworze, pozbawionym genitaliów niczym dżdżownica. A tu proszę, zabawia się z kobietą w najwytworniejszym hotelu na wybrzeżu.

- Jacob, najdroższy - powiedziała głośno - nie martw się. Dopadnę tego sukinsyna, choćby to miała być ostatnia rzecz w moim życiu. A kiedy to zrobię, przygwożdżę i jego, i ojca.

Później tego samego popołudnia odebrała telefon od Juliusa. Ojciec był w doskonałym humorze, robił plany w związku z przyjazdem do Londynu. Pytał, co u niej. Powiedziała mu dokładnie to, co chciał usłyszeć. Czuje się dobrze, cieszy się z powrotu do swojego dawnego środowiska, ostatnio była na lunchu z angielskimi znajomymi, którzy wypytywali ją o pobyt w Peru. Rozbawiła go do łez, mówiąc jak odpowiadała na ich pytania. „Powiedziałam, że pełno tam Indian i węży. Byli usatysfakcjonowani”. Ojciec nie mógł się już doczekać przyjazdu, podobnie Sylvia. Planował wielkie przyjęcie i oczywiście pragnął, by wzięła w nim udział. Odpowiedziała, że nie opuściłaby takiej imprezy za nic w świecie.

Po skończonej rozmowie napuściła wody do wanny i leżała w kąpieli, płacząc z nienawiści do ojca i z tęsknoty za miłością, której skąpił jej przez tyle lat i dopiero teraz okazał po raz pierwszy. Ale gdy nadejdzie czas, nie będzie go osłaniała. Zniszczy go, choć doskonale wiedziała, że w ten sposób zniszczy i samą siebie. Jednak była to winna Jacobowi.

- Nie chciałbym cię stracić - mówił Jean Pierre, troskliwie obejmując Elisabeth. - Przyjadę do Anglii. - A potem, patrząc jej

w oczy, kolejny raz zadał jej to samo pytanie: - Czy jesteś pewna, że chcesz jechać, kochanie? Nie musisz uciekać ode mnie.

- Nie uciekam - odparła Elisabeth. - Wiem, że to nie jest rozwiązanie. Ale w tej chwili nie potrafię jasno myśleć i potrzebuję całkowitego spokoju, aby mogła zastanowić się, co dalej.

- Nie wracaj do niego - nalegał. - Przysięgam na Boga, że dzwoniłem do jego biura i poleciłem im, żeby się z nim skontaktowali. Powiedziałem tej dziewczynie, co zaszło, a ona obiecała, że zaraz do niego zatelefonuje. On kłamie.

- Tak - powiedziała wolno. - Też tak sędzę. Chodzi o to, czy potrafię się z tym pogodzić. Och, Jean Pierre, jak mam ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś?

- Pozostając ze mną w kontakcie. Pozwól mi niebawem przyjechać do siebie. Pamiętaj, że zawsze będę do twojej dyspozycji. Kocham cię, Elisabeth. Czy pocałujesz mnie na pożegnanie?

- Tak. - Elisabeth uniosła twarz i objęła go za szyję. Oślepiąły ją łzy. - Nie zasłużyłam sobie na ciebie.

Pocałował ją namiętnie, a ona się nie bronila.

W drodze na lotnisko Jill Fairfax powiedziała do córki:

- Po powrocie do Freemantle od razu poczujesz się lepiej. To świetne miejsce do lizania ran. Twój ojciec i ja odkryliśmy to po śmierci Nicka. Od samych spacerów po parku, w absolutnym spokoju, człowiek zaczyna czuć się lepiej. Przewycięzysz ten kryzys, Lizzie, a ja obiecuję, że nie będę w żaden sposób usiłowała wpłynąć na twoją decyzję. Po prostu chcemy opiekować się tobą, dopóki całkowicie nie dojdiesz do siebie.

Jej postawa zdumiała Elisabeth. Matka zdecydowała po prostu, że zabierają do domu. Pod adresem Jamesa nie padło z jej ust ani jedno złe słowo. Wobec Jean Pierre'a Jill była czarująca i wdzięczna, jednak Elisabeth wyczuwała w niej rezerwę.

- Trudno mi było pożegnać się z nim, mamo. Bardzo mnie to zabolalo.

- Jesteś w takim nastroju, że wszystko przyprawia cię o łzy - odparła Jill. - Przyznaję, że był bardzo miły i pomocny.

- On jest we mnie zakochany.

- To oczywiste. Pewnie, że jest zakochany... Będziesz miała mnóstwo czasu, by zobaczyć to we właściwym wymiarze, gdy już dojdiesz do siebie.

Zwolniła przed znakiem drogowym, a potem skręciła w drogę prowadzącą na niewielkie lotnisko. Zakochany. Wiedziała o tym, gdy tylko zobaczyła Lasalle'a ze swoją córką. Przedtem wyobrażała go sobie jako starszawego Francuza, który po ojcowsku pospieszył Elisabeth z pomocą. Jednak w tym atrakcyjnym mężczyźnie w średnim wieku, który przywitał ją w bramie chateau, nie znalazła nic ojcowskiego. Była wobec niego pełna rezerwy, a on odpowiedział jej tym samym. Nie chciał, by zabierała od niego Elisabeth i uprzejmie dał temu wyraz. Jego opór skłonił ją do zarezerwowania biletów na wcześniejszy powrót, niż uprzednio planowała. Czowała, że Lizzie potrzebuje teraz odpoczynku od wszystkiego, a zwłaszcza od tego Francuza, który po tym, jak przeżyła szok spowodowany poronieniem i najwidoczniej grubiańskim zachowaniem się Jamesa, starał się ją omotać swoją miłością. Sama była zdziwiona, że wymknęło jej się słówko „najwidoczniej”. Nigdy nie lubiła Jamesa i nie wierzyła, by mógł uczynić Lizzie szczęśliwą. Gdyby zapytano ją wcześniej, zanim się to wszystko wydarzyło, czy sądzi, że James byłby zdolny zostawić żonę w takiej chwili, prawdopodobnie odpowiedziałyby, że tak. Teraz zaczynała mieć wątpliwości. Będzie mogła lepiej ocenić sytuację, gdy już wróci do domu i omówi wszystko z mężem. Powiedziała żywo, jak zwykle:

- No, jesteśmy prawie na miejscu. Papa czeka na nas na Heathrow i razem pojedziemy do domu. Mam świetnego szczeniaka labradora. Nie mogę się już doczekać, żeby ci go pokazać. - Położyła rękę na kolanie Elisabeth. - Masz w sobie energię, Lizzie. Jesteś bardzo podobna do Nicka. Nie muszę się martwić o ciebie.

David Wasserman zaprosił Jamesa na lunch. Wybrali bar w pobliżu biura. Wassermanowi żołądek nie pozwalał na zbyt obfite jedzenie; zresztą francuską kuchnię uważał za ciężko strawną. James i tak nie miał apetytu i nie chciał tracić czasu poza biurem. David nie mógł się doczekać chwili, w której będzie mógł podzielić się z Jamesem nowinami.

- Wszyscy już wiedzą, że Karakow stracił klienta na te czerwone diamenty - mówił. - Chodzą pogłoski, że między nim a Luchaire doszło do awantury i że groził jej procesem, jako że zgodził się zatrzymać te klejnoty pod warunkiem, że ona je nabędzie.

Wykrzywił usta w uśmiechu niczym stary, złośliwy gnom.

- A ona na to: „Procesuj się, a ja powiem wszystkim, jakim jesteś oszustem”. Mówię ci, po otrzymaniu listu od jej prawnika omal nie dostał ataku serca. Teraz on jej grozi, że zażąda milionów dolarów za zniesławienie i zrujnowanie jego zawodowej reputacji. James, chłopcze, na rynku diamentów nie było takiego skandalu od lat. Mamy świetną zabawę. Laura wychodzi z siebie, aby przekonać go, by nie robił z siebie głupca i nie oddawał sprawy do sądu. Słyszałem z bardzo wiarygodnego źródła, że ten Arab zabrał Luchaire do Cartiera, gdzie kupił jej naszyjnik z diamentów i rubinów za dwa miliony dolarów, a potem jeszcze biżuterię od Grima i Boucheron, żeby jej osłodzić rozczarowanie. Opowiedziałem całą historię Mirkowiczowi, ot tak, jako plotkę krążącą po świecie. Przyjacielski telefon do Moskwy... - zachichotał. - Mogłem sobie wyobrazić, jak się dławiał. James, byłeś wspaniały. Domyślam się, że pragniesz jak najprędzej wrócić do domu.

Wiedział, że Elisabeth jest w Anglii. Gdy zapytał, czy to oznacza dobre nowiny, James odparł: „Niespecjalnie” i zmienił temat. Wasserman, jako człowiek mądry, nie wracał już do tej sprawy. Doszedł do wniosku, że jest to głęboka rana, zaprawiona do tego goryczą. Mówił dalej:

- Czy zamierzasz spotkać się jeszcze z Iwanem, czy też mam

przejąć negocjacje? Byłbyś wtedy wolny i mógłbyś wracać do Londynu. Naprawdę chętnie ci pomogę.

James domyślił się, że Wasserman poluje na swoją szansę i że nic nie usatysfakcjonowałoby go bardziej niż chwila, kiedy będzie mógł zasiąść naprzeciw Iwana Karakowa i postawić mu ostre warunki.

- Myślę, że dokończę tę sprawę osobiście - powiedział. - Chyba też wiem, jak to zrobić. Ale wysłucham twojej rady, Davidzie.

Wasserman ukrył rozczarowanie.

- Pytaj - powiedział.

Wysłuchawszy Jamesa, z podziwem potrząsnął głową.

- Jesteś genialny. To mu zaciśnie pętlę. Żałuję, że nie będę mógł tego zobaczyć.

- Będiesz mógł - obiecał James. - Następny etap zostawię tobie. Najtrudniejszy. Może jestem genialny, ale ty jesteś prawdziwym mistrzem. Myślę, że to cię ucieszy.

Uśmiechnął się do Wassermana. David powiedział później do Clary, że po raz pierwszy od tamtego czasu zobaczył uśmiech na twarzy Hastingsa. Nie był to przyjemny widok.

- Niech pan spocznie, panie Hastings. Czy mogę zaproponować panu coś do picia?

- Nie, dziękuję, pani Karakow.

James usiadł na krześle w stylu Ludwika XV, dokładnie na wprost Laury. Dochodziła trzecia po południu. Gdy zadzwonił do niej wczoraj, natychmiast zgodziła się go przyjąć. David miał rację, to Laura była duszą całego biznesu i jego mózgiem. Blond włosy miała dzisiaj zaczesane do góry, uszy odsłonięte, szyję otoczoną rzędem wielkich, połyskliwych pereł. Oczy spoglądały twardo; przypominały dwa czarne kamienie. Nie zdeprymowało go to spojrzenie. Nawet Clara Wasserman musiała przyznać, że po odejściu żony bardzo się zmienił. Stał się bardziej nieustępliwy.

- Dlaczego chciał się pan widzieć akurat ze mną, panie Hastings? Nie powiedziałam nic mężowi, gdyż zaznaczył pan, że pragnie pan porozmawiać ze mną prywatnie. Muszę przyznać, że jestem bardzo ciekawa, co pana do mnie sprowadza.

- Interesy - odparł. - Interesy między Karakow International a Diamond Enterprises. Dość już krążenia wokół tej sprawy, pani Karakow. Czas zakończyć spór raz na zawsze.

Nawet nie drgnęła. Już podczas przyjęcia zwracał się do niej w tak bezpardonowy sposób, ale wtedy mogła odplacić mu tym samym. Teraz też chętnie by to uczyniła. Hastings zirytował ją już przy pierwszym spotkaniu swoim zachowaniem. Był taki pewny siebie. Powiedziała spokojnie:

- My także mamy tego dosyć. Sądzę, że Iwan przedstawił panu nasze warunki dostatecznie jasno. Nie jesteśmy zadowoleni ze sposobu, w jaki traktuje nas DE. Jeśli chcecie zgody, dajcie nam to, czego się domagamy. To proste.

- A skąd to przekonanie, że pani pozycja pozwala pani na - stawianie jakichkolwiek warunków?

Tego się nie spodziewała. Umilkła. Założyła nogę na nogę, obciążając na kościstych, zdradzających jej wiek kolanach szarą spódnicę od Chanel.

- Jest pan impertynencki, panie Hastings. Nie sądzi pan, że jeśli zamierza pan zachowywać się w ten sposób, powinien pan raczej zażądać rozmowy z moim mężem?

- Nie - odparował James - nie sądzę. W tej chwili pani mąż nie jest w stanie prowadzić żadnych rozmów o interesach. Słyszałem, że mocno przeżywa swoją porażkę. Pomyślałem więc, że będzie najlepiej, jeśli powiem pani, co mam do powiedzenia, a pani mu to przekaże.

- No więc słucham - powiedziała, starannie modelując głos, przez co jej słowa brzmiały wręcz obraźliwie. - Przekażę albo i nie przekażę. To zależy od tego, co ma pan do powiedzenia.

- Tylko jedno. Pani mąż próbował dogadać się z Rosją za naszymi plecami. Wiedzieliśmy o tym i nie staraliśmy się temu przeszkodzić, gdyż podobne próby zdarzały się już uprzednio i

nigdy nic z nich nie wychodziło. Jednak tym razem tak się niefortunnie złożyło, że Rosjanie byli tym zainteresowani, więc musieliśmy przedsięwziąć pewne kroki, które okazały się skuteczne. Musieliśmy dać nauczkę pani mężowi. Tą nauzką, pani Karakow, jest fiasko transakcji z księciem Abdullahem Bin Saladinem wartą dziesięć milionów dolarów. Myślę, że weźmie to sobie pani do serca.

Zerwała się na równe nogi.

- Co pan ma na myśli, jaką nauzkę? Co pan wie na temat tej transakcji?

Popatrzył na nią zimno i powiedział:

- Straciliście dziesięć milionów dolarów i dodatkowo dobre imię firmy zostało narażone na szwank. To dopiero początek tego, co was czeka, jeśli chcecie z nami walczyć. Rozniesiemy was na strzępy. Proszę to powtórzyć swojemu mężowi. Niech nie zwleka. Ma miesiąc na podpisanie umowy z DE. Niech się skontaktuje z Davidem Wassermanem i omówi z nim szczegóły. Na tych samych warunkach, co poprzednio. Do tego czasu nie sprzedamy ani jednego kamienia ani wam, ani nikomu, kto byłby gotów je wam odsprzedać. Jeśli sądzi pani, że nie posuniemy się aż tak daleko, proszę przypomnieć sobie, co byliśmy w stanie zrobić z tymi rosyjskimi diamentami.

Wyszedł z mieszkania Karakowów nawet nie czekając na odpowiedź.

- Lizzie, on dzwoni dzisiaj już po raz drugi. Nie sądzisz, że powinnaś z nim porozmawiać? - Ojciec Elisabeth popatrzył na córkę. - Wrócił do Londynu i nie możesz się spodziewać, że uda ci się go unikać w nieskończoność. Kwiaty, listy, telefony. Zaczyna mi być żal tego faceta, chociaż nigdy nie przypuszczałem, że do tego dojdzie.

- Wiem, że ci go żal - odparła. - Mamie także. Myślałam, że zachowacie się zupełnie inaczej. Przecież go nie lubiliście.

- To - odparł ojciec - nie ma nic do rzeczy. Przynajmniej

zależy nam na twoim szczęściu. Fizycznie jesteś zdrowa, absolutnie nic ci nie dolega, natomiast jesteś bardzo nieszczęśliwa, a tego nie możemy znieść. Brak ci energii, nic cię nie interesuje. Wydaje mi się, że postanowiłaś ukarać siebie na równi z Jamesem. Nie jestem pewien, czy można mieć zaufanie do tego Lasalle'a. Skąd wiesz, że on rzeczywiście przekazał wiadomość?

- Ponieważ zapewniał mnie o tym, a ja mu wierzę - odparła Elisabeth. - Czy ty, papo, potrafiłbyś skłamać w takiej sprawie?

Zawahał się.

- Niewykluczone. Kiedy zakochałem się w twojej matce, również posłużyłem się niezbyt czystymi chwytami, żeby ją zdobyć. Na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone. Nie sądzę, że powinnaś tak od razu potępiać swojego męża. Nawiasem mówiąc, prosił mnie o spotkanie. Powiedziałem, że się z nim zobaczę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, Liz. Nie chciałbym, abyśmy w tej sprawie opowiadali się po czyjejsz stronie. Jeśli wrócisz do niego, nigdy by nam tego nie wybaczył.

- Nie sądzę, aby tak się stało - odparła. - Żal mi go, ale to wszystko.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że już go nie kochasz? Czy naprawdę to chcesz powiedzieć?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Ciągle go kocham i dlatego to tak boli. Nie ufam mu, papo, i nie potrafię żyć z tą świadomością. Oczywiście, że się z nim zobaczysz, jeśli chcesz, ale nie rób sobie żadnych nadziei. Idę się przejść.

Gdy wyszła, do pokoju wsunęła się Jill Fairfax. - I co powiedziała?

- Mniej więcej to samo co tobie - odparł. - Nie mogę się oprzeć myśli, że później będzie tego żałowała. Ona ciągle kocha tego faceta, w tym cały problem. A on, muszę przyznać, dostał już sporo batów i ciągle przychodzi po nowe. Powiedziałem jej, że się z nim

spotkam, ale nie jestem pewien, czy wyniknie z tego coś dobrego.

- Przyszedł list od tego Francuza - oznajmiła Jill. - Widziałam w porannej poczcie. To by dopiero było nieszczęście. Jest od niej o wiele lat starszy i najzwyczajniej w świecie wykorzystuje chwilę jej słabości. O mało nie podarłam tego listu.

- Następnym razem wyrzucić go do kosza - poradził. - Nie lubię nawet słuchać o tym facecie. Zresztą nigdy nie przepadałem za Francuzami. Jill, spróbuj się tym nie martwić. Sama powiedziałaś, że Liz ma problemy emocjonalne po poronieniu. Może uda mi się przekonać Jamesa, żeby był cierpliwy. Muszę już iść. Mam zebranie rady o drugiej trzydziści.

Ray Andrews jechał windą do biura Borysowa.

Podróż z Londynu do Moskwy upłynęła mu przyjemnie i teraz cieszył się na spotkanie z Rosjaninem.

Wszedł do sekretariatu. Sekretarka skinęła głową i poprosiła, aby zaczekał, aż zaanonsuje Borysowowi jego przybycie. Nie spodziewał się, że przyjdzie mu czekać i trochę go to zdziwiło. Minuty mijały. Wiercił się niecierpliwie na twardym krześle. Wreszcie drzwi otworzyły się i sekretarka wróciła.

- Może pan wejść - oznajmiła.

Ray wszedł uśmiechnięty, z ręką wyciągniętą w stronę Rosjanina. Ten siedział za biurkiem i ani drgnął.

- Dymitr - powiedział Ray - jak się masz? Miło mi znowu cię zobaczyć.

- Proszę usiąść, panie Andrews.

Ray wlepił w niego wzrok. Panie Andrews? Twarz Borysowa była zupełnie bez wyrazu, nieruchoma niczym maska; spoglądał na Raya jak na zupełnie obcą sobie osobę.

Ray usiadł.

- Co się stało? Czy coś jest nie tak? - zapytał.

Borysow trzymał w ręku szklankę z herbatą. Upił łyk i spojrzał na Andrews'a znad krawędzi szklanki.

- Dlaczego próbował pan mnie oszukać?
- O czym ty mówisz do diabła? Oszukać? Co masz na myśli?
Borysow wypił herbatę i odstawił szklanę.
- Przecież widział pan umowę, prawda, panie Andrews?
- Na miłość boską, przestań zwracać się do mnie w ten sposób.
Tak, oczywiście, że widziałem umowę, czytałem ją zdanie po zdaniu, punkt po punkcie. Jest najzupełniej w porządku.

- To dobrze, że jest pan usatysfakcjonowany. - Głos Borysowa brzmiał spokojnie, jednak jego oczy płonęły gniewem.

Ray zapytał z desperacją w głosie:

- Ale cóż tam jest takiego? Powiedźże mi wreszcie.

Borysow westchnął.

- Musicie sądzić, że jesteśmy bardzo naiwni, ot, po prostu rosyjscy ignoranci, których każdy zachodni prawnik może podejść. Cóż, nie docenił nas pan, panie Andrews. My także mamy kompetentnych prawników. Nasz prezydent nalegał, abyśmy dobrze przyjrzeni się temu dokumentowi, który podsunęliście nam do podpisu. Tej honorowej ugody między naszym rządem a waszym kartelem, potwierdzonej osobistą gwarancją pańskiego prezesa.

- Ale co jest nie w porządku? - zapytał Andrews. - Co wasi prawnicy odkryli?

- Pewną lukę - odparł Borysow. - Paragraf niezmiernie korzystny dla pańskiej firmy. W przeciągu dwóch miesięcy od chwili wejścia w życie umowy zobowiązujecie się wysłać nad Bajkał ekipę, która ma tam pozostać co najmniej przez rok lub dłużej, aż do czasu, kiedy cała operacja zostanie zakończona. Tutaj, paragraf dziesiąty na stronie trzeciej. Może pan sprawdzić.

Pochylił się i podał dokument Andrewsowi.

Tekst umowy był bardzo długi i skomplikowany, w dodatku wydrukowany bardzo drobną czcionką. Paragraf, o którym mówił Borysow, zakreślono czerwonym atramentem. Andrews przeczytał go dwukrotnie, po czym popatrzył na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie biurka i potrząsnął głową.

- Nie widzę tu żadnego podstępu. Zespół ekologów i ekspertów uda się nad Bajkał w dwa miesiące po podpisaniu umowy i zostanie tam przez rok. To przecież minimum, jeśli chodzi o operację tego typu. Do tego czasu zdążą się zaledwie wciągnąć w pracę. Niemożliwe, by udało się przeprowadzić to szybciej.

- Wiem o tym - odparł Borysow. - My też mamy ekologów. Nie są ignorantami i zdają sobie sprawę z wielkości i złożoności problemu.

- Przestań się obrażać, Dymitr - powiedział Ray. - Uczepiłeś się paragrafu dziesiątego i robisz z niego jakieś straszliwe oskarżenie. Bądź uprzejmy wytłumaczyć mi, o co chodzi.

- Przepraszam, jeśli byłem niegrzeczny. Nie powinienem unosić się gniewem. Przecież poprzednio prowadząc interesy z zachodnimi firmami, mieliśmy podobne doświadczenia. Nie widzi pan, panie Andrews, nic niewłaściwego w tej umowie? Dobrze, wytłumaczę panu. Wszystko kryje się w tych sześciu słowach: „do czasu, kiedy operacja zostanie zakończona”. Tutaj powinno być jeszcze dodane: „za obopólną zgodą stron”. To by was zobowiązywało, to by znaczyło, że nie możecie pojawić się nad Bajkałem na kilka miesięcy, a potem wycofać się ze wszystkiego pod pretekstem, że projekt jest ekonomicznie nieopłacalny. To właśnie szczególnie podkreślałem w rozmowach z panem. Zobowiązanie bez limitów czasowych. W zamian za to mieliśmy stać się częścią waszego monopolu diamentowego. Natomiast wy sformułowaliście umowę w ten sposób, że po roku możecie opuścić Bajkał w dowolnie wybranym przez was czasie, a my nie mamy żadnych możliwości, by was zatrzymać. Dokonaliście tego opuszczając te kilka słów: „za obopólną zgodą stron”.

- Boże Wszzechmogący!

Ray wstał i oddał umowę Borysowowi. Ten odsunął ją.

- Może ją pan sobie zatrzymać. Dla mnie jest już bezużyteczna. Jestem winien usprawiedliwienie panu Karakowowi z powodu powstałego opóźnienia.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział Ray powoli. - Nie sędzę, abyś mi uwierzył, ale po powrocie do Londynu przedstawiłem całą sprawę tak, jak ją uzgodniłiśmy. Dostałem osobistą gwarancję mojego szefa i zaakceptowałem umowę w dobrej wierze. Mój dyrektor, Arthur Harris, jest osobiście odpowiedzialny za sporządzenie tej umowy.

Borysow wzruszył ramionami. Obojętnie spoglądał na Andrews, jakby przyjaźń, jaka zrodziła się między nimi, nigdy nie istniała.

- Arthur obiecał mi - ciągnął Ray. Czuł, że się poci. Był tak wściekły, że drżał na całym ciele. - Dał mi słowo, że uczciwie przystąpimy do spółki z wami. Wierzyłem mu. Nie jesteś jedynym, który został oszukany w tej sprawie. Zresztą nie udało mu się ciebie oszukać. Przykro mi. Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że jest mi bardzo przykro. Naprawdę nie stałem po ich stronie.

- Zawrzemy umowę z Karakow International - zauważył Borysow.

- Tak - odparł Ray. - Spodziewałem się tego.

- Kiedy pan wyjeżdża?

- Mam zarezerwowany powrót na wtorek. - Czuł, że płonie ze wstydu.

- Na pana miejscu wyjechałbym wcześniej. Nic tu pana nie zatrzymuje.

Pod wpływem impulsu Ray podszedł do biurka i wyciągnął rękę. Dymitr Borysow zignorował ten gest.

- Nie wiedziałem o niczym - powtórzył Ray. - To już bez znaczenia, ale chciałbym, abyś uwierzył, że nie miałem o tym pojęcia. Mnie także oszukali.

Nagle Borysow podniósł się i uściskał rękę Raya.

- Wierzę ci. Życzę ci dobrej drogi powrotnej.

- Zegnaj, Dymitr.

Wyszedł z biura. Dopiero na ulicy zorientował się, że ciągle trzyma w ręku bezużyteczną już umowę. Zatrzymaj ą. Zabierze do Londynu i rzuci w twarz Arthurowi Harrisowi.

Wrócił do hotelu i nadał otwarty faks do Londynu, adresowany do Harrisa.

Umowa niezaakceptowana, rozmowy zerwane, wracam natychmiast. Andrews.

Kiedy wrócił do pokoju, by się spakować, zastał czekający na niego faks.

Transakcja w Paryżu zakończona sukcesem. Hastings wrócił. Kończ tak szybko, jak tylko możliwe. Osiągnęliśmy podwójne zwycięstwo. Pozdrowienia, Arthur.

Ten termin zaczerpnięty z wyścigów przyprawił go niemal o mdłości. Zupełnie nie panował nad sobą. Przedał faks na pół i rzucił na podłogę. Hastings wykonał zadanie. Nikt mu się do niczego nie mieszał. Ale przecież jego misja też zakończyłaby się sukcesem, gdyby Arthur nie zepsuł wszystkiego. Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Wysłali go, aby kłamał wobec człowieka, który mu zaufał. Obecnie jego kariera legła w gruzach, a wszystko dlatego, że Arthur oszukał go tak samo, jak oszukał Rosjan. Przez całe lata wszyscy wspierali Arthura. On sam, Kruger, stary Wasserman, który wyraźnie miał do niego słabość, i Bóg wie ilu jeszcze pracowników niższego szczebla. Tylko Heyderman uważał Arthura za głupca.

- Na Boga - powiedział Ray do siebie. - Heyderman miał rację. Nie ma niebezpieczniejszego głupca niż głupiec pozbawiony honoru. Jednak tym razem będzie musiał ponieść pełną odpowiedzialność. Nie mam zamiaru osłaniać dłużej tego sukinsyna. Zmarnował szansę zawarcia umowy z Rosjanami i zamierzam powiedzieć to głośno.

Podjął decyzję, choć wiedział, czym się to dla niego skończy. Nie zmartwił się jednak. Wtedy w biurze, gdy Dymitr Borysow zarzucił mu stosowanie oszukańczych tricków, coś się w nim załamało. Mogło mu się to przytrafić o jakiegokolwiek porze, ale przydarzyło się właśnie teraz. Miał dosyć. Złapał wieczorny samolot i większą część długiej podróży spędził sporządzając raport, opisując pertraktacje z Rosjanami od samego początku. Miał zamiar wręczyć go Reece'owi.

- Dziękuję, Joy.

Reece poskładał kartki, które dla niego przepisała. Po pobycie w Bath wyglądała znacznie lepiej. Miał dla niej nowiny. Niedługo wracają do domu, do słońca. Już na Boże Narodzenie.

- Pan Julius powiedział, że wrócę razem z nimi. Uważa, że do tego czasu wszystko się wyjaśni i możemy opuścić Londyn i nie wracać tu aż do następnego walnego zebrania akcjonariuszy w marcu.

Popatrzyła na niego.

- A czy Arthur Harris wie, co wtedy nastąpi? Jesteś pewien, że niczego nie podejrzewa?

- Na pewno nie - odparł Reece. - Sporządziliśmy ten raport wspólnie z Andrewsem i jesteś jedyną osobą, która go widziała. Może domyślać się, że czeka go walka, ale nie wie jeszcze, czym go wykończymy, dopóki nie usłyszy zarzutów przed całym zarządem. - Potrząsnął papierami. - Napisałem tu wszystko, co mi powiedział Andrews. To go załatwi.

- Dobrze - odparła Joy. - Heyderman już od lat pragnął się go pozbyć. Znowu będzie miał ci coś do zawdzięczenia.

Robiła sweter dla niego i jej palce trzymające druty poruszały się błyskawicznie. Perspektywa usunięcia Arthura wprawiła ją w zadowolenie. Zawsze czerpała radość z cudzych niepowodzeń. Harrisa nienawidziła, gdyż nienawidził go jej brat. Harris pomiałał Reece'em i teraz przyjdzie mu za to zapłacić.

- On nigdy nie był dobry - mówił Reece. - Gdzie mu tam do pana Juliusa, który musiał go tolerować przez całe lata. Tym razem Harris popełnił swój ostatni błąd.

- A jaki będzie ten nowy? - zapytała. - Czy on już wie, co na nastąpić?

- Nie - odparł Reece. - Wystrzegąłem się mówienia mu czegośkolwiek. Pan Arthur mógłby z tego wyciągnąć jakieś wnioski. A Kruger dostał kosza od swojej pani. Dramat na całe biuro.

- Ruth Fraser to ladacznica, prawda? - wymamrotała Joy, liżąc oczka.

- Ladacznicą - zgodził się. - Jest teraz asystentką Hastingsa. Pewnie zwiąże się z nim, skoro żona od niego odeszła.

- Oni są niemoralni - powiedziała Joy, ściągając usta. - Zupełnie jak zwierzęta. Och, czy to nie będzie wspaniale, uciec od tej okropnej pogody i wrócić do domu?

Książę Titulescu bawił się ze swoim małym synkiem. Córka Iwana obserwowała ich, uśmiechając się z zadowoleniem. Uwielbiała dziecko i była bardzo przywiązana do męża. Nie był najwspanialszym z kochanków, jednak obecnie bardziej ceniła sobie spokojne życie rodzinne niż porywy namiętności. Jej niemiecki baron łączył w sobie ognisty temperament z pożądaniem pieniędzy, a gdy ich nie otrzymywał, posuwał się do rękoczynów. Eugene był dobrym mężem, oddanym ojcem i dżentelmenem o staroświeckich manierach, który znosił wybuchowy temperament i napady złego humoru jej ojca ze stoickim spokojem. Przez ostatnie tygodnie zaiste sporo wycierpiał z tego powodu.

- Rozmawiałam wczoraj z matką - powiedziała. - Udało się jej wreszcie jakoś uspokoić ojca.

Książę kołysał synka na kolanie, naśladując przy tym rzenie konia. Przerwał na chwilę zabawę i rzekł:

- Dzisiaj był w znacznie lepszym nastroju. - Uśmiechnął się do dziecka. - Nawet na mnie nie krzychał... No, dosyć już, kochanie. Konik jest zmęczony.

Zsadził chłopca z kolan, a ten poręczkował do matki.

- Byłeś dla niego taki wyrozumiały - mówiła. - Ale on naprawdę przeżywał ciężkie chwile. Dzięki Bogu zrezygnował już z pomysłu wytoczenia procesu tej aktorce. Matka mu to wyperswadowała. Z nikim innym nie zechciałby nawet rozmawiać. Bałam się, że dostanie ataku serca. On podchodzi do wszystkiego bardzo emocjonalnie. - Ujęła syna za rączkę. - Chodź, kochanie, poszukamy Angeli. Już czas na kąpiel. Gdy będziesz w łódeczku, przydziemy powiedzieć ci dobranoc.

- A ja poczytam ci bajkę - obiecał książę.

Gdy został sam, westchnął ciężko. Ostatnie tygodnie były dla niego koszmarem. Teść wyładowywał na nim swoją wściekłość, obrzucając go wyzwiskami przy każdej okazji, a nawet oskarżając o spowodowanie całego nieszczęścia, gdyż to on przedstawił mu Madeline Luchaire. Książę żył w ciągłym strachu, że jego udział w intrydze wyjdzie na jaw. Wszak to on, zgodnie z poleceniem szantażysty, ułatwił Hastingsowi spotkanie z aktorką. Teraz, kiedy wieści o rzekomym fałszerstwie rozeszły się szeroko, zrozumiał, co właściwie zaszło i dlaczego. Hastings celowo skłamał, a on mu w tym dopomógł. Gdyby teściowie dowiedzieli się, że maczał w tym palce, byłiby bezlitośni. Eugene żył w ciągłym napięciu. Stracił na wadze, gdyż ze zmartwienia nie mógł jeść, a sypiał tak źle, że żona poradziła mu, by udał się do lekarza.

Przerazał go ewentualny proces, rozgłos wokół tej sprawy, zemsta kobiety, której chciwość nie została zaspokojona, poirytowany Iwan, miotający swoje pogrożki. Tak spokojna przyszłość mogła okazać się iluzją. Straciłby pracę, żona pewnie by go opuściła, zabierając synka. Cierpiał w milczeniu, oczekując najgorszego.

Potem nagle w Karakowie nastąpiła jakaś zmiana. Tyran zniknęła, pozostał stary, zmęczony człowiek, niemający już chęci do dalszej walki. Intryga uknuta wokół diamentów okazała się śmiertelnym ciosem. Przestał nazywać je Diamentami Romanowych. Pozbawiono go iluzji. Okazało się, że kamieni nie da się sprzedać i Iwan już zaczął przebąkiwać o odesłaniu ich do Moskwy. Głównie wyzywał się na zięciu, gdyż ten był łatwą ofiarą, jednak potem nawet wobec niego złagodniał. Titulescu nie lubił Laury Karakow, jednak podziwiał ją za to, jak zręcznie udało się jej uspokoić męża, przekonać go, by odstąpił od procesu, a nawet - co bardziej zaskakujące - namówić, by pogodził się z Diamond Enterprises. Nie było już mowy o złamaniu monopolu, o samodzielnym wejściu na rynek. David Wasserman co i rusz pojawiał się w biurze i w końcu Iwan powoli otrząsnął się z szoku. Interesy

szyły dobrze, plotki ucichły, a ponieważ dotychczas Karakow cieszył się opinią bardzo uczciwego jubilera i był ogólnie poważany, złośliwa kampania prowadzona przez Luchaire także straciła impet. Nadal co prawda nie mógł sprzedać purpurowych diamentów, jednak perspektywy dalszej współpracy z DE zapowiadały się nieźle. Jako nagrodę za powrót do rodziny obiecano mu szczególnie wartościowy pakiet. Tak więc Iwan doszedł do siebie, jednak jego zięć wiedział, że za tą pełną pychy fasadą kryje się ciężko doświadczony człowiek. Eugene nie żywił do niego urazy za wszystkie awantury i wyzwiska; nie był gwałtowny ani mściwy. Odczuwał wdzięczność wobec losu, że niebezpieczeństwo minęło, a jemu udało się ująć całość.

Poszedł do sypialni, by poczytać swojemu synkowi bajeczkę na dobranoc. Wciąż tę samą, o rodzinie małych myszek, ale chłopczyk nigdy nie był nią znudzony.

W drodze do Stanów Wassermanowie zatrzymali się w Londynie i zaprosili Jamesa na obiad dla uczczenia sukcesu. Zamieszkali w Connaught, gdyż lubili elegancję tego hotelu i cenili sobie jego kuchnię, ich zdaniem najlepszą w Londynie.

- No więc - zaczął David - wszystko załatwione. Iwan podpisał się pod naszymi warunkami potulny jak baranek. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Wszystko dzięki tobie.

- A odkąd Rosjanie zerwali z Andrewsem, zostałeś numerem pierwszym, mój chłopcze - przypomniała mu Clara. - Zajdziesz na sam szczyt.

- Może - zgodził się James - ale naprawdę żal mi Raya. Arthur pozbawił go gruntu pod nogami, formułując umowę w sposób tak dwuznaczny. Odnoszę wrażenie, że tym razem nie ujdzie mu to na sucho. Andrews pragnie jego krwi. - Uśmiechnął się, ale nie był to wesoły uśmiech. - Tak więc Arthur stara się być miły dla mnie. Najpierw zaprosił mnie na lunch, a ostatnio na weekend do Hampshire. Potrzebuje sojuszników i myśli, że dam się na to nabrać.

- Ale ty nie pojedziesz? - upewnił się Wasserman.

- Nie. Nie zapomniałem tego, co mi zrobił. Niech tonie, nie będę spieszył z kołem ratunkowym.

Clara nie wtrącała się do rozmowy. Hastings wyglądał obecnie znacznie starzej. Otaczała go aura zgorzknienia, co było bardzo deprymujące. W przeciwieństwie do Davida nie lubiła go, ale musiała podziwiać jego determinację w postępowaniu, która rzuciła na kolana takiego człowieka jak Iwan Karakow. Ale co było najbardziej denerwujące, to to, że jemu zdawało się wcale na tym nie zależeć. Oczywiście, to wina tej jego żony. Zęby tak go zostawić, kiedy jej najbardziej potrzebował. Gdyby miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, wystąpiłby o rozwód i poszedł się zabawić. Tylko wskazówki udzielone jej przez Davida powstrzymały ją od powiedzenia tego na głos.

- Pewnie jesteście zadowoleni, że wracacie wreszcie do domu - powiedział James. - A skoro już prawimy sobie komplementy, to tylko ty, Davidzie, mogłeś negocjować z tym starym krętaczem i przywołać go do porządku. W twoje ręce - podniósł kieliszek.

- Za zdrowie nas wszystkich - odparł David - i za powodzenie w interesach.

- Za to z pewnością - odparł James sucho.

Przeczytawszy raport swojego podwładnego, Miller osobiście udał się do Bath i odbył rozmowę z dyrektorem hotelu. Bardzo grzecznym, niemal przepaszającym tonem poprosił o odpowiedź na kilka pytań dotyczących klientów hotelu, mówiąc, że w grę może wchodzić przestępstwo kryminalne. Dyrektor poczuł się jednocześnie udobruchany i zaniepokojony. Przestępstwo mogło przecież oznaczać skandal dla hotelu. Natychmiast posłał po żądany rejestr gości. Miller zaczął go przeglądać. Wpis był czytelny, dokonany pismem kaligraficznym. Pomyślał, że tak musi pisać ktoś wyćwiczony w prowadzeniu ksiąg. Pan i pani Ryan, adres i data, narodowość. Wynotował te dane. Potrzebował jak najwięcej

szczegółów, by podsycać zainteresowanie swojej bogatej klientki. Nie chciał, by odwołała dalsze dochodzenie.

- Który pokój zajmowali? - zapytał.

- Podwójną sypialnię na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na południe. Takie było jego życzenie przy dokonywaniu rezerwacji. Mieli też zamówione bilety do teatru. Mieszkali tu od piątku do następanej niedzieli.

Dyrektor był mężczyzną wysokim, o imponującej posturze, jednak tego typu pytania zawsze działały na niego deprymująco. Ostatnim razem, gdy pewna dama zgubiła gdzieś dwie sztuki biżuterii i wezwano policję, nie był w stanie nic przelknąć przez trzy dni, tak się przejął.

- Wyglądali bardzo miło - powiedział. - Tak spokojnie.

- O tak - odparł Miller. - Oni zawsze tak wyglądają. Czy pokój w tej chwili jest wolny? Chciałbym go obejrzeć.

- Zajęty - wyjaśnił dyrektor - ale mogę panu powiedzieć o nim wszystko, co chce pan wiedzieć. W końcu co to za różnica?

- Są tam łóżka pojedyncze czy podwójne? - zapytał Miller.

Dyrektor zakasłał.

- Podwójne. Nawet o to pytał, dokonując rezerwacji.

- Tak - rzekł Miller - rozumiem... Proszę mi powiedzieć, czy to jest ta kobieta, która zameldowała się tutaj jako pani Ryan? - Wyciągnął fotografię sekretarki Reece'a, zrobioną w chwili, gdy wychodziła z biura.

Dyrektor potrząsnął głową.

- Nie - powiedział - to z pewnością nie ona. Tamta była niższa, ciemna, niespecjalnie przystojna. Młodsza niż ta na zdjęciu. Słyszałem, że zwracał się do niej per Joy, jeśli to panu w czymś pomoże.

- Po prostu chciałem się upewnić - wyjaśnił Miller. - Czy zechciałby pan teraz zidentyfikować jego? Czy to ten mężczyzna wynajął pokój? To zwykła formalność, ale musimy przez to przejść. Znalezienie kobiety będzie drobnostką.

Dyrektor popatrzył na inną fotografię, tym razem zrobioną przed wynajmowanym przez Reece'a mieszkaniem. Miller zatrudniał znakomitego fachowca. Obserwowani nigdy nie zauważali, że ktoś ich fotografuje.

- Tak - powiedział dyrektor - to z pewnością on. O, a tu za nim stoi właśnie ta dama. Tak, to ona. Poznałbym ją wszędzie.

Miller wziął odbitkę do ręki i przyjrzał się jej uważnie. W biurze miał całą serię podobnych ujęć. Jedno z nich przedstawiało tę samą kobietę, trzymającą Reece'a za ramię. Nie zajmował się nią do tej pory. Portier powiedział mu, że to siostra Reece'a. Wizytówka w hallu głosiła: *Pan P Reece i panna J. Reece. Mieszkanie 27.*

- Jest pan pewien, że to ta sama kobieta? - zapytał. - Czy aby nie myli się pan?

- Z całą pewnością nie - odparł dyrektor, zadowolony, że udało mu się zidentyfikować kobietę. - To właśnie ona. Dokładnie taka, jak panu opisałem: niska, ciemna, bez makijażu. Nazywał ją Joy, jak już mówiłem.

- Zgadza się - rzekł Miller - mówił pan. Cóż, bardzo dziękuję. Chciałbym jeszcze otrzymać wypis z książki gości, ale poza tym nie będę już pana fatygował. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - odparł dyrektor i odchrząknął: - Pan coś wspominał o przestępstwie...

- Owszem, wspominałem. Paskudna sprawa.

Wyszedł z hotelu. W najbliższym pubie, zaraz za rogiem, zamówił piwo i usiadł przy stoliku. Paskudna sprawa to nie było najlepsze określenie. Zastanawiał się, co też panna Heyderman robi z tymi wszystkimi informacjami po otrzymaniu jego raportu.

- To nie jest zbyt miłe - Miller potrząsnął głową - ale człowiek nigdy nie wie, na co natrafi, gdy zaczyna grzebać w czyimś życiu.

Stella ciągle studiowała raport. Przyszła do biura zaraz po jego telefonie i natychmiast zagłębiła się w czytaniu.

- Czy jest pan tego pewien? Czy jest pan absolutnie pewien, że to jest jego siostra?

- Nie ma żadnych wątpliwości - odparł Miller. - Miałem zamiar skontaktować się z panią od razu, potem jednak pomyślałem, że lepiej będzie dla pewności posprawdzać pewne fakty. Jeden z moich ludzi w Hiszpanii udał się do hotelu, gdzie zatrzymali się w tym roku podczas wakacji, i zadał tam kilka pytań. Odpowiedź była taka sama: pan i panna Reece. Tym razem mieli pojedyncze, lecz przylegające do siebie pokoje, gdyż musieli okazywać paszporty. Tamtejszy personel zidentyfikował ich, tak samo dyrektor hotelu w Bath. To brat i siostra. Och, odkryliśmy jeszcze coś, także niezbyt przyjemnego. Jedna z hiszpańskich pokojówek, dostawszy od mojego informatora dwieście peset, zdradziła mu to i owo poza plecami dyrektora. Sjęstę zawsze spędzali w jednym pokoju. Poza tym, przeglądając kiedyś szuflady w pokoju siostry, dziewczyna znalazła trzcinkę, starannie schowaną między ubraniami. Wygląda na to, że mamy do czynienia nie tylko z kazirodztwem, lecz także z sadyzmem.

- Boże - powiedziała Stella - a więc to tak.

Miller wzruszył ramionami.

- Miewałem już podobne sprawy i wiem, że najczęściej w stosunkach kazirodczych pojawia się jakiś dodatkowy element perwersji. Pytanie brzmi, co pani zamierza z tym zrobić.

- Właśnie się zastanawiam - odparła. - Wiem, co bym zrobiła, gdybym była w Afryce. Wysłałabym pański raport prosto do rąk policji. Natomiast tutaj nie jestem nawet pewna, czy to jest przestępstwo.

- Ależ oczywiście, że jest - powiedział Miller. Wyglądał przy tym, jakby przypuszczenie, że prawo angielskie aie przewiduje takiej ewentualności, mocno go dotknęło. - Kazirodztwo jest przestępstwem. Oboje pójdą za to do więzienia. Tu nie ma żadnych wątpliwości. Ale czy naprawdę tego pani chciała? To znaczy,

chciałem powiedzieć, że nie może pani po prostu poinformować policji i zapomnieć o całej sprawie. Gdyby doszło do procesu, musielibyśmy składać zeznania i nie mógłbym pani zagwarantować, że pani nazwisko nie dostanie się do gazet. Nie chciałbym, aby pani żałowała swojej decyzji. Proszę to sobie jeszcze przemyśleć.

- Już przemyślałam - odparła. - Dwudziestego drugiego grudnia wracam do Johannesburga. Policji zajmie chyba trochę czasu, zanim rozpatrzy się w tej sprawie, czyż nie?

- Z pewnością. Jesteśmy powolni, ale bardzo dokładni. Służyłem w policji przez lata i ciągle mam tam wielu znajomych. Nie będą działali w pośpiechu. Muszą przesłuchać tę parkę, przeprowadzić swoje własne śledztwo, by potwierdzić to, co im powiemy. To znaczy, jeśli pani zdecyduje się powiedzieć im cokolwiek.

- Tak, zdecydowałam się. - Stella wstała. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie tę chwilę. Nie czuła ani triumfu, ani smaku zemsty. Było jej niedobrze, jakby natrafiła na coś brudnego, na robactwo. - Proszę to przesłać policji. Jeśli pan chce, może pan dodać jeszcze pozostałe ustalenia. Proszę się nie martwić o koszty. Mój ojciec przyjeżdża wkrótce w interesach i Reece ma opuścić Anglię w tym samym czasie co my, więc jeśli się nie pospieszymy, może nam umknąć. Niech pan lepiej zwróci na to uwagę policji.

- Tak zrobię - powiedział. Pomyślał, że jej umysł pracuje bardzo szybko, że nie ma w niej ani odrobiny niezdecydowania. - Pani pragnie, aby policja zatrzymała Reece'a i nie pozwoliła mu opuścić Anglii, czy tak?

- Tak. - Popatrzyła na niego. - W Afryce ma zbyt wielu przyjaciół w policji. Tu się nie wykręci. Proszę mi podać numer pańskiego konta. Bardzo dziękuję za wszystko. Zrobił pan wspaniałą robotę. Jeśli kiedykolwiek usłyszę, że ktoś potrzebuje prywatnego detektywa, skieruję go do pana.

- Do widzenia, panno Heyderman, i bardzo dziękuję. Cieszy mnie, że jest pani usatysfakcjonowana.

- O tak, jestem - odparła. - Jestem najbardziej usatysfakcjonowaną klientką, jaka kiedykolwiek korzystała z pańskich usług.

- Pomyślałem sobie, że w klubie będzie o wiele bardziej kamealnie - powiedział Philip Fairfax. - No i tutejsze jedzenie i wina są wyśmienite.

James nigdy przedtem nie był w klubie Boodles. Czasami, zerkając w słynne łukowe okna, dostrzegał płonące węgle na kominiku i gości zagłębianych w obitych skórą fotelach. Nie mógł jednak zatrzymać się i zajrzeć do środka; takie zachowanie byłoby nie do pomyślenia. Spodobało mu się to wewnątrz: komfortowo urządzone, przesycone zapachem skóry i cygar. Panowała tu atmosfera tradycyjnego męskiego klubu, do którego kobiety nie mają wstępu.

Podążył za ojcem Elisabeth do jadalni, gdzie wskazano im stolik w rogu sali. Zaproszenie zaskoczyło go, aczkolwiek domagał się spotkania z ojcem Liz. Tak, ten lunch z pewnością nie jest bez powodu. Prawdopodobnie teść chce czegoś od niego. Pewnie rozwodu dla Elisabeth. Widocznie dlatego zachowuje się teraz tak przyjaźnie. Teściowie nigdy go nie lubili i nie chcieli, aby Elisabeth za niego wyszła. Gdy przekonali się, że jest to nieuniknione, zrobili dobrą minę do złej gry, jednak on nie dał się oszukać pozorom. Teraz mieli córkę z powrotem i na pewno chcieli się go pozbyć, by mogła znaleźć sobie kogoś bardziej odpowiedniego.

- Zobaczmy, co mają w karcie - zaproponował Philip Fairfax. - Podają tu naprawdę znakomite steki i najlepsze w całym Londynie nereczki. Mogę też zamówić wyborny claret.

Popatrzył badawczo na Jamesa. Mimo poprawnych stosunków dzieliła ich nieprzenikniona bariera. Philip nie potrafił zaakceptować zięcia do końca.

- Nie piję podczas lunchu, dziękuję. Wszystko mi jedno, co będziemy jedli; zamów cokolwiek. Natomiast chciałbym się dowiedzieć, co ja tu właściwie robię.

Ojciec Elisabeth skrzywił się lekko. Taka obcesowość nie była w jego stylu. Przywykł do zupełnie innego sposobu załatwiania spraw.

- Musimy pomówić o Lizzie - odparł - i zastanowić się, co można zrobić, by ci pomóc naprawić tę sytuację. Jesteś pewien, że chcesz stek i cynaderki?

- Tak, tak, cokolwiek - powtórzył James. - To znaczy, że ty nie jesteś przeciwko mnie? Nawet po tym wszystkim, co Liz wam powiedziała?

- Liz powiedziała nam to, czego naopowiadał jej ten cholerny Francuz. Nie dowierzam mu i Jill także. Słuchaj, James, ty chyba byłeś zupełnie ślepy, skoro się nie domyśliłeś, że on jest w niej zakochany. Ślepy jak kret.

- Pewnie byłem - odparł wolno James. - Jest od niej tyle starszy, że nigdy nie przyszło mi to do głowy. Zanim powiemy sobie całą resztę, chciałbym zapewnić cię o jednym. Nie dostałem żadnej wiadomości, że Liz jest w szpitalu i że straciła dziecko. Przyleciałem do Paryża bezpośrednio po rozmowie z lekarzem, ale Liz już opuściła klinikę i wyjechała z tym bękartem. To jest cała prawda.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Philip Fairfax powiedział: - Jestem pewien, że tak było. Musimy jednak sprawić, by Liz w to uwierzyła. Ona ciągle cię kocha, a ty kochasz ją. Ale ona nie posłucha żadnego z nas. W dodatku ten facet przyjeżdża do niej. Najpierw były listy i telefony... regularnie, niczym woda kapiąca z nieszczelnego kranu... kap, kap, kap. To strasznie irytujące. Myślę, że powinieneś wrócić ze mną na wieś i porozmawiać z Elisabeth. Będzie wściekła, ale tego nie unikniemy. To wszystko trwa już zbyt długo, James. Niebawem dojdziecie do takiego punktu, od którego nie będzie już odwrotu. Co powiesz na mój pomysł? Ach - odwrócił się do kelnera - dzień dobry, Tom. Dwa razy stek i cynaderki w cieście. I pół butelki czerwonego wina. Jesteś pewien, James, że nie przyłączysz się do mnie? Nie ma sensu zamawiać całej butelki tylko dla mnie.

James potrząsnął głową. Pojechać do Freemantle i zobaczyć się z Elisabeth. Zaskoczyć ją, spróbować jeszcze raz ją przekonać. Należy się pospieszyć, ponieważ inny mężczyzna pragnie wykorzystać sytuację i jest już w drodze. Telefony, listy... kap, kap, kap. Teraz planuje przyjazd.

Kelner przyniósł zamówione dania. Jedli w milczeniu. James nie odpowiedział na zaproszenie Fairfaxa, a ten nie przynaglał. Obserwował zięcia. Widok zgorzkniałego, wyraźnie cierpiącego Jamesa napełnił go smutkiem. Kiedy podano kawę, zapytał ponownie:

- Pojedziesz ze mną? Wyjeżdżam koło piątej.

- Nie - odparł James. - Nie. Nie zniósłbym, gdyby mnie odtrąciła. To byłby już koniec, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. To zaskakujące, bo ani ty, ani Jill nie przepadaliście za mną, a jednak nie wierzycie, bym mógł się zachować jak ostatni łajdak. Natomiast moja żona uwierzyła. To boli. Nic na świecie nie jest dla mnie ważniejsze niż ona i dziecko. Cóż, Elisabeth musi sama podjąć decyzję. Ja nie będę już dłużej nalegał. Ale dzięki, że okazałeś się moim przyjacielem. Naprawdę nie spodziewałem się tego.

Wstał od stołu.

- Tak mi przykro, James - powiedział Philip Fairfax. - Jesteśmy po twojej stronie i zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Jeśli ten cholerny facet rzeczywiście przyjedzie, będzie musiał umówić się z nią w Londynie, bo ja nie mam zamiaru gościć go u siebie.

Potrząsnął głową, odprowadzając wzrokiem wychodzącego zięcia. Czasami sprawy mogą osiągnąć taki punkt, skąd nie ma już odwrotu. Być może James właśnie tam dotarł.

12.

- Jeżeli chciał się pan zobaczyć z panem Hastingsem, to przykro mi, ale nie będzie go w biurze aż do piętnastej.

Ruth Fraser mówiła takim tonem, jakby Kruger był kimś zupełnie obcym. Jej spokojny, beznamiętny głos wzbudził w nim gniew i poczucie krzywdy.

- Przyszedłem zobaczyć się z tobą - powiedział.

- Prosiłam cię, abyś tego nie robił - odparła, zniżając głos. - Biuro nie jest odpowiednim miejscem do takich rozmów.

Kruger podszedł w stronę biurka i popatrzył na nią z wściekłością.

- Pieprzę biuro. Jak mogłaś mi to zrobić, Ruth?

Jego oddech był przesycony zapachem whisky. W biurze mówiono, że trzyma w szufladzie butelkę i popija ukradkiem. Postanowiła nie prowokować go bardziej.

- Dick - powiedziała łagodnie - bądź rozsądny. Nie chciałam cię zranić. Przeżyliśmy razem wspaniałe chwile. Naprawdę... Ale kiedy byliśmy z dala od siebie, uświadomiłam sobie, że nie chcę zostać twoją żoną. Nie odpowiada mi związek tego typu. W tej sytuacji najlepiej jest zerwać ze sobą. Naprawdę nie możesz tego zaakceptować?

- Nie - odparł, wbijając w nią spojrzenie. - Nie taki jest prawdziwy powód. Opuściłaś mnie, ponieważ za moimi plecami pieprzyłaś się z Hastingsem i teraz, gdy żona od niego odeszła, myślisz, że dzięki niemu pójdziesz o szczebel wyżej. Dlatego mnie

zostawiłaś. Raz w życiu powiedz prawdę. Rzeczywisty powód był właśnie taki.

Ruth zerknęła w stronę drzwi. Podniesiony głos Dicka z pewnością było słycać na korytarzu.

- Zamknij się i przestań mi wymyślać!

Jej opanowanie prysło jak bańka mydlana. Początkowo było jej go żal, teraz czuła już tylko nienawiść i pogardę. Okazał się taki słaby. Najpierw błagał, teraz zaczął atakować. Podobne awantury mogły zaważyć na jej karierze zawodowej. Nie wolno do tego dopuścić. Wstała, wyszła zza biurka i stanęła tuż przed nim.

- Wynoś się - syknęła. - Nie chcę cię więcej widzieć. Nie pierzę się z Hastingsem ani z nikim innym. Nigdy tego nie robiłam. Po prostu skończyłam z tobą, bo znudził mnie ten romans. Jesteś stary i miałam cię dosyć zarówno w łóżku, jak i poza łóżkiem.

Uderzył ją w twarz, aż się zachwiała. Jej ręka automatycznie powędrowała do obolałego policzka.

- Wynoś się - powtórzyła. - Wyjdź stąd, zanim zawołam strażnika.

Poruszył się niepewnie.

- Pójdę - powiedział - ale nie myśl sobie, że ujdzie wam to na sucho, tobie i twojemu kochasiowi. Będziemy walczyć... Tak, w tej firmie dojdzie jeszcze do walki na śmierć i życie. Hastings przegra. Do zobaczenia, dziwko.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

Ruth poszła do łazienki i przemyła twarz zimną wodą. Nabrzmiały policzek pulsował coraz boleśniej; z pewnością niebawem pojawi się siniec. Drżała z szoku i wściekłości. Uderzenie przypomniało jej o razach otrzymywanych w dzieciństwie, o silnych ciosach pięścią w twarz, kiedy nie odrobiła lekcji albo zbyt wolno zmywała po obiedzie, albo też zupełnie bez powodu, po prostu dlatego, że znalazła się pod ręką, a ojciec akurat był w złym humorze. Ilekroć później jakiś mężczyzna zachował się wobec niej brutalnie, Ruth pragnęła go zabić, tak jak zawsze pragnęła zabić ojca.

Dick oczywiście był pijany i zgrywał ważniaka, ale po firmie krążyły przecież różne pogłoski na temat tego, co przyniesie najbliższe posiedzenie zarządu.

Otwarta kłótnia między Arthurem Harrisem a Rayem Andrewsem. Wszyscy słyszeli, jak krzyczeli na siebie po powrocie Andrewsa z Moskwy. Julius Heyderman pojawi się niebawem, by przewodniczyć posiedzeniu. James Hastings jest gotowy do rozstrzygającej rozgrywki.

Dzięki niemu otrzymała podwyżkę pensji i specjalną premię. Ich wzajemny stosunek nie uległ natomiast żadnej zmianie. James stał się nawet bardziej oficjalny niż do tej pory. Całkowicie zamknął się w sobie i nie pozwalał nikomu przekraczać tej bariery. Ruth też nie próbowała tego robić. Wiedziała, że Hastingsowie żyją teraz w separacji. Biurowe plotki głosiły, że Elisabeth po poronieniu przeszła kryzys nerwowy i opuściła męża. Ruth nie przywiązywała do tego zbytnej wagi. Uprzednio widziała żonę Jamesa może raz czy dwa i instynktownie poczuła do niej antypatię. Uprzywilejowana, zadzierająca nosa, rozpuszczona i zepsuta. W dodatku głupia... Żeby zostawić takiego mężczyznę jak Hastings tylko dlatego, że straciła dziecko. Ruth mogłaby jej udzielić kilku wskazówek na temat mężczyzn.

Usłyszała jakiś szmer za plecami, a potem głos Jamesa.

- Ruth? Przepraszam, ale drzwi były otwarte.

Odwróciła się.

- Chryste, co ci się stało?

- Dick Kruger - odparła krótko. - Przepraszam pana.

Minęła go w drzwiach i wróciła do pokoju. Poszedł za nią.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że cię uderzył?

- Był pijany - wyjaśniła. - Wpadał tu już kilkakrotnie z awanturą, ale tym razem zupełnie stracił panowanie nad sobą. Wszystko w porządku, to był tylko policzek. Tyle że Dick jest silny.

- A to łajdak! - wykrzyknął James. - Już ja dopilnuję, by się tu więcej nie pokazywał. Pójdę i zamienię słowo...

- Nie - powstrzymała go. - Proszę, nie. To naprawdę jest bez

znaczenia. On tu już więcej nie przyjdzie. Nie chcę robić zamieszania. Mój ojciec bił mnie pasem - dodała nieoczekiwanie dla siebie samej. - Naprawdę nic się nie stało.

- Usiądź, Ruth - powiedział James. - Wezmę samochód i odwiozę cię do domu. Może powinnaś pójść do lekarza. To mi wygląda na poważny uraz.

- Jak się panu udał lunch? - Ruth starała się skierować rozmowę na inne tory. Nie chciała, by robił scenę Krugerowi. Gdyby Dick powtórzył mu wszystkie swoje zarzuty, James mógłby dojść do wniosku, że nie powinna pracować jako jego asystentka.

James przysiadł na skraju biurka. Ruth siedziała na krześle, z ręką przyciśniętą do pulsującego policzka.

- Lunch? - zastanowił się przez chwilę. - Spotkałem mojego teścia. Myślałem, że poprosi mnie, abym przystał na rozwód. Byłem gotów walczyć, porachować się z nim. - Zacisnął dłonie w pięści. - Teść nigdy mnie nie lubił, podobnie jak teściowa. Myślałem, że staną po stronie mojej żony. Myliłem się, kompletnie się myliłem.

Ruth spoglądała na niego. James mówił raczej do siebie samego niż do niej.

- Teściowie pragną, abyśmy wrócili do siebie. To najlepiej świadczy o tym, jak bardzo byłem w błędzie.

Ruth odczekała chwilę, a potem zapytała:

- A czy jest jakaś szansa? To znaczy słyszałam, że coś się wam nie układało, ale nie wiem, z jakiego powodu się rozstaliście. Czy to dlatego, że straciła dziecko? Czy żona cierpi może na depresję albo coś podobnego? Nie chciałam przedtem pytać.

- Nie - odparł - to nie jest takie proste. W grę wchodzi inny mężczyzna. - Wstał i przeciągnął się, jakby zeszytywniał z bólu. - Okłamał ją, a ona mu uwierzyła. Jest przekonana, że w czasie, gdy poroniła, nie wróciłem z Cap d'Antibes udając, że o niczym nie wiem, bo interesy były dla mnie ważniejsze. Ten gnojek zawiózł ją do kliniki, a potem powiedział, że zadzwonił do mnie do biura. W rzeczywistości nigdy tego nie zrobił. I teraz Elisabeth

jest przekonana, że byłbym zdolny do podobnego łajdactwa,

Ruth poczuła, że i drugi jej policzek zaczyna płonąć. Lasalle dzwonił. Sama odebrała telefon i nie przekazała informacji dalej, ponieważ nie wierzyła, że w tej sytuacji James dokona właściwego wyboru i da pierwszeństwo sprawom zawodowym.

- Bardzo mi przykro, proszę pana. Mam nadzieję, że jakoś wszystko się ułoży. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdę teraz do domu. Czuję, że zaczyna mnie boleć głowa. Nie musi mnie pan odwozić.

- Nie przychodź jutro do pracy, jeśli nadal będziesz się źle czuła - powiedział James. Na wspomnienie tego incydentu zrobiło mu się niedobrze. Potężnie zbudowany, ważący dobre dwieście funtów Kruger, bijący kobiety. Nie sądził, że będzie opowiadał Ruth czy komukolwiek innemu o swoich kłopotach, a jednak to zwierzenie przyniosło mu ulgę. Poczul się tak, jakby zdjęto z niego jakiś ciężar.

- Uważaj na siebie - powiedział.

- Dziękuję. - Ruth zdobyła się na lekki uśmiech. - Pan jest bardzo uprzejmy. Doceniam to.

Nie zawracała sobie głowy lekarzem. Zażyła tabletkę przeciwbólową i przyłożyła lód do policzka. Nigdy dotychczas nie kierowała się nakazami sumienia, wyznając zasadę: zabij, bo inaczej ciebie zabiją. Żadne z jej doświadczeń życiowych nie nauczyło jej innego sposobu patrzenia na świat. Hastings wrócił z Paryża opromieniony blaskiem sukcesu, tym jaśniejszym, że kontrastującym z porażką Andrews w Rosji. Zdobędzie kierownicze stanowisko, na co - jej zdaniem - zasłużył. Nie przekazała mu informacji o żonie. Gdyby to zrobiła, dokonałby złego wyboru. Nawet nie pamiętała o tym incydencie i nie łączyła go z faktem odejścia Elisabeth od męża. Po prostu wymazała to z pamięci. Za wszystko trzeba płacić. Jej matka zwykła mawiać, że nigdy nie ma nic za darmo. Hastings przezwycięży ten kryzys, znajdzie sobie kogoś innego.

Usiadła przed telewizorem. Jeśli ślad po uderzeniu nie będzie zbyt widoczny, pójdzie jutro do pracy.

- Dick - powiedział Arthur Harris - ty znowu pileś. To widać.
- Wiem - odparł Kruger żałośnie. - W dodatku zrobiłem z siebie durnia.

- Wiedziałem, że prędzej czy później do tego dojdzie - oświadczył spokojnie Harris. - Ostrzegalem cię. Co się stało?

- Poszedłem do pokoju Ruth. Pokłóciliśmy się i uderzyłem ją.

- Na miłość boską! - krzyknął Arthur. - Czy ją zraniłeś? Dick, jak mogłeś tak postąpić?

- Zdenerwowała mnie - wymamrotał Kruger. - Spoliczkowałem ją tylko. Ty byś zrobił to samo, gdybyś usłyszał od niej to co ja.

Arthur powątpiewał, by Ruth potrafiła dorównać jego żonie, gdy ta była w formie, ale nie chciał się spierać. Położył rękę na ramieniu Krugera, wyraźnie przestraszonego i zawstydzonego swoim wybuchem. Dick nie należał przecież do słabeuszy, a jednak użądlenie jednej małej osy powaliło go na kolana. Arthur tak właśnie wyobrażał sobie Ruth Fraser. Osa - maleńka, szybka, kłująca zabójczym jadem.

- Dobrze, że się jej pozbyłeś - powiedział. - Dziękuj Bogu, że nie ożeniłeś się z nią. Myślisz, że będzie chciała narobić ci kłopotów? Może z nią porozmawiam i jakoś załagodzę sprawę?

- Nie - sprzeciwił się Kruger. - Ona już zdobyła to, czego pragnęła. Założę się, że nie jestem pierwszym, który jej przyłożył. Boże, i pomyśleć, że dla niej zostawiłem Valerie... Te alimenty, dom, te wszystkie kłótnie. - Przesunął dłońmi po twarzy i popatrzył na Arthura. - Jesteś moim prawdziwym przyjacielem. Będę o tym pamiętał, gdy już zasiądziemy do stołu obrad i ktoś ośmieli się podnieść na ciebie głos. Przygwoźdź Andrews'a do ściany.

- Nie dokonasz tego, jeśli będziesz przesiąknięty whisky - rzekł Arthur. - Musisz wziąć się w garść, Dick. Przestań pić i rozczulać się nad sobą. Julius przyjeżdża za tydzień. Czekamy walka o stanowiska. Andrews zmienił skórę. Na zebraniu zarządu wystąpi przeciwko mnie i założę się, że następnie złożę rezygnację, żeby jeszcze bardziej udratyzować swój gest.

Wystarczająco kiepsko było, gdy wrócił z Moskwy. Kompletnie stracił panowanie nad sobą. Wykrzykiwał pod moim adresem wysane z palca zarzuty, a kiedy dowiedział się, że tamten Rosjanin został zdymisjonowany, przeszedł samego siebie i obwiniał mnie nawet i o to. Człowiek zaczyna się zastanawiać, co kryje się za tą ich przyjaźnią...

Popatrzyli na siebie. Niewypowiedziane oskarżenie zawisło w powietrzu.

Kruger uśmiechnął się szyderczo.

- No właśnie. Ale jeśli dojdzie do głosowania, z pewnością zwyciężysz. Przecież to jasne. Nikt nie mógł oczekiwać, abyśmy mieli zaakceptować tak horrendalne warunki. Przecież to był otwarty szantaż. Nie przejmuj się, jestem z tobą, a David także. Przylatuje specjalnie, aby cię poprzeć. Johnson jak zwykle nie zajmie żadnego stanowiska; jego to po prostu nie interesuje.

Ekscentryczny naczelny inżynier zupełnie otwarcie głosił poglądy, że wszystkie, jak je nazywał, nasiadówki zarządu uważa wyłącznie za stratę czasu.

- A Hastings? - mruknął Arthur. - Co z nim? Próbowałem z nim pogadać, ale nie wykazywał chęci do rozmowy.

Z ulgą zauważył, że Dick wypiłszy kilka filiżanek kawy, nieco wytrzeźwiał.

- Ten głosowałby nawet przeciwko własnej matce, gdyby widział w tym swoją korzyść - warknął Kruger. Wspomnienie Hastingsa ciągle przyprawiało go o wściekłość. - Pojęcia nie mam, jak się zachowa. Gdyby jednak głosował przeciwko tobie, a ty byś wygrał, znalazłby się na straconej pozycji. W najgorszym więc razie wstrzyma się od głosu. Co oznacza, że masz za sobą większość,

nawet bez Andrews'a. Nie wiem, dlaczego Julius tak nalega. Przecież nie uda mu się ciebie przegłosować. On lubi znęcać się nad innymi, to wszystko.

- Może - odparł Arthur. - Mam przecucie, że nie obejdzie się bez rozlewu krwi i to po obu stronach.

- Naprawdę tym się nie przejmuj - nalegał Kruger.

Arthur uśmiechnął się łagodnie.

- Nie przejmuję się tak długo, jak długo wygrywam - odparł.

Stella nie mogła powstrzymać drżenia. Czula tak przemożną ochotę na drinka, że wybiegła z hotelu, by nie zadzwonić na służbę hotelową z żądaniem przyniesienia jej butelki... Niespokojnie przemierzała Hyde Park, walcząc z pokusą wypicia choćby jednego kieliszka dla uspokojenia nerwów przed spotkaniem na lotnisku. Grupka biegaczy obejrzała się za kobietą ubraną w kosztowne futro i głośno mówiącą do siebie. Pewnie stuknięta.

Stella rozmawiała z Jacobem, usiłując go przekonać, że spotkanie twarzą w twarz z ojcem bez wypicia przynajmniej jednego drinka jest ponad jej siły. Chociaż jedną wódkę. Ale Jacob pozostał nieubłagalny. Słyszała jego głos - łagodny, przekonujący. Mówił, że jest wystarczająco dzielna, żeby to znieść. Picie omal jej nie zniszczyło. Tyle razy mu obiecywała, że to się nie powtórzy. Teraz będzie miała cel w życiu, będzie mogła pracować we własnym kraju. Nie, nie pozwoli jej, choćby go nie wiadomo jak błagała. Wreszcie opadła na ławkę nad stawem i przyglądała się piastunkom z małymi dziećmi, rzucającym chleb kaczkom. Na dworze było zimno, ale ona, otulona ciepłym futrem, nie czuła chłodu. Kupiła je, chcąc dokuczyć ojcu, lecz on powiedział tylko: „Świetnie, cieszę się, że byłaś rozsądna. Mam nadzieję, że to miły płaszczyk”.

Jacob zwyciężył. Nie będzie piła. Wróci do hotelu, zamówi samochód z kierowcą i pojedzie na Heathrow, na spotkanie z ojcem

i z macochą. Później, we właściwym momencie, wręczy im raport na temat Reece'a jako prezent gwiazdkowy. Rozkoszowała się, przeżywając w wyobraźni tę scenę. Julius najpierw niedowierzający, potem oburzony, wreszcie postawiony w stan oskarżenia. Taki właśnie zaplanowała finał. Ona, jako główna postać dramatu, zarzucająca ojcu winę, oskarżająca go o spowodowanie śmierci Jacoba. Trzymała się kurczowo tego scenariusza, podsycając w sobie gniew i nienawiść. Nie mogła inaczej; nawet sama przed sobą nie chciała przyznać, że naprawdę tkwi w niej niekochane dziecko, stęsknione za ojcem, pragnące od niego dobrego słowa. Tłumaczyła to Jacobowi. On zawsze wszystko rozumiał.

Wreszcie wstała z ławki i wróciła do hotelu. Kryzys minął. Znowu była w pełni trzeźwa i opanowana, gotowa do odegrania roli nawróconej córki, pragnącej obdarzyć ojca serdecznym pocałunkiem podczas powitania na lotnisku po długiej, bolesnej rozłące. Ciągłe mówila do siebie, co u mijających ją dziewcząt *au pair* wywoływało zaciekawienie i pobłażliwe uśmiechy.

Teraz, gdy wracała myślami do tego spotkania, dochodziła do wniosku, że nie było ono wcale takie trudne ani onieśmielające. Ojciec zbliżył się do niej swoim długim krokiem; przez moment poczuła zawrót głowy. Ale oto chwycił ją w objęcia, ucałował serdecznie w oba policzki i powiedział głośno: „Suki... jak to dobrze... o, jak to dobrze”.

Policzki miała mokre. Oczywiście naiwnością byłoby myśleć, że przez te wszystkie lata w ogóle się nie postarzał, a jednak zaskoczyły ją pasma siwizny w jego włosach i zmarszczki na warzy. Julius był tak potężny, tak dominujący, że zdawał się zagarniać ją całą w powitalnym uścisku. Za nim szła Sylvia, elegancka jak zawsze. Pocałowała ją i powiedziała, że świetnie wygląda. Podczas ich poprzedniego spotkania Stella wykrzykiwała niewybredne epitety pod adresem ojca. Teraz macocha żadnym gestem nie dała poznać, że to pamięta.

Wrócili razem do Londynu, zjedli lunch, a potem Julius pojechał do biura.

- Cieszę się bardzo, że jesteś zdrowa - powiedziała Sylvia. - Rozumiem, że po śmierci Jacoba przeżywałaś ciężkie chwile. Ale twojemu ojcu także nie było lekko. Nie jest już młody, w dodatku w tej chwili ma kłopoty w pracy. Tak więc mam nadzieję, że nie zrobisz niczego, co mogłoby go zdenerwować.

Lodowaty głos, żadnych uśmiechów.

- Nie zrobię - odparła Stella. - Przestałam już ranić siebie i innych. Nie potrzebujesz mnie pouczać.

- Nie pouczam cię. Po prostu kocham twojego ojca, to wszystko. Wiem, że on także cię kocha. Idę teraz na górę rozpakować rzeczy i odpocząć trochę. Julius zdaje się nie wiedzieć, co znaczy zmęczenie, ale ja jestem wykończona. Spotkamy się w barze o ósmej. Jeśli nie chcesz iść do baru, możemy wybrać inne miejsce.

Stella wstała.

- Chodzę tam co wieczór. Zawsze piję sok pomarańczowy i wodę mineralną. Zobaczymy się o ósmej. Śpij dobrze.

Poszła do swojego pokoju, zrzuciła z nóg buty i padła na łóżko.

„Wiem, że on także cię kocha”

Starła się nie poddawać ogarniającemu ją wzruszeniu. Ta próba może się okazać znacznie cięższa, niż przypuszczała.

Zasnęła.

Obudziła się późnym popołudniem z nowym pomysłem. Ukaranie Reece'a nie wystarczy. Napisałaś finał, ale kurtyna jeszcze nie opadła. Musisz zdobyć dowody, bo inaczej nigdy ci się nie uda. Jest tylko jedna droga, by je uzyskać.

Następnego dnia rano zaprosiła Sylwię, planującą wspólne wyjście na zakupy świąteczne, i zamówiła taksówkę. Bickenhall Mansions, Marylebone, mieszkanie numer 27. Nazwiska widniały na tabliczce pod domofonem: *Pan P. Reece i Panna J. Reece*. Nacisnęła przycisk dzwonka.

- Tak? Kto tam?

- Stella Heyderman. Chciałam z panią pomówić.

Początkowo Joy nie miała ochoty otwierać. Jednak gdyby tak uczyniła, a Stella poskarżyła się ojcu, ten mógłby się odegrać na jej bracie. Poza tym paliła ją ciekawość. Nigdy przedtem nie widziała tej kobiety i zastanawiała się, jak też ona może wyglądać. Arogancka wiedźma, mająca w pogardzie siostrę podwładnego swojego ojca. Niechby tylko spróbowała. I tak nic jej to nie pomoże. Ale po co tu przyszła? Nagle Joy poczuła się niepewnie. Czyżby jakieś kłopoty? Może Stella wpadła w tarapaty i teraz zwraca się do Reece'a o pomoc, żeby ojciec o niczym się nie dowiedział? Z pewnością przyszła tutaj po ratunek.

Otworzyła drzwi. Powiedziała swoim nosowym głosem, pogłębionym jeszcze przez przeziębienie:

- Proszę wejść. Jestem Joy Reece, siostra Pieta.

Piet.

Stella nigdy przedtem nie słyszała imienia Reece'a. Zawsze tylko Reece, bezpłciowy stwór. Bezpłciowy. Wzdrygnęła się, patrząc na tę pospolitą, przysadzistą kobietę, ubraną w dres. Musiała właśnie sprzątać, gdyż przy drzwiach stało opakowanie ze środkiem czyszczącym i leżała ściereczka do kurzu. Poszła za nią do bawialni.

- Proszę usiąść.

Joy odgrywała rolę pani domu, mierząc przy tym Stellę ostrym spojrzeniem, notując każdy szczegół świadczący o zamożności, jak kosztowny ubiór czy wytworne perfumy. Jednak twarz ją zdradza, pomyślała złośliwie. Ależ jest zniszczona. Wygląda na znacznie więcej niż na te swoje trzydzieści lat. Cóż, rozpusta zawsze pozostawia niezatarte piętno.

- Czym mogę służyć, panno Heyderman? Mój brat nie wrócił jeszcze z biura. Czy pani zaczeka?.

- Przyszłam porozmawiać z panią - odparła Stella. - Mogę zapalić?

Joy się skrzywiła. Okropny nałóg. Typowy.

- Jestem przeziębiona - powiedziała.

- W takim razie postaram się nie dmuchać w pani stronę -

odparła Stella, wyjmując papierosy i zapalniczkę. Była zupełnie spokojna, nie czuła gorączkowego drżenia, nie dała się ponieść nerwom tak jak wczoraj. Posiadane przez nią informacje dawały jej przewagę w tej rozgrywce. Widziała wrogość i pogardę w oczach tej kobiety, lecz nie przeszkadzało jej to. Wiedziała, co chce powiedzieć.

- Jak się pani podobało w Bath?

Usłyszawszy to pytanie, Joy Reece otworzyła szeroko usta i zamknęła je na powrót.

- Pojechaliśmy tam na kilka dni wakacji. Było bardzo przyjemnie - powiedziała.

- O, na pewno. Royal Crescent to znakomity hotel. Tam mieszkaliście, prawda? - Stella zaciągnęła się głęboko i odwróciła głowę, aby wypuścić dym. - Zameldowani jako mąż i żona.

Przez chwilę myślała, że Joy Reece zemdleje, gdyż jej twarz przybrała okropny, szary odcień. Musiała się przytrzymać oparcia sofy, żeby nie upaść. Nie powiedziała ani słowa, tylko przelykała ślinę, wpatrując się w Stellę obłąkanym wzrokiem.

- Widziałam księgę gości - mówiła dalej Stella. - Kazałam śledzić panią i pani brata. To bardzo interesujące. Jakże bliskie stosunki was łączą.

Z gardła Joy wydarł się zdławiony charkot. - To wstrętne kłamstwo - wymamrotała. - Wzięliśmy wspólny pokój z oszczędności.

- W Hiszpanii też udało się wam nieco zaoszczędzić, zwłaszcza podczas sjesty. Dlaczego pani nie usiądzie? Nie wygląda pani najlepiej.

Czarnuchy. Stella doskonale wiedziała o tym, że ludzie pokroju Reece'a nazywali rodaków Jacoba Negrami, Kaframami nadającymi się wyłącznie na służących, podludźmi stworzonymi na niewolników białych. Joy, ta perwersyjna kreatura, ośmieliła się okazać swą pogardę jej, Stelli Heyderman, gdyż poślubiła czarnego. Nie będzie miała dla niej litości.

- Nie ma sensu zaprzeczać. To poważne przestępstwo. Pani i brat pójdziecie do więzienia.

Joy Reece nie była tchórzem. Zaatakowana, oddała cios.

- Nic nie może nam pani zrobić - powiedziała w końcu. - Niech pani tylko spróbuje. Nasz upadek pociągnie za sobą upadek Heydermanów, poczynając od pani ojca.

Odzyskała wigor, na policzki wróciły jej rumieńce. Teraz Stella pobladła.

- Jak pani śmie tak mówić o moim ojcu? Pani blefuje, panno Reece. - Z pogardą wymówiła to określenie.

Joy zbierała siły do dalszej walki.

- Wszystko zawdzięczacie mojemu bratu - wyrzuciła z siebie gniewnie. - To on dla was wszystko tuszował... Przez całe lata... Po tym, co uczynił dla twojego ojca...

- Ma pani na myśli to, że kazał zamordować mojego męża? - zapytała spokojnie Stella. - To właśnie uczynił? O tym także wiem.

Joy wykonała pogardliwy gest.

- Niczego pani nie udowodni. Tego czarnucha zamordowali czarni. Zawsze tak postępują.

- Mordercy Jacoba zostali opłaceni. - Stella starała się mówić spokojnie, choć wymagało to od niej wiele wysiłku. - To pani brat ich opłacił. Mam dowody, dlatego tu przyszedłam. - Kłamała, lecz była to jej jedyna szansa.

Joy wyprostowała się i wstała z sofy.

- I tak mu się odwdzięczono. Mój brat starał się chronić tę zdemoralizowaną rodzinę. Jest lojalny, w tym cały kłopot. Starał się ochraniać pana Juliusa, swego idola. Zawsze mówił: „Pomyśl, jaki to byłby skandal, gdyby prawda o tym małżeństwie wyszła na jaw”. A ty, brudna dziwko, chcesz teraz skrzywdzić nas oboje. Powiem wtedy, że to twój ojciec kazał mu pozbyć się tego twojego czarnucha. Przysięgnę, że tak było, i Piet przysięgnie także, bo ja go do tego nakłonię. I co wtedy?

Stella podniosła torebkę. Nigdzie nie dostrzegła popielniczki, więc zgasiła papierosa na podstawce doniczki z kaktusem. Nagle poczuła się zupełnie lekka.

- Nikt w to nie uwierzy - powiedziała. - Mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

- Nie - prychnęła Joy - ale będzie to tylko jego słowo przeciwko naszemu. Pomyśl o tym. A teraz wynoś się z mojego mieszkania. Nie masz tu czego szukać.

Podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież.

- Won! - krzyknęła. Stella popatrzyła na nią.

- Gdyby nie była pani taka obrzydliwa, byłoby mi pani żal.

Drzwi zatrzasnęły się za nią z impetem. Czekaając na windę, Stella musiała oprzeć się o ścianę.

Kiedy winda się zatrzymała, Stella weszła do środka. Mężczyzna w kabinie powiedział:

- Dzień dobry. Parter?

- Tak - skinęła głową - proszę na parter.

A więc Reece działał na własny rachunek.

„Starał się ochraniać pana Juliusa, swojego idola... Powiem, że to twój ojciec kazał mu pozbyć się tego twojego czarnucha”.

Przed oczyma ciągle miała wstrętą twarz Joy.

„Przysięgnę i Piet przysięgnie także, bo ja go do tego nakłonię .

Mężczyzna za jej plecami powtórzył:

- Parter?

Uświadomiła sobie, że ciągle przytrzymuje otwarte drzwi windy.

- Tak, dziękuję.

Wyszli razem na Marylebone Road. Słońce świeciło. Mężczyzna uśmiechał się do niej. Pospieszyła przed siebie. Przy krawężniku zatrzymała się. Mijały ją liczne taksówki, migając zachęcająco światłami, ale Stella nie ruszała się z miejsca. Jej ojciec nie ponosił odpowiedzialności za śmierć Jacoba. Stała, wdychając spaliny, i powtarzała głośno:

- Dzięki ci, Boże. Dzięki ci, Boże.

James obudził się wcześniej. A więc dzisiaj odbędzie się posiedzenie zarządu. Odsunął zasłony i wyjrzał przez okno. Na dworze

panował półmrok. W świetle palących się lamp ulicznych połykiwały kałuże, strumyczki wody w rynsztokach i mokre chodniki. Widocznie w nocy padało.

Zrezygnował z dawnej sypialni i sypiał teraz w pokoju na górze. Dom był zbyt przesycony obecnością Elisabeth, dlatego też dwa, trzy razy w tygodniu starał się nocować w klubie Lonsdowne, a na weekendy wyjeżdżał do przyjaciół. Nie mógł znieść myśli o zajmowaniu ich wspólnej sypialni, gdzie w szafie ciągle wisiały ubrania Elisabeth, a na toaletce w łazience stały jej kosmetyki. Czuł jeszcze zapach jej perfum, unoszący się w powietrzu.

Stopniowo zaczął się zmuszać do bardziej racjonalnego zachowania. Przestał zatrzymywać się na noc w klubie, zaniósł wszystkie jej rzeczy na górę i więcej czasu spędzał w domu. Miał zamiar sprzedać go po Bożym Narodzeniu. Dzień, w którym zdecydował się zadzwonić do agenta nieruchomości, uznał za koniec ich małżeństwa. Po lunchu z teściem przestał pisywać do Elisabeth i nie usiłował już się z nią kontaktować. Skoro Lasalle miał przyjechać z Paryża... To nim głęboko wstrząsnęło. Cóż, Elisabeth miała wolny wybór. Jeśli tego pragnęła, niech tak będzie.

Pamiętał poprzednie zebranie zarządu w końcu lata, swój powrót do domu, podniecenie wywołane wyznaczonym mu zadaniem w Paryżu. Powiedział jej wówczas: „To mnie zaprowadzi na szczyt kariery”. Teraz wiedział, że tam dotarł. Dokładnie zaplanował, jak się zachowa podczas nadchodzącej rozgrywki. Nie będzie brudził sobie rąk ani kopał dyrektora naczelnego, skoro ten i tak już leży. Inni zrobią to za niego.

Pracował do wpół do jedenastej. Ruth bez przerwy wchodziła i wychodziła z gabinetu, starając się ukryć podniecenie. Na chwilę przedtem, zanim udał się do sali posiedzeń, podeszła do niego ze słowami:

- Życzę powodzenia.
- To raczej Harris będzie tego potrzebował - odparł - ale dziękuję.

W korytarzu spotkał Krugera. Jechali razem windą nie odzywając się do siebie. W sali posiedzeń podszedł do nich Reece i zupełnie ignorując Krugera zapytał:

- Czy mogę prosić na moment, panie Hastings?

- Tak, oczywiście.

James nie spodziewał się tego wezwania. Udał się za Reece'em w odległy kąt pokoju, uśmiechając się w przelocie do Davida Wassermana, siadającego właśnie na swoim zwykłym miejscu.

- Czym mogę panu służyć?

- Pan Julius pragnie wiedzieć, jakie jest pańskie stanowisko.

James zeszytywniał. Nigdy nie lubił tego faceta.

- Trochę za późno na takie pytania. Za kilka minut zaczynamy.

- Więc co mam przekazać? - naciskał Reece. - Naprawdę czas nie gra tu roli, najważniejsze jest, by uzyskać przewagę.

- Proszę mu powiedzieć, że ma moje poparcie. To znaczy, że wstrzymam się od głosu. Przepraszam.

Odwrócił się i zajął miejsce przy stole. Do sali wszedł Ray Andrews z ponurą miną, za nim Arthur Harris i wreszcie naczelny inżynier Johnson, wezwany do Londynu prosto z Angoli.

Arthur rozejrzał się po sali i powiedział z uśmiechem:

- Dzień dobry.

Zapadła cisza. Wasserman upił łyk wody i nabazgrał coś w leżącym przed nim notatniku.

- Już późno - powiedział Harris. - Juliusa musiały zatrzymać korki uliczne.

Reece z hałasem odsunął krzesło. Zawsze instynktownie wyczuwał przybycie Heydermana. Wszedł Julius, jak zawsze opalony i tryskający energią. Górował nad nimi wszystkimi umysłowo i fizycznie; od razu zdominował cały pokój, zanim jeszcze otworzył posiedzenie.

Sprawy rutynowe, raporty dyrektorów, odczytanie protokołu z ostatniego posiedzenia. Napięcie narastało. Heyderman dozwalał je umiejętnie, niczym wytrawny mistrz magii. Usiadł z powrotem

na krześle, wypił łyk wody i powiedział niskim, czystym głosem:

- Sądzę, że gratulując Jamesowi sposobu, w jaki doprowadził do pomyślnego rezultatu niezwykle trudne rokowania z Karakow International, będę wyrazicielem opinii całego zarządu. Wszyscy dobrze znamy Iwana - w tym miejscu rozejrzał się po zebranych, jakby szukając potwierdzenia. - Trzeba było naprawdę dużej zręczności, aby sprawić, że Karakow dostrzegł sens obecnego rozwiązania. Podpisał z nami umowę na dotychczasowych warunkach i ponownie stanowią jedną szczęśliwą rodzinę. Myślę, że powinniśmy przegłosować formalne gratulacje dla Jamesa za to osiągnięcie. Stawiam taki wniosek. Kto jest za?

Wasserman podniósł rękę. Ten ruch zaskoczył Arthura Harriisa. Dick Kruger poczerwieniał, ale się nie odezwał.

- Uchwalono bez głosów sprzeciwu - obwieścił Julius. - Znakomicie.

Nalał sobie whisky z karafki i dopełnił wodą. Odstawił szklanceczkę i popatrzył wprost na Arthura.

- Czas przejść do najważniejszego punktu obecnego posiedzenia. Raport Raya Andrews na temat negocjacji w Moskwie jest długi i bardzo szczegółowy, jednak mam nadzieję, że wszyscy zdążyli się z nim zapoznać. Dobrze. Wydaje mi się, że jest tam kilka spraw, które może Ray zechciałby nam wyjaśnić,

- Owszem - poderwał się Kruger - też tak uważam. Odebrałem ten raport jako zawołany atak na Arthura. Jeśli pytacie mnie o zdanie, to faktycznie wymaga on cholernie wielu wyjaśnień.

Arthur wtrącił spokojnie:

- Myślę, że nie powinniśmy zaczynać od wzajemnych oskarżeń. Ray ma prawo wyrazić swoją opinię. Czytałem raport i jestem gotów wziąć odpowiedzialność za moją decyzję. Chciałbym też, aby Ray wyjaśnił mi kilka kwestii.

Popatrzył na Andrews z nieukrywaną wrogością.

- Ray - zwrócił się do niego Julius - twierdzisz, że prowadziłeś

negocjacje z przedstawicielem Moskwy do momentu, dopóki nie zażądał specjalnych gwarancji od Arthura jako naczelnego dyrektora.

- Tak - odparł Ray.

- Stwierdziłeś także, że bez tych gwarancji Rosjanie nie zgodziliby się na zawarcie umowy.

- Wyrazili się jasno. Chcieli od nas zobowiązania, że sfinansujemy projekt oczyszczenia Bajkału. To była ich cena za zgodę na sprzedaż diamentów wyłącznie za naszym pośrednictwem. Zdawali sobie sprawę z tego, że ich pozycja jest silna, że ich potrzebujemy, pragnąc utrzymać monopol. Dzięki Karakowowi mieliby rynek zbytu wystarczający, by obejść się bez nas, a nawet na dłuższą metę zdestabilizować cały przemysł diamentowy. Dlatego domagali się osobistej gwarancji Arthura.

- Wiedząc, że ta gwarancja nie jest wiążąca dla zarządu? - odezwał się ponownie Dick Kruger. - Czy też może nie zwróciłeś im na to uwagi?

Andrews nawet nie spojrzął w jego stronę. Patrzył wprost na Heydermana.

- Upewniłem się, że mój partner w rozmowach, Borysow, wie o tym. On domagał się uczciwego postawienia sprawy, nie tylko legalności. Byłem przekonany, że przywożąc mu żadaną gwarancję i końcowy dokument do podpisania, spełniam jego oczekiwania. Wierzyłem, że jest to ważny dokument, poręczony słowem honoru naczelnego dyrektora.

James machinalnie bawił się piórem i notatnikiem. To stawało się niebezpieczne.

- A propos umowy - podjął Arthur. - Wszystkie warunki zostały podyktowane przez Rosjan, czy tak? Bezprocentowa pożyczka, rozbudowa kopalń w okolicach Archangielska i zobowiązanie do oczyszczenia gigantycznych mas wody stanowiących Bajkał. Projekt, który z punktu widzenia ekonomii jest zupełnie nieopłacalny i który kosztowałby nas nieprzeliczone sumy, o ile w ogóle byłby wykorzystany. Czy tego właśnie się domagali?

Ray wolno odwrócił się ku niemu.

- Tak, takie postawili warunki.

- Które możemy śmiało określić jako szantaż - powiedział Arthur spokojnie. - Przystawili mi pistolet do głowy i chcieli, abym sam pociągnął za spust.

- Nie widziałem tego w ten sposób - powiedział Andrews. - Prowadziłem te negocjacje w dobrej wierze. Przedstawiłem im umowę sądząc, że jest to uczciwy dokument. Gdybym wiedział, że umieszczono w niej taki haczyk, podszedłbym do całego problemu zupełnie inaczej.

Julius pociągnął łyk whisky.

- Jak?

- Wcale bym im nie przedłożył tej umowy. Nigdy nie usiłowałbym ich oszukać. Próbowalbym znaleźć jakiś kompromis, kontynuowałbym negocjacje. Nie twierdzę, że na pewno by mi się udało, ale zawsze mielibyśmy otwarte drzwi. A w tej chwili DE jest dla nich firmą, której nie należy wierzyć.

Popatrzył wprost na Arthura Harrisa.

- Mogłeś przynajmniej być uczciwy wobec mnie, skoro nie stać cię było na uczciwość wobec nich. Wierzyłem i nadal wierzę, że potrafiłbym wynegocjować satysfakcjonującą nas umowę, tym bardziej, że Karakow stracił wiarygodność. Nie dysponując takim punktem przetargowym, pewnie zrezygnowaliby z tego Bajkału.

- Mówisz o uczciwości - w głosie Arthura zabrzmiała złość - a stosujesz atak jako sposób obrony. Pozwoliłeś Rosjanom zapędzić nas w ślepią uliczkę, a ja miałem przystać na warunki, których nikt by nie zaakceptował. Jeśli nazywasz to nieuczciwością, to znaczy, że jesteś kompletnie pozbawiony poczucia współodpowiedzialności za firmę i lojalności wobec kolegów, z którymi pracowałeś przez tyle lat.

Andrews poczerwieniał z gniewu.

- Pracuję dla tej firmy ponad dwadzieścia lat. Właśnie dlatego, że kierowało mną poczucie odpowiedzialności i lojalności, przedłożyłem ten raport prezesowi i całemu gremium. Ponieważ nie

potraktowałeś mnie uczciwie, postawiłeś mnie - swojego reprezentanta i negocjatora - w beznadziejnej sytuacji i podważyłeś wiarygodność DE wobec rządu w Moskwie. Teraz przestali nam ufać.

Nastąpiła długa cisza. Arthur wyraźnie poszarzał na twarzy. Wreszcie odezwał się Julius.

- Wydaje mi się, że doszliśmy do sedna sprawy - oznajmił. - Pozwólcie mi powiedzieć, jak ja to oceniam. Andrews wynegocjował umowę na warunkach, które zaakceptowałeś, nie przedstawiając zarządowi żadnych szczegółów. Podaleś tylko ogólny zarys, z którego wynikało, że warunki, aczkolwiek ciężkie, są możliwe do przyjęcia. Nie był to prawdziwy obraz sytuacji. Rosyjskie warunki, co sam przyznajesz, czyniły przedsięwzięcie nieopłacalnym, więc bez poinformowania Andrews'a i zarządu dołączyłeś do umowy klauzulę, która praktycznie unieważniała zobowiązanie w sprawie Bajkału. W rezultacie tego matactwa negocjacje zostały zerwane i logicznym następstwem wydarzeń byłoby zawarcie umowy między Rosjanami a Karakow International, co by złamało nasz monopol i rozregulowało cały rynek w przeciągu pięciu lat. I tylko dzięki temu - popatrzył wprost na Arthura - że James w Paryżu wykonał naprawdę wyśmienitą robotę, uniknęliśmy takiego scenariusza. Ale to cię nie usprawiedliwia. Będziemy musieli wznowić rozmowy z Moskwą i nasza pozycja przetargowa jest w tej chwili znacznie słabsza. Ray, muszę ci zadać bardzo trudne pytanie. Czy wierzysz, że Rosjanie zasiądą z nami do rozmów, jeśli Arthur pozostanie naczelnym dyrektorem londyńskiej filii?

- Nie - odparł Ray Andrews bez wahania. - Naszą jedyną nadzieją jest zupełnie nowy start.

Sięgnął po szklankę z wodą i wychylił ją duszkiem.

James nie spuszczał wzroku z Heydermana. Widział rumieniec zabarwiający szyję i cień uśmiechu czający się w kącikach ust. Za chwilę zada śmiertelny cios, pomyślał. W sali posiedzeń zapadła pełna napięcia cisza. Heyderman zwrócił się teraz do Reece'a:

- Reece, gdzie masz ten poufny raport, który otrzymaliśmy dziś rano z naszej ambasady w Moskwie? Podaj mi go, mam zamiar go odczytać.

- Proszę, panie Juliusie.

- Dziękuję. - Julius obrzucił ich szybkim spojrzeniem. - Zwróciłem się prywatnie do naszego ambasadora, którego znam osobiście i który w odpowiedzi na mój list napisał, co następuje. „Mój drogi...” i tak dalej... „zasięgnąłem dyskretnie opinii, jak prosiłeś, i mogę potwierdzić, że po zdymisjonowaniu D. W. Borysowa i mianowaniu na stanowisko dyrektora Departamentu do spraw Bogactw Naturalnych Grigorija Leontowa, rząd rosyjski jest gotów rozważyć wznowienie negocjacji z twoją firmą. Tylko chroniczny brak walut zachodnich i konieczność znalezienia odpowiedniego rynku zbytu na ich wspaniałe diamenty przewyciężyły zdecydowaną niechęć do pertraktowania z Diamond Enterprises. Jednak jasno określono jeden warunek: pan Arthur Harris nie może być w żaden sposób odpowiedzialny za dalsze negocjacje. W tym punkcie Rosjanie są nieubłagani. Mam nadzieję, że ci to pomoże...” i tak dalej, i tak dalej...

Wypuścił kartkę z ręki.

- Ten list potwierdza to, co powiedział przedtem Ray. Sprawa nie podlega dyskusji. Jak długo ty, Arthurze, będziesz piastował stanowisko naczelnego dyrektora, tak długo nie zechcą z nami rozmawiać.

Arthur podniósł się powoli.

- Czy twój atak wymierzony jest bezpośrednio we mnie? Chciałbym dokładnie wiedzieć, na czym stoję. Czy popierasz Andrews'a i oskarżasz mnie o zaniedbania, nieuczciwość i nieprzydatność dla firmy?

- Nie oskarżam ani nie atakuję nikogo - powiedział Heyderman szorstko. - Po prostu przedstawiam zarządowi fakty i ich konsekwencje.

Dick Kruger uznał, że pora na kontratak. Heyderman mógł zastraszyć pozostałych, ale nie jego. Dick nie był tchórzem, a rzut

oka na zbolałą twarz Arthura dodatkowo rozpalili jego temperament.

- No więc przyjrzyjmy się bliżej owym faktom - powiedział. - Arthur został przyciśnięty do muru przez tego sprytnego Rosjanina, który zdaje się przelicytował Andrews w każdym punkcie, więc zaczął szukać wyjścia i znalazł bardzo rozsądne, zgodne z interesem firmy. Za to właśnie go tutaj obrażono, ale zostawmy to na boku. Fakty są takie, że Rosjanie potrzebują nas bardziej niż my ich. Bez nas nie sprzedadzą swoich kamieni, zaś tym, którzy będą próbowali z nimi handlować, jak na przykład kupcy z Amsterdamu, możemy od razu jasno powiedzieć, że mogą się pożegnać z dostawami od nas. Wtedy będą musieli wrócić do stołu i zasiąść do rozmów. Oni tylko blefują, chcąc zachować twarz. Andrews spieprzył sprawę i stara się zwalić winę na Arthura. To są owe fakty.

- Dzięki, Dick - powiedział Arthur spokojnie. - Trafiłeś w sedno.

Przez moment Jamesowi wydawało się, że słowa Krugera przeważą wynik głosowania na korzyść Arthura.

Heyderman odsunął krzesło i wstał. Było to sprytnie posunięcie. Stojąc, jeszcze bardziej dominował nad zgromadzeniem.

- Pytasz, Arthur, czy cię atakuję. Moja odpowiedź brzmi: tak. Pięć lat temu straciliśmy koncesję na te rosyjskie diamenty z powodu niekompetencji tutaj, w Londynie. Teraz tracimy ją ponownie z powodu twojej osobistej interwencji. Nie mam zamiaru puścić ci tego płazem. Twoja niekompetencja i nieuczciwość spowodowały straty finansowe i uszczerbek w naszej reputacji. Żaden odpowiedzialny zarząd nie będzie tego tolerował. Stawiam oficjalny wniosek o wotum nieufności wobec naczelnego dyrektora.

Ciszę przerwał Andrews.

- Popieram.

- Dobrze - powiedział Heyderman energicznie - głosujemy. Rece, prowadzisz głosowanie.

- Tak, panie Juliusie. Kto jest za wnioskiem?

Głośno liczył wyciągnięte w górę ręce. Pan prezes, Andrews, Johnson... - Rozglądał się przez chwilę. Podniosła się jeszcze jedna ręka. - Wasserman...

Arthur przykrył twarz w dłońmi, dotykając drgającego pod lewym okiem nerwu. Znali się przeszło trzydzieści lat, więc automatycznie zakładał, że David Wasserman stanie po jego stronie.

- Kto przeciw wnioskowi?

Aby wniosek przeszedł, potrzebne były dwie trzecie głosów. Czwórka już głosowała, pozostało jeszcze trzech.

- Naczelnny dyrektor, Kruger - oznajmił Reece.

Wszyscy popatrzyli na Jamesa. Teraz nadeszła jego chwila.

- Czy pan wstrzymuje się od głosu, panie Hastings?

James powiedział ze spokojem:

- Pracowałem z Arthurem piętnaście lat. Nie mógłbym głosować na jego korzyść w tej sprawie, lecz jednocześnie bardzo niechętnie głosowałbym przeciwko niemu. Wstrzymuję się od głosu.

Mówiąc to, nie patrzył na nikogo. Nagle Ray Andrews wstał.

- W tej chwili ja też chciałbym coś oznajmić - powiedział. - Jestem już po czterdziestce, a w tym wieku człowiek niechętnie rozgląda się za nową pracą, chyba że nie ma innego wyjścia. Tak właśnie oceniam moją obecną sytuację. Nie zgłosiłem przedtem mojej rezygnacji, abym mógł jeszcze wziąć udział w posiedzeniu zarządu i w tym głosowaniu. Panie prezesie, panowie członkowie zarządu, pragnę poinformować, że moje pismo z rezygnacją złożyłem w sekretariacie prezesa. Do widzenia, panowie.

Wyszedł, mocno zamykając za sobą drzwi. Zatrzasnęły się z hukiem podobnym do wystrzału.

- Tak - powiedział głośno Julius Heyderman, kierując na Arthura spojrzenie swoich niebieskich oczu - tym sposobem straciłmy jednego z najbardziej utalentowanych pracowników. Wobec tego, że wniosek o wotum nieufności zdobył większość

dwóch trzecich głosów, oczekuję, że najpóźniej jutro rano złożysz rezygnację.

Podczas przemowy Andrews Arthur siedział zupełnie spokojnie. Teraz podniósł głowę i popatrzył prosto na Juliusa.

- Nie mam najmniejszego zamiaru składać rezygnacji - oznajmił spokojnie. Obrzucił Davida Wassermana spojrzeniem pełnym wyrzutu. - To było dla mnie bardzo pouczające doświadczenie. Musiałem wysłuchać, jak oskarża się mnie o nieuczciwość i nadużycia, a zarzuty padły z ust człowieka, którego sam poleciłem na członka zarządu. Byłem świadkiem, jak mój dobry przyjaciel głosował przeciwko mnie. Mogłeś przynajmniej uprzedzić mnie o tym, Davidzie. Widziałem też, jak wnuk Jana Heydermana usiłuje mnie, Harrisa, pozbawić funkcji w zarządzie. Tak, panowie, nie mam zamiaru rezygnować. Będę z tobą walczył, Julius, skoro zaczęłeś wojnę przeciwko mnie. Mam zamiar odwołać się do walnego zebrania akcjonariuszy. Jeśli sądziłeś, że uda ci się załatwić mnie bez rozgłosu, to nie doceniłeś mnie. Zresztą, nigdy mnie nie doceniałeś. Jednak nie możesz nie docenić siły udziałów moich i członków mojej rodziny. Tak, następny etap będzie się odbywał przy podniesionej kurtynie. A teraz wybaczone mi, panowie, ale mam jeszcze to i owo do zrobienia.

Wstał od stołu, a Dick Kruger zabrał jego notatki i wyszedł za nim z pokoju.

- Nie mam już dalszych spraw - powiedział Heyderman. - Kończymy posiedzenie. Mam nadzieję - dodał - że Arthur ochłonie i zacznie myśleć racjonalnie. Do widzenia.

David Wasserman podszedł do Jamesa i razem wyszli na korytarz.

- Kiepska sprawa - powiedział. - Nie chciałem głosować przeciwko Arthurowi, ale nie miałem innego wyjścia. Nawet nie z powodu tej umowy z Rosją, ale z powodu tego, co uczynił tobie... - Wzruszył ramionami. - Nie można przecież prowadzić firmy w ten sposób. Miałeś rację, wstrzymując się od głosu.

- Myślisz, że Arthur ustąpi? - zapytał James.

- Nie, nie sądzę. Ale Heyderman do tej pory nigdy nie przegrał. W efekcie straci firma. Bądź ze mną w kontakcie, mój chłopcze. I nie podnoś głowy, dopóki cała sprawa nie ucichnie. Odlatuję dziś po południu. Naprawdę cieszę się, że wracam do domu.

Wyglądał na przybitego. James uświadomił sobie, że głosowanie przeciwko komuś, kogo znał i z kim pracował przez tyle lat, musiało Wassermana wiele kosztować.

Sylvia kupiła bilety do teatru na nową sztukę Ayckbourn. Uwielbiała teatr. Julius dawał się namówić i zazwyczaj towarzyszył jej na spektaklach, ona zaś udawała, że nie zauważa, gdy zdarzyło mu się zdrzemnąć podczas przedstawienia.

Stella także miała pójść, a oprócz niej zaprzyjaźniona para małżeńska z synem i synową.

Jak dotąd Stella zachowywała się bez zarzutu. Akceptowała wszystkie propozycje i widać było, że bardzo stara się zadowolić ojca, co Sylwię nawet odrobinę niepokoiło. Przede wszystkim jednak była trzeźwa.

Rano miało miejsce przełomowe posiedzenie zarządu. Sylvia nie próbowała nawet dzwonić do biura i dowiadywać się o wynik. Julius nie znosił, gdy mu przeszkadzano. Miała nadzieję, że wszystko przebiegło po jego myśli i że plany na wieczór nie ulegną zmianie. Arthur Harris był jej obojętny, natomiast swojej szwagierki Christy zdecydowanie nie lubiła, gdyż ta miała jadowny język, była zazdrosna o Juliusa, a wobec zawsze usuwającego się w cień Arthura zachowywała się jak prawdziwa jędrza. Sylvia dziękowała losowi, że dzieli ich cały ocean, zaś podczas wizyt w Londynie starała się widywać z Harrisami jak najrzadziej.

Właśnie wróciła z zakupów i od fryzjera, gdy zobaczyła karteczkę od Stelli: Proszę, zawiadom mnie, gdy tylko tato wróci. Muszę z nim natychmiast porozmawiać.

Sylvia skrzywiła się. Z gośćmi mieli się spotkać w Aldwych Theatre. Nie ma już zbyt wiele czasu. Zadzwoiła do pokoju Stelli.

- Znalazłam twoją kartkę - powiedziała szybko. - Czy dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

Głos Stelli miał nosowe brzmienie, jakby się przeziębiła.

- Nie martw się, wszystko jest w porządku. Ojciec wrócił?

- Jeszcze nie, ale powinien przyjść lada chwila. Jeśli chcemy zdążyć do teatru na siódmą piętnaście, będziemy musieli się pośpieszyć. Czy to coś pilnego?

Po króciutkiej pauzie usłyszała odpowiedź Stelli.

- Obawiam się, że tak. Zejdę do was. To nie potrwa długo. Już idę.

Sylvia otworzyła drzwi. Zauważyła z ulgą, że Stella jest przygotowana do wyjścia. Natomiast oczy miała podpuchnięte, jakby płakała.

- O Boże - powiedziała, przyglądając się pasierbicy - wyglądasz okropnie. Co się stało?

- Wszystko w porządku - odparła Stella. - Nie martw się, nie jestem pijana. Po prostu poryczałam się. - Bezwiednie posłużyła się zwrotem używanym w dzieciństwie. - Postaram się, abyśmy się nie spóźnili, ale nie mogę czekać do jutra. O, jest tata.

Sylvia zauważyła, że Stella położyła na stole podłużną, brązową kopertę. Julius wszedł do pokoju.

- Cześć Sylvia, cześć Suki. Przepraszam, że się spóźniłem.

- Jak tam posiedzenie? - zapytała Sylvia.

Skrzywił się.

- Ten cholerny bękart grozi otwartą walką na walnym zebraniu akcjonariuszy. Zobaczymy. No, chodźmy do tego teatru.

- Papo - Stella postąpiła krok do przodu - wiem, że nie jest to właściwy moment. Śpieszymy się, a ty masz za sobą ciężki dzień. Jednak muszę ci to pokazać. Masz, przeczytaj.

W pierwszym odruchu Julius chciał odmówić. Był w złym nastroju. Nie spodziewał się, że Arthur mu się przeciwstawi. Po tyłu

latach okazało się, że pogardzany szwagier jest jednak facetem z ikra.

Stella podała ojcu kopertę. Gdy wróciła do hotelu, zadzwonił do niej Miller. Całe popołudnie zastanawiała się, jak właściwie powinna postąpić.

- Zanim się z tym zapoznasz, muszę ci coś wyjaśnić - powiedziała. - Podejrzałam, że Reece ma coś wspólnego ze śmiercią Jacoba, dlatego też wynajęłam detektywa, żeby go śledził. To właśnie jest jego raport.

- Coś ty zrobiła? - Julius podniósł głos. - Co to ma znaczyć, do diabła?

Przerwała mu szybko.

- Najpierw przeczytaj. Potem możesz na mnie krzyżeć. Chcę ci oszczędzić kłopotów, dlatego jest to takie pilne.

Wyrwał jej z ręki kopertę. Sylvia popatrzyła na pasierbicę z gniewnym wyrzutem.

Stella zwróciła się do niej.

- Przygotuj drinka, będzie mu potrzebny.

Potem spokojnie usiadła.

W pewnym momencie Julius uniósł głowę i popatrzył na nią ze zgrozą.

- Boże drogi - powiedział. Czytał dalej, a twarz nabiegła mu krwią.

- Policja ma zamiar ich aresztować - tłumaczyła Stella. - Dowiedziałam się o tym dzisiaj. Musisz go przedtem koniecznie zwolnić. Dlatego ta sprawa jest taka nagląca.

Sylvia podeszła do męża ze szklaneczką whisky.

- Kochany, co to jest? Co się stało?

Przełknął ślinę i powiedział:

- Reece... pieprzony zboczeniec. Kazirodztwo. O Boże drogi - powtórzył. Wręczył jej raport. - Masz, czytaj.

Stella mówiła dalej:

- Widziałam się z jego siostrą i powiedziałam, że mam dowody na to, że Reece maczał palce w zamordowaniu Jacoba. Potwierdziła to.

Sylvia powiedziała z niesmakiem:

- O mój Boże, mój Boże. Jakie to obrzydliwe. Julius, co masz zamiar zrobić?

- Wylać go na zbity pysk - odparł gwałtownie. - Jeszcze dzisiaj pošlę mu wymówienie przez posłańca. Zanim ta cholerna wiadomość się rozniesie. O Boże wszechmogący, mój osobisty asystent.

Zerwał się z fotela.

- Muszę to załatwić od razu. Idź do tego teatru i usprawiedliw mnie jakoś. Dołączę do was podczas kolacji. Zadzwoń do recepcji, aby przysłali sekretarkę i gońca.

Następnie zwrócił się do Stelli:

- Ty nie idziesz - powiedział. - Jak skończę z tym, porozmawiamy sobie oboje. Oczekuję pewnych wyjaśnień.

- Kochanie - powiedziała Susan Andrews stanowczo - na pewno postąpiłaś słusznie. Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie i jestem przekonana, że miałaś rację.

Wróciwszy do domu, już od progu oznajmił czekającej na niego Susan, że jego kariera w DE została zakończona. Podczas posiedzenia zarządu złożył rezygnację. Usiadł, czując się nagle stary i zmęczony. Dotychczas gniew kierował jego poczynaniami, dodawał mu sił do działania. Teraz, gdy gniew się wypalił, nastąpiła reakcja; nagle stał się zupełnie bezwolny.

Susan podała mu gin z tonikiem i powiedziała:

- Jestem zadowolona z tego. Nie obawiaj się, nie miej też żadnych wyrzutów. Ta cała historia jest obrzydliwa. Zamówiłam dla nas stolik u Martina, idziemy na kolację, by uczcić nowy początek. Wypij to, kochanie, i chodźmy.

Ray popatrzył na żonę. Nie była specjalnie inteligentna. Jej uroda dawno już zbladła; kasztanowe włosy przyprószyła siwizna, a pod oczami pojawiły się pierwsze zmarszczki. Ale pozostała lojalna i kochająca i od chwili, gdy się pobrali, nie pragnął żadnej innej kobiety. Jego matka, bystra, przenikliwa Szkotka,

powiedziała mu, gdy się zaręczyli: „To prawdziwy skarb, Ray. Nigdy tego nie pożałujesz”. Tak, Susan była skarbem. Miał w niej nie tylko żonę i kochankę, lecz także najlepszego przyjaciela. Wyciągnął rękę i mocno uściskał jej dłoń.

- Dziękuję, Susie, dziękuję za wszystko.

Sylvia nie bawiła się dobrze podczas przedstawienia. Nie potrafiła się skupić. Sztuka Ayckbourn'a wymagała sporo uwagi, tymczasem jej myśli ciągle wracały do tego, co zaszło w hotelu. Obraz tej małej, wstrętnej kreatury w łóżku z własną siostrą przysłał jej to, co działo się na scenie. Odczuwała mdłości. Julius da sobie radę; nic nie było go w stanie złamać. Ta ostatnia myśl pocieszyła ją trochę. Natomiast Stella wynajmująca detektywa - to był wyraźny sygnał ostrzegawczy. Nie, Stella wcale nie jest posłuszną, nawróconą córką, wracającą potulnie do domu. Westchnęła skrycie i przyłączyła się do oklasków, jakie zabrzmiały po skończonym spektaklu. Wyjście z teatru przyniosło jej ulgę. Zabrała swoich gości na kolację do Savoy'u. Miejsca przy stoliku zarezerwowane dla Stelli i Juliusa pozostały puste do końca wieczoru.

- Nigdy mnie nie kochałeś - mówiła Stella, przemierzając pokój. - Byłam ci jedynie zawadą.

Julius siedział na sofie, przyglądając się tej obcej istocie, obnażającej kolejne warstwy ich wzajemnych stosunków.

- To nieprawda - odparł. - Natomiast nigdy cię nie rozumiałem. Nie pasowaliśmy do siebie już w czasach, gdy byłaś małym dzieckiem. Nie dostrzegałem w tobie nic z Eileen ani ze mnie. Ty byłaś jak odmieniec... Ilekroć brałem cię na ręce, wrywałaś się ze wszystkich sił. Byłaś bardzo trudna i krnąbrna. Twoje pierwsze słowo brzmiało: „nie”.

- Gdybym była chłopcem, nie miałbyś nic przeciwko temu. Chciałeś, żebym była taka jak matka: łagodna, uległa i kobieca.

Ale ja miałam inny charakter. Pragnęłam być kochana przez was oboje, a skoro ty mnie nie kochałeś, zaczęłam walczyć.

- I to jak - zgodził się. - Od momentu, gdy twoja matka przeżyła załamanie nerwowe, wszystkim nam zamieniłaś życie w piekło. Naprawdę nie ustawałaś w wysiłkach.

- Bo wydawało mi się, że to, co się stało, nastąpiło z mojej winy - przypomniała mu. - Wiedziałaś o tym, ale było ci to obojętne.

- Nie, nie było - odparł niecierpliwie. - To całe pieprzenie psychiatrów o poczuciu winy u pięcioletniego dziecka! Mówisz, że cię nie kochałem, ale na litość boską, nie byłaś łatwa do kochania. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? Rozmawiamy ze sobą szczerze, więc pomyśl, jak byś się czuła, gdyby cały świat wokół ciebie zawalił się nagle i pozostałaby ci tylko mała, cholerna złoźnica, zdecydowana zrujnować swoje życie wyłącznie po to, by ci dokuczyć.

- To wcale nie tak - powiedziała Stella. - Chciałam ukarać samą siebie. Dopiero Jacob sprawił, że poczułam się coś warta. I przyszło mi go stracić. - Usiadła naprzeciw ojca. - Muszę ci coś wyznać. Muszę ci to powiedzieć, nawet jeśli mi tego nie wybaczysz. Myślałam, że miałaś coś wspólnego z jego śmiercią. Chciałam dowieść tego... zniszczyć cię. Dlatego kazałam śledzić Reece'a... Żeby osiągnąć ciebie.

Heyderman siedział bez słowa. Czekał, podobnie jak ona. Wreszcie powiedział cicho:

- To miłe. A więc taką masz o mnie opinię?

Stella poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Usiłowała z nimi walczyć. Nie był to właściwy moment na okazywanie słabości. Znała ojca i wiedziała, że nie ma pobłażania dla słabeuszy.

- Bardzo się myliłam - odparła. - Bardzo. Tak to wszystko zamatwałam.

- Aha - skwitował. - Kolejny powód, aby poczuć się winną. Słuchaj, Stella, nic z ciebie nie będzie, jeśli nie skończysz z tymi idiotyzmami i nie weźmiesz się w garść. Wiesz co, jesteś bardziej podobna do mnie, niż przypuszczałem. Ja w podobnych

okolicznościach zrobiłbym dokładnie to samo. Też wychodziłbym ze skóry, żeby dopaść własnego ojca, gdybym go podejrzewał o taki uczynek. Do diabła, a o co teraz płaczesz? Żałujesz, że tego nie zrobiłem?

- Śmiejesz się ze mnie - zaprotestowała - a ja chciałabym, abys mi przebaczył.

- No, co znowu. - Podniósł się z sofy i otoczył ją ramieniem. - Tak, śmieję się z ciebie; najwyższy czas, abys ty także zaczęła się z siebie śmiać. Tyle straconych lat... Co by Jacob sobie pomyślał, gdyby cię teraz zobaczył? Był cholernie blisko zrobienia z ciebie dorosłej kobiety, to mu trzeba przyznać. Chcesz, abym cię kochał? Więc daj mi coś, z czego mógłbym być dumny. Zrób coś ze swoim życiem. Wracamy do domu, tam się tyle dzieje. Od nas samych zależy, czy kraj pograży się w wojnie domowej, czy też nowy system polityczny zda egzamin. Heydermanowie nigdy nie mieszały się do polityki. Na przykład de Beerowie byli liberałami, nie popierali apartheidu. My zachowywaliśmy neutralność. Ale przecież ty nie musisz. Nosisz nazwisko Yakumi i to ci może pomóc.

Stella wlepiła w niego wzrok.

- Naprawdę? Nie miałbyś nic przeciwko temu?

- A powstrzymałoby cię to, gdybym miał?

Zawahała się. Jego ramię, ciepłe i opiekuńcze, obejmowało jej plecy.

- Nie - odparła - nie powstrzymałoby.

- Dobrze - rzekł Heyderman - to jest moja córka. A teraz na miłość boską zrób coś ze swoją twarzą i zjedźmy na dół coś zjeść, zanim zamkną restaurację. Umieram z głodu.

Jill Fairfax wierzyła w zbawienny wpływ świeżego powietrza. Nalegała na córkę, by towarzyszyła jej podczas codziennych spacerów z psami.

Był zimny, grudniowy dzień, na wieczór zapowiadano przy-
mrozki. W parku podnosiła się lekka mgła. Elisabeth wyglądała

coraz lepiej. Przybrała na wadze i twierdziła, że lepiej sypia. Na pozór zachowywała się normalnie, lecz jej matka czuła, że nadal jest przygnębiona. Jill nie lubiła takich słów jak depresja czy nieszczęście. Drażniły ją i uważała, że nadużywa się ich na określenie znacznie mniej poważnych stanów. Powiedziała z ożywieniem:

- Boże, jest coraz zimniej. Nigdy nie przepadałam za tą porą roku. Wszystko jest takie martwe, drzewa stoją bezlistne, na grządkach nie ma żadnych kwiatów. Papa uwielbia grudzień, bo to okres polowań. A ja tęsknię już do wiosny. Dziś rano, gdy tylko się obudziłam, pomyślałam: „Zanim się człowiek obejrzy, już będą święta”.

Elisabeth prowadziła szczeniaka na smyczy. Podskakiwał na lince, najwyraźniej rozbawiony.

- Rzeczywiście - powiedziała. - Zapomniałam, że to już niebawem. Mamo, Jean Pierre zaprosił mnie do siebie. Ma zamiar przyjechać po mnie przed świętami i zabrać do Francji. Czy masz coś przeciwko temu?

Jill Fairfax przystanęła. Rzuciła psom komendę i labradory przy dreptały posłusznie i usiadły w oczekiwaniu. Popatrzyła na córkę i powiedziała dobitnie:

- Tak, mam, i twój ojciec także. Jeśli nie chcesz wrócić do męża, twoje miejsce jest z nami, dopóki nie podejmiesz ostatecznej decyzji. A nie żebyś wypuszczała się gdzieś z tym staruchem, który śmiało mógłby być twoim ojcem. On pragnie tylko jednego: abyście ty i James zerwali ze sobą na dobre. Siadać, Dinki! - krzyknęła na Bogu ducha winną suczkę, by wyładować swoją złość. Potem westchnęła głęboko i dodała: - Przepraszam, Lizzie. Oczywiście, że pojedziesz, jeśli chcesz. Nie mamy prawa się do tego wtrącać. Po prostu będzie nam ciebie brakowało, to wszystko. Zachowałam się samolubnie. Tak dawno nie było cię z nami na święta, że teraz robiłam już różne plany. Zapomnij, co powiedziałam. Idziemy.

Zawróciły kierując się przez rozległy park, ku odległemu jeszcze szczytowi domu.

- Nie wrócę do Jamesa - powiedziała nagle Elisabeth. - Podjęłam decyzję. Chcę rozwodu.

Matka nie odpowiedziała, udając, że jest zajęta wyłącznie psami. Dopiero gdy zbliżyły się do szerokiego podjazdu odezwała się:

- Jeśli jesteś pewna, że tego właśnie pragniesz. Hej, Dinki, Bizzi...

- Jestem pewna - odparła Elisabeth. - Nie jest to coś, czego pragnę, ale jedyne, co mi pozostaje do zrobienia. Stosunki między mną a Jamesem nigdy nie ułożą się tak jak przedtem. Byłby to kompromis, który z pewnością nie zdałby egzaminu. Przykro mi, mam, ale nie zniosłabym takiego życia. Sprawy wyglądałyby inaczej, gdybyśmy mieli dzieci. Ale skoro nie mamy...

Zbliżyły się do bocznych drzwi, ukrytych pod schodami wiodącymi do głównego wejścia. Trzymano tam kalosze, płaszcze deszczowe i ogromną, przypominającą jeża wycieraczkę, mocno już wytartą od ciągłego używania.

- Myślałam o wyjeździe do Francji, ponieważ możliwe, że romans dobrze by mi zrobił - powiedziała Elisabeth. - Nie mam zamiaru wychodzić za mąż za Jean Pierre'a ani za nikogo innego. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale może jakaś odmiana wysłaby mi na dobre. Mogę jednak jechać dopiero po świętach, nie ma pośpiechu. Tak więc Boże Narodzenie spędzimy razem, to już postanowione.

Krótko uściśnęła matkę za ramię - Jill nie należała do kobiet, które bez przerwy obdarzają dzieci pieścizkami, demonstrując swoje uczucia - odwiesiła płaszcz, odstawiła mokre buty na stojak i poszła na górę. Jill zabrała się do wycierania psów. Szczeniak podskakiwał i przewracał się na grzbiet dla zabawy.

- Jeśli chcesz wiedzieć - mówiła do niego Jill - masz więcej rozumu, niż moja głupia córka. Chce zrobić na złość samej sobie. Przecież sypiając z tym wstrętnym staruchem nie przestanie kochać Jamesa. Stójże spokojnie!

Skończywszy z psami poszła na górę, aby podzielić się nowinami z mężem. Mężczyzna po pięćdziesiątce sypiający z

dwudziestosiedmioletnią dziewczyną był dla niej wyłącznie obleśnym staruchem. Nowoczesne trendy nie robiły na Jill Fairfax żadnego wrażenia.

Elisabeth nie przyłączyła się do rodziców, pijących herbatę w bibliotece. Poszła na górę wziąć kąpiel. Po spacerze czuła się zziębnięta; od wilgotnego, zimnego powietrza dostała dreszczy. Rozwód. Ostateczne pogrzebanie wszelkich nadziei.

Nie będę załatwiała niczego przez prawników - powiedziała głośno. - Nie chcę, byśmy rozstawali się jak wrogowie. Pojadę do Jamesa i powiem mu to osobiście. W końcu byliśmy razem szczęśliwi. To chyba się liczy. Pojadę do Londynu przed świętami. Potem Nowy Rok i nowy start. Może uda mi się wrócić do mojej pracowni.

Czuła się wyprana z wszelkich emocji. Nie mogła nawet zdobyć się na łzy, by oplakać to, co utraciła.

- Myślę, że jesteś głupcem - powiedziała Christina Harris, spoglądając na męża, który wrócił do domu i przebierał się do obiadu. Ostatnio o niczym jej nie informował i konieczność zadawania pytań doprowadzała ją do szału. Nie mógł jej jednak odsunąć od uczestnictwa w nadchodzących wydarzeniach, gdyż w prezencie ślubnym ofiarował jej spory pakiet udziałów.

- Wiem, moja droga. Zawsze tak o mnie myślałaś. Mówiąc nie przestawał wiązać krawata.

- Po co u licha pakujesz się w konflikt z Juliusem? Ostatnio powtarzała mu to przy każdej okazji, wprawiając go w irytację.

- A co z Martinem? - ciągnęła. - Wiesz doskonale, że przegrasz. I co wtedy? Co przekazesz naszemu synowi? A może nie obchodzi cię jego przyszłość?

- W rzeczy samej, zupełnie mnie nie obchodzi - przyznał, odwracając się do lustra. - Nie widzę w nim nic, czym miałyby sobie zasłużyć na moje starania. W tej chwili myślę wyłącznie o sobie.

- Nie wygrasz z moim bratem, wiesz o tym. Ma najwięcej udziałów, a inni udziałowcy też staną po jego stronie. Co wtedy?

- Wtedy zrezygnuję - odparł. - Jednak wyłącznie wtedy, gdy udziałowcy opowiedzą się za Juliusem. Ale do tego nie dojdzie. Nasz dobry przyjaciel Tom Rickfield z pewnością mnie poprze, a on ma przecież sporo udziałów. Tak samo uczyni kochana, stara ciocka i ty, moja droga. Mam więc szansę.

- To właśnie chciałabym z tobą przedyskutować. Nie przyszłam tu na jakieś pogaduszki. Chcę porozmawiać z tobą zupełnie serio.

Przerwał na moment nakładanie marynarki i popatrzył na nią uważnie. Żywe, błękitne oczy, ostre niczym noże, przesywały go na wylot. To dziwne, ale od tamtej pamiętnej nocy nigdy nie myślał o niej jako o pięknej kobiecie. Obecnie, jeśli w ogóle zwracał na nią uwagę, widział wyłącznie jej wady.

- Dobrze, dobrze, moja droga, w takim razie mów, byle nie za długo, bo umówiłem się z Hughiem w klubie.

- Najwyżej spóźnisz się trochę. - Usiadła, eleganckim ruchem założyła nogę na nogę i zapaliła papierosa. Zaczęła palić, gdyż wiedziała, że to go drażni. - Zdecydowałam się głosować przeciwko tobie - oznajmiła.

Przez chwilę nie odpowiadał. Starannie zapinał marynarkę. Do wewnętrznej kieszeni włożył papierośnicę.

- Jeśli masz zamiar się ze mną kłócić, to nie mam czasu. Hugh będzie się denerwował.

- Mówiłam serio - odparła. Głos miała spokojny, trochę znużony. - Przemyślałam wszystko i doszłam do wniosku, że jesteś skończony. Nie wygrasz, a nawet gdyby jakimś cudem ci się to udało, to i tak za kilka lat przechodzisz na emeryturę. Chciałabym, żeby Martin miał swoją szansę. Nie widzę powodu, dla którego miałbyś mu ją zaprzepaścić wyłącznie po to, aby zaspokoić swoją idiotyczną próżność. Będę głosowała przeciwko tobie, nie ma dwóch zdań. Julius już wie, rozmawiałam z nim na ten temat. Powiedziałam mu jasno i otwarcie, że oczekuję od niego, iż

będzie miał na uwadze Martina, gdy ten skończy Oksford. Pomyślałam, że poinformuję cię o tym.

- Dziękuję - odparł Arthur. - To miłe z twojej strony, że postanowiłaś mnie nie zaskakiwać. Czy rzeczywiście powiedziałaś Juliusowi, że masz zamiar głosować przeciwko mnie?

- Tak. Dziś rano wysłałam mu list potwierdzający mój zamiar, więc równie dobrze możesz od razu ustąpić. Beze mnie nie masz szans na wygraną. - Popatrzyła na niego z uśmiechem. - Trzeba było być miłszym dla mnie, kochanie. Ale twoja polityka wobec mnie jest tak samo kiepska, jak sposób prowadzenia interesów. Miłego obiadu z Hughiem. Zapytaj go o radę. Może jego posłuchasz.

Wstała i wyszła z papierosem w ustach, zostawiając otwarte drzwi garderoby. Arthur włożył do kieszeni portfel, upewnił się, czy ma ze sobą klucz od domu i kluczyki od samochodu i jeszcze raz rzucił okiem w lustro. Potem zgasił światło - stary nawyk oszczędzania, który wpojono mu jeszcze w dzieciństwie - i wyszedł z domu.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówił Hugh Fuller. - Mój drogi, to przecież jest niemożliwe.

- Wręcz przeciwnie. Znam dobrze Christę, mówiła serio. Chodzi jej o przyszłość Martina i dla tego celu jest gotowa poświęcić mnie.

Siedzieli popijając kawę i koniak. Przez cały wieczór omawiali zdradę żony Harrisa. Fuller nigdy za nią nie przepadał, jednak to, co teraz zrobiła, było naprawdę okropne. Powiedział to Arthurowi, a ten wzruszył ramionami.

- Nigdy bym tego nie podejrzewał, nawet przez moment. Przez te wszystkie lata oddaliśmy się od siebie, ale mimo to nie przypuszczałem, że zwróci się przeciwko mnie. - Roześmiał się z goryczą. - Przekazałem jej sto tysięcy udziałów zaraz po ślubie, a kilka lat temu jeszcze pięćdziesiąt pięć tysięcy. Poza tym ma sporo udziałów po ojcu. To więcej, niż potrzeba, by mnie przegłosować,

jeśli doliczymy do tego udziały Juliusa i większości drobnych udziałowców, którzy pójdą za nim niczym stado baranów. Co ja mam zrobić, Hugh?

- Słuchaj, jestem twoim starym przyjacielem. - Hugh Fuller pochylił się i wzruszony poklepał Arthura po ramieniu. - Nigdy nie podobała mi się ta wasza walka, ale z drugiej strony uważałem, że nie można dopuścić do tego, by Heyderman zatriumfował. Poza tym to ja sporządziłem tę cholerną umowę i czuję się za to odpowiedzialny.

- Nonsens - odparł Arthur. - To nie twoja wina. Nikt nie sformułowałby jej lepiej niż ty.

- To bardzo szlachetne z twojej strony - powiedział stary prawnik, przyglądając włosy. - Czy mogę dać ci pewną radę? Naprawdę szczerą radę, jako twój przyjaciel.

- Oczywiście - Arthur uśmiechnął się smutno. - Udziel mi rady. Pojęcia nie mam, co teraz zrobić. To mnie kompletnie ogłuszyło.

- Zrezygnować - rzekł Fuller. - Nie podejmować walki. Czekaj, nie przerywaj mi przez chwilę, przyjacielu. Pracujesz ciężko już ponad trzydzieści lat. Jesteś bogaty, nawet bardzo bogaty. Dlaczego nie poprzestać na tym? Popatrz na mnie. Jeszcze trzy lata i przechodzę na emeryturę. Jesteś mniej więcej w tym samym wieku. Myślę o tym i dochodzę do wniosku, że to się naprawdę nie opłaca. Po co ta ponizająca rozgrywka na oczach wszystkich? Skoro nie masz już szans na zwycięstwo, lepiej zrezygnować i odciąć się od wszystkiego.

- Nie mogę. Nie mogę pozwolić, by pokonał mnie w ten sposób.

- Nie będziesz pokonany - powiedział Fuller. - To ty przejdziesz inicjatywę. Popatrz na to w ten sposób: tu Julius wytacza do bitwy swoje ciężkie działa, a ty po prostu mówisz, że dziękujesz, że nie warto. Odchodzisz na emeryturę. Będziesz mógł na serio zająć się żeglarstwem. Ja też mam zamiar to zrobić. Phyl i ja zdecydowaliśmy, że wreszcie chcemy mieć trochę czasu dla siebie. Ja już od tego roku praktycznie jestem jedną nogą na

emeryturze. Dlaczego nie miałbyś postąpić tak samo? Możemy się świetnie zabawić. Phyl tak cię lubi, wiesz przecież o tym.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ty masz żonę, Hugh. Masz dla kogo przechodzić na emeryturę.

- To nie jest problem - odparł Fuller. - Po prostu pozbądź się tej cholernej Christy. Chętnie zajmę się sprawą rozwodową.

- To pierwsza rzecz, którą zrobię.

- Panowie - zaczął Julius - wezwałem was tutaj dzisiaj rano, gdyż mam wam coś do zakomunikowania.

Brakowało tylko Arthura Harrisa i Davida Wassermana. Hastings, Kruger, Johnson i utalentowany księgowy nazwiskiem Bennett, który objął stanowisko po Andrewsie, zajęli swoje zwykłe miejsca przy stole. Obok Juliusa siedziała młoda protokółantka. Reece nie przyszedł; mówiono, że jest chory.

- To jest zebranie specjalne - powiedział Julius. - Nie będziemy zajmowali się odczytywaniem protokołu z poprzedniego posiedzenia ani też omawiali żadnych innych spraw związanych z firmą, ponieważ osiemnastego stycznia odbędzie się zwykłe, comiesięczne spotkanie, zgodnie z wcześniejszym planem. Chciałbym przekazać wam, że dostałem od Arthura list z rezygnacją. Postanowił nie odwoływać się do zgromadzenia udziałowców. Na stanowisku dyrektora mamy więc wakat i na następnym zebraniu zarząd musi wybrać kandydata na dyrektora, którego później zatwierdzi walne zebranie.

W liście, krótkim i utrzymanym w spokojnym tonie, Arthur przeproszał za wszystkie nieporozumienia, jakie miały miejsce, i zapewniał, że zawsze kierował się dobrem firmy. Żałował też, że opuszcza zarząd, jednak w zaistniałych okolicznościach uważa, że powinien to zrobić. Życzy powodzenia swojemu następcy. Zdecydował się na ten krok, by nie narażać firmy na złą sławę, jaka byłaby wynikiem publicznej walki w obronie jego dobrego imienia.

- To jedna sprawa - powiedział Heyderman. - Nie pozostaje mi nic innego, tylko zakomunikować, że moim kandydatem na stanowisko dyrektora naczelnego jest James Hastings. Tutaj mam formalny list Wassermana z aprobatą dla tej kandydatury. Zakładam, że podczas następnego posiedzenia nikt nie zgłosi sprzeciwu.

Popatrzył po zebranych i na moment jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Dicka Krugera. Ten odchrząknął.

- Nie jestem szczęśliwy z powodu odejścia Arthura - powiedział. - W tej chwili nie potrafiłbym zobowiązać się do głosowania na Hastingsa. Mam nadzieję, że to zrozumiesz - zwrócił się do Jamesa.

- Oczywiście, że rozumiem. Będzie mi bardzo przykro, jeśli nie zmienisz zdania. Chciałbym mieć świadomość, że mam kogoś tak lojalnego wobec siebie, jak ty byłeś wobec Arthura.

Dick zaczerwienił się, ale nic nie powiedział. Wyglądało na to, że wybory będą zwykłą formalnością. Gdyby nie doszło do rezejmowania, Kruger musiałby zrezygnować.

Po zakończonym posiedzeniu Heyderman odwołał Jamesa na bok.

- No, myślę, że jest to dla ciebie gratka, Hastings.

- Tak, panie prezesie, z całą pewnością. Dziękuję.

- Zjedz ze mną lunch o pierwszej w Savoy Grill. Chciałbym z tobą przedyskutować kilka spraw.

James przytrzymał drzwi Heydermanowi i wyszedł tuż po nim. Reszta członków zarządu pozostała w tyle. Julius skierował się do swojego gabinetu. Był rozluźniony i pewny siebie, problemy zawsze stają się łatwiejsze do rozwiązania, gdy odważnie zmierzyć się z nimi. Pragnął już jechać do domu, na święta. Potem wybierali się do St. Moritz, by Nowy Rok powiać na nartach. Do załatwienia została mu jeszcze jedna sprawa, zadzwonił na sekretarkę i rzucił krótko:

- Wezwij do mnie Ruth Fraser.

W pierwszej chwili Joy Reece, zajęta odkurzaniem, nie usłyszała dzwonka do drzwi wejściowych. Od czasu, gdy specjalny posłaniec przyniósł list od Heydermana, codziennie wstawiała o świcie i sprzątała mieszkanie. W obłąkańczym rytuale trzepała dywany, przesuwała meble, odkurzała i polerowała do połysku każdy kran, każdy metalowy przedmiot.

Po wizycie Stelli Heyderman zachowywała się jak gdyby nigdy nic. Była przekonana, że wyszła zwycięsko z tego starcia. Ta kobieta nigdy nie ośmieli się spełnić swojej groźby, jeśli nie chce, by jej ojciec także został unurzany w błocie.

Nie powiedziała bratu o wizycie Stelli. Nie chciała go niepotrzebnie denerwować. Piet był taki wrażliwy. Wszystko, co dotyczyło Heydermanów, brał sobie od razu do serca.

Gdy dostarczono list, siedzieli sobie spokojnie po kolacji, oglądając program przyrodniczy w telewizji. Reece otworzył kopertę i powiedział:

- To od pana Juliusa. Ciekaw jestem, co się stało.

A potem wydał z siebie zduszony, niemal zwierzęcy charkot. Joy podbiegła do niego. Nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Podał jej pismo. Dymisja z powodu niemoralnego prowadzenia się. Zakaz wstępu do wszystkich biur DE. Joy przytuliła go zaborczo, niczym tygrysica broniąca młodych. Zwykle to on był silny, to on ochraniał ją. Ale nie teraz. Wiedziała, że to go kompletnie załamało. Płakał z twarzą schowaną w dłoniach. Teraz nadeszła jej kolej, żeby go wspierać.

Namawiała go na jak najszybszy powrót do domu. Mogą złapać najbliższy samolot do Johannesburga, jutro z samego rana. Reece wydawał się niezdolny do żadnego ruchu. Spędził bezsenność noc i przez cały następny dzień nie podniósł się z łóżka. Sprawiał wrażenie ciężko chorego, tak że nie miała serca nalegać na wyjazd. Za dzień czy dwa otrząśnie się z szoku. Więc czyściła i polerowała zawzięcie, aby zabić niepokój, który nią targał.

Wyłączyła odkurzacz i do jej uszu dobiegł długi, natarczywy dźwięk dzwonka. Włożyła ściereczkę do kieszeni fartucha i poszła otworzyć. Na klatce schodowej stali dwaj mężczyźni. Jeden z nich nosił brązowy filcowy kapelusz, który zdjął na jej widok.

- Panna Reece?

- Tak, a o co chodzi?

- Detektyw-sierżant Reynolds i konstabl Batchelor. Przeprowadzamy dochodzenie i w związku z tym chcemy z panią porozmawiać. A czy pani brat jest w domu?

13.

- Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, że opuszczam pana tak nagle?

James potrząsnął głową.

- Skądże znowu. To wspaniała okazja. Zasłużyłaś na nią i była-byś głupia, gdybyś z niej nie skorzystała.

Ruth przysiadła na krześle obok jego biurka. Pomyślał beznamietnie, że tego ranka wygląda kwitnąco. Jak zwykle ubrana bez zarzutu, promieniejąca niczym diamenty, które od tej pory nabiorą w jej życiu jeszcze większego znaczenia.

- Prezes dał mi czas do świąt, abym się zastanowiła, ale chciałam to przedyskutować najpierw z panem.

James uśmiechnął się lekko.

- Myślę, że już podjęłaś decyzję. Powodzenia. Kto wie, dokąd cię jeszcze zaprowadzi współpraca z Heydermanem?

- To prawda - przytaknęła.

Heyderman nie miał syna, który mógłby pójść w jego ślady, zaś jego córka postanowiła poświęcić się polityce. Ruth świetnie wiedziała, że Heyderman nie lubi swojego siostrzeńca, Martina Harrisa. Tego typu wiadomości rozchodziły się w biurze błyskawicznie. Chłopak złożył mu wizytę tuż przed powrotem Heydermanów do Afryki. Był gburowaty i arogancki, więc spotkanie nie zakończyło się sukcesem.

- To bardzo podniecająca perspektywa - mówiła. - Chętnie zmienię miejsce pracy, zwłaszcza że nigdy jeszcze nie pracowałam poza Anglią. Pensja i dodatki są wręcz fantastyczne. Ale muszę

powiedzieć, że będzie mi brakowało współpracy z panem.

- Niezbyt długo. Jesteś stworzona do samodzielnej kariery.

- Mam nadzieję. Jak na ironię prezes powiedział, że zaproponował mi to stanowisko zapoznawszy się z raportem Reece'a, który opisał mój udział w operacji paryskiej w bardzo pochlebnych słowach. Pan Heyderman powiedział, że niezależnie od wszystkiego zawsze bardzo wysoko cenił opinie Reece'a. Co to za okropna historia - dodała, starając się przybrać zatroskany wygląd.

- Tak - skinął głową James - straszna. Bóg wie, co się za tym kryło.

Wiść o śmierci Reece'a wybuchła w biurze niczym bomba. Pierwsza dowiedziała się o tym jedna z maszynistek i przybiegła wymachując gazetą, w której zamieszczono niewielką notatkę zatytułowaną: *Odkrycie zwłok rodzeństwa*.

Oboje popełnili samobójstwo. Dozorca, zaniepokojony stosem gazet gromadzących się na korytarzu, wyłamał drzwi. Brat i siostra leżeli w sypialni, martwi od kilku dni. Nie zostawili żadnego listu. Podczas rozprawy u koronera ujawniono, że policja przeprowadzała wcześniej dochodzenie w ich sprawie. Zapadł werdykt: samobójstwo spowodowane przedawkowaniem środków nasennych. Śledztwo zostało zamknięte.

- Chciałam jeszcze dodać - ciągnęła Ruth - że jestem zadowolona, schodząc z drogi Dickowi. Czy pan go zatrzyma?

- To zależy - odparł James. - Chcę mieć zgrany, współpracujący ze mną zespół. Jeśli będzie stwarzał jakiegokolwiek problemy, wyleci. Kiedy wyjeżdżasz?

Uśmiechnęła się, odruchowo poprawiając spódnicę, przy czym podciągnęła ją jeszcze wyżej. Nie potrafiła się powstrzymać, choć wiedziała, że James na takie sztuczki nie reaguje.

- Cóż, wystawiłam już mieszkanie na sprzedaż i gdy tylko zdecyduję, co chcę ze sobą zabrać, będę się starała wyjechać jak najprędzej. Już nie mogę się doczekać, żeby znaleźć sobie jakieś miłe mieszkanko i zacząć się urządzać.

Ponieważ James milczał, po krótkiej chwili zapytała:

- A jakie pan ma plany na święta? Czy pan gdzieś wyjeżdża?

- Nie - odparł James. - Nawet nie myślałem o tym. Sądzę, że zostanę w Londynie. Zawsze jest tyle pracy, nawet podczas świąt.

- Och! - Ruth wstała z miejsca. - To pańska żona nie będzie z panem?

- Nie. - James był wyraźnie dotknięty tym pytaniem.

- W takim razie jest głupia - powiedziała Ruth. - Przyjdę się z panem pożegnać przed odjazdem. Życzę wielu sukcesów. Będzie pan wspaniałym dyrektorem naczelnym. Będę przyjeżdżała z panem Heydermanem, tak że nie stracimy kontaktu.

Wychodząc, pokiwała mu ręką.

Boże Narodzenie.

James starał się o tym nie myśleć. Wassermanowie namawiali go, aby pojechał z nimi na kilka dni do Nassau. Przyjaciele zaproponowali wspólny wypad na narty. Matka wybierała się do siostrzenicy do Canterbury. To było ostatnie miejsce, gdzie chciałby spędzać święta. Hałaśliwe dzieci i msza w katedrze. Gdy mu o tym wspomniała, znalazł pierwszy lepszy pretekst, żeby odmówić. Wiedział, że tylko gdy zajmie się pracą, uda mu się jakoś przetrwać te święta. Postara się, aby przeleciały szybko, a potem wróci do biura, gdzie otwierają się przed nim nowe perspektywy. Dla wielu ludzi święta Bożego Narodzenia nic nie znaczą. Od tej chwili nie znaczą także dla niego.

Ray Andrews znalazł pracę jako doradca w firmie maklerskiej. Wynagrodzenie zaproponowano mu mniejsze niż zarobki w DE, jednak czuł się szczęśliwy. Teraz nie musiał tyle podróżować, więc on i Susan mieli więcej czasu dla siebie. Na święta planowali wyjechać razem z córką i studiującym synem do Kornwalii. Otrzymał list od Jamesa Hastingsa z prośbą o ponowne rozważenie

decyzji i powrót na dawne stanowisko po najbliższym posiedzeniu zarządu, wyznaczonym na ósmego stycznia. A więc James był pewien, że jego kandydatura zostanie zatwierdzona przez prezesa i dyrektorów. Rayowi pochlebiała ta propozycja, ale pozostał niewzruszony. Odmówił grzecznie i stanowczo. Zaczął już pracę w nowym zawodzie i uznał ją za interesującą. Nie wierzył w powroty, kiedy dokonano się już rozrachunku z przeszłością. Życzył Jamesowi wiele szczęścia.

Kroniki towarzyskie odnotowały przejście Arthura Harrisa na emeryturę. Widywano go w eleganckich restauracjach i nocnych klubach, takich jak Annabel czy Tramp, w towarzystwie atrakcyjnych kobiet. Kiedy pytano go o rozłam w jego trwającym ponad trzydzieści lat małżeństwie, uśmiechał się tylko i mówił, że postanowił poświęcić się żeglarstwu.

Prasa i telewizja w RPA zamieściły obszernie relacje o powrocie córki Juliusa Heydermana po latach nieobecności w kraju i o jej oświadczeniu, że podczas pobytu za granicą poślubiła czarnego prawnika, aktywistę Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Jako wdowa po nim pragnie kontynuować dzieło zmarłego męża w nowej Południowej Afryce.

Na Blackfiars Road praca przebiegała w zwolnionym tempie, spowodowanym zbliżającą się pięciodniową przerwą świąteczną i następującą zaraz po niej przerwą noworoczną. James przynosił papiery do domu i pracował nad nimi każdego wieczoru. Zatrzymał gospozię, więc wszystko przebiegało sprawnie, dokładnie tak, jak za czasów Elisabeth. A jednak nie było tak samo. Obecnie dom przypominał raczej dobrze prowadzony hotel. James pragnął pozbyć się go jak najszybciej. Nie zamierzał kupować innego domu. Na St James Place znalazł apartament, wspaniale położony, z oknami wychodzącymi na Green Park, z ogromnym pokojem recepcyjnym, wymarzone na różne oficjalne przyjęcia. Apartament posiadał także pełną obsługę.

Jadąc któregoś dnia do domu w przedświątecznym tłoku, przeciskając się przez tłumy kupujących i zwiedzających, zwabionych

świętecznymi dekoracjami na Regent Street, postanowił nie czekać do wiosny ze sprzedażą domu. Ze względu na położenie i wprowadzone ulepszenia może uda się znaleźć kupca za cenę zbliżoną do pierwotnej już teraz. Mógłby się wtedy wyprowadzić zaraz po zawarciu transakcji. Mieszkanie było częściowo umeblowane, tak że nie musiałyby ogałać domu.

Ze zdumieniem odkrył, że myśli o tym bez emocji. Kupił go tuż przed ślubem. Oglądali go razem z Elisabeth, wspólnie planowali wszystkie ulepszenia i całe wyposażenie. Elisabeth była taka podniecona, zestawiała kolory i próbki materiałów. Teraz to już nie miało znaczenia. Ta część życia odeszła w przeszłość. Może zresztą nigdy nie miała być niczym więcej, jak tylko krótkim interludium, bolesną lekcją, jak krucho są stosunki między ludźmi.

Małżeństwa powinny się dobierać na zasadzie podobieństw. On i Elisabeth nie mieli wspólnych upodobań. Nic ich nie łączyło prócz miłości, jednak w obliczu kryzysu uczucie okazało się niewystarczające.

Zaparkował samochód i otworzył drzwi frontowe. Gospodyni miała wolny wieczór. Planował zjeść wcześniejszą kolację w klubie i zająć się pracą.

Drzwi gabinetu były otwarte, w pokoju paliło się światło. Jeszcze zanim tam wszedł i zobaczył Elisabeth, wiedział, że musi tam być. Czuł jej obecność. Siedziała w fotelu obok nierozpalonego kominka. Zatrzymał się w drzwiach.

- Halo, James - powiedziała Elisabeth. - Przyszłam tu. Pani Glover powiedziała mi, że łała moment powinienes wrócić.

James czuł się niczym widz, patrzący na kogoś zupełnie obcego, odgrywającego jego rolę. Jednak Elisabeth była prawdziwa.

- Liz, jak się miewasz?
- Dziękuję, wszystko w porządku.
- Świetnie wyglądasz.

A jednak była zmieniona. Jej kochana twarz utraciła wyraz niewinności i ufności.

- Ty też, James. Marzę o drinku.
- Zabrzmiało to tak sztucznie, że aż się zachnął.
- Oczywiście. Gin z tonikiem?
- Proszę. Dlaczego nie ma ognia? Strasznie tu ponuro.
- Miałem zamiar wyjść - powiedział.

Nalał do szklaneczki ginu i toniku i wrzucił kostkę lodu. Dla siebie przygotował whisky.

- Niestety, nie mam lemonów. Ostatnio pijam tylko szkocką.

Gdy podawał jej kieliszek, ich ręce się nie zetknęły. Usiadł na przeciw niej. Nie przypuszczał, że jej widok wywoła w nim aż taki ból. Wydawało mu się, że już się uodpornił, dopóki nie zobaczył jej siedzącej tutaj, spoglądającej na niego wielkimi szaroniebieskimi oczami, pod którymi miała teraz głębokie cienie.

- Cóż - zaczął po długiej przerwie. - To dopiero niespodzianka. Co cię sprowadza?

- Chciałam się z tobą zobaczyć.

Aby poprosić o rozwód. Omal nie powiedział tego głośno. Elisabeth nie wybrałaby wyjścia właściwego tchórzom, nie kryłaby się za plecami prawników. Wiedział, że będzie działała bezpośrednio, gdyż tylko taką drogę uważała za słuszną, nawet gdyby miało się to okazać trudne dla nich obojga. Pragnął, aby chociażby przez wzgląd na niego nie zdecydowała się na ten krok. Powiedział:

- Chcesz rozwodu, jak sądzę?

Elisabeth nie odpowiedziała. Podniosła do ust kieliszek i opróżniła go niemal jednym haustem. Próbowała się uśmiechnąć, lecz bez powodzenia.

- Potrzebuję czegoś dla kurażu - powiedziała. - Nie, nie przyjechałam po zgodę na rozwód. Przyjechałam do Londynu, by spotkać się z Jean Pierrem i powiedzieć mu, że nie zwiążę się z nim. I po to, aby prosić cię, byś mi przebaczył.

- Przebaczył?

Skinęła głową.

- Tak. O ile możesz, po tym, jak postąpiłam z tobą. Jeśli mi nie

przebaczysz, nie będę miała pretensji. Po prostu pójdę sobie.

Sięgnęła po chusteczkę.

- Boże - powiedziała - nie chcę płakać. To byłoby nic w porządku wobec ciebie.

- Elisabeth, co masz na myśli, mówiąc, abym ci przeoczył?

- Ruth Fraser przyjechała do mnie do Freemantle - wyjaśniła.

- Stanęła w drzwiach jakby nigdy nic i opowiedziała mi, co naprawdę zaszło. Odebrała wiadomość od Jean Pierre'a, że jestem w szpitalu. Powiedziała mi otwarcie, że zdecydowała się nie telefonować do ciebie, gdyż sądziła, że wróciłbyś do Paryża, aby być przy mnie i w ten sposób zaprzepaściłbyś swoją szansę. Dodała jeszcze, że jestem głupia i rozpieszczona i nie zasługuję na kogoś takiego jak ty. Powiedziała też, że fatygowała się do Freemantle tylko dlatego, że cię polubiła. Patrzyła na mnie z pogardą, a potem po prostu wyszła i odjechała. Przekłęte lzy. - Przez chwilę wycierała oczy chusteczką. - Nie chciałam cię słuchać - podjęła. - Przysięgałeś, a ja ci nie wierzyłam. Och, James, jakiegoż zamieszania narobiłam.

Sięgnęła po omacku po torebkę, wepchnęła tam chusteczkę i wstała.

- Pójdę już. Ale proszę, spróbuj mi wybaczyć.

Zanim zdążyła zrobić krok, chwycił ją w objęcia.

- Nigdzie nie pójdziesz. Tu nie ma nic do wybaczenia, a jeśli nawet, to już nieważne. Ciągle cię kocham. Czy ty też innie kochasz, Liz?

- Tak - odparła - kocham cię. Ale czy po tym wszystkim będzie między nami tak jak przedtem?

Ciągle trzymając ją w ramionach powiedział spokojnie:

- Nie wiem, kochanie. Na pewno nie będzie tak samo. Nie będziemy razem i razem spróbujemy wszystko odbudować. Pragnę tego. Czy wrócisz do mnie?

Popatrzyła na niego.

- Jesteś pewien, James, że tego chcesz? Sądzisz, że możemy być szczęśliwi?

- Nie mogę być szczęśliwy bez ciebie - odparł. - Tego jestem pewien.

Pocałował ją i przytulił mocno.

- Ruth... - wymamrotał z twarzą schowaną w miękkich włosach Elisabeth. - Człowiek nigdy nie zna drugiego człowieka do końca.

- Rozpalmy ogień w kominku - szepnęła Elisabeth. - Niech znowu będzie tu jak w domu.

Laura Karakow przeciągnęła się leniwie. Ramiona miała pięknie opalone, jednak twarz starannie chroniła przed południowoafrykańskim słońcem. Dobrze знаła szkodliwy wpływ promieni słonecznych na starzejącą się skórę.

- Co za klimat - powiedziała. - I wszystko tu takie tanie.

Obok niej, na leżaku ustawionym tuż przy basenie, leżał Iwan. Przebywali w Johannesburgu już od tygodnia jako goście Juliusa Heydermana. Między nimi nastąpiło całkowite pojednanie. Wspólnie pokazywali się na publicznych imprezach, Julius wydał na ich cześć obiad, zapraszając całe kierownictwo DE wraz z żonami. Sylvia z pełnym poświęceniem zajęła się Laurą, pokazując jej ciekawe okolice, podczas gdy mężczyźni dyskutowali o interesach i publicznie demonstrowali wielką przyjaźń. Wszystkie szkody zostały naprawione, Iwan wrócił na łono rodziny, a nieporozumienia z przeszłości poszły w niepamięć.

- W samym mieście nie podobało mi się - powiedział Iwan. - Jestem natomiast bardzo zadowolony, że mogliśmy przyjechać tutaj, do Cape. Wiesz, Lauro, zachowywałaś się wspaniale. Tak, to była pożyteczna wizyta, ale nie musimy przyjeżdżać tu po raz drugi.

Nie podobał mu się pobyt u Heydermanów. Wcześniej został pokonany i upokorzony, a taka rana zawsze długo się jątrzy. Laura rozumiała to. Wiedziała, że Iwan jest bardzo dumnym człowiekiem i pamiętliwym przeciwnikiem.

- Nie - przyznała chłodno - nie musimy. Ale mieliśmy rację, przyjmując zaproszenie. Pamiętaj, że Heyderman cię potrzebuje. Inaczej nie chciałoby mu się nawet ruszyć tyłka, żeby cię zaprosić, ani też nie robiłby takiego przedstawienia. Zostałeś potraktowany z całym ceremoniałem.

Iwan patrzył na połyskującą wodę w basenie. Był czas lunchu; jedynie samotna dziewczyna pływała wolno tam i z powrotem.

- Tym mnie nie kupił - oznajmił.

- Wiem o tym - odparła jego żona. - I założę się, że on wie o tym także. - Chciała go podtrzymać na duchu, więc pochlebiała mu, ile mogła. - Ty jesteś Karakowem - przypomniała mu. - Wstrząsnąłeś imperium Heydermana i on o tym nie zapomni. Czy zamówimy lunch tutaj?

Skrzywił się; nie miał ochoty najedzenie.

- Możesz zamówić. Najlepiej coś lekkiego. Ten łajdak Hastings, oto, co mnie gryzie. Żeby zostać dyrektorem naczelnym w tak młodym wieku. Wczoraj podczas kolacji jakiś idiota zapytał mnie o niego i o jego „czarującą małżonkę”... Po tym wszystkim, co ten drań mi zrobił. Aż się wszystko we mnie wywraca, gdy o tym pomyślę.

Laura powiedziała zimno:

- We mnie także. Wygląda na to, że zdobył wszystko. Lepiej zapomnij o nim. Zawsze powtarzałeś, że interes to interes. Życie musi toczyć się dalej.

Iwan poprawił się na leżaku i spojrzał na żonę. Wolał z nią nie zadzierać. Ostatnio traktowała go z podejrzaną łagodnością, zupełnie jakby uważała, że stracił swoją zadziorność.

- Tak to wygląda - zgodził się, ale jego oczy pałały gniewem. - Wiesz, w Johannesburgu zauważyłem pewien drobny szczegół. Założę się, że ty to przeoczyłaś.

- Co miałam przeoczyć? - zapytała ostro. - Zawsze widzę wszystko.

- A jednak tym razem coś umknęło twojej uwadze. Julius i jego nowa asystentka, Ruth.

Laura widziała Ruth Fraser na wszystkich przyjęciach i na uroczystej kolacji u Heydermanów. Zachowywała się wobec niej grzecznie, ale z dystansem. Pamiętała, że Ruth była sekretarką Jamesa Hastingsa w Paryżu. Bystra mała intrygantka i bardzo seksowna dziewczyna. Nie tylko Hastings osiągnął szczyt kariery, ona także.

- Myślisz, że on z nią sypią? - zapytała.

- Tak przypuszczam - odparł. - Zauważyłem parę szczegółów, na przykład sposób, w jaki on na nią patrzy. Zresztą nie tylko seks ich łączy, moja droga. Julius nareszcie natrafił na pokrewną duszę w interesach. A tę dziewczynę zżera ambicja, ogromna ambicja. Czuję to w niej. Pamiętasz, jak dała kopniaka Dickowi Krugerowi? Jeśli teraz zabrała się za Juliusa, to z pewnością dla kariery.

Podniósł się i usiadł bokiem na leżaku. Pływaczka wyszła z wody i wycierała się, stojąc w słońcu. Zauważył, że ma świetną figurę.

Popatrzył na żonę i się uśmiechnął.

- W londyńskim zarządzie jest wakat po odejściu Krugera. Założę się, że ona przejmie po nim to stanowisko. A gdy do tego dojdzie, to na miejscu tego łajdaka Hastingsa nie spałbym już spokojnie.

Laura przymknęła oczy. Iwan nigdy się nie mylił w ocenie ludzi. Miał doskonały instynkt. Przez te wszystkie lata nauczyła się wierzyć mu bez zastrzeżeń. Przypomniała sobie stare chińskie przysłowie. Zapadło jej w pamięć, gdyż wydawało się jej wyjątkowo trafne. „Zemsta jest potrawą najlepiej smakującą na zimno”. Jeśli Iwan miał rację, jeszcze będą się nią rozkoszować. Otworzyła oczy i lekko dotknęła ramienia męża.

- Zamówię lunch - powiedziała.

KONIEC